

Paul Henry Goislard

Dom Sary

Przełożyła Maria Michalik
Mojej żonie, Monique, mojemu
synowi, Philippe'owi
Prolog

I

Poprzedniego dnia wieczorem
Sara przysięgała, że pośpi sobie
porządnie.

- Odrobiłam wszystkie lekcje,
nauczyłam się wszystkiego, co
zadane. Jutro czwartek, będę
spała do dziewiątej! A nawet do
dziesiątej. Mam nadzieję, że
nikt nie będzie hałasował!

Było to trudne do wykonania:

Ritterowie - ojciec, Elie,
matka, Sylvia i troje dzieci -
jedenastoletni Bruno,
dziesięcioletni Robert i
dziewięcioletnia Sara -
mieszkali w jednym pokoju
przedzielonym na dwoje niebieską
kotarą w żółte pasy. Z jednej
strony znajdowały się kuchnia i
jadalnia, a z drugiej sypialnia
z wielkim łóżem rodziców i
trzema małymi łóżkami składanymi
na dzień. Ale cóż, wszyscy
obiecali, że będą się starali
zachowywać cicho, żeby
najmłodsza mogła się wyspać do
syta.

Nazajutrz Sylvia wstała, jak
zwykle, o siódmej. Szybko obmyła
się nad zlewem, zerwała starą
kartkę z kalendarza,
stwierdziła, że jest czwartek 26
listopada 1931 roku, i
pośpieszyła parzyć kawę. Teraz z
kolei wstał Elie i przyszedł do
kuchni. Właśnie mieli usiąść do
śniadania, kiedy ktoś zaczął się
gwałtownie dobijać do oszklonych
drzwi stróżówki. Sylvia poszła
otworzyć. Była to Elise
Guillaume, stara służąca pani

Meyer, ich chlebodawczyni. Nie mogła dojść do siebie, była zapłakana, a twarz miała wykrzywioną ze zgrozy i wzburzenia. Nie zdążyła jeszcze zamknąć za sobą drzwi, kiedy wykrzyknęła:

- Sylvio! Elie! Biedna pani... Biedna pani... Chodźcie szybko! Kilka minut temu, kiedy poszła obudzić panią Meyer o zwykłej porze, znalazła ją w łóżku z poderżniętym gardłem. Prześcieradła, poduszka, koce zalane były krwią. W pokoju panował nieład, meble pootwierane, zasłony zerwane. Przerażona, wstrząśnięta, na drżących nogach pobiegła do Ritterów.

W cztery godziny później wokół domu panowało jeszcze gorączkowe poruszenie. Aleja Gambetty w Saint_mand~e, wzdłuż wykopu kolejowego oddzielającego ją od lasku w Vincennes, była pełna ludzi i samochodów. Najpierw przyjechali strażacy, zaraz potem funkcjonariusze policji, dziennikarze i fotografowie.

Tłum gapiów komentował wydarzenie. Po wizycie doktora Paula, lekarza sądowego, i specjalistów z wydziału śledczego znowu wkroczyli strażacy. Zabrali ciało ofiary na noszach przykrytych szarym kocem.

Sarę i jej braci fotografowali już pięć czy sześć razy reporterzy. Matka starała się zostawić dzieci pod opieką sąsiadki, ale zaraz się od niej wymknęły i przyłączyły do innych dzieciaków z dzielnicy, żeby razem z nimi wmieszać się w tłum.

Najbardziej przejęta była Sara. Zapomniała już o straconych godzinach snu.

Myślała bez przerwy o swojej chrzestnej. Matka, z czerwonymi od płaczu oczami, powiedziała jej, że poszła do nieba. Sara też była najbardziej zaciekawiona. Nie biegła to tu, to tam, od wozu policyjnego do strażackiego, jak to robiły inne dzieci, zwłaszcza jej bracia. Stała nieruchomo koło bramy, w niebieskiej sukieneczce w kolorze oczu, którą pośpiesznie wciągnęła na siebie, kiedy jej wstrząśnięci rodzice wybiegli z Elise Guillaume. Rozglądała się dokoła, z napięciem przypatrywała się ludziom, obracając swoją wdzięczną główkę na wszystkie strony, byle tylko nie przeoczyć nic z tego, co się działo.

Po drugiej stronie alei, na chodniku górującym nad torami kolejowymi, leżała sterta ciosanego piaskowca złożonego tam przez robotników budujących nową willę. Wzrok Sary przyciągnął nagle jakiś metalowy przedmiot, błyszczący wśród stosu kamieni. Podeszła bliżej, pochyliła się trochę, żeby lepiej widzieć, potem zawołała ojca, żeby i on się przypatrzył.

- Nie ruszaj się! - powiedział. - A przede wszystkim niczego nie dotykaj.

Podążył ku jednemu z prowadzących śledztwo.

- Panie komisarzu! - powiedział. - Proszę popatrzeć, moja mała znalazła coś dziwnego w tej stercie kamieni...

Komisarz Fonet zbliżył się.

Był to otyły, wąsaty mężczyzna, około czterdziestopięcioletni, ubrany w gruby, czarny płaszcz z aksamitnym kołnierzem, nosił ciężkie trzewiki i melonik, które nadawały mu karykaturalny wygląd. Pochylił się.

- Klucze! - stwierdził.

Sara zobaczyła, jak wsuwa między kamienie wskazujący palec, chwytając klucze za kółko, przekłada je do drugiej ręki odzianej w szarą rękawiczkę.

- Niech pan się im dobrze przypatrzy, panie Ritter. Czy myśli pan, że to może być komplet kluczy od willi?

Ojciec Sary zbliżył się, obejrzał szybko klucze. Był mniej więcej w tym samym wieku co policjant, włosy miał rude, oczy jasne, ubrany w sprany roboczy kombinezon, który zakładał do pracy w ogrodzie albo do mycia auta.

- Bez wątpienia, panie komisarzu. Ten długi klucz, o ten, jest od głównego wejścia. To klucz od zatrzasku. Tutaj widać napis Yale i numer. A ten mały, płaski kluczyk, to od wejścia dla służby, od strony alei Focha.

Sara widziała, jak komisarz przypatruje się jej ojcu, uważnie, przez kilka sekund.

- Inaczej mówiąc, morderca musiał być kimś bliskim dla ofiary. Po zabójstwie pozbył się kluczy wsuwając je tutaj w stos kamieni. Czy tak właśnie pan myśli, panie Ritter?

Elie przytaknął. Zbliżył się do nich fotograf prasowy, zrobił zdjęcie całej grupce. Potem poprosił Sarę, żeby stanęła przed stosem kamieni i pokazała palcem miejsce, gdzie odkryła klucze. Przybrała pozę pełną wdzięku i kokieterii. Błysnęła magnezja.

- Gotowe! Mam cię już w pudełku! - skomentował fotograf.

- Czy moje zdjęcie będzie w gazecie, proszę pana? - zapytała dziewczynka.

- Tak, dziecinko. W

jutrzejszej gazecie i to na pierwszej stronie.

Pogłaskał małą po głowie i szeptem zwrócił się do znajdującego się obok kolegi:

- Zauważyłeś, jaka z niej ładna panienka? Jeśli będę tędy przechodził za dziesięć lat...

- Panie komisarzu - podjął Ritter. - Chciałem panu powiedzieć, że ten pęk kluczy, a właściwie kółko, to...

- Chodźmy do pana! - przerwał policjant na widok zbliżającego się do nich dziennikarza żądającego informacji. - Tam będziemy mogli porozmawiać swobodniej.

Obaj mężczyźni przeszli na drugą stronę ulicy odprowadzani przez posterunkowego w pelerynie, który odsuwał ciekawskich i dziennikarzy.

Przekroczyli bramę z kutego żelaza, przeszli kilka kroków po alejce i pod ich butami zachrzącał żwir, który Elie codziennie starannie grabił.

Stróżówka znajdowała się tuż na lewo, był to maleńki budynek w tym samym stylu co willa.

Sara udała się za ojcem i komisarzem Fornet, pozostawiając obu braci na ulicy z innymi dziećmi. Wślizgnęła się do pokoju jak myszka, cichutko usiadła w kącie. Bała się, że będą na nią krzyczeć i każą wrócić na ulicę, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Ciekawie przypatrywała się ojcu i matce, i temu grubemu mężczyźnie o donośnym głosie. Cała zamieniła się w słuch.

Komisarz znowu wpatrzył się w Elie Rittersa, potem otworzył dłoń w rękawiczce pokazując klucze.

- Słucham, panie Ritter.

Chciał mi pan coś powiedzieć na temat tych kluczy?

- Raczej na temat kółka, panie komisarzu. Proszę popatrzeć, to nie jest zwyczajne kółko. Takie płaskie, zdobione, z deseniem, we Francji takich nie ma. Wygląda jak coś orientalnego. Czy to by nie mogło pochodzić z Indochin?

Sylvia Ritter stała obok w pozie pełnej szacunku. Nagle pobladła.

- Elie... Nie myślisz przecież o... panu Marcelu?

- Owszem, myślę! Zresztą, sama widzisz, że skojarzyło ci się od razu.

- O kim mówicie? - zapytał komisarz.

- Pan Marcel to starszy syn pani Meyer. Kiedyśmy o nim słyszeli ostatni raz, przebywał w Indochinach. To było dawno. Od tamtej pory nie dał żadnego znaku życia.

- I z powodu kółka przypuszczacie, że te klucze mogły należeć do niego? Wiecie chyba, że nie tak dawno, o dwa kroki stąd była Wystawa Kolonialna. Takich przedmiotów, pochodzących z Afryki czy też ze Wschodu, sprzedali wtedy całe stosy. A więc kółek do kluczy podobnych do tego można pewnie znaleźć w Paryżu całe setki...

Poza tym nic przecież nie upoważnia do przypuszczenia, że Marcel mógł maczać palce w zabójstwie własnej matki!

- Nic? - wtrąciła Sylvia z hamowaną zapalczywością. - Nic? Och! Panie komisarzu...

Umilkła, najwyraźniej wzburzona natłokiem powracających wspomnień.

Wtedy Elie opowiedział wszystko od początku. O ich przybyciu do Sary Meyer w 1921 roku, kiedy on został zatrudniony jako szofer i

ogrodnik, a żona jako pokojówka.
O uprzejmości Sary Meyer, wdowy
po Oskarze Meyerze, jednym z
wielkich właścicieli domów
towarowych Galeries de
l'op~era. Była to kobieta
bardzo bogata, ale prosta i
dobra. Bardzo szybko
zaprzyjaźniła się z nimi i z ich
dwoma chłopcami.

- ... A kiedy urodziło nam się
trzecie dziecko, dziewczynka,
zaprzęgnęła być jej matką
chrzestną. Dlatego nasza mała
nazywa się Sara, tak jak ona...
Tkwiąca na krześle dziewczynka
nie uroniła ani słowa.

Potrząsnęła głową, jakby chciała
zwrócić na siebie uwagę, jakby
mówiła: "Mała Sara, to ja..."
Sara Meyer miała dwóch synów.
Młodszego, Raymonda, który
przejął po ojcu zarząd domów
towarowych. Był żonaty, miał
dwoje dzieci. Mieszkał w
Saint_cloud, ale raz czy dwa
razy na tydzień przychodził do
matki. I Marcela... starszego,
dziecko, które przyszło na
świat, kiedy wiodła awanturnicze
życie i pozowała półnaga sławnym
malarzom, takim jak von Dongen"*

- zanim poznała Oskara Meyera.
Von Dongen, Cornelius T."M.;
zwany Kees - malarz i rysownik
francuski, z pochodzenia
Holender (1877_#1968).

Początkowo malował w stylu
realistycznym, ulegając
stopniowo wpływom
impresjonistów. Był ulubionym
portrecistą arystokracji i
artystów (wszystkie przypisy
pochodzą od tłumaczki).

- To nicpoń, panie komisarzu!
Żył z tego, co dostał od matki,
odwiedzał ją tylko po to, żeby
wyciągnąć od niej pieniądze.
Kilka razy nawet ją pobił, żeby
dostać więcej, niż chciała mu

dać. Sama to opowiadała mojej żonie. Biedna pani... Można powiedzieć, że wiele przez niego wycierpiała!

W okresie, gdy Ritterowie zostali zaangażowani przez Sarę Meyer, Marcel był bardziej gwałtowny i agresywny niż kiedykolwiek, bo zaczął pić. I zdarzyła się ta straszna noc, kiedy przyszedł pijany, podczas gdy wszyscy już spali. Dowiedziawszy się, że Elie, Sylvia i dzieci zostali ulokowani na drugim piętrze willi, gdzie mieszkała już stara Elise Guillaume, wpadł w graniczącą z obłądem wściekłość. Wbiegł na górę jak wariat, wrzeszcząc, złorzecząc powtarzał: "To był mój pokój! Mój pokój! Ośmieliłaś się wpuścić służbę do mojego pokoju! Nie życzę sobie nikogo u siebie!" Wreszcie poszedł zatrzaskując za sobą brutalnie wszystkie drzwi. Tej nocy nikt w domu nie mógł już zasnąć. Moja żona tak się przestraszyła, że nazajutrz postanowiliśmy odejść. To było zbyt niebezpieczne, rozumie pan, zwłaszcza ze względu na maluchy... Ale pani Meyer nie chciała, żebyśmy odeszli. Płakała, błagała, żebyśmy jej nie opuszczali. No i... Ostatecznie Ritterowie zostali. Ale uzgodnili z Sarą Meyer, że od tej pory zamieszkają w starej, opuszczonej od dawna stróżówce. Było im tam bardzo ciasno, ale przynajmniej nie musieli już obawiać się nocnego najścia Marcela. Żeby Sara Meyer również czuła się bezpieczna, w jej sypialni założono przycisk elektryczny połączony z bardzo hałaśliwym dzwonkiem, który w

razie niebezpieczeństwa miał dzwonić u Ritterów.

W tym momencie opowiadania komisarz podskoczył:

- Co? W takim razie, jak to się stało, że nie zadzwonił tej nocy? Czy nie był włączony na stałe?

- Oczywiście, że był, panie komisarzu! Nie wiem, co się mogło stać. Może pani Meyer nie zdążyła zrobić nawet jednego ruchu. A poza tym... jeśli to pan Marcel... był gwałtowny i bała się go, na pewno... dzwonek też został, oczywiście, zainstalowany z jego powodu... Ale kto by pomyślał, że mógłby...

- Ten punkt trzeba będzie jednak wyjaśnić - mruknął zamyślony komisarz przyglądając się bacznie Ritterowi. - Pójdzie pan ze mną do sypialni ofiary. Obejrzymy sobie wszystko razem. Zamilkł na chwilę, potem ciągnął dalej:

- Ale przedtem niech mi pan powie... Nie wie pan, czy pani Meyer trzymała pieniądze w domu?

- Oddawała pieniądze do banku

- odpowiedziała Sylvia. -

Zostawiała sobie tylko niewielką

sumę na bieżące wydatki. Ja

chodziłam do banku i

podejmowałam dla niej pieniądze.

Byłam tam właśnie wczoraj.

Podjęłam trzy tysiące franków.

- Trzy tysiące franków, to nie byle co! - orzekł komisarz.

- Akurat tyle, ile wynosi trzymiesięczna pensja drobnego urzędnika...

Nie dodał, "jak ja", ale tak pomyślał. Po dwudziestu pięciu latach służby w policji, gdzie zaczynał, co prawda, jako zwykły stójkowy, zarabiał niewiele ponad tysiąc franków miesięcznie. Popatrzył na

Rittera.

- I gdzie się podziały te pieniądze?

- Są schowane, jak zwykle, w szufladzie sekretarzyka, panie komisarzu. W sypialni pani. O, proszę, klucz mam zawsze przy sobie.

Komisarz wziął klucz od Sylvii i gestem nakazał, by Elie udał się za nim. Elie wstał cokolwiek zdezorientowany, odwrócił się do żony, jak gdyby w jej spojrzeniu szukał wsparcia. Potem wyszedł z policjantem.

Wrażliwa i obdarzona intuicją Sara dostrzegła w zachowaniu komisarza coś nieokreślonego wprawdzie, ale co budziło w niej strach, jakby jakieś zagrożenie. Pełna niepokoju zarzuciła matkę pytaniami.

- Mamusiu, co oni zrobią?

Dlaczego kazał tatusiowi, żeby z nim poszedł? Mamusiu, co oni zrobią tatusiowi?

Sylvia poruszona niemniej niż córka, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chcąc uspokoić małą i rozproszyć nieco ciężką atmosferę, jaka zapanowała w mieszkaniu, zajęła się kuchnią i zaczęła przygotowywać obiad. Nadbiegli obaj chłopcy i oni z kolei zasypali ją pytaniami.

Sara usiadła przed oszklonymi drzwiami, skąd widać było całą alejkę i willę.

Upłynęło nie kończące się pół godziny.

Nagle Sara poderwała się z krzesła, przewracając je pod wpływem wzburzenia.

- Mamo! - wrzasnęła dziewczynka. - Zabierają tatusia!

Nie myliła się. W pokoju, w którym popełniono zbrodnię, komisarz Fernet stwierdził, że trzy tysiące franków zniknęły.

Zamek w szufladzie nie był
wylamany. Ponadto przewody
sygnału alarmowego zostały
zerwane. Podejrzany o kradzież i
morderstwo z premedytacją Elie
Ritter przemaszerował na oczach
córkę w asyście dwóch
policjantów, których poprzedzał
komisarz.

Sylvia rzuciła się biegiem za
nimi.

- Co wy robicie? Co wy
robicie? Elie! Elie! Wracaj,
błagam...

Elie odwrócił się do żony i
dzieci. Bez słowa, zmieniony na
twarzy, podniósł obie ręce w
geście rozpacz. Fernet podszedł
do Sylvii.

- Pani Ritter... Chcę tylko
zadać mężowi kilka pytań. Mam
nadzieję, że będę go mógł
odwieźć pani z powrotem przed
wieczorem. Niech pani będzie
rozsądna! Proszę powiedzieć
dzieciom, żeby się nie bały.
Sylvia konwulsyjnie pocałowała
męża.

- Jesteś niewinny! Jesteś
niewinny! Powiesz im to, prawda?

- Jestem niewinny! - powtórzył
Elie.

Sara uczepliła się ojca,
próbując całą siłą swoich małych
rączek przytrzymać go,
zaprowadzić do stróżówki.

- Tatusiu! Ja nie chcę, żebyś
z nimi poszedł!

Elie podniósł córkę do góry,
pocałował ją, potem pocałował
Bruna i Roberta. Wsiadł do
samochodu komisarza mając po
bokach dwóch policjantów. W
chwili gdy auto ruszyło w
kierunku komendy Policji przy
bulwarze Orfevres, z tłumu
ciekawskich rozległy się
okrzyki:

- Na śmierć zabójcę! Na
śmierć!

Przed willą pozostało tylko
dwóch policjantów oraz kilku
gapiów i dziennikarzy. Jakiś
fotograf zrobił zdjęcie
zapłakanej Sarze, z rękami
wyciągniętymi za odjeżdżającym
autem - inny sfotografował
Sylwię z trójką dzieci, jak
tuląc się do siebie, zbici w
żałosną grupkę, wracają razem do
stróżówki.

Dwa tygodnie później, też w
czwartek, późnym
przedpołudniem, przy chodniku,
dokładnie na wysokości willi,
zatrzymał się duży, czarny
buick. Wsiadł z niego Raymond
Meyer, otworzył nie zamkniętą na
zasuwę bramę, przeszedł kilka
kroków alejką - zauważył, że
żwir nie był grabiony - i
skręcił, żeby zapukać do drzwi
stróżówki.

Był to mężczyzna
czterdziestoletni, ciężki,
masywny, ubrany w ciemny
garnitur, czarny krawat, buty z
krokodylej skóry; palił cygaro i
wszystko w nim tchnęło
dostatkiem. Miał tę pewność
siebie, jaką daje
przyzwyczajenie do bogactwa i
ufność, że nigdy nie zazna się
niedostatku. A jednak czuł, że
ta wiara w siebie zachwiała się
w nim, kiedy przed dwoma
tygodniami policja zawiadomiła
go przez telefon o zamordowaniu
matki, a jej okropna śmierć do
głębi nim wstrząsnęła,
uprzytomniła mu bowiem w jednej
tragicznej sekundzie, że
bogactwo nie chroni przed
niczym. Równocześnie pozbawiła
go jednej z podstaw egzystencji
- miłości matki, mimo podeszłego
wieku nadal pięknej i zadbanej,
którą kochał do tego stopnia, że
raz czy dwa razy w tygodniu
wymawiał się od obiadu w gronie

biznesmenów, by zjeść go z nią
sam na sam w willi w
Saint_mand~e, gdzie odnajdywał
pogodną atmosferę swojego
dzieciństwa. Teraz wszystko to
się skończyło, jedna karta jego
życia odwróciła się raz na
zawsze.

Musiał udać się do Instytutu
Medycyny Sądowej na placu Mazas
w celu rozpoznania zwłok.
Obojętny urzędnik w białym kitlu
uniósł prześcieradło znad
zimnej, skurczonej jeszcze od
przerażenia twarzy. Opatrunek
przykrywał ranę na szyi,
podkreślając zarazem jej
istnienie.

Nieco później Meyer dowiedział
się o aresztowaniu Elie Rittera,
potem o oskarżeniu go o
morderstwo z premedytacją i
kradzież. Lubił i szanował
Ritterów, którzy gorliwie
zajmowali się jego matką, toteż
ciążące na Ritterze oskarżenie
pogрузyło go w głębokim smutku i
wprawiło w wielkie zdumienie. I
komu tu ufać, skoro człowiek,
pozornie tak uczciwy i prawy,
może okazać się mordercą?

Wreszcie policja zadzwoniła do
niego ponownie, informując o
aresztowaniu jego przyrodniego
brata, który przyznał się do
winy. Jego zeznania,
uniewinniające Rittera, którego
natychmiast zwolniono,
przyniosły Raymondowi ulgę.
Zbrodnia Marcela nie zdziwiła
go. Wiedział, że to człowiek
gwałtowny, niebezpieczny wariat
zdolny do wszystkiego, nawet do
tego co najgorsze.

Nie otrzymawszy odpowiedzi,
Meyer zapukał ponownie w
oszkłone drzwi stróżówki, potem
pochylił się próbując zajrzeć do
środka przez zasłonę, ale była
za gruba i zbyt szczelnie

zaciągnięta. Wreszcie usłyszał
pytający męski głos:

- Kto tam?

- Pan Raymond! Niechże pan
otworzy, Ritter!

Rozległ się zgrzyt
przekręcanego w zamku klucza,
potem pośpiesznie odsuwanej
zasuwki. Drzwi otworzyły się.
Raymond Meyer cofnął się. W
twarz uderzył go odór
zapuszczonego, źle utrzymanego
mieszkania, kuchennej
stęchlizny, tytoniu, barłogu.

Zazwyczaj, kiedy przychodził do
Ritterów, drzwi otwierano
natychmiast, a stróżówka
przyjemnie pachniała pastą do
podłóg, lawendą, tchnęła
zdrowiem i czystością. Elie,
jego żona i dzieci zjawiali się
przed nim schludni i zadbani,
witając go uprzejmie. Dzisiaj
Elie stał w otwartych drzwiach
mrużąc oczy w świetle
słonecznym, był nie ogolony, w
samej koszuli. Za nim rysowały
się widmowe postaci Sylvii i
trojga dzieci. Bruno, Robert i
Sara spoglądali na Meyera z
pewnego rodzaju strachem.
Dostrzegł przede wszystkim
powiększone i podkrążone oczy
Sary, tej, która zazwyczaj miała
takie ładne, błękitne spojrzenie
iskrzące się ciekawością i
figlarnością.

- Proszę, niech pan wejdzie -
odezwał się wreszcie Elie
Ritter.

Usunął się i Raymond
przestąpił próg, zrobił kilka
kroków w głąb stróżówki. Zapach,
który go uderzył od drzwi, stał
się jeszcze bardziej odczuwalny.
Z zastawionego naczyńiami stołu
nie sprzątano od wieczornego
posiłku poprzedniego dnia.
Kotara, oddzielająca
kuchniojadalnię od sypialni,

była odsłonięta i widać było nie zasłane łóżka. Okna i okiennice były zamknięte. Sylvia szybko zdjęła skłębioną bieliznę z wyplatane go krzesła. Rozplakała się.

- Proszę mi wybaczyć -
przepraszała Raymonda. - Od kiedy to nas spotkało, nic mi się nie chce. Nie mogę zrozumieć. Jestem jakaś zagubiona. Nie mogę pogodzić się z myślą, że już nigdy więcej nie zobaczę pani, że ona nie żyje.

Była taka dobra...

Zaszlochała konwulsyjnie.

Dzieci płakały razem z nią. Elie nadal stał, wyprostowany, nieruchomy, jakby zapatrzony w jakąś zjawę.

- Z mężem jest jeszcze gorzej!
- podjęła Sylvia. - Odkąd wrócił z policji, nie jest już taki jak dawniej. Nie chce wyjść z domu, dzieciom zabrania chodzić do szkoły. Siedzimy zamknięci, cała piątka. Tylko Bruno wychodzi zrobić jakieś zakupy, i to biegiem... Mąż mówi, że ludzie nadal go oskarżają. Przecież to nieprawda, proszę pana? Niech mu pan powie, że to nieprawda.

- Oczywiście, że nieprawda!
Niech pan posłucha, Ritter, przecież w gazetach pisano, że pana uniewinniono. Ludzie wiedzą, że nie ma pan nic wspólnego z tym morderstwem, że winien jest mój przyrodni brat, że się przyznał, że został oskarżony i osadzony w więzieniu, z pewnością na długo, być może na zawsze.

Elie Ritter wpatrzył się w Raymonda Meyera, potem wskazał palcem na zamknięte okno, wychodzące na aleję Gambetty.

- Oni mnie oskarżają! -
powiedział chrapliwym głosem. -
Słyszę ich. Są tam, na ulicy,

pod oknem. Niektórzy krzyczą "Na śmierć! Na śmierć, mordercę!", jak w dniu, kiedy zabrała mnie policja. Wiem, że tak jest. Czuję to. Chcą mnie zabić! Kiedy wróciłem, wielu z nich mijałem na ulicy. Patrzyli na mnie z nienawiścią. Mówi pan, że mnie uniewinniono? To prawda, ale oni tego nie chcą przyjąć do wiadomości. Dla nich liczy się oskarżenie. Dla nich nadal jestem zabójcą. Mówią, że nie ma dymu bez ognia, że nie aresztuje się kogoś, kto nie ma sobie naprawdę nic do zarzucenia. Mówią, że nie przesłuchuje się na komendzie przez trzy dni i trzy noce i nie posyła się na więcej niż tydzień do więzienia człowieka, który nic nie zrobił. Nie wierzą, że policja się pomyliła, że komisarz Fernet musiał mnie przeproszać. Kiedy mój mały robi zakupy, ludzie przypatrują mu się ze złością, z pogardą. Przecież to syn mordercy! Dzieciaki biegną za nim i krzyczą głupoty. Podchodzą pod same drzwi, razem z rodzicami. Są tam wszyscy, mówię panu...

Raymond Meyer uśmiechnął się wyrozumiale, podobnie jak do swoich dzieci, kiedy zrobiły jakieś głupstwo, albo do najskromniejszych pracowników swoich domów towarowych.

- Co znowu, panie Ritter! - powiedział. - Tak się panu tylko zdaje. Zresztą, zaraz to udowodnię.

Trzema susami zbliżył się do okna, przechodząc między łózkami w nieładzie. Odsunął zasłony, przekręcił rygiel. Elie zawołał zduszonym głosem:

- Nie! Nie, proszę pana! Niech pan tego nie robi!

Ale Raymond otworzył już okna,

odsunął okiennice. Do mieszkania
wpadł powiew zimnego powietrza.
Na ulicy nie było nikogo oprócz
dwóch czy trzech przechodniów,
idących śpiesznie z nosem
utkwionym w kołnierzu płaszcza,
nie zatrzymując na niczym
wzroku.

- Widzi pan przecież, ani
żywej duszy. Gdzie ci ludzie,
tłoczący się z krzykiem "Na
śmierć!", gotowi pana
rozszarpać? Ulica jest pusta!
Elie spuścił głowę. Raymond
zamknął na powrót okno,
pozostawiając otwarte okiennice.
Podszedł do szofera swojej
matki, wziął go za ramię.

- No, panie Ritter -
powiedział - musi się pan
otrząsnąć. Rozumiem, że można
było doznać wstrząsu po tym, co
pan przeszedł. Rozumiem pańskie
czarne myśli. Ale zamykając się
w czterech ścianach nie
przepędzi ich pan. Trzeba
działać, wyjść! Żądam, żeby dziś
po południu poszedł pan z żoną i
dziećmi na spacer do lasu.
Niech pan popatrzy, jak te
biedne maluchy źle wyglądają.
Zwłaszcza mała Sara. A więc
wyjdzie pan z nimi po obiedzie.
A od jutra pośle je pan znowu do
szkoły. Trzeba koniecznie zacząć
znowu żyć normalnym życiem,
zapomnieć o tym, co się stało...

Elie stał nadal z pochyloną
głową. Wszeptał:

- Tak, proszę pana.

Raymond usiadł ciężko na
uprzątniętym przez Sylvie
krześle.

- Zresztą, mam z panem do
pomówienia.

Powiódł wzrokiem po Ritterze,
Sylvii i trójce dzieci,
stojących wokół. Sara wpatrywała
się w niego. W oczach
dziewczynki czytał wielką

ciekawość, zaniepokojenie, ale równocześnie ogromną ufność, jak gdyby wiedziała, że syn jej matki chrzestnej nie może źle życzyć ani jej, ani jej braciom, ani rodzicom.

- Teraz, kiedy mojej matki nie ma wśród żywych, nie wiem, co zrobię z willą. Może wynajmę, może sprzedam, zobaczę. W każdym razie, pewnie już o tym myśleliście... nie będę was więcej potrzebował. Jeśli chodzi o starą Elise Guillaume, wszystko jest już załatwione. Dałem jej trochę grosza, co pozwoli jej dokonać żywota w rodzinnym mieście, w Bar_le_duc. Ma tam kuzynów, którzy zgodzili się ją przyjąć. Jeśli chodzi o was...

- Co z nami będzie, z trójką dzieci? - jęknęła Sylvia.

- Jeszcze nie skończyłem! - ciągnął Raymond. - Nie wyrzucam was przecież za drzwi, u licha! Możecie tu zostać jeszcze kilka tygodni, a nawet dwa, trzy miesiące. Przez ten czas uporządkujecie willę. Ale będziecie musieli poszukać innego miejsca.

- Proszę pana - wtrącił Elie bezbarwnym głosem - ja nigdy nie znajdę innego miejsca! Jest kryzys, setki tysięcy ludzi są bez pracy, a poza tym... czy myśli pan, że w jakiejś mieszczańskiej rodzinie przyjmą człowieka, który był oskarżony o podejrzenie gardła swojej chlebodawczyni?

- Elie, powtarzam panu, teraz koniecznie musi pan wyrzucić z głowy te myśli. Wystawię panu pochlebne świadectwo pracy, zasłużył pan przecież na nie. Jeśli chodzi o zabójstwo mojej matki, mogę napisać oświadczenie, w którym wszystko

dokładnie wyjaśnię, w razie potrzeby posłuży się pan nim. Ponadto, pomówię o was ze znajomymi i dam wam trochę pieniędzy na ogłoszenie w gazetach.

Zamilkł na chwilę, po czym podjął innym tonem:

- Ale mam wam coś jeszcze do powiedzenia. Moja matka, jak wiecie, bardzo was lubiła. Nie wiem jeszcze, jakie decyzje podjęła w testamencie, ani nawet, czy biedaczka zdążyła go sporządzić. Jestem jednak pewien, że miała zamiar wam coś zapisać, wiele razy mówiła mi o tym...

Popatrzył na dzieci. Bruno, Robert i mała Sara usunęli się w kąt pokoju i bawili się po cichu, jak gdyby domyślali się znaczenia rozmowy, w której nie należało przeszkadzać za żadną cenę. Bruno układał klocki z "Małego budowniczego", budował dom. Robert zagłębił się w lekturze gazety "La Croix d'honneur". Sara ubierała szmacianą lalkę, ale co chwila rzucała wokół zaciekawione spojrzenia.

- Saro! - zawołał Raymond. - Chodź no, tutaj, maleńka. Chodź do mnie.

Dziecko zbliżyło się, popatrzyło na mężczyznę swoimi dużymi, niebieskimi oczami, uśmiechnęło się do niego. Schwycił ją wpół i posadził sobie na kolanach.

- Ale ty jesteś ładna! - powiedział Raymond. - Kochałaś swoją chrzestną, prawda?

- O tak, proszę pana! Mama mówi, że ona jest teraz w niebie.

Sylvia nie była wierząca, jej mąż również. Ale po raz pierwszy musiała powiedzieć dzieciom o

czyjejś śmierci. Nie mogąc wymyślić nic lepszego, uciekła się do najbardziej pospolitego frazesu.

- To z pewnością prawda, kochanie. No i właśnie tam, z wysoka, nadal cię kocha i ochrania.

Pozwolił dziewczynce ześliznąć się z kolan. A ona wróciła do braci i nadal bawiła się w milczeniu. Ale od czasu do czasu popatrywała na tego grubego, szorstkiego mężczyznę, który do niej tak mile przemawiał.

- Wydaje mi się - podjął Raymond zwracając się do Ritterów - że moja biedna mama wyznaczyła posag dla małej. Będę wam mógł powiedzieć coś więcej na ten temat za kilka dni, kiedy zobaczę się z moim notariuszem...

Sara nie wiedziała, co to takiego posag. Ale rozumiała, że mówią o niej, że się nią zajmują, że chrestna coś dla niej przeznaczyła, może jakiś podarunek. Jej rodzice płakali po cichu, niezdolni do wypowiedzenia choćby jednego słowa. Raymond wstał.

- Moi drodzy - powiedział - teraz muszę już iść. Zróbcie, jak wam powiedziałem, uporządkujcie willę i rozejrzyjcie się za nowym miejscem. Oto wasza wypłata za ten miesiąc i trochę pieniędzy na ogłoszenia. Świadcstwo i zaświadczenie dostaniecie za kilka dni...

Zanim przekroczył próg, odwrócił się do Rittera.

- Elie, niech pan pamięta! - powiedział. - Koniec z czarnymi myślami, dobrze? To się już skończyło!

Przytuleni do siebie Elie, Sylvia i dzieci słyszeli, jak

trzasnęły drzwiczki buicka i
włączył się rozrusznik.
Nadeszły długie tygodnie
oczekiwania. Wizyta Raymonda
Meyera miała dobroczynny wpływ
na zachowanie Elie Rittera.
Jednak nadal czuł się dotknięty
wyrządzoną mu
niesprawiedliwością. Słyszał
jeszcze, jak w zakrwawionej
sypialni Sary Meyer komisarz
Fornet oskarża go o zamordowanie
i obrabowanie biednej kobiety.
Przypominał sobie z dreszczem
przerażenia okrutne
przesłuchanie, jakiemu poddawano
go przez trzy dni i trzy noce
bez przerwy w dusznym biurze
Komendy Policji. Drżał jeszcze
na wspomnienie chwili, gdy
stał przed sędzią śledczym,
który przedstawił mu akt
oskarżenia. Pamiętał dni
spędzone w celi więziennej w
towarzystwie dwóch
złoczyńców_recydywistów, którzy
pokpiwali sobie z jego zapewnień
o niewinności. Ale zaczął
wychodzić z domu, rzucając
dookoła ukradkowe spojrzenia,
jakby chciał wyczytać z oczu
przechodniów ich myśli - ale
ludzie zdawali się patrzeć na
niego obojętnie, jak gdyby,
nawet ci, którzy go znali,
zapomnieli już o sprawie, której
żałosnym bohaterem był przez
kilka dni. Poza tym, nazajutrz
po rozmowie z Raymondem Meyerem,
posłał dzieci do szkoły.
Zastosował się też dokładnie
do otrzymanych instrukcji.
Uroniwszy przy tym kilka łez,
sam, bo Sylvia nie chciała mu
pomóc w tej pracy, dokładnie
wyszorował i starannie
uporządkował sypialnię swojej
pani, zmywając najmniejszy ślad
krwi. Wytarł kurz ze wszystkich
mebli w willi, wytrzepał dywany,

wszędzie poodkurzał. Staranniej niż kiedykolwiek wygrał też zwirowaną alejkę i wymyśl samochód, dużego czarnego delage', którym tyle razy woził Sarę Meyer na jej codzienny spacer do lasu w Vincennes albo na wizytę u przyjaciół. Wreszcie dał ogłoszenie do trzech gazet oferując ewentualnym pracodawcom usługi swoje i żony. I chociaż odpowiedzi jakoś nie nadchodziły, nie tracił nadziei. Ale przede wszystkim spędzał z żoną ranki i wieczory na obliczaniu wysokości spadku, jaki im przypadnie, i posagu, jaki Sara Meyer przyznała swojej chrzestnej córce. Te rachunki pocieszały ich, zwłaszcza wobec bliskiej konieczności opuszczenia mieszkania, szukania szczęścia w nowej pracy, u innych ludzi, w innym mieszkaniu. Łagodziły nawet upokorzenie, jakie Elie stale jeszcze odczuwał i wynikającą z tego gorączkę.

Nadeszło Boże Narodzenie: goniec z domów towarowych przyniósł od Raymonda Meyera paczkę z zabawkami dla każdego dziecka: "Małego mechanika" i "Podróż do środka ziemi" J. Verne'a z "Zielonej serii" dla Bruna; ołowianych żołnierzyków - cały pułk w charakterystycznych, niebieskawych mundurach z lat I wojny światowej, z chorążym i oficerami na koniach - i album tygodnika "Le Bon Point" dla Roberta; lalkę z mebelkami i ubrankami oraz "Nieszczęścia Zosi" hrabiny de Segur z "różowej serii" dla Sary. Oprócz tego, dla każdego z trojga dzieci była jeszcze torba łakoci, czekoladowe cukierki, różnokolorowe owoce w

marcepanie.

Potem był Nowy Rok. Kilka dni wcześniej Elie napisał do Raymonda Meyera, żeby mu podziękować za przesyłkę i złożyć życzenia dla całej jego rodziny. Styl jego był niezgrabny, a ortografia wątpliwa, ale umiał pisać szczerze, a serce przepełniała mu wdzięczność. Drugiego stycznia 1932 roku listonosz przyniósł przekaz na wyższe nieco wynagrodzenie dla niego i żony. Lecz Raymond Meyer nie dawał o sobie znać w inny sposób: nadal nie było wiadomości od notariusza ani od ewentualnych pracodawców - a ogłoszenia, chociaż ukazywały się wielokrotnie, wydawały się bezskuteczne. Oczekiwane wydarzenie nastąpiło w poniedziałek, 11 stycznia. Kiedy tego dnia Raymond wszedł do stróżówki, od razu spostrzegł, że u Ritterów coś się zmieniło od czasu jego poprzedniej wizyty: drzwi otworzyły się na pierwsze pukanie i zaraz doleciały go znane, dawne zapachy pasty do podłóg, lawendy i kawy; Elie był starannie ubrany i ogolony, najwyraźniej nieprzytomny z wdzięczności; Sylvia, starannie uczesana, włosy miała ściągnięte do tyłu, odziana była w fartuch w niebiesko_białą kratę i promiennie się uśmiechała; stróżówkę wypucowano i posprząrano; dzieci były w szkole, bo skończyły się właśnie ferie świąteczne i noworoczne. Raymond Meyer trzymał w ręku skórzaną teczkę. Usiadł za stołem nakrytym nową ceratą i nie odmówił wypicia kawy przygotowanej przez Sylię.

- Mam wam wiele do powiedzenia

- oznajmił od razu. - Przede wszystkim, mimo starań, nie znalazłem dla was pracy. Interesy źle teraz idą, nikt nie przyjmuje nowych pracowników. Wydałem więc inne dyspozycje, o których zaraz wam powiem. Ale najpierw muszę was powiadomić, że sprawa spadku po mojej biednej matce nie potoczyła się tak łatwo, jak przypuszczałem... Tak było istotnie. Kiedy umiera ktoś bogaty, zawsze zjawiają się sępy i rzucają na padlinę. Jacyś dalecy krewni, których istnienia Raymond zaledwie się domyślał, opadli notariusza jak wściekłe psy uzurpując sobie prawa, wymagające dopiero sprawdzenia. Z drugiej strony, Sara Meyer sporządziła kolejno kilka testamentów, ale bez daty. Trzeba więc było zbadać je, porównać, by ustalić, która wersja jest najnowsza i zawiera rzeczywiście ostatnią wolę zmarłej. Wreszcie był przecież przypadek Marcela Meyera. Trzeba było utrzymać jego prawo do zachowku, chociaż zgodnie z prawem francuskim morderca nie może w zasadzie dziedziczyć majątku po swojej ofierze.

- Ale Marcel nie jest zwyczajnym mordercą: to wariat!

- wyjaśnił Raymond. - Obecnie jego przypadkiem zajmują się psychiatrzy. Założmy, że wypowiedzą się za umieszczeniem go w zakładzie zamkniętym, co jest wielce prawdopodobne: należy przypuszczać, że to nie będzie środek ostateczny, że mój brat nie pozostanie w zakładzie przez całe życie. Pod dobrą opieką, z dala od wszelkich pokus, poddany reedukacji, pewnego dnia odzyska być może rozum, a następnie wolność. NIc

mu wtedy nie przeszkodzi domagać się legalnie swojej części spadku po naszej matce... bo, skoro działał pod wpływem obłędu, zostanie uznany za niewinnego.

Trzeba więc było, zanim przystąpiono do wyceny i podziału spadku, uwzględnić tę ewentualność i poczekać na orzeczenie organu sprawiedliwości.

- Mówię to wszystko, żeby wam wyjaśnić, dlaczego sprawy ciągnęły się tak długo. Ale w końcu notariusz okazał zrozumienie i udało mi się osiągnąć porozumienie, które was dotyczy...

Na oczach Rittera i jego żony, śledzących z napięciem każde jego słowo i każdy gest, Raymond otworzył skórzaną teczkę, wyjął z niej najpierw pokrytą notatkami i cyframi kartkę papieru, a potem dwie białe broszury, na których okładce widniał drukowany napis. Schylając się nieco, jak mógł najdyskretniej, Ritter zdołał przeczytać na pierwszej broszurce "Biuro Notarialne Lucjena Morau, syna, Saint_mand~e, ulica de la R~epublique 153", a na drugiej "Biuro Notarialne Raymonda Roisseau, syna, ulica Austerlitz 91, Lagny (dep. Seine_et_marne)". Ten ostatni napis zaintrygował Rittera: Co tu miał do roboty notariusz z Lagny?

Raymond Meyer popatrzył na Ritterów stojących przed nim w objęciu, po czym podjął:

- Jak wam mówiłem, moja matka wielokrotnie wyrażała zamiar zapisania wam czegoś, a ja, oczywiście, zgadzałem się z nią bez zastrzeżeń. I rzeczywiście,

figurujecie we wszystkich kolejnych wersjach testamentu, za każdym razem suma nawet trochę wzrasta. Krótko mówiąc, dziedziczycie sto tysięcy franków...

Elie i Sylvia popatrzyli na siebie.

- Mój Boże! - wyszeptała poruszona Sylvia. - Biedna pani... Jaka ona była dobra! Elie nie powiedział ani słowa, ale po jego policzkach płynęły łzy radości i wdzięczności. Równocześnie pośpiesznie obliczał w myślach. Żona i on zarabiali we dwoje pięćset franków miesięcznie, plus mieszkanie, wyżywienie, pranie. A więc darowane przez Sarę Meyer sto tysięcy franków stanowiło równowartość ich wynagrodzenia za dwieście miesięcy. Ależ to majątek! Przypomniał sobie, jak komisarz Fornet, mówiąc o trzech tysiącach franków schowanych w szufladzie Sary Meyer, powiedział, że stanowią one równowartość trzymiesięcznej płacy dawnego urzędnika, a więc sto tysięcy franków, to sto miesięcy - ponad osiem lat! - pracy tego samego urzędnika! Elie był oszołomiony wysokością zapisu. Zapytał zduszonym głosem:

- Proszę pana, czy jest pan całkiem pewien tej sumy? Nie mogę zrozumieć. Nie wydaje mi się, żebyśmy na to zasłużyli. Ja... To znacznie więcej, niż się z żoną spodziewaliśmy!

- Naturalnie, że jestem pewien! - odpowiedział Raymond.

- Zresztą, zaraz zobaczycie sami.

Pokazał jedną z białych broszur, noszącą nazwisko notariusza z Saint_mand~e.

- To jeszcze nie wszystko.

Mówiłem wam, że moja matka zamierzała wyznaczyć posag dla swojej chrześnicy, waszej małej Sary, którą tak lubiła. Tak się też stało, wasza córka dziedziczy również sumę stu tysięcy franków złożoną u notariusza, którą będzie mogła rozporządzać po osiągnięciu pełnoletności, to znaczy w roku 1943, albo z chwilą zamążpójścia, jeśli wyjdzie za mąż przed upływem tej daty. Z takimi pieniędzmi, jeśli się je dobrze ulokuje, będzie mogła, jeśli zechce, żyć z procentów. W każdym razie ma zapewnioną przyszłość. Muszę wam powiedzieć, że osobiście jestem bardzo kontent z takiego rozporządzenia matki. Wiecie, że ja też bardzo lubię waszą córkę...

Elie i Sylvia, z oczami pełnymi łez wzruszenia i wdzięczności, chcieli coś powiedzieć. Raymond nie dopuścił ich do głosu.

- Ze swej strony zmuszony byłem podjąć pewne, dotyczące was decyzje. Mówiłem już, że nie będę teraz potrzebował waszych usług. Nie mogę sprzedać willi, bo dopóki nie rozstrzygnie się los mojego przyrodniego brata, stanowi ona naszą współwłasność, postanowiłem ją więc wynająć. W tym celu konieczny jest remont, który niebawem każę przeprowadzić. Dom musi więc być niezwłocznie opuszczony. Ale nie ma mowy o wyrzuceniu was na ulicę, to chyba jasne. A więc, oto co wymyśliłem...

Stary Oscar Meyer posiadał w Lagny, w departamencie Seine_et_marne, gdzie mieszkał przed ślubem, znaczny majątek, który odziedziczył tylko Raymond. Były to między innymi

tereny, których na razie nie użytkował. Czekał, aż zyskają na wartości, a miasto je uzbroi, a wtedy miał je przekształcić w działki, gdzie - korzystając z ustawy z 13 lipca 1928 roku, zwanej prawem Loucheura"* - indywidualni właściciele mogliby wznosić wille i domki. Jeden z tych terenów postanowił aktem darowizny przekazać Ritterom. Ponadto, w skład masy spadkowej wchodziła dochodowa kamienica, także w Lagne, złożona z dwunastu mieszkań, jedno z nich - trzy pokoje z kuchnią - było akurat wolne.

Louis Loucheur, polityk francuski (1872_#1931), deputowany (1919_#1931), wielokrotnie minister w latach 1916_#1931; w okresie gdy piastował funkcję ministra pracy i opieki społecznej (1926_#1930), przyjęto ustawę o tanich mieszkaniach, mającą zaradzić kryzysowi mieszkaniowemu.

- Oto więc, jak widzę całą sprawę. Nie zamierzam, oczywiście, autorytatywnie decydować o waszej przyszłości.

Ale, gdybym był na waszym miejscu, zrobiłbym tak.

Moglibyście zamieszkać z dziećmi w mieszkaniu, które gotów jestem wam wynająć. Za część zapisu mojej matki wybudowałibyście ładny dom na działce, którą wam darowuję. To będzie was kosztowało nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy franków. Za rok dom będzie gotowy do zamieszkania. Wówczas wyprowadzicie się z mieszkania i przeniesiecie do siebie.

Oczywiście, równocześnie ulokujecie resztę spadku po mojej matce. Udzielę wam rad w tym względzie. Żeby nie

uszczuplać tego kapitału,
powinniście nadal pracować,
jeśli nie oboje, to przynajmniej
pan. Tak się składa, że
niedaleko Lagny mam udział w
dużej drukarni, pracującej dla
największych francuskich
wydawców. Postaram się znaleźć
tam panu stałe zajęcie. To
wszystko! Elie, Sylvio, jeśli
chcecie, możecie pójść tak
wytyczoną drogą.
Umilkł na chwilę i podjął ze
śmiechem:

- Oczywiście niekoniecznie
musicie zastosować się do moich
rad. Równie dobrze możecie
zabrać te sto tysięcy franków od
mojej matki i pojechać
zakosztować życia na wielką
skalę na Lazurowym Wybrzeżu, a
tamtejsze kasyna czekają tylko
na wasze pieniądze. Ale,
wierzcie mi, najlepiej będzie
jeśli zrobicie tak, jak wam
sugeruję... W interesie waszym i
waszych dzieci.

- Oczywiście, zastosujemy się
do pańskich rad! - powiedział
Elie.

- I zawsze będziemy panu za
nie dziękować - dodała Sylvia. -
Jak za wszystko, co pan zrobił i
robi dla nas!

Raymond podał Ritterowi białe
broszurki.

- Oto akty notarialne
zawierające wszystko, o czym wam
tu mówiłem. Akt spisany przez
notariusza Moreau dotyczy
waszego zapisu i posagu Sary.
Akt sporządzony przez notariusza
Roisseau z Lagny dotyczy
darowizny parceli. Popatrzcie:
"Gmina Lagny (dep.
Seine_et_marne), teren o
powierzchni trzystu
osiemdziesięciu dziewięciu
metrów kwadratowych, położony w
miejscu zwanym Wysokie Fale,

stanowiący część większej
działki, zapisany w katastrze
wyżej wymienionej gminy Lagny w
sektorze B, pod numerem 211..."

Powiecie może, że trzysta
osiemdziesiąt dziewięć metrów
kwadratowych, to niezbyt dużo.
Ale wystarczy na postawienie
ładnego domu... i będzie jeszcze
miejsce na urządzenie ogródka,
gdzie będziecie mogli sadzić
warzywa. Zostanie jeszcze
kawałek, na którym wasze dzieci
będą mogły baraszkować do
woli... a także wnuki, kiedy i
one przyjdą...

Raymond wstał.

- No dobrze! Nie zwlekajcie
zbytnio z wizytą u notariusza
Moreau. Radzę wam na razie
zostawić u niego w depozycie sto
tysięcy franków spadku. Będą w
ten sposób procentowały.
Będziecie mogli, oczywiście,
podejmować potrzebne wam
pieniądze, zwłaszcza na
opłacenie przedsiębiorcy,
któremu zlecicie budowę waszego
przyszłego domu. A oto klucze do
mieszkania w Lagny. Dozorczyni,
pani Minoux, pokaże je wam,
kiedy zechcecie. Poleciałem jej,
by pokazała wam działkę. Jeśli
chodzi o przeprowadzkę,
wypożyczę wam ciężarówkę z domów
towarowych, z kierowcą i dwoma
tragarzami do pomocy.

Powiódł wzrokiem dokoła.

- Nie macie dużo rzeczy do
przewiezienia. W każdym razie to
nie wystarczy do umeblowania
trypokojowego mieszkania, jakie
wam przeznaczyłem. Zobaczymy,
czy wśród mebli mojej matki nie
ma czegoś co mogłoby się wam
przydać. Tak czy inaczej, te
starocie i tak pójdą teraz pod
młotek. Dlaczego więc nie
mielibyście skorzystać...

Popatrzył na zegarek.

- Dwunasta! - powiedział. -
Muszę już jechać, mam się
spotkać w interesach na obiedzie
na Champs_elys~ees.

Ostatnie słowa wymówił już z
teczką w ręku, kierując się do
drzwi.

- No to, do widzenia!

Zawiadomcie mnie, jak wszystko
będzie gotowe.

Elie i Sylvia poderwali się,
chcąc mu raz jeszcze
podziękować. I oto był już przed
domem, potem na ulicy. Wsiadł do
buicka i ruszył pośpiesznie,
jakby chciał położyć kres ich
wylewności.

Tydzień minął bardzo szybko.
Ritterowie zdążyli zaledwie
zrobić to, co mieli do
zrobienia, a wszystko odbyło się
tak, jak postanowił Raymond
Meyer. Kiedy nadszedł czas,
zawiadomili go. Zjawił się o
umówionej godzinie razem z
tragarzami, którzy przyjechali
niebieską ciężarówką z
wymalowaną na niej złotymi
literami nazwą domów towarowych.
Sylvia przygotowała spis mebli,
znajdujących się w willi, które
chciała zabrać. Dzieci również
wtrąciły swoje trzy grosze,
zwłaszcza Sara, która zapragnęła
komódki z drzewa różanego na
bieliznę i fotelika w stylu
Ludwika XV. Raymond zgodził się
na wszystko. Zmusił nawet
Ritterów - ku wielkiej radości
Roberta - do zabrania biblioteki
znajdującej się w saloniku na
pierwszym piętrze, zawierającej
słownik Larousse'a w sześciu
tomach, encyklopedie, literaturę
klasyczną, a także dzieła Gypa i
Colette Willy.

- Bierzcie! - powiedział. - To
się może przydać waszym
dzieciom. Ja już mam to wszystko
u siebie. A poza tym wiecie, co

się tyczy książek, to czytam
przede wszystkim księgi
rachunkowe...

Zeszli po schodach, znaleźli
się w dużym salonie na parterze.

- Weźcie i to! - powiedział

Raymond.

Wskazał palcem na portret Sary
Meyer namalowany przez van
Dongena.

- Ależ, proszę pana - zdziwiła
się Sylvia - portret pani?

Nie pozwolił jej skończyć.

- Weźcie go, powiedziałem! Mój
ojciec nie lubił tego obrazu. Za
bardzo przypominał mu, że matka
wiodła kiedyś... burzliwe
życie... zanim go spotkała i
poślubiła. Przypominał mu też,
że jego żona miała dziecko, w
tym samym okresie. Dziecko,
któremu dał swoje nazwisko, ale
nigdy go nie pokochał: to mój
przyrodni brat Marcel.

Zrozumieście już pewnie, że ja
też nie lubię tego portretu.

Weźcie go, powtarzam. Ma pewną
wartość ze względu na osobę
malarza, którym zachwyca się
dziś cały światowy Paryż.

Powieście go w salonie waszego
domu w Lagny. Wam nie będzie
przypominał niczego przykrego.

Tylko twarz kobiety, którą
kochaliście... i która was
kochała.

II

- Mamo! Jestem szósta w
klasie!

Zdyszana po biegu od samej
szkoły, z buzią zaróżowioną z
emocji i dumy, Sara wyciągnęła
do matki dzienniczek ucznia.

Miała siedem punktów na dziesięć
z francuskiego, z deklamacji,
wypracowań, sześć z historii,
pięć z arytmetyki i dopiero po
raz pierwszy tak dobrze wypadła
w klasyfikacji. Sylvia ucałowała
córkę.

- To dobrze, Saro. Tatuś się ucieszy!

Wrócili z kolei Bruno i Robert, każdy ze swoim dzienniczkiem. Stopnie mieli lepsze od siostry i w klasyfikacji wypadli lepiej: Bruno był trzeci; Robert, jak zawsze, od kiedy chodził do szkoły, był pierwszy i dostał dziesięć na dziesięć z francuskiego, z wypracowań i deklamacji.

- To nie moja wina, że jestem dopiero szósta, mamusiu! - tłumaczyła Sara. - Ja się bardzo staram, ale dziewczynka, z którą siedzę, bez przerwy do mnie mówi... a pani myśli, że to ja gadam. Gdyby ta dziewczynka nie siedziała ze mną, miałabym dziesięć punktów ze sprawowania, a tak dostałam tylko pięć.

To nie była cała prawda. Faktycznie Sara była ciekawa wszystkiego... Za bardzo. Choćby przelot muchy, podmuch wiatru, twarz w oknie domu naprzeciwko szkoły... najmniejszy drobiazg wystarczył, żeby podniosła głowę znad książek i zeszytów, rozpraszał jej uwagę.

Było wpół do siódmej wieczorem, poniedziałek 31 października 1932 roku. Dzieci zawsze wracały ze szkoły o tej porze, pozostawały w świetlicy, gdzie nauczyciele pomagali im odrabiać lekcje.

Bruno zapytał:

- Tatuś jeszcze nie wrócił?

- Nie - odpowiedziała Sylvia - ale powinien zaraz nadejść. Po południu musiał pojechać do Coulommiers.

Starła się w ten sposób uspokoić starszego syna. Od czasu gdy, blisko rok temu, widział, jak policjanci w Saint_mand~e zabierają ojca,

Bruno niepokoił się każdą jego dłuższą nieobecnością. Był to chłopiec nadmiernie wrażliwy, wstydlivy, trochę bojaźliwy, a niesprawiedliwy los ojca głęboko go dotknął. W niedzielę trzymał się cały czas blisko niego, patrzył, jak je, majsterkuje, czyta gazetę, jak gdyby go pilnował. Zdarzało się, że wdrapywał mu się na kolana, żeby być bliżej niego, żeby poczuć jego kojące ciepło, aż Elie go strofował:

- Idźże się bawić, Bruno!

Kiedy się ma dwanaście lat, nie wchodzi się ojcu na kolana. Co za przylepa z ciebie. Jak nie przestaniesz, będę cię nazywał przylepiec.

Bruno odchodził, ale z daleka rzucał ojcu spojrzenie zbitego psa, podczas gdy jego brat i siostra byli w najlepsze zajęci zabawą, albo rozmawiali ze sobą. Oni nie odczuli tak mocno aresztowania ojca, a w każdym razie nie wywarło to tak wyraźnego wpływu na rozwój ich charakterów.

Robert był bardzo zamknięty w sobie i, być może, starannie ukrywał to, co odczuł, co odczuwał nadal. Sara, która pierwsza zobaczyła ojca między dwoma policjantami, była niewątpliwie zbyt mała, gdy się to wydarzyło, by wywarło to większy wpływ na jej usposobienie. Do szczęścia wystarczyło jej, że widziała ojca.

Po przeprowadzce Ritterów do mieszkania wynajętego przez Raymonda Meyera, przy ulicy Vacheresse nr"32 w Lagny, z czynszem stu franków miesięcznie, w ich zwyczajach, a tym bardziej w trybie życia, nic się nie zmieniło, mimo majątku,

jaki spadł im z nieba. Elie zajmował w drukarni w Gouvernes koło Lagny stanowisko, które Raymond Meyer z łatwością uzyskał dla niego od Augusta Ravaux, właściciela firmy: był kierowcą ciężarówki i co rano jeździł do Paryża z dostawą ogromnych paczek zbroszurowanych książek gotowych do sprzedaży; wracał po południu, a jego ciężki pojazd załadowany był wtedy czystym papierem w ryzach albo w belach. Raz w tygodniu udawał się do Coulommiers, gdzie znajdowała się filia drukarni, i jeśli wracał później niż zwykle, doliczał sobie godziny nadliczbowe, za które dostawał dodatek do tygodniowej pensji, wynoszącej dwieście franków. Sylvia prowadziła dom i gotowała, robiła zakupy, prała, prasowała i cerowała. Zajmowała się dziećmi, karmiła je, pomagała w powtarzaniu lekcji odrobionych już w świetlicy. Ponieważ była żywa i szybka, pozostawało jej trochę wolnego czasu i nie zwlekając zaczęła sobie szukać dodatkowego zajęcia, nie tyle dla zarobku, ile nie chcąc tkwić w bezczynności. Bruno, Robert i Sara chodzili do szkoły i wszyscy troje sprawiali satysfakcję nauczycielom i rodzicom. Pewnie, że starszemu bratu można było zarzucać przesadną wrażliwość i nieśmiałość, a Robert miał nieco zamknięty, ponury charakter z wyraźną skłonnością do zatapiania się w nauce czy lekturze, jak gdyby się chciał odizolować od reszty świata. Sary przynajmniej nie było za co ganić, chyba że za ciekawość: była grzeczna, miła, wdzięczna, ładna. Miała w sobie wszystko,

co pociąga, czaruje, co się
podoba, co urzeka. Sylvia
przyglądała się jej czasem z
zachwytem:

- Z tyloma atutami w ręku
niemożliwe, żeby nie była
szczęśliwa - mruzczała do siebie.
Myślała też o tym, że córka ma
jeszcze dodatkową szansę. Sara
nic nie wiedziała o posagu,
który zapisała jej matka
chrzestna, ale ten posag istniał
i dzięki niemu nigdy nie
znajdzie się w potrzebie. Kiedy
dojrzeje do małżeństwa, będzie
dobrą partią i będzie mogła
stawiać wymagania przyszłemu
mężowi. Ale na razie, mając
dziesięć lat, Sara nie myślała o
tych kłopotach. Była to słodka i
wesoła dziewczynka, żądna życia,
a na swoich braci - a przy
sposobności i na rodziców -
wywierała łagodzący wpływ.
Kłótnie były rzadkością u
Ritterów: Elie cieszył się w
rodzinie niepodważalnym
autorytetem i wystarczyło
spojrzenia, żeby się o tym
przekonać; nigdy nie musiał
podnosić głosu, a tym bardziej
karać dzieci lub podnosić na nie
ręki. Sylvia była mu
bezwarunkowo i tkliwie uległa,
co nie przeszkadzało jej
stanowczo wyrażać swoje zdanie,
kiedy trzeba było podjąć jakąś
poważną decyzję. Dzieci były
dobrze wychowane, zgodnie z
ówczesnymi surowymi zasadami
stosowanymi z łagodzącą je
miłością. Zdarzało się jednak od
czasu do czasu, że sprzeczka
między rodzicami przeradzała się
w kłótnię albo też, że
szamotanina między chłopcami
kończyła się bijatyką. W
przypadku rodziców działo się
tak najczęściej wtedy, gdy
trzeba było podjąć jakąś ważną

decyzję związaną z budową domu.

W przypadku braci chodziło o jakąś zabawkę albo książkę - zwłaszcza o książkę, bo młodszy, namiętny czytelnik, zagarniał wszystkie i chował w swoim kącie. Wtedy wkraczała Sara. Władczo, ale z uśmiechem, brała klótników za ręce i łączyła je w swoich dłoniach.

- Przecież jesteście moimi ukochanymi rodzicami, nie trzeba się kłócić, ja nie chcę! No już, pocałujcie się! Zawrzyjcie pokój!

- Jesteście obaj moimi braciszkami - mówiła do chłopców, jak gdyby była od nich starsza. - Pogódźcie się, ale szybko! Robert, oddaj zaraz książkę! Bruno, bądź tak miły, zostaw mu tę książkę!

Wymierzając w ten sposób sprawiedliwość, zdawała się być łącznikiem między Bruno i Robertem, ośrodkiem i sercem rodziny, wokół którego wszystko się harmonijnie układało. Może dlatego, że była najmłodsza i najukochańsza. Ale też i dlatego, że z jej małej, wdzięcznej osóbki, z jej rozczulającej urody emanował jakiś blask, który oddalał cienie, wykluczał swary.

Mieszkanie przy ulicy Vacheresse składało się z trzech pokoi i kuchni oraz z czegoś w rodzaju schowka, pompatycznie nazwanego łazienką, choć wyposażony był tylko w umywalkę z zimną wodą i białą komodę z lustrem u góry. Jadalnia była głównym pomieszczeniem w mieszkaniu: znajdował się tam piec, w którym przez cały dzień płonął ogień i który z nastaniem pierwszych chłódów ogrzewał wnętrze; tam Ritterowie przebywali stale, tam jadali

posiłki, czytali i słuchali
radia, tam dzieci odrabiały
lekcje, a Sylvia robiła na
drutach, haftowała lub
prasowała. W pokoju tym stał
duży, kwadratowy, rozkładany
dębowy stół, przykryty zawsze
ceratą, dwa dwuczęściowe
kredensy, sześć prostych,
wyplatanych krzesel, wolterowski
fotel, w którym siadywał Elie, i
sofa w stylu Ludwika "XVI
przywieziona z Saint_mand~e, na
której spała Sara. Poczesne
miejsce na ścianie, między dwoma
oknami, zajmował portret Sary
Meyer pędzla van Dongena. Sylvia
codziennie odkurzała ramę
miotką z piór, wzruszając się
przy tym za każdym razem do łez.
Większy z dwóch pozostałych
pokoi zajmowali rodzice.
Zachowali swoje stare łóżko ze
skrzypiącym trochę materacem,
kupione w chwili ślubu, w 1909
roku, nie zamieniliby go za nic
na świecie. Oprócz tego mieli
ładną szafę z różanego drzewa,
komodę i nocne stoliki,
otrzymane w darze od Raymonda
Meyera. W pokoju chłopców stały
dwa składane łóżka - teraz już
nie trzeba ich było składać na
dzień - dwa stoły z pulpitem
kupione na wyprzedaży w Lagny,
krzesła i biblioteka, którą
Raymond Meyer przeznaczył dla
dzieci. Kuchnia wyposażona była
w ciężki, węglowy piec, w
dwupalnikową kuchenkę gazową,
stół i wiejski kredens. Do
znajdującego się na parterze
kamienicy mieszkania wchodziło
się przez małą sionkę, jej
dębowe drzwi wychodziły na
sklepioną bramę, dokładnie
naprzeciwko mieszkania
dozorczyni, pani Minoux.
M~elanie Minoux była drobną
kobietą w wieku czterdziestu

lat, miała bezbarwne, jasne włosy, oczy bladoniebieskie, nosiła się zawsze na czarno i choć z pozoru nieśmiała i skromna, niepodzielnie królowała nad społecznością kamienicy, nad którą sprawowała pieczę w imieniu Raymonda Meyera. Społeczność ta składała się z dwunastu rodzin, po dwie na każdym piętrze. Do nich dołączyli właśnie Ritterowie. Choć dom był położony w centrum miasta - z okna jadalni, wychylając się nieco, Sylvia widziała na prawo plac de la Fontaine i dalej plac de l'hotel de Ville, a za nim w głębi, kościół Notre_Dame des_ardents - była to dzielnica robotnicza. Zamieszkiwali tam prości ludzie, urzędnicy z magistratu, robotnicy z dwóch garbarni, fabryki optycznej, zakładów mechanicznych Franhnela, fabryki konserw Saurina, drukarni w Gouvernes. Chcąc utrzymać w domu ład i zebrać w wyznaczonym terminie opłaty za czynsz, trzeba było mieć sporo energii i autorytetu. M~elanie Minoux została hojnie wyposażona w obie te cechy, a dowiodła tego już wcześniej. Należała bowiem do smutnej rzeszy około sześciuset tysięcy wdów, jakie wojna 1914_#1918 roku pozostawiła Francji - jej mąż, listonosz, doszedłszy do rangi pocztyliona w piechocie, zginął pod Verdun - i sama, ze skromnej renty, musiała wychować syna Luciena, urodzonego w 1916 roku, który miał szesnaście lat, kiedy Ritterowie sprowadzili się do Lagny. Blondyn, jak jego matka, wielkiej urody, chłopiec ten po skończeniu szkoły pracował krótko jako terminator w garbarni, ale zajęcie to

szybko mu zbrzydło. Jeden z kolegów, jego rówieśnik, postarał mu się o miejsce posłańca w jednym z większych hoteli paryskich o nazwie "Majestic", położonym blisko placu de l'etoile, i w którym sam również dostał pracę. Od tamtej pory Lucien Minoux wracał do domu i do matki tylko w niedzielę, zaś w pozostałe dni tygodnia, podobnie jak wielu innych pracowników, nocował w czymś na kształt zbiorowej sypialni na ostatnim piętrze hotelu.

M~elanie Minoux od razu przypadła do serca Sylvii Ritter, obie były w tym samym wieku i zbliżało je pochodzenie społeczne. Ostatecznie, w Saint_mand~e Sylvia z rodziną zajmowała stróżówkę niewiele większą od mieszkania M~elanie, a poza tym, choć Ritterowie odziedziczyli fortunę chroniącą ich od niedostatku, wiedli nadal tryb życia podobny do tego, jakim żyli inni mieszkańcy kamienicy i dozorczyń. Zresztą, poprzysięgli sobie, że nigdy nikomu nie wyjawią szansy, jaka im przypadła w udziale, o której nawet ich dzieci nic nie wiedziały.

Zgodnie z poleceniami otrzymanymi od Raymonda Meyera, M~elanie Minoux pokazała Ritterom ich nowe mieszkanie, a potem zaprowadziła ich na działkę budowlaną, będącą odtąd ich własnością. Wprawdzie M~elanie wydało się cokolwiek dziwne, że ludzie o tym samym statusie społecznym posiadają takie dobra i zamierzają wybudować tam dom. Ale, ostatecznie, Elie Ritter miał czterdzieści sześć lat, Sylvia czterdzieści trzy, pracowali

przez całe życie, nie było więc całkiem nienormalne, żeby za cenę oszczędności, a nawet wyrzeczeń, mogli już dysponować takim majątkiem. Zresztą, przepisy prawa Loucheura dopuszczały nabycie własności ziemskiej i budowlanej nawet przez ludzi niskiego stanu. W rozmowach z M~elanie Sylvia nie omieszkła podkreślić wszystkich tych punktów, chcąc uprzedzić jej nadmierną ciekawość i jakąkolwiek zazdrość.

Kiedy Sylvia zobaczyła M~elanie po raz pierwszy, ta siedziała w kącie mieszkania zajęta zszywaniem kawałków maszynowej dzianiny, z których robiła swetry. Widok ten zaintrygował Sylvie, ale nic nie powiedziała. Dopiero kilka miesięcy po sprowadzeniu się na ulicę Vacheresse, kiedy jej stosunki z wdową stały się przyjacielskie - między obu mieszkaniami zaczęły krążyć różne pożyczane sobie nawzajem przedmioty, od słoika musztardy do ścierki do podłogi, a obie kobiety rozmawiały ze sobą coraz częściej i z większym zaufaniem - a ponadto, kiedy Sylvia stwierdziła, że po skończeniu zajęć domowych pozostaje jej trochę wolnego czasu, odważyła się zadać pytanie:

- Czy wolno zapytać, co pani robi?

Kiedy dozorczyńni wyjaśniła, że pracuje dla pewnej fabryki w mieście, wytwarzającej miesięcznie tysiące swetrów, Sylvia zagadnęła ją ponownie:

- Pani M~elanie! A czy ja nie mogłabym też tak pracować?

- Oczywiście, że tak! Nie będzie pani pierwsza ani jedyna. Setki kobiet w Lagny tym się zajmują.

W kilka dni później M~elanie przyniosła przyjaciółce partię kawałków dzianiny do zszycia i Sylvia zabrała się do roboty. Żwawa we wszystkim, szybko doszła do tego, że w ciągu kilku dni robiła tyle samo, a czasem nawet więcej swetrów niż sąsiadka. Od tej pory postanowiono, że raz w tygodniu Elie zapewni transport do zakładów, mieszczących się zresztą niedaleko drukarni; będzie dostarczał gotowe wyroby i przywoził pieniądze. I tak to Ritterowie zaczęli na dobre nowe życie. Jeśli dni powszednie były do siebie podobne, to niedziele i czwartki miały pewien wyjątkowy charakter.

W niedzielę Sylvia, jak zwykle, wstawała pierwsza, podsycala ogień w piecu w jadalni, wrzucała całe wiadro brykietów i odkręcała zawór do końca, uważając przy tym, żeby nie narobić hałasu i nie obudzić Sary; potem rozpalala pod kuchnią i wkrótce robiło się ciepło w całym mieszkaniu. Wtedy, w starym dzbanku z ocieplaczem ze skarpety, Sylvia parzyła kawę, której zapach rozchodził się po całym mieszkaniu i budził męża. Podczas gdy Elie ubierał się, ona wyskakiwała do piekarni Lemoine.a przy placu de la Fontaine, skąd przynosiła kilogramowy bochenek wypieczonego chleba z pajdką brakującą do wagi oraz dziesięć gorących rogalików. Wracając kupowała litr mleka w sklepie nabiałowym, znajdującym się naprzeciw domu.

Mąż i żona jedli śniadanie we dwoje, gawędząc przy stole w jadalni, gdzie pomrukiwał piec,

potem Elie włączał radio - dużą skrzynkę z czarnego bakielitu, najeżoną pokrętkami, z głośnikami u góry - żeby obudzić dzieci; o tej porze radiostacja na wieży Eiffła nadawała muzykę wojskową i z odbiornika płynęły głośno, jedna po drugiej melodie: od "Sambre_et_meuse" do "Madelon" poprzez "Marsz konsularny" i "Michela Strogoffa", a także piosenka "Marzenie przemija" w wykonaniu Freda Gouina, aż wreszcie dzieci otwierały oczy. Bruno był rano niezmiennie w złym humorze, Robert - skryty i milczący jak zwykle; tylko Sara wstawiała radosna, uśmiechnięta, urocza jak zawsze. Wszyscy troje siadali do stołu i zjadali po dwa rogaliki, ale czasem zdarzało się, że Sara - przy nie najlepszym apetycie, za to wspaniałomyślna - odstępowała jeden braciom, a oni dzielili go między sobą.

Po zakończeniu ceremonii śniadania zaczynał się inny rytuał. Elie nagle klaskał w dłonie i wołał:

- No, dzieci! A teraz mycie!

W tym czasie Sylvia grzała na kuchni wielki kocioł wody. Każde dziecko brało po kolei z zaparowanej kuchni czajnik gorącej i dzbanek zimnej wody, kawałek szarego mydła, ręcznik i rękawicę kąpielową i znikало w "łazience". Od czasu do czasu Sylvia uchylała drzwi, pilnując, by przestrzegano reguł gry; włosy miały być umyte, ciała pachnące czystością, paznokcie wyszorowane. Przy okazji nacierała piersi i plecy kupowaną w aptece wodą kolońską "Mont_Saint_michel". Nazywała ten zabieg "upachnianiem".

Po umyciu się dzieciom wolno

było bawić się przy dźwiękach
radia, a w tym czasie mył się z
kolei Elie. Co do Sylvii, to
mogła spokojnie dokonać tych
ablucji w ciągu tygodnia, kiedy
mąż był w pracy, a dzieci w
szkole.

Teraz było około jedenastej,
najwyższy czas, żeby pójść na
targ. Zabierała ze sobą dwie
torby z czarnej ceraty i dobrze
schowany w portmonetce banknot
stufrankowy; będzie starała się
nie wydać go w całości.

Na pobliskim placu de la
Fontaine, ale także przed
merostwem i kościołem, a nawet
na ulicy des March~es i
Saint_laurent, dziesiątki
handlarzy sprzedawały co
niedzielę - a także w każdą
środę i piątek - owoce i
warzywa, mięso, wędliny, jaja,
sery oraz bieliznę, odzież,
bieliznę pościelową, artykuły
metalowe. Tłum był tak gęsty i
panował tak wielki ścisk, że
wśród krzyków i nawoływania
handlarzy Sylvia musiała sobie
torować drogę. Owoce i warzywa
kupowała u przekupniów, ale po
mięso chodziła zawsze do tego
samego rzeźnika, pana
Destrebecq, którego była stałą
klientką, i który dobrze ją
obsługiwał. Wychodziła z jego
sklepiku z siatką cięższą o
kilogramowy rostbef albo o
królika. W powrotnej drodze
wstępowała do sklepu spożywczego
"Troisvallets", przy ulicy des
March~es, gdzie kupowała wino,
kawę, olej, ser, konfitury.
Prawie tuż obok zatrzymywała się
w ciastkarni Marchanda i
kupowała pięć czekoladowych
eklerów.

Po drodze spotykała na ogół
M~elanie Minoux, która o tej
porze szła do kościoła albo z

niego wracała. Pochodząca z
Bretanii dozorczyńni była bowiem
żarliwą katoliczką.

- Pani nie chodzi do kościoła?

- zapytała któregoś dnia.

- Nie! - odpowiedziała po

prostu Sylvia.

Po powrocie do domu pierwszym
zajęciem Sylvii było zapisanie
wydatków w zeszycie z
rachunkami.

- W ten sposób wiem, gdzie się
podziewają nasze pieniądze! -
mówiła.

Notowała swoim starannym,
drobnym i wyraźnym pismem,
równiutko podpisując cyfry:

17kg chleba ... "2,10 franków

10 rogalików ... "10,00 franków

1 litr mleka ... "1,50 franków

17kg rostbefu ... "20,00

franków

17l czerwonego wina ... "2,25

franków

0,257kg kawy ... "4,30

franków

17l oleju ... "7,00 franków

1 camembert ... "5,00 franków

1 słoik konfitur ... "4,00

franków

5 eklerek ... "15,00 franków

Nieco później przygotowywała
obiad i około wpół do pierwszej
zasiadali do stołu. Radio
nadawało piosenki i słuchali tej
audycji z nabożeństwem. Po
obiedzie i po kawie wzmocnionej
odrobiną starego calvadosu Elie
udawał się na zwyczajową
niedzielną drzemkę, podczas gdy
Sylvia wychodziła z dziećmi na
spacer, docierając nad brzeg
Marny, a najczęściej aż do drogi
wiodącej przez Wysokie Fale,
gdzie podziwiali działkę, na
której miał stanąć ich przyszły
dom.

Około czwartej wracali do domu
i dzieci zjadały podwieczorek.

Budzili ojca, a on wkładał

garnitur z granatowej serży - w ciągu tygodnia ubrany był zawsze w roboczy kombinezon - i cała rodzina udawała się do kina "Triumph" przy ulicy Saint_denis, na seans o piątej. Kupowali najtańsze bilety, ale i tak kosztowały trzy franki. Były to początki filmu dźwiękowego, epoka, w której powstały "Droga jest piękna" i "Godziny mijają" z barytonem Andr~e Baug~e w roli głównej; był to też okres pierwszych filmów Ren~e Claira, Jeana Renoira, Abła Gance.a, Georga Pabsta, Raymonda Bernarda: "Niech żyje wolność", "Boudu z wód uratowany", "Napoleon", "Braterstwo ludów", "Drewniane krzyże". Po filmie szli na aperitif do kawiarni na placu de la Fontaine - Elie zamawiał szklaneczkę dubonneta, a dzieci lemoniadę z syropem miętowym albo z granatu - potem wracali do domu.

Kolację jedli przy dźwiękach radia, ale czasem, po posiłku, Bruno albo Robert, a najczęściej Sara domagali się piosenki. Elie kazał się długo prosić, wreszcie rozbawionym głosem intonował refren z repertuaru Dranema:

Ach, groszek zielony, zielony
groszek@ jest delikatny jak mała
co,@ ach, groszek zielony,
zielony groszek,@ palcami jego
każdy smakoszek...@

Maurice.a Chevaliera,
"Valentine" - nieco cukierkową
- Mayoli, albo, nieco poważniejszym tonem, jakiś romans Delmeta czy piosenkę patriotyczną, której nauczył się w okopach:

Czarny orzeł przeleciał nad
miastem...@ Drzyjcie: zastępy
moje zatriumfują...@ I już kruki
panoszą się z wrzaskiem,@ bruzdy
i dukty nasze rozdziobują...@

Oczywiście niemiecki orzeł i jego kruki zostały ostatecznie powalone, zmiżdżone, zdeptane przez dzielnych francuskich wiarusów, tak jak to widać na pomniku poległych. Na zakończenie Elie odśpiewywał swój popisowy numer, "Madelon". Dzieci przytupywały, klaskały, bębniły do taktu.

Kiedy mąż wyczerpał swój repertuar, Sylvia wkraczała ze swoim: "Małe uliczki", "Ręce kobiet", "Białe róże", który roztkliwiał Sarę. Kończyła niezmiennie tym samym popisowym szlagierem, który zapowiadała uroczystym tonem spikerów radiowych:

- A teraz najpiękniejsza ze wszystkich piosenek francuskich, "Czas wiśni" Jeana_baptiste.a Cl~ement.

Któregoś wieczoru Sara zapytała:

- Mamusiu, kto to jest Jean_baptiste Cl~ement?

- To poeta, córeczko. Po wojnie 1870 roku, przegranej przez Napoleona"III, oblężeni przez Prusaków paryżanie zorganizowali ruch oporu. Potem chcieli utrzymać tak zwaną Komunę. Ale rząd nasłał na nich wojsko. Na ulicach toczyły się straszliwe walki i komunardzi zostali ostatecznie pokonani.

Ale jedna barykada, na ulicy de la Fontaine_au_roi, broniła się aż do 28 maja 1871 roku. Wśród ostatnich walczących znajdowali się właśnie Jean_baptiste Cl~ement i pewna kobieta, obywatelka Louise, która przyniosła przyjaciołom koszyk pełen wiśni. Jej właśnie Cl~ement dedykował tę piosenkę...

Potem znowu wybuchały oklaski i okrzyki bez końca, aż wreszcie

sąsiedzi z góry zaczęli stukać
szczotką w podłogę na znak
protestu przeciwko temu
hałasowi. O dziesiątej wszyscy
szli spać.

Czwartek był dniem dzieci.

Bruno, Robert i Sara mogli się
wylegiwać do woli, a Sylvia
posuwała się nawet do tego, że
podawała im śniadanie do łóżka:
Bruno dostawał kawę z mlekiem,
Robert eseskę albo bananie, Sara
płatki owsiane posypane cukrem,
po czym zabierali się do zabawy,
a sam sposób, w jaki do niej
podchodzili, zdradzał
kształtujące się stopniowo ich
charaktery.

Rozłożywszy się na podłodze w
kącie swojego pokoju Bruno
składał, dokrecał, przykrecał
bez końca, metodycznie elementy
"Małego mechanika": budował
dźwigi, samochody, dziwaczne i
skomplikowane maszyny, które
poruszał za pomocą korb,
bloczków, pasków transmisyjnych
ze sznurka. Porzucał mechanikę
tylko wtedy, gdy przyszła mu
ochota na ołowiane żołnierzyki
brata, które ustawiał do
przeglądu w nienagannym szeregu,
wzdłuż całego pokoju. Obmyślił
też nawet jak z papieru i
tektury z pudełka po butach
zbudować łuk triumfalny, podobny
do tego, który znajduje się na
placu de l'étoile w Paryżu:
żołnierzyki grały rolę dzielnych
wiarusów wojny 1914_#1918 roku,
sztandary były takie same jak na
defiladzie zwycięstwa, a konni
oficerowie wyobrażali Joffre'a,
Focha i Pétain'a.

Robert nie miał starszemu
bratu za złe, że bawi się jego
żołnierzykami, nie przepadał za
zabawkami, wolał od nich
książki. Ukryty w jadalni,
zasiadał w wolterowskim fotelu

ojca i całymi godzinami czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, a gdy kończył, wyglądał jak nawiedzony, ze wzrokiem błędzącym po nierealnym świecie, niezdolny od razu zejść na ziemię. Od czasu ostatnich świąt przeczytał przeznaczony dla niego album wydany przez magazyn "Bon point", a także książki J. Verne'a i hrabiny de Segur przesłane przez Raymonda Meyera dla Bruna i Sary. Czytał gazetę "L'ami du peuple" kupowaną co rano przez Sylvię w księgarni Bineta: kosztowała tylko dziesięć centymów, a inne dzienniki sprzedawano po dwadzieścia pięć centymów. W niedzielę rzucał się na "Le Dimanche illustré", gdzie na środkowych stronach drukowano przygody Bicota, a obok Ziga i Buce'a. Ale największą przyjemność sprawiało mu wyszukiwanie w bibliotece, podarowanej mu przez Raymonda Meyera, komedii Molière'a albo tragedii Racine'a, powieści Paula Bourget albo jednego z sześciu tomów wielkiego słownika Larousse'a, który kartkował z szacunkiem, zanim zagłębił się z rozkoszą w dokładnym studium kolorowych tablic i map. Pochłonięty lekturą zastanawiał się, czy z czasem upodobni się do starszego pana, pod którego oknami przechodził codziennie w drodze do szkoły, a który, we wspaniałej bibliotece wypełnionej książkami, czytał lub pisał w świetle lampy. Życie tego człowieka było dla Roberta ideałem, całkowitym marzeniem, szczytem jego dziecięcej ambicji. Sara natomiast ubierała i rozbierała swojego celuloidowego naguska, myła go, czesała,

rozmawiała z nim podśpiewując.
Albo też stawała przed lustrem
od szafy w sypialni rodziców i
przyglądała się sobie długo
strojąc wdzięczne minki, udając
dame, rozprawiając z wymyśloną
rozmówczynią.

- Uważam, że pani jest bardzo
ładna - mówiła. - I cóż to za
piękna suknia...

Urywała, po czym zmieniała
sukienkę.

- Ta jest jeszcze ładniejsza.
Pani mąż musi być bardzo
zamożny, skoro kupuje pani takie
piękne stroje. Cóż to za
szczęście, proszę pani...

Kiedy indziej wkładała starą,
różową halkę matki, sięgającą
jej do kostek, a na głowę -
koronę zrobioną z agrafek, potem
stawała w oknie, wpatrywała się
w dal, udawała niecierpliwość.

- Nie nadjeżdża! - mówiła od
czasu do czasu. - Nie nadjeżdża!
Cóż on takiego robi? Przecież
wie, że na niego czekam!

- Co robisz, córeczko? -
pytała wreszcie Sylvia.

- Nie rozumiesz, mamusiu?
Czekam przecież na mojego
księcia. Pojechał na wyprawę
krzyżową i nie wraca! Wypatruję
jego powrotu z wieży mojego
zamku. Jestem księżniczką,
mamusiu. Nie wiedziałaś o tym?
Popatrz, nie widzisz, że mam
koronę?

- Ależ tak, córeczko! Wiem
dobrze, że jesteś księżniczką.
Jesteś moją małą księżniczką.
Czasami, kiedy bawiła się
lalką albo czytała, podnosiła
głowę i swoimi wielkimi,
niebieskimi oczami wpatrywała
się w matkę z czułością.

- Mamusiu! - mówiła. - Nie
przemęczaj się tak, przestań na
chwilę pracować!

Bo w tym czasie, kiedy dzieci

się bawiły, Sylvia sprzątała
albo pracowała przy zszywaniu
swetrów. Po południu, po
obiedzie, włączała radio, żeby
dzieci posłuchały Fr~edo
Gardoniego, grającego na
akordeonie - była to audycja
radiostacji paryskiej - potem
słuchały audycji dziecięcych
pana Jaboune.a, nadawanych z
wieży Eiffla. Około czwartej, po
podwieczorku, wypuszczała je na
spacer dając im trochę drobnych
pieniędzy, jakie zostawały jej z
zakupów - brązowe monety
wartości jednego lub dwóch sou
albo z niklu,
dwudziestopięciocentymowe, z
wywierconym otworem - żeby mogły
kupić sobie słodyczy lub gazety
ilustrowane, takie jak
"L.epatant", "Pierrot",
"Lisette", "La Croix d.honneur"
czy "Les Pieds_nickel~es".
Dzieci dochodziły do Marny i
grzecznie zawracały do nikogo
się nie odzywając: nie udało im
się dotąd zaprzyjaźnić z wieloma
rówieśnikami, tylko na własnym
podwórku grały czasem w kule z
jednym lub dwójką dzieci.
Pędząc w ten sposób życie
codzienne Elie i Sylvia starali
się jednak nie popaść w rutynę,
celem ich było zamieszkać jak
najszybciej w domu, który dla
nich budowano, i ten dom
opanował myśli ich wszystkich.
Sami obmyślili i narysowali
plany, uciekając się do pomocy
architekta - życzliwego
przyjaciela Raymonda Meyera -
tylko po to, by załatwić
formalności niezbędne do
otrzymania zezwolenia na budowę.
Za wzór posłużyła im willa
Sary Meyer w Saint_mand~e,
tylko, oczywiście, w mniejszej
skali; podstawowym materiałem
miał być piaskowiec, tańszy niż

kamień ciosowy, dach też miał być kryty dachówką, a nie łupkiem. Na parterze jeden duży pokój, służący za jadalnię i salon, z dwoma szerokimi oknami, jednym wychodzącym na ulicę, a drugim na ogród; kuchnia, schowek i oczywiście sień, skąd wznosić się będą schody z woskowanej dębiny. Na pierwszym piętrze duża sypialnia rodziców i trzy mniejsze pokoje dziecięce oraz łazienka. Na poddaszu obszerny strych. Za domem miała znajdować się szopa na drewno i węgiel; Elie zamierzał urządzić tam sobie warsztat ze stołem i narzędziami, jak na prawdziwego majsterkowicza przystało, nie zapominając o wyposażeniu dobrego ogrodnika, którym przecież był, jak to udowodnił wcześniej, u Sary Meyer.

Dla dzieci, podobnie jak dla rodziców, ten dom stał się osobistą przygodą, równie, a może nawet bardziej pasjonującą, o których czytali w gazetach czy książkach. Kiedy ojciec w asyście matki kreślił plany, one gromadziły się wokół niego, komentowały każdą linię rysunku, zadawały pytania, zwłaszcza o rozkład pokoi i o przeznaczenie każdego z nich. Sara okazywała jednocześnie największą ciekawość i uwagę. Wdrapawszy się ojcu na kolana, śledziła każdy ruch jego ręki, każdą kreśloną linię i nie ustawała w pytaniach.

- A więc, tatusiu, ty z mamą będziesz miał duży pokój. Ja chciałabym mieć pokój z oknem wychodzącym na ulicę, bo będę mogła wtedy patrzeć na ludzi, wyglądać na koleżanki... Tato! Gdzie powiesimy portret mojej chrzestnej? W jadalni? A czy w oknach będą okiennice?

Bruno wybrał pokój z tyłu domu, wychodzący na ogród: będzie stamtąd mógł patrzeć na ojca, jak kopie, grabi, okopuje rośliny. Robertowi pozostał pokój środkowy, z oknem z boku domu. Jego interesowało tylko jedno:

- Czy znajdzie się tam dosyć miejsca na bibliotekę?

W jego mniemaniu ten najważniejszy według niego mebel powinien przypaść właśnie jemu. Kiedy na polecenie Raymonda Meyera M^{me} Elanie Minoux pokazała Ritterrom działkę, będącą ich własnością, początkowo byli pełni entuzjazmu. Należące do nich czterysta metrów kwadratowych ziemi, położone w pół drogi między centrum Lagny a osiedlem Gouvernes, nieco poniżej najwyższego wzniesienia w dolinie Marny, ograniczał od południa szpaler bżów, otwierający się na drogę do Wysokich Fal, a z trzech pozostałych stron zapadnięte w ziemię kamienne słupki. Elie dostrzegł bardzo szybko, że grunt jest pochyły, a Wysokie Fale zasłużyły sobie na tę nazwę: woda deszczowa zbierała się na drodze, potem spływała z niej i rozlewała się po gąbczastej ziemi, zamieniającej się wówczas w bajoro. Ponadto władze miejskie Lagny nie rozpoczęły jeszcze, wbrew obietnicom, niezbędnych robót zbrojeniowych: kiedy Elie poszedł dowiedzieć się o to do merostwa, odpowiedziano mu uspokajająco, ale niejasno. Trzeba więc było samemu przystąpić do zagospodarowania terenu: ogrodzić go, oczywiście, ale także odwodnić i, jeśli magistrat nadal nic nie przedsięwzięmie, doprowadzić

bieżącą wodę, kanalizację, prąd.
Wszystko to groziło poważnym
obciążeniem budżetu
przeznaczonego początkowo na
budowę domu. Ritterowi spędzało
to sen z powiek przez kilka
nocy.

- Co robić? - pytał żonę. -
Przecież nie możemy ze
wszystkiego zrezygnować. Zależy
mi na tej działce i na domu! Nie
możemy też prosić pana RAymonda
o więcej pieniędzy. W końcu i
tak mamy dużo szczęścia, że
troszczymy się o naszą własność
i budowę...

Pewnego ranka obudził się
zdecydowany.

- Wykonamy wszystko jak
najmniejszym kosztem! -
powiedział. - Będę robił sam, co
tylko potrafię, albo poproszę o
pomoc kilku kolegów z drukarni;
będą zadowoleni, że dorobią
sobie. Na ogrodzenie działki
kupię drewniane słupki i siatkę.
Żeby odprowadzić wodę, wykopię
rowki aż do terenów położonych
niżej; do tej pory są niczyje i
do czasu, kiedy je sprzedadzą,
możemy spokojnie robić swoje. Co
się tyczy wody, no więc...
wykopię studnię i w kuchni
założymy pompę. Zamiast
kanalizacji będzie dół na
ścieki, a do innych rzeczy
wychodek. No i, dopóki miasto
się nie ruszy, obejdziemy się
też bez prądu, będziemy palić
lampy naftowe...

- Ale to będzie zupełny brak
wygód! - jęknęła Sylvia. - Czy
nie zdajesz sobie sprawy, czym
stanie się nasze życie bez
bieżącej wody, bez kanalizacji,
bez prądu? Na ziemi nasiąkniętej
wodą, gdzie będziemy brodzić po
błocie? Zastanawiam się, czy nie
lepiej by było zostać tutaj,
zanim miasto nie zrobi

wszystkiego, co trzeba.

- Za ile czasu? - zapytał

Elie. - Może za pięćdziesiąt lat! Nie, Sylvio! Mamy działkę i zbuduję na niej dom, który zaprojektowaliśmy. I to nie naruszając zbyt kapitału. Pamiętaj, że musimy zachować pieniądze na stare lata. Mówi się wprawdzie o przyznaniu emerytury starym pracownikom, ale to jak z robotami zbrojeniowymi - może to nastąpi za pięćdziesiąt lat!... A za pięćdziesiąt lat oboje będziemy wachać kwiatki od spodu. Nie, musisz mi wierzyć, trzeba działać natychmiast. Jeśli chcemy maksymalnie wykorzystać naszą szansę...

Sylvia umilkła. Wiedziała, że mąż ma rację. Ale martwiło ją jeszcze coś innego: otoczenie działki było całkiem pozbawione uroku. Na drodze do Gouvernes i przy kilku okolicznych drogach stało wprawdzie kilka zamieszkałych domów, ale parcela, należąca do Raymonda Meyera, była jeszcze pustkiewiczem, nie było tam nic poza nielicznymi budkami ogrodników i starą, zaniedbaną farmą, zamieszkaną przez lokatorów o nieco niepokojącym wyglądzie. Nie bardzo było wiadomo, kim są, skąd się wzięli, z czego żyją.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że będziemy kompletnie odizolowani, tylko ci ludzie będą naszymi najbliższymi sąsiadami. Będę co noc drżała ze strachu. Będę się bała o siebie, o dzieci...

Za całą odpowiedź Elie wzruszył ramionami. To niebezpieczeństwo wydawało mu się drugorzędne; czy w ogóle istniało? W każdym razie czuł się silny i zdecydowany, zdolny

doprowadzić do końca misję, jaką sobie wyznaczył. Zdolny także do obrony swojej gromadki, w razie potrzeby. Zabrał się więc do dzieła z pewnego rodzaju zapalczywością.

Wykorzystując cały wolny czas, jaki mu pozostawał po pracy w drukarni - kilka godzin wieczorem, w lecie, i wszystkie dni świąteczne, których program uległ gruntownej zmianie, wstawał teraz o godzinie piątej rano, wcześniej niż w dni powszednie - Elie zaczął od wybudowania szopy, gdzie mógłby składać narzędzia. Potem wbił drewniane słupki i ogrodził działkę solidną siatką z ciężką bramą z desek dębowych. Wykopał rowki, żeby odprowadzić wody opadowe, wytyczył kamykami ścieżki. Wezwał różdżkarza, a ten końcem leszczynowej pałeczki wskazał najlepsze miejsce na wykopanie studni. Studnia została wywiercona, ocembrowana i wymurowana z pomocą kilku kolegów w niecałe dwa miesiące; woda, tryskająca obficie ze znajdującego się na głębokości siedmiu metrów źródła, była przejrzysta, czysta, smaczna. Posłużyła do przygotowania zaprawy. Tej pracy podjęło się miejscowe przedsiębiorstwo, które zawiozło pełne ciężarówki piaskowca, sięgaczy, cegieł, drewna budowlanego i dachówek. W każdy czwartek i w każdą niedzielę Sylvia zabierała dzieci i szli oglądać, jak postępują roboty. Elie żartował, widząc, jak nadchodzą, i mówił, śmiejąc się, do robotników: - Patrzcie! Idą inżynierowie od przyjmowania gotowej roboty! Bruno jednakże, w miarę swoich możliwości, przykładał rękę do dzieła: podawał cegły albo

pomagał przy rozdrabnianiu
zaprawy murarskiej. Robert
zadawał się ustalaniem, kiedy
będzie miał swój własny pokój,
gdzie będzie się mógł zamknąć na
cztery spusty i uczyć się albo
czytać. Ciekawą, jak zwykle,
Sarę budowa pasjonowała,
wspinała się po drabinach,
wdrapywała na rusztowania,
rozmawiała z murarzami,
chłonęła pomieszany zapach
cementu, drewna i gipsu. Jeden
miły stolarz wbijał gwoździe w
parkiet jej pokoju tylko do
dwóch trzecich ich długości,
pozwalając jej zrobić resztę, a
ona z rozmachem i przyjemnością
wymachiwała młotkiem.

- Będiesz mogła powiedzieć,
że pracowałaś własnymi rękami! -
mówił ze śmiechem.

Dziewczynka odnosiła w ten
sposób wrażenie, że bierze w
posiadanie nie tylko
przeznaczony dla niej pokój, ale
i cały dom.

Wizyty te nie przeszkadzały
dzieciom w kontynuowaniu nauki,
z tym samym co zawsze
powodzeniem, zwłaszcza jeśli
chodzi o Roberta, nie
kwestionowanego prymusa
klasowego. Sylvia nadal oddawała
się pracom domowym i szyciu
swetrów w towarzystwie M~elanie
Minoux. Kobiety stały się
bliskimi przyjaciółkami.
Zwierzały się sobie z wielu
rzeczy, ale Sylvia pozostała
ostrożna i powściągliwa,
opowiadała same błahostki, a
zachowywała stanowcze milczenie
w sprawie, która najbardziej
leżała jej na sercu: nigdy nie
powiedziała ani słowa ani o
smutnej przygodzie męża po
zabójstwie Sary Meyer, ani o
spadku, który oboje otrzymali.
M~elanie natomiast chętnie

zwierzała się, snując
wspomnienia z pożycia z mężem
utraconym pod Verdun lub
wyjawiając swój niepokój o syna.
- Nie jestem z niego
zadowolona! - mawiała. - Zawsze
jest dla mnie miły, serdeczny,
troskliwy, otacza mnie
względami, nazywa "mamuśką". Ale
martwi mnie przesada tej jego
czułości. Chłopiec w jego wieku
powinien mieć inne zajęcie niż
dokazywanie z matką. A poza tym
ubiera się ekstrawagancko; kiedy
przyjechał ostatnio, miał na
sobie różową koszulę, wyobraża
sobie pani! Różową koszulę! No i
nie podobają mi się jego
znajomi. Czasem przyjeżdża do
domu z przyjaciółmi... o, to
bardzo dobrze wychowani chłopcy,
ale... trochę za wykwintni, za
bardzo zadbani. Nic na to nie
poradzę, ale to mnie niepokoi...
Sylvia starała się uspokoić
przyjaciółkę. I tak mijaly
godziny, a one, siedząc
naprzeciw siebie przy oknie z
odstłoniętą zasłoną, zszywały
swoje kawałki swetrów. Bo
pracowały teraz razem, wykonując
robotę na zmianę to u jednej, to
u drugiej albo w maleńkim
mieszkaniu M~elanie, albo w
kuchni Sylvii, a czasem nawet,
zimą, w salonie_jadalni
Ritterów, gdzie było cieplej i
gdzie, jak zawsze, pysznił się
portret Sary Meyer.
- Chciałabym zapytać -
powiedziała pewnego dnia
M~elanie - kim jest ta kobieta
na portrecie? Czy to ktoś z pani
rodziny?
A kiedy Sylvia odpowiedziała
jej na to, dodała:
- A więc to jest matka pana
Meyera! Była waszą
chlebodawczynią! Mój Boże,
biedna Sylvio! Mam nadzieję, że

nie była taka skąpa i twarda w interesach jak jej syn.

Sylvia popatrzyła na przyjaciółkę z przestachem.

- Co pani chce przez to powiedzieć? Czy pan Raymond jest skąpy i twardy w interesach?

- O, jeszcze jak!

I zaraz wyjaśniła. Jej zdaniem Raymond Meyer był wymagającym i bezlitosnym właścicielem. Nie znosił, żeby lokatorzy zwlekali z uiszczaniem czynszu. W razie potrzeby posuwał się do eksmisji. Wymagał poza tym, żeby w kamienicy panował ład i dyscyplina. Żadnych zabaw dzieci na podwórzu, żadnych sąsiedzkich kłótni, żadnych głośnych rozmów na schodach, żadnego suszenia bielizny w oknach. Za najmniejsze przewinienie wymawiał. Wreszcie skąpił na wszystkich wydatkach, zakupy środków czystości do sprzątania wspólnych pomieszczeń były ograniczone do minimum i zdarzało się nawet, że biedna Melanie dokładała z własnej kieszeni, bo ten sknera nie chciał czasem zapłacić za szare mydło, politurę i pastę do szorowania.

Sylvia nie wierzyła własnym uszom. Do tej pory Raymond Meyer był dla niej wzorem wszelkich cnót, symbolem szlachetności i miłosierdzia, ucieleśnieniem uprzejmości i grzeczności.

- Nie ma dla niego zbyt surowych słów, kiedy któryś z lokatorów znajdzie się w tarapatkach - ciągnęła Melanie.

- Nawet, jeśli to są bezrobotni albo inwalidzi. Zna pani, na przykład, biednego pana Dassiera z trzeciego piętra, stracił na wojnie wzrok. Otóż pan Meyer chciał go eksmitować, bo zalegał z czynszem za dwa czy trzy

miesiące. Dopiero interwencja deputowanego, doktora Nasta, który również stracił wzrok na wojnie, załatwiła sprawę. Ale dla mnie pan Meyer jest zaledwie uprzejmy! A jestem przecież wojenną wdową! Kiedy naszych mężów zabijali w okopach, on zadekował się spokojnie w swoim sklepie. I zarabiał mnóstwo pieniędzy...

Poruszona, a równocześnie oburzona Sylvia miała ochotę energicznie zaprotestować, ryzykując nawet, że M~elanie się obrazi; przecież dla niej, a także dla jej męża i dzieci Raymond Meyer był święty. Ale, spryciara, błyskawicznie pomyślała, że chcąc dowieść, że syn Sary Meyer bywa czasem dobry, szlachetny, grzeczny, będzie musiała dać przykład jego dobroci, szczodrości i uprzejmości, co oznaczałoby wyjawienie dozorczyńni wydarzeń, które przed nią dotąd ukrywała i nadal zamierzała ukrywać. Pewnie, że było... bardziej niż zaskakujące - zdumiewające... że ten sam człowiek może być równocześnie drapieżcą, opisanym przez M~elanie, i dobroczyńcą, którego znała Sylvia i dla którego nadal odczuwała bezmierną wdzięczność. Ale ostatecznie, czemu nie? M~elanie zdawała się opierać swoją opinię na niepodważalnych faktach i trudno było podawać jej słowa w wątpliwość. Być może Raymond był dobry, hojny i uprzejmy wyłącznie dla Ritterów i to ze względu na szczególne stosunki, wynikające z wyjątkowych okoliczności. Sylvia zachowała więc milczenie, a jej brak reakcji współczucia najwyraźniej rozczarował M~elanie.

- Wie pani - powiedziała

wreszcie, żeby przerwać milczenie i nie robić dozorczyńi zbytnej przykrości. - Bogaci są wszyscy tacy sami, w naszych czasach. Lokatorzy, dozorczy, służba, robotnicy... w ogóle biedacy, są zawsze ich ofiarami. Mówiąc to poczuła się, jakby trochę zdradzała Raymonda Meyera, ale powiedziała też sobie, że pozostanie wierna przysiędze, że dochowa tajemnicy spadku po Sarze Meyer.

Pewnej soboty w lipcu 1934 roku budowa została wreszcie zakończona; pod koniec dnia na kominie na szczycie dachu robotnicy zawiesili ogromny bukiet bzu, zerwany w okolicy, i trójkolorową flagę.

Nazajutrz rano Elie wstał wcześniej niż zwykle i zabrał się do tajemniczych przygotowań, podczas gdy żona i dzieci jeszcze spały. Z nastaniem godziny otwarcia sklepów, gdy tylko handlarze rozłożyli towary na targu, obszedł stragany i kupił piwa, wina, aperitifów, wędlin, masła, sera, ciastek i kilka bochenków chleba. Potem obciążony dwiema ciężkimi torbami, tak że musiał odpoczywać co pięćdziesiąt metrów, udał się do nowiutkiego domu. Tam wyciągnął ze studni kilka wiader bardzo zimnej wody, wlał ją do cebrzyka, wstawił tam butelki i wyniósł do piwnicy, żeby się schłodziły. Około południa, jak to zostało umówione poprzedniego dnia, przyszła do niego Sylvia z dziećmi. Wszyscy mieli na sobie odświętne ubrania. Także Elie przebrał się z roboczego kombinezonu, który zwykle nosił, w garnitur z granatowej serży. Obaj chłopcy włożyli na tę okazję nowe beżowe garnitury z

bufiastymi spodniami, Sylvia i Sara - cienkie sukienki z materiału w kwiaty uszyte w domu za pomocą wykrojów z "Petit ~echo de la Mode" i maszyny do szycia marki Singer.

M~elanie bardzo chciała wziąć udział w przygotowywanej uroczystości, ale nie zrezygnowała z tego powodu z żałoby, nawet z wdowiej woalki, którą nosiła od 1917 roku.

Towarzyszył jej syn, z rozwianymi blond włosami, ubrany w beżowy, bardzo opięty garnitur z zielonym krawatem. Przyszli też robotnicy, pracujący przy budowie domu, wraz z szefem, grubym, wesołym mężczyzną w welurowych, bardzo szerokich spodniach, który, przypatrując się z ukosa Lucienowi Minoux, powiedział:

- Im szersze spodnie, tym z chłopa większy chwyt!
Nadeszli również sąsiedzi, zamieszkujący opuszczoną farmę; podczas budowy robotnicy zapoznali się z nimi; jeden z nich, o nazwisku Marcenac, pomagał nawet przy sposobności. Był to mężczyzna około trzydziestoletni, w czapce z daszkiem i podkoszulku, z petem przyklejonym do wargi, demonstrujący imponującą muskulaturę. Przyprowadził ze sobą żonę i dzieciaki - pięciu zasmarkanych i płaczliwych chłopców, których matka coraz trzepała po twarzy, i najstarszą, rudą dziewczynkę w wieku Sary, o imieniu Agathe, która rozglądała się dookoła bojaźliwie. Inni jeszcze ludzie z dziećmi wynurzyli się z gruzów farmy, zachwyceni trafiającą się okazją, a Sylvia przypatrywała się im z pewnym niepokojem. Kiedy wszyscy byli już na

miejscu, Elie oprowadził ich po domu, pokazując pokoje, jeden po drugim, od piwnicy po strych. Dzieci biegały we wszystkie strony, wchodziły i schodziły ze schodów, zaglądały do każdego pokoju. Sara znajdowała się w swoim żywiole. Otwierała i zamykała drzwi i okna z okiennicami, sprawdzała, jaki będzie miała widok z okna swojego pokoju, obmyślała ustawienie mebli. Przyniosła swoje rysunki, wykonane w szkole, i rozwiesiła je na ścianach. Na nie pomalowanych jeszcze drzwiach pokoju wypisała swoje imię. Przemierzała działkę we wszystkie strony, zajrzała do studni, wyznaczyła grunt pod grządki.

Wróciwszy do ogrodu, dumny z dzieła, którego sam w znacznej części dokonał, Elie wskazał na dom szerokim ruchem ręki.

- To się nazywa kawał roboty!
- powiedział. - Myślę, że można pogratulować i podziękować robotnikom, którzy wybudowali to piękne domostwo. Sądzę, że mnie też można pogratulować... A teraz, przyjaciele, jedźmy i pijmy!

Rozległy się brawa, Sara klaskała mocniej i dłużej niż pozostali. Elie otworzył ochłodzone wcześniej butelki. Sylvia rozpakowała żywność, posmarowała chleb masłem, częstowała plasterkami kielbasy i szynki, krajany na kawałki camembertem i gruy~erem. Z braku stołów i krzeseł - przeprowadzka miała się odbyć dopiero za kilka tygodni, potrzebnych jeszcze Ritterowi do przeprowadzenia niezbędnych prac wykończeniowych we wnętrzach - wszyscy rozsiedli się do jedzenia na trawie w ogrodzie. Sara narwała białych i

czarnych porzeczek i częstowała nimi gości. Wino i piwo płynęło strumieniami. Wszyscy śmiali się, zagadywali do siebie, żartowali.

Sylvia przeżyła chwilę niepokoju: zniknął jej z oczu Bruno. Ale pojawił się wkrótce w towarzystwie Marcenaca i Luciena Minoux.

- Marcenac pokazywał nam farmę
- wyjaśnił. - To wspaniałe, mamusiu! Pełno tam szop, stodoł, obór. Jest też wozownia z wozami konnymi. A nawet stary dyliżans z przedziałami w środku i z zasłonkami w oknach...

- To musi być strasznie fajne, można się bawić w chowanego! - wykrzyknęła z entuzjazmem Sara.

- Mamusiu, mogę tam pójść?
Agathe mnie zaprowadzi...

Sylvia nie pozwoliła. Farma nie wzbudzała w niej zaufania, nie podobało się jej też, że mała Agathe patrzy jakoś z ukosa.

- Kiedy tu już zamieszkacie, będziecie mogli przychodzić bawić się do nas - wtrącił Marcenac. - A państwo Ritterowie zrobią nam od czasu do czasu przyjemność i wpadną na aperitif, albo zagrać ze mną i z żoną w karty...

Sylvia nie odpowiedziała. Perspektywa tej znajomości najwyraźniej jej nie zachwycała. Podobnie jak wizyty Luciena Minoux, który, jak zauważyła, chwilami przypatruje się jej starszemu synowi z dziwną natarczywością. Powiedziała sobie, że kiedy wprowadzą się do domu, będzie unikała spotkań zarówno z M~elanie i jej synem, jak i Marcenakiem i innymi mieszkańcami farmy.

Popatrzyła na swoje potomstwo opiekuńczym wzrokiem. Bruno

wyrósł na bardzo ładnego chłopca. Miał czternaście lat, a wyglądał na szesnaście albo siedemnaście. Był wysoki, smukły, krzepki. Miał ładną, nieco surową twarz z wypisaną na niej ukrytą wrażliwością, oczy czarne jak u matki; tylko Sara odziedziczyła po ojcu jasne oczy. Robert też był ładny, ale wąły, miał długie ręce i długie, chude nogi. Był nadal skryty, jakby obojętny na wszystko inne poza nauką, lekturą, rozmyślaniami w samotności. Sylvia mocno przytuliła do siebie córkę, to czułe i słodkie dziecko najbardziej jej się udało. Zmęczona bieganiem we wszystkie strony po domu i ogrodzie, tak jakby chciała nimi zawładnąć, usiadła w wysokiej trawie, obok matki. Od czasu do czasu, nie przerywając jedzenia, podnosiła na nią swoje piękne, niebieskie oczy, uśmiechała się do niej, całowała.

- Popatrz, mamusiu! Jaki piękny jest nasz dom!
To prawda, że dom wyglądał imponująco z solidnymi murami z piaskowca, z dachem z czerwonych dachówek, z oknami o żółtych okiennicach, z drzwiami z lakierowanego dębu - i z trójkolorową flagą, powiewającą łagodnie w górze na spokojnym wietrze. Mimo lekkiego niepokoju, jaki odczuwała przed chwilą z powodu syna, Sylvia czuła się szczęśliwa. Wzrok jej spoczął na mężu. Elie był dobrym i porządnym człowiekiem, pracowitym, wstrzemięźliwym i poważnym. Jeśli mogła mu coś zarzucić, to pewną posepność od czasu aresztowania po zabójstwie Sary Meyer: w sumie drobiazg bez wpływu na to, co najważniejsze.

A najważniejsze było to, że wszyscy, ojciec, matka i dzieci, cieszyli się dobrym zdrowiem, że mieli teraz ten piękny dom. Po raz pierwszy mieli swój własny dom tylko dla siebie. Do tej pory zawsze byli na służbie, albo wynajmowali mieszkanie. I wszyscy byli dzisiaj zabezpieczeni przed niedostatkiem dzięki Sarze Meyer i jej synowi, dzięki mężowi. A więc życie było piękne, a przyszłość zabezpieczona. Nagle Sylvia odwróciła się do męża.

- Elie - spytała - czy wiesz, że w tej okolicy wszystkie wille mają na fasadach tablice z nazwą? Przy drodze do Gouvernes, trochę dalej, stoją wille: "Marzenie", "Glicynie", "Mały Kącik"... Nie wydaje ci się, że my też moglibyśmy przybić taką tablicę, wymyślić nazwę dla naszego domu?

Elie był zakłopotany.

- Do tej pory nie myślałem o tym - wymamrotał. - Ale to dobry pomysł, Sylvio.

Zwrócił się do dzieci i gości:

- A wy, co o tym sądzicie? - zapytał.

Pierwsza odpowiedziała

M~elanie:

- A może by tak willa "Nasze Szczęście"? - zasugerowała.

- Chyba raczej "Nasza Krwawica"! - zareplikował jeden z robotników.

Inny, trochę podchmielony, wtrącił swoje:

- Gdyby to był mój dom, nazwałbym go "Pij bez kaca"! Nalał sobie dużą szklankę czerwonego wina i wypił duszkiem.

Elie popatrzył z rozculeniem na żonę, a potem kolejno na wszystkie swoje dzieci. Jego

wzrok spoczął w końcu na małej Sarze, siedzącej nadal w trawie obok matki i przypatrującej się ojcu z uśmiechem w dużych jasnych oczach.

- Popatrz na swoją córkę, Sylvio! - powiedział wreszcie. - Nie domyślasz się, co mam na myśli? A więc, posłuchajcie wszyscy - nazwiemy nasz dom "Promienny Uśmiech"...

Wszyscy zaczęli klaskać.

- Mój dom... - wyszeptła rozpromieniona Sara.

Część pierwsza

1934_#1939

I

W październiku, z początkiem roku szkolnego 1934, do klasy Sary, na miejsce nauczycielki, która odeszła na emeryturę, przyszła, nie wiadomo skąd, nowa nauczycielka. Chcąc ocenić poziom swoich uczniów, zadała im wypracowanie na dowolny temat.

- Macie tydzień na wykonanie tego zadania - powiedziała. - Wybierzcie temat, który was najbardziej interesuje. Na przykład, portret rodziców, albo najlepszej przyjaciółki... albo co się dzieje na waszej ulicy czy w ogrodzie... albo wasze plany na przyszłość... albo też opiszcie jakiś epizod z historii Francji... czy podróż, jaką sami odbyliście... możecie też wybrać temat z przyrody... krótko mówiąc, możecie pisać, co wam się podoba, jedyne, o co proszę, to żebyście jak najlepiej, możliwie jak najszerzej wykorzystali zdobyte wiadomości...

Przez ostatnie miesiące, od czasu uroczystej inauguracji willi, "Promienny Uśmiech", Ritterowie urządzali się stopniowo w nowym domu. Do przeprowadzki Elie pożyczył

ciężarówkę z przedsiębiorstwa, które budowało dom. Robotnicy pomogli mu przenieść najcięższe i największe sprzęty, potężną kuchnię węglową, szafy, kredensy z jadalni, bibliotekę - wybranek Roberta. Marcenac oddał na usługi przyjaciół swoje imponujące mięśnie. Resztą zajęła się Sylvia z dziećmi. Bruno, Robert i Sara mieli wakacje. Starszy z chłopców i najmłodsza z gromadki z radością uczestniczyli w wysiłkach wszystkich. Tylko Robert trochę się krzywił. Nie mógł się doczekać, kiedy jego pokój będzie urządzony i kiedy skończy się całe to taszczenie. Chciał wreszcie mieć spokój, zamknąć się u siebie - sprawdził, czy zasuwa dobrze się zamyka - i zabrać się znowu do nauki i czytania.

Przez wiele tygodni żyli w bałaganie. Sylvia trapiła się, nie mogąc znaleźć w stosownym momencie potrzebnego jej rondla czy patelni, znajdując potłuczone naczynia w rozpakowanym właśnie pudle, choć starannie zawinęła w gazety każdy talerz, każdą filiżankę, każdą szklanek, każdy półmisek.

- Gdybyśmy wynajęli przewoźników z prawdziwego zdarzenia, byłoby mniej bałaganu i mniej stłuczek! - mówiła.

- To prawda - przyznał Elie. - Ale to by nas drożej kosztowało.

A poza tym, jak wiesz, jest przysłowie mówiące, że przeprowadzka to tyle samo co powódź albo pożar. Ostatecznie, jakoś nie najgorzej sobie radzimy!

Najbardziej przeszkadzał jej brak wygód.

- Jestem szczęśliwa, że mam własny dom, ale nawet w tej

małej stróżówce w Saint_mand~e
mieliśmy bieżącą wodę, gaz,
elektryczność, kanalizację. A
tu, nic! Jak w średniowieczu...

Elie próbował pocieszać żonę:

- Nie martw się, Sylvio!

Przecież miasto kiedyś wreszcie
uzbroi teren, obiecali w
merostwie. Zresztą wszystko
zainstalowałem: lampy,
wyłączniki, gniazdka. Założyłem
krany i wszystkie urządzenia
sanitarne. Jak tylko wszystko
podłączą, będziemy mieszkać jak
jaśnie państwo...

- Tak... ale póki co musimy
się ograniczać do lampy naftowej
i wody ze studni!

Elie wzruszył tylko ramionami.

- Popatrz na swoją córkę,
Sylvio! Bierz z niej przykład!
Sara nic sobie nie robiła z
niewygód. Willa "Promienny
Uśmiech" należała do niej, bo
tak zdecydował ojciec. Dobrze
wiedziała, że to fikcja, że w
rzeczywistości dom należy do
całej rodziny. Ale ona uważała
go za swój, urządzała się w nim
popiskując z uciechy,
zagnieżdżyła się jak zwierzątko,
które znalazło odpowiednią dla
siebie norkę. Od razu też,
gorliwie i z uśmiechem, zabrała
się do pomagania matce w długim
i znużającym układaniu naczyń i
bielizny. Pomagała jej stale w
miarę upływu dni, od rana do
wieczora, nie odstępując jej ani
na chwilę. Ona też, dopóki w
kuchni nie założono pompy przy
zlewie, chodziła po wodę do
studni: musiała się podeprzeć,
żeby wyciągnąć ciężkie łańcuch i
wydobyć pełne wiadro, a potem z
wysiłkiem niosła swój ciężar.

- Mamusiu, nie wydaje ci się,
że jestem podobna do Kozety? -
pytała ze śmiechem.

Również Sara wylewała pomyje

do dołu na ścieki. Wieczorem zapalała lampy naftowe. A na przyczepce do roweru przywoziła ze sklepu żelaznego przy ulicy des March~es butle z gazem. I wszystko to robiła nie skarżąc się, lecz z jednakową radością. - Sprawia mi przyjemność, kiedy ci pomagam, mamusiu! - mówiła, gdy Sylvia, uważając, że córka pracuje za ciężko jak na swój wiek, namawiała ją, żeby się oszczędzała.

Sara korzystała z długich dni lata, żeby urządzić swój pokój według własnego upodobania. Umeblowanie składało się głównie z sofy w stylu Ludwika XVI, komody z drzewa różanego i fotelika w stylu Ludwika"XV, które to sprzęty zostały przewiezione z willi jej chrzestnej matki. Uzupełniła je szafą na ubrania i stołem z szufladami, rodzajem biurka, kupionym na wyprzedaży w Lagny. Nie była zbyt biegła w szyciu, sama jednak skroiła i poszyła firanki i zasłony, a potem narzutę na sofę, na którą sama wybrała materiał - jasnobieżową satynę w kwiaty, w stylu przypominającym nieco Ludwika"XV. Sama też oprawiła w szkło i karton zdjęcia wycięte z "Cin~emonde" i powiesiła je na ścianach, na tapecie koloru słomkowego wybranej przez matkę i najtańszej. Wszystko to, łącznie z oknem wychodzącym na ulicę, tworzyło wewnątrz harmonijne, ciepłe, pełne słońca, w którym czuła się u siebie i które rozweselała jeszcze kwiatami zbieranymi w okolicy - zanim, jak mawiała, nie doczeka się własnych plonów. Bruno i Robert urządzili się tak, jak tego chcieli; im też, podobnie jak Sarze, rodzice

zostawili wolną rękę. Bruno, porządny, metodyczny, ale o nieco surowym guście, urządził sobie pokój na modłę klasztorną, czysty i posprzątany, bez zarzutu, lecz niezbyt przyjemny, z nienagannie zasłanym łóżkiem, ubraniami i książkami ułożonymi w sztywnym porządku, bez jednego obrazka na ścianie, bez jednego kwiatka, bez żadnego zbędnego drobiazgu. Robert natomiast wrzucił po prostu swoje rzeczy do szafy tak, jak je wyjął z paczek po przeprowadzce. Książki ulokował byle jak, zeszyty i papiery rozłożył na stole.

- Co to za rozgardiasz, Robercie? - zwróciła mu uwagę Sara. - Może chcesz, żebym ci pomogła poukładać to wszystko? - Niczego nie dotykaj! Może to jest bałagan, ale ja się w nim orientuję!

Pod koniec lata willa była gotowa. Wszystkie roboty i urządzenie wewnątrz zostały szybko wykonane, bo Elie wziął w tym celu dwa tygodnie bezpłatnego urlopu. Ponadto, z pomocą starszego syna, zaczął zajmować się ogrodem: skopał, zagrabił, oplewił, zasiał, obsadził. Wśród ścieżek wysypanych białymi kamykami, na wymierzonych pod sznur grządkach zaczynała wschodzić rzodkiewka, sałata, zielony groszek. Na małej grządce, którą zarezerwowała dla siebie, Sara zasiała kwiaty.

Wreszcie, w szopie położonej za domem, Elie urządził sobie warsztat do majsterkowania z ciężkim drewnianym stołem i niezbędnymi narzędziami.

Wszystko to zakupił w specjalistycznym sklepie braci Allez. Postawił też przybudówkę, w której składał narzędzia ogrodnicze: łopaty, widły,

grabie, motyki i konewki.

- Teraz, kiedy wszystko jest już zrobione, może byśmy tak urządzili przyjęcie, jak na inaugurację? - zasugerowała Sara.

- Dobry pomysł, córeczko - odpowiedziała Sylvia. - Ale po co zaraz spraszać ludzi... Jeśli tatuś się zgodzi, zrobimy sobie święto w rodzinnym gronie.

W następną niedzielę Elie obchodził właśnie pięćdziesiąte urodziny. Rodzina zasiadła więc do podwójnie uroczystego obiadu.

W nowiutkiej jadalni, pod portretem Sary Meyer i przy dźwiękach radia, przy otwartym oknie, przez które dochodził zapach świeżo skopanej ziemi, Sylvia i Sara podały szparagi w sosie vinaigrette, filety z dorsza z wody w majonezie, tradycyjny rostbef od rzeźnika Destrebecqą garnirowany rzeżuchą i przyrumienionymi ziemniakami, sery, duży tort mokka z cukierni Marchanda, wszystko to zakrapiane białym wytrawnym, a potem czerwonym winem z beczki, ze sklepu "Troisvallets". Po deserze otworzyli butelkę wina musującego. Wszyscy się ucałowali. Elie pogratulował żonie i dzieciom.

- Byliście bardzo dzielni. Wszyscy zeście się solidnie namachali! Jestem z was zadowolony!

Elie mógł być także dumny z samego siebie; przez blisko dwa lata pracował od dwunastu do piętnastu godzin na dobę, bez żadnego dnia odpoczynku.

Oznajmił więc, że przywraca niedzielne tradycje sprzed czasu budowy:

- Znowu będę sobie ucałował drzemkę w niedzielne popołudnia. Mam wreszcie spokój, jestem u

siebie, we własnym domu i mam
przecież prawo trochę odpocząć.

A jak się prześpię, jeśli
chcecie, znowu będziemy chodzić
do kina, jak dawniej...

Elie położył się, a jego
żonie, kiedy już z pomocą córki
pozmywała naczynia, przyszedł do
głowy dziwny pomysł.

- Dzieci - zaproponowała - a
gdybyśmy tak wszyscy razem
wybrali się na mały spacerek,
jak na początku, kiedy
zamieszkaliśmy przy ulicy
Vacheresse? Moglibyśmy pójść nad
Marnę.

Reakcja była spontaniczna,
jednomyślna: na nie. Sara
wytłumaczyła odczucia swoje i
braci.

- Mamusiu, mamy nowiutki,
piękny dom, nasz własny! Po co
chcesz stąd wychodzić nad Marnę,
czy gdziekolwiek indziej? Tak
nam dobrze w domu!

Sylvia szybko się poddała.

Uczyniła tę propozycję tylko
dlatego, żeby całkowicie odnowić
dawne przyzwyczajenia, jak to
sugerował mąż. W głębi duszy
była równie szczęśliwa jak
dzieci z pozostania w domu.

Proponując swoim uczniom
wypracowanie na dowolny temat,
pani Batifaux - tak brzmiało
nazwisko nowej nauczycielki -
podała Sarze mimo woli
opatrnościową dłoń. Temat,
oczywiście, sam się narzucał:
budowa domu, zamieszkanie
rodziny Ritterów pod nowym
dachem. O czym mogłaby Sara
napisać lepiej? Ten temat
najbardziej leżał jej na sercu.
Na trzy dni przed wyznaczonym
terminem wypracowanie było
gotowe. W przyływie natchnienia
Sara opisała wszystko, od
opracowania planów w jadalni
przy ulicy Vacheresse, aż po

wbicie ostatniego gwoźdźcia,
zawieszenie ostatniej zasłony.
Nie omieszkała też użyć
porównania ze ślimakiem:
"Ślimak - kończyła - jest
przywiązany do swojego domu,
nosi go wszędzie ze sobą.
Podobnie ja jestem przywiązana
do mojego domu. Stanowi on część
mojego życia. Część mnie
samej..."

Robert, kiedy Sara przeczytała
mu swój tekst, delikatnie ją
wyśmiał.

- Przede wszystkim jest za
długi, napisałaś sześć stron, a
wystarczyłyby trzy, a poza tym,
to porównanie do ślimaka,
wybacz, ale... to trochę naiwne!
Sara wychodziła do szkoły i
wracała z niej razem z braćmi,
ale po drodze mali Ritterowie
rozdzielali się: Bruno i Robert
dołączali do gromadki chłopców,
Sara zaś do innych dziewczynek.
Paplając i śmiejąc się
przystawały coraz, choćby potem
trzeba było biec w ostatniej
chwili, żeby się nie spóźnić.
Była wśród nich oczywiście
Agathe, mały rudzielec z farmy,
córka Marcenaców. Ale była też
rozgadana tyczka, Jacqueline
Troussin, córka bogatego
przemysłowca, mieszkającego
nieco dalej, przy drodze do
Gouvernes, we wspaniałej
piętnastopokojowej willi
porośniętej bluszczem, przed
którą parkowały zawsze dwa lub
trzy olbrzymie amerykańskie
samochody podobne do buicka
Raymonda Meyera.
Sara była z siebie tak
zadowolona, tak przejęta swoją
pracą, że popełniła tę
nieostrożność i przeczytała
wypracowanie obu koleżankom na
dziedzińcu szkolnym przed
rozpoczęciem lekcji. Agathe

ochoczo ją pochwaliła.

Jacqueline natomiast zrobiła minę pełną litości i pogardy.

- Dużo hałasu o nic! Twój dom, w porównaniu z moim, to nora biedaków, szałas, buda, klatka dla królików...

W pierwszej chwili na Sarę jakby spadł grom z jasnego nieba.

- Coś ty powiedziała? Coś ty powiedziała?

- Twój dom, to klatka dla królików!

Sara nawet nie zdawała sobie sprawy, kiedy wystrzelił pierwszy policzek. Po nim następny, a potem już okładała ją pięściami, drapała. Jacqueline upadła. Rozszalała Sara deptała ją, kopała z furją. Inne dziewczynki otoczyły ją gromadą, zasłaniając scenę przed nauczycielkami przechadzającymi się po boisku. Wreszcie Sara puściła swoją ofiarę. Zadzwoił dzwonek. Dziewczynki ustawiły się parami. Jacqueline pochlipywała, przysięgała, że wszystko powie wychowawczyni, rodzicom.

- No i dobrze! - powiedziała Sara. - Możesz naskarżyć! A ja powiem, coś ty powiedziała o moim domu...

Nazajutrz, zaraz po wejściu do klasy, pani Batifaux oznajmiła, że przeczytała wypracowania.

- Sara Ritter, do tablicy! powiedziała.

I dodała:

- Twoja praca jest najlepsza.

Najbardziej żywa, najlepiej napisana. Daję ci najwyższy stopień - dziewięć i pół na dziesięć. Odjęłam ci pół punktu za dwa czy trzy błędy ortograficzne... A teraz

przeczytaj swoje wypracowanie na głos: to będzie lekcja dla

wszystkich twoich koleżanek.

II

Ten jeden raz ojciec Sary
mógłby zjeść obiad w domu.
Zazwyczaj przychodził do
drukarni około siódmej rano,
ładował zbroszurowane książki na
ciężarówkę, pędził do Paryża,
dostarczał ładunek do wydawcy,
szybko zjadał obiad w pobliskiej
gospodzie, potem jechał do
wytwórni papieru Mullerów, przy
ulicy de Flandre, zabierał
stamtąd ryzy albo bele i wracał
do Lagny dopiero z zapadnięciem
zmroku.

Tego ranka załadował
ciężarówkę jak zwykle, ale,
kiedy chciał ruszyć, ciężki
pojazd uparcie odmawiał
posłuszeństwa. Jeden z
mechaników zabrał się
natychmiast do naprawy,
obiecując, że wszystko będzie
gotowe około trzynastej.
Elie wyciągnął z kieszeni
zegarek, potężną cebulę na
łańcuszku przymocowanym do paska
od spodni: było już prawie
południe. Obliczył, że na
dojście pieszo do willi
"Promienny Uśmiech" potrzeba
dobrych dwudziestu minut, tyle
samo na powrót. Zostałoby mu
więc zaledwie kilka minut, żeby
połknąć obiad. Lepiej było
zrezygnować, nie znosił
pośpiechu przy jedzeniu, poza
tym nie uprzedził żony i pewnie
nie miałaby nic przygotowanego.
Postanowił więc zjeść w
stołówce. To mogło być
przyjemne, wiosna 1936 roku
przyszła wczesnie, było bardzo
ładnie i stoły ustawiono pod
kwitnącymi kasztanami na
podwórzu. Porozmawia z kolegami,
pożartuje i będzie miał trochę
wytchnienia, co nie zdarzało się
za często.

Punktualnie o dwunastej
rozległa się syrena. Stały
wszystkie maszyny - ze
dwadzieścia linotypów, jakieś
trzydzieści maszyn drukarskich
- oprócz ciężkiej maszyny
rotacyjnej, drukującej popularne
serie, książki po dwa i pół
franka, która pracowała bez
przerwy dwadzieścia cztery
godziny na dobę, a jej obsługa
miała specjalne godziny pracy.
Wkrótce setka zecerów,
linotypistów, łamaczy,
korektorów, chemigrafów,
maszynistów i nakładaczy, nie
pomijając terminatorów, rzuciła
się ku wyjściu ustawiając się w
kolejce do zegarów. Wyszedłszy
na podwórze, niektórzy biegli po
rowery zawieszane na haku za
przednie koło pod daszkiem z
falistej blachy; ci wracali na
obiad do domu. Inni, którzy
mieli to szczęście, że mieszkali
blisko, ruszali pieszo.
Pozostali skierowali się w
stronę stołówki sprawdzając po
drodze jadłospis wypisany kredą
na tablicy: filety ze śledzia,
befsztyk z frytkami, krem
karmelowy, ćwiartka czerwonego
wina albo kufel wina, chleb bez
ograniczeń, wszystko to za pięć
franków razem z obsługą.
Przy stole, który wybrał Elie
siedziało już pięć osób: Pierre
Valet, zastępca dyrektora
drukarni, o którym wszyscy
mówili z szacunkiem pan Valet;
Henri Chemin, nazywany tata
Chemin, kierownik działu składu;
Edouard Pocard, szef działu
druku; Jean Chevance,
odpowiedzialny za zlecenia, i
Z~elia Martinet, której
podlegała hala zecerek. Oprócz
pana Valet, ubranego zawsze w
ciemny garnitur ze sklepu "Belle
Jardini~ere", wszyscy byli w

ubraniach roboczych, Chemin w ciemnoszarym fartuchu, a pozostali, łączenie z mamą Martinet, w czarnych. Wszyscy należeli do wyższej kadry, robotnicy nazywali ich grubymi rybami. Byli to ludzie w sile wieku naznaczeni piętnem zakończonej przed niespełna osiemnastu laty wojny, której ślady ciągle jeszcze były widoczne w kraju, gdzie poległo półtora miliona ludzi, a żył milion inwalidów i sześćset tysięcy wdów. Z~elia Martinet należała do tej smutnej rzeszy kobiet w czerni; Jean Chevance cały pokryty był bliznami, stracił kawałek dolnej szczęki i chodził na protezie w miejsce prawej nogi, uciętej pod kolanem; wszyscy pozostali - a wśród nich Elie - zaznali piekła okopów. Na końcu stołu szóste miejsce było wolne i Elie zapytał Pierre.a Valet, czy może się przysiąść.

- Niech pan siada, Ritter! - odparł zastępca dyrektora. - Nieczęsto bywa pan w stołówce... Elie wytłumaczył, co się stało z ciężarówką.

- Muszę szybko zjeść! Powiniennem wyjechać o pierwszej.

- Może ci się to uda, jeśli chociaż raz befsztyk nie będzie za twardy! - rzekł tata Chemin. Ładniutka Pierrette przyniosła sześć talerzy z filetemi ze śledzia. Była to córka taty Chemin, mówiono, że jest lekkich obyczajów. Obróciła szybko i pojawiła się znowu, przynosząc tym razem drugie danie. Jean Chevance wbił widelec w swój befsztyk.

- Ale podeszwa! - oznajmił.

Nachylił się, powąchał.

- A poza tym, te ochłapy cuchną! Dają nam zepsute mięso!

- To prawda! - przyznał tata Chemin, naśladowując jego gesty. - To już mięso małpy, któreśmy jedli w okopach, było lepsze od tego!

- To skandal, żeby dawać coś takiego do jedzenia pracującym ludziom! - zawołała Z~elia Martinet.

Odsunęła swój talerz.

- Ja tego nie przełknę. Nie mam ochoty się rozchorować.

- Panie Valet - wtrącił się Pocard - pan przecież widzi się codziennie z właścicielem, czy nie mógłby pan powiedzieć, że ludzie narzekają na wyżywienie w stołówce? Tak nie może być, kucharz pewnie kupuje przecenione mięso, liczy po cenie rynkowej, a różnica trafia do jego kieszeni!

- Mówiłem już o tej sprawie panu Ravaux - odpowiedział Pierre Valet. - Wiecie, co mi odpowiedział? "Niech pan o tym pomówi z moimi synami!"

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Auguste Ravaux był prawdziwym pryncypałem; to on wydzwignął drukarnię do poziomu, na jakim się znajdowała. Jego synowie natomiast, Pierre i J~er~ome, byli gamoniami niezdolnymi do ukończenia studiów. U boku ojca byli tylko statystami, w zasadzie ich praca polegała na tym, że co rano przemierzali hale i podawali wszystkim rękę, co miało świadczyć o tym, że są użyteczni i dbają o los robotników. Było więc absolutnie jasne, że czyniąc taką propozycję panu Valet, Auguste Ravaux zakpił sobie z niego... i z pracowników, którzy mieli czelność poskarżyć się na stołówkę.

- Tutaj właściciel może robić, co chce! - mruknął Jean

Chevance. - To dlatego, że nikt nas nie broni!
Lagny leży zaledwie o dwadzieścia osiem kilometrów od Paryża, ale w owym czasie panowała tam jeszcze iście prowincjonalna mentalność. Choć w stołecznych drukarniach, zwłaszcza w zakładach prasowych, robotnicy byli dobrze zorganizowani w Cgt"* i w jej aktywnej Federacji Książki, robotnicy zatrudniani przez Auguste Ravaux byli całkowicie zdani na samowolę pracodawcy; nie było u niego przedstawicieli załogi ani oddziału związkowego. Jean Chevance stał z talerzem w ręku.

Cgt - Conf~ed~eration
G~en~erale du Travail:
Powszechna Konfederacja Pracy.

- To się nie nadaje do jedzenia!

Zwrócił się do pana Valet:

- Czy szef jest o tej porze u siebie?

- Tak! Pewnie je teraz obiad z synami, w jadalni obok biura....

- No właśnie! Oni się pewnie zajadają ortolanami, a nam się daje gównno! Ja mu pokażę to jedzenie z odrzutów, jakie ośmielają się podawać pracownikom! Nie stchórzyłem przed szkopami! To i przed jakimś dekownikiem nie narobię w spodnie!

Pierre Valet utkwiał nos w talerzu. Ze względu na swoją funkcję nie śmiał przyznać otwarcie racji Chevance.owi, ale nie był niezadowolony z inicjatywy inwalidy. Patrzył za nim, jak oddała się z talerzem w ręku w kierunku biura: wysoka, czarna postać w fartuchu roboczym zadzierającym się z tyłu na spoczywającym na protezie kikucie. Inni też mu

się przyglądali i zza wszystkich stołów rozległ się pomruk aprobaty.

- Jeśli jest w tej firmie ktoś, kto może coś zrobić, to właśnie on! - zauważył tata Chemin, wskazując na miejsce zajmowane przed chwilą przez Chevance'a. - Ciężko ranny na wojnie, odznaczony medalem wojskowym, Krzyżem Walecznych z dziesięcioma palmami, kawaler Legii Honorowej... nawet jeśli to tylko robotnik, to z prestiżem, należy mu się szacunek.

Jean Chevance otworzył bez pukania drzwi do jadalni właściciela. Przed nim, za stołem nakrytym nieskazitelnym obrusem, z wykwintną zastawą, siedział Auguste Ravaux i jego dwaj synowie. Fagas w białej marynarce podawał półmiski. W pokoju unosił się zapach wybornych dań. Ravaux, synowie, służący unieśli równocześnie głowy.

- O co chodzi, Chevance? - zapytał właściciel. - Czego pan chce z tym talerzem w ręku?

- To niedopuszczalne, żeby nam przeszkadzać podczas jedzenia! - rzucił jeden z synów. - I w dodatku wchodzi bez pukania!

- Cicho bądź, Pierre - powiedział Ravaux. - No więc, niech pan mówi, Chevance. Czego pan chce?

- Panie Ravaux, przyszedłem poprosić, żeby pan tego spróbował. To jest mięso, które podano nam w stołówce... Proszę, niech pan spróbuje! I przede wszystkim powącha...

Auguste Ravaux wziął talerz, postawił go obok swojego, na którym leżał pstrąg z migdałami. Pochylił się, powąchał.

- Rzeczywiście, ładnie to nie

pachnie. Miał pan rację, że przyszedł pan do mnie, Chevance! Zaraz po południu wytargam za uszy kucharza. Póki co, niech pan wraca do stołówki z tym talerzem. Niech pan powie kolegom, że za dzisiejszy obiad nie potrąci im się z wypłaty.

- Dziękuję, panie Ravaux.

A kiedy wyszedł:

- Jesteś za dobry, ojczy - orzekł J~er~ome Ravaux. - Ja na twoim miejscu...

- Nie jesteś na moim miejscu, J~er~ome! Jeszcze nie! Co miałem zrobić? Wyrzucić tego człowieka za drzwi? Wyobrażasz sobie, jaki by to był skandal? Bohatera wojny, ciężko rannego inwalidę obwieszzonego odznaczeniami! Pierre Ravaux zacisnął swoje olbrzymie pięści na białym obrusie. Był to istny Herkules, umięśniony, miał 1,907m wzrostu, ale na czubku potężnego tułowia nosił śmiesznie małą głowę z puciołowatą twarzą.

- Bohater? Podżegacz, to owszem! Rewolucjonista! Bolszewik, który chciałby zająć nasze miejsce i jeść to samo co my! Gdybyś mnie nie powstrzymał, ojczy, pożałowałyby swoich zuchwałych słów!

Pierre Ravaux był członkiem Związku Młodych Patriotów. W każdą niedzielę rano, ubrany w gabardynowy płaszcz w mundurowym niebieskim kolorze, sprzedawał gazetę "Le Patriote" na ulicach Lagny, zwłaszcza przed kościołem Notre_dame_des_ardents.

Ostentacyjnie dzierżył w dłoni ciężką laskę nabijaną ołowiem, a jego brat J~er~ome, również mały i chudy, jak on był wysoki i potężny, dreptał za nim, ukryty za jego szerokimi barami.

- Są jednak, ojczy, sprawy, których nie można tolerować! -

powiedział Jerome. - Ci ludzie zaczynają od skarg na jedzenie, a na koniec podpalają fabryki, które ich żywią. Teraz, kiedy ten Chevance ujawnił swoje poglądy, ja bym go wyrzucił z drukarni jeszcze dzisiaj, niech sobie będzie inwalidą. Mógłby iść płakać się do Bluma i Thoreza.

Auguste Ravoux wzruszył ramionami. Skończył właśnie pstrąga z migdałami. Lokaj podał mu ser i nalał kieliszek burgunda.

- Wy, moi synowie, podchodźcie do wszystkiego z zapalczywością właściwą młodzieży. Ale, wiercie mi, to nie są takie proste sprawy. W każdym razie zastanowię się nad tym wszystkim i jeszcze o tym pomówimy...

W tym samym czasie Jean Chevance przemierzył dziedziniec i wrócił na swoje miejsce przy stole w stołówce. Posypały się pytania:

- No i co ci powiedział właściciel?

- Był bardzo uprzejmy.

Powiedział, że wytarga kucharza za uszy i że nie będziemy musieli płacić za dzisiejszy obiad.

- Brawo, Chevance! - powiedział tata Chemin.

- A teraz powiem wam jedną rzecz - podjął Chevance. -

Gdybyście widzieli, jakie stary z synalkami mieli parszywe miny! Gdyby mnie we trzech mogli pożreć, pewnie by to zrobili. W każdym razie cała ta historia świadczy o tym, że jak się człowiek broni, to wygrywa. A więc trzeba się bronić przed samowolą pracodawcy. Ale po to musimy się zorganizować! Ja proponuję jedną rzecz, która mi

od dawna chodzi po głowie.
Musimy utworzyć w firmie oddział
związków zawodowych i wybrać
delegatów, którzy będą nas
reprezentować wobec właściciela.

- Ma rację! Słusznie! -

Odpowiedziało wielu robotników.

- Jeśli się zgodzicie, ja się
tym zajmę. Zaraz jutro. Stracę
dniówkę, to trudno, ale pojadę
do związków dowiedzieć się, jak
to trzeba załatwić. Zgoda?

- Tak! Tak! Jedź, Chevance!

Przy jego stole i przy stołach
sąsiednich wszyscy hałaśliwie
wyrażali swoją aprobatę - oprócz
pana Valet, który jako zastępca
dyrektora zmuszony był zachować
się z rezerwą bez względu na to,
co myślał... i oprócz Elie
Rittera.

Jean Chevance, tata Chemin,
Edouard Pocard należeli do tych
kombatantów, którzy tyle
wycierpieli w okopach, że po
zakończeniu wojny przyłączyli
się do sił politycznych lewicy.
Z doznanych cierpień wyciągnęli
wniosek, że ustrój
kapitalistyczny winien jest
wszystkim niedoli ludu i że, w
związku z tym, należy go jak
najszybciej obalić, zastąpić go
jakimś systemem bardziej
sprawiedliwym i szlachetnym,
opierającym się na masach
ludowych. Żaden z nich nie
zapisał się do partii
politycznej, ale byli całym
sercem z ludźmi, takimi jak
Henri Barbusse, Paul
Vailland_couturier, Jean i
Jacques Duclos, kombatantami jak
oni sami i jak oni
doświadczonymi przez
najokrutniejszą w historii
ludzkości wojnę. Jeśli wcześniej
nie wyrażali swoich poglądów w
miejscu pracy, to dlatego, że
czuli się osamotnieni.

Mentalność ludzi w fabryce była jeszcze zbyt zacofana, a właściciel był typem walczącym, tolerującym u siebie wyłącznie konformistów i bardziej lub mniej zrezygnowanych milczków. Pan Valet podzielał poglądy swoich trzech przyjaciół, z którymi codziennie zasiadał do obiadu, ale zajmowane stanowisko, pod bokiem właściciela i jego synów, zmuszało go do jeszcze większej hipokryzji. Zaś Z~elia Martinet buntowała się po cichu czekając tylko okazji, żeby wykrzyczeć swój wstręt do ustroju, który zabrał jedyną miłość jej życia - męża. Pozostali pracownicy tworzyli chwiejną społeczność z przewagą niezdecydowanych, uległych wobec oficjalnego konformizmu i przesiąkniętych chrześcijańską rezygnacją. Było wśród nich zaledwie kilku z lewicy, z drugiej strony, kilku działaczy prawicowych zwerbowanych i dowodzonych przez J~er~ome.a i, przede wszystkim przez Pierre.a Ravaux. Byli to na ogół dobrze zbudowani, nie znoszący sprzeciwu mężczyźni, chętnie posługujący się pięściami.

Inaczej wyglądał przypadek Elie Rittera, Jean Chevance próbował wprawdzie wielokrotnie wyjaśnić mu wszystko w czasie przyjacielskich pogawędek.

Ritter cierpliwie słuchał kolegi, którego szanował jako bohatera wojny, ciężko rannego inwalidę. Ale nie odstępował od swoich przekonań.

- ... Posłuchaj, Elie, przecież ta cholerna wojna dała i tobie w kość! - mówił Chevance. - Miałeś szczęście, że wyszedłeś z tego prawie bez szwanku, zgoda! Ale ilu naszych

kolegów widziałeś w tych
przeklętych okopach zabitych,
rannych, w błocie i krwi! A
popatrz na mnie: słabego,
okaleczonego, z uciętym kulasem
i pokierszowaną gębą. A
wszystko, co dostałem w
podzięcie, to śmieszna renta i
garść odznaczeń. Och, odznaczeń
mi nie poskapili; wstążki i
medale nic kosztują, rozumiesz!
No a teraz, w tej robocie,
dostaję żarcie, którego i pies
by nie tknął. Zepsute ochłapy,
rozdawane przez właścicieli, i
oni jeszcze mają do mnie
pretensję. Mówiąc o
kombatantach, Clemenceau
powiedział: "Należą im się od
nas specjalne prawa!" Jakie
prawa? Prawo do pracy, do
nędznego zarobku... i prawo do
trzymania gęby na kłódkę, bo jak
nie, to ci dołożą rzezimieszki
Pierre.a Ravaux! Czy ty uważasz,
że to jest w porządku? I nie
widzisz, dokąd nas to wszystko
prowadzi? Popatrz, co się dzieje
u szkopów. Mając tego swojego
Hitlera u władzy, mówią tylko o
odwecie za upokorzenie, jakiego,
ich zdaniem, doznali w wyniku
traktatu wersalskiego. U nas po
aferze Stavisky.ego,"* w lutym
wybuchły zamieszki na placu de
la Concorde, ligi faszystowskie
chciały przetrącić kark
Republice. Zresztą, nadal mają
ten zamiar... a ludziom takim
jak La Roque, Taittinger,
Maurras, Bucard tylko to jedno w
głowie. Ale, rozumiesz, mają
przeciw sobie siły postępu,
radykałów, socjalistów,
komunistów, czyli Front Ludowy.
Zbliżają się wybory, trzeba
wiedzieć, na kogo głosować,
stary. Ty wiesz? Bo ja tak!
Przede wszystkim jestem za
pokojem. Z prawicą, czy to u

nas, w Niemczech, czy gdzie
indziej - nie mówiąc już o
Hiszpanii! - wiadomo z góry:
pójdziemy na drugą wojnę
światową. A mówiliśmy, że tamta
była "najostatniejsza". Po
drugie, jestem za wolnością. Ale
nie znaczy to, że z takimi
ludźmi jak Pierre Ravaux, którzy
tylko marzą o tym, żeby nam
nałożyć kaganiec. A poza tym
jestem za sprawiedliwym
podziałem bogactw, żeby
robotnicy dostali wreszcie, co
im się należy. A więc,
rozumiesz... pokój, wolność,
chleb, to hasło Frontu Ludowego,
stary! Trzeba walczyć razem z
Frontem Ludowym, wszędzie, a na
początek w przedsiębiorstwach! A
więc tutaj!

Stavisky (Serge Alexandre),
francuski biznesmen, Żyd
pochodzenia rosyjskiego. Będąc
założycielem i dyrektorem banku
w Bayonne zdefraudował
kilkadziesiąt milionów franków.
Wykrycie tego skandalu
finansowego (1933 r.)
przyczyniło się do
zdyskredytowania rządu, ponieważ
zamieszanych weń było wiele
wysokich osobistości.

Poszukiwany przez policję
Stavisky zginął od kuli z
rewolweru. Skrajna prawica
oskarżyła o zabójstwo rząd i po
zmianie gabinetu zorganizowała
manifestację 6 lutego 1934 roku.
Jean Chevance umilkł na
chwilę, potem wziął kolegę za
ramię.

- No to jak, stary? Co ty o
tym wszystkim myślisz?
Elie Ritter wrzucił ramionami
i wreszcie znudzonym głosem
odpowiedział:

- Och, wiesz, ja i polityka...
Chevance rzeczywiście nudził
go swoimi nie kończącymi się

wywodami. Elie Ritter nie miał też w istocie zdecydowanych poglądów politycznych. Jego horyzonty myślowe ograniczały się do rodziny, do odziedziczonej fortuny, o której nie mógł nikomu powiedzieć, do willi "Promienny Uśmiech". Posiadane pieniądze i wybudowany dom nie pozwalały mu na żadne ryzykowne zajęcie stanowiska. Choć nie uświadamiał sobie zbyt jasno, włączyły go one do klanu posiadaczy, a nie do tego, do którego należeli ludzie pragnący nowego podziału dóbr, na którym mógłby ucierpieć jego własny stan posiadania. Do klanu posiadaczy należał też niewątpliwie Raymond Meyer. Otóż Elie Ritter zachował dla syna Sary bezgraniczną wdzięczność, utożsamiał się z nim. Ten człowiek, choć okazał wyjątkową wspaniałomyślność - przynajmniej względem Ritterów, jeśli nie wobec lokatorów z ulicy Vacheresse - nie mógł być sprzymierzeńcem lewicy, ani bliskim, ani dalekim. Wierność, wdzięczność nakazywały Ritterowi być po tej samej stronie co Meyer, przynajmniej po tej, gdzie logicznie powinien się znajdować.

Ale ostrożną postawę Rittera można było wytłumaczyć innymi jeszcze względami. Przede wszystkim pochodził z Alzacji, chociaż urodził się w Paryżu, w dzielnicy obejmującej Dworzec Wschodni, z ojca, który mieszkał tam po przyjeździe ze Strasburga i nigdy nie wychylił nosa poza roгатki Saint_denis. Alzacja, ziemia wierności i tradycji, nigdy nie obdarzyła swych synów nadmiarem uczuć nonkonformistycznych. Poza tym walczył na wojnie z pewnego

rodzaju milczącą rezygnacją.
Owszem, był rany pod Verdun i przeszedł niemało, ale mniej niż inni, których przykładem był Chevance. Cierpienia, jakie musiał znosić, były niewystarczające, żeby wywołać w nim uczucia totalnego buntu i skłonić do zajęcia stanowiska, jak to się działo wokół niego. Zresztą znaczną część swego życia Elie spędził na służbie u kogoś i poślubił kobietę należącą do tej samej kategorii społecznej, a ludzie tej kategorii mają wpojone silne poczucie hierarchii społecznej i jej niezmienności, stające się często ich drugą naturą. Ponadto, Elie przeżywał nadal to, co przydarzyło mu się po zabójstwie Sary Meyer. Niesłuszne oskarżenie, jakie przeciw niemu skierowano, upokarzające przesłuchania, prowadzone przez komisarza Fonet i jego inspektorów, wywołały w nim wprawdzie pewien rodzaj buntu przeciwko istniejącemu porządkowi, ale nie do tego stopnia, żeby ów bunt miał przybrać kształty polityczne. Faktycznie, to upokarzające przeżycie skłaniało go raczej do usunięcia się w cień, do ostrożności, a do tego dochodziło jeszcze staranie, by nie zrobić niczego, co mogłoby zaprzepaścić szansę, jaka przypadła mu za sprawą Raymonda Meyera jako opatrnościowe wynagrodzenie za wyrządzone mu zło. Wreszcie, miał inne troski niż polityka. Owszem, willa "Promienny Uśmiech" była ukończona od blisko dwóch lat i rodzina Ritterów żyła tam spokojnie, szczęśliwie. Ale zawsze pozostawało coś do

zrobienia: konserwacje, naprawy i ogród zajmowały Ritterowi cały wolny czas, nie pozwalały mu poświęcać zbyt dużo uwagi sprawom aktualnym. Czytał gazetę - ponieważ "L.ami du peuple" przestał wychodzić, zasypiał teraz czasem nad "Le Journal" - i niekiedy słuchał wiadomości radiowych, ale wiedział zaledwie tyle, że we Francji u władzy jest prawica w osobach Doumergue.a, Lavała, Flandina, Buissona, że w Niemczech Hitler został kanclerzem i natychmiast zabrał się do zbrojenia kraju, a potem sprzymierzył się z Mussolinim. Ritterowi wystarczało, że zarabia na życie, że czuwa nad swoim dziedzictwem, kocha żonę, wychowuje dzieci.

Bruno miał teraz szesnaście lat, Robert piętnaście, a Sara czternaście. Najstarszy z rodzeństwa trochę rozczarował rodziców. Dwa lata temu otrzymał świadectwo z ogólną oceną dobrą, ale potem oświadczył: - Od nowego roku nie chcę wracać do szkoły. Chciałbym pracować.

Elie i Sylvia zamierzali poświęcić majątek na wykształcenie dzieci i zapewnić im w ten sposób pozycję lepszą od własnej. Bruno nic nie wiedział o zamożności rodziców; jak wielu robotniczych synów pragnął im pomóc, podejmując wcześniej pracę. A poza tym ostatniego roku zniechęcił go do nauki nieporadny nauczyciel, który pozwalał uczniom rozrabiać na lekcjach, wywołując tym całkowite rozprężenie.

Mimo doznanego zawodu, Elie i Sylvia przystali na prośbę syna. Wystarczyło, że Elie porozmawiał z właścicielem i Bruno został

przyjęty do drukarni na przyuczenie do zawodu zecera. Z wierszownikami w rękę zdobywał podstawy zawodu, na początek pod kierunkiem Z~elii Martinet, w hali kobiet. Kiedy poczynił pewne postępy, dalszym jego kształceniem zawodowym zajął się Jean Chevance, który nauczył go sztuki składania z dostępnych czcionek tak zwanych druków akcydensowych: nagłówków do papieru listowego, rachunków, prospektów, biletów wizytowych i reklamowych itd. Ubrany w szary, niebawem poplamiony farbą drukarską fartuch spędzał odtąd dni między stołem a kasztami, ucząc się posługiwać deską zecerską, firetem, interlinią i rygą. Dokładnie spacjować wiersze, używać pincety, typometru, szufli, maszyn do próbnych odbitek. Przykładał się pilnie do tej pracy z właściwą sobie systematycznością, poczuciem porządku i organizacji.

Bruno miał wiele powodów do zadowolenia w związku z nowym ukierunkowaniem swego życia. Przede wszystkim uniknął szkoły, która mu nagle zbrzydła. Ponadto uczył się interesującego zawodu: "najbardziej umysłowego ze wszystkich zawodów fizycznych", jak się pompatycznie wyraził Auguste Ravaux, przyjmując go do pracy z miną, jakby robił łaskę jego ojcu. Poza tym zarabiał teraz trochę pieniędzy. Bardzo mało, bo dwa franki za godzinę, ale hojność nie była główną cechą właściciela; oddawał jednak bez zwłoki pieniądze matce, co dawało mu poczucie, że powiększa dochody rodziny, wobec czego odgrywa w niej ważniejszą rolę. Wreszcie praca przybliżała go do ojca.

Stara ciężarówka, którą
jeździł Elie, psuła się coraz
częściej. Zamiast kupić nową,
Ravaux wynajął na jakiś czas
prywatnego przewoźnika, także
Elie został tymczasowo
przydzielony do działu
zaopatrzenia fabryki, gdzie
tworzył cuda dzięki swoim
zdolnościom do majsterkowania. W
każdym razie, na czas
nieokreślony został przypisany
do drukarni, gdzie często
spotykał się z synem i gdzie
razem jadali obiady w stołówce.
Poza tym ojciec i syn odbywali
razem pieszo drogę do pracy i z
powrotem, a czas upływał im na
rozmowie. Bruno odnosił dzięki
temu wrażenie, że czuwa nad
ojcem i, być może, to było
właśnie ukrytym powodem, dla
którego postanowił rzucić szkołę
i pracować w drukarni.
Robert natomiast nadal uczył
się z tą samą pasją. Zamknięty w
sobie, milczący, nie
uczestniczył zbyt w życiu
rodziny i najwyraźniej
interesował się tylko książkami.
Nie dość mu było pochłaniania z
powodzeniem zresztą, książek z
lektury szkolnej, wypożyczał je
też w bibliotece miejskiej,
gdzie spędzał długie godziny,
albo od przyjaciół; kupował je
również przynajmniej jedną w
tygodniu, w księgarni Bineta
przy ulicy des March~es, za
kieszonkowe od matki
skrupulatnie odkładane na ten
jedyne cel. A czytał niemal
wszystko, co mu wpadło w ręce,
bez ładu i składu, ale za to z
niezmienną pasją: Rabelais.go i
Montaigne.a, Taine.a i Zolę,
Szekspira i Kanta. Piękna,
odziedziczona po Sarze Meyer
biblioteka wypełniała się coraz
bardziej z każdym tygodniem i

wreszcie stała się za mała, Elie
musiał więc dorobić półki w
pokoju syna.

Jednym z jego dostawców
książek był Lucien Minoux, syn
M~elanie. Kiedy Ritterowie
zamieszkali w willi "Promienny
Uśmiech", Sylvia zamierzała
zerwać znajomość z dozorczynią z
ulicy Vacheresse. Ale obie miały
nadal wspólne zajęcie; wyrabiały
swetry, które Elie jak dawniej
dostarczał wytwórcy. Ich
stosunki trochę się więc
rozluźniły, ale były
podtrzymywane. Co niedziela
M~elanie przynosiła Sylvii
paczkę odzieży pozszywanej w
ciągu tygodnia. Lucien
najczęściej towarzyszył matce,
nadskakiwał jej, usługiwał,
niósł jej paczkę z wyraźną
gorliwością, z nabożnym
uwielbieniem nazywał ją
"mamuśką". Takie przesadne
zachowanie krępowało Sylvie,
ponadto miała za złe synowi
przyjaciółki zainteresowanie,
jakim zdawał się darzyć jej
chłopców, zwłaszcza Roberta,
któremu przynosił książki i
którego zabierał na spacer,
podczas gdy obie przyjaciółki
siedziały przy herbacie. Mogły
gawędzić spokojnie: Elie
pracował, bądź to w ogrodzie,
bądź w swoim warsztacie; Bruno
był przy nim, pomagał mu; Sara
siedziała u siebie w pokoju nad
lekcjami lub książkami.
Sylvia nie śmiała robić
M~elanie wyrzutów ani nakazać
jej, żeby więcej nie
przyprawiała ze sobą Luciena,
a tym bardziej zabronić jej
przychodzić samej. Jej niepokój
wzmógł się jednak jeszcze
bardziej, kiedy podczas jednej z
tych niedzielnych wizyt
usłyszała, jak Lucien szepce

Robertowi do ucha wręczając mu książkę:

- Zobaczysz, jakie to fajne!

Pod koniec są kawałki z małymi Arabami, więcej ci nie powiem.

Jestem pewien, że ci się spodoba.

A Robert, taki zazwyczaj skryty, uśmiechnął się dwuznacznie, jakby łączyło ich coś podejrzanego, co zaniepokoiło jego matkę.

Przez następne dni, kiedy syn był w szkole, Sylvia próbowała przeczytać przyniesioną przez Luciena książkę i wykryć, co w niej jest szkodliwego. Chodziło o "Jeżeli nie umiera ziarno" jakiegoś Andr~e Gide.a. Nazwisko autora nic jej nie mówiło, a tytuł nie miał w sobie nic dwuznacznego, tym bardziej że był cytatem zaczerpniętym z uspokajającego raczej wersetu Pisma Świętego. Sylvia nie nawykła do lektury: tekst wydał jej się niejasny; ponadto niewiele wiedziała o zboczeniach seksualnych i wzmianka o małych Arabach z Biskry zupełnie umknęła jej uwagi. Nic więc nie zrozumiała i ostatecznie odłożyła książkę tam, skąd ją wzięła, do biblioteki syna. Zarazem uciszyła swój niepokój, choć się go zupełnie nie wyzbyła.

Tymczasem na działkach zaczęli się pojawiać nowi mieszkańcy. Tuż obok willi "Promienny Uśmiech" stanął dom z piaskowca, dosyć podobny do domu Ritterów. Zamieszkał w nim Ernest Marnier z rodziną. Marnier miał zakład fotograficzny przy ulicy des March~es, w samym centrum miasta, ale wolał zamieszkać w nowym domu, a mieszkanie położone nad zakładem przekształcić w studio. Był w

tym samym wieku co Elie i podobnie jak on był na wojnie. Miał za żonę tęgą, pełną ciepła kobietę, doskonałą kucharkę, o imieniu Juliette, która dała mu syna Pierre'a, rówieśnika Bruna. Wszyscy się polubili. Sylvia, choć z natury pełna rezerwy, nie mogła odrzucać stosunków sąsiedzkich opartych na prawdziwej sympatii i drobnych, wzajemnych przysługach. Ale prawdziwe więzy nawiązały się między dziećmi.

W tej bezludnej niemal części miasta znajdowało się jedno tylko atrakcyjne miejsce, pociągające dzieciarnię i młodzież: dawna farma zamieszkała przez Marcenaców i kilka innych rodzin. Oprócz tego, że było tam już mnóstwo dzieci, których rodzice byli wszyscy jednakowo gościnni i tolerancyjni, poczynając od Marcenaca i jego żony, w budynkach było dużo przestrzeni, różnych kątów i zakamarków sprzyjających najrozmaitszym zabawom. W piłkę grało się więc na podwórku, w klasy na dawnym klepisku pokrytym cementem, w berka w stodole pełnej drabin i starych połamanych mebli, w ciuciubabkę w szopie, w chowanego w dawnych stajniach, gdzie stare wozy, berlinki i dyliżansy były niezawodnymi kryjówkami i godzinami można było szukać partnerów wśród krzyków i śmiechów. Do tej pory, zgodnie z poleceniem matki, dzieci Ritterów trzymały się z dala od tego miejsca. Wciągnął je tam Pierre Marnier, a Sylvia, zmęczona rolą żandarma i kogoś, kto przeszkadza w dobrej zabawie, ufna także w rozsądek i dobre wychowanie małego Marniera, pogodziła się z tym.

Wkrótce po przeprowadzce
Pierre Marnier zaprzyjaźnił się
ze starszym z braci Ritterów,
chodzili zresztą do tej samej
klasy w szkole gminnej. Nie
odczuwał natomiast żadnej
sympatii dla Roberta, a ten
zachowywał zwykłą sobie mroczną
rezerwę, pochłonięty książkami,
zaszyty w swoim pokoju. Bruno
nie był jednak idealnym
towarzyszem dla Pierre'a; po
podjęciu pracy, obdarzony powagą
właściwą komuś kto wszedł do
grona robotników, lekcewał
nieco dziecinne zabawy i szybko
z nich zrezygnował woląc raczej
pomagać ojcu w ogrodzie czy w
warsztacie. Pierre przeniósł
więc swoje uczucie na Sarę i
wciągał ją w rozrywki, przygody
i tajemnice farmy.

Córka Ritterów miała teraz
czternaście lat, a Pierre
Marnier myślał tylko o niej i
patrzył tylko na nią. Była już
kobietą i to wspaniale
zbudowaną. Wysoka jak na swój
wiek, smukła, z krągłymi,
bujnymi piersiami, długimi i
zgrabnymi nogami, ubrana zawsze
z kokieterią w sukienki szyte
przez matkę, pociągała jednak
przede wszystkim spokojną
harmonią swej pięknej, owalnej
twarzy, jasnym błękitem oczu,
spływającymi, długimi, czarnymi
włosami, olśniewającą cerą, a
bardziej jeszcze niezrównanym
pięknem uśmiechu, w którym
rozchylając pełne wargi,
ukazywała doskonale białe, małe,
równiutkie choć nieco rozsunięte
zęby, tak zwane zęby szczęścia.
Lecz tym, co w niej urzekało
najbardziej, był pewien rodzaj
wdzięku najwyższej próby,
wewnętrznej równowagi,
niezachwianego spokoju, pogody
ducha, za którymi kryły się

zarówno nieposkromiona
ciekawość, jak i ukryta głęboko,
powściągnięta namiętność. Wszystko
przyjmowała z jednakowym
uszcześliwieniem. Co więcej,
zdawać się mogło, że to ona
obdarza wszystko szczęściem, że
zamienia w pogodną radość
wszystko, co się zdarzało, co
jej dotyczyło. I roztaczała
wokół siebie ten rodzaj
promiennego światła, w którym
sama była skąpana.

Zdarzało się, że Sylvia
przypatrywała się córce, kiedy
ta szła ulicą, przechadzała się
po ogrodzie czy po domu albo
kiedy odrabiała lekcje przy
stole w jadalni, pod portretem
Sary Meyer. Nie mogła się
powstrzymać i mówiła głośno:
- Mój Boże! Jakaś ty piękna,
córeczko!

Sara uśmiechała się wtedy, a w
jej uśmiechu, w rysunku ust
zawierało się całe szczęście
świata, to szczęście, którego
się doznaje będąc młodym,
pięknym, czując się kochanym.
Sara nie mówiła za wiele. Była
pod tym względem cudownym
punktem równowagi między
młodszy milczeniem Roberta a
rozwadaną wrażliwością Bruna.
Ale to, co mówiła, było zawsze
celne, dokładne, jak gdyby to
dziecko zostało wyposażone w
jakąś immanentną, odwieczną
mądrość udzieloną jej łaską
niebios. Potrafiła też, gdy było
trzeba, zachować tajemnicę.
Tej niedzieli M~elanie Minoux
przyszła, jak zwykle, z synem i
kiedy obaj chłopcy wychodzili na
spacer, Robert uśmiechał się,
jak gdyby te niedzielne wypady
miały wyłączną moc oderwania go
od lektury i rozwiania jego
ponurego nastroju. Bruno z ojcem
byli zajęci w szopie za domem.

Nadszedł Pierre Marnier i zaproponował Sarze przechadzkę na farmę. Spotkali tam Agathe, która najwyraźniej chciała wzbudzić zainteresowanie Pierre'a. Ale on zapatrzonej był w Sarę i z losowania wypadło, że podczas zabawy w chowanego znaleźli się razem, ukryci w głębi ciemnej berlinki, a Agathe szukała ich mamrocząc. W powozie nie było wiele miejsca i Sara czuła blisko sprężyste ciało chłopca. Ogarnął ją dziwny niepokój, a ośmielony Pierre objął ją ramionami, zbliżył usta do jej twarzy.

- Nie, Pierre! Nie! - wyszeptała Sara.

W tej samej chwili rozległ się ostry głos Agathe:

- Widziałam was! Już od pięciu minut obserwuję was przez tylną szybę powozu. Albo dacie mi fant, albo wszystkim wszystko rozpowiem.

Sara i Pierre wyszli z ukrycia.

- Nic nie powiesz, Agatho, prawda? - zapytał Pierre.

Sara z wyższością zaproponowała:

- A ja gwizdę na to! Możesz mówić, co zechcesz, Agatho! Nie robiliśmy nic złego.

- Nic nie szkodzi - podjęła córka Marcenaców. - Sekret za sekret; ja nie powiem nic o tym, co widziałam, a wy o tym, co wam pokażę...

Pociągnęła ich w stronę stodoły i kazała wejść po drabinie do sąsiedka na paszę. W głębi sąsiedka znajdowało się okienko wychodzące na inną, pogrążoną w mroku i pełną jeszcze siana stodołę.

- Nie hałasujcie, nic nie mówcie, tylko patrzcie! - powiedziała Agathe.

Sara i Pierre pochylili się

nad pokrytą kurzem szybą. Na stercie siana leżały trzy nagie, ciasno splecione i drgające ciała. Sara rozpoznała imponującą muskulaturę Marcenaca, jasne włosy Luciena Minoux i, z dreszczem niepokoju, kanciastą twarz Roberta.

- Co oni robią?

- Zabawiają się! - wyjaśniła Agathe ironicznym tonem. - To trochę tak, jak wy dwoje. Tylko, że we trzech... i to sami chłopcy. I co niedziela jest to samo. Ja już ich widziałam wiele razy.

Zamilkła na chwilę, potem dodała:

- Obiecaliście, że nic nie powiecie, prawda? Obiecaliście zachować tajemnicę, tak jak ja waszą.

Zeszli po drabinie, oddalili się w milczeniu. Nikt się nigdy nie dowiedział, co się działo w niedzielne popołudnia w stodole na farmie, ani do czego się sprowadzały spaceru Roberta z Lucieniem. Ale Sara знаła odtąd tajemnicę swego brata.

W kilka dni później, w warsztacie, którym kierował Jean Chevance, Bruno składał właśnie kartę reklamową dla pewnej agencji handlu nieruchomościami, działającej w Lagny. Pracy tej nauczył się szybko i świetnie sobie z nią radził. Najpierw na arkuszu bristolu szkicował makietę. Potem, z wierszownikiem w ręku, dobierał starannie czcionki, sięgając do różnych kaszt i układając delikatnie na szuflę zecerskiej wiersze o żądanej długości między 3_punktowymi interliniami. Miał spokój, Chevance wziął wolne przedpołudnie, oficjalnie po to, żeby pójść do lekarza, opiekującego się inwalidami

wojennymi, a faktycznie pojechał
któryś raz z rzędu po poradę lub
polecenie do Związku Zawodowego
Pracowników Poligrafii
zrzeszonego w Cgd, z siedzibą
przy bulwarze Auguste.a Blanqui
w Paryżu.

Od czasu do czasu Bruno
spoglądał przez okno; na
dziedzińcu ojciec kierował grupą
robotników, malujących fasadę
fabryki. Nadal sprawował nad nim
tę samą, pełną niepokoju pieczę,
było odległe już teraz, ale
utrzymujące się następstwo
szoku, jakiego doznał, kiedy
zobaczył, jak ojca zabiera
policja. Miał wrażenie, jak
gdyby na ojca czyhało
nieustannie jakieś
niebezpieczeństwo i zdarzało
się, że jego przeczucia odżywały
wskutek jakiegoś drobnego
wypadku o pozornie fatalnych
następstwach.

Tak też było kilka lat
wcześniej, w nocy z 23 na 24
grudnia 1933 roku, kiedy
Ritterowie mieszkali jeszcze
przy ulicy Vacheresse.

Bruno złapał anginę i miał
gorączkę. Pod wieczór Sylvia
pobiegła do gabinetu doktora
Chevalier, przy bulwarze
Furcy_vernois, prosząc, by
przyszedł go zbadać. Ale stary
lekarz oznajmił, że będzie mógł
przyjść do chorego dopiero
nazajutrz rano. Bruno kręcił się
i wiercił w łóżku i co pięć
minut sprawdzał godzinę na małym
budziku stojącym na jego nocnym
stoliku. Ojciec powinien był
wrócić najpóźniej około siódmej.
Zbliżała się dziesiąta, a on
wciąż nie nadchodził.
Zaniepokojenie chłopca rosło
wraz z gorączką i wszystko
zaczynało przypominać koszmar
sen. Sylvia, Robert i Sara byli

tak samo niespokojni. Wreszcie
wszyscy usiedli przy jego łóżku
snując razem z nim
przyuszczenia, co mogło
przydarzyć się ojcu. A godziny
mijały.

Około jedenastej wieczorem
Sylvia i dzieci podskoczyły
nagle; w powietrzu rozległ się
odgłos wybuchu.

- Tak jakby od strony dworca -
wyszeptał Bruno.

- Raczej stamtąd! - sprostował
Robert wskazując bardziej na
zachód.

Sara zaczęła płakać. Nagle
rozległ się przeciągły gwizd
wielu lokomotyw równocześnie.
Potem donośne syczenie, jakby
strumieni pary, wydobywających
się z ogromnego czajnika.

Sylvia, Bruno, Robert i Sara
czekali mocno przytuleni do
siebie. I znowu mijały godziny.

Było wpół do trzeciej rano,
kiedy otworzyła się brama
kamienicy. Pod sklepieniem
rozległ się odgłos kroków.

- To tatuś! - zawoła Bruno
rzucając się do drzwi, a za nim
matka, brat i siostra.

W zamku przekreślił się klucz.

Wszedł, chwając się, Elie.

Wyglądał jak pijany, jak
znokautowany bokser. Wszyscy z
przerażeniem zobaczyli, że ręce
ma całe we krwi. Zwalił się na
krzesło, wyszeptał:

- Moje dzieci! Co za
okropność! Co za okropność!

Około siódmej wieczorem, w
samym środku Paryża, zepsuła mu
się ciężarówka. Szofer zadzwonił
do pana Valet, a ten polecił mu
zostawić samochód na miejscu i
wrócić do Lagny pociągiem. Elie
wsiadł więc na Dworcu Wschodnim
do pociągu odjeżdżającego o
dwudziestą pięćdziesiąt trzy.

Był to skład osobowy, złożony z

piętrowych wagonów od nazwiska inżyniera projektanta zwanych bidelami. Elie usiadł i czekał na odjazd. O dziewiątej pociąg nie ruszył jeszcze z dworca. Elie wysiadł, wypytywał innych podróżnych, potem jakiegoś kolejarza.

- To z powodu mgły - usłyszał w odpowiedzi. - Wszystkie pociągi są opóźnione. Zimno było jak na Syberii i na peronie, we mgle widać było zaledwie lokomotywę i najbliższe tory. Około dziesiątej pociąg wreszcie ruszył. Ale włókł się jak żółw i na każdej stacji zatrzymywał się dłużej niż zwykle. W Vaires_torcy postój trwał pół godziny, aż w końcu wzdłuż wagonów przeszedł kolejarz z lampą w ręku ogłaszając:

- Varies_torcy! Wszyscy wysiadać! Varies_torcy! Wszyscy wysiadać!

Tłum podróżnych zgromadził się na peronie. Kolejarz powiedział w końcu:

- Między Varies_lagny zdarzył się wypadek. Dalej jechać nie można. Jeśli chcecie dotrzeć do Lagny, najlepiej będzie, jak pójdziecie wzdłuż torów. Ale uwaga! To może być niebezpieczne.

Elie ruszył drogą razem z innymi, posuwając się z trudem po nasypie. Na wschodzie niebo poczerwieniało jakby zalane blaskiem pożaru. Słychać było gwizd lokomotyw, syk pary i, na zmianę, odgłosy wozów strażackich i rytmiczny sygnał karetek pogotowia.

- Nagle, za zakrętem toru, zobaczyłem! - tłumaczył Elie. Ujrzał najpierw dwie lokomotywy, które zderzyły się buforami w pełnym biegu,

spiętrzyły jedna na drugiej, a teraz leżały jak ogromne zwały poszarpanego metalu, z którego wydobywały się smugi dymu w czerwieniejącym blasku żużłu rozsypanego na ziemi. Za każdą z nich piętrzyły się dziesiątki wykolejonych, wywróconych, poskręcanych, zmiażdżonych wagonów. We wszystkie strony biegali, jak błędni, ludzie. Niektórzy, zakrwawieni, krzyczeli wniebogłoso, wzywali pomocy, przywoływali bliskich. Ratownicy zaczęli dopiero nadjeżdżać. Byli bezsilni wobec rozmiaru katastrofy. Jak wielu innych podróżnych, Elie zaproponował więc swoją pomoc. Z rozbitych wagonów, z płataniny bagaży wydobywał mężczyzn, kobiety, dzieci. Na zamarzniętym nasypie układał obok siebie dziesiątki zabitych i rannych, tworzących pełną grozy mieszaninę.

- Najbardziej żał mi było dzieci!

Bowiem w wigilię Bożego Narodzenia dużo dzieci podróżowało obydwoma pociągami, które się zderzyły. Wiele z nich trzymało w ramionach zabawki. Elie otarł wierzchem dłoni łzy płynące mu po policzkach.

- To było chyba gorsze niż wojna! Dlaczego... dlaczego człowiek musi napatrzeć się w życiu na tyle okropności?

Nazajutrz dowiedział się, że w katastrofie pod Lagny_pomponne zginęło dwieście trzydzieści osób, w tym sto dwadzieścioro dzieci.

Zajęty składaniem zleconej mu reklamówki czcionkami Garamonda, Bruno podśpiewywał "Allons au devant de la vie". Była to modna tego roku piosenka schronisk młodzieżowych. Gdyby udało mu

się dostać kilka dni urlopu,
zamierzał wyruszyć z Pierre'em
Marnier szlakiem tych
schronisk. Ale po to musiały być
przedtem zatwierdzone figurujące
w programie Frontu Ludowego
płatne urlopy, a więc Front
Ludowy musiał wygrać wybory. A
jeszcze trochę do tego
brakowało. Bruno wiedział, co go
czeka, jeśli Front Ludowy nie
dojdzie do władzy, jeśli nie
będzie płatnych urlopów: życie
wypełnione pracą, dziesięć
godzin dziennie, sześć dni w
tygodniu, dwanaście miesięcy w
roku, bez przerwy ani odpoczynku
i ta konieczność nieustannego
oszczędzania w przewidywaniu
okresów bezrobocia lub choroby,
w przewidywaniu starości.
Nagle Bruno podniósł głowę.
Rozległa się syrena fabryczna,
najpierw niskim, potem coraz
wyższym dźwiękiem, a teraz
stopniowo cichnącym. Bruno
spojrzał na zegar ścienny: była
dopiero jedenasta. Jednakże
maszyny stanęły, wszystkie
naraz, jak gdyby ktoś wyłączył
prąd. Bruno odłożył wierszownik
na jedną z kaszt i udał się do
wielkiej hali maszyn
drukarskich. Robotnicy
opuszczali swoje stanowiska,
kierując się ku wyjściu, na
dziedziniec. Bruno poszedł za
nimi. Usłyszał komentarze.
- Pierwszy raz odbywa się
tutaj zebranie związkowe.
- Ale ma tupet, ten tata
Chevance!
- Ma rację! Dostyc już takich
właścicieli jak Ravaux z
synalkami!
Kiedy Bruno dotarł na
dziedziniec, było tam już czarno
od ludzi. Niespokojny, jak
zwykle, o ojca, stanął blisko
niego, niedaleko schodków, które

miały służyć za trybunę, i na
których stał już Jean Chevance,
wyprostowany na swojej protezie,
tym razem bez swego czarnego
fartucha. Towarzyszyli mu
Edouard Pocard i Z~elia
Martinet, którzy także zdjęli
fartuchy. Z~elia miała jednak
swoją wdowią woalkę, a Chevance
przypiął do piersi wszystkie
swoje odznaczenia i to nie same
wstążki, jak codziennie, ale
medale, łącznie z ciężkim od
palm Krzyżem Walecznych
przypiętym u dołu jego
przyciasnej marynarki. Pochylony
nad poręczą schodów rozłożył
ręce w szerokim geście.

- Towarzysze!

W zaległej nagle ciszy Bruno
usłyszał hałas. Podniósł głowę.
Na pierwszym piętrze otworzyło
się okno, było to okno biura
dyrekcji. Wydawało mu się, że
dostrzega ukrytego za zasłoną
Auguste.a Ravaux z synami.

- Towarzysze! - powtórzył Jean
Chevance.

Popychani przez tłum Bruno z
ojcem znaleźli się tuż przed
schodami, w pierwszym rzędzie.

- Obiecałem, że pomogę wam
utworzyć tutaj oddział związków
zawodowych. No i tak się stało!
W tłumie robotników rozległy
się oklaski.

- Zakładamy dzisiaj w waszej
obecności, za waszą zgodą,
lokalny oddział Związku
Zawodowego Pracowników
Poligrafii, od tej chwili ktoś
was będzie bronił. Właściciele
nie będą już mieli władzy
absolutnej. Będziecie mieli,
będziemy mieli prawo głosu.
Koniec z samowolą właścicieli!
Dosyć już nędznych płac! Dosyć
bezprawnych zwolnień,
przedłużonych godzin pracy!
Dosyć kiepskiego wyżywienia w

stołówce!

Znowu rozległy się oklaski.

- A teraz, towarzysze,
spiszemy listę naszych żądań.
Kiedy ją przegłosujemy, Z~elia,
Pocard i ja pójdziemy ją
przedstawić właścicielowi.

I znowu oklaski. Ale właśnie w
tym momencie rozległ się
gwizdek. Dochodził od wejścia do
biur, tam gdzie stał Pierre
Ravaux, ogromny, masywny. Za nim
rysowały się niewyraźnie inne
postacie.

- Cisza! - wrzasnął olbrzym. -
Wracajcie natychmiast do hal! I
włączcie maszyny! Kto nie
posłucha mojego rozkazu,
zostanie zwolniony jeszcze dziś
wieczór! No już, szybko!
Chevance zareplikował:

- Nie posłuchamy pańskiego
rozkazu, panie Ravaux. Niech pan
nie myśli, że się pana boję! Nie
przestraszyłem się szkopów,
świadczą o tym moje rany i
odznaczenia!

- A więc, sam pan tego chciał!

- krzyknął Pierre Ravaux.

Zagwizdał znowu i odsunął się
od drzwi biura. Wpadł z nich
jeden, potem drugi, piąty,
dziesiąty, dwudziesty mężczyzna
w niebieskim płaszczu, każdy z
nabijaną ołowiem laską w ręku.
Kolejni wybiegli innymi
drzwiami, nieco dalej. Robotnicy
cofnęli się, zgromadzili się
wokół schodów, skąd wykrzykiwał
Chevance:

- Nie będziecie przecież bić
robotników, kobiet, kombatantów!
Zatrzymajcie się! Mamy prawo do
tego, żeby założyć oddział
związkowy!

- Stul pysk, bolszewiku! -
wrzasnął jeden z atakujących.
Kilku robotników przemknęło
się do warsztatów, wrócili ze
sztabami ołowiu w rękach. Ale

nieugięci niegodziwcy posuwali
się naprzód kręcąc młynka
laskami, bijąc na oślep każdego,
kto znalazł się na ich drodze.
Słysząc było okrzyki bólu,
płynęła krew. Nagle Pierre
Ravaux z podniesioną laską
znalazł się bliżej niż na metr
od Chevance'a. Rzucona przez
jakiegoś robotnika ołowiana
sztaba trafiła go w samą pierś,
ale uderzenie wcale go nie
odrzuciło, wręcz przeciwnie,
zdawało się zwielokrotnić jego
wściekłość. Uderzył. Ale
Chevance nie upadł. Elie Ritter
zdażył stanąć przed nim,
osłaniając go własnym ciałem. Na
niego, na jego twarz, spadł
cios. Osunął się z przeraźliwym
krzykiem, zboczony krwią.
Oprzytomniawszy nagle, Ravaux
cofnął się.
- Zabił go pan! Zabił go pan!
- wrzasnął Chevance.
Przepychając się wśród
robotników, Bruno zbliżył się do
ojca. Elie umarł w jego
ramionach.
Nazajutrz "L.humanit~e"
ukazało się z ogromnym tytułem
na pierwszej stronie: "Faszyści
zamordowali robotnika w Lagny".
Na pogrzebie Elie Rittera tysiąc
osób, przybyłych z całego
regionu, a nawet z Paryża, szło
za trumną. Auguste Largentier,
sekretarz Związku Zawodowego
Pracowników Poligrafii przy
Cgt, wygłosił przemówienie.
Potem odbyła się manifestacja w
mieście: prawie pięć tysięcy
osób z podniesionymi
zaciśniętymi pięściami, wśród
lasu czerwonych sztandarów.
W wyborach do Parlamentu 26
kwietnia i 3 maja Front Ludowy
zdobył przeważającą większość. W
Lagny dr Albert Nast, prawicowy
deputowany, wybierany

niezmiennie od 1920 roku,
przegrał wybory. Wybrano
robotnika, malarza, komunistę o
nazwisku Fouchard. Na ulicach, z
których zniknęli faszyci,
śpiewano "Międzynarodówkę".
Pierre Ravaux został
aresztowany, skazano go później
na dwa lata więzienia. 4
czerwca, pod przewodnictwem
Leona Bluma, utworzono pierwszy
rząd Frontu Ludowego, o
orientacji socjalistycznej.
Przy drodze do Wysokich Fal
żółte okiennice willi "Promienny
Uśmiech" były zamknięte.

Część pierwsza

1933_#1939

(cd.)

III

Sara przeżyła śmierć ojca, jak
gdyby wszystko runęło: w jednej
chwili cały świat się zachwiał,
zakołysał, przywalił ją, burząc
wszystko, co dotąd było dla niej
pewne, podstawy jej życia. Po
raz drugi przeszła obok niej
śmierć zionąc jej w twarz swoim
lodowatym oddechem. Ale śmierci
matki chrzestnej nie odczuła tak
dotkliwie, może dlatego, że była
wtedy za mała, albo Sara Meyer
nie była jej tak bliska, albo
też dlatego, że aresztowanie
ojca przesłoniło to wydarzenie.
Tym razem cios raził ją z całą
swoją okrutną siłą. Kiedy
przywieziono do domu biedne,
okaleczone ciało z opatrunkiem
wokół czoła, nie sposób było,
rozsłuchanej, krzyczącej z
ból, powstrzymać przed
położeniem się na łóżku obok
niego, przed tuleniem się doń,
jak gdyby chciała udzielić mu
trochę swojego ciepła, trochę
swojego życia.

Pogrzeb był dla niej czymś
rozdzierającym. Wsparta na
ramieniu matki, jak ona ubranej

na czarno, z żałobną woalką,
omal nie zemdląła na straszliwy
odgłos pierwszych garści ziemi
rzucanych na trumnę. W tej
drewnianej skrzyni, pod coraz
grubszą warstwą ziemi, spoczywał
teraz zamknięty w niej na
wieczność, pozbawiony na zawsze
jej pocałunków, jej miłości,
człowiek, który dotąd wydawał
się jej najsilniejszy,
najpewniejszy, najsolidniejszy
na świecie. Sylvia, Robert i
Bruno musieli ją odciągnąć na
siłę od zamurowanego grobu,
zmusić ją, by razem z nimi
wróciła do domu, który robił na
niej straszne wrażenie pustki,
gdzie odczuwało się brak
zmarłego i tak już miało być
zawsze.

- Nigdy się z tym nie
pogodzę... Nigdy nie zapomnę...

- wyszeptwała wpatrując się w
puste miejsce przy stole.

Ból matki i braci wzmagał
jeszcze i potęgował jej własny.
Płakała ich łzami, dławiono ją
ich szlochaniem.

Widziała, jak Bruno, podobnie
jak ona nieprzytomny z żalu,
przeżywa bezustannie na nowo
straszliwą scenę śmierci ojca.

Dominowało w nim uczucie
niezrozumienia, bezsilności,
okrutnej niesprawiedliwości.

Zadawał bez przerwy te same,
dręczące go pytania, słyszała,
jak powtarzał:

- Dlaczego? Dlaczego stało się
to nieszczęście? Dlaczego
niczemu nie mogłem zapobiec?
Dlaczego tata rzucił się na
ratunek Chevance'owi? Dlaczego?

Robert jeszcze bardziej
niepokoił Sarę. Nie wydał ani
jednego krzyku, nie uronił łzy,
nie zaszlochał. Nie wymówił ani
jednego słowa; był jak
zamrożony, zeszywniały, z

pobladłą twarzą,
nieprzenikniony. Po powrocie z
pogrzebu poszedł prosto do
swojego pokoju, zamknął się tam
i siedział przez cały dzień,
głuchy na wszelkie wołania. Ani
Sara, ani nikt inny nie
wiedział, co robi, jakie dręczą
go myśli, co złowrózbnego
zaczęło nagle budzić się w nim z
chwilą, gdy bezpieczny dotąd los
obrócił się w dramat o nie
dających się przewidzieć
następstwach.

Ale największe współczucie i
miłość Sara przelała na matkę.
Biedna kobieta jeszcze boleśniej
niż dzieci przeżyła śmierć męża.
Żyła tylko dla niego, dzięki
niemu. Rozpadła się w proch jej
racja bytu. W żałobie okazywała
wprawdzie tę wielką godność,
jaką cechuje dotknięte
nieszczęściem żony robotników -
godność wojennych wdów czy wdów
po górnikach zabitych na skutek
wybuchu gazu - ale czuła, że jej
życie skończyło się, że dokonało
się w chwili, gdy brygadier
policji przyszedł ją zawiadomić
jak najostrożniej o dramacie,
gdy wrócił Bruno, jak błędny, z
rękami zboczonymi krwią,
płynącą z roztrzaskanej głowy
ojca.

W objęciach Sary wspominała,
szlochając, przeżyte z mężem
życie, od dnia, kiedy spotkali
się w dzielnicy okalającej
paryski Dworzec Wschodni, ona -
skromna gosposia świeżo przybyła
ze swej rodzinnej Owernii, on -
już wtedy prywatny kierowca, syn
subiekta w sklepie wędliniarskim
przy ulicy de la Fid~elit~e.
Pokochali się od razu. Ten krępy
rudzielec o jasnych oczach wydał
jej się silny i przystojny.
Pobrali się w 1909 roku i razem
pracowali kolejno w dwóch

mieszczkańskich domach. A potem przyszła wojna. W trzy lata po jego powrocie poszczęściło im się i znaleźli oboje pracę u Sary Meyer. Trójka dzieci urodziła się w rocznych zaledwie odstępach, dwoje starszych w Paryżu, a najmłodsza w Saint_mand~e.

- Dał mi dwadzieścia siedem lat szczęścia - powtarzała biedna kobieta. - I to się skończyło! Skończyło! Zbudował ten dom własnymi rękami, a był w nim szczęśliwy razem z nami tylko przez dwa żalosne lata... A jednak właśnie Sara z czasem doszła najszybciej do siebie; pozwoliło jej na to, stopniowo, dobre zdrowie fizyczne i moralne. O niczym nie zapomniiała: na kominku w swoim pokoju urządziła jakby ołtarzyk z fotografiami ojca i zdarzało się często, że siadywała przed nim i długo, z płaczem, wpatrywała się w zdjęcia przedstawiające go jako żołnierza 1914 roku, w stroju robotnika, albo razem z Sylwią, podczas ich ślubu, przed merostwem X dzielnicy. Ale z każdym dniem było coraz lepiej. I podobnie jak przedtem podsycała swój ból bólem matki i braci, tak teraz odzyskiwała siły dzięki ich powolnemu powrotowi do normalnego życia. Teraz kontynuowała naukę w liceum J."Ferry przy placu Clichy w Paryżu. Stawała się coraz piękniejsza i na ulicy oglądali się za nią mężczyźni, odprowadzając ją wzrokiem pełnym zachwytu, a czasem dwuznacznym. Ale ona szła dalej swoim tanecznym krokiem, patrząc prosto przed siebie, w przyszłość, którą w marzeniach wypełniała samymi szczęśliwymi

zdarzeniami, jednak śmierć ojca nauczyła ją już brutalnie, jak bardzo krucha jest podobna mrzonka.

- Z twoją urodą powinnaś grać w filmie! - mówiły jej koleżanki z liceum. - Annabella, Danielle Darrieux, Michèle Morgan, Mireille Balin musiałyby się dobrze starać! Wszystkie byś zakasowała, wystarczyłoby, żebyś się pokazała...

Ona jednak na razie zamierzała zdobyć zawód sekretarki, uczyła się angielskiego i niemieckiego, a równocześnie stenografii, stenotypii i pisania na maszynie. W sklepie papierniczym w Lagny wypożyczyła nawet maszynę do pisania Underwood i wieczorem, przy blasku lampy naftowej w swoim pokoju albo w jadalni, wygrywała na niej gamy nie patrząc na klawiaturę. Robert, choć mogło się to wydawać niemożliwe, stał się po śmierci ojca jeszcze bardziej ponury, jeszcze bardziej skryty niż przedtem. Uczył się nadal bardzo dobrze, teraz w liceum Voltaire'a w Paryżu. Ale wszystkie wolne chwile spędzał w swoim pokoju, nic tylko się uczył, czytał i roztrząsał nie wiedząc jakie smutne myśli. Zerwał stosunki z Lucienem Minoux i z Marcenakiem, zrezygnował też z niedzielnych spacerów, jak gdyby dopatrywał się w tym wszystkim czegoś nagannego, co ściągnęło na dom nieszczęście.

Po pogrzebie ojca Bruno nie poszedł więcej do drukarni. Poprosił Chevance'a, żeby uregulował jego rachunki - Ravaux dorzucił drobną sumę na otarcie łez, ale Bruno nie przyjął jej - i pożegnał się w jego imieniu z kolegami. Zwrócił

się następnie do przywódców związkowych w Paryżu, a ci, wiedząc kim jest, znaleźli mu pracę w drukarni prasowej. Ukończył już naukę zawodu i zarabiał tyle samo co wykwalifikowany robotnik, to znaczy około stu franków dziennie.

- Nie zniósłbym dłużej pracy w zakładzie Ravaux - wyjaśnił.

- Nie mógłbym przychodzić w to miejsce, gdzie zginął mój ojciec.

Rano i wieczorem jeździł więc pociągiem z piętrowymi wagonami i mijał Pomponne, gdzie wydarzyła się katastrofa, co znowu przypominało mu ojca i wzmagало ból po jego stracie. Ból nie słabnący, zdający się tłumaczyć po fakcie wszystkie jego wcześniejsze obawy, wszystkie przeżycia wywołujące w nim wyrzuty sumienia, że nie potrafił obronić ojca.

- Byłem blisko niego, a nic nie mogłem zrobić!

I łzy płynęły mu po policzkach, kiedy przy matce i rodzeństwie przeżywał na nowo i bez końca tragiczną scenę.

Czasem dodawał:

- Nie rozumiem. Nadal nie rozumiem. Pewnie nigdy tego nie zrozumie!

Jean Chevance również nie mógł zrozumieć, przede wszystkim dlaczego Elie wyskoczył przed niego, kiedy Pierre Ravaux podniósł swoją nabijaną ołowiem laskę. Po dłuższym namyśle znalazł jednak wytłumaczenie:

- Myślę, że to był odruch starego wiarusa. W okopach wszyscy byliśmy gotowi biec na pomoc koledze znajdującemu się w niebezpieczeństwie. Kiedy zobaczył, że Ravaux zamachnął się, zasłonił mnie; myślał, że

sama jego obecność, a przecież znana była jego polityczna neutralność, powstrzyma tego szaleńca od zadania ciosu.

Chevance zastanawiał się jeszcze chwilę, potem dodał:

- Niedobrze zrobił, biedaczysko! Przede wszystkim moje życie niewiele już jest warte, bez jednego kulasa i z pokiereszowanym pyskiem. Czy zdechnę teraz, czy trochę później, jakie to może mieć znaczenie? Od czasu Verdun żyję jak z bożej łaski. A poza tym, gdyby to mnie zabił Ravaux, to by dopiero był skandal!

"L.humanit~e" mogłoby napisać: "Faszyści z Lagny zamordowali zasłużonego inwalidę wojennego". To by trochę silniej poruszyło opinię społeczną niż morderstwo zwykłego robotnika, nawet ojca dzieciom!

Bruno nie był zbyt zachwycony uwagami Chevance.a, zwłaszcza tymi ostatnimi. Czy śmierć człowieka należy mierzyć jej efektami politycznymi? Miał tak skołatany umysł, że wreszcie zaczął nienawidzić Chevance.a na równi z Pierre.em Ravaux.

Ostatecznie, wszystko stało się z jego winy. Gdyby siedział spokojnie na miejscu i nie zamierzał tworzyć tej organizacji związkowej, Elie żyłby jeszcze.

A przecież Chevance okazał wiele serca. Przed pogrzebem Rittera zorganizował zbiórkę wśród pracowników drukarni i przyniósł Sylvii uzbierane pieniądze. Obiecał biednej kobiecie pomoc w razie potrzeby i od czasu do czasu widać było jego wysoką, kuśtykającą postać na drodze do Wysokich Fal.

Czasem towarzyszyła mu Z~elia Martinet albo ktoś inny spośród

robotników należących do związku zawodowego w fabryce Ravaux. Bo od czasu morderstwa, od aresztowania i skazania starszego syna, Auguste Ravaux zrobił się bardzo malutki, podobnie jego drugi syn. Skończyły się poranne sceny z uściskiem dłoni w halach. Właściciele nie wychodzili ze swego biura za obitymi skórą drzwiami. Niezbędną łączność zapewniał Pierre Valet; on też przyjmował delegacje związkowe, spisywał żądania robotników, a Ravaux, zawstydzony jak lis przyłapany w kurniku, spełniał je prawie wszystkie. Oddział związkowy Cgt działał teraz bez przeszkód, ale żeby to osiągnąć, trzeba było śmierci Elie Rittera.

Sylvia zapracowywała się chcąc jakoś uporać się z własnym cierpieniem. W domu, przy kuchni, przy maszynie. Oprócz szycia swetrów zajęła się ogrodem i drobnymi naprawami, próbując zastąpić w tych dwóch dziedzinach męża. Bruno pomagał jej, ile tylko mógł, jak to już robił z ojcem. Ale praca w Paryżu, przedłużona o czas na dojazdy - dwadzieścia minut pieszo z domu do stacji w Lagny, plus trzy kwadransy jazdy pociągiem i jeszcze dwadzieścia minut od Dworca Wschodniego do nowej drukarni, to samo z powrotem, sześć dni w tygodniu - nie zostawiała mu dużo wolnego czasu. Matce pomagali więc Robert i Sara. Nie za wiele. Sara robiła to chętnie, ze zwykłym sobie serdecznym oddaniem. Robert natomiast tylko pod przymusem i to z wyraźną niechęcią włączył się do prac w domu albo w ogrodzie. A ponieważ był w dodatku niezgrabny, Sylvia

starala się nie korzystać z jego pomocy.

- Mój ty biedaku! Kiedy masz wbić gwóźdź, to zaraz potłuczesz sobie palce, skrzywisz gwóźdź i zniszczysz ścianę!

- To nie moja wina, mamó. Cóż chcesz, ja jestem intelektualistą.

Twierdził, że chce zostać pisarzem. Na podstawie przeczytanych książek, a może także i osobistych przeżyć, o których rodzina nic nie wiedziała, pisał eseje, opowiadania, nowele i dawał je do przeczytania nauczycielom. Odważył się nawet posłać jedno opowiadanie do "La Nouvelle Revue fran~caise". "* Zwrócono mu je z uprzejmymi pochwałami, ale wcale go to nie zraziło. Od czasu śmierci ojca pisanie stało się dla niego wewnętrzną potrzebą, która kiedyś powinna rozwinąć się w pełni.

Czasopismo literackie założone w 1909 r. przez A."Gide.a, J."Copreau i J."Schlumbergera oraz wydawnictwo (powstało w 1911 r., obecnie Gallimard).

Zawieszono w 1943 r., ukazuje się znowu od 1953 r. promując twórczość wybitnych pisarzy francuskich i obcych.

Śmierć Elie Rittera położyła kres zabawom na pobliskiej farmie. Wraz z nią dzieci Ritterów osiągnęły przedwcześnie taką dojrzałość, że te igraszki wydały im się zarazem bluźniercze i śmieszne, i uznały, że z nich wyrosły.

Rozluźniły się więc także stosunki Sary z Pierre.em Marnier, co nie przeszkadzało młodemu sąsiadowi przychodzić od czasu do czasu do nich do domu i wpatrywać się w wybrankę swego serca rybimi oczami, jak to

określała Sylvia.

- Nie śmieję się z niego, mam!

- broniła go Sara. - Jest taki miły...

- Lubisz go? - pytała z niepokojem matka.

- Tak, lubię go. To miły kolega... Ale nic poza tym, możesz być spokojna.

Zacieśniły się natomiast stosunki Sary z Agathe Marcenac. Po śmierci Ritters Marcenacowie pierwsi spośród sąsiadów przyszli złożyć kondolencje, oferując w razie potrzeby swoje usługi i okazując w ten sposób swoją solidarność. Marnierowie nie byli tacy gorliwi, może z powodu przekonań politycznych, które nie pozwalały im zrozumieć, jak to się stało, że prasa i partie lewicowe mogły wykorzystać śmierć sąsiada.

- Zrobili z Elie Ritters bohatera, choć jego śmierć była zwyczajnym wypadkiem! Bardzo nieszczęśliwym, przyznaję, ale przecież tylko wypadkiem...

Te słowa wypowiedziane publicznie przez Ernesta Marnier powtórzono Sylvii. Wiedziała, że jest w tym część prawdy, ale poczuła się urażona; dla niej mąż był nie kwestionowanym bohaterem.

W każdym razie, wzorem rodziców, Agathe Marcenac często przychodziła do Ritterów, spędzała z Sarą długie wieczory próbując ją pocieszyć. Później zaczęła ją wyciągać z domu, starała się ją rozerwać, żeby w miarę możliwości przestała myśleć o swoim cierpieniu. Sara nie zapominała o tym, jakie złe wrażenie wywarła na niej początkowo Agathe: jej fałszywych spojrzeń podczas przyjęcia na trawie z okazji

ukończenia budowy domu, jej zachowania podczas zabaw na farmie, szpiegowania jej samej i Pierre.a Marnier, a potem własnego ojca, Luciena i Roberta. Ale wdzięczna jej była za okazywane współczucie, chętnie widziała ją wieczorami w domu i z przyjemnością wychodziła z nią na spacer.

Tej niedzieli Agathe zaciągnęła Sarę do swojego pokoju na farmie. Marcenaców nie było w domu, a chłopcy bawili się na dworze i nie było potrzeby zajmować się nimi. Obie dziewczyny wyciągnęły się na łóżku i Agathe wyjęła ilustrowane pisma filmowe. Nagle pokazała przyjaciółce zdjęcie Joan Crawford w "Chwili pokusy". Gwiazda o wydatnych ustach ubrana była w bluzkę z dekoltem śmiało odsłaniającym jej piersi. Agathe popatrzyła na nią, a potem na Sarę.

- Ty masz ładne piersi, ale mniejsze od niej!

Sara uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała.

- Ja też mam duży biust, ale noszę biustonosz. Dlaczego ty nie nosisz stanika?

- Bo nie muszę. Moje piersi trzymają się bardzo dobrze bez tego.

- Och, żartujesz. W staniku trzymałyby się jeszcze lepiej. Poczekaj, kupiłam nowy wczoraj rano na targu... Nie chcesz przymierzyć?

- Czemu nie!

Sara ubrana była w zwykłą płócienną spódnicę i bawełnianą bluzkę. Rozpięła bluzkę ukazując pełne, wspaniałe piersi.

Wyciągnęła rękę po biustonosz, który podawała jej Agathe i w tej samej chwili napotkała spojrzenie przyjaciółki, dziwne

spojrzenie. Agathe miała lekko rozchylone wargi, przyspieszony nagle oddech. Powiedziała zmienionym głosem:

- Jakaś ty piękna, Saro!

Równocześnie wyciągnęła rękę w stronę wspaniałych piersi Sary, gestem pieszczoty i nieodpartego pożądania, a tymczasem jej druga ręka błądziła między jej własnymi udami.

- Nie! - krzyknęła Sara. -

Nie, nie Agato!

Zapięła bluzkę i uciekła trzaskając drzwiami. W jednej chwili zrozumiała wszystko: ciekawość, która popchnęła Agathe do podpatrywania jej i Pierre'a Marnier, do podglądania osobliwych figli Marcenaca z jego młodymi przyjaciółmi, a później do tego, by pokazać to Sarze. Było coś perwersyjnego, coś podejrzanego w tej pozornie zdrowej, pięknej dziewczynie.

Sara poczuła do niej teraz pewnego rodzaju wstręt.

Dziewczyny zaniechały więc, jeśli nie widywania się, to przystawania ze sobą.

W kilka tygodni później, wieczorem, Marcenac wpadł jak szalony do willi "Promienny Uśmiech".

- Saro! Musisz pójść ze mną.

Agathe miała wypadek. Jest w szpitalu. Prosiła, żebyś ją odwiedziła...

Od pewnego czasu Agathe pracowała w farbiarni położonej nad brzegiem Marny, w Thorigny.

Po południu pośliznęła się na mokrej podłodze. Jej prawa ręka dostała się do pasa

transmisyjnego. Koło pasowe ucięło ją nieco poniżej łokcia.

Sara poszła z Marcenackiem, przyłączyła się do nich i

Sylvia. Agathe leżała na łóżku szpitalnym pojękując, bardzo

blada, jej rękę spowijały
bandaże. Sara pochyliła się nad
nią.

- Saro! Dziękuję, że
przyszłaś... Ja... Ja chyba
umrę... Chciałam ci więc
powiedzieć... chciałam cię
prosić o przebaczenie... za
tamto... To nie moja wina... To
nie moja wina...

Agathe jednak nie umarła. Po
miesiącu wyszła ze szpitala i
Sara potrafiła odwzajemnić
życzliwość, jakiej od niej
zaznała po śmierci ojca.
Chodziła ją odwiedzać w domu,
potem wyciągała na pierwsze
spacery. Agathe wstydziła się
przytłaczającego ją dramatu,
swojego kalectwa, ludzkiej
ciekawości i litości, ze wstydu
usiłowała ukryć rękę pod połą
żakietu narzuconego na ramiona.
Później lekarze założyli jej
protezę - metalowe ramię
podtrzymywane na pasach,
obciążnięte skórą. Zakończono
dłonią w rękawiczce, o sztywnych
palcach - którą ukrywała w ten
sam sposób. Nie mogła,
oczywiście wrócić do pracy w
garbarni; po ciągnącym się w
nieskończoność procesie i
zaciekłym sporze biegłych,
zakład przyznał jej ostatecznie
niewielką rentę.

Wkrótce po śmierci męża Sylvia
dostała list z nagłówkiem domów
towarowych Galeries de
l.op~era. List zawierał
kondolencje od Raymonda Meyera,
wyrazy żalu, że nie mógł przybyć
na pogrzeb, oraz radę, żeby jak
najszybciej udała się do
notariusza Luciena Morau z
Saint_mand~e i "uregulowała
sprawy". Skoro tylko Sylvia
otrząsnęła się nieco z
nieszczęścia, które ją dotknęło,
wsiadła do pociągu do Paryża,

skąd metrem pojechała do
Saint_mand~e.
Notariusz przygotował
rozliczenie, jakie miało być
sporządzone po śmierci Rittera.
Na początku zapis Sary Meyer na
rzecz Ritterów dołączono do ich
własnego majątku, a nietrudno
się domyślić, że nie było tego
zbyt wiele. Ponieważ małżeństwo
zawarli na zasadzie wspólnoty
majątkowej, koszty budowy domu,
które pochłonęły mniej więcej
połowę kapitału, pokrywali
oboje. Po śmierci Rittera wdowa
po nim odziedziczyła czwartą
część pozostałej sumy z prawem
użytkowania pozostałych trzech
czwartych, co powinno wystarczyć
na otrzymywanie przez nią do
końca jej dni renty,
pozwalającej na przyzwoite
życie, z tym jednak, że musiała
z tego utrzymywać dzieci do
czasu osiągnięcia przez nie
pełnoletności. Bruno, Robert i
Sara mieli wówczas otrzymać
swoją część spadku i stać się
razem z matką współwłaścicielami
działki i domu, bez prawa
podziału. Sara miała wtedy
podjąć także, osobiście i
bezpośrednio, sumę zapisaną jej
indywidualnie przez matkę
chrzestną.
Biedna Sylvia niewiele z tego
wszystkiego zrozumiała. A nawet
nic z tego, co dotyczyło
podziału majątku. Jasne wydało
się jej to, co notariusz
powiedział jej w sprawie renty,
jaką odtąd miała otrzymywać.
- Ta renta pozwoli pani na to
- wyjaśniał notariusz - by te z
dzieci, które będą tego chciały,
mogły bez przeszkód kontynuować
naukę do czasu pełnoletności i
zapewnić sobie korzystny start.
To było wszystko, co
interesowało Sylvię: żeby Sara

mogła zdobyć dyplom dwujęzycznej sekretarki, o który się teraz ubiegała, żeby Robert mógł zostać, jeśli zechce, profesorem, dziennikarzem lub pisarzem. Co się tyczy Bruna, to zarabiał teraz przyzwoicie jako robotnik w Drukarni Centralnej przy ulicy du Croissant, na rogu ulicy Montmartre, naprzeciwko piwiarni, gdzie 31 lipca 1914 roku został zamordowany Jaurès. Młody człowiek oddawał część zarobków matce, a resztę zostawiał sobie. Nie było więc powodu, żeby się o niego zbytnio martwić.

Po powrocie do Lagny Sylvia zabrała się do rachunków. Wynikało z nich, że będzie mogła utrzymać się przyzwoicie z renty, jaką miała teraz dostawać. Była jednak sprawa, która budziła jej niepokój, w miarę upływu miesięcy i lat nie mogła nie dostrzec stałej podwyżki cen wszystkiego, co kupowała. Zachowała swój stary zeszyt z rachunkami. Widziała, że w 1932 roku za kilogram chleba płacono dwa franki dziesięć centymów, za litr mleka franka pięćdziesiąt, a za kilogram polędwicy wołowej dwadzieścia franków. Teraz, a był rok 1938, chleb kosztował dwa franki osiemdziesiąt cztery centymy, mleko jednego franka dziewięćdziesiąt sześć centymów, a polędwica prawie trzydzieści trzy franki. Podwyżki były jeszcze dość umiarkowane. A co się stanie, jeśli ceny znów wzrosną? Przecież wysokość renty wypłacanej przez notariusza Moreau będzie stała. Trzeba więc było żyć jak najskromniej, oszczędzać... i przyuczać dzieci do tego samego. Sylvia starała się wprawdzie

więcej pracować dla wytwórcy swetrów, a i Bruno wnosił swój wkład, nie musieli przecież płacić czynszu, ani za wodę, ani za prąd. Bieżące wydatki przeznaczone były wyłącznie na żywność i odzież, na kupno nafty do oświetlenia, gazu do gotowania, a zimą drewna i węgla do ogrzania domu. Sytuacja, chociaż nie zatrważająca, była jednak niepokojąca i Sylvia odpowiedzialna teraz za rodzinę pozbawiona silnego wsparcia męża, martwiła się.

Dzieci nie miały podobnych trosk.

- Nie widzą dalej niż czubek własnego nosa! - użalała się Sylvia.

Elie Ritter nie popadł, oczywiście, w zapomnienie. Sara nadal utrzymywała rodzaj ołtarzyka, jaki urządziła w swoim pokoju ze zdjęć zmarłego. A matka i bracia łączyli się z nią często w tym niezmiernie bolesnym rozpamiętywaniu, które za każdym razem doprowadzało ich wszystkich do płaczu. Robert powiadomił resztę rodziny, że od tej pory poświęca swój wolny czas na pisanie książki upamiętniającej ojca. Bruno, chociaż na pozór żył normalnie, choć regularnie chodził do pracy i wyglądał na zadowolonego, nie mógł otrząsnąć się z szoku doznanego podczas strasznej sceny, jaką przeżył na dziedzińcu drukarni Ravaux. I wreszcie, przynajmniej raz w tygodniu, matka z trójką dzieci chodzili na cmentarz w Lagny, gdzie dumali nad grobem zmarłego przystrojonym zawsze dzikimi i ogrodowymi czerwonymi różami. Ale życie odzyskało swoje prawa. W ciągu 1937 roku Bruno i Sara razem albo każde z osobna,

zwiedzali kilkakrotnie
Międzynarodową Wystawę
Współczesnej Sztuki i Techniki
zorganizowaną, nie bez
trudności, przez Rząd Frontu
Ludowego, lecz zakończoną pełnym
sukcesem: to "okno wystawowe
Francji", jak się wyraził Leon
Blum, obejrzało około
trzydziestu dwu milionów
zwiedzających.

Sara dostrzegała w tym okazję
do odbywania zajmujących
spacerów, lecz także możliwość
lepszego poznania interesujących
ją lub pociągających zawodów, a
przez to zaspokojenia
ciekawości, pozostającej nadal
jedną z głównych cech jej
charakteru.

- Byłam na pokazie mody -
opowiadała wieczorem matce. -
Ale oprócz modelek widziałam
też, jak pracują robotnice
zatrudniane przez wielkich
krawców i modystki. Z jednej
strony przepych pokazu... a z
drugiej mozół szwaczek...
Bruno, wyjeżdżając z Lagny,
miał, podobnie jak siostra,
dwadzieścia franków w kieszeni,
ale nie musiał płacić za podróż,
bo dysponował kolejowym biletem
tygodniowym. Wstęp na wystawę
kosztował siedem franków,
kupował paczkę gauloisów za dwa
pięćdziesiąt, resztę mógł
przeznaczyć na drobne zakupy,
lody lub kanapki. Przez cały
dzień przemierzał pawilony
wystawowe i wracał zmordowany, w
zakurzonych butach, z głową
pełną obrazów, muzyki i hałasu.
Od roku już trwała wojna w
Hiszpanii i w pawilonie
Republiki Hiszpańskiej obejrzał
obraz Picassa, "Guernikę".
- To wspaniałe! - opowiadał. -
Widać ciała, twarze strzaskane
przez bomby faszystów.

Słuchać... tak, słuchać odgłosy
wybuchów. Stałem tam całą
godzinę, oszołomiony,
zmartwiał. A potem, po wyjściu
zwrócił moją uwagę inny widok:
pawilon niemiecki i radziecki
naprzeciw siebie. Nad pawilonem
niemieckim wznosił się orzeł ze
swastyką. Na pawilonie
radzieckim stoi ogromna rzeźba,
przedstawiająca mężczyznę i
kobietę dzierżących w dłoniach
młot i sierp...

Ale najbardziej interesowały
Bruna pawilony prasy, radia i
telewizji. W pierwszym
zwiedzający mogli zobaczyć, jak
powstaje gazeta, prezentowano
tam również czcionki drukarskie
odlewane w hucie Deberny.ego,
nazwane Europa, peignot,
gwiazda, scribe. W drugim Bruno
obejrzał pierwsze obrazy
sfilmowane przez znajdującą się
dopiero w powijakach telewizję:
koncert orkiestry Lamoureux
wykonującej "Bolero" Maurice.a
Ravela i przedstawienie "Cyda" w
wykonaniu aktorów z Com~edie
Fran~caise.

Nagabywany przez starszego
brata, żeby poszedł z nim kiedyś
na wystawę, Robert odpowiedział:
- Mnie to nie interesuje!
Rzeczywiście, zdawał się coraz
bardziej odwracać od wszelkich
przejawów czynnego życia, od
wszystkiego, co nie było jego
literacką mrzonką. Ubierał się
byle jak, mył się tylko wtedy,
gdy przypomniła mu o tym matka,
przychodził do liceum potargany.
Zjadał cokolwiek, na brzeżku
stołu, kiedy był głodny. Chodził
ulicami jak automat, czasem
wymachując rękami, głośno mówiąc
do siebie. Nie miał przyjaciół,
w każdym razie Sylvia nic o tym
nie wiedziała, nikomu nie było
wiadomo, czy spotyka się z

jakimiś kobietami. Nadal czytał bez umiaru, po pięć, po sześć książek tygodniowo, bez ładu i składu, robiąc w zeszycie notatki swoim, od pewnego czasu bezkształtnym, prawie nieczytelnym pismem. Jego pokój przypominał graciarnię, książki i broszury poukładane były byle jak, tworząc chwiejne sterty, ściany pokrywały notatki nabazgrane czerwonym ołówkiem, z biblioteki Sary Meyer wysypywały się książki, zeszyty i papiery, na podłodze wałała się brudna bielizna, a po kątach buty rzucone z rozmachem.

- Brud, smród i pomieszanie z poplątaniem! - mówiła żartobliwie Sara.

Od czasu do czasu Sylvia próbowała zaprowadzić tam trochę porządku, ale wystarczyło, że przełożyła najmniejszy karteluszek, najmniejszy skrawek papieru, a dostawała taką burę, że wreszcie rezygnowała, zostawiała wszystko, tak jak było, ograniczając się tylko co rano do pościelenia łóżka, o czym nie było mowy w przypadku pozostałej dwójki, bo Sara i Bruno, czyści i porządni, sami sprząтали swoje pokoje.

Pewnego dnia, po rozpoczęciu roku szkolnego, jesienią 1938 roku, Sylvia została wezwana przez dyrektora liceum Voltaire'a.

- Pani Ritter, mamy pewien kłopot z pani synem... Podczas lekcji wygląda tak, jakby nie słuchał. Oczy ma utkwione w przestrzeń, jakby przebywał gdzieś indziej, z dala od wszystkiego, a zwłaszcza od szkoły, od profesora i kolegów. Jeśli ktoś odważy się zwrócić do niego, sprawia wrażenie, jakby budził się nagle, z trudem z

tajemniczego i głębokiego snu.
Muszę powiedzieć, że jeśli
chodzi o naukę, nie mamy do
niego zastrzeżeń: zarówno w
pracach pisemnych jak i ustnych
jest najlepszy z naszych
uczniów, bez względu na temat,
jak gdyby miał intuicyjną wiedzę
o wszystkim. Ale niepokoi nas
jego zachowanie. Musi wyjść z
tego zamknięcia w sobie. A pani
powinna mu w tym pomóc. Powinien
się przewietrzyć, uprawiać...
czy ja wiem... muzykę albo
sport. Tak, sport! Sądzę, że to
by było najlepsze rozwiązanie.
Chyba w Lagny jest klub piłki
nożnej?
Sylvia wzruszyła ramionami.
Jak przekonać do sportu chłopca,
którego trudno było wyrwać ze
snu, żeby coś zjadł? Który nie
miał nawet budowy sportowca.
Robert skończył siedemnaście lat
i był wysoki, ale chudy jak
szkielet. Nie sposób było
wyobrazić sobie, jak swoimi
długimi, wątlymi nogami kopie na
boisku piłkę, albo jak podnosi
ciężary swymi rękami cherlaka.
Robert miał posturę
intelektualisty, mola
książkowego. Sylwią martwiło to,
ale miała świadomość, że nic na
to nie poradzi. Zresztą, zbyt
dobrze wiedziała, jakby to
zostało przyjęte, gdyby pewnego
dnia powiedziała do syna:
- Robercie, zapisałam cię do
klubu piłki nożnej w Lagny.
Nie warto było nawet o tym
myśleć. Trzeba się było pogodzić
z losem. Sylvia miała troje
dzieci, każde z nich o innej
osobowości: Bruno, to praca
fizyczna, porządek,
metodyczność. Sara, to spokój,
uroda i zadziwiający upór we
wszystkim, co podejmowała.
Robert, to nieład, anarchia,

lecz również bogactwo intelektualne. Nie było na to żadnej rady. Nawet Elie, gdyby jeszcze żył, nie mógłby zmienić charakteru swoich dzieci. Ani ich przeznaczenia.

A prawda była taka, że Robert miał w życiu dwa punkty zainteresowania. Pierwszy, to rozmyślania intelektualne, nauka, literatura. Drugi zaś... Zaprzestał zupełnie spotkań z Lucienem Minoux i Marcenakiem. Oprócz tego, że stosunki z nimi mogły, jak mu się zdawało, przynieść jemu i jego ojcu nieszczęście, zrozumiał, że w Lagny łatwo było o skandal, zwłaszcza ze względu na ciekawość Agathe, którą nieraz przyłapał na badawczych spojrzeniach. Ale nie uciekł bynajmniej przed swoją głęboką naturą, przed potrzebami seksualnymi, o których dobrze wiedział, że są inne niż u większości ludzi, czym pocieszało go twierdzenie Gide'a z przeczytanego z wielką pasją "Korydona": "Mówi się, że jest sprzeczne z naturą to, co jest sprzeczne ze zwyczajami". Nie wstydząc się zbytnio tego, czego nieodparcie domagało się jego ciało, zamierzał wszakże utrzymywać to w tajemnicy i sprawić, aby od niego, ani od innych nie dowiedzieli się nigdy o niczym matka i rodzeństwo. Zadowalał się więc pośpieszными i ukradkowymi spotkaniami z przypadkowymi partnerami. Wkrótce stał się bywalcem tradycyjnych miejsc takich spotkań. Miał swoją stałą trasę od liceum Voltaire'a do Dworca Wschodniego, ale do akcji wkraczał dopiero w pobliżu placu de la R~epublique. Z daleka już przypatrywał się szaletowi

sprawdzając, czy jest zajęty i jeśli tak było, wchodził z bijącym sercem. W niektóre wieczory zaspokojenie przychodziło szybko i oddalał się pośpiesznie. Kiedy indziej wszelkie próby okazywały się bezowocne i wracał do domu zagniewany, zgorzkniały, rozdrażniony.

Pod koniec 1938 roku ukończył rękopis, o którym mówił rodzinie. Zapowiadał książkę o śmierci ojca, ale napisał tylko długą nowelę, na jakieś pięćdziesiąt stron, którą Sara przepisywała na maszynie ze łzami w oczach.

- Mój Boże, Robercie, jakie smutne to, co napisałeś! Ale też niejasne i zagmatwane! Muszę ci wyznać, że gdybym, niestety, nie znała tematu, niewiele bym z tego zrozumiała.

Robert wzruszył ramionami.

- Nie rozumiesz - odparł - bo nie masz pojęcia o współczesnej literaturze! Zatrzymałaś się, biedaczko, na D~ellym"* i Z~ena~idzie Fleuriot!"* Powinnaś poczytać utwory takich pisarzy, jak James Joyce czy William Faulkner. Wiedziałybyś wtedy, że powieść czy nowela może i powinna być czymś innym niż kopiowaniem drobnych życiowych zdarzeń. Jest jeszcze to wszystko, co się dzieje na drugim planie, wszystkie ukryte motywy. Kiedy jakaś postać mówi coś albo robi, trzeba opisać wszystko, co ją do tego gestu czy słowa doprowadziło. Przeszłość, myśli ukryte w podświadomości jednostki. Wszystko, co niedostrzegalne w rzeczach widzialnych i bezpośrednich...

Delly - pseudonim pary autorskiej Jeanne (1875_#1947)

i Fr~ed~erica (1875_#1949)
Petitjean de la Rosi~ere.
Napisali wspólnie wiele
niezwykle popularnych powieści
sentymentalnych, pełnych
przygód, perypetii, z happy
endem.

Z~ena~ide Freuriot
(1829_#1890), francuska autorka
popularnych powieści dla
dziewcząt.

Robert zrobił niejasny ruch
ręką, jakby w zaduchu pokoju
chciał wskazać coś
niewidzialnego. Potem, wobec
wyraźnego braku zrozumienia u
siostry, wzruszył ramionami i
wymamrotał:

- Co tam! Zobaczymy...

W miesiąc później Robert
dostał list z nagłówkiem
"Marianne", poważnego tygodnika
polityczno_literackiego, do
którego posłał swój tekst.

"Marianne" skupiała wszystkich
liczących się wówczas
intelektualistów lewicowych, do
jej stałych współpracowników
zaliczali się: Andr~e Gide,
Andr~e Malraux, Jean Gijono,
Louis Gilloux, Jean Gu~ehenno,
Jean Casou, Louis Aragon, Henry
Poulaille, Andr~e Chamson. W
liście podpisanym przez
dyrektora Emmanuela Berla,
Robert czytał:

"Pańska nowela jest
interesująca... Ale, z jednej
strony, jest za długa, byśmy ją
mogli opublikować w całości. Z
drugiej strony, choć źródło
natchnienia i styl jest
doskonały, zawiera ona niejasne
punkty, które naszym zdaniem,
zasługują na przedyskutowanie
ich z panem, a były już
przedmiotem dyskusji u nas, w
kolegium redakcyjnym. Czy
zechciałby Pan zaszczyścić nas
swoją wizytą?"

Nazajutrz był czwartek i w liceum nie było lekcji. Robert skorzystał z okazji, żeby pojechać do redakcji "Marianne". Woźny kazał mu napisać nazwisko na karteczce, zniknął na chwilę i wrócił prosząc, żeby zaczekał. Robert usiadł w skórzanym fotelu i zapalił papierosa. Palił od niedawna, nie proletariackie gauloisy, jak Bruno, ale papierosy angielskie, De Reszque minors z ustnikiem z korka, których reklama obiecywała "dziesięć minut przyjemności". Tytoń miał dla niego upajający smak nowych doznań. Na oczekiwaniu upłynął mu długi kwadrans. Od czasu do czasu przechodziła przed nim przez poczekalnię jakaś wyraźnie ważna osobistość z książkami i papierami pod pachą, a woźny kłaniał się jej z szacunkiem. Jako ostatni przybył mężczyzna w zdefasonowanym, rybackim kapeluszu w kratę i w pelerynie z lodenu w kolorze zgniłozielonym, którą był szczelnie otulony, choć jesień 1938 roku była wyjątkowo ciepła. Miał sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt lat, długą kościstą twarz, nosił okulary w szylkretowej oprawie. Robert zdrzął, bo rozpoznał André Gide'a, mistrza swoich myśli, swojego literackiego boga, pisarza, który dużo wcześniej niż Joyce i Faulkner wywarł na nim najsilniejsze wrażenie, a to z wielu powodów, z których najskrytszym, lecz może także najbardziej decydującym była próba usprawiedliwienia homoseksualizmu, jakiej autor "Falszerzy" poświęcił wiele miejsca w swojej twórczości, a nawet jedną całą książkę. Onieśmielony Robert siedział

jednak cicho, zapadnięty w swój fotel.

- Berl jest u siebie? -
zapytał Gide.

- Tak, mistrzu! - odpowiedział
woźny. - Ale ktoś już u niego
jest. I czeka jeszcze ten pan.

Wymawiając słowo "pan",
wskazał kątem oka na Roberta.

Gide odwrócił się, wpatrzył się
w młodzieńca. Robert wyczytał w
jego wzroku najpierw zaskoczenie

- do "Marianne" chyba rzadko
przychodzili ludzie równie
młodzi jak on - potem ciekawość,
wreszcie zainteresowanie.

Przymykał powieki, jakby był
krótkowidzem, jak gdyby to
przymrużenie pomagało mu widzieć
lepiej. Robert nie był

człowiekiem wielkiej urody, ale
młodość chłopców nadal wzruszała
starca. Robert pomyślał
błyskawicznie o tym fragmencie z
"Immoralisty", gdzie Marceline
pożąda do gimnazjalistów.

- W takim razie poczekam razem
z panem...

Miał niski, dobrze postawiony
głos, którego modulacje
przywodziły na myśl aktora.

Usiadł w fotelu obok Roberta,
przyjrzał mu się znowu, pytając:

- ...z panem?

- Robertem Ritterem, mistrzu!

- odpowiedział Robert ze
ściśniętym gardłem, gasząc
papierosa w popielnicze
stojącej na stoliku, w zasięgu
jego ręki.

- Robert Ritter! Chwileczkę...

Robert Ritter? Czy to nie pan
przysłał naszemu kolegium
redakcyjnemu długą nowelę,
zatytułowaną, jeśli dobrze
pamiętam, "Śmierć ojca"?

- Tak, mistrzu!

- Jakież pan jest młody!

Czytając pański tekst miałem

wrażenie, że autor jest... co najmniej w moim wieku. I oto spotykam zupełnie młodego człowieka, zupełnie młodego chłopca. To nadzwyczajne! Jak można w tak młodym wieku osiągnąć już... taką dojrzałość umysłu? Proszę mi powiedzieć, "Śmierć ojca"... to zdarzenie prawdziwe, czy tak?

- Tak, mistrzu! Mój ojciec, to ten robotnik, który został zabity przez faszystowskich zbirów na dziedzińcu fabryki, w której pracował w Lagny. Pisały o tym wszystkie gazety.

- Mój Boże, tak, przypominam sobie tę tragedię! Przeżyć coś takiego w pańskim wieku, rzeczywiście można po czymś takim osiągnąć dojrzałość umysłu. Po pańskim tekście można domyślić się też wielu lektur, tych najlepszych i trochę gorszych... Dużo i może za dużo lektur. Daje się odczuć, że jest pan pod wpływem takich ludzi, jak Joyce, jak Faulkner...

- Jeśli ktoś wywarł na mnie wpływ, to również pan, mistrzu! Przeczytałem wszystkie pańskie książki i...

Gide wybuchnął gardłowym śmiechem.

- To może nie jest najlepsze, co pan mógł zrobić! Ale jak się zastanowić, tak, to się daje odczuć... W pańskim stylu, w płynności niektórych zdań. To prawda, że jest pan w wieku kiedy potrzebuje się jeszcze wzorów. Ale niech pan zbytnio nie ufa ani mnie, ani mojej twórczości. Pamiętaj pan moje "Pokarmy", ta apologia ubóstwa. "Kiedy mnie przeczytasz, wyrzuć tę książkę - i wyjdź! Nie zabieraj mojej książki ze sobą. Wyzwól się od niej. Porzuć mnie!" Co do Joyce.a i

Faulknera, to są z pewnością interesujący pisarze. Ale z jakim uporem gubią się w manierze i w zabiegach stylistycznych! Nie powinien pan naśladować ani ich, ani mnie.

Miał pan temat, który pana blisko dotyczy, temat tragiczny.

Otóż, przystroił go pan w nadmiar literatury, tworząc obrazy o nader abstrakcyjnym symbolizmie. Zbacza pan z tematu, cofając się aż do wojny po to, by odpowiedzialnością za śmierć ojca obciążyć ludzi naszych czasów. I pisze pan... to zdanie uderzyło mnie swoją naiwnością... "te pociski spadające na okopy, na żołnierzy, kaskadą, jak słupy ognia". Ależ to Barbusse w najgorszym wydaniu!

I znowu gardłowy śmiech.

Robert pomyślał o Sarze, która powiedziała mu mniej więcej to samo.

- Nie, niech mi pan wierzy, Robercie. Pozwoli pan, że będę mu mówił po imieniu? Lepiej by pan zrobił, moim zdaniem, gdyby pan opisał tragiczną śmierć ojca po prostu, bez tych literackich ozdobników, które w efekcie sprawiają wrażenie bluźnierstwa. Niech pan tylko pomyśli, co by z takiego tematu wydobył mój drogi Charles_louis Philippe z tą swoją przejrzystością, prostotą, czystością stylu...

Znowu krótki śmiech.

- O, proszę! Przywodzi mi pan na myśl słowa wypowiedziane przez pisarza, który nazywa się Henry Poulaille... wie pan, autor "Chleba powszedniego". Powiedział on: "Niech piszą tylko ci, którzy mają coś do powiedzenia!". Nie sugeruję, że pan nie ma nic do powiedzenia. Jestem przekonany, że temat,

jaki pan podjął, narzucał się panu z całą mocą. Ale, gdybym miał panu coś doradzać...

niechętnie udzielał porad, ale ostatecznie... to powiedziałbym tak: zanim zabierze się pan do pisania, niech pan poczeka, po pierwsze, aż pisanie stanie się dla pana nieodpartą

koniecznością, po drugie, aż wypracuje pan sobie własne narzędzie, własny, osobisty styl. Żeby, chcąc zapisać własną myśl, nie musiał pan więcej pożyczać pióra od innych...

W sąsiednim pokoju rozległ się hałas. Otworzyły się drzwi. Ukazał się w nich wysoki, chudy mężczyzna o siwych włosach zaczesanych do tyłu, najwyraźniej "pan na włościach". Przepuścił klienta, spostrzegł Gide.a.

- Pan tutaj? Nikt mnie nie zawiadomił.

- Nic nie szkodzi! Czekam na pana w bardzo miłym towarzystwie tego oto młodego człowieka. To Robert Ritter, wie pan, autor tej noweli, "Śmierć ojca", o której dyskutowaliśmy na ostatnim kolegium redakcyjnym. Berl odwrócił się do Roberta.

- Nie sądziłem, że pan jest taki młody! - powiedział on z kolei.

Potem dodał innym głosem:

- Czy mogę pana prosić jeszcze o kilka chwil cierpliwości?

Przyjmę tylko Andr~e Gide.a i zaraz potem porozmawiam z panem. Przepuścił autora "Pokarmów" w drzwiach i wszedł za nim. Drzwi gabinetu zamknęły się. Robert został sam z woźnym. Zastanawiał się, czy czekać dalej. Po co? Gide powiedział mu już wszystko. Pomyślał jednak, że powinien poczekać, choćby przez grzeczność. Po upływie kwadransa

Gide wyszedł odprowadzany przez Berla. Uścisnął dłoń Roberta.

- Bardzo mi było miło poznać pana, młody człowieku. W razie potrzeby proszę się zwrócić do mnie bez wahania...

Berl poprosił Roberta do gabinetu.

- Gide powiedział panu, co myślimy o pańskim utworze. Poza uwagami, które wypowiedział w naszym imieniu, jest jeszcze jedna, ważna - pańska nowela jest za długa. W naszej gazecie nowele nie powinny przekraczać jednej kolumny, to znaczy mniej więcej dwudziestu do dwudziestu pięciu stron maszynopisu. Mam więc dla pana propozycję: skróci pan swój utwór do tej objętości, a przy okazji usunie dygresje, to, co nie jest istotne. Pańska nowela zyska przez to na wartości, na wiarygodności. Jeśli pan przystanie na tę propozycję, nowela ukaze się w "Marianne". Jeśli nie, niestety...

Robert spuścił głowę.

- Nie! Nie chcę niczego usuwać, niczego zmieniać. Albo nowela ukaze się w całości, albo wolę ją wycofać. Może po to, żeby ją zanieść do redakcji bardziej... otwartej na poszukiwania młodych pisarzy.

- Jak pan sobie życzy, młody człowieku! Oto pański rękopis.

Proszę przyjąć wyrazy ubolewania... i gratulacje.

Robert wrócił do Lagny wściekły. Udał się do swojego pokoju, zamknął się, podarł rękopis na tysiąc kawałków i wyrzucił do kosza na śmieci.

- Nigdy więcej już nic nie napiszę!

Mniej więcej w tym samym okresie Bruno spotkał Lucienne Lemoine. Jeździł codziennie

pociągiem paryskim o dwunastej
sześć ze stacji
Lagny_thorigny_pomponne.
Pracował bowiem teraz od
trzynastej do dziewiętnastej
przy łamaniu przeróżnych gazet
wypuszczanych przez drukarnię du
Croissant. Tak więc z łatwością
przechodził od "Petit Meunier"
do "Droit de vivre" Bernarda
Lecache, od "Patrie humaine"
Roberta Turly do "Libertaire"
S~ebastiena Faure, od "Cote
Desfoss~es" do "Choc",
faszyzującego tygodnika
Guillaume.a, nie pomijając "Le
Flaumbeau", tygodnika Ognistych
Krzyży"* pułkownika de La Roque,
"L.ergus de l.automobile" i
"La Lumi~ere", organu laikatu i
masonerii. Stykał się też z
dziennikarzami o najróżniejszych
orientacjach, reprezentujących
nawet oficjalnie wrogie
tendencje polityczne, którzy
mimo to nie ukrywali przed
robotnikami, że żyją w dobrej
komitywie, a zdarzało im się
nawet otwarcie bratać w
pobliskim barze "Le Petit Trou",
gdzie często razem jedli obiad.
Ogniste Krzyże (Croix de feu)
- prawicowa organizacja
kombatantów założona w 1927 r.
Zrzeszając początkowo
odznaczonych za bohaterskie
czyny, rannych w pierwszej
wojnie światowej, rozwinęła się
politycznie pod wpływem
pułkownika de La Roque. Odegrała
pewną rolę podczas manifestacji
6 lutego 1934 r. Rozwiązana,
podobnie jak inne ligi prawicowe
w 1936 r., przekształciła się w
partię polityczną Partii Social
Fran~cais. (Francuska Partia
Socjalna)
Tego dnia, czekając na peronie
na pociąg, Bruno zauważył młodą
dziewczynę siedzącą na ławce.

Była zgrabną brunetką średniego wzrostu, o ładnej, okrągłej twarzy, pięknych oczach, zadartym nosku, pełnych wargach. Miała na sobie lekką, białą sukienkę w różowe groszki, czólenka, pasek i torebkę ze skóry jaszczurki. Kiedy nadjechał pociąg, Bruno po raz pierwszy w życiu zdobył się na zuchwałość, wszedł do tego samego przedziału i usiadł naprzeciw niej. Nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagłębił się w lekturze gazety, o której mówił mu brat, kupionej właśnie w dworcowym kiosku; był to tygodnik "Marianne". A stacje uciekały, Vaires - Torcy, Chelles - Gournay, Gagny, Le Raincy - Villemomble... Od czasu do czasu Bruno ryzykował spojrzenie w stronę ładnej dziewczyny, która mu coraz bardziej przypadła do gustu i wydawała się coraz bardziej apetyczna. Spod lekko uniesionej sukienki widać było krągłe kolana, gładką, lekko opaloną skórę. Nie uszło więc jego uwagi, że pochyla się trochę dyskretnie, ale nie za bardzo, zaglądając do jego gazety, jakby ją szczególnie interesowała.

- Chce pani poczytać? Jeśli tak, mogę pani pożyczyć połowę gazety.

- Och, dziękuję... Tak, bardzo proszę. Człowiek tak się nudzi w tych pociągach...

Czytali bez słowa. Bondy, Noisy_le_sec, Pantin, wkrótce pociąg zatańczył ciężko na zwrotnicach Dworca Wschodniego. Ładna paniotka zwróciła swoją połowę gazety, podziękowała ciepłym uśmiechem, wymownym spojrzeniem swoich niebiesko_zielonych oczu. Pociąg wjechał już pomiędzy perony

Dworca Wschodniego. Dziewczyna wysiadła z wagonu, oddaliła się. Bruno pobiegł za nią, dogonił ją w trzech susach.

- Czy pani mieszka w Lagny? - zapytał banalnie. - To ciekawe. Nie wydaje mi się, żebym panią kiedyś widział.

- Nie! Nie mieszkam w Lagny. Mieszkam w Paryżu z matką. Ale od czasu do czasu przyjeżdżam na kilka dni do Lagny, do ciotki, która mieszka przy bulwarze de la Gourdine. Zresztą dzisiaj cały dzień będę w Paryżu, ale wieczorem wracam do ciotki... Bruno zaniepokojony spojrział na zegar. Było jasne, że nie ma czasu na dalszą rozmowę. Była za dwadzieścia pierwsza i miał zaledwie dwadzieścia minut na wejście do pracy.

- W takim razie, skoro pani wraca wieczorem do Lagny, może byśmy się spotkali? Ja kończę pracę o siódmej. Mogę być tutaj o siódmej trzydzieści. Jeśli pani zechce, moglibyśmy się czegoś napić.

Dziewczyna zgodziła się i umówili się na siódmą trzydzieści w kawiarni "Les Tramways de l'est", na końcu bulwaru de Strasbourg, obok sklepu wędliniarskiego Schmidta, gdzie Bruno kupował czasem dla matki kiszkę z wędzonej wątróbki, za którą przepadała, być może przez wzgląd na męża - Alzacyjnyka. O umówionej godzinie Bruno siedział już w kawiarni. Dziewczyna przyszła pięć minut później, uśmiechała się. On zamówił pernoda, a ona dubonneta, podobnie jak niegdyś Elie i Sylvia w niedzielę, w kawiarni w Lagny. Zaczęli rozmawiać, mówiąc na początku o sobie, jak to robią mężczyzna i kobieta, którzy się sobie

podobają, ale nie znają się
jeszcze. Miała osiemnaście lat,
nauka szła jej bardzo dobrze,
ale nagła śmierć ojca, którego
zabrał atak serca, kiedy nie
miał jeszcze nawet
pięćdziesięciu lat, zmusiła ją
do pójścia do pracy. Była
fryzjerką, ale chwilowo
bezrobotną. Nazywała się
Lucienne Lemoine.

- Ja również straciłem ojca...

- powiedział Bruno.

Opowiedział, w jakich
okolicznościach.

- Ależ ja znam tę sprawę! -

podskoczyła dziewczyna. -

Czytałam o tym w "L.humanit~e"!

A więc pan jest synem... jak się
nazywał ten biedak?

- Elie Ritter. Ja się nazywam
Bruno Ritter.

W ten sposób, dzięki śmierci
ojca, nawiązała się pomiędzy
nimi więź. Zaczęli mówić o
polityce. Bruno, podobnie jak
Elie, nie miał wyrobionych
poglądów, ale dramat, którego w
swoim mniemaniu był drugą
ofiara, kazał mu opowiedzieć się
za lewicą. Lucienne również
należała do lewicy. Była nawet
działaczką Związku Młodzieży
Komunistycznej. Nagle spojrzała
na zegarek.

- Muszę już wracać. O której
mamy teraz pociąg? Ciotka na
mnie czeka!

Pojechali osobowym o
dwudziestą pięćdziesiąt trzy,
rozmawiali przez całą, za krótką
dla nich drogę. Kiedy dojechali
do Lagny, było już ciemno.
Przeszli przez most na Marnie,
skręcili w lewo w bulwar de la
Gourdine. Było prawie pusto.
Gawędząc minęli park, potem
poszli wzdłuż rzeki, minęli klub
wodniaków. Jakby w roztargnieniu
Bruno wziął Lucienne pod rękę,

potem przytrzymał jej dłoń.
Splotła palce z jego palcami.
Poszli jeszcze kawałek dalej.
- Moja ciotka mieszka
niedaleko stąd! - wyszeptwała
dziewczyna. - Musimy się tutaj
pożegnać. Ale... zobaczymy się
jeszcze, prawda?

Spotykali się codziennie,
jeździli pociągiem o dwunastej
sześć i wracali o dwudziestej
pięćdziesiąt trzy. Pewnego
wieczoru, w dwa czy w trzy
tygodnie po ich pierwszym
spotkaniu, w miejscu, gdzie
zazwyczaj się żegnali, Lucienne
wzięła Bruno za rękę,
poprowadziła go przez płot na
porośniętą trawą skarpe, której
łagodne zbocze schodziło nad
Marnę.

- Usiądźmy - powiedziała. -
Lubię patrzeć na Marnę tak jak
teraz, wieczorem...

Woda cichutko pluskała u ich
stóp, a księżyc odbijał się w
spokojnych falach. W kilka chwil
później Lucienne oddała się
Brunowi.

IV

Sara miała teraz nieco ponad
szesnaście lat.
Nadal uczęszczała do liceum
J."Ferry, osiągając wyniki
zadowolające, nic ponadto. Miała
dobre stopnie z francuskiego, z
historii i geografii, gorsze, a
nawet całkiem złe, z matematyki,
fizyki i chemii. Dobrze szedł
jej angielski, do niemieckiego
natomiast czuła niechęć.

- W żaden sposób nie mogę
nauczyć się poprawnej wymowy
tych "przeżuwaczy słomy"! -
mówiła ze śmiechem. - Nie
potrafię poprawnie wymówić tych
wszystkich syczących i
gardłowych "ch", nigdy nie
nauczę się wydobywać z siebie
jak należy "ich" i "ach", nic

nie rozumiem z niekończących się słów złożonych, deklinacje mnie nudzą, a czasowniki nieregularne wykańczają.

I dodawała, już nie śmiejąc się:

- A poza tym, to język Hitlera...

We wrześniu 1938 roku, podczas kryzysu, który wstrząsnął Europą w związku z Sudetami i zakończył się w Monachium, usłyszała w radiu przemówienie F~uhrera, w którym, po godzinie wyrzutów kierowanych pod adresem zachodnich demokracji, powiedział na koniec: "Wir wollen Krieg...", na ułamek sekundy zawiesił głos przed wstrzymującymi oddech słuchaczami i wreszcie dodał: "...nicht!""* Pomyślała wtedy, że żaden inny język nie pozwala na tak umiejętnie ukrycie hipokryzji, na takie igranie ze strachem, budzącym się na samą myśl o nowym konflikcie... podczas gdy ostatni, najstraszniejszy w historii ludzkości zakończył się zaledwie dwadzieścia lat temu. W dodatku Sara zbyt boleśnie odczuła śmierć ojca, żeby nie kojarzyć rozwydrzonych zabójców z drukarni Ravaux z nazistami; byli do nich podobni, stosowali te same metody, wystarczyło poczytać w gazetach reportaże o "nocy długich noży" albo o "nocy kryształowej".

W składni niemieckiej element przeczenia stoi dopiero na końcu zdania.

Tak więc Sara poszła w ślady swych braci: Bruno zdradzał teraz poglądy lewicowe, a Robert zaproponował swoją nowelę lewicowej gazecie. Pewnie, że naiwnością ze strony Sary było to, że nie lubiła języka

niemieckiego, ponieważ nie
lubiła nazizmu i nienawidziła
faszystów - morderców Elie
Rittera. Ale w swej młodszej
bezkompromisowej zapalczywości
dopatrywała się w tym związku; w
jej oczach, w literaturze
niemieckojęzycznej, na wyjątkowe
względy zasługiwali Heinrich
Heine, bo był Żydem, Erich Maria
Remarque, bo uciekł przed
nazizmem, Rainer Maria Rilke, bo
był Austriakiem urodzonym w
Pradze, i Friedrich Hölderlin,
bo symbolizował romantyczne
szaleństwo, najprawdopodobniej
sprzeczne z nazistowskimi
zasadami.

- Popatrz na to zdjęcie!
Sara miała w liceum wiele
koleżanek, ale najbardziej
lubiła Marię Turmo, córkę
republikańskiego profesora
uniwersytetu z Hiszpanii, który
w obawie przed nieuchronnym
zwycięstwem generała Franco, nie
czekając na zakończenie wojny
domowej, zdecydował się zawczasu
szukać schronienia we Francji.
Maria Turmo była ładną
dziewczyną o ostrych rysach
twarzy i kruchej budowie;
zamierzała poświęcić się
karierze teatralnej i
równocześnie z nauką w liceum
zaczęła uczęszczać na kursy
aktorskie.

Tego dnia, pojadając kanapki
na dziedzińcu szkolnym podczas
godzinnej przerwy na obiad -
wolały od niestrawnych dań w
stołówce - obie dziewczyny
przeglądały razem "Paris_soir",
którego pierwsze wydanie właśnie
się ukazało. Na pierwszej
stronie dziennika znajdował się
reportaż Josepha Kessela o
wojnie w Hiszpanii,
relacjonujący walki toczące się
pod Madrytem i Barceloną, do

których obie armie rzuciły
wszystkie siły wspierane, ze
strony republikanów, przez
brygady międzynarodowe i, ze
strony frankistów, przez
niemiecko_włoski Legion Condor.
Reportaż ilustrowało zdjęcie
żołnierza republikańskiego w
jasnym kombinezonie, z karabinem
w ręku, skoszonego w pełnym
biegu przez faszystowską kulę.
- Mój ojciec nie padł od kuli,
tylko od nabijanej ołowiem laski
- wyszeptła Sara. - W gruncie
rzeczy, to to samo. Ci sami
zabójcy i te same metody. Ten
żołnierz był pewnie robotnikiem,
jak mój ojciec...

Znajomość z Marią Turmo
wpłynęła więc ostatecznie na
skrystalizowanie się poglądów
Sary, choć nie umiałyby
powiedzieć, czy zbliżyła się do
niej za sprawą spontanicznej
sympatii, czy dlatego, że była
ona córką hiszpańskiego
republikanina.

Maria spojrzała na zegarek.
- Mamy jeszcze pół godziny do
lekcji historii! - powiedziała z
lekkim hiszpańskim akcentem. -
Muszę iść odebrać zdjęcia, które
sobie zrobiłam na kursy
aktorskie. Pójdiesz ze mną? To
niedaleko, przy alei Racheli.
Właśnie na tych kursach Maria
Turmo poznała inną, około
dwudziestopięcioletnią uczennicę
Fran~coise Desgrappes, która
żyła z mężczyzną o nazwisku
Roger Brienne. Starszy od niej o
pięć lat, nauczył się, pracując
w różnych fabrykach, zawodu
ustawiacza. Porzucił go potem,
by zostać piosenkarzem
kabaretowym i aktorem; w ten
sposób poznał Fran~coise.
Później zainteresował się
nagraniami dźwiękowymi na
płytach i, będąc zawołanym

majsterkowiczem, zbudował studio nagrań w swoim mieszkaniu w alei Racheli"18, skąd miał niczym nie ograniczony widok na grobowce cmentarza Montmartre. Ostatnio dostał bzika na punkcie fotografii. Krytycznym okiem przypatrywał się fotosom artystów wykonanym przez słynne, specjalistyczne firmy Harcourd, Stora, Lorelle i uznał, że może być co najmniej równie dobry, a klientki i klientów będzie dobierał z aktorskiego narybku z kursów, na które uczęszczała jego towarzyszka życia. Przekształcił więc studio nagrań w studio fotograficzne. Dysponując kilkoma aparatami, mniejszymi i większymi reflektorami, rzucił się w wir przygody, a Fran~coise służyła mu za naganiaczkę. Nie miał co prawda żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o fotografowanie, nie większe w każdym razie niż mniej więcej wszyscy Francuzi w owym czasie, z lepszym lub gorszym skutkiem posługujących się aparatem Kodaka, ale ten niedostatek równoważyła jego diaboliczna zręczność, świetny gust, zwłaszcza jeśli chodzi o posługiwanie się oświetleniem, a także wybitna umiejętność stosowania preparatów chemicznych niezbędnych do wywoływania filmów i robienia odbitek i, wreszcie, dopełniająca całości niezrównana bezczelność. W każdym razie jego kalkulacje okazały się słuszne; skuszeni słowami młodej aktorki i obietnicą wyjątkowo niskiej ceny uczniowie z kursów Fran~coise rzucili się tłumnie w aleję Racheli. Maria Turmo była jedną z pierwszych. Po wyjściu ze szkoły Sara i Maria udały się na plac Clichy,

przeszły na drugą stronę bulwaru
na wysokości Gaumont _palace,
przeszły kawałek ulicą
Caulaincourt i tuż przed mostem,
wznoszącym się ponad cmentarzem
Montmartre, zeszły po schodach
prowadzących w aleję Racheli. Po
drodze Maria zauważyła
ironicznie:

- To zabawne! Idziemy w aleję
Racheli, a ty nazywasz się
Sara...

Sara uśmiechnęła się bez
słowa. Na fasadzie domu pod
numerem "18, tuż obok wystawy
przedsiębiorstwa pogrzebowego
pełnej kamieni nagrobnych i
wieńców widniała emaliowana
tabliczka: "Roger Brienne,
artysta fotografik". Dziewczyny
weszły w bramę, potem udały się
na górę po dębowych,
wypastowanych schodach z grubą
liną okrętową zamiast poręczy. U
szczytu schodów, na podeście
pierwszego piętra znajdowały się
podwójne, pomalowane na
ciemnozielono drzwi, a na nich
inna tabliczka z nazwiskiem
fotografa. Maria przycisnęła
guzik dzwonka. Po pół minucie
drzwi się otworzyły.

- Mario! - zawołał Roger
Brienne. - Chodź szybko! Twoje
zdjęcia są gotowe.

Bez ceremonii ucałował młodą
Hiszpankę po dwa razy w każdy
policzek, potem zatrzymał się
nagle, spostrzegłszy, że Maria
nie jest sama. Rzucił spojrzenie
na Sarę i znieruchomiał.

- Roger! - powiedziała Maria.

- Przedstawiam ci moją
przyjaciółkę Sarę Ritter.

Chodzimy do tej samej klasy...

Brienne wyglądał jak
osłupiały. Wyszeptał wreszcie,
jak gdyby wymówienie tych
prostych słów przychodziło mu z
trudem:

- O Boże! Jaka pani jest
piękna...

Zmieszana Sara spuściła głowę
czerwieniąc się.

- Proszę do środka, bardzo
proszę! Niechże się pani lepiej
przyjrzyć w świetle...

Sara i Maria weszły za
fotografem do czegoś w rodzaju
przedpokoju; w głębi znajdowało
się biuro, do którego wchodziło
się przez bar z kilkoma wysokimi
stołkami wzdłuż kontuaru.

Brienne cofnął się w stronę
biura, jakby chciał lepiej
widzieć Sarę w ostrym świetle
padającym z baru. Wyszeptał
znowu:

- Jaka pani piękna!

I dodał innym tonem:

- Czy pani też chce grać w
teatrze jak Maria?

- Nie, nie mam takich ambicji.

Chcę po prostu zostać
sekretarką. Zresztą mam dopiero
szesnaście lat i...

- Szesnaście lat! Szesnaście
lat! O Boże! I taka piękna...

Ten podziw dla przyjaciółki
krępował trochę Marię, wtrąciła
więc:

- Roger! Czy mogę dostać
zdjęcia?

- Oczywiście, Mario...

Z szuflady biurka wyjął dużą
kopertę, a z niej z dziesięć
fotosów w formacie 18" (#24,
pokazał je po kolei. Ostre rysy
dziewczyny zostały umiejętnie
wyeksponowane, dzięki subtelnej
grze światła i śmiałemu
wykadrowaniu.

- Są cudowne... - szepnęła
zachwycona Sara.

- Pani też chciałaby mieć
takie? - zapytał Brienne. - To
zależy tylko od pani. Ja jestem
do dyspozycji... Kiedy pani
zechce.

Sara uśmiechnęła się:

- Na razie nie są mi specjalnie potrzebne. Ale nie mówię nie. Zastanowię się... i porozmawiam z matką.

Na ulicy zawołała:

- Ale sympatyczny gość z tego Brienne.a! A jego zdjęcia są rzeczywiście bardzo piękne...

- Tak, to prawda. Ale ty możesz powiedzieć, że wpadłaś mu w oko...

Sara wzruszyła tylko ramionami. Powoli przyzwyczaiła się do męskich hołdów składanych jej urodzie. Nie było teraz dnia, żeby nie zagapił się na nią, nie zaczepił, nie podszedł do niej jakiś mężczyzna, a byli ci adoratorzy w różnym wieku i różnego autoramentu, i spotykała ich wszędzie: na ulicy, zarówno w Lagny jak i w Paryżu, w pociągu, w metrze, w autobusie, w sklepie. Niektórzy wpatrywali się w nią tylko natarczywie, inni gwizdali z podziwem, nie mówiąc już o lubieżnych słowach czy próbach dotykania w przepelnionych wagonach metra. Bynajmniej nie dlatego, że Sara zachowywała się wyzywająco. Owszem, przyglądała się wokół wszystkiemu, co mogła dostrzec. Wynikało to z jej nienasyconej ciekawości, jaką budziło wszystko: widok ulicy, domy, afisze, samochody, przechodnie, ale mężczyźni nie więcej niż samochody. Ten uważny, padający na wszystko dokoła wzrok mógł mylić, ale ktoś, kto mógłby sądzić, że jest obserwowany dla swojego uroku, był przedmiotem obserwacji wyłącznie ze względu na swój duży nos albo dziwaczne paski na krawacie.

W każdym razie Sara nie należała do tych dziewczyn, których spojrzenia, makijaż, ubranie, gesty lub słowa budzą

pożądanie, zdają się być obietnicą, a nawet zabieganiem o rozkosz. Tym, co było w niej bezwiednie wyzywające, była jej uroda. Ubierała się skromnie w sukienki szyte przez matkę, prawie się nie malowała - pociągała tylko nieznacznie wargi pomadką "Baiser" - była spokojna, powściągliwa w zachowaniu, nie mówiła głośno, nie wymachiwała rękami, nigdy nie śmiała się hałaśliwie. Ale wszystko w niej było zachwycające: jej twarz o regularnych rysach, długie, czarne włosy, duże, niebieskie oczy szeroko otwarte na świat, pełne wargi, dźwięczny śmiech, wydłużony i naturalny chód, cudownie ukształtowane ciało, nieco zbyt wydatne piersi, strzeliste nogi; wszystko to u patrzących na nią mężczyzn mogło wywoływać tylko rozkoszne wizje i budzić reakcje od niemego podziwu po nieprzyzwoite propozycje.

Po pewnym okresie rozdrażnienia Sara pogodziła się z tym. W końcu nie była winna temu, że najmniejszy jej gest - kiedy szła, jechała na rowerze, zwłaszcza gdy unosząc się w siodełku podjeżdżała pod górę drogą wiodącą do Willi "Promienny Uśmiech", kiedy czesała włosy lub przekładała jakiś przedmiot - podkreślał doskonałość jej linii i kształtów. Później dowody zachwyty, wywołanego jej obecnością, zaczęły jej pochlebiać; wyrobiły w niej przekonanie o jej wyjątkowej urodzie. A to przekonanie dawało jej pełną wdzięku swobodę i pewność siebie. Odtąd przyjmowała wszelkie hołdy z pewnego rodzaju rozbawioną

skromnością, z niezmiernie
dobrym humorem, spokojnym
uśmiechem.

Dlatego też na hołd złożony
jej przez Rogera Brienne.a
wzruszyła tylko ramionami i
uśmiechnęła się łagodnie, jak
dziewczyna świadoma tego, że w
dniu, kiedy o tym postanowi,
kiedy pozwoli jakiemuś
mężczyźnie wkroczyć w swoje
życie, będzie mogła wybierać do
woli spośród niezliczonych
zastępów adoratorów, do których
od tej chwili należał także
Brienne. Ale na razie nie
podejmowała żadnej decyzji.
Odczuła pewien niepokój dawno
już temu, w dniu, kiedy w szopie
na farmie, podczas zabawy w
chowanego, zakłóconej
niedyskretnym wkroczeniem
Agathes, całował ją i pieścił
Pierre Marnier. Ale od tamtej
pory nic się nie wydarzyło. Nic
z tych podniet burzących spokój
nastolatek, ani nawet snów o
księciu z bajki, o którym marzy
tak wiele z nich. Może było
jeszcze na to za wcześnie, choć
pod względem fizycznym Sara była
już kobietą - wyglądała na
dwadzieścia lat - miała dopiero
szesnaście i wszystko w niej
czekało jeszcze na przebudzenie.
Sara odwiedziła jednak znowu
Brienne.a. Propozycja fotografa
nie dawała jej spokoju i
zwierzyła się z niej matce.
- Chciałabym mieć takie ładne
zdjęcie jak Maria...
I pokazała jeden z portretów
młodej Hiszpanki z czułą
dedykacją: "Sarze Ritter, mojej
ulubionej koleżance, z
zapewnieniem o przyjaźni".
Sylvia przyznała, że zdjęcie
jest ładne, ale zastanawiała się
głośno w obecności córki co do
słuszności wydatku, który

wydawał się jej zbędny.

- Marii potrzebne są fotosy,
bo chce grać w teatrze albo w
filmie. Ale z tobą jest inaczej,
córeczko...

- To nic nie szkodzi, mamusiu!
Daj mi pieniądze na te zdjęcia,
błagam. Tak bym chciała je
mieć...

Bruno był obecny przy tej
scenie.

- Posłuchaj, mamó, ja jej dam
te pieniądze. Wiesz, że nie
wydaję wszystkiego, co mi
zostaje z wypłaty. Byłoby mi
miło sprawić jej tę przyjemność.
Wiesz, Saro, jeśli chcesz, to
mogę z tobą pójść na te
zdjęcia...

Bruno dotrzymał obietnicy, że
zapłaci za zdjęcia, ale nie
poszedł z nią do Brienne, a, miał
bowiem za mało wolnego czasu i
nie zamierzał rezygnować z dnia
pracy albo majsterkowania w domu
po to, by służyć siostrze za
niańkę, co zresztą wydawało mu
się niepotrzebne ze względu na
jej młody wiek.

Roger Brienne był nie tylko
genialną "złotą rączką", a od
niedawna utalentowanym
fotografem, był także mężczyzną
lubiącym kobiety. Fran~coise
Desgrappes, jego towarzyszka
życia, była wprawdzie nadzwyczaj
ładną dziewczyną i kochał ją
namiętnie, ale mu nie
wystarczała. Był stale

spragniony nowych podbojów,
świeżej krwi. Nawet jeśli
chodziło tylko o uczciwe zamiary

- choć jeśli czasem sprawy
zaszły dalej, to tym lepiej -
lubił być otoczony pięknymi
kobietami.

- Zastanawiam się - miał
później powiedzieć Sarze - czy
wybrałem zawód
fotografa_portrecisty z

powołania czy też chcąc sobie
ułatwić kontakty z młodymi
aktorkami...

Dorzucił ze śmiechem
zabarwionym szczyptą cynizmu:

- Myślę, że raczej z tego
drugiego powodu. W każdym razie
udało mi się...

Roger Brienne był
uwodzicielem. Nie wyglądał zbyt
pociągająco, głównie dlatego, że
był niskiego wzrostu - zaledwie
metr sześćdziesiąt dwa.

- Metr sześćdziesiąt dwa w
kapeluszu! To dlatego, że nie
jadłem dosyć zupy, kiedy byłem
dzieckiem. Albo dlatego, że
dostałem za mało kopniaków w
tyłek...

Poza tym był chuderlakiem,
miał przygarbione plecy, mocno
wyłysiałe czoło, krótki wzrok,
co nadrabiał okularami ze
szkłami grubymi jak soczewki
lupy, szerokie, szorstkie jak u
robotnika dłonie, o paznokciach
pożółkłych od tytoniu i
preparatów chemicznych do
wywoływania filmów. Ale te
niedostatki urody nadrabiał
błyskotliwą rozmową
erudyty_samouka, pełną
pikanterii, humoru, a często i
rubasności, chorobliwą wręcz
ciekawością wszystkiego, pewnego
rodzaju głodem nowych
znajomości, a może nowych
podbojów, do czego należy
jeszcze dodać niezwykłą
umiejętność podejmowania ludzi,
wyostrzony zmysł gościnności.
Toteż krążyły nieustannie wokół
niego zarówno kobiety, jak
mężczyźni, on panował nad nimi,
okazującymi mu pełne podziwu i
przyjaźni względy. Każdego dnia
ktoś z przyjaciół był obecny
albo w studiu podczas zdjęć -
wtedy pomagał artyście jak
potrafił - albo w innych

częściach mieszkania, a nawet w
kuchni, gdzie przy rondlach
krzątała się, zawsze gotowa
przyjąć z otwartymi ramionami
gości, spodziewanych lub nie,
matka Fran~coise, Marguerite
P~etracci, zwana mamą P~etrac,
bo Desgrappes był to tylko
sceniczny pseudonim córki.
Mniej więcej raz w miesiącu
Brienne, Fran~coise i mama
P~etrac urządzali coś, co Roger
nazywał festiwalem: trwającą do
świtu kolację, w której
uczestniczyła za każdym razem
dziesiątka gości złożonych w
połowie z mężczyzn i w połowie z
kobiet, dawnych klientów, a
obecnych przyjaciół, i starych
przyjaciół będących równocześnie
klientami. Wszyscy jedli, zdrowo
popijali, rozmawiali o
literaturze, poezji, kinie,
polityce i filozofii,
odbudowywali świat, roztrząsali
sprawy wszechświata, upajali się
kategorycznymi stwierdzeniami,
tańczyli i flirtowali, dopóki
nowe światło poranka nie
zajrzało przez szczeliny
zamkniętych okienic. Dzięki tym
nocnym biesiadom zawiązywały się
często trwałe więzy, rodziły się
przyjaźnie i romanse, a nawet
projekty małżeństwa.
Wśród przyjaciół Brienne.a
byli mniej lub więcej znani
aktorzy i aktorki, przeważnie
młodzi, często słuchacze kursów
sztuki dramatycznej, na które
uczęszczała Fran~coise,
piosenkarze i muzycy z
artystycznych piwnic na
Montrmartrze, dziennikarze, a
wśród nich Xavier Laurent,
kupcy, uczniowie starszych klas
liceum J."Ferry. Niewiele
znaczył wiek, pochodzenie,
zawód, stan majątkowy, a nawet
poglądy polityczne. Żeby zostać

przyjętym przez Brienne.a,
wystarczyło nie być nudziarzem,
mieć poczucie humoru, pewną
swobodę bycia i języka i dosyć
wspaniałomyślne serce. Jeśli
chodzi o kobiety, wystarczyło,
że miały te same zalety, a
ponadto były piękne lub, by
przynajmniej podobały się
gospodarzowi domu.

Ludzie ci, przynajmniej jeśli
chodzi o niektóre ich wspólne
cechy, a czasem łączyło ich
ubóstwo, byli kontynuatorami
cyganerii Murgera, Carco,
Dorgel~esa, dostosowanej do
aktualnej mody. Wszyscy byli ze
sobą na ty, obcałowywali się,
wymieniali pomysły i przysługi,
a zarazem żyli jak w wesołej i
serdecznej, pełnej śmiechu i
dowcipów wspólności, której ton
nadawał zawsze sam Brienne,
przedstawiony w korzystnym
świetle przez Fran~coise,
podczas gdy mama P~etrac przez
cały dzień, a czasem i noc,
zajmowała się gospodarstwem.
Maria Turmo już od kilku
miesięcy należała do grona
przyjaciół Brienne.a. Zamawiając
zdjęcia, Sara z kolei dostała
się w tryby, które, naturalnym
biegiem rzeczy, miały i ją tam
wciągnąć. Od czasu śmierci ojca
zbyt długo żyła w napięciu i jej
życie między liceum i nie
zasługującą już wcale na swoją
nazwę willą "Promienny Uśmiech"
było zbyt bezbarwne, by nie
pociągało jej to nowe dla niej,
błyskotliwe, swawolne, urocze
środowisko. Młody wiek nie
pozwał jej wprawdzie
uczestniczyć w festiwalach -
matka nie zgodziłaby się na
spędzenie przez nią nocy poza
domem - ale coraz częściej, z
Marią lub bez niej, chodziła w
aleję Racheli w przerwach między

lekcjami, podczas przerwy
obiadowej - mama P~etrac
podawała jej wtedy pośpiesznie,
na brzegu stołu, befszytk z
frytkami - albo po wyjściu ze
szkoły, przed odjazdem pociągu
do Lagny. Dzięki zetknięciu się
z Brienne.em, Fran~coise i ich
przyjaciółmi rozkwitała,
zapominała o swoim smutku,
uczyła się śmiać do rozpuku,
zachwycać się kilkoma dowcipnymi
słowami, wyrażać własne, zabawne
sądy o rzeczach i ludziach.

Brienne bardzo szybko zaczął jej
mówić po imieniu. Twierdził, że
jest w niej zakochany, a nawet
obwieszczał to głośno. Czasem
przyglądał się jej zachwyconym
wzrokiem jak pierwszego dnia, i
półgłosem, jakby nie mógł się
powstrzymać, rzucał:

- O Boże, Saro, jakaś ty
piękna!

Kiedy indziej wrzeszczał ni
stąd, ni zowąd, umyślnie
używając jędrnych słów:

- Co za cholerna sztuka!

Wystarczy, że na nią spojrzę, a
już mi staje!

Obejmował wtedy "sztukę" w pół,
pryciskał do siebie, podnosił
do góry i na koniec dawał całusa
w czoło. Sara śmiała się do łez
mile połączona tym zachwytem
mężczyzny lubiącego kobiety i
umiejącego się otaczać
najładniejszymi z nich.

Wyczuwała, że Brienne jej
pożąda, ale nie wyobrażała
sobie, że mogłaby ulec jego
czarowi, nawet jej to przez myśl
nie przeszło. Może z powodu
różnicy wieku, ułomności
fizycznej nowego przyjaciela.
Może też dlatego, że dobre
wychowanie kępowało ją jak
ciasny gorset, broniło przed
jakimkolwiek spontanicznym
odruchem, przed zapomnieniem

się. A z pewnością dlatego, że
nie odczuwała jeszcze wcale, lub
w niewielkim tylko stopniu,
popędu płciowego. Krótko mówiąc,
czuła, była pewna, że między nią
a fotografem nic się nie
wydarzy, że wydarzyć się nie
może. I dlatego właśnie, bez
wątpienia, nie wahała się przed
coraz częstszymi u niego
wizytami, bo pociągał ją jego
dobry humor, dowcip, podziw,
jaki w nim budziła bez obawy, że
mógłby się dla niej okazać
ryzykowny.

Brienne. a natomiast, choć
bardzo pragnął Sary,
powstrzymywała przed
jakimkolwiek zbyt śmiałym gestem
rezerwa dziewczyny. Ach, gdyby
była inna, trochę swobodniejsza
w sposobie bycia, nieco
przystępniejsza, trochę bardziej
otwarta, jak rozkwitły kwiat, a
także nieco starsza, jakże
chętnie by ją dopadł! Ale, jak
wielu jemu podobnych, ten
rozpustnik był bezbronny,
obezwładniony wręcz jej
niewinnością. Wściekał się na
taką sytuację, do której nie
nawykł. Czasem zastanawiał się,
czy nie oddalić Sary w
jakikolwiek sposób, byle tylko
nie odczuwać więcej tego
nierealnego pożądania. Ale
szybko odpędzał ten bezbożny
pomysł, bo potrzebował jej,
musiał patrzeć na nią, podziwiać
ją, przyglądać się jej, napawać
się jej urodą. Tak więc ich
stosunki trwały nadal, a z
namiętności, jaką tajemnie
darzył inną kobietę, korzystała
Fran~coise.

- Zachowujesz się ostatnio jak
szalony! - mawiła do niego.

A on odpowiadał obłudnie:

- To dlatego, że kocham cię
jak nigdy dotąd, kochanie...

Ta niedogodna sytuacja nie mogła trwać wiecznie, bo szkodziła zdrowiu moralnemu Brienne.a, jego równowadze. Nie mógł ani zmienić się w dzikusa i zdobyć siłą tę twierdzę, ani pogodzić się z zerwaniem, ani uczynić z Sary czegoś w rodzaju nietykalnej, niedostępnej bogini. Nadal więc przyjmował ją u siebie, patrzył na nią, podziwiał, żartował z nią, brał ją w ramiona i grzecznie obsypywał całusami. Ale powoli udało mu się stłumić pożądanie, zaprzestał aluzji i zbyt widocznych podchodów. Równocześnie zaczął myśleć przede wszystkim o odczuwanym już wcześniej prawdziwym szacunku i przyjaźni, widząc, że spotka się z tym samym ze strony Sary. Ten rodzaj niejakiego uwznioślenia, na pół spontanicznego, na pół zamierzonego, do jakiego doszedł powoli, wymagał od niego uwagi, panowania nad sobą, o jakie by się wcześniej nie posadzał, ale w głębi duszy miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie mu to wynagrodzone. Pozwalało mu ono, pod płaszczykiem rezygnacji, śledzić z nieskończoną cierpliwością oznaki jakiegoś zapomnienia, ewentualnego rozkwitu, porywu, który umożliwiłby mu stałe odkładane na później spełnienie pragnień. Krąg przyjaciół Brienne.a rozszerzał się najczęściej przez dokooptowania nowych. W ten sposób Maria przyprowadziła do niego Sarę. Podobnie, mniej więcej w tym samym czasie, Xavier Laurent przyprowadził Josefa Primulę. Xavier Laurent był młodym dziennikarzem. Mieszkał również w alei Racheli i potrafił

przekształcić stosunki
sąsiedzkie z Rogerem w stosunki
przyjacielskie. Często
przychodził na pogawędkę z
fotografem i Fran~coise, jadał z
nimi i od czasu do czasu
uczestniczył w nocnych
festiwalach, Josefa Primulę
poznał prowadząc dla swojej
gazety, "Paris_soir", ankietę
na temat środowiska Czechów
zbiegłych do Francji po napaści
Niemiec 15 marca 1939 roku. Bo
Primula był Czechem, pochodził z
Sudetów, ale był zaciekłym
antynazistą.

- Kiedy zrozumiałem, że
wkrótce naszymi ulicami
defilować będą żołnierze
niemieccy - mówił - nie mogłem
tego znieść. Uciekłem i
przyjechałem szukać schronienia
we Francji, ojczyźnie wolności.
Był to chłopiec
dwudziestodwuletni, wysoki
blondyn o atletycznej budowie.
Odbył solidne studia na
Uniwersytecie Praskim, doskonale
mówił i pisał po francusku,
twierdził, że nigdy nie czuł się
tak dobrze jak od czasu swego
przyjazdu do Paryża. Xavier
Laurent spotkał go w hotelu "Des
Grands Hommes" przy placu du
Panth~eon, gdzie mieszkał z
wieloma innymi uchodźcami,
którzy się tam stopniowo
zgrupowali. Poczuli do siebie
sympatię i Xavier znalazł mu
niewielką pracę tłumacza z
czeskiego i niemieckiego w
wydawnictwie i całkiem
naturalnie zaprowadził go
pewnego dnia do Rogera
Brienne.a, któremu spodobał się
od razu ten chłopak o otwartej,
zawsze uśmiechniętej twarzy
potrafiący żartować i gawędzić
jak inni przyjaciele fotografa,
choć z leciutkim obcym akcentem,

co przydawało jego słowom
nieopisanego uroku. Obaj
mężczyźni spontanicznie przeszli
na ty i wkrótce u Brienne.a
stale można było spotkać
Primulę, z Laurentem albo bez
niego, jak gdyby młody Czech
znalazł tam nową rodzinę.

- To normalne, że się tak
dobrze rozumiemy - mówił
Brienne. - Ja z przyjaciółmi
żyję jak bohema, a Bohemia jest
w Czechosłowacji.

- Była w Czechosłowacji -
sprostował Primula. - Bohemia
stanowi teraz razem z Morawami
protektorat niemiecki, a
Reichsprotektorem jest baron von
Neurath!

Wymawiając nazwisko
hitlerowskiego barona zrobił
minę, jakby chciał splunąć, co
bardzo rozbawiło Brienne.a.

- Uważaj, bo jeśli będziesz
tak spluwał za każdym razem,
kiedy wymówisz nazwisko
hitlerowca, potrzebne ci będą
całe zapasy śliny. Masz, napij
się! To ci przywróci spokój.

Primula skrzywił się
dyskretnie próbując alzackiego
piwa, które podał mu Brienne,
był bowiem przyzwyczajony do
mocnego Pilznera, a to wydawało
mu się bez smaku.

Był koniec maja 1939 roku.

Wojna w Hiszpanii skończyła się
w lutym napływem do Francji
blisko dziewięćciuset tysięcy
uchodźców, a wśród nich kuzynów
Marii Turmo, którym ona i ojciec
udzielili schronienia w
mieszkanie przy ulicy
Caulaincourt. Równocześnie z
zajęciem przez Hitlera
Czechosłowacji, 15 marca,
Mussolini zajął Albanię
zmuszając do ucieczki króla
Zogu"i. Dziewiętnastego marca
rząd Edouarda Daladiera został

upoważniony do wydawania
dekretów z mocą ustawy, Front
Ludowy przestał bowiem istnieć
pod koniec października 1938
roku, z chwilą gdy ten sam
Daladier zerwał z komunistami.
Dwudziestego drugiego marca
Niemcy zaanektowały litewskie
miasto Kłajpedę. Wreszcie
22"maja Hitler i Mussolini
podpisali Pakt Stalowy, dając
tym samym początek osi
Berlin_rzym.

Wobec wszystkich tych faktów,
wobec narastających zagrożeń dla
pokoju światowego, Primula
okazywał pesymizm.

- Hitler chce pożreć wszystko!
Po Czechosłowacji, po
Kłajpedzie, przyjdzie kolej...
na co? Na Polskę? Na Alzację i
Lotaryngię? Boję się, że wojna
jest blisko.

Brienne wzruszył ramionami.
Wiosna była piękna i ciepła.
Ulicami chodziły śliczne
dziewczyny i, rozkwitłe w
słońcu, beztrąsko pokazywały
nogi w kawiarnianych ogródkach.
Na wystawach i ladach sklepowych
przelewało się od towarów i
żywności, królowała obfitość. W
dużych miastach, a wśród nich w
Paryżu, ruch uliczny stawał się
nie do zniesienia, było za dużo
samochodów. Citro~en wypuścił
nowy model z przednim napędem i
pojawiła się na rynku simca"5,
rywalka niemieckiego
volkswagen. Żeby jakoś
uregulować ten natłok
samochodów, na skrzyżowaniach
zakładano światła, projektowano
budowę autostrad, jedna z nich
miała nawet przebiegać przez
Lagny, niedaleko od willi
"Promienny Uśmiech", co
powiększyłoby wartość własności
Ritterów; władze miejskie, chcąc
odwrócić uwagę od tego, że dotąd

nie uzbroiły terenu,
przechrzcili drogę do Wysokich
Fal na drogę Przy Autostradzie.
Przemysł pracował pełną parą,
prosperował handel. W salach
widowiskowych co wieczór był
komplet widzów. W teatrze Jean
Giraudoux wystawiał "Ondynę" z
Louisem Jouwetem i Madeleine
Ozerayn, na scenie Gymnase grano
"Strasznych rodziców" Cocteau z
Yvonne de Brayn, Alice Coc~ea i
młodym Jeanem Marais. W kinie,
po "Towarzyszach broni", grano
"Zasadę gry" Jeana Renoira,
Carn~e nakręcił "Brzask", a John
Ford odkrywał Johna Waine.a w
"Dyliżansie". Maurice Chevalier,
Tino Rossi, Jean Lumi~ere, Edith
Piaf i Charles Trenet
tryumfowali w music_hallu. W
księgarniach ukazał się
"Dziennik" Gide.a w serii
Plejady, "Wypowiedzenie
posłuszeństwa" Jeana Giono,
"Trędowate" i "Przesilenie
wrześniowe" Henry de
Montherlanta, "Nadzieja"
Malraux. Nagrodę Goncourtów za
rok 1938 otrzymał Henry Troyat
za "Pająka", nagrodę Renaudot -
Pierre_jean Launay za
"Błogosławioną L~eonie", nagrodę
Interalli~e Paul Nizan za
"Konspirację". Przez radio, z
rozgłośni paryskiej, z rozgłośni
Radio_cit~e i Radio_#37,
słuchano piosenek Georgiusa,
Damii, Freh~ela, Mireille i
Jeana Nohain, "Minuty rozsądku"
Saint_graviera. Ray Ventura i
Paul Misraki skomponowali
właśnie "Wszystko w porządku,
pani markizo..."
I jak tu uwierzyć, że to
wszystko, ten spokój, to ciche
szczęście Francuzów mogło zostać
wkrótce zburzone z powodu
szaleństwa jakiegoś dyktatora z
drugiej strony Renu? W każdym

razie Brienne i jego przyjaciele
nie brali poważnie tego
zagrożenia. Niebezpieczeństwo
hitleryzmu traktowali pogodnie
jak wszelkiego rodzaju
uciążliwości życia codziennego,
poczynając od choroby aż po
podatki, poprzez kłopoty
finansowe, szarpaninę z
urzędami, spóźnienia pociągów,
korki na ulicach Paryża i zły
humor dozorców, to znaczy z
uśmiechniętą pogardą połączono z
obojętnością.

Taka postawa złościła Josefa
Primulę, obstawał przy swoim:

- A co powiesz, jeśli wojna
wybuchnie? Jeśli będzie się
ciągnęła bez końca? Jeśli Niemcy
napadną na Francję, i zajmą
Paryż, jeśli będą defilowali
bulwarem Clichy, tak samo jak
teraz defilują ulicami Wiednia i
Pragi?

Brienne znowu wzruszył
ramionami, wreszcie wybuchnął
śmiechem.

- Coś ci powiem: ja nie
podlegam mobilizacji! Jestem
pierwszy w wykazie niezdolnych
do służby wojskowej, bo w
młodości byłem gruźlikiem. Mam
od tego zrujnowane jedno płuco,
albo, jeśli wolisz, pogryzioną
przez mole gąbkę. Wiem, że w
takiej wojnie, jaka się teraz
szykuje, nie tylko wojacy biorą
udział. Wszyscy są zamieszani,
cywile tak samo jak żołnierzyki.
I co z tego? No więc, ja ci
powiem, że mam go w dupie!
Wojnę, ludzką nikczemność i tych
drani Niemców, wszystko mam w
dupie. I zrobię, jak ksiądz
Siey~es podczas rewolucji 1789
roku: będę żyć! Będę żył nadal.
Jak długo mi na to pozwolą...
Teraz z kolei młody Czech
wzruszył ramionami.
Pewnego czerwcowego popołudnia

Brienne fotografował w studiu młodą aktorkę, Chantal Verseau, koleżankę Françoise i Marii. Jak prawie co dzień, był przy tym Primula, starając się w miarę możliwości być użytecznym i ustawiając oświetlenie według wskazówek udzielanych przez Rogera. Nagle rozległ się dzwonek przy drzwiach. Brienne poszedł otworzyć. Była to Sara; ucałował ją radośnie, a potem wprowadził do studia. Dokonał prezentacji:

- Josef Primula... Sara Ritter... I Chantal Verseau. Kiedy wymawiał te niewinne słowa, przeszedł go dreszcz. Zrozumiał, że oto na jego oczach coś się staje, coś nieodwracalnego, czego nie mógł, ani nie potrafił uniknąć. Josef Primula stał jak skamieniały na widok urody Sary. Wymamrotał coś niewyraźnie zduszonym, prawie niesłyszalnym głosem:

- Bardzo mi miło... panią poznać...

W takim zachowaniu nie było nic dziwnego, bo większość mężczyzn, a także sam Brienne, w dniu, kiedy przyprowadziła ją Maria Turmo, reagowała tak samo, kiedy widzieli Sarę po raz pierwszy. Zaskakujące było natomiast zachowanie Sary. Hołdy mężczyzn, zachwyty lub pożądanie, jakie czytała w ich wzroku, przyjmowała zazwyczaj ze spokojnym uśmiechem. A teraz, na oczach zaniepokojonego nagle Brienne, zaczerwieniła się ze wzrokiem utkwionym w oczach Primuli, jak gdyby nie mogła go od nich oderwać, i ona z kolei zaczęła mamrotać w zmieszaniu:

- Mnie też... hm, bardzo miło...

W studiu zapanowała przez chwilę dziwna cisza.

- No, to do roboty! - zawołał Brienne, żeby jakoś rozładować sytuację.

Odwrócił się do Chantal Verseau i puszką od pudru poprawił jej makijaż.

- Josef, włącz drugi reflektor i oświetlenie nastrojowe! Primula, jakby się obudził ze snu, oderwał wzrok od Sary i przekręcił kontakty. Chantal Verseau zalało światło.

Równocześnie ta część studia, w której znajdowali się Josef i Sara, po drugiej stronie reflektorów, pogrążyła się w ciemności. Przez cały czas, sprawdzając ustawienie, wkładając ładunek do kasety, zwalniając migawkę po sakramentalnym "Proszę się nie ruszać", Brienne rzucał krótkie spojrzenie w stronę dwojga młodych. Stali nieruchomo, nie podeszli do siebie, ale patrzyli sobie z natężeniem w oczy z odległości jednego metra.

- Zgaś wszystko! - powiedział Brienne.

Równocześnie odsunął zasłony. Światło dzienne wdarło się gwałtownie do studia i wszyscy doznali nieprzyjemnego wrażenia, jakby zostali brutalnie przywróceny do rzeczywistości. Brienne odwrócił się do klientki.

- Już po wszystkim, Chantal. Zdjęcia będą gotowe na jutro wieczór...

Młoda kobieta pocałowała Brienne. a - ona też należała do kręgu jego przyjaciół - uścisnęła dłoń Josefa, potem Sary i wyszła odprowadzana do drzwi przez fotografa.

Kiedy Brienne wrócił do studia, ujrzał dwoje młodych, jak mocno objęci całowali się zapamiętale, a dłonie Josefa

błądziły po ciele Sary, jak
gdyby byli sami na świecie.

V

Schronisko młodzieżowe we wsi
Villeneuve_la_dondagre
położonej nieopodal Sens, w
departamencie Yonne, było,
podobnie jak inne placówki tego
typu, pozbawione komfortu, ale
wcale nie mniej wygodne dla
niezbyt zamożnych chłopców i
dziewcząt pragnących mile
spędzić jakiś czas w okresie
wakacji szkolnych albo podczas
płatnego urlopu dla robotników,
dzień pobytu kosztował tu bowiem
niecałe dziesięć franków,
łącznie z trzema posiłkami. Było
ono ponadto równie atrakcyjne
jak inne, bo można było mieć
pewność, że spotka się tam
kolegów w tym samym wieku,
pochodzących z najróżniejszych
środków i krajów, radujących
się, że są razem, że są młodzi,
że jednym, zgodnym chórem
śpiewają "Idźmy na spotkanie
życia". Andr~e Dubreuil,
gospodarz schroniska, był
emerytowany nauczyciel,
bezdzienny wdowiec, dobrze je
prowadził wspomagany tylko przez
jedną kucharkę, chłopkę z tej
samej wsi; zaopatrzenie było
urozmaicone, posiłki zdrowe i
obfite, ład i czystość panowały
w dużej, wspólnej sali na
parterze, w kuchni, w obu
sypialniach na pierwszym
piętrze, po jednej dla dziewcząt
i chłopców. Schronisko otoczone
było dużym ogrodem, na wpół
warzywnym, na wpół kwiatowym:
warzywa podawano do posiłków, a
na każdym stole stał bukiet
kwiatów.

Sara i Josef wyjechali z

Paryża 1 lipca 1939 roku.

Najpierw pociągiem dojechali do
Sens, a tam wsiedli w autobus

jadący do Villeneuve_la_dondagre. Jeśli chodzi o Sarę, cała operacja przebiegła nie bez trudności, bo musiała przekonać Sylwię, że przydadzą jej się wakacje i pobyt w schronisku. Nie tylko Sylwię zresztą, bo był jeszcze Bruno, który teraz, kiedy miał dziewiętnaście lat, chętnie odgrywał rolę głowy rodziny. Robert natomiast nie mieszał się do tego, zbyt był pochłonięty nauką, ponownie zaabsorbowany swoimi pracami literackimi, by uczestniczyć w tak, jego zdaniem, pozbawionym sensu sporze.

- Przecież ty masz dopiero siedemnaście lat, moje dziecko. Jak sobie sama poradzisz w tym schronisku? - zapytała Sylvia.

- Nie martw się, mamo! Nie jestem już dzieckiem, a poza tym nie jestem przecież kompletną idiotką. Zresztą nie będę sama.

W każdym schronisku jest gospodarz... i pełno dziewcząt i chłopców w moim wieku...

- No tak, chłopców! - powiedział Bruno. - Ich na pewno nie brakuje. I będą bardzo zadowoleni mając pod bokiem taką ładną dziewczynę jak ty...

Sara wzruszyła z wściekłością ramionami.

- Jeśli chodzi o chłopców, to możesz się o mnie nie martwić! Potrafię się bronić, możesz mi wierzyć. Zresztą potrzebne mi są wakacje. No więc, jak? Mogę jechać? Zgadzasz się mamo? Sylvia popatrzyła na syna szukając jego rady.

- Pozwólmy jej jechać, mamo! - powiedział Bruno skłonny do pobłażania wszystkim, odkąd rozkwitło jego świeże szczęście u boku Lucienne. - W tym roku nieźle się starała w szkole.

Musi trochę odpocząć, odprężyć się, zmienić klimat. Od czasu śmierci taty życie tutaj nie jest zbyt wesołe dla dziewczyny w jej wieku...

- A więc... zgoda - szepnęła Sylvia. - Skoro ci tak zależy na tym wyjeździe... Ale uważaj na siebie. Możesz tam być nie dłużej niż dwa tygodnie. I masz do nas pisać codziennie. Obiecujesz?

Sara obiecała wszystko, co chcieli. Spakowała walizkę, wzięła trochę pieniędzy ze swoich osobistych oszczędności, dołożyła kilka banknotów stufrankowych od matki. Potem wszystkich pocałowała i, "płyn, barko moja", pojechała pociągiem do Paryża nie mogąc się doczekać spotkania z Josefem Primulą, który czekał na nią z niecierpliwością w swoim hotelu. Postawa Sary zaskoczyła matkę i brata. Po raz pierwszy okazała swoją wolę z taką stanowczością, jak gdyby gotowa była zburzyć wszelkie przeszkody. Co prawda już wcześniej zmuszona była decydować sama w drobniejszych sprawach, takich jak zdjęcia u Rogera Brienne'a, kupno sukienki, wyjście do kina z Marią Turmo lub Agathe. Tym razem jej pragnieniem było coś o wiele poważniejszego i, oczywiście, ani Sylvia, ani jej starszy syn nie podejrzewali, co się za tym kryje. Składali to na karb jakiejś zachcianki, kaprysu lub też kształtującej się z wolna i ujawnionej nagle dojrzałości umysłowej. A w istocie rzeczy nie byli dobrymi psychologami... lub brakowało im elementarnego zmysłu obserwacji. Gdyby byli bardziej uważni, gdyby od pewnego czasu bardziej przyglądali się Sarze, może

odkryliby w niej wiele zmian,
takich, jakie zachodzą w
zachowaniu, w mowie, a nawet w
wyglądzie fizycznym zakochanej
dziewczyny namiętnie
przeżywającej swoją pierwszą
miłość. Ale Sara zbyt ich
przyzwyczaiła do tego, że jest
grzeczna i rozsądna, i zbytnio
jej ufali, by móc dostrzec jej
gwałtowny rozkwit, choć powinien
był rzucić im się w oczy.

Tymczasem Sara w pociągu
wiozącym ją do Paryża prawie już
zapomniała o łatwo odniesionym
zwycięstwie, jak gdyby ten
triumf był zrozumiały sam przez
się, jak gdyby wiadomo było od
niepamiętnych czasów, że
wszyscy, począwszy od matki,
mają od tej chwili naginać się
do jej woli. Przez moment
zaledwie odczuła wdzięczność dla
matki i brata, że tak szybko
zgodzili się na wszystko, co
chciała. Cała była pochłonięta
swoją miłością i wszystkie jej
myśli biegły ku temu, z którym
miała się połączyć. A
wspominając dni przeżyte od
chwili spotkania z Josefem
Primulą w studiu Rogera, po raz
pierwszy w swoim życiu cieszyła
się każdą chwilą, delektowała
się nią z odnalezioną wreszcie
rozkoszą, z ukrytą
bezwstydnnością.

Sara była jednak przygotowana
na to, co się jej przydarzyło,
nie bardziej niż wszystkie inne
dziewczyny w jej wieku,
oczekujące, z mniejszą lub
większą niecierpliwością, na
odkrycie miłości i namiętności.
Ona - raczej z mniejszą niż
większą, dlatego tym mocniej to
odczuła. Bo wystarczyło zaledwie
kilka słów i spojrzeń
wymienionych z Josefem Primulą -
słowa były banalne, ale nie

spojrzenia - aby jedno i drugie
poczuło się jak rażone piorunem.
Sara uśmiechała się zawsze
sceptycznie, ilekroć natrafiała
w powieści na ten płytki,
wytarty frazes. A jednak właśnie
on jej odpowiadał jako jedyny,
oddający i równocześnie
zawierający wytłumaczenie tego
co się stało. Cała jej rezerwa,
cała skromność, cała ostrożność
prysły w mgnieniu oka, legły w
gruzach. Czuła, jak w jednej
chwili obraca się wniwecz całe
wyniesione z domu dobre
wychowanie, jak kruszą się,
krępujące ją dotąd jak więzy,
zasady zachwiane już zresztą,
choć nieznacznie, przez
Brienne.a i jego przyjaciół.
Teraz pragnęła i potrzebowała
tylko jednego: pocałunków,
których domagały się usta
Josefa, i które mogłaby oddawać,
jego pieśczęt, na które mogłaby
odpowiadać swoimi, i jak
najszybciej, jeśli to możliwe,
na zawsze należeć do niego.
Wystarczyło kilka minut
nieobecności Brienne.a, kiedy
poszedł odprowadzić Chantal
Verseau; podeszła do młodego
Czecha, wzięła go za rękę,
przytuliła się do niego, podała
mu usta. I tak zastał ich
fotograf, kiedy wrócił do
studia.

- To tak! Ale nie
przeszkadzajcie sobie! -
powiedział pozornie lekkim
tonem, ale głos mu nieco
zadrżał.

Sara i Josef oderwali się od
siebie. Nie chcąc się
naprzykrzać, Brienne poszedł do
laboratorium zatraskując za
sobą drzwi. Potem wszystko
potoczyło się już bardzo szybko.
Josef wziął Sarę za rękę i
wyprowadził na ulicę. Długo szli

obok siebie prawie nic nie mówiąc, a ich głębokie porozumienie i pragnienie wyrażały jedynie ich splecione palce. Usiedli na ławce w Ogrodzie Luksemburskim. Schronili się w jakimś kinie na bulwarze Saint_michel, ale zauważyli tylko tytuł filmu. Wreszcie, choć niczego nie uzgadniali, jakby jedynym ich przewodnikiem była obopólna namiętność, znaleźli się w pokoju Josefa.

Odkąd młody Czech zaczął bywać w alei Racheli, wiele razy słyszał o Sarze, naturalnie przede wszystkim od Brienne.a. - Wspaniała dziewczyna! Niestety, jeszcze dziewica... w dodatku trochę "przyblokowana". No, ale ma dopiero siedemnaście lat.

Uroda Sary nie zaskoczyła więc Josefa, chyba żeby zaskoczeniem tłumaczyć to olśnienie, jakiego doznał ujrawszy ją wreszcie. Bo po pierwszym wymienionym spojrzeniu zrozumiał, że ta dziewczyna jest dla niego, że będzie jego i że nie chodzi tu o banalną przygodę, jakich wiele przeżył w swoim rodzinnym miasteczku w Sudetach, potem w Pradze, a nawet już po przyjeździe do Paryża. Zdziwiło go jednak, ale jednocześnie ucieszyło, śmiałe zachowanie dziewczyny.

- Co? To ma być "przyblokowana" dziewica, ta panienka, co sama rzuca mi się na szyję?

Nagła miłość zbytnio jednak zawładnęła nim samym, żeby nie rozumiał gwałtownego wybuchu uczuć Sary i nie skorzystał w pełni z tej obiecującej okazji darowanej mu w porywie dorównującym jego własnej

namiętności.

Na szczęście kilka dni później kończył się rok szkolny. Zajęty jedynie niezbyt absorbującymi tłumaczeniami, o jakie postarał mu się Xavier Laurent Josef miał zawsze dużo wolnego czasu i wkrótce Sara znalazła się w tej samej sytuacji. Matce i bratu opowiadała o przedłużonych zajęciach ze stenografii i stenotypii, byle tylko móc codziennie jeździć do Paryża. Zajęcia były oczywiście zmyślane i służyły za pretekst do spotkań z Josefem w hotelu i namiętnego oddawania się miłosnej grze, bez której ani nie mogli, ani nie chcieli się już obejść, a która pochłaniała ich bez reszty. Młody Czech nie należał do tych niedoświadczonych mężczyzn, którzy, biorąc uległe ciało, dążą tylko do szybkiego samozaspokojenia. Podczas studiów w Pradze był kochankiem starszej od niego o lat dwadzieścia literatki i to właśnie ona nauczyła go wszystkich subtelności miłości fizycznej, wszystkich sposobów na przedłużenie wspólnie odczuwanej rozkoszy i na zwiększenie jej nateżenia. Sara odkryła więc równocześnie samą miłość i najbardziej wyrafinowane subtelności rozkoszy. Jej naturalna zmysłowość, tak długo tkwiąca w kokonie młodzieńczej niewinności, przebudziła się, ujawniła z całą gwałtownością, dosłownie wybuchła. Sara żyła teraz wyłącznie dla tych chwil w łóżku Josefa, kiedy po jej ciele błądziły dłonie kochanka, a czas się zatrzymywałznaczony za ledwie nieuchwytnym drżeniem, aż do olśnienia, w którym świat zdawał się eksplodować i ziemia

się trzęsła.

Tak, te chwile znaczyły więcej niż wszystkie inne, łączenie z lojalnością i szczerością, jaką zawsze dotąd Sara darzyła matkę i którą nagle zepchnęła na dalszy plan, bez trudu wyzbywając się żalu i wyrzutów sumienia.

Na pomysł wakacji w schronisku młodzieżowym wpadł Josef. Jeden z jego czeskich kolegów mieszkających w tym samym hotelu, spędził kilka dni w Villeneuve_la_dondagre i opowiadał mu o tym schronisku wiele dobrego.

- Czy to by nie było cudowne, kochanie, spędzić razem dwa czy trzy tygodnie? Cały czas być tylko dla siebie? Dzień i noc?

- Tak! Ale w tych schroniskach są chyba osobne sypialnie dla dziewcząt i chłopców? A poza tym... Będę musiała poprosić o pozwolenie matkę.

Primula zlekceważył te argumenty.

- Oczywiście, sypialnie są osobne. Ale, jeśli wierzyć mojemu koledze, z dyscypliną można sobie jakoś poradzić. Gospodarze schronisk to nie dozorczy więzienni. A w każdym razie dookoła jest przecież wieś. Nie uważasz, że byłoby cudownie kochać się na łonie przyrody? A jeśli chodzi o matkę, to chyba wystarczy ją poprosić?

I tak, pierwszego lipca, z lekkim bagażem w ręku, kochankowie spotkali się w pociągu odjeżdżającym z Dworca Lyońskiego.

Przedtem Sara poszła złożyć wizytę Rogerowi, którego nie widziała już prawie miesiąc, a dokładnie od dnia, kiedy w jego studiu poznała Josefa. Kiedy w

odruchu zazdrości fotograf
zatrzasnął za sobą drzwi
laboratorium, Sara i Josef
wymknęli się bez pożegnania. A
oboje przywiązywali duże
znaczenie do przyjaźni z
Breinne'em i za nic w świecie
nie chcieliby wyjechać na kilka
tygodni nie zobaczywszy się z
nim ponownie.

Najpierw pomyśleli, żeby razem
pójść w aleję Racheli, ale
zrezygnowali z tego, bo ich zbyt
widoczna uczuciowa i zmysłowa
więź mogłaby na nowo rozpaść
zazdrość Rogera. Sara włożyła na
to spotkanie lekką sukienkę w
pastelowym kolorze, niebieskim
jak jej oczy, ściągniętą w
talii. Kiedy weszła, Brienne był
na szczęście sam w studiu.

- Coś takiego! To ty! -
powiedział otwierając drzwi. -
Myślałem, że o mnie zapomniałaś.

- Jak możesz mówić takie
rzeczy? Naprawdę myślisz, że
mogłabym o tobie zapomnieć?

- No to na co czekasz? Pocałuj
mnie!

Pocałowali się i razem weszli
do studia. W ostrym świetle baru
Brienne przyjrzał się Sarze,
zupełnie jak w dniu jej
pierwszej wizyty z Marią Turmo,
ale innym, pytającym, niemal
inkwizytorskim wzrokiem.

- Czy wiesz, że jesteś
piękniejsza niż kiedykolwiek?

Po czym dodał innym tonem, z
odcieniem goryczy w głosie:

- Zmieniłaś się. Śpisz z kimś,
co? Mogę się założyć, że to
Primula.

Chociaż Sara była
przyzwyczajona do tego, że
fotograf mówi o wszystkim
wprost, na krótką chwilę
spuściła głowę. Ale bardzo
szybko uniosła ją znowu i
popatrzyła na Rogera wyzywającym

wzrokiem.

- Tak, skoro chcesz wiedzieć;
sypiam właśnie z Josefem
Primulą.

Cios był celny. Sara zaraz
jednak złagodniała.

- Wiesz, Roger - wyszeptwała
tkliwie - muszę ci coś
powiedzieć... jestem ci bardzo
wdzięczna za wszystko, co
zrobiłeś. Przyjąłeś mnie u
siebie, włączyłeś do grona
swoich przyjaciół, tylu rzeczy
mnie nauczyłeś... Pomogłeś mi
się uwolnić od tych myśli i
zasad, które mnie paraliżowały,
przeszkadzały mi żyć naprawdę...
a poza tym, to dzięki tobie
poznałam Josefa. Kocham go,
wiesz, i taka jestem szczęśliwa!
W pierwszym odruchu Brienne
pomyślał w głębi duszy: skoro
już z kimś sypia, to nie
ograniczy się tylko do tego
pieprzonego Primuli; wcześniej
czy później zechce się jej
innych facetów, to dlaczego by
nie mnie? Ale w miarę, jak Sara
w niewyczerpanym potoku słów
opowiadała mu o swoim szczęściu
z Primulą, o tym, jaki jest
miły, inteligentny, o dniach i
nocach spędzonych z nim, o
bliskich wakacjach z Primulą,
fotograf zrozumiał. Sara stała
się niedostępna, to, co
przeżywała z Josefem, nie jest
zwykłą przygodą, to potężna,
zaborcza miłość, która porwała
ją całą bez reszty, nie
pozostawiając miejsca na nic
innego. Brienne był
wspaniałomyślny, przyjął więc
sytuację taką, jaką była.

- Powiem ci, kochanie, że
cieszę się z waszego wspólnego
szczęścia. I cieszę się, że
jesteś taka ożywiona, kwitnąca.
To widać, kiedy kobieta jest
zakochana. Na Boga, to cudownie.

Zapytał:

- A więc wyjeżdżacie razem na wakacje?

- Tak, na dwa tygodnie do schroniska młodzieżowego niedaleko Sens.

- Twoja matka nie robiła trudności?

- Nie bardzo. Ale nie powiedziałam jej wszystkiego: nie wie, że wyjeżdżam z Josefem. Brienne wybuchnął śmiechem.

- A w dodatku kryjesz się jeszcze przed kochaną mamusią! Nie wstyd ci, ty szelmutko? Ale z dziewczynami tak zawsze. Dajcie znać, jak wrócicie, około 15 lipca urządzam festiwal, może mogłabyś jakoś to załatwić i przyjść z Josefem. Na pewno potrafisz wymyślić dla matki jakąś bujną na resorach. Teraz z kolei roześmiała się Sara.

- Dobrze, przyjdziemy. Cieszę się, że cię zobaczyłam. Kumple jak dawniej, przyjaciele na zawsze... Pod serdecznym wzrokiem Sary Brienne czuł, jak topnieją w nim resztki rozgoryczenia i zazdrości. Pozostała tylko ogromna tkliwość łącząca go z dziewczyną. Wziął ją w ramiona i czule pocałował.

- Tak, Saro! Przyjaciele na zawsze...

Josef i Sara obiecywali sobie czarowny pobyt w Villeneuve_la_dondagre i wszystko się spełniło. Lato 1939 roku było piękne, suche i gorące, jeśli czasem nadciągnęła burza, to mijała bez śladu. Żyzna kraina Yonne zieleniła się, a wokół wsi ciągnęły się niezmierzone pola pszenicy i łąki rozpościerające się na lekko pagórkowatej równinie, której monotonię gdzieniegdzie

tylko zakłócała kępa cienistych,
kuszących drzew. Z gotyckim
kościółem, merostwem, dwoma
barami i skupioną wokół nich
blisko dziesiątką zagród i
kilkoma domami w stylu miejskim,
gdzie mieszkali emeryci, wieś
wyglądała jak na widokówce. Na
wąskich uliczkach, którymi
pędzono bydło do wodopoju albo
na pastwisko, chłopci
pokrzykiwali wesoło wśród
szczekania psów, porykiwania
krów i cieląt.

Andr~e Dubreuil, gospodarz
schroniska, gorąco przywitał
Josefa i Sarę. Temu staremu
działaczowi socjalistycznemu,
kombatantowi wojny 1914_#1918
roku, pozostało z zawodu
nauczyciela - był na emeryturze
dopiero od dwóch lat - poczucie
autorytetu, w jego schronisku
panował więc porządek i nie było
mowy o tolerowaniu na dłuższą
metę jakichkolwiek wybryków.
Zachował też całą pedagogiczną
pasję, która ożywiała go do
pracy zawodowej; wspólne
posiłki, przeciągające się do
północy wieczorne posiedzenia
były zarazem pretekstem do
przyjacielskich rozmów, podczas
których stary człowiek opowiadał
swoje wspomnienia, mówił o
wojnie, o socjalizmie, o
zagrożeniu faszystowskim, albo w
bardzo żywy sposób nawiązując do
jakiegokolwiek tematu, udzielał
przystępnych lekcji historii,
botaniki, zoologii lub
astronomii. Potem następowały
pasjonujące, czasem nawet bardzo
namiętne, dyskusje, w których
mógł brać udział każdy gość
schroniska, wzbogacając je
własnym doświadczeniem z nauki
lub pracy zawodowej.
Gości, dziewcząt i chłopców,
było około trzydziestu, a ich

przeciętny wiek wynosił dwadzieścia lat. W większości byli Francuzami, ale było też kilku Belgów, dwóch Niemców, Holender. Przeważali wśród nich robotnicy przybyli z tych miast, gdzie, jak w pieśni schronisk, słyhać "syrenę fabryczną i gwizd lokomotyw", ale byli też urzędnicy, studenci. Tworzyli oni mały, kolorowy, sympatyczny i dobroduszny świat, w którym spódnice i spodnie zamienia się chętnie na szorty, gdzie się żartuje, dyskutuje, flirtuje, śpiewa "Jeanneton bierze swój sierp" albo:

Na równinie zabrzmiała piosenka@ i obudziła okoliczne echa.@ Mówi nam, a jej głos nas porywa:@ Niech żyje życie, radość i miłość!@

Nie zapominając o "Wszystko w porządku, pani markizo" i "Co za radość" albo o poważniejszej już w tonie pieśni schronisk młodzieżowych:

Idźmy na spotkanie życia!@

Idźmy na spotkanie świtu!@

Dni upływały na spacerach i zabawach. Wieczorem, po dyskusji prowadzonej przez tatę Dubreuila, wszyscy padali ze zmęczenia na polowe łóżka i twarde sienniki we wspólnych sypialniach, ale sen nie kazał na siebie czekać. Dziewczęta i chłopcy spali osobno, ale jak przewidywał Josef, można było jakoś obejść dyscyplinę: nie było zakazu wychodzenia ze schroniska i tworzące się i rozpadające pary mogły się spotykać na zewnątrz, a okolica była zachęcająca.

Josef i Sara bez trudu

włączyli się do tej małej grupy.

Josef odczuwał co najwyżej pewną nieufność wobec dwóch młodych Niemców, podejrzewając, że są

nazistami. Pewnego wieczora,
podczas dyskusji politycznej
prowadzonej przez tatę
Dubreuila, jeden z nich
przyznał, że należy do
Hitlerjugend. Znał tylko swój
język ojczysty i Josef zgodził
się tłumaczyć jego słowa.
- Tak, jestem nazistą! Ale we
Francji, a często i w innych
krajach, nie rozumie się, na
czym naprawdę polega nasz ruch.
Zapomina się, że nazwa "narodowy
socjalizm" zawiera słowo
"socjalizm". Wszystkie wysiłki
naszego Führera zmierzają do
poprawienia losu naszego ludu.
Rzeczywiście, przemawiały za
nim pewne pozory. Hitler
przywrócił do pracy sześć
milionów bezrobotnych, których
pozostawiła po sobie Republika
Weimarska, a których
niezadowolenie przyczyniło się
do jego dojścia do władzy.
Rozwinął opiekę społeczną:
ubezpieczenia na wypadek
choroby, zasiłki rodzinne,
zasiłki macierzyńskie, system
emerytalny chroniły teraz
Niemców przed różnymi
przypadkami losu. Hitler
rozwinął też różne formy
spędzania wolnego czasu: Niemcy
mieli takie same, jak
wprowadzone we Francji przez
Front Ludowy, płatne urlopy,
korzystali z ułatwień w
podróżach i wycieczkach
morskich, bibliotek i schronisk
młodzieżowych było więcej niż
gdziekolwiek indziej, coraz
popularniejsze stawały się małe
samochody, volkswageny, a
kosztowały dostatecznie mało, by
na korzystny kredyt mogli je
nabywać robotnicy; dla
poprawienia warunków ruchu
drogowego budowano całą sieć
autostrad, pierwszą w Europie.

- Jesteśmy pracowitym,
szczęśliwym i pokojowym narodem.
Więc co się nam zarzuca?
Dlaczego się nas nienawidzi?
Skąd ta cała nienawiść do naszej
partii i naszego F~uhrera?
Josef przerwał tłumaczenie i
zaoponował:

- Wszystko, co mówisz, jest,
być może, prawdą. Ale ja jestem
Czechem i mój kraj został
napadnięty przez niemiecką
armię. Dlaczego to zrobiliście?
Dlaczego wasz F~uhrer
zaanektował Austrię i napadł na
Czechosłowację, zajął Kłajpedę?
Dlaczego stanął po stronie
Franca w wojnie w Hiszpanii, po
stronie Mussoliniego w Abisynii,
Libii i Albanii? Chcecie,
żebyśmy wierzyli w wasze
pokojowe intencje? To
przestańcie wszystko pożerać,
wchłaniać otaczające was kraje!
Od kilku chwil Sara płonęła
chęcią wtrącenia się do rozmowy.

- Chcecie, żebyśmy wierzyli w
wasze socjalistyczne dążenia? -
zawołała. - To wytłumaczcie nam,
dlaczego wsadzacie do więzień
prawdziwych socjalistów i
komunistów? Dlaczego wysyłacie
ich do obozów koncentracyjnych!
I dlaczego prześladowacie Żydów!
Podniosła głos:

- To tacy faszyci jak wy
zabili mojego ojca na dziedzińcu
fabryki! Nie wierzę ani jednemu
waszemu słowu! Nie mam do was
najmniejszego zaufania,
najmniejszego! Tylko nienawiść!
A nawet nie nienawiść - pogardę!
To było tak, jak podczas bójki
z Jacqueline Troussin na
podwórku szkolnym w Lagny, z
1934 roku; nagle straciła
panowanie nad sobą. Spostrzegła,
że wszyscy się jej przyglądają.
Podniecona, z oczami miotającymi
błyskawice, była piękniejsza niż

kiedykolwiek. Gospodarz
schroniska spojrział na nią z
podziwem, potem zerknął na
zegar.

- Już dwunasta, zamykam
dzisiejszą dyskusję. I powiem
wam jeszcze, co myślę. Nie można
mnie podejrzewać o życzliwość
dla faszyzmu. Ale macie wakacje.
Korzystajcie z nich...
Korzystajcie z czasu odpoczynku,
z przyrody, ze słońca. No,
dobranoc!

Nazajutrz rano stwierdził, że
obaj młodzi Niemcy wyjechali bez
pożegnania.

Schronisko, "tata" i jego
goście, wieś i okoliczna
przyroda, słoneczne lato i
panujący jeszcze pokój, wszystko
sprawiało, że ten pobyt był
uroczy. Ale oczarowanie Josefa i
Sary brało się przede wszystkim
z nich samych. Dzień po dniu,
godzina po godzinie poznawali
się coraz dokładniej. W
przeciwieństwie do niemal
wszystkich par w owym czasie
udało im się od razu osiągnąć
doskonałą harmonię cielesną.
Pozostawało im jeszcze zbadać
swoją osobowość, podzielić się
wspomnieniami, myślami,
ambicjami, przeżyciami. A ich
szczęście polegało na tym, że w
miarę jak się sobie zwieriali,
poprzez pozornie najsłabsze
słowa i gesty, czuli jak bardzo
byli dla siebie stworzeni.
Stopniowo upewniali się, że nic
tkwiącego w nich samych nie
mogłoby ich nigdy rozdzielić.
Josef jeszcze bardziej kochał
Sarę, odkąd wiedział o niej
wszystko, o jej krótkiej
przeszłości, rodzinie, nauce,
planach. Był szczęśliwy poznając
jej spokojną, zrównoważoną, ale
niezwykle wrażliwą i namiętną
osobowość. Długo opowiadała mu o

ojcu, o jego aresztowaniu po morderstwie popełnionym na Sarze Meyer, o tragedii na dziedzińcu drukarni Ravaux.

- Tatuś nigdy w domu nie mówił o polityce. Odnoszę zresztą wrażenie, że nie miał zbyt jasno określonych poglądów. Ja też przez długi czas nie miałam żadnych poglądów. Na początku, kiedy umarł, umiałam tylko płakać.

- Ile miałaś lat, kiedy umarł?

- Czternaście. Ale później, oprócz smutku poczułam prawdziwe obrzydzenie do tego, co mu zrobili. To takie okropne, takie niesprawiedliwe! Och, to wcale nie znaczy, że jestem działaczką. Ale w każdym razie wiem teraz, po której jestem stronie.

Kiedy Sara przeżywała na nowo bolesne godziny bliskiej jeszcze przeszłości, swój popłoch, uczucie buntu, które doprowadziło ją do pierwszego politycznego uświadomienia, jej twarz ożywiała się. Sara była taka nieugięta, taka szczerą, kiedy mówiła o swoim ideale sprawiedliwości i braterstwa...

Josef był pod jej urokiem.

Pragnąc niczego przed nim nie ukrywać, opowiedziała mu też o szczególnych cechach Roberta, o jego upodobaniu do chłopców.

- Taki już jest, nic na to nie poradzę! Wszystko, co mogę zrobić, to kochać go na tyle, na ile powinnam, to znaczy tyle samo, co drugiego brata. Nie mniej, bo nie zrobił nic takiego, co zasługiwałoby na mniejszą miłość. Nie więcej, bo nadmiar uczucia, czułości przypominałby litość, oznaczałoby, że uważam za słabość, a nawet za kalectwo coś, co w moim mniemaniu jest

tylko innością. Ludzie mają
prawo być różni i mają prawo być
szczęśliwi ze swoją innością.

To, czego bym gorąco pragnęła,
to właśnie, żeby był szczęśliwy.

Czy to możliwe? Najbardziej
zasmuca mnie jego skłonność do
zamykania się w sobie, do
wewnętrznej izolacji.

Chciałabym, żeby mógł przestać
wreszcie przeżuwać te swoje
posepne, jak przypuszczam,
myśli, od których udaje mu się
uciec tylko w pisanie. Ale,
jeśli pewnego dnia im się
wymknie, dokąd pójdzie? Ku jakim
przygodom?

Te słowa poruszyły Josefa
swoją rozwagą, były dowodem
niezachwianej miłości do tego
niezwykłego chłopca.

Pewnego popołudnia ułożyli się
razem pod drzewem, a Josef
przekomarzając się, powiedział
do Sary:

- Wiesz co, a gdybyś tak
powiedziała mi trochę o swoich
wadach? Zacznij od największej.
Sara zaśmiała się swoim
młodzieńczym śmiechem.

- Jestem ciekawska! Okropnie
ciekawska, nawet sobie nie
wyobrażasz jak. Kiedy byłam
mała, w szkole, moja ciekawość
stale płatała mi figle, bo
zawsze obserwowałam coś innego
niż to, co było na tablicy.

Jeszcze teraz wszystko przyciąga
moją uwagę: ludzie, rzeczy,
idee... chciałabym wszystko
zobaczyć i wszystko zrozumieć!

- To raczej zaleta! -

powiedział śmiejąc się Josef.

Przysunął się do niej trochę
bliżej, popatrzył na nią z udaną
surowością i ciągnął:

- I co dalej? Czy ty
przypadkiem nie masz też ciut
złego charakteru?

- Mówisz tak z powodu tych

dwóch Niemców, tamtego wieczora?

Masz rację, od czasu do czasu
wpadam w piekielną złość... Ale
tylko przy wielkich okazjach! -
podsumowała żartobliwie.

- Mów dalej! - podjął

niewzruszony Josef.

Przysunął się do niej jeszcze
bliżej, zniżył głos i powiedział
jej na ucho:

- Czy ty przypadkiem nie
jesteś też bardzo, bardzo
zmysłową dziewczyną?

- Owszem, ale to twoja wina -
wyszeptala Sara tym samym tonem.

Wtedy Josef wziął ją w ramiona
i długo całował.

- Chodź - powiedziała Sara
wstając.

Wstali i poszli drogą wijącą
się wśród pól pszenicy.

- A ty - zapytała Sara po
dłuższym milczeniu. - Może ty
opowiesz mi o swoich wadach?

- Mam ich mnóstwo! Jestem
próżny: lubię, jak ludzie patrzają
na mnie, kiedy z tobą spaceruję.
Jestem rozpustny: bo szczęśliwy
tylko w twoich ramionach. Jestem
leniwy: lubię leżeć w przytulnym
łóżku, blisko ciebie. Jestem
fatalistą: myślę sobie, że mi
wszystko jedno, byleś ty mnie
kochala, bylebym był z tobą...

I tak, podczas ich rozmów,
Sara poznawała stopniowo
charakter Josefa i jego
przeszłość. Dzieciństwo w
sudeckiej wiosce położonej
między Karlovymi Varami a rzeką
Ohrzą, w rodzinie urzędniczej.
Studia w Pradze, wstąpienie do
czeskiej partii socjalistycznej.

A nawet życie osobiste
naznaczone długim związkiem
uczuciowym z ową literatką,
która nauczyła go miłości. Ale
słuchając go, Sara poczuła w
sercu zaledwie lekkie uczucie
zazdrości.

Czasem rozmawiali o literaturze. Wychowany na kulturze niemieckiej Primula lubił Kafkę i J~ungera, Zweiga i Falladę, Wiecherta i Tomasza Manna. W poezji mieli podobne gusty, Josef cenił Heinego, a zwłaszcza Rilkego, którego najpiękniejsze wiersze recytował Sarze idąc z nią poprzez pola:
Manchmal, geschieht es ins tiefer nacht@ dass der Wind wie ein Kind erwacht...@
(Niekiedy zdarza się w głębi nocy, że wiatr budzi się jak dziecko...)

Czasem rozmawiali też o astronomii. Poza tym, czego nauczył się w szkole i na uniwersytecie, Josef pasjonował się "Astronomią popularną" Camille'a Flammariona, którą czytał w tłumaczeniu na niemiecki. Do plecaka zabrał wydany niedawno "Ciężar nieba" Jeana Giono, ilustrowany wspaniałymi zdjęciami z obserwatorium w Saint_Michel w Prowansji. Josef pokazywał olśnionej Sarze gwiazdy i konstelacje, objaśniał, co to jest wygasła gwiazda i galaktyka, doprowadzał do zawrotów głowy mówiąc o latach świetlnych. Potem, przyciągając ją do siebie, celował palcem w niebo i uczył ją rozpoznawać Wielką i Małą Niedźwiedzicę, Andromedę i Oriona, Perseusza i Smoka.

- Czy ty wierzysz w Boga? -
zapytała Sara pewnego wieczora,
gdy widok sklepienia niebieskiego i udzielane jej z pasją objaśnienia Josefa wzbudziły w niej po raz pierwszy w życiu coś w rodzaju metafizycznego niepokoju.
Prawie natychmiast pożałowała, że poruszyła temat, który mógłby

ujawnić pierwszy rozdźwięk między nią i kochankiem. Zaraz też dodała dla ścisłości, żeby wszystko było jasne:

- Ja w Boga nie wierzę. W mojej rodzinie nigdy się o tych sprawach nie mówi. Była to prawda. U Ritterów nikt nie przejawiał najmniejszych uczuć religijnych, nikt nigdy nie chodził do kościoła, chyba że przez grzeczność, na czyjs ślub lub pogrzeb. Elie i Sylvia wzięli ślub cywilny. Sara nie wiedziała nawet, czy ona i bracia byli ochrzczeni. W każdym razie żadne z nich nie chodziło na naukę religii. Elie i Sylvia, zwłaszcza Elie, okazywali nawet pewną wrogość wobec klerykałów, otwarcie kpili sobie z "klechów" i "naciągaczy" i wyśmiewali się z zagorzałej dewotki, dozorczyni M~elanie Minoux, która co rano była na mszy.

- Co wcale nie przeszkadzało, że rodzice byli dobrzy, uczciwi, szlachetni. Tym, co trzymało ich zresztą z dala od kościoła, było to, że widzieli współudział księży w najgorszych niesprawiedliwościach. A także gorliwość, z jaką poświęcali armaty...

- Nie wiem, czy z tego samego powodu, ale mnie też nigdy nie pociągała religia. I nawet nie bardzo się nad tym zastanawiałam. Do dzisiaj tego wieczora... Dopiero uczucie, jakie żywię do ciebie i te gwiazdy, które mi pokazałeś, obudziły we mnie chęć porozmawiania o tym. Jakie to głupie, prawda? Josef popatrzył na nią przenikliwie. Poczuł w tej chwili silniej niż kiedykolwiek, jak bardzo ich miłość jest

niepowtarzalna, święta w
najbardziej dosłownym znaczeniu
tego słowa.

- Ależ nie, nie ma w tym nic
głupiego. Czy wiesz, że moje
stanowisko w tych sprawach jest
takie samo jak twoje? Ja też nie
wierzę w Boga. Są takie dni,
kiedy chciałbym wierzyć, bo to
daje pewien rodzaj
bezpieczeństwa, pewności. Ale
nie mogę. Może dlatego, że mam
zbyt logiczny umysł. A może z
tego powodu, że jestem zbyt
dumny, albo za bardzo ciekawy
wszystkiego, żeby poprzestać na
jednej i ostatecznej wierze. Mam
wrażenie, że chodziłbym z
klapkami na oczach, że to by mi
nie pozwoliło pozostać otwartym
na wiadomości, które mogłyby
zachwiać moją wiarą...

Objął Sarę w pół. Szli drogą
wśród pól równym krokiem.
Zapadał wieczór.

- A poza tym, wiesz, jest coś
jeszcze! Wszystkie te
niesprawiedliwości,
nieszczęścia... choroby,
wojny... cierpienia... zwłaszcza
dzieci. Znasz to świetne zdanie
Dostojewskiego: "Jeden okrzyk
cierpienia dziecka jest
zaprzeczeniem Boga!" Ja myślę
tak samo! We wszystkich
religiach, we wszystkich
świętych księgach maluje nam się
Boga jako istotę wszechmocną,
wszechwiedzącą, nieskończenie
dobrą. Gdyby istniał, to jak
mógłby przez sekundę tolerować,
żeby małe, niewinne istoty bez
grzechu cierpiały z głodu,
chorób, zła, okrucieństwa albo
głupoty dorosłych... Skoro nie
interweniuje, to... obawiam
się... dlatego, że nie
istnieje... Mam nadzieję, że cię
nie zgorszyłem...

- Oczywiście, że nie, jestem

szczęśliwa, że także w tej
sprawie odczuwamy to samo.
Kocham cię za to jeszcze
bardziej, jeśli to możliwe...
Byli teraz blisko zagajnika,
gdzie chronili się zazwyczaj ze
swoją miłością. To, co odczuwali
tego wieczora, miało taką moc,
że zdawało im się, że ziemia
drży pod ich splecionymi
ciałami, że cały wszechświat się
zakotłosał. Chyba nigdy jeszcze
ich porozumienie nie było równie
głębokie i pełne.

- Może to jest właśnie Bóg -
wyszeptał Josef w drodze
powrotnej do schroniska. - Ta
eksplozja życia, ta absolutna,
niezmierzona radość...

Dodał w tym samym lirycznym
uniesieniu:

- Kiedy jesteśmy tak blisko
siebie, stajemy się dziećmi
słońca, rodzicami gwiazd,
krewnymi konstelacji, kuzynami
nieba, jedynymi mieszkańcami
ziemi... stworzonymi przez
kosmicznego, nieznanego Boga,
który na razie objawia się tylko
w tym tajemniczym olśnieniu...

Nazajutrz Josef i Sara
wyjechali z

Villeneuve_la_dondagre i
wrócili do Paryża. Czując, że
nie mogliby już obejść się bez
siebie nawzajem, że rozłąka
byłaby zbyt okrutna, postanowili
zamieszkać odtąd razem. W tym
celu zwrócili się do właściciela
hotelu, w którym mieszkał Josef.
Ten najpierw się zgodził, a
potem w przypływie wątpliwości
poprosił o dowód osobisty Sary.

- Nie - powiedział - to
niemożliwe! To zbyt ryzykowne
zameldować razem niepełnoletnią
dziewczynę i dorosłego
mężczyznę. Nie chcę mieć
kłopotów z policją. Panienska
może od czasu do czasu

przychodzić do pana w ciągu dnia, proszę bardzo, panie Primula. Zwłaszcza że jest pan dobrym lokatorem, czystym i terminowym. Ale na więcej nie mogę pozwolić.

Josef nie był bogaty, tłumaczenia zdarzały się rzadko i były niskopłatne. Musiał więc znaleźć niedrogie i dostatecznie dyskretne schronienie, żeby nie dać się zauważyć i nie narazić na oskarżenie o uwiedzenie nieletniej. Rozwiązanie znalazł Roger Brienne; na szóstym piętrze kamienicy w alei Racheli, miał służbówkę, z której nie korzystał, co najwyżej wynosił tam niepotrzebne graty. Zaoferował ją za darmo przyjacielom. Nie bez ukrytej myśli; będzie mógł w ten sposób widywać Sarę o wiele częściej.

Sarze pozostawało teraz przekonać matkę, żeby pozwoliła jej wyprowadzić się z willi "Promienny Uśmiech", zabrać swoje rzeczy i zamieszkać w Paryżu z Josefem, a zarazem wyjawić jego istnienie i rolę jaką odgrywał w jej życiu.

Trzeba było wykazać sporo dyplomacji, żeby wszystko zostało przyjęte niezbyt dramatycznie, a celem numer jeden było uniknięcie kategorycznego "nie", czy nawet skrajnej reakcji: złożenia skargi na policji.

Zaraz w dniu powrotu z Villeneuve_la_dondagre, po powitalnych pocałunkach, Sara zaczęła opowiadać o schronisku i jego gościach, o "tacie" Dubreuilu, o pięknym lecie, spacerach po okolicy, o odkrywaniu astronomii itd. Ale była taka podniecona, rozentuzjasmowana, tak kwitnąca,

że Sylvia zaczęła się w końcu czegoś domyślać.

- A nikogo tam nie poznałaś? - zapytała.

Sara roześmiała się promiennie śmiechem szczęśliwej kobiety, która nie może dłużej skrywać swojej tajemnicy i korzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby ją wyjawić, obwieścić.

- Owszem! Tylko, że nie tam, a w Paryżu. To chłopak, którego poznałam u Brienne, a, wiesz, tego fotografa. Mamusi! To cudowny chłopak!... Był ze mną w schronisku. Spędziliśmy razem te dwa tygodnie...

I wyznała wszystko, a opowiadała długo. Początkowo oszołomiona i milcząca Sylvia zareagowała tak, jak przewidywała z obawą córka - pełnym zgorszenia gniewem, furią, wściekłością, płaczem, wyzwiskami, pogroźkami, odwoływaniem się do zmarłego ojca i do dobrego wychowania, jakie na próżno dali tej niewdzięcznicy, kategoryczną odmową zgody na połączenie się córki z uwodzicielem.

- Pójdę do tego wstrętnego typa! Jeszcze o mnie usłyszysz. Nie zapominaj, moja mała, że jesteś niepełnoletnia! Zajmie się nim policja! A zresztą, któż to jest? Jakiś nędzarz, bez stałej pracy, bez przyszłości. Nie wyobrażasz sobie chyba, że pozwolę ci wynieść się z domu i żyć z nim! I to gdzie? W pokoju dla służby. To już szczyt! Dopóki ja żyję, nie zrobisz tego. Gdyby tu był twój biedny ojciec, dałby ci nauczkę! Ale porozmawiam z Brunem. Nie myśl, że on ci na to pozwoli. A potem, wtrącając od czasu do czasu, kiedy tylko jej się

udało, jakieś słowo, mówiąc, gdy tylko stało się to możliwe, o swojej miłości w słowach pełnych uniesienia, z rozgnioną twarzą, używając całego arsenału rozpaczy, udając uległość, uciekając się do tkliwości, szlochu, płaczu, odwołując się do zrozumienia, do litości, Sara osiągnęła stopniowo poprawę pozornie beznadziejnej sytuacji. W miarę, jak mówiła, używając coraz bardziej wzruszających i przekonujących argumentów, czuła, jak matka się uspokaja, jak się roztkliwia, mięknie. Ostatecznie, Sara przeżywała taką samą przygodę co ona i Elie trzydzieści lat temu: taką samą, równie gwałtowną miłość. I, o czym nie wiedziała córka, ona też nie zważała na opinię, lecz na długo przed ślubem przyjmowała Eile w swoim pokoju dla służby niedaleko Dworca Wschodniego. Jakie więc miała prawo mówić o hańbie, używać wielkich słów rodem z mieszczańskiej moralności, powoływać się na przestarzałe jej zasady, z których szydzili często sami mieszczenie, a w każdym razie podważał je cały naród w euforii Frontu Ludowego, zasmakowawszy szczęścia? Czy to nie było najważniejsze, być szczęśliwym? Rozbrojona nagle, zaczęła płakać.

- Taka jesteś piękna, Saro, że to musiało się zdarzyć! Trochę za wcześnie, masz dopiero siedemnaście lat. Ale ja, twoja matka, chcę tylko twojego szczęścia. No więc... skoro tak kochasz tego chłopca... skoro on też ciebie kocha... skoro chcesz wynieść się z domu i żyć z nim... no cóż, nie chcę cię zatrzymywać, ani więzić. Serce mi się kraje. Ale nie chcę,

żebyś była nieszczęśliwa.
Otarła łzy i podjęła:
- Będiesz mnie często
odwiedzała, prawda? Będiesz
przyjeżdżała z tym młodym
człowiekiem? Mam nadzieję, że
jest rozsądny i ożeni się z
tobą. Najlepiej by było,
gdybyście się pobrali jak
najszybciej. Jak Bruno i
Lucienne. A właśnie, ty nic nie
wiesz, decyzja zapadła podczas
twojej nieobecności, mają się
niedługo pobrać. Żyją już
praktycznie razem, u ciotki jego
dziewczyny. Bruno przychodzi
teraz tutaj najwyżej raz, dwa
razy w tygodniu. Nie wiem,
kochanie, co by o tym wszystkim
pomyślał twój ojciec. Ja robię
to, co mi się wydaje dobre...
Jedyna ważna dla mnie rzecz, to
żebyście byli szczęśliwi, ty,
Bruno i Robert też...
Teraz z kolei rozplakała się
Sara, bo wzruszyło ją
przypomnienie ojca. Myślała też
o tym, jaki będzie teraz los
Sylvii, samej w opustoszałym
domu, tylko z Robertem, który
nie był zbyt wesołym
towarzyszem. Obie kobiety długo
się całowały. Potem Sylvia
pomogła córce zapakować do dwóch
walizek bieliznę, ubrania,
książki.
Nazajutrz, późnym rankiem,
zgodnie z ustalonym wcześniej
scenariuszem, przyjechał Josef.
Sylvia uznała, że jest bardzo
przystojny, bardzo sympatyczny,
bardzo miły, tym bardziej że
młody Czech starał się okazać
uprzejmość, troskliwość i
serdeczność. Nie musiał się
wcale wysilać, bo matka Sary
była ujmująca, pełna godności w
swoim smutku.
Była niedziela 16 lipca 1939
roku. Pogoda była wspaniała. Tuż

przed południem zjawił się Bruno z Lucienne. Powiadomiony o wszystkim, nie wyrażał żadnego sprzeciwu, bowiem jego własne szczęście sprawiło, że stał się wyrozumiały. Poza tym, ponieważ Lucienne również była niepełnoletnia, znajdował się w tej samej sytuacji co Josef i Sara. Zresztą, skoro Sylvia się zgodziła, dlaczego by on miał okazywać oburzenie, którego nie odczuwał? Nadszedł z kolei Robert, porzucając na chwilę swoje książki mrużył oczy, bo nie był przyzwyczajony do słońca. Zjedli posiłek w ogrodzie, co przypomniało Sylvii tamten obiad na trawie, pięć lat temu, w dniu inauguracji willi.

- Tego dnia - powiedziała z płaczem - mój Elie był blisko mnie i taki szczęśliwy i dumny z ukończenia domu. Mieliśmy przy sobie trójkę naszych dzieci. Zjawili się sąsiedzi, murarze. Byliśmy szczęśliwi, a teraz... Teraz mojego biednego Elie nie ma już na tym świecie... Dzieci powoli odchodzą, będą żyć własnym życiem gdzie indziej, z dala ode mnie. Czas mija. Starzeję się...

Po skończonym obiedzie Sylvia przywołała Sarę do swojego pokoju.

- Posłuchaj, Saro, muszę z tobą pomówić o pieniądzach. Jak będziesz żyła tam w Paryżu, z Josefem? Nie pozwolę, żebyś wyjechała bez grosza, jak sierota! Zanim będziesz mogła otrzymać swoją część spadku po tatusiu i posag od matki chrzestnej, musisz mieć trochę pieniędzy. Weź, przygotowałam to dla ciebie...

Podawała córce kopertę zawierającą pięć banknotów po tysiąc franków.

- Mamusiu! Jaka ty jesteś
dobra... Ale nie mogę przyjąć
takiej sumy, to niemożliwe! Te
pieniądze będą ci potrzebne.

- Nie martw się, nie
potrzebuję tych pieniędzy.
Wy tłumaczę ci później. Weź, bo
inaczej nie będę miała spokoju.

- W takim razie przyjmuję -
zgodziła się dziewczyna z
wdzięcznością całując Sylvię. -
Nigdy nie miałam tyle pieniędzy
dla siebie! Nawet nigdy tyle nie
widziałam. To nam pozwoli
przetrwać, zanim nie znajdziemy
pracy i nie pobierzemy się. Och,
mamo, dziękuję!

Wkrótce potem Sara wyszła z
niosącym walizki Josefem. Sylvia
odprowadziła ich do skrzyżowania
drogi do Wysokich Fal,
przemianowanej na drogę Przy
Autostradzie, z drogą do
Gouvernes. Ze łzami w oczach
patrzyła, jak się oddalają.
Potem opuścili dom Bruno i
Lucienne. Sylvia została sama z
młodszym synem.

Kiedy wieczorem przygotowywała
kolację, u jej boku wyrósł
Robert.

- Mamo, popatrz! Porządkując
stare dokumenty, znalazłem
książeczkę wojskową taty. A w
środku dziwny papier złożony we
czworo... Masz, czytaj!

Sylvia rozłożyła postrzępioną
kartkę z pożółkłymi brzegami.
Widniało na niej kilka linijek
skreślonych niepewną, niezwykłą
do posługiwania się piórem ręką.
Przeczytali razem na głos:

"Pragnę być pochowany nago,
jak moi przodkowie. To jest moja
stanowcza wola. Chcę, żeby ją
uszanowano".

- Co to znaczy, mamo?

- Nie... nie wiem, Robercie?!

Nie mam pojęcia. Nie rozumiem.
Może to napisał ojciec w czasie

wojny, albo powierzył mu tę kartkę jakiś kolega. Zresztą, nie poznaję jego pisma i nie ma tu ani daty, ani podpisu.

Naprawdę nie wiem...

- Ale to coś okropnego leżeć w grobie nago. Dlaczego? W jakim celu? Ja bym się bał, że zmarzę. Ale, koniec końców, czy tatusia pochowali nago?

- Ależ skąd! Został pochowany w granatowym, świątecznym garniturze. Posłuchaj, Robercie, włóż ten papier tam, gdzie go znalazłeś. I... Nie mówmy o tym więcej, dobrze?

Robert posłuchał. Ale obiecał sobie, że któregoś dnia wyjaśni tę tajemnicę.

Josef i Sara urządzili się w swoim nowym mieszkaniu. Pokój wypożyczony im przez Rogera Brienne. a mierzył niewiele ponad dwa na trzy metry. Miejsca wystarczało zaledwie na wąskie łóżko, małą szafę i, między oknem i umywalką - na szczęście była bieżąca woda, co nieczęsto zdarzało się w pokojach dla służby - na mały stół i dwa taborety. Z okna rozciągał się widok na cmentarz Montmartre. Wychylając się, można było zobaczyć zawsze przybrany kwiatami grób Marguerite Gautier, Damy Kameliowej, a na prawo, trochę na północ, bazylikę Sacre~e_coeur.

Wystarczyło kilka doniczek z kwiatami na parapecie, żeby odtworzyć wygląd pokoju Mimi Pinson.

Ponieważ Primula nie miał złamanego grosza, pięć tysięcy franków od Sylvii pozwoliło młodemu umeblować pokój i żyć w nim szczęśliwie. Jasnobezowe tapety, kwieciste zasłony i narzuta na łóżko, bratki i niezapominajki w oknie tworzyły

obiecujące gniazdko miłości,
toteż Sara i Josef kochali się
do szaleństwa. Kiedy młody
Czech, leżąc na łóżku z
rozłożonymi dookoła papierami,
pracował nad jakimś skąpo
płatnym tłumaczeniem, Sara
wychodziła po zakupy na ulicę
Josepha de Maistre albo Lepic,
potem odgrzewała na maszynie
spirytusowej gotowe dania.
Zjadali kolację, śmieli się,
wygłupiali, a potem kochali się
doznając często tego samego
olśnienia co w
Villeneuve_la_dondagre.
Czasem po południu wychodzili
na spacer i trzymając się za
ręce przechadzali się po ulicach
starego Montmartre.u. Niektórzy
przechodnie oglądali się za
nimi, inni uśmiechali się do
nich jakby w podzięcie za to, że
są tacy piękni, tacy dobrani i
wyglądają na tak szczęśliwych.
Kiedy indziej siadali w ogródku
jakiejś kawiarni na placu du
Tertre albo na placu Clichy, czy
placu Blanche, albo też szli
odwiedzić Rogera. W każdą
niedzielę jeździli pociągiem do
Lagny, gdzie na trawie w
ogrodzie zjadali obiad z Sylwią,
Robertem, Brunem i Lucienne.
Czas jakby się zatrzymał,
zdawało się, że gorące lato,
szczęście kochanków, panujący
wokół nich pokój, euforia, w
jakiej żyli, unieruchamia świat,
powstrzymuje bezlitosne
upływanie godzin.
A jednak czas płynął.
Dwudziestego trzeciego sierpnia
Sara i Josef byli u Rogera,
kiedy radio podało wiadomość, że
w Moskwie Mołotow i Ribbentrop,
w obecności Stalina, podpisali
pakt niemiecko_radziecki.
- Tym razem wojna jest
nieunikniona! - powiedział

Josef.

Popatrzył na Sarę, spuścił
głowę, łzy napływały mu do oczu.
Sara i Brienne stali bez ruchu,
bez słowa.

Pierwszego września oddziały
niemieckie wkroczyły do Polski.
Trzeciego, Zjednoczone Królestwo
i Francja wypowiedziały wojnę
Niemcom.

Część druga

1940_#1941

I

Zgodnie z logiką Josef Primula
powinien był, podobnie jak w
Pradze, usłuchać głosu rozsądku
i wyjechać z Paryża przed
wkroczeniem oddziałów
niemieckich. Bo, jak sądził
młody Czech, był to już teraz
fakt przesądzony, nieuchronny.
Trzynastego maja 1940 roku,
dokładnie o dwudziestej
czterdzieści, pierwszy czołg 25
pułku pancernego pułkownika
Rothenburga przekroczył Mozę w
Houx pod Sedanem. Za nim,
wspierana przez sztukasy z
przeraźliwie wyjąłymi silnikami,
przedarła się 7 dywizja pancerna
dowodzona przez generała Rommla,
bezlitośnie miażdżąc lub
omijając obronę francuską.
Naprzeciw niemieckich oddziałów
pancernych stały już teraz tylko
wyzbyte odwagi, źle dowodzone i
źle uzbrojone wojska, których
opór, choć czasem heroiczny, nie
mógłby powstrzymać najeźdźcy.
Ile czasu potrzeba będzie
Niemcom na dotarcie do Paryża?
Josef oceniał fantastyczną
potęgę militarną armii
niemieckiej... i porównywał ją
ze słabością armii francuskiej,
z jej oczywistym brakiem czołgów
i samolotów bojowych,
dramatyczną nieudolnością
dowódców i znikomym entuzjazmem
żołnierzy.

- Za miesiąc Niemcy będą w Paryżu! - oszacował.
Sara zaprotestowała.
- Zwariowałeś! Jesteś wstrętnym defetystą! A w każdym razie zbyt wielkim pesymistą! Przecież armia francuska może się jeszcze pozbierać i powstrzymać napór Niemców. A poza tym mamy jeszcze całe imperium kolonialne. I są z nami Anglicy. A Amerykanie są naszymi przyjaciółmi, w razie katastrofy zrobią tak jak w 1917 roku. Przybędą na ratunek, przyślą żołnierzy i sprzęt.

Potem dodała:

- Nie myśl, że przemawia przeze mnie patriotyzm! Albo że dałam się nabrać na oficjalną propagandę. Jean Giraudoux jest wprawdzie wielkim pisarzem, ale w swojej nowej roli nie jest zbyt przekonujący. Ale staram się widzieć jasno. I dochodzę do wniosku, do przekonania, że nie wszystko jest jeszcze stracone...

- Nie jestem pesymistą, Saro, a jeszcze mniej defetystą. Jestem po prostu przewidujący. Za miesiąc Niemcy będą w Paryżu! Nic temu nie przeszkodzi... ani armia francuska, ani kolonie, ani Anglicy, ani Amerykanie. Mogę się założyć. I, niestety, pewien jestem, że zakład wygram! Josef powinien był już wyjechać. Ale dokąd? Nie musiał zaglądać do atlasu, by i tak wiedzieć, że na Francji kończy się Zachód. Tutaj załamywały się w przeszłości kolejne fale najazdów z Azji i diaspory ze Wschodu. Chcąc pojechać dalej i znaleźć bezpieczne schronienie, trzeba przepłynąć morze.

- Ale wszystko się sprzysięga przeciwko ewentualnemu wyjazdowi! - myślał. - Chcąc

wyjechać, czy to do Anglii, czy do Ameryki, musiałby mieć pieniądze. I nie być z nikim związany...

Otóż, pieniędzy nie miał, nie licząc tych od matki Sary, które szybko wydali; to, co zostało, nie wystarczyłoby na opłacenie podróży dla nich obojga, a co dopiero mówić o utrzymaniu się przez jakiś czas za granicą. Więzy, które go zatrzymywały, stały się natomiast tak silne, że nawet przez myśl mu nie przyszło, że mógłby je zerwać. Nawet przez chwilę nie było mowy o tym, żeby opuścić Sarę. A ona, wierząc jeszcze nadal w klęskę najeźdźcy, źle oceniając grożące kochankowi niebezpieczeństwo, nie wyobrażała sobie, jak mogłaby żyć z dala od matki i braci. Nie pomyślała nawet o takim rozwiązaniu, żeby natychmiast wziąć ślub, podjąć u notariusza posag od matki chrzestnej i uciekać razem z mężem.

Josefa zatrzymywała więc w Paryżu pewnego rodzaju paraliżująca ocieężałość. Mógłby - a może nawet powinien - zmusić się i zrezygnować ze wszystkiego, łącznie z Sarą, wyjechać samemu, nawet bez pieniędzy. Nawet mu to na myśl nie przyszło; do braku pieniędzy i powstrzymujących go od wyjazdu więzów uczuciowych dochodziła teraz jakaś indolencja, pewnego rodzaju fatalizm, których nie odczuwał, kiedy wjeżdżał z Pragi na początku marca 1939 roku.

- Zobaczmy! - mówił do Sary wykonując niejasny ruch ręką.

- Kochanie, czym naprawdę ryzykujesz zostając tutaj ze mną? Przede wszystkim, czy rzeczywiście jesteś pewien, że

coś ci grozi? Co mogą ci zrobić
Niemcy, jeśli wkroczą do Paryża,
zakładając, że tak się stanie?

Sara była naga. Josef nawrócił
ją na spokojną bezwstydną i
spala teraz bez bielizny, myła
się i chodziła po pokoju bez
żadnej osłony. Primula
powiedział kiedyś:

- Kochanie, masz wspaniałe
ciało i kocham je ponad wszystko
na świecie. Dlaczego starasz się
je ukryć?

I Sara przywykła do tego, co
kiedyś wydawałoby się jej
gorszące; dopóki mieszkała z
matką, spała w długiej, białej,
flanelowej koszuli z haftem
krzyżykowym wokół kołnierzyka i
długich rękawów, a myła się po
kawałku, odkrywając stopniowo
kolejne części ciała i
zakrywając je szybko, gdy tylko
były już czyste. Tak łatwa zgoda
na wymagania kochanka świadczyła
o przemianie, jaka dokonana się
w ciągu kilku miesięcy, po
zdobytej przez dziewczynę
swobodzie myślenia.

Rano Sara udała się po zakupy
na ulicę Lepic. Przyniosła dwa
befsztyki, puszkę zielonego
groszku, ser, truskawki, litr
wina. Przed otwartym oknem
smażyła mięso i odgrzewała
groszek na kuchence
spirytusowej. Słońce zalewało
pokoik. Sara odczuwała teraz
prawdziwą przyjemność w swej
nagości. Czuła ciepło lata na
skórze i wzrok Josefa błędzący
po jej piersiach, brzuchu,
udach. Primula również był nagi.

Leżał na łóżku z rękami
splecionymi na karku. Nie
otrzymywał już tłumaczeń, bo
jego wydawca uciekł, kiedy
dostał wezwanie do wojska.
Spędzał więc dni na posępnych
rozmyślaniach o przebiegu wojny,

o losie swoim i Sary, o ich
zagrożonej przyszłości.

- Przeżyjemy tylko kilka
miesięcy szczęścia! - mówił
czasem w duchu, kiedy popadł w
skrajny pesymizm. - Kiedy
przyjdą Niemcy, wszystko się
skończy.

Przed tymi złowieszczymi
myślami ratowało go tylko
rozpaczliwe uprawianie miłości z
Sarą, jakby za każdym razem miał
to być ostatni raz, podziwiał
wtedy jej ciało, jej twarz,
tonął w błękitach jej oczu. Na
razie starał się odpowiadać na
pytania Sary.

- Zastanów się, Saro! Nie
można zapominać, że urodziłem
się w Sudetach. Wiesz, że na
mocy porozumień z Monachium ten
region przyznano Niemcom,
łącznie z trzydziestoma
tysiącami kilometrów
kwadratowych i trzema milionami
mieszkańców. Wszyscy, którzy się
tam urodzili, stali się więc
obywatelami niemieckimi, bez
względu na narodowość. To jest
mój przypadek, nie ma żadnej
wątpliwości. Dlatego podlegam
prawu niemieckiemu i obowiązkom
wojskowym nałożonym na
wszystkich Niemców. Jeśli wojska
Hitlera wkroczą tutaj, grozi mi
więc po prostu i zwyczajnie
wcielenie do Wehrmachtu!

- Do czego?

- Do Wehrmachtu. Tak nazywają
swoją armię.

Zdruzgotana Sara popatrzyła na
kochanka.

- Ależ to szaleństwo! Ty w
niemieckim wojsku! I tak nie
bardzo cię widzę w mundurze. A
już w szkopskim zupełnie nie!
Mówiąc to podawała obiad.

Usiedli po obu stronach wąskiego
stołu, na którym mieściły się
zaledwie dwa talerze.

- Ale uwaga - ciągnął Josef -
od czasu zaanektowania przez
nazistów obcych terytoriów,
sprawy trochę się skomplikowały.
Istotnie, bowiem od czasu
aneksji wprowadzono dwa stopnie
obywatelstwa niemieckiego: byli
więc reichsdojcze, czyli rdzenni
Niemcy, i folksdojcze, czyli
ludzie innej narodowości,
zamieszkujący ziemie przyłączone
do Rzeszy. W sumie było to
rozdzielenie podobne trochę do
istniejącego w starożytnej Grecji
podziału na obywateli i meteków.
- Folksdojcze nie podlegają
podobno tym samym obowiązkom
wojskowym co reichsdojcze. Jako
człowiek narodowości czeskiej,
urodzony na niemieckim obecnie
terytorium, jestem
prawdopodobnie uważany za
folksdojczaka. Inaczej mówiąc,
uniknę może jedynie wcielenia do
wojska. Być może!
- Musimy mieć nadzieję,
kochanie! Musimy ufać z całej
siły!
- Nie można jednak zbyt się
łudzić. Wiesz, że jestem
członkiem czeskiej partii
socjalistycznej, wyrażałem tam
otwarcie antynazistowskie
poglądy i wyjechałem z kraju tuż
przed niemieckim najazdem, żeby
schronić się tutaj. Możesz być
pewna, że Niemcy o tym wszystkim
wiedzą. Gestapo jest wszędzie i
ma gorliwych informatorów i
starannie prowadzone kartoteki.
A możesz mi wierzyć, że policja
nazistowska, to nie jest wymysł
alianckiej propagandy! Trzeba
więc spojrzeć prawdzie w oczy,
grozi mi aresztowanie,
wywiezienie do Niemiec, może
więzienie.
Sara zadrzała.
- Nie, ja nie chcę! NIE
zniosłabym tego! Musisz się

ukryć! Musisz...

Josef wzruszył ramionami.

- Ukryć się? Nie jestem niewidzialny! Gdzie mógłbym się ukryć? Tutaj?

- Tak! Czemu nie? Będziesz spokojnie siedział w domu. Nie będziesz hałasował. Ja będę wychodziła po jedzenie. Nie wydaje ci się, że mam rację? Josef znowu wzruszył ramionami.

- Moja ty biedulko! Nie wiesz, co to jest gestapo. Jeśli mnie poszukują, to mnie znajdą, możesz mi wierzyć.

Sara wstała.

- Mam pomysł. Jakie masz dokumenty?

- Paszport czeski i pozwolenie na pobyt we Francji, ważne pół roku z prawem przedłużenia.

- No więc, trzeba ci załatwić obywatelstwo francuskie. Albo przynajmniej francuski dowód osobisty, z miejscem urodzenia we Francji. Mówisz po francusku dostatecznie dobrze, żeby to było możliwe. Jak myślisz?

- Może...

Pochyliła się nad nim, otoczyła ramionami. On też wstał i przyłgął do niej mocno. Łóżko było tuż obok, upadli na nie w objęciu. Po raz pierwszy Sara wpadła w ten sam co jej kochanek szal rozpaczliwej namiętności, jak gdyby wobec zagrożeń, które nad nim zawisły, chcieli się schronić w sobie, osłonić się nawzajem, uczynić z miłości niezniszczalną tarczę. Kiedy ich wspólne uniesienie opadło, przez dłuższy czas trwali w milczeniu. Potem znowu zaczęły ich gnębić te same problemy.

- Postarać się o obywatelstwo francuskie, o tym nie ma co marzyć! - powiedział Josef. - Nawet w przyspieszonym trybie...

a nie wiem, czy to możliwe...
nawet przy poparciu... mam na
myśli Xaviera Laurenta,
dziennikarza, przyjaciela
Brienne.a, bo on ma pewnie
niezłe układy, nie istnieje
żadna szansa na szybkie
załatwienie sprawy. A zresztą, w
papierach stwierdzających
naturalizację na pewno będzie
wzmianka o moim prawdziwym
miejscu urodzenia. Akt
naturalizacji podkreśli jeszcze
bardziej moje obce pochodzenie.
Na wszystkich oficjalnych
dokumentach pisze się: "Francuz
przez pokrewieństwo" albo
"Francuz naturalizowany". To na
nic. Pozostaje więc pomysł z
francuskim dowodem osobistym i
miejscem urodzenia we Francji...
Inaczej mówiąc fałszywy dowód.
Ale fałszywe dokumenty
kosztują... nawet bardzo drogo.
Nie mamy już prawie pieniędzy i
nie wiemy nawet do kogo się
zwrócić.

I znowu sytuację uratował
Roger Brienne. Wtajemniczony w
ich kłopoty oznajmił:
- Ja się tym zajmę, dzieciaki.
Mam kilku kumpli wśród cyganerii
na Montmartrze i niech mnie
diabli porwą, jeśli nie znajdę
tego, czego wam trzeba.
I rzeczywiście znalazł.
Następnego dnia zapukał do drzwi
pokoiku zadyszany po wspinacze
na szóste piętro.
- Proszę! - powiedział do
Josefa wręczając mu doskonale
podrobiony dowód osobisty ze
wszystkimi niezbędnymi,
uwierzytelniającymi stemplami,
podpisami i znaczkami
wyglądającymi jak najbardziej
autentycznie. - Jediną prawdziwą
rzeczą w tym dowodzie jest
zdjęcie. Nikt nie będzie mnie
mógł posądzić, że jestem jego

autorem, bo jest okropne. Z
automatu nie wyszło jeszcze
dzieło sztuki!

I dodał już innym tonem:

- Zapamiętaj dobrze, gdzie się
urodziłeś! Zostawiłem ci
prawdziwą datę, 8 lipca 1918
roku, ale miejsce urodzenia
wynałazałem ci w Alzacji.

Wybrałem takie miasteczko na
mapie samochodowej, nazywa się
Wittenheim, to jest nad górnym
Renem, blisko Miluzy. Od dzisiaj
twój lekki akcent czeski staje
się lekkim akcentem alzackim,
kapujesz?

- Mój ojciec też pochodził z
Alzacji - wtrąciła Sara. -
Jesteśmy więc krajanami...

Brienne nie napomknął nawet o
sprawie pieniędzy. W odpowiedzi
na niespokojne pytanie Josefa
powiedział:

- Nie martwcie się o to,
dzieci! Na razie mam trochę
odłożonej forsy. Trzeba ją
wykorzystać, bo to chyba nie
potrwa długo...

Josef odetchnął, czuł się
teraz bezpieczny. Sara szalała z
radości. Ucałowała Brienne a
goręcej niż kiedykolwiek. Był 20
maja. A już 15 maja
skapitulowała armia holenderska.
Dwudziestego ósmego maja, z
błogosławieństwem króla Leopolda
III, którego Paul Reynaud
okrzyczał natychmiast w radiu
zdrajcą, poddały się z kolei
wojska belgijskie. Między 29
maja a 4 czerwca Anglicy
ewakuowali się z Dunkierki pod
silnym ostrzałem niemieckich
dział, pod bombami zrzucanymi z
sztukasów. Dziesiątego maja
Włochy wypowiedziały wojnę
Francji. Jedenastego maja został
mianowany nowy gubernator
wojskowy Paryża, generał Dentz,
który zastąpił na tym stanowisku

generała Heringa, mianowanego
głównodowodzącym armii.

Dwunastego maja ukazała się w
sprzedaży ostatnia paryska
gazeta nosiła tytuł "Edition
parisienne de guerre", wydana
została wspólnie przez redakcję
"Le Journal", "Le Matin" i "Le
Petit Journal", a ogromny tytuł
na pierwszej stronie głosił:

"Trzymajcie się mimo
wszystko...". Trzynastego maja
Paryż ogłoszono miastem
otwartym. Czternastego maja o
świecie do miasta wkroczyli
Niemcy...

Sara i Josef nie ruszyli się z
domu. Na obiad zadowolili się
puszką pasztetu i kilkoma
sucharkami. Leżąc obok siebie na
wąskim łóżku nadsluchiwali
odgłosów z zewnątrz, ale
panowała kompletna cisza.

Usiłowali posłuchać radia, ale
zarówno radiostacja paryska jak
Radio_cit-e, Radio_#37,
Paris_ptt przestały nadawać.
Radiostacje lokalne podawały
wprawdzie wiadomości, ale ani
słowa o losie Paryża.

Po południu Sara postanowiła
wyjść. Zmusiła ją do tego
zarówno potrzeba, bo musiała
koniecznie znaleźć coś do
jedzenia, jak też jej
nieposkromiona ciekawość.

- Chciałabym znaleźć jakiś
otwarty sklep - powiedziała do
Josefa przed zejściem z szóstego
piętra. - Chciałabym się też
dowiedzieć, co się dzieje...
skoro radio milczy.

W alei Racheli nie było żywej
duszy, bramę wejściową cmentarza
Montmartre zamknięto. Sara
doszła do bulwaru Clichy,
rzuciła okiem na prawo, w stronę
placu: nic, pustka. Potem w
lewo, w stronę placu Blanche.
Zadrżała, przed Moulin_rouge z

szarego autokaru wysiadło
kilkunastu żołnierzy, rozglądali
się, fotografowali. Byli ubrani
na szarzielono, na głowach
mieli furażerki, nosili długie
buty z czarnej skóry.

Sara poczuła, jak krew ścina
jej się w żyłach. Wystraszona,
wzburzona, na drżących nogach
zawróciła biegiem i wspięła się
po schodach prowadzących na most
Caulaincourt. Stamtąd skierowała
się w stronę ulicy Josepha de
Maistre. Nikogo, żeby choć jeden
otwarty sklepik. Doszła do ulicy
Lepic. Wszędzie tylko spuszczone
żałuzje. Z daleka znowu
dostrzegła grupę Niemców na
placu Blanche. Wróciła do domu z
pustymi rękami. Po drodze
spotkała mężczyznę sprzedającego
gazety o nieznanym tytule,
wydrukowane na jednym arkuszu
małego formatu: "La Victoire" -
akurat właściwa chwila! -
pomyślała - i "Les Dernières
Nouvelles de Paris". Za jednego
franka kupiła po jednym
egzemplarzu.

W pokoju Josef wypalał swoje
ostatnie papierosy słuchając
radia. Znalazł nową stację,
radio Paryż, nadającą niemiecką
muzykę wojskową przerywaną co
kwadrans tym samym komunikatem o
zwycięstwie, wygłaszanym kiepską
francuszczyzną: Paryż został
zdobyty. Rzucił okiem na gazety;
oprócz zachęty kierowanej do
paryżan, żeby wrócili do domów i
podjęli pracę, oprócz kilku
wiadomości bez znaczenia, na
pierwszej stronie, dużymi
literami widniał ten sam
komunikat sztabu niemieckiego. A
więc Josef miał rację: upłynął
zaledwie miesiąc przebicia się
Rommla pod Sedanem. Nie miał
ochoty przypominać tego Sarze.
Sara przeszukała dolną półkę

szafy, gdzie składała zapasy żywności. Nic nie zostało. Zbiegła po schodach, zadzwoniła do drzwi Brienne. a. Może mama Petrac, jako wzorowa gospodyni, zrobiła zakupy we właściwym czasie? Odpowiedziała jej tylko cisza. Wdrapała się pośpiesznie na górę, wtuliła się w ramiona Josefa. Z trwogą w sercu kochali się z zapamiętaniem, jak gdyby chcieli w ten sposób przeciwstawić się wrogiemu światu.

Nieco później, wieczorem, Sara pomyślała o matce i braciach.

Dręczył ją tępy niepokój.

- Zastanawiam się, gdzie oni są, co robią...

- Nie martw się o nich! - powiedział Jozef starając się przybrać bardzo opanowany ton, żeby ją uspokoić. - Siedzą sobie pewnie spokojnie w domu, w Lagny.

Tym razem jednak Josef się mylił.

Sylvia, Robert i Bruno z Lucienne, która od pewnego czasu nie odstępowała narzeczonego na krok, opuścili Lagny 12 czerwca rano. Przedtem, w ciągu kilku dni obserwowali, jak po kolei pustoszeją sąsiednie domy. Marcenac z rodziną, łącznie z Agathe i jej małymi braćmi, wyruszył pierwszy, pięć czy sześć dni wcześniej, pchając przed sobą ręczny wózek obładowany walizkami i pakunkami. W ich ślady poszli inni mieszkańcy farmy. Potem z kolei Marnierowie, ojciec, matka i syn, zamknęli okiennice, zaryglowali drzwi. Sylvia widziała, jak odjeżdżają na rowerach z wypchanymi, niemal pękającymi w szwach plecakami. Wkrótce, drogą prowadzącą na południe do Gouvernes ciągnął

już nieprzerwany pochód, a Ritterowie przyglądali mu się przez okna, był to prawdziwy potok ciężarówek, furgonetek, samochodów osobowych, rowerzystów, obładowanych bagażami pieszych, w którym nie brakowało nawet wywrotek, wozów do transportu bydła, furmanek ciągniętych przez ochwacone już konie z prowincji północnych i wschodnich, czasem z Belgii, a nawet z Holandii, autokarów, furgonów do przeprowadzek, karetek więziennych, wozów strażackich, karawanów pełnych uciekających mężczyzn, kobiet, dzieci, starców, nie mówiąc o zwierzętach domowych. Brali też udział w tym exodusie żołnierze w rozsypce, bez broni, oszołomieni klęską, a nawet oficerowie różnych stopni, w samochodach, czasem w towarzystwie żon, próbujący uciekać szybciej i zaciekle torujący sobie drogę za pomocą klaksonu.

Noc upłynęła Sylvii na szyciu worków skrojonych ze starych prześcieradeł. Wypchała jej osobistymi rzeczami każdego członka rodziny, a potem kopiającym ołówkiem wypisywała na wierzchu nazwisko i adres. Do jednej walizki załadowała bieliznę i ubrania, zrolowała koce, żeby mogli sobie przewiesić przez ramię, w kartonowym pudle złożyła puszki konserw i herbatniki. O piątej rano przyjrzała się swemu dziełu: wszystko było gotowe. Nagle zadrzała. Rozległ się głuchy, dochodzący z północy odgłos, jakby grzmot, był to wystrzał armatni. Zbliżała się bitwa, a z nią Niemcy. Trzeba było niezwłocznie wyruszać. Bruno i Lucienne spali w dużej

sypialni, którą Sylvia odstąpiła im kilka tygodni temu, a sama ulokowała się w pokoju Sary. Robert przebywał, jak zwykle, w swojej graciarni. Obudziła wszystkich powtarzając zatrwożonym głosem:
- Musimy już iść! Szybko! Pośpieszcie się!

W godzinę później, ze łzami w oczach, zamykała okiennice i drzwi willi "Promienny Uśmiech". Bruno załadował walizkę i karton z prowiantem na taczkę. Schwycił za rączki. Ich grupka wtopiła się w tłum uciekinierów. Sylvia płakała, oglądała się, żeby po raz ostatni popatrzeć na dom.
- Kiedy my wrócimy? Czy w ogóle wrócimy? W dodatku Sary nie ma z nami! Co ona porabia? Co teraz pocznie? Nawet nie możemy po nią pojechać! I kto wie, co się stanie z domem? Może go zbombardują, ograbiją...

Bruno udawał zucha, próbując dodać matce otuchy:
- Nie przejmuj się, mamo! Wszyscy wrócimy. A dom będzie nie tknięty. I Sarze nic się nie przytrafi. Nie martw się o nią. Jest z nią Josef i ochroni ją, zajmie się nią. A wiesz, że to nie ułomek...

Lucienne również miała łzy w oczach. Była zakochana, a rodzina Bruna stała się jej rodziną i dom jej domem rodzinnym. Tylko Robert nie okazywał niepokoju. Obojętny na wszystko oprócz swoich rozmyślań, zastanawiał się, po co opuścił swój pokój, swoje książki, papiery, co robi na drodze z tymi wszystkimi ludźmi. Posuwał się wśród nich jak lunatyk, jak automat.

- Dlaczego koniecznie chcesz, żebyśmy uciekali? - zapytał matkę kilka godzin wcześniej.

- Ależ synku, nie możemy tu zostać, to zbyt niebezpieczne! Przede wszystkim moglibyśmy się znaleźć w ogniu bitwy. A poza tym nie wiesz, co Niemcy robili w 1914 na okupowanych ziemiach. Wywozili młodzież, obcinali ręce małym dzieciom, rozstrzelali mężczyzn, gwałcili kobiety, głodzili wszystkich. Wierz mi, lepiej uciekać!

Robert dał się więc przekonać. Na szczęście bitwa, o której mówiła Sylvia, nie dosięgła uciekinierów. Uniknęli jakoś nalotów, zwłaszcza samolotów włoskich, latających nad długimi kolumnami uchodźców i ostrzeliwujących je jakby dla przyjemności. Wyczerpująca tułaczka Ritterów trwała pięć dni. Pięć dni posuwania się krok za krokiem. Pięć dni posuwania się krok za krokiem w płataninie pojazdów, ludzi i zwierząt żywili się zabranym ze sobą prowiantem, pili wodę ze studni, spali na klepiskach w opustoszałych stodołach i oborach, mijali słabszych od siebie, a silniejsi mijali ich.

W tłumie uciekinierów rozchodziły się najbardziej szalone pogłoski mówiono, że generał Weygand popełnił samobójstwo, że Niemcy rozstrzelali wszystkich schwytanych w Paryżu żołnierzy francuskich, że P~etain poprosił o rozejm, że Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom. Od czasu do czasu uciekinierzy spotykali jeszcze jakiś oddział żołnierzy - czasem Algierczyków lub Senegalczyków - w szyku, dobrze uzbrojonych, gotowych do walki, zajętych fortyfikowaniem wjazdu do miasta, zaminowywaniem drogi lub mostu. Patrzyli na nich często z ukosa, bo dla nich

minął już czas oporu. Dla nich ważne było już tylko to, żeby skończył się ich koszmar, żeby jak najszybciej móc wrócić do domu, za wszelką cenę. Tylko Bruno patrzył na tych żołnierzy z zazdrością. Należał do trzeciego kontyngentu poborowych z 1940 roku, stawał przed komisją, ale nie został zmobilizowany. Wszystko wskazywało na to, że teraz już do wojska nie pójdzie. A tak bardzo chciałby być jednym z tych umundurowanych mężczyzn, którzy, być może, mieli stoczyć ostatnią walkę.

- Tak czy inaczej - mówił do Lucienne - jeśli Francja przegra tę bitwę z nazizmem... a trzeba sobie uświadomić, że właśnie ją przegrywa... wcześniej czy później... w taki czy inny sposób walka rozgorzeje na nowo! Sylvia milczała. Robert wzruszył ramionami, co go obchodził wynik tej wojny! Odczuwał to samo, co większość uciekinierów; interesowało go jedynie to, żeby wrócić do swojego pokoju i zacząć znowu żyć swoim zwyczajnym życiem. W odróżnieniu od Sary i Josefa Primuli nie lubił zbytnio poetów niemieckich. Ale przepisał sobie do notesu pewien wiersz Rilkego o niezwyklej, jak mu się zdawało, aktualności:

Czemu odrywacie mnie od mych chwil@ bladych i błękitnych?@
Czemu wciągacie mnie w wir@ i zamęt migotliwy?@ Nie chcę więcej oglądać waszego szaleństwa.@
Pragnę, niczym chore dziecko, w swym pokoju,@ samotnie, z tajemniczym uśmiechem,@ powoli snuć dni i ciche marzenia.@

Wieczorem, piątego dnia tułaczki, śmiertelnie zmordowani

Ritterowie przybyli do Souppes_sur_loing, na południe od Nemours. Padał deszcz. Wszędzie, gdzie tylko można się było schronić pod dachem, pełno było przybyłych wcześniej uchodźców. Wreszcie, z braku lepszego miejsca, znaleźli schronienie w kurniku, w głębi jakiegoś ogrodu. Na mokrej, brudnej podłodze ułożyli stare gazety, a na wierzchu koce. Spali, tak, jak to było możliwe, jak im na to pozwalało robactwo pozostawione przez drób zabrany przez właścicieli.

O piątej nad ranem Sylwii obudził odgłos kroków na pobliskiej drodze. Uklękła, ostrożnie wyjrzała przez siatkę. O dziesięć metrów od niej przechodziło ze dwudziestu żołnierzy w hełmach i w szarzielonych mundurach, z granatami ręcznymi przy pasie, rozglądając się dokoła, ze strzelbą lub karabinem w dłoni, z palcem na spuście. Obudziła Bruna.

- Bruno! Niemcy!

Godzinę później ulicami miasteczka przejechał szary samochód z głośnikiem. Mówił ktoś z silnym niemieckim akcentem:

- Do miasteczka wkroczyli żołnierze niemieccy. Nie zrobią wam żadnej krzywdy, jeśli natychmiast ustanie wszelki opór. Żołnierze francuscy powinni się wszyscy poddać. Uchodźcy obowiązani są natychmiast opuścić miasteczko i wrócić do siebie. Na placu przed merostwem niemiecki Czerwony Krzyż zorganizował punkt dożywiania.

Większość uchodźców usłyszała tylko ostatnie zdanie. Rzucili się na plac przed merostwem.

Robert zaproponował, żeby pójść z nimi.

- Nie chodź tam! - sprzeciwiła się Sylvia. - To pułapka!

Wszystkich was zatrzymają, może rozstrzelają...

Robert wzruszył ramionami.

- Gdyby nas chcieli rozstrzelać, nie musieliby rozdawać żywności.

- On ma rację - wtrącił Bruno.

- Idę razem z nim!

Odeszli, przyłączyli się do tłumu. Na małym placu, w cieniu kasztanów, stała kuchnia polowa.

Żołnierze niemieccy z zawiniętymi rękawami oraz pielęgniarki w bladoszarych fartuchach rozdawali kawę, chleb, pasztet. Wyciągały się do nich niezliczone ręce. Bruno dał do napełnienia termos, dostał cztery kawałki chleba posmarowane pasztetem. W drodze powrotnej do kurnika dzielił się z bratem wrażeniami.

- Nie mają obowiązku dawać nam jeść! Zachowują się przyzwoicie!

- powiedział Robert.

- Nigdy nie słyszałeś o propagandzie! Na razie chcą nas omamić. Ale może już jutro pokażą się w swoim prawdziwym świetle.

Na rogu placu, otoczonym grupką uchodźców, rozprawiał młody niemiecki oficer. Mówił po francusku bez obcego akcentu:

- Byłem studentem w Paryżu!

Lubię Francję i Francuzów. My,

Niemcy, kochamy pokój i

pragniemy pokoju. To nie my

wypowiedzieliśmy wojnę. Jeśli

jesteśmy tu teraz, jako

zwycięzcy, to dlatego, że

sprovokowali nas wasi przywódcy,

Żydzi i masoni, a potem nie

potrafili was obronić!

I dodał:

- Teraz wojna jest skończona!

Wasz rząd pod przywództwem
marszałka P~etaina poprosił o
rozejm!

- Propaganda! - syknął Bruno
przez zęby. - Kiedy ten rzekomy
student był w Paryżu, należał
pewnie do piątej kolumny!
W godzinę później Sylvia z
rodziną wyruszyła w kierunku
Lagny; na drogę wylała się znowu
ciżba uchodźców, którzy,
podobnie jak oni, wracali do
domu. W miarę, jak posuwali się
naprzód, mijali coraz więcej
formacji niemieckich
podążających na południe... Były
tam kolumny czołgów, pełne
żołnierzy ciężarówki, oddziały
piechoty maszerującej równym,
wolniejszym od Francuzów
krokiem, ze śpiewem, w szyku i z
imponującą siłą. Po obu stronach
drogi widoczne były ślady wojny:
powalone drzewa, domy
roztrzaskane przez bomby,
wysadzone mosty, śmieszne
umocnienia zgniecione
gąsienicami czołgów, ciężarówki
i wozy pancerne pospychane do
rowów, świeże groby żołnierzy z
obu armii, trupy końskie z
wzdętymi brzuchami, wydzielające
słodkawy, nieznosny odór,
żerowisko dla rojów much.
Otoczeni przez żołnierzy
niemieckich jeńcy francuscy, z
wymalowanymi białą farbą na
plecach munduru literami Kg,
ciągnęli noga za nogą na północ.
Po drodze, na jakiejś
opuszczonej farmie, Ritterowie
dostrzegli grupkę uchodźców
zgrupowanych przed
radioodbiornikiem. Spiker
potwierdzał prośbę o rozejm
wystosowaną przez marszałka
P~etaina, potwierdzał także
zdobycie Paryża przez wojska
niemieckie, informował, że rząd
chroni się w Bordeaux. W ten

sposób sprawdziły się słowa
nazistowskiego oficera z
Souppes_sur_loing. Bruno
zacisnął z wściekłością zęby.
Wreszcie po czterech dniach
wyczerpującego marszu,
Ritterowie dotarli do Gouvernes,
minęli je przechodząc przed
zamkniętą bramą drukarni Ravaux.
Pokonawszy wzniesienie drogi
Bruno i Robert przyśpieszyli
kroku, żeby jak najszybciej
dotrzeć do miejsca, skąd wśród
drzew, można było dostrzec willę
"Promienny Uśmiech". Z
triumfalnym uśmiechem odwrócili
się do pozostałych w tyle Sylvii
i Lucienne wymachując w ich
stronę rękami.

- Dom stoi, jak stał! -
zawołali równocześnie.

W kwadrans później byli już u
siebie. I rzeczywiście, willa
była nietknięta. Wszyscy się
ucałowali ze łzami w oczach, ale
tym razem były to łzy radości.
Wrócili już też sąsiedzi. Sylvia
zauważyła, że wszyscy wymalowali
na swych domach niemieckie
napisy: Bewohntes Haus.

- To oznacza, że dom jest
zamieszkały! - wyjaśnił Marnier.

- Bo szkopy mogą rekwirować
puste domy i lokować w nich
swoich żołnierzy.

I dodał:

- Proszę zwrócić uwagę, że
zachowują się przyzwoicie. Nic
by im nie przeszkodziło, gdyby
chcieli zająć najładniejsze domy
i wyrzucić ich mieszkańców. Ale
nie robią tego. To raczej miła
niespodzianka. A zresztą, są
tutaj z naszej winy. Nie trzeba
było wypowiadać im wojny...
Marcenac, a z nim Bruno i
Lucienne nie podzielali tego
zdania.

- Pan pewnie myśli, że trzeba
im było pozwolić pożreć Europę i

siedzieć cicho! I może jeszcze
im podziękować!
Marnier wzruszył ramionami;
należał do tych, którzy po
powrocie Daladiera z Monachium,
we wrześniu 1938 roku, urządzili
mu owację na lotnisku Le
Bourget.

Nieco później Bruno postanowił
przejsć się trochę po mieście.
Udało mu się wyciągnąć Roberta,
choć ten opierał się, bo
odzyskawszy swój pokój i swoje
książki, nie miał ochoty nigdzie
się ruszać.

Lagny niezbyt ucierpiało od
zawieruchy. Niemcy zburzyli
pomnik ku czci poległych;
przedstawiał on wiarusa z 1914
roku, depczącego germańskiego
orła, jak w piosence śpiewanej
przez Rittera. Oba mosty na
Marnie zostały zburzone przez
tylne straże francuskie tuż
przed wkroczeniem Wehrmachtu.
Saperzy z Organizacji Todda, w
szortach, obnażeni do pasa,
budowali już w miejsce jednego z
nich prowizoryczną, drewnianą
przeprawę. Robert zapatrzył się
przez chwilę z podziwem i
zazdrością na tych ogorzałych w
słońcu mężczyzn o imponującej
muskulaturze. Koło dworca czynna
była kawiarnia. Bruno i Robert
weszli do środka. Było tam pełno
żołnierzy. Płaszczący się kelner
zwracał się do nich łamaną
francuszczyzną, myśląc, że
łatwiej go zrozumieją:
- Wy pić pi_wo... wy jeść...
mniam_mniam_mniam...
ciasteczka...

Nieco dalej, w perfumerii przy
ulicy du Chemin_de_fer też było
pełno Niemców. Właścicielka,
zgięta w ukłonie, sprzedawała im
flakony wody toaletowej i
kolońskiej, pudełka pudru,
pomadki do ust firmy "Baiser",

robiła im eleganckie paczuszki
jak na prezent, składała
banknoty w szufladzie na
pieniądze. Prawie wszędzie
wisały afisze głoszące, że
waluta niemiecka ma mocny kurs:
jedna marka niemiecka miała
wartość dwudziestu franków. Na
innych afiszach widniał
nieprzyjacielski żołnierz z
niemowlęciem na ręku, otoczony
francuskimi cywilami: "Ludzie!
Opuszczono was, zaufajcie
żołnierzowi niemieckiemu!" -
głosił napis wydrukowany
czerwonymi literami.
Na oczach Bruna i Roberta
miasto zaludniało się powoli.
Zewsząd zjawiali się wyczerpani,
pokryci kurzem ludzie, ciągnąc
za sobą bagaże, resztką sił
wspinali się po schodach
wiodących do domu. Po wszystkich
ulicach przechadzali się parami
żołnierze Wehrmachtu, wyglądali
niewinnie i pokojowo, ale nie
rozstawali się z bronią.
Niektóre dziewczyny uśmiechały
się do nich ostentacyjnie. Wśród
nich Bruno dostrzegł Agathe
ukrywającą, jak to miała w
zwyczaju, sztuczną rękę pod połą
żakietu. Bracia zawracali już do
domu, gdy na placu de la
Fontaine minął ich pluton
niemieckich piechurów, obnażeni
do pasa maszerowali ze śpiewem.
Robert zachował się tak samo
jak na widok saperów: popatrzył
na nich z zazdrością, aż jakiś
przechodzący obok żołnierz
puścił do niego oko.
- Są piękni, prawda? - szepnął
Robert.
W przeciwieństwie do Sary
Bruno nie wiedział nic o
skłonnościach brata. Wzruszył
ramionami.
- Są przede wszystkim
szkopami...

Paryż również się zaludniał. Roger Brienne, Fran~coise i jej matka byli jednymi z pierwszych, którzy wrócili do domu. Trzynastego czerwca, wczesnym popołudniem, mama P~etrac dała sygnał "Ratuj się, kto może". Ogarnięta nagle paniką, pociągnęła za sobą córkę i jej przyjaciela zmuszając ich w popłochu do ucieczki, tak że nikt nie pomyślał nawet, żeby dowiedzieć się o Sarę i Josefa, zapytać ich, czy też uciekają. Fotograf i kobiety, obładowani walizkami, dotarli tylko do Arcueil, gdzie spędzili noc w opuszczonej, otwartej na oścież willi. Nazajutrz, tuż przed dwunastą w południe, pojawili się Niemcy i uprzejmie acz stanowczo wezwali ich do natychmiastowego powrotu do domu. Co też uczynili z ulgą. O szóstej po południu byli już z powrotem w alei Racheli, gdzie mama P~etrac z miejsca zabrała się do kucharzenia i, z braku czegoś lepszego, otworzyła puszki z konserwami. Ciśnienie gazu było słabe i odgrzewanie trwało długo. Czekaając na posiłek, zawstydzony, że zapomniał o Sarze i Josefie, Brienne wdrapał się na szóste piętro i zapukał do ich drzwi. Naga, jak zwykle od pewnego czasu, Sara wciągnęła pośpiesznie sukienkę i otworzyła.

- Dzieci, do stołu! Dziś polecamy rago~ut z fasolą... Sara i Josef wydali okrzyk radości; nic nie jedli oprócz sucharków i puszki pasztetu w południe, a to marny wikt. Ponieważ nie mieli nic do roboty, czas spędzili na rozmowie i na miłości. Później wpatrywali się już tylko w

siebie bez końca, bez słowa.
Josef przeglądał się w oczach
Sary, miłośnie wodził palcem po
grzbiecie jej nosa, po owalu
brody, doskonałym łuku brwi,
miękkiej linii warg, długo
pieścił jej włosy, szyję, ciało.
Sara wpatrywała się w męską
twarz kochanka, pocierała aż do
ból policzkiem o jego
zarośniętą brodę, dotykała
silnych mięśni jego ramion,
torsu. I zdarzyło się, że tylko
od tego patrzenia, od tych
ukradkowych dotknięć zrodziła
się rozkosz, jak przez
zaskoczenie, że zalała ich,
wybuchła i trwała w silniejszym
jeszcze olśnieniu niż to,
jakiego doznawali podczas
tamtych namiętnych nocy w
Villeneuve_la_dondagre.

- Nigdy dotąd nie kochaliśmy
się tak bardzo! - wyszeptła
Sara.

- To prawda, kochanie! -
odpowiedział Josef. - Nigdy
dotąd nie kochaliśmy się tak
bardzo...

Wreszcie, nadzy, zasnęli w
objęciu. Obudził ich Brienne.
Od następnego dnia, 15
czerwca, życie w stolicy zaczęło
się powoli rozkręcać, podobnie
jak rusza maszyna, kiedy wyłączy
się, a potem włączy prąd.
Paryżanie wracali już teraz
masowo, dołączając do tych,
którzy zostali i odważyli się
wreszcie, po wielu dniach
pełnych lęku, wyjść z domu bez
obawy. Ponieważ w większości nie
mieli nic do roboty, bo
działalność gospodarcza nadal
była sparaliżowana, ludzie ci
prowadzili długie rozmowy
telefoniczne, odwiedzali się,
umawiali w czynnych barach,
opowiadali sobie przeżycia,
wymieniali myśli.

Roger Brienne był ośrodkiem i sprężyną licznej grupy przyjaciół; przez cały ten dzień i przez kilka następnych dzwonił do wielu osób i przyjmował niezliczone telefony. Jedni go odwiedzali, do innych sam szedł z wizytą. Spacerował też po wracającej z wolna do życia dzielnicy. Dotarł, z zadartą do góry głową, aż do Champs_elysées i do Opery. Françoise i Sara, również nie mając nic szczególnego do roboty, towarzyszyły mu w tych wypadach, zaglądały z nim do kawiarni, przysłuchiwały się rozmowom. Mama Petrac znowu chodziła do sklepików przy ulicy Lepic, ale przynosiła stamtąd więcej plotek niż befsztyków. Josef nie wysuwał nadal nosa z pokoiku na szóstym piętrze, bo nie miał ochoty oglądać na ulicach Paryża tych Niemców, których obecności nie chciał znosić na ulicach Pragi. Dni upływały mu więc na czekaniu na powrót Sary, Brienne a i Françoise, na czytaniu, paleniu papierosów i słuchaniu wiadomości radiowych. Ale ani radio, ani gazety nie oddawały właściwie tego, co rzeczywiście wydarzyło się historycznego już teraz dnia 14 czerwca. Rankiem tego dnia Paryż był pusty. Nie była to pustka wakacyjna, kiedy to w połowie sierpnia gazety drukują tradycyjne zdjęcie kota śpiącego pośrodku opustoszałej jezdni. Ta pustka była kompletna, budziła lęk. Zniknęły sunące wolno w nadziei na pasażera taksówki, zniknęły autobusy, samochody do wywozu śmieci i polewaczki tryskające na asfalt strumieniami wody. Dworce były nieczynne. Żelazne żaluzje

sklepowe pozostawały opuszczone,
okna i okiennice domów
zamknięte. Paryż prawie nie
ucierpiał od wojny;
gdziegdzie wybuchło wprawdzie
kilka bomb, głównie na
przedmieściach, ale spowodowały
tylko małe szkody. Z chwilą, gdy
stało się oczywiste, że Niemcy
nadejdą, wszystko się zmieniło;
miasto się wyludniło. Z pięciu
milionów Francuzów,
zamieszkałych w okręgu paryskim,
zostało zaledwie siedemset
tysięcy, w tym sto tysięcy
dzieci. Wszyscy pozostali
uciekli. Rankiem 14 czerwca
miasto zamarło pogrążone w
kompletnej ciszy. Tu i ówdzie
unosily się pióropusze dymu, bo
płonęły magazyny benzyny, a
niektóre ministerstwa paliły
swoje archiwa.

Przednie straże niemieckie
pojawily się o piątej nad ranem
u rogatek de la Villette i ulicą
de Flandre udały się w kierunku
Dworca Północnego i Wschodniego.
Żołnierze w zielonoszarych
mundurach, hełmach i butach z
cholewami, z granatami ręcznymi
zatkniętymi za pas, z palcem na
spuście karabinu lub pistoletu
maszynowego szli szybko za
poprzedzającymi ich wozami
pancernymi i czołgami. W
zwartych kolumnach dotarli
wszędzie i w niespełna dwie
godziny cały Paryż był już
opanowany. Pierwsze, co zrobili,
było ściągnięcie wszystkich
trójkolorowych flag
powiewających nad gmachami
urzędów państwowych i
powieszenie w ich miejsce
czerwonej flagi z czarną,
podobną do pająka, swastyką w
białym kole.
Piętnastego czerwca wieczorem,
w alei Racheli gorączkowo

komentowano sytuację.

- Przedefilowali przez Champs_elys~ees i aleją Focha - opowiadał Brienne. - Moja znajoma mieszka na rogu ulicy de Presbourg i wszystko oglądała przez lornetkę. Mówiła mi, że widziała, jak jeden generał na koniu uśmiechał się, uśmiechał się bez przerwy... A od czasu do czasu prostował się nagle w strzemionach, jak gdyby nie posiadał się z radości. Pewnie, po raz pierwszy od 1871 roku szwaby pchają się do Paryża, a w dodatku wtedy byli tu tylko przez kilka dni i to zaledwie w trzech dzielnicach. Tym razem, obawiam się, wygląda na to, że usadowią się na dłużej.

- W każdym razie - wtrąciła Fran~coise - opracowali chyba swój plan we wszystkich szczegółach. Naczelne dowództwo ulokowali w alei Kl~ebera, w hotelu "Majestic". Gubernator wojskowy rezyduje podobno w hotelu "Meurice", a jego służby na placu de l'Op~era zajęły gmach na rogu ulicy de Quatre_septembre.

- Marynarka ma swoją siedzibę na placu de la Concorde, propaganda na Champs_elys~ees, biura SS w alei Focha - uzupełniła Sara. - Zajęli też Izbę Deputowanych.

- Krótko mówiąc, szkopy są wszędzie - podsumował ponuro Brienne.

Dwa kina, "Rex" i "Gaumont_palace", to ostatnie niedaleko alei Racheli, zostały zarekwirowane dla żołnierzy. Jak wszystkie zajęte przez nich budynki, chroniły je metalowe bariery i strzegli uzbrojeni wartownicy. Na skrzyżowaniach żołnierze w kaskach ustawiali drogowskazy i za pomocą

biało_czerwonych lizaków
kierowali ruchem oddziałów na
ulicach. To prawda, Niemcy byli
wszędzie. Piechota ubrana na
zielonoszaro, lotnictwo na
szaroniebiesko, czołgiści na
czarno, saperzy w khaki,
marynarze na ciemnoniebiesko,
esesmani na czarno ze swastyką
na opasce i trupią czaszką na
kołnierzu. Nie mówiąc już o
pielęgniarkach w szarych
spódnicach i białych czepkach i
cywilach_urzędnikach albo
policjantach. Byli wszędzie, na
bulwarach, na placach, przed
pomnikami, które fotografowali.
Wszędzie tylko ich samochody,
ich ciężarówki, ich autokary,
ich motocykle z przyczepą,
wszystko to pomalowane na szaro,
oznaczone literami Wh i
opatrzone czarnym krzyżem,
emblematem armii niemieckiej.

- A ludzie - zapytał Josef -
co mówią ludzie? Jak reagują
paryżanie? Co robią?

- A co mają robić? -
odpowiedział Brienne. -
Przyglądają się. Niektórzy
płaczą na widok defilujących
albo wciągających swoje flagi
szwabów. Ale są też tacy, którzy
rozmawiają z żołnierzami,
żartują razem z nimi.

- Widziałam nawet, jak jedna
zdzira obdarowywała kwiatami
niemieckiego oficera! -
opowiadała Sara.

Fran~coise wyjęła z kieszeni
ulotkę znaną niedaleko
placu, gdzie z samochodu z
głośnikiem nazistowski oficer
komentował sytuację, otoczony
grupką gapiów. Rozłożyła ją i
podała Josefowi.

"Zdradzono was. Nie warto
dalej walczyć. Pomyślcie o
swoich biednych dzieciach, o
swoich nieszczęsnych żonach.

Wzywajcie wasz rząd do
zaprzestania walki nie
pozostawiającej nadziei na
sukces".

- Rozmawiałem z jednym kumplem
dziennikarzem, który ma swoje
mniejsze i większe doświadczenia do
glin - podjął Brienne. - Podobno
tylko w ciągu wczorajszego dnia
popelniono szesnaście
samobójstw. Wśród samobójców był
chirurg Thierry de Martel, a
także wartownik w Instytucie
Pasteura, wiecie, Joseph
Meister, ten, któremu, jako
pierwszemu, wstrzyknięto
szczepionkę przeciwko
wściekliczynie, kiedy był małym
dzieciakiem.

Brienne umilkł na chwilę,
zamyślił się.

- Jeśli chodzi o to, co myślą
ludzie, to trudno powiedzieć. Są
tacy, którzy uważają, że lepiej
było nie pakować się w wojnę,
skoro wygrana nie była pewna.
Inni mają nadzieję na rozejm,
żeby wszyscy mogli wrócić do
domu, i ci, którzy wylegli na
drogi i jeńcy, bo Niemcy wzięli
ich podobno dwa miliony. Muszę
ci powiedzieć, że facet, który
podpisze ten rozejm, nie musi
się martwić o popularność.
Naturalnie, wszyscy mają przy
tym na myśli P~etain. Są też
ludzie, którzy nie najgorzej
przyjęli okupację, uważają, że
Niemcy są w porządku... Pewnie
dlatego, że spodziewali się, że
wezmą Paryż ogniem i mieczem. I
wreszcie, są ludzie, którym
świta myśl o oporze; mówią, że
wojna się jeszcze nie skończyła,
że pewnego dnia Francja podejmie
walkę aż do zwycięstwa. O ile
wiem, nie stanowili oni
większości. Większość ma tylko
nadzieję, że wypłynie, że
przeżyje jakoś, z dnia na

dzień... czekając na lepsze czasy.

Brienne spostrzegł łzy płynące po policzkach Josefa.

Następnego dnia wieczorem, 16 czerwca, mama P~etrac, czatująca stale na jakieś wiktuały, ogłosiła dobrą wiadomość:

- Powoli otwierają sklepy. Na ulicy Lepic podnieśli już żaluzje piekarz, mleczarz, rzeźnik, masarz i dwaj właściciele sklepów spożywczych.

Trzeba jednak stać w kolejce. A poza tym, oprócz piekarza, który upiekł świeży chleb, wszyscy wyprzedają tylko zapasy. Ludzie rzucają się na konserwy, cukier, suchary, konfitury, czekoladę, suszone warzywa i owoce.

Sklepikarze próbują zdobyć zaopatrzenie, ale pojazdy cywilne nie mogą normalnie kursować. Podobno szkopy nie chcą wydawać potrzebnych dokumentów... nazywają je ausweissami. Poza tym czynne są Hale, ale szkopy zabierają prawie wszystko, co się dowozi.

Siedemnastego czerwca Brienne i Primula wysłuchali razem pierwszego radiowego przemówienia marszałka P~etaina: "Ze ściśniętym sercem mówię wam dzisiaj, że trzeba zaprzestać walki... Tej nocy zwróciłem się do przeciwnika..." Nazajutrz, na fali radia Londyn, złapali apel nieznanego generała.

- Gaule? Co to za facet? - zapytał Primula niezwykle podekscytowany tym, co usłyszał.

- To pewnie generał de Gaulle - poprawił Brienne. - Był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Wojny u Paula Reynauda.

- Słyszałeś, co on powiedział? Że Francja przegrała bitwę, ale nie wojnę! Że będzie dalej

walczył razem z Francuzami,
którzy się do niego przyłączy!
Że technicznej potędze Niemców
będzie się mogła któregoś dnia
przeciwstawić większa potęga!
Masz pojęcie? To wspaniałe!
W ciągu następnych dni i
tygodni ożywiła się powoli
gospodarka. Fabryki wznowiły
pracę z końcem czerwca; Renault
i Citroën otrzymały zamówienia
niemieckie i zaczęły produkować
wozy bojowe i ciężarówki. W tym
samym mniej więcej czasie, po
handlu detalicznym, zaczęły
funkcjonować domy towarowe, a
wśród nich Galeries de
l'opéra. Będący w armii
Raymond Meyer dostał się pod
Coulommiers do niewoli, ale przy
pierwszej nadarzającej się
okazji, korzystając z ogólnego
bałaganu, uciekł i wrócił do
swojego biura. Był niespokojny,
bo kapitał zakładowy jego domów
towarowych znajdował się w
większości w rękach
akcjonariuszy żydowskich, do
których sam należał.
Podejrzewał, że pewnego dnia, z
pewnością niedługo, Niemcy
zastosują w okupowanej Francji
te same antysemityczne ustawy,
jakie obowiązywały nad Renem.
Starał się nie pokazywać,
zamierzał odstąpić swoje akcje
jakiejś podstawionej osobie, nie
poprosił o ausweis dla swojego
buicka i codziennie odbywał
podróże metrem między willą w
Saint-cloud a biurem.
Księgarze również otworzyli
swoje sklepy. Pewnego wieczora
Brienne oznajmił:
- Niemcy są bardzo
przyzwoici... jak mówią ludzie.
Ale do wszystkich księgarzy
rozesłali właśnie listę dwóch
tysięcy zakazanych książek,
które mają pójść na przemiał.

Nazywają to listą Otta. Są wśród nich 842 tytuły pisarzy żydowskich lub antynazistów, takich jak Duhamel, Barbusse, Maurois, Tristan Bernard, nie mówiąc już o Karolu Marksie i Freudzie...

Teatry, kina, music_halle, sale koncertowe otworzyły wkrótce swoje podwoje dla publiczności. Ale programy kontrolowali cenzorzy niemieccy; nie było mowy o utworach autorów żydowskich ani o żydowskich artystach. Na ekranach pierwszeństwo miały filmy niemieckie i ich gwiazdy: Hans Albers, Emil Jannings, Marika Rok, Zarah Leander, Brigitte Horney, Heinz Rühmann, Conrad Veidt.

Brienne, Françoise i Sara poszli do kina w "Moulin_rouge" na jeden z pierwszych filmów niemieckich wyświetlanych w Paryżu; była to "Ucieczka pana Petersena", z Hansem Albersem.

- Niezłe - skomentował Brienne po wyjściu. - Scenarzysta wzorował się najwyraźniej na komediach amerykańskich w stylu "Ekstrawagancji pana Deedsa". W sumie to jednak ciężkawe...

I dodał:

- Po tym ma się ochotę odświeżyć umysł i zobaczyć jeszcze raz "Nowy Jork_Miami", "Nie zabierzcie tego ze sobą" albo "Mr Smith jedzie do Waszyngtonu". Sęk w tym, że filmy amerykańskie są zakazane...

- Zauważyłeś - zapytała Sara - jak nawet w taką pozornie niewinną komedię wtyka nos propaganda? Jakby przypadkiem, zły i chciwy bankier jest Żydem! Brienne wzruszył ramionami:

- Propaganda jest wszędzie! - powiedział. - W jednym miejscu

ukryta, gdzie indziej nachalna.
Wystarczy poczytać gazety...
Istotnie, gazety zaczęły się
znowu ukazywać. Po "La Victoire"
i "Les Dernier~es Nouvelles de
Paris", które zaistniały tylko
przelotnie, 17 czerwca pojawił
się na nowo w sprzedaży "Le
Matin"; 30 czerwca wyszedł
"wielkonakładowy dziennik
informacyjny dla narodu
francuskiego" zatytułowany "La
France au travail". Wreszcie 11
lipca czytelnicy otrzymali
pierwszy tygodnik, "La Gerbe",
którego prowadzenie powierzono
pisarzowi Alphonsowi de
Ch~ateaubriant.

- To wszystko - tłumaczył
Brienne - to tylko woda na młyn
P~etain i jego reżimu. Francja
przegrała wojnę z winy Frontu
Ludowego, Żydów i masonów, z
winy Gide.a i Prousta. Zbawi nas
rewolucja narodowa, powrót do
ziemi, ukaranie "winnych" i
rozmyślanie nad popełnionymi
błędami. Boki można zrywać!
Dwudziestego drugiego czerwca
w Rethondes podpisany został
rozejm przez dwóch generałów:
niemieckiego, Keitla i
francuskiego, Huntzingera.
Następnego dnia Hitler złożył
błyskawiczną wizytę w Paryżu.
Dwudziestego szóstego czerwca
marszałek P~etain wystosował
przez radio nowe posłanie do
Francuzów:
"Nie będę was zwodził
oszukańczymi słowami...
Nienawidzę kłamstw, które wam
wyrządziły tyle zła... Honor
został uratowany... Rząd Francji
pozostaje wolny... Francją
rządzić będą wyłącznie
Francuzi!"

Potem dni mijały już szybko.
Trzeciego lipca marynarka
brytyjska zaatakowała flotę

francuską w Marsa al_kabir,
gdzie zginęło 1300 marynarzy
francuskich. Wywołało to w całej
prasie wybuch nienawiści do
Anglików. "To koniec Entente
Cordiale!", pisał "Le Matin".
Nieco później nastąpiły
"historyczne dni w Vichy",
utworzono państwo francuskie, na
którego czele stanął marszałek
P~etain, a szefem rządu został
Laval. "Otwarcie drzwi na nowy
ład!", głosił w jednym z tytułów
ten sam "Le Matin".

Na szczęście studio Brienne.a
zaczynało z wolna rozkręcać się
na nowo. Wznowiono kursy
aktorskie, grały teatry, studia
filmowe otrzymywały zamówienia
od niemieckich firm Ufa i
Continental_film, artystom
znowu więc potrzebne były
zdjęcia. Brienne nie zbijał
wprawdzie majątku, ale mógł
przynajmniej żyć z Fran~coise i
jej matką na przyzwoitym
poziomie i pomagać Josefowi i
Sarze.

- Dopóki u mnie będzie co
wrzucić na ruszt, wy też nie
pomrzecie z głodu, moje dzieci!
Primula bowiem był bez pracy;
skończyły się tłumaczenia z
czeskiego i niemieckiego - jego
wydawca gdzieś zniknął - nie
mógł starać się o inne, żeby nie
zwracać na siebie uwagi. Josef
pomagał więc trochę Brienne.owi
przy wywoływaniu zdjęć albo
prowadzeniu rachunków. Sara
pomagała mamie P~etrac w
gospodarstwie i w kuchni,
wystawała z nią w kolejkach do
sklepów. Przez resztę czasu
chronili się w swoim pokoiku,
coś jedli i uprawiali miłość,
stale jednakowo w sobie
zakochani, stale jednakowo
oczarowani, olśnieni siłą swoich
uczuc i zmysłowych radości. Raz

w tygodniu jeździli do Lagny.
Sylvia źle znosiła okupację i
okupantów.

- To mnie wyprowadza z
równowagi! Widok Niemców
wszędzie: na ulicy, na targu, w
kinie, w kawiarniach. Denerwiają
mnie kolejki przed sklepami.
Wyprowadza mnie z równowagi
wychwalanie zasług P~etaina i
jego rządu. Doprowadza mnie do
rozpaczy bierność ludzi. Jestem
od tego po prostu chora...

Po raz pierwszy mówiła z taką
zapalczywością. Do tej pory
zachowywała milczenie, przez
tyle lat przyzwyczała się żyć w
cieniu męża. Jego śmierć, wojna
i okupacja zachwiały jej
psychiką. To prawda, że jej
życie stało się trudniejsze; co
dzień robiła rachunki i
stwierdzała, że jej renta,
wyplacana przez notariusza
Moreau z Saint_mand~e,
utrzymuje się na tym samym
poziomie, ceny natomiast
znacznie rosna. Kilogram chleba
kosztował teraz trzy franki
dwadzieścia centymów, kilogram
mięsa na befsztyki pięćdziesiąt
franków; cena mleka i masła
wzrosła dwukrotnie. A przecież
były to ceny oficjalne. Na
czarnym rynku, powstałym
niedawno wskutek kłopotów z
transportem i niemieckich
rekwizycji, wszystko kosztowało
pięć, dziesięć razy drożej. Z
drugiej strony Sylvia musiała
zaprzestać szycia swetrów, bo
wytwórca uznał, że ostrożniej
będzie pozostać w wolnej
strefie, gdzie schronił się
podczas ucieczki; nazywał się
R~uhl. Otrzymała wprawdzie
odszkodowanie, jakie w wyniku
długiego procesu musiał wypłacić
Pierre Ravaux, zabójca Elie, ale
nie były to złote góry.

Wprawdzie Bruno, który zamieszkał u niej z żoną, podjął na nowo pracę w drukarni du Croissant i uczestniczył w kosztach utrzymania domu, ale biedna Sylvia musiała utrzymywać Roberta i Sarę z jej Josefem. Ta trudna sytuacja, jako dodatek do klęski i okupacji, sprawiła, że straciła nadzieję, posmutniała i popadła w pesymizm. Bruno podzielał poglądy i gniew matki, ale nie pozostawał bierny. Niedawne wydarzenia pogłębiły jeszcze przemianę, jaka zaczęła się w nim dokonywać pod wpływem śmierci ojca. Odnowił znajomość z Chevance'em i coraz częściej widywał się z Marcenakiem, który obnosił się, czasem nieostroźnie, ze swoimi przekonaniem; był komunistą, tak samo jak inwalida wojenny, który, nie bacząc na drewnianą nogę, przemierzał wieczorem ulice i wtykał do skrzynek na listy konspiracyjne ulotki i gazety.

- W moim wieku to niepoważne!

- mawiał. - Ale to mój obowiązek... nasz obowiązek!

W końcu i Bruno wstąpił do podziemnej partii komunistycznej. Lucienne zaś należała do partyjnej organizacji młodzieżowej już od 1938 roku. Przynajmniej raz w tygodniu czwórka przyjaciół zbierała się wieczorem w jadalni willi "Promienny Uśmiech", pod portretem Sary Meyer; w świetle lamp naftowych przepisywali ulotki - Bruno posługiwał się przy tym, stukając dwoma palcami, wypożyczoną niegdyś przez Sarę i pozostawioną w jej pokoju, maszyną do pisania - słuchali radia Londyn, dyskutowali. Sylvia dorzucała do rozmowy swoje trzy grosze, dając

dowód zdrowego rozsądku,
częstowała winem i, z braku
czegoś lepszego, ciasteczkami z
mąki gryczanej. Chevance co parę
minut przypalał swoją cuchnącą
fajkę nabitą liśćmi ziemniaka
lub kwiatami kukurydzy, tytoń
bowiem był ściśle racjonowany i
paczka lichego gatunku
kosztowała na czarnym rynku sto
franków, a dwa franki
pięćdziesiąt na kartki, ale tych
prawie nie było.
Działalność polityczna, w jaką
zaangażował się Bruno, choć
jeszcze skromna, przywracała mu
równowagę; powoli znikła jego
nadmierna wrażliwość. Miał teraz
dwadzieścia lat i był
przystojnym, wysokim chłopcem,
lubianym i cenionym przez
wszystkich, zwłaszcza w drukarni
du Croissant, za swoją solidność
i szczerść. Praca nie była
wprawdzie ta sama co dawniej, bo
drukowało się teraz
kolaboranckie gazety, ale w tym
samym zawodzie, który młody
robotnik uwielbiał, i z
upodobaniem i znanstwem operował
wierszownikiem i typometrem.
Zmiana, jaka się w nim dokonała,
nie była jednak wyłącznie
wynikiem zaangażowania
politycznego i zadowolenia,
jakie dawała mu praca;
zawdzięczał ją także, i przede
wszystkim, Lucienne. Ta ładna
młoda kobieta o krągłych
kształtach, wesoła, zdrowa i
zmysłowa, zawsze uśmiechnięta i
rozśpiewana, wniosła w jego
życie promień słońca, który
rozjaśniał też wilgę "Promienny
Uśmiech".
- Teraz twój uśmiech jest
promiennym uśmiechem naszego
domu! - mawiał do niej Bruno.
Nie zapomniał bynajmniej o
siostrze, ale Sara znajdowała

się w Paryżu, w ramionach
Josefa, podczas gdy Lucienne
była tu, obecna, rzeczywista.
Teraz znowu pracowała w swoim
zawodzie. Na szczęście, znalazła
pracę w salonie fryzjerskim w
centrum Lagny. Codziennie
wieczorem, po powrocie z pracy
oraz w niedziele i poniedziałki
pomagała Sylvii w pracach
domowych, szyła, haftowała,
prasowała razem z nią,
wykonywała drobne naprawy i
pracowała w ogrodzie, toteż obie
świetnie się zgadzały. Sylvia
nie przejawiała nawet cienia tej
zazdrości, jaką często odczuwają
teściowe względem synowych.
Wręcz przeciwnie, matka Bruna
poczuła, że ożyła, odkąd
Lucienne znalazła się przy niej,
i była jej wdzięczna za
wesołość, optymizm i szczęście,
jakim obdarzała jej starszego
syna.

Robert zachowywał się inaczej.
Ciepło, jakie wniosła do domu
Lucienne, jego nie dosięgło, był
na nie obojętny, a nawet jakby
wrogi. Młoda kobieta wydawała mu
się prostacka i ograniczona.
Drażnił go jej śmiech i
piosenki, a namiętność, jaką
żywił dla niej brat, wydawała mu
się nader prymitywna. Równie
wrogo odnosił się do politycznej
postawy brata. Gdy ten wyrażał
przy nim swoje uczucia
antyniemieckie, Robert milczał,
ale budził się w nim głuchy
gniew, narastała niechęć. Kiedy
do domu przychodzili Chevance i
Marcenac, barykadował się w
swoim pokoju nie odpowiadając na
wołania matki. Oznajmił, że nie
będzie się więcej uczył. Zdał
maturę z ogólnym wynikiem dobrym
i to mu wystarczało. Od nowego
roku nie pójdzie na uniwersytet.
- To co będziesz robił, synku?

- pytała Sylvia. - Przecież
będziesz musiał zarabiać na
chleb. Ja nie będę żyła wiecznie
i nie będę mogła zawsze się tobą
zajmować, karmić cię.
- Chcę pisać! Wiersze,
powieści. I zrobię to, powie
mi się. Może to właśnie ja będę
ostatecznie zarabiał najwięcej.
I będę sławny, cały świat będzie
czytał moje książki.
I rzeczywiście pisał,
zamknięty w swoim pokoju, tak że
Sylvia musiała krzyczeć na całe
gardło, żeby go przywołać do
jadalni w godzinach posiłków.
Kiedy udawało jej się wejść do
gracjarni syna, żeby trochę
posprzątać, w nieopisanym
bałaganie, na stole, obok
pękającej w szwach biblioteki,
znajdowała setki zabazgranych,
pokreślonych kartek i na próżno
starła się je odcyfrować.
Powoli jednak, podczas lata, a
potem jesienią 1940 roku,
zdawało się, że Robert obudził
się nieco do życia, wydostał się
ze swojego literackiego kokonu i
z mrocznych rozmyślań, jakim
oddawał się z takim upodobaniem.
Wszystko zaczęło się od wypadów
do Paryża, najpierw raz w
tygodniu, a potem częściej.
Około czwartej po południu
chłopak mył się starannie,
wkładał swój najładniejszy
garnitur z granatowej serży,
czyścił buty i szedł do matki,
do kuchni. Sylvia była bardzo
zaskoczona tym nowym zachowaniem
syna, jego elegancją, dbałością
o siebie.
- Mamo, daj mi trochę
pieniędzy.
- No, no, jakiś ty przystojny,
Robercie!
To prawda, że był przystojny.
Nie tak jak brat, bo był
bardziej od niego tyczkowaty,

miął duże ręce, długie, chude
nogi, udręczoną twarz o
czarnych, niespokojnych oczach,
masę czarnych, nie poddających
się grzebieniowi włosów. Ale
czysty i dobrze ubrany mógł się
podoać. Tylko komu?
Ponieważ nie chodził już do
liceum, nie odbywał swoich
wieczornych przechadzek między
bulwarem Voltaire a a Dworcem
Wschodnim, został pozbawiony
spotkań w pewnych miejscach. Od
dawna zerwał wszelkie stosunki z
Marcenakiem i Lucienem Minoux.
Zresztą, Lucien i jego matka
zniknęli podczas exodusu.
Wyruszyli z Lagny około 10
czerwca i nie wrócili z tej
wędrownki; może zostali zabici na
drodze i pochowani anonimowo w
jakiejś zbiorowej mogile albo
udali się do swojej rodzinnej
Bretanii. W każdym razie nikt
nie miał od nich wiadomości, a
na parterze domu przy ulicy
Vacheresse panią Minoux
zastąpiła nowa dozorczyń. Zaś
Marcenac był rodzajem satyra,
super_samca żywcem wyjętego z
powieści Alfreda Jarry; rzucał
się zachłannie na żonę trzy razy
dziennie, co roku robił jej
dziecko i podrywał wszystkie
możliwe dziewczyny, a jak się
trafiła okazja, także chłopców.
Nie o takiego partnera chodziło
Robertowi lubiącemu bierność u
swoich przygodnych przyjaciół.
Podczas dawnych igraszek we
trójkę, w stodole na farmie,
Lucien Minoux był zdominowany
jednocześnie przez obu
współtowarzyszy, co zaspokajało
pragnienia ich wszystkich.
Teraz, kiedy Robert spotykał
Marcenaca, obaj odczuwali
całkowitą obojętność, bo
potrzebna była obecność Luciena,
aby pojawił się między nimi

jakiś punkt styczności, jakieś
przelotne współnictwo.
Robert podjął więc,
przynajmniej raz w tygodniu,
swoje dawne spacer, ale
wydłużył ich trasę. Starał się
przyjeżdżać do Paryża, na
Dworzec Wschodni, po zapadnięciu
zmroku. Obowiązujące w mieście
zaciemnienie wiele ułatwiało:
żarówki latarni pociągnięte były
niebieską farbą z powodu
angielskich nalotów. Ulice były
więc z rzadka i źle oświetlone,
a jeszcze gorzej miejsca, o
których młody człowiek wiedział,
że można w nich kogoś spotkać.
Szedł więc od Dworca Wschodniego
do Dworca Północnego przez
faubourg Saint_martin i ulicę
Lafayette.a, potem wracał do
punktu wyjścia, skręcał w bulwar
de Strasbourg, a następnie w
bulwar de S~ebastopol i
Saint_michel i wreszcie udawał
się w kierunku północnym,
przemierzając niezmienną trasę
wyznaczoną liczbą szaleatów
rozmieszczonych wzdłuż jezdni.
Zatrzymywał się przy każdym z
nich, wchodził z bijącym sercem,
pobudzony przemożnym, lecz
pełnym rozkosznej trwogi
pragnieniem, a równocześnie
obawą przed niebezpieczeństwem,
bo mogły go na gorącym uczynku
złapać gliny, ktoś mógł go
napaść, obrabować. Wczesnym
wieczorem był wybredny i z
wyższością odrzucał kontakty z
osobnikami niezbyt
pociągającymi, zbyt starymi,
upośledzonymi przez naturę, albo
takimi, których pragnienia nie
odpowiadały jego oczekiwaniom.
Później, w miarę upływu czasu,
godził się na usługi pierwszego
lepszego oberwańca, a potem,
jeśli nadarzała się okazja,
powtarzał ten wyczyn jeszcze ze

dwa, trzy razy w kolejnych miejscach. Czasem miał szczęście trafić na młodego Niemca w mundurze, a była to dla niego rozkosz najwyższego rzędu, nadal bowiem pozostawał pod wrażeniem tego, co zobaczył w Lagny, po powrocie z tułaczki - saperów, żołnierzy w szortach, o nagich torsach, defilujących ze śpiewem - i doznanego wówczas pożądania. O wpół do dwunastej kończył obchód, zjadał kanapkę w jakiejś otwartej jeszcze kawiarni oddając niezbędne do tego kartki żywnościowe, potem, tuż przed godziną policyjną, szedł się przespać do jakiegoś hotelu wykorzystując otrzymany od matki banknot stufrankowy. W przypadkowym łóżku przeżywał na nowo swoje uniesienia, przedłużał w wyobraźni ich trwanie, potem zapadał w głęboki sen. Po przebudzeniu brał kąpiel, jakby chciał się oczyścić z brudu, i wracał do Lagny, odrobinę zawstydzony, ale też z poczuciem ulgi i nowym wigorem.

- Co robiłeś tej nocy? - pytała matka zaniepokojona jego eskapadami.

- Nic takiego, byłem u przyjaciół...

U przyjaciół? Sylvia dużo dałaby za to, żeby dowiedzieć się, u jakich.

Ale niepodobna było wydobyć z niego ani słowa więcej. Niczego nie podejrzewała, bo wiedziała o tym tylko Sara. Tymczasem Robert pędził zanurzyć się znowu w swoich papierach ze wzmożoną energią i pasją twórczą, jakby wyczerpanie fizyczne wyostrzało mu umysł.

Latem i jesienią 1940 roku pracował nad powieścią liryczną, inspirowaną śmiercią ojca i

wydarzeniami, które po niej nastąpiły, aż do klęski czerwcowej. Podjął w niej i rozwinął wątki z noweli, jaką niegdyś zaproponował do druku w "Marianne", odrzuconej przez Gide'a i Berla. Teraz był pewien, że ma "coś do powiedzenia", że znalazł własny ton, styl wypowiedzi, niczego nie zawdzięczając wpływowi innych. Zmienił metodę pracy: najpierw pisał ręcznie, parkerem wypełnionym niebieskim atramentem, na kratkowanym papierze. Odkładał swoje dzieło na kilka dni, żeby nabrać do niego dystansu, a potem powracał do niego, kreślił, poprawiał. W końcu wystukiwał ostateczną wersję na maszynie Sary, nie wiedząc, że Bruno posługuje się nią także do przepisywania tekstów utrzymanych w całkiem innym duchu.

Był teraz na 218 stronie, mniej więcej w dwóch trzecich wyznaczonego sobie celu. Przy szybkości, w jakiej postępowała praca, a udawało mu się pisać średnio po trzy strony dziennie, sądził, że rękopis będzie gotowy do przedstawienia wydawcy jeszcze przed końcem jesieni.

Pozostał wierny tytułowi pierwotnej noweli: "Śmierć ojca". Nie zastanawiał się nawet, jak ta powieść zostanie przyjęta w ówczesnym kontekście historycznym, wiedział w każdym razie, że władze z Vichy i Niemcy uznali wielu znanych pisarzy za osoby niepożądane. Wydawcy musieli więc postarać się o uzupełnienie szeregów swoich autorów. Toteż były miejsca do obsadzenia...

Kiedy do Lagny przyjeżdżała Sara z Josefem, Robert schodził na dół tylko na chwilę, żeby

ucałować siostrę i uścisnąć dłoń
Primuli. Młody Czech pociągał go
i odpychał zarazem, urzekła go
jego samcza, atletyczna, męska
uroda, jego grzeczność,
uprzejmość, kosmopolityczna
kultura, ale zniechęcały go jego
antynazistowskie uczucia i
szalona namiętność dla Sary.

Względem siostry młody człowiek
odczuwał równie mieszane
uczucia. Kochał ją i podziwiał,
choć niezbyt był czuły na urodę
kobiet. Ale potępiał jej
odmienne od swoich poglądy
polityczne - aczkolwiek nie tak
wyraźne jak u Josefa czy Bruna -
i z wyniosłym politowaniem
traktował jej rzucające się w
oczy zmysłowe przywiązanie do
kochanka, tak prymitywne w jego
mniemaniu.

- Zachowuje się jak kotka w
marcu!

Tak czy inaczej, unikał
wszelkiej dłuższej z nią
rozmowy, z Josefem zresztą też,
a także z Syla, Brunem i
Lucienne. Wiedział, że
nieuchronnie mówić będą o
ostatnich wydarzeniach, wojnie,
okupacji niemieckiej, polityce
rządu Vichy, a jego osobisty
pogląd na wszystkie te sprawy
różnił się diametralnie od
poglądów ich wszystkich. Inni
członkowie rodziny nienawidzili
Niemców. On natomiast był nimi
oczarowany. Porządek, potęga
najwyraźniej niezwykłego
Wehrmachtu, odnoszone przezeń
sukcesy wywarły na nim silne
wrażenie. Płomienna młodość i
uroda nazistowskich żołnierzy
ujęły go od pierwszego dnia.
Widział w nich pionierów nowego
ładu, mającego zapewnić
zwycięstwo młodzieńczej
szlachetności nad skostniałymi
uczuciami starszego pokolenia,

nad żałosnymi i chciwymi,
zacofanymi i wstecznymi
ambicjami starych.

Czasem myślał o tym, co by mu
odpowiedział Bruno, na przykład,
albo Sara, gdyby pewnego dnia
odważył się wyjawić im swoje
myśli.

- Robisz z siebie współnika
ludzi, którzy zamordowali tatę!
Niemcy czy Francuzi, faszyci są
zawsze faszystami!

- To nie faszyci zabili tatę
- odpowiedziałby wówczas. - To
byli wsteczniczy, broniący tylko
własnych przywilejów. Prawdziwi
faszyci to socjaliści, równie
autentyczni, równie szlachetni,
ale bardziej zdeterminowani niż
związkowcy, którzy otaczali tatę
w drukarni i wystąpili przeciwko
zacofanemu właścicielowi i jego
synom...

Gdyby zaszła potrzeba,
dorzuciłby jeszcze:

- Narodowy socjalizm to
nadzieja nowego świata, w którym
praca uzyska należne jej
miejsce, a przestarzały
kapitalizm zostanie wyrugowany.
Dlaczego młodzi Niemcy znajdują
motywy swego działania w ideach,
o które walczą? Ponieważ te idee
mają źródło w głębokich
reformach społecznych, które
przyczyniają się do ich
popularności. Narodowy socjalizm
to przede wszystkim socjalizm...

W sumie użyłby więc argumentów
bardzo podobnych do tych, jakie
wygłaszał młody hitlerowiec
poznany przez Josefa i Sarę w
schronisku młodzieżowym w
Villeneuve_la_dondagre. Ale
póki co, unikał wszelkiej
dyskusji, wolał zachować dla
siebie swoją romantyczną,
wyidealizowaną wizję Niemiec i
Niemców. Być może, czuł
niejasno, zachowując resztki

ostrożności, że w swojej
niestosowności kierunek jego
myślenia ma w sobie coś
ulotnego, że jest zbyt utopijny,
by mógł być prawdziwy, że w
związku z tym może być tylko
tymczasowy i że pewnego dnia
mogą go podważyć nowe realia,
rozwój wydarzeń, a więc lepiej
było nie obnosić się z nim
zbyt.

Zebrania rodzinne odbywały się
więc bez niego. Lato było upalne
i obiad jedli na trawie, jak w
czasach pokoju. Menu było skąpe,
z powodu reglamentacji, ale na
szczęście mieli ogród, w nim
warzywa i owoce, a Sylvia
posiadła sztukę przyrządzania
wszystkiego ze smakiem. Starali
się nie mówić za dużo o wojnie,
wspominali przeszłość, robili
plany na przyszłość. Czasem
chodnikiem przed domem
przechodzili niemieccy
żołnierze. Rozmowa urywała się
wtedy nagle, dopóki się nie
oddalili. Marcenac i Agathe,
Marnier z synem, Jean Chevance -
ten ostatni ze swoją nieodłączną
cuchnącą fajką - przychodzili na
bezalkoholowy aperitif albo na
kawę z jęczmienia słodzoną
sacharyną. Wieczorem Sara i
Josef wracali do Paryża, do
swojego pokoiku. Na pożegnanie
Sylvia wciskała córce do ręki
kilka banknotów.

- Weź to, kochanie. Niechże ci
trochę pomogę!

Właśnie podczas jednego z tych
powrotów do Paryża zdarzył się
na Dworcu Wschodnim wypadek,
który postawił pod znakiem
zapytania bezpieczeństwo Josefa,
jakie gwarantował mu, jak się
zdawało, jego fałszywy dowód
osobisty. Za zakrętem korytarza
znaleźli się nagle z Sarą twarzą
w twarz z tarasującymi przejście

niemieckimi żandarmami w asyście francuskich glin. Josef wyjął dowód. Jeden z Niemców zajrzał do niego, potem popatrzył na młodego człowieka.

- Sie sind Els~asser! Gut! Wo sind Sie geboren? (Pan jest Alzacyjny! Dobrze. Gdzie pan się urodził?)

Josef zawahał się przez chwilę, bo nie posłuchał rady Brienne'a, a ten przykazywał mu przecież nauczyć się na pamięć swojego fikcyjnego miejsca urodzenia. Chcąc zyskać na czasie udawał, że nie rozumie.

- Sie sind Els~asser und Sie verstehen nicht Deutsch? (Jest pan Alzacyjny i nie rozumie pan po niemiecku?) - obstawał przy swoim Niemiec. - Wo sind Sie geboren? Pan urodzony gdzie?

Sara wyczuła niebezpieczeństwo. Chcąc odwrócić uwagę żandarma podała mu swój dowód osobisty obdarzając go równocześnie promiennym uśmiechem i gorącym spojrzeniem swoich niebieskich oczu. Manewr okazał się skuteczny. Na jej uśmiech Niemiec odpowiedział uśmiechem wyrażającym zachwyt. A tymczasem Josef odzyskał pamięć.

- Urodziłem się w Wittenheim, nad górnym Renem, 8 lipca 1918 roku!

Policjant zwrócił oba dowody.

- Gut! Sie k~onnen gehen!
(Możecie iść!)

Josef i Sara oddalili się pośpiesznie z westchnieniem ulgi.

- Udało nam się! - powiedział Josef, kiedy poczuli się bezpieczni. - To taka rutynowa pułapka, wszystkim pewnie zadają tego rodzaju pytania. Ale mimo wszystko pułapka i omal w nią nie wpadłem. Na szczęście ten

żandarm nie upierał się zbyt. Na szczęście nie zapytał mnie o nic innego. Na szczęście nie zaintrygowało go, że nie znam niemieckiego. Na szczęście nie przyjrzał się mojemu dowodowi zbyt uważnie...

- ...i na szczęście, zdobyłam się na refleks, żeby odwrócić jego uwagę! - powiedziała Sara.

- Musisz przyznać, że moja sztuczka się udała!

- Tak, byłaś wspaniała, Saro! Tak czy inaczej mieliśmy szczęście. Ale to dla nas nauka.

- Myślę, że nie powinieneś raczej pokazywać się zbyt często na ulicy i ryzykować natknięcia się na inne kontrole...

Mijały tygodnie, a Josef nie opuszczał domu przy alei Racheli. Jego wyjścia ograniczały się do schodów dzielących pokój na szóstym piętrze od mieszkania i studia Brienne. a na pierwszym piętrze. Powoli odzyskał ufność. Jednak pewnego sierpniowego ranka otrzymał pismo w kolorze niebieskim, z nagłówkiem Prefektury Policji, Biura do spraw Cudzoziemców. Było to wezwanie zaadresowane na jego dawny hotel, odesłane przez właściciela pod aktualny adres.

II

Mieszczące się na trzecim piętrze Prefektury Policji Biuro do spraw Cudzoziemców miało wygląd sali szpitalnej: ściany pomalowane były na olejno i pokryte urzędowymi afiszami, okratowane okna sięgały aż do mansardowego sufitu, jakby z góry wykluczając wszelką myśl o ucieczce. Bywalcy, a Josef zaczął się do nich zaliczać, bo był tu już po raz trzeci, nazywali to miejsce "czyścem";

kiedy się przyszło po przedłużeniu półrocznego zezwolenia na pobyt, można było wyjść z niczym, co oznaczało piekło, inaczej mówiąc wydalenie, albo z prawem pobytu ograniczonym do trzech miesięcy, a nawet do dwóch tygodni, bez innego wyraźnego powodu niż widzimi się urzędnika. Ale można też było dostać łaski przyjęcia do raju, to znaczy, przy dużej dozie szczęścia, cierpliwości albo poparcia, a najlepiej mając w ręku wszystkie te trzy atuty równocześnie, wygrać główny los, przedmiot powszechnego pożądania - paszport francuski, pod warunkiem wszakże, że w stosownym czasie złożyło się umotywowaną i uzasadnioną prośbę. Tak przynajmniej rzeczy się miały przed wkroczeniem Niemców. Teraz zaś... Przy wejściu, pod jednym z tych portretów marszałka P~etaina, które zaczęły pojawiać się na wszystkich ścianach, policjant rewidował przybyłych, zbierał od nich dokumenty, które inny urzędnik, po wielogodzinnym oczekiwaniu, miał im ewentualnie zwrócić w jednym z sześciu boksów umieszczonych wokół sali.

- Zezwolenie na pobyt, paszport, zaświadczenie z miejsca zamieszkania, karta pracy, jeśli jest! - bąkał wodząc nieobecny wzrokiem.

Primula podał swój czechosłowacki paszport, wygasłe już zezwolenie na pobyt i zaświadczenie o miejscu zamieszkania wystawione przez Brienne.a. Nie miał karty pracy. Tak hojny w swych dobrodziejstwach fotograf nie posunął się wszakże do tego, żeby płacić Josefowi za te

drobne prace, jakie dla niego wykonywał, nie mówiąc już o opłacaniu za niego składek na ubezpieczenie. Dobrze jeszcze, że zapewniał jemu i Sarze mieszkanie i utrzymanie. Primula przedarł się przez tłum do drewnianej ławki, gdzie było jeszcze wolne miejsce. Usiadł przygotowany na to, że dużo czasu upłynie, zanim zechcą go poprosić. Spojrzał na zegarek - było siedem minut po dziewiątej - potem rozejrzał się dokoła. W Paryżu nigdy nie brakowało cudzoziemców najróżniejszego pochodzenia zjawiających się tu, z małą walizką w ręku, po różnych wojnach, rewolucjach lub dalekich pogromach; Francja była dla nich ojczyzną wolności, a jej stolica stworzona do tego, by udzielać schronienia uciskanym i wygnanym. Ponieważ trzeba było jakoś kontrolować i legalizować te przyjazdy, nadawać przybyszom jakiś status, wszystkie nieszczęścia świata od dziesiątek lat napływały do tego zbyt ciasnego, by je pomieścić, lokalu. W okresie między dwiema wojnami przyjmowano tu równocześnie lub kolejno "białych" wypędzonych z Rosji przez rewolucję październikową, wydanych przez Piłsudskiego Polaków, wrogich wobec króla Karola Rumunów, włoskich antyfaszystów, niemieckich antynazistów, uciekających przed Anshlussem Austriaków, zbuntowanych wobec napaści na swój kraj Czechów, demokratów portugalskich po dojściu do władzy Salazara, zwolenników Republiki Hiszpańskiej po dojściu do władzy generała Franco, przybywających ze wszystkich krajów Europy Środkowej Żydów, nie mówiąc już

o bezrobotnych i biedakach,
napływających zewsząd w
poszukiwaniu lepszego losu.
Przez wiele lat wszystko
odbywało się dosyć gładko z
wyjątkiem rzadkich przypadków
pojawiania się osób
niepożądanych, które szybko
usuwano. Zaopatrzonych w
niezbędne, tymczasowe lub stałe
dokumenty, wpisanych do
stosownych kartotek i
repertoriów emigrantów
wypuszczano na miasto, nie
troszcząc się o to, gdzie znajdą
dach nad głową i środki
utrzymania. Ludność miejscowa
powoli ich przyjmowała,
wchłaniała - można by powiedzieć
asymilowała - i z czasem wszyscy
oni stawali się, jak w piosence
Maurice'a Chevaliera,
"znakomitymi Francuzami". Tylko
jakieś zrędy czy też wyznawcy
Charles'a Maurrasa"* uważali, że
lepiej byłoby przyjmować mniej
cudzoziemców, a nawet wywozić
ich całymi wagonami.
Charles Maurras (1868_#1952),
pisarz i polityk francuski.
Inspirator skrajnie prawicowego
dziennika "Action française",
zwolennik tradycjonalizmu i
nacjonalizmu, wywarł znaczny
wpływ na najbardziej
konserwatywny odłam burżuazji i
doczekał się umieszczenia swoich
dzieł na indeksie watykańskim.
Za poparcie udzielone
Mussoliniemu, gen. Franco i
Pétainowi w 1945 roku został
skazany na ciężkie więzienie;
ułaskawiony na krótko przed
śmiercią. Wykluczony też został
z Akademii Francuskiej.
Wojna, a zwłaszcza okupacja,
naruszyła zasady tej pocziwej
gry, skomplikowała je i
udramatyzowała. Jak wszędzie, we
wszystkie tryby życia

społecznego, także i w ten system Niemcy wetknęli swój nos. Otóż, jeszcze wczoraj wszyscy cudzoziemcy przyjmowani przez władze francuskie i otrzymujący od nich tymczasowe i podlegające przedłużeniu zezwolenie na pobyt zostali w większości uznani za wrogów III Rzeszy - w przypadku niemieckich, austriackich i czeskich antynazistów oraz Żydów - albo za wrogów jej włoskich i hiszpańskich przyjaciół. Biedni wrogowie! Bezbronni, nieszczęśliwi, zastraszeni; od tej pory odmowa przedłużenia zezwolenia na pobyt nie oznaczała już dla nich wydalenia, z którym ostatecznie można się było pogodzić, choć było takie krzywdzące i bolesne, ale po prostu i zwyczajnie wydanie ich przez rząd Vichy okupantom niemieckim, bez względu na poważne, a nawet śmiertelne zagrożenie, jakie to pociągało za sobą.

Rozglądając się dookoła, Josef Primula dostrzegał tylko poważne, napięte, zatrwożone twarze stłoczonych na twardych drewnianych ławkach mężczyzn i kobiet, których pochodzenia mógł się z łatwością domyślać, nie tylko sądząc po języku, bo rozmawiali ze sobą po cichu, jakby nie chcieli przyciągać uwagi policjantów, ale też po ich typie fizycznym, wyglądzie, ubraniu.

- Dlaczego tu przyszli? - zastanawiał się. - Dlaczego dali się złapać w tę pułapkę? Dlaczego rzucili się w paszczę wilka? A ja sam, dlaczego tu jestem?

Czuł się stłamszony, upokorzony. Po pierwsze, Niemcy, przed którymi uciekł z Pragi, dopadli go w Paryżu. Po drugie,

nie zdobył się na to, aby w stosownym momencie wyjechać z Paryża. Po trzecie, w nadziei na to, że bez względu na okoliczności otrzyma jakąś wiadomość od pozostałych w Czechosłowacji rodziców, popełnił nieostrożność podając swój nowy adres właścicielowi hotelu przy placu du Panthéon, a ten odesłał wezwanie. Po czwarte, po otrzymaniu wezwania, postanowił zastosować się do niego i w wyznaczonym dniu i o określonej godzinie udać się do Prefektury Policji. Czy mógłby postąpić inaczej?

- Wpadłem po uszy! -

powiedział do Sary i Brienne.

- Jeśli nie zareaguję na to wezwanie, przyślą mi inne. Jeśli znowu nie posłucham, gliny pójdą do hotelu, a właściciel poda im na pewno mój nowy adres. Powinienem więc wiać stąd. Tylko dokąd?

- Do Lagny! - odpowiedziała Sara. - Jestem pewna, że mama i Bruno nas przyjmą. W każdym razie ja to załatwię.

- To byłoby tylko chwilowe odroczenie. Z fałszywym dowodem mój los zależy od pierwszej kontroli dokumentów. Poza tym jest coś jeszcze. Fikcyjnie jestem Alzackim, a słyszeliście co wczoraj wieczorem mówiono o Alzacji w radiu Londyn? Niemcy zaanektowali Alzację razem z Lotarynią. Vichy wprawdzie nieśmiało protestowało, ale to wszystko. Jako Alzacki mogę więc zostać wcielony do Wehrmachtu. To nie twoja wina, Roger, nie mogłeś przecież tego przewidzieć! Jako sudecki Czech mam przynajmniej małą szansę, że uniknę wojska i ureguluję swoją sytuację: zaryzykuje,

stawię się na wezwanie i być
może będę miał szczęście trafić
na roztargnionego albo niezbyt
gorliwego urzędnika, który
przedłuży mi zezwolenie na
pobyt...

Siedząc na ławce w Biurze do
spraw Cudzoziemców, pośród
otaczających go emigrantów w
Chaplinowskim stylu, pozbawiony
dokumentów, które oddał
policjantowi przy wejściu, Josef
czuł się nagi, bezbronny,
żałosny. Był teraz zbiegiem,
niczym więcej, pozbawionym
statusu włóczęgą podobnym do
bohaterów Gorkiego czy Hamsuna,
Heimatlosem bez osobowości, bez
znaczenia, bez pozycji,
"obłokiem w spodniach" z wiersza
Majakowskiego. Był zależny od
wszystkich i od byle kogo: nie
miał pieniędzy, bo jedyne,
jakimi dysponował, otrzymywał od
Sary, podobnie jak mieszkanie i
żywność dostawał od Brienne.a;
był więźniem pragnącej go
zmiażdżyć maszyny
administracyjnej; był igraszką
okoliczności czyniących z niego
bezimienny pionek na szachownicy
w grze o nieznanym zasadach...
a tymczasem stawką była w
najlepszym razie wolność, a w
najgorszym nawet życie.
- Jestem skończony! - szepnął
nagle.

Siedzący obok niego stary,
siwy mężczyzna, Żyd bez
wątpienia, wyglądający, jakby
dźwigał na swoich barkach całą
rozpaczą świata, popatrzył na
Josefa z zainteresowaniem i
litością. Josef był młody i
przystojny. A jednak taki chwyt
wzrostu 1,80, o atletycznej
budowie, pozornie stworzony do
walki, wobec upokorzenia i
opuszczenia, jakiego stał się
ofiara, nie czuł w sobie

najmniejszego odruchu dumy czy godności, żadnego pragnienia buntu czy ucieczki.

- Zobaczmy! - powiedział do Sary, kiedy po raz pierwszy wspólnie rozważali grożące mu niebezpieczeństwo, a przecież już wtedy czuł się jakby w kleszczach dziwnego fatalizmu, który sprawił, że został w Paryżu.

Teraz było jeszcze gorzej, bo ostatecznie uznał bunt za niemożliwy, a ucieczkę za bardziej nierealną niż kiedykolwiek, znosił swoje upokorzenie z kompletną rezygnacją. Gorzej nawet - z pewnego rodzaju posepnym upodobaniem i fascynacją wobec czekających go nieuchronnie przejść. Ale równocześnie, zdając sobie sprawę z przemiany, jaka dokonała się w jego umyśle, dociekał jej przyczyn. W Pradze czuł się silny, odważny, zuchwały. I choć ta siła, odwaga, zuchwałość znalazły wyraz w ucieczce, to do tej właśnie ucieczki niezbędna była pewna zuchwałość, do której teraz czuł się niezdolny. A więc, co się zmieniło w nim samym? Co osłabiło go do tego stopnia, że z rezygnacją poddawał się najgorszemu, bezwolny, zastraszone, jakby nieszczęście pociągało go? Od czasu do czasu policjant wywoływał jakieś nazwisko, czasem miał kłopoty z wymową, potykał się o spółgłoski. Wtedy ktoś wstawał i znikał w jednym z boksów. Po kwadransie lub półgodzinie wychodził z dokumentem w ręku - wznowione zezwolenie, ale na jak długo? Wynik odbytej rozmowy i przyznany okres pobytu miał wypisany na twarzy: uśmiech

zadowolenia w przypadku pół roku... grymas w przypadku dwóch tygodni.

Wyrwany na chwilę ze swych posepnych rozważań Josef zamyślał się znowu, co chwilę krzyżował i prostował nogi, co pięć minut patrzył na zegarek. Minęło południe, pierwsza, wpół do drugiej, druga, a jego ciągle nie wzywano.

W głębi duszy drzemał w nim rodzaj słowiańskiego fatalizmu w stylu Dostojewskiego. Ale było coś jeszcze: miłość do Sary. Ta miłość najwyraźniej osłabiła w nim odwagę, determinację, a nawet instynkt samozachowawczy, umocniła natomiast jego bierność. Wszystko, czego chciał, to zostać przy niej, patrzeć na nią, kochać się z nią. Nie miał do niej żalu o to, że go tak omotała; jak mógłby mieć o to żal do niej, która dała mu tyle godzin radości? Miał wrażenie, jakby zawsze zdawał sobie sprawę z ulotności swego oczarowania, przypominał sobie, jak na długo przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Paryża pomyślał: "Przeżyjemy zaledwie kilka miesięcy szczęścia..." Równocześnie zrozumiał, dlaczego otaczający go ludzie, wezwani podobnie jak on, przyszli jak i on posłusznie do tego biura. Rezygnacja, bierność, fatalizm, strach przed przygodą, przed nielegalnością, ucieczką, tajnością, pragnienie, by jak najdłużej pozostać przy drogich istotach, nie oddalać się od ogniska domowego, nie zapominając o nadmiernej ufności i złudnym optymizmie (Niemcy nie mogą być tacy źli, jak się mówi, nic nam nie zrobią, to by było zbyt niesprawiedliwe, jakoś z

tego wybrniemy...); w tym samym momencie, podobnie jak Josefowi, tysiącom mężczyzn i kobiet w całej Europie, ofiarom takiego samego zaślepienia, groziła utrata życia...

Znowu spojrzął na zegarek. Było po trzeciej. Wokół niego pozostało już tylko z dziesięciu cudzoziemców oczekujących wytrwale na wezwanie stojącego przy wejściu obojętnego policjanta.

W tym samym czasie, w ich pokoiku, Sara płakała leżąc nago na łóżku. Już poprzedniego dnia wieczorem, kiedy Josef w obecności Brienne. a oznajmił, że pójdzie do Prefektury, zaczęła szlochać.

- Nie chcę, żebyś mnie zostawiał! Pójdźcie tam to szaleństwo! Skryjemy się w Lagny, u mamy. Jeśli coś się przytrafi, masz przecież dowód osobisty. Nic złego nam się nie stanie...

Josef wzruszył ramionami.

- Nic złego nam się nie stanie poza tym, że będę zależny od pierwszej lepszej kontroli tożsamości, od pierwszej lepszej denuncjacji. A jeśli mnie złapią z fałszywym dowodem, to będzie groźniejsze niż cokolwiek innego!

Wtrącił się Brienne. Żałował trochę, że postarał się o dowód, teraz lepiej oceniał podjęte przez siebie ryzyko.

- Josef ma rację, powinien tam pójść, Saro, zapewniam cię. Sara nie spała całą noc. Kiedy o siódmej rano Josef wstał, ogolił się i ubrał, nic nie powiedziała. Nieporuszona leżała w łóżku przypatrując się uporczywie kochankowi. Kiedy miał wychodzić, wstała, pocałowała go żarliwie.

- Cokolwiek się zdarzy,
uratuję cię! Uratuję cię wbrew
całemu światu, kochanie... nawet
wbrew tobie.

Przywarł do niej, jakby to
miał być ich ostatni raz.

Teraz Sara płakała wspominając
te pieszczoty, to ostatnie
olśnienie. W miarę upływu godzin
jej niepokój narastał, stawał
się nieznośny. Wiedziała
wprawdzie, że w urzędach można
czekać godzinami, bez końca. Ale
wyobrażała sobie najgorsze.

Chcąc oszukać swój lęk, zeszła
do Brienne'a. Kiedy otworzył jej
drzwi, rzuciła się z płaczem w
jego ramiona.

- Roger, już dłużej nie mogę!
Wyobraź sobie, że Josef wyszedł
o ósmej rano... I jeszcze nie
wrócił!

Brienne pożałował Sary od dawna
i oto teraz trzymał ją w
ramionach. Ale jakże by mógł
wykorzystać taką sytuację?
Łagodnie odepchnął dziewczynę.

- Wiesz, co zrobisz, żeby
oszukać niepokój? Pomożesz
trochę mamie P~etrac i
Fran~coise. Mieliśmy gości na
obiedzie i została góra brudnych
naczyni. Co do Josefa, nie martw
się o niego. Wiem, czym są
urzędy. Żeby dostać koncesję,
spędziłem w dzielnicowej
Prefekturze cały dzień, od
dziewiątej rano do szóstej
wieczorem, o suchym pysku. Jest
dopiero wpół do czwartej.
Jeszcze za wcześnie, żebyś się
zamartwiała...

Zaśmiał się trochę sztucznie.

W rzeczywistości był równie
niepokojny jak Sara. Nie można
było porównać biura wydającego
koncesje w czasie pokoju z
Biurem do spraw Cudzoziemców
podczas wojny, w dodatku pod
okiem Niemców. Poza tym skłamał

w dobrej wierze, bo swoje
zaświadczenie dostał w pół
godziny.

- No, idź pozmywać! -
powiedział wymierzając jej
potężnego klapsa. - Do roboty,
próżniaku! To ci sprowadzi
twojego Josefa.

O czwartej oprócz Primuli
pozostało już tylko siedmiu czy
ośmiu cudzoziemców. Josef szukał
ucieczki w bezładnych
wspomnieniach z Pragi, z czasów,
gdy był dumny, silny,
szczęśliwy, a było to przed tym,
zanim w Sudetach i w
Czechosłowacji pojawiło się i
zaczęło narastać
niebezpieczeństwo nazizmu. Na
uniwersytecie studiował z
powodzeniem literaturę niemiecką
i francuską. Wynajmował pokój
przy rodzinie, nad brzegiem
Wełtawy, i ze swojego okna miał
wspaniałą widok na rozległą
część Złotego Miasta, na most
Karola i zamek na Hradczanach.
Co miesiąc dostawał od rodziców
przekaz na pieniądze, nie mógł
sobie wprawdzie pozwolić na
szaleństwa, ale wystarczało mu
to na opłacenie pokoju i
wyżywienie, na wieczorne wyjścia
z przyjaciółmi do kawiarni i od
czasu do czasu na kolację w
restauracji z Ellą, która była
jego kochanką.
Przyjaciele nazywali się
Pu~cek, Strugal i Pozner, a sami
przezywali się trzema
muszkietierami, bo razem z
Primulą było ich czterech. Josef
miał przed oczami zadymioną salę
kawiarni Kahana, gdzie Lili,
ładniutka kelnerka, roznosiła
pilzneńskie piwo trzymając za
ucho, w palcach jednej ręki,
cztery kufle na raz. Strugal był
przywódcą bandy, może dlatego,
że był najstarszy. Primula

przezwał go Papieżem. Strugał chciał zreformować kryteria sztuki. Głosił, że po to, by na ludzi i przedmioty można było spojrzeć świeżym okiem, należy koniecznie oddalić się od nich, nabrać dystansu. Ochrzcił swoją doktrynę "wyobcowaniem", a Primula, podejmując dyskusję, proponował "obcowatość" albo "dystansowanie". Próbowali te słowa tłumaczyć na francuski, niemiecki, rosyjski, chcąc sprawdzić ich nośność. Dyskusja trwała godzinami. Pu~cek natomiast był młodym malarzem rozkochanym w Picassie. Pokazywał przyjaciołom zdjęcia obrazów mistrza objaśniając, że Picasso maluje obracając się wokół przedmiotu, pokazując go równocześnie pod wszystkimi kątami. To już nie było "dystansowanie", tylko "symultaniczność". Pozner studiował język i literaturę rosyjską. Utrzymywał, że cała siła "Zbrodni i kary" bierze się stąd, że Dostojewski nawarstwił, zajął ze sobą w tej książce trzy wątki: zdeklasowanego mieszczanina, który popadł w pijaństwo i zginął pod kołami powozu; młodej dziewczyny, która prostytuuje się przez gotowość do poświęceń i rozpaczliwie stara się odpokutować za grzechy; młodego człowieka, który kradnie i zabija, żeby udowodnić samemu sobie, że jest do tego zdolny... Szczęśliwe czasy, kiedy można było rozmawiać o sztuce i literaturze, upajać się słowami, klócić się o idee. W ciągu ostatnich miesięcy czterech przyjaciele rozmawiali już tylko o nazizmie. Ella nazywała się w rzeczywistości Elisabeth Paula

Palom~e. Josef poznał ją w kawiarni Kahana. Już pierwszego wieczoru zabrała go do siebie i został jej kochankiem... jednym z jej kochanków. Miała ponad czterdzieści lat, ale jej ciało było nadal wspaniałe i gorące. Pisała powieści i eseje filozoficzne o surrealizmie i psychoanalizie. Twierdziła, że w Wiedniu, gdzie przebywała przez dłuższy czas, przyjaźniła się kolejno z Rilkiem i Freudem, sugerując, że była również ich kochanką. To było możliwe. W każdym razie uprawiała miłość w cudowny sposób i to ona właśnie nauczyła Josefa wszystkiego w tej dziedzinie. Podobnie jak trzech muszkietierowie potrafiła godzinami dyskutować nad najdrobniejszą sprawą, wyciągnięta w swoim salonie na sofie w stylu pani R~ecamier, paląc jeden za drugim kosztowne egipskie papierosy z ustnikiem z korka, popijając wódkę. Josef wspominał ostatni wieczór spędzony w Pradze. Ella "przebrała" swoje mieszkanie. Na ścianach rozwiesiła białe prześcieradła, pod sufitem zawiesiła choinkę czubem w dół, świece płonęły na niej jak w kandelabrze. Przystroiła ją we wszystkie swoje klejnoty, z każdej gałązki zwieszał się jakiś pierścionek, bransoletka, naszyjnik. Meble pokryte były rozłożonymi gazetami, a odwrócone miednice zastępowały siedzenia. Zabawa polegała na tym, żeby wszystko "poprzebierać", poprzekręcać, używać przedmiotów niezgodnie z ich przeznaczeniem, żeby wszystko zmieniło się nie do poznania. Dla siebie wymyśliła kostium mauretański, z różnokolorowych chust i wstążek,

ze złoconą zasłoną na twarzy i
mnóstwem bransoletek na rękach.
Pu~cek przyszedł pomalowany na
biało, jak lunatyczny Pierrot,
deklamujący wiersze Jules.a
Laforgue. Strugał wymalował się
na czerwono, w butonierce miał
łyżkę. Pozner, w surducie i z
monoklem, obnosił w ten sposób,
jak mówił, "swoją prawdziwą
naturę romantycznego burżuja".
Primula zaś, w kostiumie
marynarza, przykleił sobie
czarne loki. Wszyscy usiedli w
salonie na odwróconych
miednicach. Służąca w sukni
księżniczki, z diademem na
głowie, przez wiele godzin
roznosiła półmiski, napelniała
kieliszki. Upajali się słowami,
szaleństwem, wódką i ginem. O
czwartej rano zabawa się
skończyła i Josef został sam z
Ella. Zdjął swoją czarną perukę.
- Ella, ja wyjeżdżam. To był
nasz ostatni wieczór...
Ella o nic nie zapytała.
Wiedziała, że Josef jest
antynazistą, a naziści mogli
wkroczyć do Pragi w każdej
chwili. Pocałowała go namiętnie.
W wielkim łożu z baldachimem,
zarzuconym różnokolorowymi
poduszkami, kochali się po raz
ostatni. O ósmej rano dała mu
trochę pieniędzy i swoim białym
hotchkissem odwiozła go na
dworzec. Takie było chyba jego
przeznaczenie, żeby porzucać
kobiety w chwili, kiedy go
uszcześliwiały...
Trzydzieści minut po piątej,
kiedy w Biurze do spraw
Cudzoziemców pozostało z Josefem
już tylko sześciu mężczyzn, na
schodach dał się słyszeć odgłos
ciężkich kroków. Sześciu
mężczyzn równocześnie podniosło
głowę, popatrzyli na siebie.
Josef zrobił to samo. Policjant

przy wejściu wstał.

O ósmej Josef nie wrócił
jeszcze w aleję Racheli. Nie
wrócił też w nocy ani nazajutrz
rano. Oszalała z niepokoju Sara
pobiegła do Biura do spraw
Cudzoziemców. Policjant zajrzał
do rejestru.

- Primula, Josef... Primula,
Josef... O, jest! Osobnik ten
rzeczywiście został wezwany
przez nasz wydział. Stawił się
wczoraj o dziewiątej. Wyszedł z
tego biura o siedemnastej
piętnaście.

- Ale dokąd poszedł? Co
zrobił? On nie wrócił do domu,
proszę pana.

- Nic nie mogę pani
powiedzieć. Pani jest jego żoną?
Ma pani książeczkę rodzinną?
Możemy udzielać informacji tylko
współmałżonkom i krewnym. Wobec
tego musi się pani zwrócić do
innego biura. Może pani próbować
w dyrekcji Wydziału do spraw
Cudzoziemców. Na czwartym
piętrze, dokładnie nad nami,
pokój 323. Ale... nie wydaje mi
się, żeby miała pani duże
szanse.

W Wydziale do spraw
Cudzoziemców powtórzył się ten
sam scenariusz.

- Pani nie jest ani matką, ani
żoną. Nie możemy pani nic
powiedzieć.

Sara przez cały dzień biegała
od jednego urzędu do drugiego,
od komisariatu do komisariatu,
do komisariatu IV dzielnicy, na
wszelki wypadek, a potem XVIII,
bo do niej należała aleja
Racheli. Za radą Brienne.a udała
się ponownie do Prefektury
Policji i zażądała widzenia z
prefektem. Jakiś gryzipiórek
podszeptał jej, żeby
skontaktowała się z Wydziałem
Poszukiwań na prośbę rodziny,

przy bulwarze de Gesvres. Tam znowu wysunięto argument, że nie jest ani matką, ani małżonką zaginionego.

Nazajutrz Sarze przyszło do głowy, żeby zwrócić się do francuskiego Czerwonego Krzyża, przy ulicy de Berri. Przyjęła ją tam pełna współczucia opiekunka społeczna.

- Nie jesteśmy upoważnieni do podejmowania systematycznych poszukiwań. Ale Czerwony Krzyż jest obecny w szpitalach, w obozach dla internowanych, w więzieniach. Proszę mi zostawić swój adres... Jeśli się czegoś dowiemy, zawiadomimy panią. Ale dlaczego nie czyni pani starań u władz niemieckich?

Sara uzbroiła się w całą swoją odwagę i udała się ostatecznie do Komendantury, na rogu alei de l'opéra i ulicy du

Quatre_septembre. Odsyłano ją z pokoju do pokoju. W każdym z nich wisiała flaga ze swastyką i portret Hitlera z hasłem:

"Führer befehl! Wir folgen dir!" (Wodzu rozkazuj! Pójdziemy za tobą!) Przyjął ją wreszcie jakiś oberleutnant, na pozór wyrozumiały, ale bardziej zainteresowany jej urodą niż łzami. Poprosił, żeby przyszła na drugi dzień, obiecując, że zasięgnie informacji. Kiedy znowu zjawiła się przed nim, powiedział na początek:

- Niczego się nie dowiedziałem o tym panu Primula! Musi się pani zwrócić do władz francuskich. Ale jest pewna nadzieja... Poleciałem wszcząć poszukiwania... I...

Na koniec zaprosił dziewczynę na kolację do "Maxima", na ten sam wieczór.

- Może będę już mógł coś pani powiedzieć! Ten pan Josef

Primula, to pani przyjaciel,
nicht wahr? (Nieprawdaż?) A
więc, musi pani przyjść... jeśli
naprawdę chce się pani
dowiedzieć, co się z nim
stało...

Mówiąc to patrzył na Sarę
zachwyconym wzrokiem. Zdając
sobie sprawę z podstępu, niczego
mu nie obiecała i wróciła do
domu, zmęczona i z uczuciem
obrzydzenia.

Przez wiele, wiele dni, z
niezlomną odwagą i niezachwianym
uporem, podejmowała rozliczne
starania, chodziła od biura do
biura, rozpytywała i
wielokrotnie nękała urzędników i
policjantów posługując się całym
dostępnym jej arsenalem, a więc
także urokiem osobistym,
wdziękiem, pożądaniem, jakie
wzbudzała w mężczyznach. Była
nawet w Ministerstwie Spraw
Wewnętrznych przy placu Beauvau,
w ambasadzie niemieckiej przy
ulicy de Lille, w Ministerstwie
Spraw Zagranicznych na bulwarze
d'orsay, w ambasadach,
poselstwach i konsulatach, które
w okupowanej Francji wzięły w
swoje ręce interesy
Czechosłowacji. Wszędzie
załatwiano ją odmownie, mniej
lub bardziej uprzejmie, czasem
tylko dzięki własnym naleganiom
udawało się jej usłyszeć słowa
nadziei, ale sama rozumiała,
jakie są kruche:

- Jeśli tylko czegoś się
dowiemy, nie omieszkamy panią
zawiadomić...

Napisała też dziesiątki
listów, w odpowiedzi otrzymując
co najwyżej mgliste obietnice z
podpisem jakiegoś obojętnego
urzędnika.

Po miesiącu tych
wyczerpujących zabiegów,
zmęczona, zrozpaczona,

powiadomiła Brienne.a, że
wyjeżdża szukać schronienia u
matki i opuszcza pokój, w
którym była taka szczęśliwa.
Następnego dnia przeniosła się
do Lagny. Sylvia, Bruno,
Lucienne i nawet Robert przyjęli
ją ze łzami. Wróciła do swojego
pokoju, a Sylvia przeniosła się
do pokoju Bruna. Sara zamknęła
się u siebie, chcąc się
swobodnie wypłakać, myśleć o
Josefie i zadrećcać się
pytaniami. Schodziła na dół
tylko w porze posiłków, a i tak
matka musiała wzywać ją wiele
razy. Przez okna wypatrywała
listonosza. Ale nie było do niej
żadnego listu, chyba że, od
czasu do czasu, lakoniczna
kartka od Brienne.a, który
pisał, że nie ma jej nic do
napisania... że nadal brak jest
wieści o Josefie... ale że o
niej myśli, że powinna ufać.
Ona jednak straciła ufność.
- To już koniec! Nie warto już
starać się na próżno. Już nigdy
więcej nie zobaczę Josefa. Już
nigdy więcej nie poczuję
pięszoty jego rąk, ciężaru
jego ciała na moim ciele...
Wszystko skończone... Przeżyłam
zaledwie... jeden rok
szczęścia... Wszystko
skończone...
I mijały tygodnie, miesiące...
Dwudziestego drugiego
października Pierre Laval
spotkał się z Hitlerem w
Berchtesgaden. Dwudziestego
czwartego zaś, w Montoire, miało
miejsce spotkanie P~etaina z
F~uhrerem. Francja wkraczała w
ten sposób na drogę kolaboracji.
W Paryżu zaczęły ukazywać się
nowe gazety, bardziej jeszcze
bezczelne niż rząd Vichy w
deklarowaniu swojej orientacji:
"L.oeuvre" Marcela D~eata, "Le

Petit Parisien", "Les Nouveaux Temps" Jeana Luchaire.a.
Równocześnie, z
błogosławieństwem - i dzięki
subsydium - Otto Abetza,
ambasadora Rzeszy w Paryżu,
zaczęły powstawać przychylnie
Niemcom partie i ugrupowania:
Ligue Française pod
kierownictwem Pierre.a
Costantini, Front Franc pod
kierownictwem Jeana Boissela,
Francisme pod kierownictwem
Marcela Bucarda, ugrupowanie
Collaboration, Mouvement
Social_r~evolutionnaire pod
kierownictwem Marcela
Deloncle.a, Rassemblement
National_populaire pod
kierownictwem Marcela D~eata,
Partii National_socialiste pod
kierownictwem Christiana
Message.a, Partii Populaire
Fran~cais pod kierownictwem
Jacques.a Doriota. Doszło do
tego, że 13 grudnia, chcąc
powstrzymać nadgorliwość
zwolenników polityki
kolaboracji, P~etain odwołał
Lavala i na jego miejsce na
szefa rządu powołał najpierw
Pierre.a_etienne.a Flandina,
ocalałego polityka III
Republiki, a następnie admirała
Fran~cois Darlana.
Życie Francuzów stawało się
coraz trudniejsze. Zaczął się
wprawdzie organizować ruch
oporu, zwłaszcza po stronie
komunistów - Bruno, Lucienne i
ich przyjaciele byli tego dobrym
przykładem - ale równocześnie
kraj znalazł się w szponach
niemieckiego aparatu
policyjnego: Gestapo,
Feldgendarmerie,
Geheimfeldpolizei,
Sicherheitsdienst i
Sicherheitspolizei ściagały
roznosicieli ulotek i drukarzy

nielegalnych gazet, a pomagała im w tym służalczo policja, podlegająca rządowi Vichy. Reglamentacja stawała się coraz surowsza: kartki żywnościowe dla osób dorosłych nie pracujących fizycznie uprawniały zaledwie do zakupu dwustu pięćdziesięciu gramów chleba i piętnastu gramów masła dziennie, stu osiemdziesięciu gramów mięsa i czterdziestu gramów sera tygodniowo, pół kilograma cukru, trzech litrów wina, dwustu gramów ryżu, dwustu pięćdziesięciu gramów makaronu miesięcznie.

"Niemcy chcą nas zagłodzić!", pisał Bruno w jednej z kolportowanych wówczas ulotek. "Narzucone nam przez nich racje żywnościowe odpowiadają zaledwie 1700 kaloriom dziennie. Lekarze twierdzą kategorycznie, że takie racjonowanie spowoduje rozwój gruźlicy i wpłynie na obniżenie się średniej długości życia Francuzów!"

Przyznane racje żywnościowe istniały i tak wyłącznie w teorii: sklepy były często puste, a wystawy zapełniały tylko opakowania albo atrapy towarów. Trzeba więc było uciekać się do czarnego rynku, gdzie można było znaleźć prawie wszystko, czego dusza zapagnie, ale po cenach spekulacyjnych.

Obiad w restauracji czarnorynkowej, bez kartek złożony z antrykotu z frytkami kosztował pięćset franków, podczas gdy urzędnik czy robotnik zarabiał przeciętnie nie więcej niż 2000 franków miesięcznie.

Pomysłowi i przedsiębiorczy Francuzi starali się jakoś zaradzić brakom żywności i innych produktów: niektórzy

spryciarze wytwarzali mydło z odpadków zwierzęcego tłuszczu i sody kaustycznej, inni robili zginające się drewniaki i sami zelowali sobie buty. Sylvia, żeby móc wrzucić coś lepszego do wspólnego garnka i powiększyć co nieco swoje dochody, przyłączyła się do jednej z sąsiadek, która zajęła miejsce przepadłej bez wieści M~elanie Minoux. Od czasu do czasu, z walizkami w rękę, wyprawiały się obie do Troyes, skąd przywoziły wybrakowane wyroby tekstylne trzeciego gatunku. Naprawiały je, jak umiały, i sprzedawały na ladzie wynajętej na targu w Lagny. Bruno natomiast znalazł sposób na zwiększenie przydziałów chleba, do których miała prawo rodzina. Za pomocą nożyka do szczepienia ospy cierpliwie wskrobywał z każdej kartki oznaczoną tam ilość, a za pomocą farby i czcionek wypożyczonych z drukarni du Croissant wpisywał w to samo miejsce większą ilość. W ten sposób odcinki stugramowe zmieniały się w odcinki ćwierćkilogramowe, a piekarze niczego nie spostrzegli. Zima z 1940 na 1941 rok była straszna. W niektóre dni grudniowe słupek rtęci spadał poniżej -23 stopni. Na targu, pod zamarzniętą studnią, Sylvia umierała z zimna, choć ubierała się w kilka swetrów i przekładała je jeszcze warstwami gazet. Co pół godziny wpadała do kawiarni na placu, wypijała filiżankę wrzącego bulionu z kostki i wracała na targ, a wtedy z kolei jej przyjaciółka pędziła do baru. W willi "Promienny Uśmiech" panowało syberyjskie zimno. Jedyne pomieszczeniem, które udawało się trochę ogrzać, była kuchnia,

bo oficjalny przydział uprawniał do jednego worka węgla miesięcznie, trzeba więc było palić drewnem kupowanym po cenach złota. Opatulona po same uszy Sara przesiadywała tam całymi dniami. Wieczorem, przed pójściem spać, a w pokoju było zimno jak w lodowni, długo ogrzewała łóżko fajerką. Od czasu do czasu jeździła do Paryża, do Brienne.a, a tam bez końca rozmawiała o Josefie, o którym nikt nie miał żadnych wiadomości. A przecież sama zrobiła wszystko, żeby się czegoś dowiedzieć. Kiedy jej starania, podejmowane w Paryżu, zakończyły się niepowodzeniem, napisała nawet do rodziców ukochanego mieszkających w Sudetach. Nie zdziwiło jej specjalnie, że nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Miała jedno zdjęcie, na którym widnieli oboje z Josefem, zrobione podczas wakacji w 1939 roku w schronisku młodzieżowym w Villeneuve_la_dondagre. Oboje byli w szortach, objęci, uśmiechnięci. Miała też swoje zdjęcie, zrobione przez Josefa. Przedstawiało ją leżącą na polu pszenicy, ze źdźbłem słomy w ustach; chwilę przedtem kochali się i jej oczy przepelniało szczęście. Umieściła te zdjęcia na kominku w swoim pokoju, obok zdjęć ojca. Wpatrywała się w nie co dzień z rozdartym sercem, walcząc jednak z pokusą poddania się rozpacz.

Robert oznajmił pewnego wieczoru, że skończył swoją powieść. Położył rękopis na rodzinnym stole, pokazał ostatnią stronę oznaczoną numerem 413, noszącą u dołu słowo "koniec" wypisane dużymi literami. Sam przepisał cały

tekst na maszynie Sary, w trzech egzemplarzach.

- Co masz zamiar zrobić z tą powieścią? - zapytała Sara.

- Zaniósę ją Andr~e Gide.owi. Spotkałem go kiedyś w redakcji "Marianne". Powie mi, jakiego wybrać wydawcę.

I rzeczywiście, nazajutrz udał się do domu sławnego pisarza, na ulicę Vaneau"1"bis. "Pocałował" kłamkę, bo Gide wyjechał do Cabris koło Grasse, gdzie spędzał zimę w towarzystwie "Małej Damy", Marii Van Rysselberghe. Robert dowiedział się także, że "La Nouvelle Revue fran~caise" wznowiła działalność pod dykcją Pierre.a Drieu La Rochelle. Gide był jednym z założycieli tego wydawnictwa i Robert nie wiedział, że autor "Immoralisty" potępił je za wznowienie działalności pod okiem i z błogosławieństwem Niemców. Zdobył się na odwagę i poszedł pod wskazany adres. Wprowadzono go do ciasnego biura z oknem wychodzącym na ogród. Podał mu rękę wysoki, smukły mężczyzna ubrany z wyrafinowaną elegancją, o krótko przystrzyżonych włosach, ubrany w płaszcz z wielbłądziej wełny, bo zimno nie oszczędzało także biur periodyku: był to Drieu. Robert podał mu swój rękopis. W tydzień później otrzymał list.

"Pańska powieść jest znakomita. Dawno już nie czytałem czegoś równie dobrego, pięknego i mocnego. Proszę się ze mną pilnie skontaktować".

Pewnego styczniowego ranka 1941 roku, razem z dwudziestoma innymi kobietami, Sylvia stała w kolejce przed sklepem nabiałowym na ulicy Saint_denis czekając na zapowiedzianą dostawę chudego

sera bez kartek. Mróz trochę
zelżał, ale całą poprzednią noc
padał śnieg i jezdnia była
śliska. Od strony ulicy du
Chemin_de_fer wyjechała
niemiecka ciężarówka pełna
żołnierzy i sprzętu. Na
zakręcie, przez nieudolność
kierowcy, wpadła w poślizg na
stwardniałym na mrozie śniegu,
wjechała na chodnik i skosiła
część czekających kobiet. Pośród
krzyków przerażenia i bólu
żołnierze i przechodnie
podnieśli pięć ciężko rannych
kobiet. Sylvia, której koło
pojazdu zmiądzżyło głowę,
zginęła na miejscu.

III

Jednym z najbardziej bolesnych
momentów po tragicznej śmierci
Sylvii była obowiązkowa
identyfikacja jej biednego,
straszliwie okaleczonego ciała w
kostnicy szpitala w Lagny. Bruno
i Robert w ciemnych garniturach
i płaszczach, Sara w żałobnym
welonie, podtrzymywana przez
Lucienne, dokonali jej w asyście
lekarza sądowego, komisarza
policji, prokuratora z Meaux i
przedstawiciela merostwa. Nawet
szef niemieckiej Komendantury
oddelegował swojego oficera,
bowiem odpowiedzialność za
wypadek ponosił Wehrmacht.
Bruno i Robert proponowali, że
sami dopełnią tej żałobnej
formalności, a Sara zostanie w
domu z Lucienne. Ale ona
stanowczo odrzuciła ich
propozycję.

- Muszę zobaczyć biedną mamę
ten ostatni raz, nic mnie przed
tym nie powstrzyma - powiedziała
tonąc we łzach.

Z czegoś w rodzaju metalowej
szafy pracownik kostnicy
wyciągnął szufladę ukazując
ludzki kształt okryty

prześcieradłem, potem delikatnie
podniósł białą zasłonę. Sara
wydała jęk: zmiażdżona kołem
ciężarówki głowa Sylvii była
spowita w bandażę wypchane watą.
Wystawał z nich tylko nos, a
raczej to, co z niego zostało.
Broda była widoczna, ale
skrzywiona, jakby przesunięta w
stosunku do niewidocznej reszty
twarzy.

Lekarz sądowy cichym głosem, w
ogłędnych słowach stwierdził, że
identyfikacja twarzy jest
praktycznie niemożliwa i że
trzeba dokonać oględzin dłoni
ofiary. Twarz zmarłego, nawet
nienaruszona, jest tylko
odległym obrazem tej samej, lecz
żywej twarzy: znieruchomiła,
zimna pozbawiona ruchliwości
rysów, blasku oczu, wyraża tylko
strach przed agonią albo też
podniosły spokój wieczności.
Dłonie są bardziej wymowne,
wierniejsze zgasłemu życiu.
Dłonie Sylvii były długie,
trochę wychudzone, o okrągłych
paznokciach. Tombakowa obrączka
znajdowała się na swoim miejscu
na serdecznym palcu lewej ręki.
Te nieruchome dłonie znaczyły
nabrzmiałe, niebieskie żyły, jak
gdyby nadal krążyła w nich krew.
Gdzieniegdzie drobne skaleczenia
lub ukłucia, nieznaczące
zmarszczenie lub odbarwienie
skóry świadczyły o tym, że te
dłonie wiele pracowały, często
używały nożyczek i igły, dużo
sprzątały, zmywały i prały.
Bruno, Robert, Sara i Lucienne
całowali wśród szlochów te
biedne, zimne szczątki życia
wypełnionego trudem i miłością.
Przyjęli kondolencje, także od
niemieckiego oficera, który
skłonił się sztywno przed nimi.
Sara stała wyprostowana i
sztywna. Nie mogła już nawet

szlochać; pod czarnym welonem
łzy płynęły jej z oczu bez
przerwy, zalewając twarz.
Bruno, od tej chwili głowa
rodziny, otrzymał od
przedstawiciela zakładu
pogrzebowego wskazówki w sprawie
uroczystości żałobnych.

- Jeśli pan, a także pański
brat i siostra, wyrazicie zgodę,
pogrzeb odbędzie się jutro na
cmentarzu w Lagny. Zadbalem o
to, aby pańska matka spoczęła
niedaleko od grobu swego męża.
To ułatwi sprawę, jeśli kiedyś
zechce ich pan połączyć we
wspólnym grobowcu.

Zaraz po złożeniu ciała do
trumny pracownik kostnicy wydał
rodzinie rzeczy zmarłej: zdjętą
w ostatniej chwili obrączkę,
koszyk na zakupy z poplamionymi
krwią kartkami żywnościowymi i
portmonetkę.

Po powrocie do domu - któż by
go jeszcze chciał nazywać willą
"Promienny Uśmiech" - Sara znowu
schroniła się w swoim pokoju.

Wśród szlochów i jęku położyła
się na łóżku gryząc poduszkę,
żeby nie wyć z bólu i rozpacz.

Już trzeci raz spadał na nią
okrutny los odbierając jej
najdroższe istoty. Dwoje
zmarłych, jeden zaginiony, a
wszystko to w ciągu niespełna
pięciu lat. Ojciec i matka
zginęli w podobny sposób, od ran
zadanych w głowę. Co się zaś
tyczy Josefa, skąd można było
wiedzieć, czy i on nie umarł? W
każdym razie Sara odczuwała to
tak, jak gdyby nie żył, bo
nieobecność jest podstępna,
niebezpieczną postacią śmierci.
Śmierci, która nie ma odwagi
wystąpić pod swoim imieniem.

Wstała, poszperała w
szufladzie, odnalazła zdjęcie
matki zrobione w dniu

inauguracji willi. Sylvia
siedziała w ogrodzie na trawie,
trzymała na kolanach córkę. Na
jej twarzy malowało się
szczęście. Teraz ta droga twarz,
okaleczona, zastygła na zawsze,
została unicestwiona. Sara
utraciła wszystko. Bruno miał
żonę, pracę i ruch oporu; Robert
miał swoją książkę. A Sara,
pozbawiona ojca, matki, Josefa,
nie miała już nic. Czuli się,
jak gdyby była sama na świecie,
bez żadnego oparcia, bez pomocy,
bez czegokolwiek, dla czego
warto byłoby żyć dalej. Ustawiła
zdjęcie Sylvii na kominku, obok
zdjęć ojca i Josefa. Ołtarzyk
upamiętniający minione szczęście
i tych, którzy odeszli,
rozrastał się, zajmował teraz
całą szerokość wyhaftowanej
przez Sylvię serwety
pokrywającej zimny marmur...
zimny jak ręce, które żarliwie
całowała w kostnicy. Bliska
utruty zmysłów, Sara znowu
położyła się na łóżku, długo
płakała. Wreszcie, wyczerpana i
zbołała, zasnęła na krótko, ale
dręczyły ją koszmarne sny.
Nieco później obudziła ją
Lucienne. Siedząc na brzegu
łóżka, żona Bruna głaskała
szwagierkę łagodnie po plecach i
wzywała ją cichutko.
- Zostaw mnie! Zostaw mnie! -
zawołała przebudzona nagle Sara.
- Saro! Przyszłam po ciebie...
Przygotowałam coś do jedzenia...
Musisz coś zjeść... Chodź, Saro,
błagam cię... Nie możesz tak
tutaj tkwić i bez końca płakać.
Nawet mama by tego nie
pochwaliła. Chodź, kochanie...
Sara odwróciła się, zmierzyła
intruzkę oczami ciskającymi
błyskawice.
- Nie! Zostaw mnie w spokoju!
Tak cierpię, taka jestem

nieszczęśliwa! Ty nie możesz odczuwać tego samego! To nie była twoja matka!

- Owszem, Saro! Sylvia była też trochę i moją matką. W każdym razie, kochałam ją jak matkę. A poza tym, pamiętaj, że to, co ty odczuwasz w tej chwili, ja również przeżyłam. Wiesz, że straciłam ojca kilka lat temu...

Sara dała się przekonać, zeszła po schodach podtrzymywana przez Lucienne. Braciom czekającym w jadalni wydała się widmem: ze zmienioną, zalaną łzami twarzą, oczami jakby wyblakłymi od płaczu, przygarbiona, postarzała. Bruno i Robert siedzieli już przy stole. Wstali, pocałowali ją z płaczem, zaprowadzili na jej miejsce, jakby była niewidoma albo kaleka. Usiadła sztywno, jak automat, machinalnie jadła i piła to, co podawała jej Lucienne. Żona Bruna napaliła w piecu. W jadalni było ciepło, co Sarze dodało trochę otuchy.

- Co my... zrobimy... bez mamy? - zapytała nagle ledwie słyszalnym głosem.

- Nie wiem, Saro! -

odpowiedział Bruno. - Ten cios spadł na nas tak nagle, tak nieoczekiwanie, że nie zdążyłem o niczym pomyśleć. Na razie trzeba zająć się pogrzebem, to jutro rano. Potem trzeba będzie pomyśleć o kwestiach materialnych. Niestety!

Wszystkim zajmowała się mama i nie bardzo wiem, co trzeba zrobić...

Sara przypomniała sobie rozmowę z matką, kiedy wyprowadzała się z domu i zamieszkała w Paryżu z Josefem.

- Dwa lata temu mama powiedziała mi, że wszystkie

papiery znajdują się w sejfie umieszczonym w szafie z lustrem w dużym pokoju, że wszystkim zajmuje się i będzie się zajmował nadal, bez względu na to, co się stanie, notariusz z Saint_mand~e, którego nazwiska nie pamiętam, ale jego adres figuruje na tych papierach.

Powiedziała mi też, że w razie potrzeby można się zwrócić do pana Raymonda Meyera...

Wskazała wzrokiem portret Sary Meyer namalowany przez van Dongena, wiszący na ścianie w jadalni.

- Wiesz? - podjęła. - To syn mojej matki chrzestnej.

- Dobrze - powiedział Bruno. -

Zabiorę się do tego po pogrzebie, jak będzie można najszybciej. Ale wiesz, Saro, chciałbym ci powiedzieć coś innego. Głupio mi, że mówię ci o tym teraz, ale... Wiesz, że to mama prowadziła dom. Lucienne byłaby oczywiście gotowa... nie tyle zastąpić ją... co przejąć jej obowiązki. Tylko, że ona pracuje. To by nie było rozsądne, gdyby zrezygnowała z pracy. No i...

Sara uśmiechnęła się blado.

- Zgoda. Postaram się o to, żeby nikt z was nie ucierpiał zbyt wiele z powodu... odejścia mamy. Nie wydaje mi się, żebym była specjalnie uzdolniona do prac domowych, ale to nic, będę się starała. Ostatecznie, będę miała jakiś cel...

Lucienne ucałowała szwagierkę.

- To bardzo miło, Saro! A ja ci obiecuję, że nadal będę robiła to, co robiłam razem z twoją mamą... Będę ci pomagała w domu, w ogrodzie i przy różnych naprawach wieczorem po pracy, w niedziele i poniedziałki...

Nazajutrz, po pogrzebie

Sylvii, na który przyszyły tłumy ludzi, Sara poszła do miasta zrobić zakupy. Wzięła koszyk matki i jej portmonetkę. Zabrała też kartki żywnościowe, z których najpierw zmyła plamy krwi.

Na placu de la Fontaine, gdzie jeszcze kilka dni temu Sylvia sprzedawała na targu wyroby tekstylne, Sara minęła księdza Ricolais, proboszcza parafii Notre_dame_des_ardents.

Wszyscy w Lagny znali i szanowali tego księdza o siwych włosach, kombatanta, którego sutannę zdobił Krzyż Walecznych i Legia Honorowa. Wszyscy go lubili za jego miłosierdzie, dobroć, gotowość niesienia pomocy. Duchowny popatrzył na Sarę, zatrzymał się, dogonił ją w trzech susach.

- Pani jest córką państwa Ritterów, prawda? Wiem, jakie nieszczęście panią spotkało... Mogę pani powiedzieć, że dzielam pani ból, że modliłem się za pani mamę... i za panią... i za wszystkich pani bliskich. Także za pani ojca, o którego równie tragicznej śmierci dowiedziałem się swego czasu.

- Dziękuję księdzu - powiedziała Sara ze łzami w oczach.

- Jak mi się zdaje, nie jesteście zbyt wierzący. Ale to nie ma znaczenia! To nie ma znaczenia, że nigdy nie przychodzicie do mojego kościoła. Pociecha od Boga jest dla wszystkich. Śmierć drogiej istoty to zawsze okrutny cios. Ale... i to jest jaskrawą prawdą! Śmierć nie oznacza końca! Życie zmienia tylko postać, ale nie zostaje zniszczone. Vita mutatur, non

tollitur... Cokolwiek myślałaby
pani dzisiaj, może pani...
powinna pani mieć nadzieję, że
pewnego dnia odnajdzie pani
swoich biednych zmarłych, z całą
ich miłością... w innym życiu.
Mój Boże, tak bym chciał, żeby
pani mogła mi uwierzyć!
Sara patrzyła na starego
księdza uważnie, wzruszona, ale
nie przekonana. Rozmowy
prowadzone z rodzicami i później
z Josefem wyrobiły w niej
przeświadczenie, że nadzieja
ludzi na to, że zobaczą kiedyś
znowu, w innym świecie, swoich
drogich zmarłych, choć tak
silna, jest tylko pewnego
rodzaju zwodniczą pychą. Ona zaś
czuła się pełna pokory, maleńka
i słaba wobec nie zgłębionych
tajemnic życia i śmierci. A
także całkiem osamotniona.
Ponieważ nie zareagowała,
ksiądz ciągnął dalej:
- W każdym razie otwieram
przed panią serce. I będę się
jeszcze za panią modlił za
chwilę. Jeśli będzie pani
potrzebowała pomocy, rady,
proszę do mnie przyjść bez
wahania. Jestem do dyspozycji
wszystkich moich parafian...
nawet nie praktykujących albo
pozostających z dala od religii,
z jakiegokolwiek powodu.
- Dziękuję księdzu! Powiem
braciom, że księdza spotkałam,
że ksiądz był taki dobry i
pocieszył mnie... próbował
pocieszyć...
Dodała jeszcze ze smutnym
uśmiechem:
- Niestety, to niemożliwe! Po
śmierci mamy jesteśmy kompletnie
rozbici... zropanieni... Mimo
to wdzięczna jestem księdzu za
te słowa!
Już miała odejść, kiedy ksiądz
ją zatrzymał ujawszy po ojcowsku

za rękę.

- Poczekaj, moje dziecko! -
powiedział po cichu. - Chciałbym
z panią porozmawiać trochę
dłużej... Och, proszę się nie
obawiać, nie zamierzam zanudzać
pani kojącymi słowami, ani...

Uśmiechnął się:

- Ani pogadankami dla bigotek.
Chciałbym po prostu porozmawiać
z panią o pewnym aktualnym
problemie, który w mniejszym lub
większym stopniu może dotyczyć
pani i jej braci. Czy
zechciałaby pani zrobić mi tę
uprzejmość i pójść ze mną na
plebanię? Moglibyśmy tam
porozmawiać spokojnie, z dala od
niedyskretnych uszu.

Ciekawa, jak zwykle, Sara
zgodziła się pójść z księdzem,
przeszła razem z nim przez plac
de la Fontaine, następnie przez
plac de la Mairie, do kościoła
Notre_dame_des_ardents i
plebanii mieszczącej się w
zwyczajnym domku z szarego
kamienia przypominającym jej
wille matki chrzestnej w
Saint_mand~e. Proboszcz
przyjmował swoich parafian w
pokoju przypominającym biuro,
założonym książkami i papierami,
oświetlonym dwoma oknami
wychodzącymi na ulicę. Pomędzy
oknami wisiał duży krzyż z
czarnego drewna, z figurą
Chrystusa z kości słoniowej, a
pod nim stały dwa fotele.
Duchowny wskazał Sarze jeden z
nich, a sam usiadł na drugim.
Stara służąca z nieruchomą
twarzą postawiła na marmurowym
stoliku kawę z palonego
jęczmienia z dwiema pastylkami
sacharyny na każdym spodeczku,
bo proboszczowi z Lagny nie
powodziło się wcale lepiej niż
jego owieczkom.

- Moje dziecko, chciałbym pani

zadać bardzo niedyskretne pytanie. Jeśli okaże się ono dla pani w czymkolwiek krępujące, proszę nie odpowiadać. Ale proszę mieć na uwadze, że dyktuje mi je troska o panią... a także, w tych trudnych okolicznościach, w jakich znalazł się nasz biedny kraj, o niektórych naszych braci pozostających z dala od Chrystusa, a których obecnie oskarża się o rozliczne złe uczynki. Pani nazywa się Sara, prawda? Sara Ritter. Pochodzenie tego imienia i brzmienie nazwiska nasuwają mi przypuszczenie, że... być może... jest pani Żydówką. Czy się mylę?

Nie po raz pierwszy imię i nazwisko Sary wywoływało podobne pytanie. Już Maria Turmo w liceum, Brienne na początku ich znajomości, Josef Primula w Villeneuve_la_dondagre pytali ją o to.

Proboszcz powtórzył:

- Czy się mylę?
- Myli się ksiądz! -

odpowiedziała Sara stanowczo. Wyjaśniła mu powody, dla których nadano jej imię Sara. Powiedziała o alzackim pochodzeniu ojca, co tłumaczyłoby brzmienie jej nazwiska rodowego. Dodała, że rodzice nigdy nie wypowiedzieli ani słowa, nie zrobili najmniejszego gestu, nie mieli zwyczajów ani znajomych - oprócz Sary i Raymonda Meyera, ale to była ich chlebodawczyni i jej syn - niczego, co mogłoby podsunąć jej myśl, że są z pochodzenia Żydami. Ksiądz jednak nie ustępował:

- Czy pani była ochrzczona, moje dziecko? Czy pani i jej bracia byliście u pierwszej

komunii?

- Nie wydaje mi się, żebym
była ochrzczona, proszę księdza.
Właściwie, nic o tym nie wiem!
Ale wiem, że nie uczęszczałam na
naukę religii i nie byłam u
pierwszej komunii. Pamiętam
nawet, że strasznie zazdrościłam
koleżankom pięknej sukienki z
białej koronki i książeczki do
nabożeństwa!

Odpowiadając na to pytanie
Sara okazała pewne
zniecierpliwienie. Ksiądz wziął
ją za rękę.

- Powiem pani, moje dziecko,
dlaczego zależało mi na tej
szczerzej rozmowie z panią...
Skoro Pan chciał, żebyśmy się
spotkali. Mówiłem przed chwilą o
trudnych okolicznościach, w
jakich znalazł się nasz biedny
kraj...

Wskazał wzrokiem grupę
żołnierzy niemieckich
przechodzących pod oknami
plebanii.

- Jest możliwe, niestety... a
nawet pewne... że Żydzi znajdują
się w niebezpieczeństwie... że
trudno będzie nawet posiadać
cokolwiek, co miałoby jakiś,
choćby odległy, związek z
judaizmem... a w tym imię lub
nazwisko. Pani pewnie, tak jak
ja, czyta gazety, prawda?
Sara rzeczywiście czytała
gazety, a przede wszystkim te,
które przynosił z drukarni
Bruno.

- Podobnie jak ja dostrzega
pani ten wybuch okrutnej
nienawiści! Kraj zalewa fala
szczególnie brutalnego
antysemityzmu... za który nie
ponoszą bynajmniej całkowitej
odpowiedzialności Niemcy obecni
na naszej ziemi. Niestety, rząd
Vichy przystąpił do ofensywy,
choć nikt go do tego nie

nakłaniał! Wie pani z pewnością,
że 27 sierpnia unieważniono
ustawę Marchandea zabraniającą
wszelkich ataków prasowych na
mniejszości rasowe, dlatego też
mogła się bezkarnie rozpanoszyć
w gazetach owa szalona
antyżydowska furia... a
oficjalna propaganda mogła
obciążyć Żydów
odpowiedzialnością za klęskę.
Ponadto, rząd korzysta z tych
wszystkich nowych rozporządzeń
prawnych: w sprawie
zweryfikowania naturalizacji,
ograniczenia dostępu do
stanowisk państwowych, zakazu
wykonywania zawodu lekarza i
adwokata, unieważnienia dekretu
Crémieux z 1870 roku
przyznającego obywatelstwo
francuskie Żydom algierskim. I
wreszcie, ogłoszony 18
października status Żydów:
prefekci policji będą teraz
mogli internować Żydów lub
zabronić im zmiany miejsca
pobytu. To oznacza zielone
światło dla aresztowań, łapanek,
grabieży...

Wstał, przeszedł się po
pokoju.

- Wiem, że fale antysemityzmu
były już wcześniej we Francji.
Mam na myśli tę, która podniosła
się podczas afery Dreyfusa... tę
z 1930 roku, z okresu kryzysu
gospodarczego, a potem związaną
z aferą Stavisky'ego. Ale
wówczas zagrożenie Żydów było
czysto teoretyczne. Dzisiaj
antysemityzm został
zinstytucjonalizowany i zagraża
bezpieczeństwu, a nawet życiu
Żydów. Oficjalna propaganda
określa ich jako nędzne,
parszywe kreatury winne
wszelkiego zła. I to marszałek
tak mówi albo mówią to za niego
inni! I wszyscy mu wierzą: jak

tu nie wierzyć zwycięzcy spod
Verdun, okrytemu chwałą
żołnierzowi, który złożył siebie
w ofierze Francji? Mieszczkańska
prawica nazbyt jest szczęśliwa,
że znalazła takie wygodne kozły
ofiarnie dla wyjaśnienia klęski,
która ją poraziła! A wynik tej
ohydnej propagandy jest taki, że
są dzisiaj ludzie otwarcie
domagający się zagłady
wszystkich Żydów. To wstrętne...
Sara trwała bez ruchu, bez
słowa, zasłuchana w słowa
starego księdza.

- Najgorsze jest to, że
dzisiaj nikt już nie jest
obojętny na ten problem. Wczoraj
jeszcze nie istniał, a dzisiaj
pojawił się, ponieważ mówi się o
nim bez przerwy. Robak toczy
owoc i nie pozbędziemy się go
tak łatwo...

Proboszcz usiadł naprzeciwko
Sary i znowu ujął ją za rękę.

- Moje dziecko! Jestem starym
księdzem, którego Pan w swoim
miłosierdziu obdarzył odrobiną
zdrowego rozsądku, miłości dla
ludzi w tym kraju... i
umiłowania prawdy. Są pewne
rzeczy, z którymi nie mogę się
pogodzić! Widzi pani, dzisiaj
czuję się bliższy niektórych
ludzi, uchodzących za
nieprzyjaciół wiary i religii,
ale bohatercko opierających się
ciemieźcy, niż tych nabożnisiów
i dewotek, których pełno w moim
kościółce. Bliższy zbuntowanym
niż władzy.

Wstał znowu.

- Niech więc pani posłucha, co
powiem, moje dziecko. W obecnej
sytuacji może się okazać
rozsądne, abyście, pani i jej
bracia, mieli w kieszeni
porządne świadectwa chrztu.
Proszę zapamiętać, co teraz
powiem pani na zakończenie:

stary proboszcz z Lagny podpisał już kilka takich świadectw tym z naszych braci... którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, jakie i wam może grozić. Proszę też pamiętać, że moje drzwi są zawsze otwarte, zarówno w dzień jak i w nocy, dla potrzebujących pomocy, rady, ratunku...

Do głębi wzruszona i zaniepokojona Sara podziękowała staremu księdzu i wyszła z plebanii. Zrobiła zakupy, kupiła chleb na kartki przerobione przez Bruna, czego nikt jeszcze dotąd nie zauważył, trochę mięsa, ryżu. Przy każdym zakupie sprzedawcy wycinali z kartek żywnościowych odpowiednie odcinki, trzeba było być bardzo oszczędnym i powściągliwym, żeby nie zjeść miesięcznych przydziałów w niespełna tydzień.

W każdym sklepie składano Sarze kondolencje, sklepikarze i ich klienci okazali jej współczucie, bo Lagny nie było na tyle dużym miastem, żeby się ludzie choć trochę nie znali, a straszny wypadek, którego Sylvia była główną ofiarą, wywołał wielkie wzburzenie. Sara dowiedziała się w ten sposób, jakim szacunkiem ludzie darzyli jej matkę i całą rodzinę.

Po powrocie do domu nastawiła mięso. Nie znalazła nic lepszego niż wołowe z kością. Zajrzała na chwilę do swojego pokoju, potem, jakby wbrew sobie, weszła do pokoju Bruna, w którym przez kilka miesięcy mieszkała matka.

Okiennice były zamknięte, ale blade światło wpadało przez szpary. Pokój był posprzątany, tylko nocna bielizna Sylvii leżała na nie zasłanym jeszcze łóżku. Wzruszona Sara szybko wyszła.

Kiedy nieco później zeszła do

kuchni, mięso już się ugotowało.
Wyłożyła je na półmisek i
schowała do spiżarni.
Postanowiła trochę posprzątać,
zamiotła jadalnię, odkurzyła
portret Sary Meyer, zmyła
podłogę w kuchni. Od czasu do
czasu słyszała odgłos kroków
dochodzących z góry albo
stukanie maszyny do pisania:
Robert przebywał w swoim pokoju.
Natomiast Bruno i Lucienne byli
w pracy.
Sara zaczęła rozmyślać nad
tym, co jej powiedział ksiądz
Ricolais.
"Cokolwiek by pani teraz
myślała, może pani, powinna pani
mieć nadzieję, że pewnego dnia
odnajdzie swoich biednych
zmarłych, z całą ich miłością, w
innym życiu!" - powiedział stary
ksiądz.
A jeśli to prawda? Odrzuciła
wiarę, choć mogłaby być dla niej
pocieszeniem, przynieść jej
uspokojenie. Spróbowwała stłumić
ból zastanawiając się nad drugim
poruszonym przez niego tematem.
"Pani imię i nazwisko nasuwają
mi przypuszczenie, że pani jest
Żydówką. Może się okazać
rozsądne, abyście, pani i jej
bracia, mieli w kieszeni
porządne świadectwa chrztu..."
Te słowa księdza poruszyły ją
do głębi.
Nagle zadała sobie pytanie:
czy można być Żydem nie wiedząc
o tym? Pomyślała, że tylko
ojciec i matka mogliby
odpowiedzieć na to pytanie. I
nagle uświadomiła sobie, że
istotnie ojciec miał na imię
Elie. Nasiliło to jeszcze,
zwiększyło jej niepewność,
równocześnie zaś narastały jej
obawy. Niebezpieczeństwo
istniało, zawisło nad nią i nad
jej braćmi, choć nie dostrzegą

wyraźnie jego zasięgu;
podejrzenie o pochodzenie
żydowskie było bowiem równie
niebezpieczne jak rzeczywista
przynależność do tej rasy.
Uświadomiwszy to sobie, Sara
utraciła całe poczucie
bezpieczeństwa. Już śmierć
rodziców i zniknięcie Josefa
były dla niej dotkliwym ciosem.
Trzeba było jeszcze, na dodatek,
tego niespodziewanego
zagrożenia! Zagrożenia mglistego
i podstępного, którego, być
może, uniknie, ale które też
może przybrać złowrogą postać
dopiero w ostatniej chwili. Ale
kiedy? I dlaczego? Tylko
dlatego, że nazywa się Sara i
jest córką Elie Rittersa? Czy też
dlatego, że naprawdę jest
Żydówką... choć nic o tym nie
wie na pewno?

Odczuła potrzebę porozmawiania
z kimś o tym wszystkim. Weszła
na górę, skierowała się do
pokoju Roberta. W ostatniej
chwili rozmyśliła się i zaszyła
we własnym pokoju. Po co
niepokoić brata w chwili, gdy
jego głównym zmartwieniem jest
wydanie książki? Po co szukać
wsparcia u niego, który jest tak
daleki od rzeczywistości, który
interesuje się tylko swoimi
literackimi rojeniami? Czym
mógłby ją uspokoić? Złapała się
na tym, że szepce:

- Zobaczymy!

Tak oto użyła tego samego
wyrażenia, co kiedyś Josef, w
obliczu bardziej realnego
przecież i bezpośredniego
niebezpieczeństwa.

W ciągu dni i tygodni, jakie
upłynęły od szoku doznanego na
skutek słów starego księdza,
czuła, jak powoli bierze górę
jej siła duchowa. Zahartowana
ciężkimi przeżyciami, poczuła,

jak dojrzewa w niej
postanowienie, żeby nie spędzić
życia na płaczu i lamentach,
żeby stawić czoło własnemu
losowi - nie wyłączając
zagrożenia, jakie uświadomił jej
ksiądz - nie uciekając się do
niczyjej pomocy. Postanowiła
podjąć naukę albo poszukać
pracy, a w każdym razie zdobyć
niezależność. Chciała też
wznowić starania o odszukanie
Josefa.

Wróci do Paryża, jak tylko
będzie to możliwe i, jeśli
Brienne się zgodzi, znowu
zamieszka w pokoju przy alei
Racheli, bo stamtąd będzie jej
najwygodniej działać. Wyjaśni
swoją decyzję braciom i
Lucienne. Powie im, że gdyby
została z nimi, w zaciszu
domowym, mogłaby poddać się
rozpaczy, stracić powoli całą
odwagę. Żeby się ratować,
musiała sama stawić czoło
wszystkim problemom, sama
przezwyciężyć wszystkie dramaty,
raz na zawsze przestać być małą,
kruchą, słabą Sarą, igraszką
zdarzeń, zależną od wszystkich i
od wszystkiego, od rodziny, od
przyjaciół, od wspomnień.
Powinna być silna i wolna. Miała
broń potrzebną do walki: nowo
rozbudzoną wolę, inteligencję,
młodość i urodę. Posłuży się
nią. I wreszcie wygra, pokona
przeciwności losu, nieszczęście,
smutek.

IV

"Śmierć ojca" widniała na
wystawach wszystkich księgarni.
Książkę o imponującej objętości
prawie czterystu stron firmował
jeden z najpoważniejszych
wydawców francuskich i nie miało
większego znaczenia, że papier
był szarawy, bo lepszego nie
sposób było wówczas zdobyć.

"Śmierć ojca" miała ten sam format, taki sam albo prawie taki sam układ graficzny, tę samą grubość co inne wydane w ciągu ostatnich lat książki, które odniosły sukces: "Czarna krew" Louis Guilloux, "Bitwy w górach" Jeana Giono, "Nadzieja" Andr~e Malraux, "Gilles" Drieu La Rochelle.a. Ale w tym wypadku było to coś więcej niż sukces - prawdziwy triumf!

- Nie zdrętwiała ci ręka? - zapytał Drieu Roberta kilka tygodni wcześniej, kiedy młody autor podpisywał egzemplarze przeznaczone dla prasy.

- Nie, napisałem już dwieście indywidualnych dedykacji, ale chętnie podpisałbym jeszcze drugie tyle, gdyby było trzeba! W każdym razie akcja okazała się skuteczna: prawie wszystkie gazety, zarówno w strefie okupowanej, jak i w strefie wolnej, napisały o książce, często w słowach bardziej niż pochwalnych; były to prawdziwe dytyramby. Jean Luchaire w "Les Nouveaux Temps", Robert de Beauplan w "L.illustration", Marcel D~eat w "L.oeuvre", Henri Jeanson w "Aujourd.hui" poświęcili jej obszernie artykuły redakcyjne. Charles Maurras, na pierwszej stronie "L.action fran~caise", podkreślał znaczenie książki zaledwie w dziesięciu linijkach, za to jakiej wagi! "Je suis partout" i "La Gerbe" zamieściły długie wywiady z młodym powieściopisarzem podpisane przez Roberta Brasillacha i Alphonse.a de Ch~ateaubrianta. Słyszano go ponadto na falach radia Paryż, gdzie przedstawiony został przez nieznanego dziennikarza nazwiskiem Jean H~erold_paquis; oglądano go w

salach kinowych na kronice filmowej, między reportażem z uroczystości wciągnięcia flagi na maszt przed rezydencją w Vichy, z udziałem marszałka Pétaina, a filmem dokumentalnym.

Krótko mówiąc, Robert był sławny. Zasłużoną sławą. Już podczas pierwszych rozmów, przed podpisaniem umowy wydawniczej, Drieu La Rochelle powiedział mu:

- Udało ci się cudownie wyrazić to, co może odczuwać i myśleć chłopak, który traci ojca na kilka lat przed wojną, a następnie jest narażony na inne doświadczenia, te same, których doznaje cały kraj. Upadek ducha narodowego, wojna, pierwsze niepowodzenia, exodus, klęska i okupacja niemiecka. Umarł ojciec, ale umarło też tyle innych rzeczy! Rozliczasz zacofanych pracodawców, odpowiedzialnych za napaść na ojca, ale też winnych tego, że w ogromnej większości nie zrozumieli żadnego z problemów społecznych! Rozliczasz przedwojennych polityków, ludzi odpowiedzialnych za klęskę, niekompetentnych dowódców wojskowych. A skoro już o tym mowa, twój opis odwrotu przyćmiewa nieomal Zolę. Tych sto stron tchnie pełną werwy drapieżnością; fanfaroni, którzy uciekli przed Niemcami, zostali raz na zawsze skompromitowani wobec historii! Krótko mówiąc, śmierć ojca jest dla ciebie pretekstem do przekreślenia całej niechlubnej przeszłości. Twoja książka jest powieścią, ale też czymś więcej. To manifest! Manifest młodych, którzy stwierdzają, że wszystko wokół nich legło w gruzach, że starzy bonzowie, stare zasady i

doktryny poniosły żalną
klęskę, i którzy chcą zacząć od
zera, aby odbudować kraj zgodnie
z prawidłami rewolucji
narodowej. Powiem ci, co myślę:
twoja książka jest arcydziełem!
Nie mówię już o stylu. Nie ma
mowy o długich, pokrętnych
zdaniach, jak u Gide, a czy
Prousta. Ty zmierzasz prosto do
celu! Twój styl ma tempo,
oddech... jest niezwykle trafny!
A język potoczny - nie wahasz
się użyć, kiedy trzeba,
żargonu...

Wobec tej lawiny pochwał -
najpierw ze strony Drieu, a
następnie w prasie - Robert
rozpływał się z dumy i radości.
Ale tymczasem zastanawiał się,
czy na to wszystko zasłużył tak,
jak utrzymywano, czy
rzeczywiście kierowały nim
wszystkie te intencje, jakie mu
przypisywano. Nie był tego
całkiem pewien. Na przykład,
pisząc o właścicielach fabryk, w
zasadzie zamierzał zemścić się
tylko na trzech panach Ravaux,
nie okrywając hańbą wszystkich
pracodawców: to Drieu uogólniał.
Podobnie, opowiadając o exodusie
przeżytym razem z rodziną, pisał
jak reporter, jak Hugo w
"Rzeczach widzianych": opisał
to, co rzeczywiście widział,
łącznie z opętańczą ucieczką
niektórych oficerów. Na koniec
wcale nie był pewien, czy
rzeczywiście chciał zerwać z
przeszłością, żeby udzielić
poparcia rozpoczynającej się
rewolucji narodowej. Jeśli
naprawdę sporządził bilans tych
strat, to dlatego, że te straty
poniesiono; sam widział je i
policzył. Co się zaś tyczy
rewolucji narodowej pod egidą
P~etaina, wydawała mu się zbyt
głupia, a nawet niebezpieczna, a

durnie śpiewający "Oto jesteśmy,
Marszałku!" raczej go śmieszyli.
W sumie czuł się trochę
zażenowany przesadną
interpretacją swojej powieści i
sposobem, w jaki go pozyskiwano.
W ciszy swojego pokoju chciał
opisać swoim własnym stylem,
jaki udało mu się wreszcie
wypracować, dramat swojej epoki
biorąc za motyw przewodni śmierć
ojca. Z całym rozmachem
właściwym swojemu wiekowi
przelewał na papier, bez żadnych
zahamowań, swoje marzenia,
nienawiści i rozczarowania... i
oto chciano uczynić z niego
uprzywilejowanego piewę Nowego
Ładu! Nie bardzo wiedział, jak
wybrnąć z tej sytuacji.
Zwłaszcza że miała ona też swoje
dobre strony.

- Twoja książka będzie
sprzedawana po sześć i pół
franka - powiedział mu Drieu La
Rochelle. - Masz prawo do
dziesięciu procent, jak wszyscy
autorzy. Powieść zostanie wydana
w nakładzie 10000 egzemplarzy...
Sam oblicz, ile zarobisz.

Robert nie miał zdolności do
matematyki, ale mimo to
sporządził rachunek: należało mu
się 65 centymów od każdego
sprzedanego egzemplarza; 65
centymów pomnożone przez 10000
dawało 6500 franków. Czyli około
trzech miesięcznych pensji
robotnika, a trudził się ponad
rok nad rękopisem. Choć taki
obojętny na sprawy materialne,
trochę się jednak skrzywił.

- To żadne Eldorado!

- Poczekaj! Wszystko wskazuje
na to, że nie poprzestaniemy na
tych pierwszych 10000
egzemplarzy. Zobaczysz, że się
rozmnożą. Drieu nie mylił się; w
ciągu kilku miesięcy sprzedano
ponad 100000 egzemplarzy

"Śmierci ojca". Robert był bogaty. Po raz pierwszy w życiu miał kieszenie wypchane pieniędzmi, on, który do tej pory żył wyłącznie z oszczędnej szczodrości matki. Mógł sobie pozwolić na kupowanie żywności na czarnym rynku, pomagać siostrze i bratu. Mógłby też, jak niektórzy ówcześni nowobogacy, kupować sobie garnitury z czystego angielskiego tweedu i buty z prawdziwej skóry na potrójnej podeszwie. Ale jako że nigdy nie troszczył się o wygląd zewnętrzny, zachował swój stary garnitur z granatowej serży, kupiony niegdyś u Henri Esdersa, mimo wymówek, jakie mu na ten temat robił Drieu - ten był zawsze ubrany jak spod igły, mógł uchodzić za wzór dandysa. Robert stał się nie tylko zamożny, ale i sławny. Nie było tygodnia, żeby jakaś gazeta nie poprosiła go o artykuł albo wywiad, żeby nie zwrócono się do niego z prośbą o wygłoszenie odczytu, nie zaproszono na jakieś zebranie polityczne, kolację w towarzystwie, premierę teatralną. W ten sposób stopniowo doszło do tego, że pisał dla "Je suis partout", "Les Nouveaux Temps" i "La Gerbe", udzielał wywiadów dziennikarzom z radia Paryż, wygłaszał odczyty dla członków grupy Collaboration, bywał na kolacjach u Otto Abetza, na premierach sztuk Claudela, Anouilha, Guitry, Cocteau i Sartre'a, pośród zasiadających na parterze oficerów niemieckich i burżuazyjnych zwolenników kolaboracji. Te pisane czy mówione publiczne wystąpienia, te towarzyskie spotkania krępowały go, męczyły.

Zachowywał się podczas nich z rezerwą, był nawet ponury, niekiedy zgryźliwy. A jednak tam chodził, co nie wszystkim się podobało.

- Robercie, ty całkiem zbzikowałeś - powiedział mu kiedyś Bruno. - Któregoś dnia, a im wcześniej tym lepiej, musimy porozmawiać o twojej książce i o wszystkim, co teraz robisz i mówisz.

W dzieciństwie zatopiony w nauce lub w lekturze, później pogrążony w swoich literackich marzeniach, zabarykadowany w swoim pokoju, zawsze ponury i nadąsany, Robert nie okazywał nigdy zbyt przywiązania, jakim darzył brata, a także siostrę i rodziców; niemniej to przywiązanie istniało, głęboko zakorzenione w jego skrytym charakterze. Pragnął je zachować. Odpowiedział więc wymijająco na propozycję, odkładając rozmowę na przyszłość.

- Dobrze Bruno, któregoś dnia, jeśli chcesz, wszystko sobie wyjaśnimy.

W owej chwili młody pisarz miałby wiele trudności z wyjaśnieniem bratu, że jest więźniem. Po pierwsze, więźniem własnego sukcesu: musiał przecież ulegać życzeniom ludzi, którzy mu prawili pochlebstwa, i którym zawdzięczał ten sukces - a także związane z nim bogactwo - a którzy przypisywali jego zdaniu czy obecności tym większą wartość, że obdarzał ich nimi z rzadka i najwyraźniej niechętnie. Pewnie, że mógłby odmówić wszystkiego, zerwać z otaczającym go środowiskiem i wrócić do swojego pokoju, żeby przenieść na papier swoje rojenia. Ale tego właśnie nie

mógł zrobić. Bo był także więźniem Joachima Botto. - Oddam cię w ręce chłopca, którego bardzo cenimy! - powiedział Drieu La Rochelle w dniu podpisania umowy wydawniczej. - Doradzi ci i pomoże we wszystkim: przy druku książki, korektach, przejściu przez niemiecką cenzurę, przygotowaniu egzemplarzy dla prasy, w kontaktach z dziennikarzami itd. Zobaczysz, to ktoś bardzo skuteczny w działaniu.

Stosunki między Robertem i Drieu stały się pełne zaufania i przyjacielskie. Bardzo szybko i niepostrzeżenie przeszli na ty, a młody pisarz nie miał żadnego powodu, żeby nie ufać pisarzowi starszemu i podziwianemu, który mu tak wiele pomógł i któremu zawdzięczał wydanie swojej książki. Pozwolił więc "oddać się w ręce" Joachima Botto.

Był to chłopak niespełna trzydziestoletni, blondyn o różowej cerze, tustawy, ubrany zawsze w nienaganny garnitur, a jego rola w wydawnictwie była zarazem złożona i tajemnicza, poczynając od prac fizycznych, a skończywszy na tajnej dyplomacji. Joachim wypisywał własnoręcznie notki reklamowe do egzemplarzy przeznaczonych dla prasy, pakował i sam, na rowerze, dostarczał je odpowiednim dziennikarzom, z którymi długo rozprawiał zwracając uwagę na zalety książki. Znosił rękopisy do Propagandastaffel, pod numerem 52 na Champs_elys~ees, i na ogół bez trudności uzyskiwał zgodę cenzora, porucznika Gerhardta Hellera. Zajmował się kontaktami z drukarniami i był niezrównany, gdy trzeba było

załatwić na czas potrzebną ilość papieru. Był niedoścignionym mistrzem czarnego rynku, zawsze gotów dostarczyć każdemu, kto miał na to środki, żywność, odzież lub buty bez kartek. Dla głośnych autorów rezerwował stoliki w luksusowych restauracjach i pokoje w najlepszych hotelach, kiedy przyjeżdżali z prowincji podpisać egzemplarze dla prasy. Umawiał spotkania, dyktował listy i zanosił je na pocztę. Grał wszystkie role, zawsze ze śmiechem, żartował ze wszystkimi, uwielbiały go sekretarki i maszynistki, podziwiała kierownictwo wydawnictwa. Słowem, totumfacki_kameleon, bardzo skuteczny, jak mówił Drieu. I nie miało większego znaczenia, że nikt już dobrze nie pamiętał, w jaki sposób ten chłopak dostał się do pracy, kto go wprowadził lub narzucił; pracował od lipca 1940 roku i stał się niezbędny dla dobrego funkcjonowania firmy.

- Robercie, przedstawiam ci Joachima Botto - powiedział Drieu. - Joachimie, przedstawiam ci Roberta Rittera, autora "Śmierci ojca".

Obaj mężczyźni spodobali się sobie od pierwszej chwili i, podobnie jak to było z Drieu, ale dla zupełnie innych powodów, bardzo szybko przeszli na ty, wystarczyło porozumiewawcze spojrzenie w chwili poznania. Swoją postawą, falującymi blond włosami, trochę zbyt opiętym ubraniem, Joachim przypominał bowiem natychmiast Robertowi zaginionego w zawierusze wojennej biednego Luciena Minoux. Tego samego wieczora, kiedy zostali sobie

przedstawieni, Joachim i Robert
ukryli się w kawalerce
zajmowanej przez pięknego
totumfackiego przy ulicy
Washingtona i Joachim pozwolił
Robertowi na wszystkie
poufałości, jakich ten
zapraǳnął, uprzedzając nawet
jego życzenia.

Nazajutrz Joachim pomagał już
nowemu przyjacielowi w
podpisywaniu egzemplarzy dla
prasy; dysponował bowiem
wyczerpującymi, stale
uaktualnianymi listami krytyków
literackich i okazał się bardzo
zręcznym doradcą w redagowaniu
dedykacji. Później miał mu
służyć za przewodnika i mentora
prawie we wszystkim, a zwłaszcza
w kontaktach z prasą, w wizytach
i wystąpieniach publicznych,
nakłaniając go do przyjmowania
wszelkich propozycji,
przekonując, że warto włączyć
się do zgodnego chóru oficjalnej
propagandy. Na koniec miał
zarekwirować garsonierę
sąsiadującą z tą, w której sam
mieszkał, i wprowadzić do niej
Roberta po uprzednim otwarciu
zamkniętych dotąd na stałe drzwi
dzielących oba mieszkania.

Robert miał tam przenieść swoje
książki, papiery, ubrania i
opuścić swój pokój w willi
"Promienny Uśmiech".

Obaj przyjaciele żyli więc
odtąd stale razem, nocą przy
ulicy Washingtona, w dzień w
biurach wydawnictwa. Wpływ
totumfackiego na pisarza stawał
się coraz silniejszy. Był tak
widoczny, a zażyłość obu
mężczyzn tak rzucała się w oczy,
że niektórzy sobie z tego
pokpiwali. Dieu natomiast
uśmiechał się tylko; był
"mężczyzną otoczonym kobietami"
- tak brzmiał tytuł jednej z

jego powieści - co nie
przeszkadzało mu bynajmniej
przyjaźnić się z Gide'em,
Montherlantem, był też przez
dłuższy czas przyjacielem
Aragona, który nie zawsze darzył
uczuciem tylko Elbę.
Kim właściwie był Joachim
Botto? Robert zadał mu wprawdzie
kilka pytań - o wiek,
pochodzenie, rodzinę,
wcześniejszą pracę, ale miał
wrażenie, że nowy przyjaciel nie
mówi mu wszystkiego.
- Mam 26 lat, pochodzę z
Luksemburga, mieszkam w Paryżu
od 1936 roku. Pracowałem tu po
trosze we wszystkich zawodach:
byłem agentem ubezpieczeniowym,
komisjonerem, maklerem,
impresariem, rzecznikiem
prasowym, dziennikarzem...
Nie miał śladu obcego akcentu,
chyba że ten specyficzny,
paryski, dostrzegalny tylko dla
przybyłych do Paryża
prowincjuszy. W codziennych
rozmowach nie dawał wyrazu
żadnym określonym poglądom
politycznym, poza tym że podawał
się za wiernego admiratora
marszałka i gorliwego zwolennika
polityki kolaboranci. Podobnie
jak Robert - wspominający z
upodobaniem pięknych żołnierzy w
szortach, z nagim torsem,
widzianych niegdyś w Lagny -
podziwiał, dla rozlicznych
powodów, młodych Niemców i dwaj
przyjaciele czuli się bardziej
niż kiedykolwiek zgodni, kiedy
jeden z nich mówił o świetlanej
przyszłości młodzieży
europejskiej prowadzącej wspólną
romantyczną walkę pod
sztandarami ze swastyką, 21
czerwca rozpoczęła się bowiem
inwazja na Rosję, a wojna
prowadzona przez Rzeszę
przybrała postać krucjaty

przeciwko bolszewizmowi.
Pewnego lipcowego wieczora
1941 roku Robert poszedł z
Joachimem do "Soldatenkino",
gdzie wyświetlano film Hansa
Steinhoffa "Hitlerjunge Quex",
inaczej mówiąc "Młody
hitlerowiec". Film był dosyć
przeciętny, ale ostatnia część,
mówiąca o śmierci bohatera
zamordowanego przez komunistów w
ekspresjonistycznej scenerii
jarmarku, a zwłaszcza końcowa
defilada młodych nazistów
maszerujących z rozpostartymi
sztandarami przed Hitlerem i
swoim przywódcą Baldurem von
Schirachem, śpiewających swój
hymn:

Unser Fahne flattert uns
voran. @ Unser Fahne ist die neue
Zeit, @ (Nasza flaga powiewa
przed nami. @ Nasza flaga jest
nowym czasem,)
tak mocno podnieciła Roberta,
że nie mógł się powstrzymać i
zaciągnął Joachima do toalety w
kinie.

Stosunki z Joachimem nie
przeszkadzały jednak młodemu
pisarzowi, kiedy przyjaciel był
w pracy, odbywać od czasu do
czasu swoich dawnych wędrówek. I
tak, pewnego wrześnieowego ranka,
w szalecie w alei Trudaine,
poznał młodego chłopca,
prawdopodobnie ucznia
pobliskiego gimnazjum Rollina, i
był nim bardzo zajęty, kiedy
pojawiło się dwóch policjantów w
cywilu. Przyłapani na gorącym
uczynku, obaj partnerzy zostali
doprowadzeni do komisariatu przy
ulicy Drouot, gdzie Robertowi
grożono najcięższymi sankcjami,
zważywszy zwłaszcza na wiek
chłopca.

- Obraza moralności na osobie
nieletniego... wie pan, ile to
kosztuje? - zapytał go komisarz.

Robert zaczął drzeć na całym ciele, potem ubłagał policjanta, żeby mu pozwolił zadzwonić. Na szczęście dodzwonił się do Joachima. W godzinę później zwolniono go rozplywając się w przeprosinach.

Kim więc był naprawdę Joachim, skoro zdołał spowodować zwolnienie człowieka w paskudnej sytuacji? Robert nie mógł nie zadawać sobie tego pytania, pamiętając też, że Joachim uzyskiwał bez trudu zgodę cenzury, potrafił uruchomić potrzebne zapasy papieru, mógł dostarczyć, co kto chciał, z drugiego obiegu, mieszkał w zarekwirowanym mieszkaniu i uzyskał nakaz rekwizycji na mieszkanie obok dla przyjaciela.

Było to pewnego wieczoru, w październiku 1941 roku; obaj wspólnicy wrócili z restauracji Douceta przy ulicy d.artois, będącej wówczas jednym z przybytków pokątnej gastronomii, do której uczęszczali niemieccy oficerowie i kolaboranci z towarzystwa. Rozmawiali, paląc, w garsonierze Joachima, kiedy w nie domkniętej przez nieostrożność szafie Robert zauważył na wieszaku coś szarozielonego, zbliżył się, popatrzył. Był to niemiecki mundur.

- Co to takiego, Joachimie? Piękny totumfacki popatrzył na niego przez chwilę, potem wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę niczego się nie domyślałeś? No więc, to, co tu widzisz, to jest mój mundur! Praktycznie nigdy go nie noszę, ale mam go u siebie. Jestem niemieckim żołnierzem, stary! Mam nawet stopień sonderf~uhrera... To mniej

więcej to samo co aspirant w armii francuskiej. Tyle że ja zostałem przydzielony do służby w cywilu.

Pocałował kochankę, przytulił się do niego.

- Nie masz mi za złe, że nic ci o tym nie powiedziałem, prawda? Kochasz mnie nadal, chociaż jestem parszywym szkopem?

Zaczął opowiadać. Nie pochodził z Luksemburga, jak twierdził wcześniej, tylko z Wirtembergii, urodził się w L~orrach, niedaleko Bazylei i granicy francusko_szwajcarskiej, w miejscu, gdzie większość ludzi mówi równie dobrze po francusku co po niemiecku, ponieważ stale dokonuje się tam wymiana z Francją i Szwajcarią. Studiował język i literaturę niemiecką na uniwersytecie w Tybindze, potem, będąc synem wysokiego dygnitarza nazistowskiego i aktywnym członkiem Hitlerjugend, w 1936 roku został wysłany do Paryża, wyposażony w paszport luksemburski. Jego szefowie polecili mu nawiązać kontakt z przywódcami komitetu Francja - Niemcy: Fernandem de Brinonem ze strony francuskiej i Otto Abetzem ze strony niemieckiej - i przysłać raporty o stanie ducha Francuzów, zwłaszcza inteligencji. "Poradzili" mu także, żeby nie opuszczał Paryża, cokolwiek się stanie. Kiedy Wehrmacht zajął stolicę, Joachim został naturalnie zmobilizowany, ale zważywszy na znajomość literatury, stosunki, jakie sobie wyrobił, i oddane poprzednio przysługi, został przydzielony do Propagandastaffel, ze stopniem sonderführera, i miał się dostać do poważnego wydawnictwa,

żeby z tego obserwatorium lepiej śledzić ewolucję polityczną pisarzy francuskich. W Berlinie takie informacje uważane były za cenne.

- To wszystko. Oto jak zostałem ulubieńcem i przyjacielem wielkiego powieściopisarza...

- W sumie jesteś szpiegiem. Należałeś do piątej kolumny? A teraz, bardzo możliwe, że pisziesz raporty o mnie, o tym, którego nazywasz swoim ulubieńcem i przyjacielem! Joachim wzruszył ramionami.

- A co mógłbym o tobie powiedzieć złego? Tak czy inaczej, możesz mi wierzyć, mój mały: chociaż jestem żarliwym niemieckim patriotą i narodowym socjalistą z przekonania, wolę to, niż walczyć na froncie wschodnim. W prowadzonej przez nas wojnie wszystko jest pożyteczne... i pozostający w cieniu żołnierz, taki jak ja, w równym stopniu jak inni przyczynia się do wysiłku całego narodu.

Robert nie odpowiedział.

Wpatrywał się w Joachima, a w jego oczach można było wyczytać rozbudzone nagle pożądanie.

- Włóż mundur! - rozkazał drżącym lekko głosem.

Joachim usłuchał. Jego ubiór sonderf~uhrera uszyty był z cienkiego sukna, poza swastyką i srebrzystymi epoletami nie było na nim innych odznak. Wciągnął czarne buty z cholewami z miękkiej skóry, zapiął pas, do którego przymocowana była kabura rewolweru. Z jasnymi włosami, wymykającymi się spod oficerskiej czapki, okrągłą twarzą, jasnoniebieskimi oczami, kapryśnymi ustami, kontrastującymi z powagą i

surowością munduru, wyglądał jak zdeprawowany anioł.

- Jakiś ty teraz piękny!

Joachim żartobliwie stanął na baczność stukając obcasami.

- Zu Befehl, mein lieber

Robert! (Na rozkaz, kochany Robercie!) - wyszeptał z czułością, ledwie słyszalnym głosem.

W jego oczach także malowało się pożądanie.

Kilka dni później Robert otrzymał od radcy Westricka, jednego z zastępców Otto Abetz w ambasadzie niemieckiej, osobiste zaproszenie do zabrania głosu na wielkim mityngu zorganizowanym na Zimowym Welodromie przez Ochotniczą Legię Francuską do Walki z Bolszewizmem, w którym to mityngu mieli też wziąć udział Jacques Doriot, Marcel D~eat, Eug~ene Deloncle, Pierre Costantini i dziennikarz z radia Paryż, Jean H~erold_paquis. W pierwszym odruchu odrzucił zaproszenie, ale Joachim bardzo szybko przywołał go do porządku.

- Mój mały, zaangażowaliśmy się w walkę o przetrwanie Europy i każdy powinien w niej

uczestniczyć z dostępną mu bronią. Twoją bronią jest słowo.

Pomyśl o tych wszystkich Francuzach, których możesz, uczestnicząc w tym mityngu, pozyskać dla naszej sprawy!

Potem dodał z uśmiechem:

- A poza tym, Robercie... Czy mógłbyś odmówić czegoś mnie, twojemu przyjacielowi... Nie robiłem ci wymówek, kiedy się dowiedziałem, co przeskrobałeś z tym chłopaczkiem na ulicy Trudaine. Wierność w naszym środowisku jest wartością nieznaną. Ale pospieszyłem na ratunek. Oddałem ci przysługę. A

więc, bądź miły: zgódź się na tę propozycję.

Później, w ten sam sposób, Robert został nakłoniony do częstszego pisania artykułów dla "Je suis partout", do współpracy z radiem Paryż, do napisania nowej książki, "Pod rozpostartymi sztandarami", jeszcze bardziej przychylniej Niemcom niż pierwsza. W ten sposób stał się jedną z pierwszoplanowych postaci kolaboracji, dorównując Jeanowi H~erold_paquis, Philippe.owi Henriot. Wprawdzie w swoich artykułach, przemówieniach, wystąpieniach radiowych, w swojej nowej książce nie mówił nic, co byłoby sprzeczne z jego osobistymi przekonaniem, co nie zgadzałyby się z tym, co myślał w głębi duszy, ale gdyby miał więcej swobody ruchów, byłby z pewnością bardziej umiarkowany, nie przeciągałby tak struny, miałby lżejsze pióro; stonowałby dytyramby na cześć P~etaina, Laval, rewolucji narodowej, Hitlera i jego żołnierzy i agresywny ton, jakim mówił o de Gaulle.u, o rodzącym się ruchu oporu, komunistach, Żydach i masonach.

Czasem zdarzało się, że rozmyślał nad tym, co by się z nim stało, gdyby wydając "Śmierć ojca", a następnie zostając kochankiem Joachima, nie włożył palca w fatalne tryby; siedziałby nadal w swoim pokoju w willi "Promienny Uśmiech", snując swoje literackie marzenia, pisząc dla samego siebie, bez widoków na przyszłość ani odpowiedzialności, śniąc o młodych i pięknych żołnierzach niemieckich i o ich romantycznej krucjacie pod czerwonymi

sztandarami ze swastyką. Ale zaangażował się nieodwołalnie w działalność polityczną: porzucił świat marzeń i, niemal wbrew sobie, wkroczył w bolesną rzeczywistość, szedł naprzód jak automat, niezdolny do odwrotu, więzień własnych namiętności i nieostrożności, jak w matni. Metodą przesłodzonej perswazji, rzadkich acz subtelnych aluzji do "przysługi", jaką wyświadczył przyjacielowi, do popełnionego przez niego przewinienia, posługując się stale nie słabnącym požądaniem młodego pisarza do siebie i kilku innych umundurowanych partnerów, Joachim osiągał wszystko, czego chciał, popychał go coraz dalej na drodze kolaboracji. Był koniec 1941 roku. Nazistowskie Niemcy doszły do apogeum potęgi. Wojska niemieckie okupowały całą Europę. Tylko w ciągu tego roku załapały Bułgarię, Jugosławię, Grecję, a 21 czerwca zaatakowały Rosję i nieubłaganie posuwały się naprzód w kierunku Leningradu, Moskwy, Kaukazu. W Afryce siły zbrojne osi zwycięsko walczyły z Anglikami. Sojusznicy japońscy - "mali, żółci aryjczycy", jak komicznie mawiał Drieu - pozwolili sobie w Pearl Harbor na zaatakowanie przez zaskoczenie floty amerykańskiej, niszcząc jej najpotężniejsze jednostki. Poza Japonią Rzesza miała u swego boku Włochy Mussoliniego i Hiszpanię generała Franco, choć ta nie brała bezpośredniego udziału w walkach; w "anty bolszewickiej krucjacie" Rzeszy uczestniczyły kontyngenty francuskie, belgijskie, holenderskie, norweskie,

duńskie, rumuńskie, chorwackie.
Wszystko wskazywało na całkowite
zwycięstwo Niemiec i ich
sojuszników: kto się więc
opowiadał po ich stronie, nie
tylko nie narażał się na ryzyko,
ale miał z tego same korzyści, a
najbardziej oczywiste było to,
że lepiej się opłacało być w ich
obozie niż w obozie
potencjalnych zwyciężonych.
Jednakże powoli zaczęły się
pojawiać pewne oznaki
nie trwałości niemieckich
zwycięstw, ich tymczasowego
charakteru; oznaki te nie zawsze
były dość wyraźne, ale
wystarczyły, aby ożywić nadzieję
przeciwników Niemiec i ich
przyjaciół. Stany Zjednoczone
przystąpiły do wojny. Anglia,
mimo potęgi Luftwaffe, mimo
ciężkich bombardowań swoich
największych miast, nie została
rzucona na kolana. Churchill i
Roosevelt podpisali Kartę
Atlantycką, potwierdzając
obietnicę de Gaulle'a, że
pewnego dnia niemiecka potęga
techniczna zostanie pokonana
przez inną, silniejszą od niej.
We Francji powoli organizował
się ruch oporu, Francuzi
słuchali radia Londyn i w
ogromnej większości mieli
serdecznie dosyć, jeśli nie
rządów Vichy, bo marszałek
Pétain uchodził jeszcze za
"tarczę Francji", to
przynajmniej kolaboracji i
kolaborantów. Toteż w szeregach
tych ostatnich można było czasem
dostrzec pewną rozterkę duchową.
Robert słyszał, jak w chwili
zawątpienia, czy też może
przenikliwości umysłu, Drieu La
Rochelle wymamrotał:
- Wszystko, co zrodziło się
wraz z zawieszeniem broni,
szczególnie wraz z nim!

Oznaczało to, że cała pompa i wszystkie wytwory kolaboracji miały w najwyższym stopniu charakter tymczasowy, że nawet w przypadku zwycięstwa Niemiec kolaboranci nie mogli mieć pewności co do swojej racji i że w razie klęski mogłaby ich spotkać okrutna kara. Dodał, cytując Hugo:

"Na próżno sądzilibyśmy, że to się skończy śpiewem i apoteozą".

Z drugiej strony ten szczególny "meeting_pot" kolaboracji, w którym najemni zdrajcy, płatni siepacze, chciwi złodzieje, służalczy wojskowi, sprzedajni policjanci i łatwowierni głupcy przemieszani byli z "czystymi i twardymi" idealistami, budził pewne zastrzeżenia, zwłaszcza u tych ostatnich. Drieu mawiał jeszcze, tym razem aleksandrynem własnej kompozycji: "Otaczają nas zdrajcy i bęcwały".

- Czy głęboko wierzysz w nasze zwycięstwo? - pytał czasem Joachim Roberta.

Młodemu pisarzowi wpadł kiedyś w ręce numer czasopisma wychodzącego w Lyonie, pod tytułem "Confluences", w którym znajdował się wiersz Aragona "Nie ma szczęśliwej miłości". Przytoczył z niego jeden wers, nie zdradzając źródła: "Człowiek nigdy niczego nie zdobywa na stałe na tej ziemi".

Widząc zgorszone nieco zdziwienie przyjaciela - ale Joachim nie zadałby tego pytania, gdyby sam był całkiem pewien zwycięstwa - dodał:

- Ale to nic... Trzeba dojść do końca drogi...

Pewnego wieczora pod koniec jesieni 1941 roku, w garsonierze przy ulicy Washingtona, Roberta odwiedziła Sara. Joachima, na

szczęście, nie było wtedy w domu.

V

- Przyszedłeś robić mi wymówki?

- zapytał Robert.

Sara była piękniejsza niż kiedykolwiek. Jej czarne włosy były modnie uczesane, z podpiętym wysoko nad czołem lokiem. Była lekko umalowana, brwi miała wyskubane i zaznaczone ołówkiem, a usta pomalowane w serduszko, w stylu ówczesnej gwiazdy filmowej, Mireille Balin. Miała na sobie długi, czerwony żakiet, białą bluzkę haftowaną w kwiaty, krótką spódnicę w szkocką kratę, wysokie drewniane koturny, wiązane w kostce. Nogi miała pociągnięte brunatną farbą, co imitowało nieosiągalne pończochy, a szew zastępowała czarna kreska. Trochę schudła, jak wszyscy w owym czasie.

Ale pojawiło się w niej coś nowego, co rzucało się w oczy i zaskoczyło brata: pewnego rodzaju rozkwit osobowości, a zwłaszcza siła woli. W jej spojrzeniu, sposobie, w jaki trzymała głowę, chodzie, we wszystkich ruchach jej doskonałego ciała była teraz odwaga, energia, śmiałość, a nawet rodzaj wyzwania, których przedtem Robert u niej nie widział. Wszystko w niej mówiło: oto jestem, istnieję, silna, gotowa się bronić, stawić opór, odparować zadane mi ciosy... a nawet zaatakować w razie potrzeby - i zwyciężyć.

Ta nowa postawa tym bardziej dziwiła Roberta, że sam zajmował skrajnie przeciwną: uświadamiał sobie coraz częściej, że poddaje się swemu losowi z jakąś ponurą rezygnacją, nie wiedząc właściwie, co robi, ani dokąd

zmierza, mnożąc nierozważne,
niebezpieczne posunięcia, w
nieodwracalnej ucieczce przed
siebie. Toteż przyglądał się
siostrze z podziwem, z
zazdrością.

Sara popatrzyła na brata z
pełnym niepokojem i zaciekawieniem.

Ubrany był w stary,
ciemnoczerwony szlafrok, który
miał już w Lagny. Był nie
ogolony, a włosy miał tak samo
nie poddające się grzebieniowi
jak kiedyś. Twarz miał, jak
zawsze, udęconą, minę
zamyśloną, daleką, obojętną. Ale
jego ponuractwo jakby się
jeszcze nasiliło. Po jego
zaokrąglonych teraz nieco rysach
twarzy widać było, że żywi się
na czarnym rynku i pije niemało
alkoholu; w skrzywieniu ust, w
ponurym spojrzeniu czaiło się
teraz coś jakby skrywana
rozpacz, gorączkowy niepokój,
źle maskowane wyrzuty sumienia.

- No, powiedz, przyszłaś robić
mi wymówki? - powtórzył.

- Ależ nie, Robercie. Dlaczego
miałabym robić ci wymówki?

Kiedy otworzył drzwi
mieszkania, kiedy w mroku
panującym na schodach rozpoznał
siostrę, przez sekundę miał
ochotę się cofnąć. Nie widział
jej od czasu, kiedy wyjechała z
Lagny, kilka tygodni po śmierci
matki. Później sam opuścił wille
"Promienny Uśmiech", a tyle
rzeczy wydarzyło się od tamtej
pory! Zajęty pisaniem drugiej
książki, artykułów, odczytów,
udziałem w zebraniach
politycznych i premierach
teatralnych, a także uwięzany
przez Joachima Botto, Robert
zaniedbał Sarę i Bruna i
ograniczał się do rzadkich
kontaktów listownych i, od czasu
do czasu, do posłania siostrze

lub bratu przekazu na pieniądze.
Wszystko wskazywało na to, że
podobnie jak brat, siostra nie
pochwała jego zaangażowania
politycznego. Spodziewał się
więc potoku zarzutów, krytyki,
upomnień. Ale nic takiego nie
następowało: Sara była
uśmiechnięta, wyraźnie
odprężona, równie serdeczna jak
dawniej. Albo nie była tak
wrogo, jak przypuszczał,
nastawiona do wyznawanych przez
niego poglądów, albo zachowała
całkowitą obojętność wobec
ówczesnych dylematów, albo też
nie ujawniała niechęci w imię
rodzinnej solidarności. Chyba że
chodziło o coś innego, że
przyszła w konkretnym, nie do
odgadnięcia celu i na razie nie
ujawniała go. Otworzył przed nią
ramiona. Wpadła w nie i długo
trwali w objęciach.
Obrzuciła wzrokiem jego
garsonierę. Był to podłużny
pokój, oświetlony dwoma wysokimi
oknami, z których jedno
wychodziło na ulicę Washingtona,
a drugie na ulicę Lamennais.
Wykładzina na podłodze była
poprzecierana, zasłony i tapety
spłowiałe, a meble byle jakie.
Panował tu ten sam nieład co w
Lagny, była to taka sama
graciarnia z pietrzącymi się
wszędzie książkami i papierami.
Stół do pracy założony był
gazetami i podkreślonymi
rękopisami, do ścian
poprzypinane były pinezkami
karteluszek "ku pamięci", łóżko
było nie zasłane i zarzucone
ubraniami, popielniczki pełne, a
nad wszystkim unosił się zapach
tytoniu... tyle że nie był to
już lekko opiumowany zapach
dawnego angielskiego tytoniu,
tylko bardziej gryzący zapach
niemieckich papierosów Juno, po

których wszędzie wałały się
puste pudełka. Na jednej ścianie
wisiał duży portret P~etaina i
mniejszy Hitlera, ale były na
w pół odklejone i podarte. Na
dużej mapie Europy zaznaczone
były tereny zajęte przez Niemcy,
a maleńkie flagi ze swastyką
wyznaczały linię, do której
naziści doszli w Rosji.
Gdzieś do ścian przypięte
były zdjęcia wycięte z
"Signalu", a przedstawiające
najczęściej niemieckich
żołnierzy w hełmach, z karabinem
maszynowym przewieszonym przez
ramię, posuwających się naprzód
przez pszeniczne pola Ukrainy.
- Napijesz się porto? Jeden z
przyjaciół podarował mi właśnie
dziesięć butelek.
Obok skózanego, poplamionego
i poprzypalanego papierosami
fotela, na którym posadził
siostrę, stał przenośny barek,
skąd Robert wyjął butelkę i
kieliszki. Podając jej
kieliszek, patrzył na nią z
czułością.
- To miło, że przyszłaś mnie
odwiedzić. Nie wyobrażasz sobie,
jaką mi to sprawia przyjemność!
Była to prawda; widząc ją na
mrocznych schodach cofnął się
wprawdzie instynktownie, ale ten
pierwszy odruch szybko minął,
szybko też zorientował się, że
nie przyszła tu po to, żeby go
dręczyć, a wtedy, bez względu na
rzeczywiste powody tej wizyty,
poczuł się wzruszony tym, że
dzięki niej może odnowić więzy z
własną przeszłością, z rodziną.
Do tej pory nie bardzo sobie z
tego zdawał sprawę, ale
brakowało mu jednego i drugiego.
Dostawszy się w "wir i zamęt
migotliwy" opisane przez Rilkego
- w wierszu, który kiedyś... to
było tak dawno temu, jakby w

innym świecie... zapisał w notesie - nigdy nie miał czasu na powrót do źródeł, na tęsknotę za korzeniami. I oto nagle zdał sobie sprawę, ile ucierpiał, będąc ich pozbawiony, że pozbawił się ich sam, jak bardzo boleje, że nie jest już tym dawnym Robertem zabarykadowanym w swoim pokoju, snującym swoje nieziszczalne, nierealne marzenia, Robertem otoczonym miłością bliskich, którzy go wspomagali i chronili, nawet jeśli pozornie było mu to obojętne.

Ale teraz Sara była tutaj, przy nim, żywa, pełna ciepła, niosąca ukojenie. Czując w niej tym więcej siły, im bardziej sam czuł się słaby, bezbronny, myślał niejasno, że pewnego dnia będzie może mógł się do niej przytulić, znaleźć w niej ochronę, uczynić z jej przywiązania tarczę przeciwko groźnym przeciwnościom.

- Moja siostrzyczka! - wyszeptał niewyraźnie, drżącym ze wzruszenia głosem.

Pochylił się nad nią, pocałował z czułością. Potem wyprostował się, przeszedł kilka kroków po pokoju, odwrócił się do niej, ciągnąc już innym tonem:

- Masz mi pewnie dużo do opowiedzenia... Wiesz co, nie mam dziś rano nic specjalnego do roboty i nie spodziewam się żadnej wizyty. Jeśli masz czas, co ty na to, gdybyśmy spokojnie pogadali, a potem poszli na obiad do restauracji? Znam taką jedną, bardzo fajną, niedaleko stąd, gdzie można zjeść, co się zechce, bez kartek. No, siostrzyczko, opowiedz mi o sobie. Powiedz, jak żyjesz. Opowiadaj...

Wszystko odbywało się tak, jak gdyby on sam nie miał nic do powiedzenia; stał się postacią publiczną, wprawdzie pod przymusem, lub prawie, ale nikt nie mógł nie znać jego poglądów i działalności. Zachował więc milczenie i słuchał siostry z uwagą, usiadłszy naprzeciw niej, od czasu do czasu dolewając jej i sobie trochę porto.

Opowiedziała wszystko - albo prawie wszystko...

W kilka tygodni po rozmowie z księdzem Ricolais, która wywołała w niej odruch dumy, Sara odbyła, tak jak wcześniej postanowiła, długą rozmowę z Brunem. Robert został z niej wyłączony, podobnie jak Lucienne, bo teraz Bruno był nie kwestionowaną głową rodziny i z nim należało pomówić. Powziąwszy jednak silne postanowienie, nie prosiła bynajmniej starszego brata o pozwolenie na wyprowadzenie się z willi "Promienny Uśmiech", lecz oznajmiła mu swoją wolę wyjazdu, zamieszkania w Paryżu, być może w pokoju przy alei Racheli, i podjęcia samodzielnej pracy, a także starań o odnalezienie Josefa. Bruno długo przyglądał się siostrze. Wreszcie powiedział:

- Rozumiem cię, Saro! Wszyscy tutaj będziemy cię żałować. Jeśli któregoś dnia zechcesz wrócić, zawsze przyjmimy cię z otwartymi ramionami. A jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, znajdziesz mnie tutaj...

Ucałowali się. Nazajutrz Bruno pojechał do Saint_mand~e do notariusza Moreau, w sprawie, którą miał załatwić po śmierci Sylvii i którą przyspieszyła decyzja Sary. Kiedy wrócił

wieczorem, zamknął się z siostrą
w jej pokoju i znowu odbyli
długą rozmowę. Następnego dnia
Sara spakowała walizki i
wyjechała zabierając wszystko,
czego nie wzięła ze sobą przy
pierwszym wyjeździe, zostawiła
tylko maszynę do pisania, którą
posługiwał się Robert w swojej
pracy literackiej, a Bruno i
Lucienne przepisywali na niej
ulotki; w razie potrzeby
wypożyczy sobie inną w Paryżu.
Na dnie torebki schowała portfel
z plikiem banknotów
tysiącfrankowych, otrzymanych od
Bruna; była to zaliczka na
poczet przypadającej jej części
spadku, bo uzgodnili, że
ostateczny podział zostanie
przeprowadzony później. W chwili
gdy wsiadała do pociągu,
uświadomiła sobie, że nie
powiedziała bratu ani słowa o
rozmowie z księdzem Ricolais.
Roger Brienne, a także
Fran~coise i mama P~etrac
przyjęli Sarę z okrzykami
radości, jak gdyby jej
nieoczekiwany przyjazd był dla
nich powrotem marnotrawnej
cóрки. Była właśnie pora obiadu.
- Mój Boże, nawet nie wiesz,
jak nam ciebie brakowało! No i
wreszcie wróciłaś. Siadaj,
dzieciaku!

Sara usiadła przy stole na
swoim dawnym miejscu, obok niej
stało puste krzesło, było to
miejsce Josefa. Fran~coise
nakryła do stołu, a jej matka
poszła do kuchni, skąd wyniosła
niebawem smakowicie parujący
półmisek.

- Nie róbcie sobie złudzeń.
Wygląda nieźle, ale to tylko
brukiew. Nie znalazłam dzisiaj
na targu nic innego. Miałam
nadzieję na befsztyki, albo
przynajmniej na kurczaka, ale

Labri nic nie dostał.
Labri był przyjacielem
Brienne.a. Kiedyś był kolarzem,
dwa razy wygrał wyścig Tour de
France, a teraz prowadził trochę
podejrzany bar w dzielnicy
V~eron, koło "Moulin Rouge" - to
właśnie tam Roger załatwił
fałszywy dowód osobisty dla
Josefa - i od czasu okupacji
stał się niezrównanym mistrzem
czarnego rynku. Ale dostawy nie
zawsze były regularne, bo czasem
wkraczali francuscy i niemieccy
żandarmi przerywając pracowicie
utkaną siatkę.

- Roger - zapytała Sara - czy
mógłbyś mi wynająć pokój na
szóstym piętrze?

- Wynająć ci pokój!
Zwariowałaś, czy co? Mogę ci go
wypożyczyć, oczywiście, jak
dawniej...

Tego samego wieczora
dziewczyna urządziła się w
pokoiku. Kwiaty na oknie
zwiędły, kurz pokrywał meble,
ale w tym miejscu, gdzie zastała
z Josefem największego
szczęścia, unosił się jeszcze
zapach ich miłości. W szafie
wisiały ubrania Primuli, leżały
teczki z jego tłumaczeniami,
słowniki. Na umywalce widniały
jego przybory toaletowe, a pod
poduszką piżama, złożona
jeszcze, bo nigdy jej nie
używał, wolał spać nago,
spleciony z ciałem kochanki.

Sara trochę popłakała, nie za
dużo, bo szybko przypomniała
sobie o swoich postanowieniach,
o tym, że ma być silna. Zapadła
w sen i nic jej się nie śniło.

Nazajutrz rano zeszła na
śniadanie do Brienne.a.
Fran~coise już wyszła, pojechała
do studia w Boulogne, gdzie
statystowała podczas kręcenia
filmu Marcela Carn~e "Wieczorni

goście". Zaś mama P~etrac, jak co rano, poszła stać w kolejkach do sklepów, bo tego, co zdobędzie po cenach urzędowych, nie będzie musiała kupować po paskarskich cenach u Labri.ego.

- A więc, co teraz zamierzasz robić? - zapytał Brienne.

Sara opowiedziała mu o śmierci matki, o swojej woli zdobycia wolności i niezależności, a także o decyzji podjęcia starań o odnalezienie Primuli.

Brienne.owi również nic nie powiedziała o księdzu Ricolais ani o jego słowach. Nie powiedziała mu też, że dostała zaliczkę na poczet spadku.

- Musisz znaleźć pracę, ot co! - powiedział Brienne. - Z twoimi dyplomami nie powinnaś mieć trudności ze znalezieniem zajęcia w sekretariacie.

Mogłabyś też statystować w filmie. Sukces pewien... z twoim ładnym pyszczkiem... i całą resztą. Pomówię z Fran~coise. W każdym razie, póki co, będziesz jadła u nas. To ci przypomni pewne sprawy. A właśnie, jeśli chodzi o Primulę, to nie bardzo wiem, co należy zrobić, ale jeśli mogę ci w czymś pomóc, mów śmiało!

Nie zdążyła odpowiedzieć, że doskonale wie, co ma robić w sprawie Primuli, i że będzie uczestniczyć w kosztach utrzymania, bo właśnie w tej chwili zadzwonił telefon. Był to Bruno i chciał rozmawiać z siostrą.

- Mówiłaś, zdaje się, Saro, że szukasz pracy? Właśnie tutaj, w drukarni, dyrektor szuka dobrej sekretarki. Jeśli cię to interesuje...

W godzinę później Sara była już zaangażowana przez pana Grochon, z pensją 2500 franków

miesięcznie, a do jej obowiązków należało odbieranie telefonów, przyjmowanie klientów, pisanie na maszynie korespondencji i rachunków. Jules Grochon był tęgim mężczyzną około sześćdziesiątki, mówił schrypniętym głosem z akcentem wyniesionym z rodzinnego Aveyron. Zaczynał jako drukarz i stopniowo, w miarę upływu lat, piął się po kolejnych szczeblach hierarchii, aż zdobył swoje obecne, godne pozazdroszczenia stanowisko na czele przedsiębiorstwa zatrudniającego około dwustu pracowników i drukującego ponad dwadzieścia czasopism specjalistycznych lub politycznych - a wśród nich "L.appel", "Je suis partout" i "La Gerbe"; maszyny nie mogły przecież stać, a ludzie musieli pracować... zaś wszystkie gazety lewicowe, które przed wojną stanowiły zasadniczą część klienteli firmy, przestały wychodzić.

Jules Grochon wysoko cenił Bruna, był to jeden z jego najlepszych zecerów. Nie robił więc żadnych trudności przy zatrudnieniu jego siostry. A Sara bardzo szybko dała mu powody do zadowolenia rzucając się z zapamiętaniem w wir pracy; szybko przyswoiła sobie czym jest cycero i in_quarto, kaszta i firet, płyta i gilotynka, nauczyła się obliczać ilość papieru potrzebną do wydrukowania w dziesięciu tysiącach egzemplarzy ośmiostronicowej gazety w normalnym formacie. Oprowadzana przez brata zwiedziła hale i zafascynowały ją linotypy i maszyny rotacyjne, do druku, łamania i sortowania gazet, odurzył zapach ołowiu i farby

drukarskiej i ujęła pogodna atmosfera panująca na wszystkich piętrach. Kiedy pojawiła się po raz pierwszy, kilku robotników zagwizdało z podziwu, inni naśladowali gruchanie gołębi. Ale Bruno powiedział: "Stulcie gęby! To moja siostra!", i wszyscy ją zaakceptowali, a uprzejmość i uśmiech Sary zyskiwały jej sympatię ludzi. Sara musiała podporządkować swój tryb życia pracy. Nadal nocowała w pokoiku przy alei Racheli i jadała kolację u Brienne.ów, ale w południe spożywała pośpiesznie obiad na kartki, w barze "Petit Trou", koło drukarni, siedząc przy stole nakrytym papierowym obrusem, pośród robotników i dziennikarzy. Po przełknięciu ostatniego kęsa i wypiciu "kawy" składającej się głównie z palonego jęczmienia, spacerowała po dzielnicy aż do końca przerwy obiadowej, oglądała wystawę sklepu z płytami, prawie na rogu ulicy Montmartre, zatrzymywała się przed piwiarnią du Croissant, gdzie został zamordowany Jaurès, czasem dochodziła do samej Giełdy albo do pasażu des Panoramas. Wieczorem, po kolacji, kiedy nie chciało jej się od razu wracać do swojego pokoju, chodziła do kina, sama albo z Brienne.ami, na pierwsze filmy francuskie wypuszczone od czasu okupacji: "Córka kanalarza", "Zabójca mieszka pod 21", "My, urwisy", "Ostatni atut", "Małżeństwo Chiffona". Albo szybko wchodziła na górę i w łóżku czytała przyniesione z drukarni gazety i książki porzucone od Brienne.a. Słowem, wiodła życie bez problemów, bo osiągnęła wyznaczony sobie cel:

zarabiała na życie, była wolna i niezależna.

Ciężyła jej jednak uczuciowa pustka, w nocy zdarzało się często, że śnił jej się Josef, jego ręce, jego ciało. Wznowiła, jak to sobie wcześniej obiecywała, starania o odnalezienie tego niezastąpionego kochanka. Zwróciła się ponownie do Czerwonego Krzyża i do katolickich, i protestanckich organizacji charytatywnych, których wysłanników do więzień, obozów internowania i szpitali tolerowały władze francuskie i niemieckie. Kiedy to wszystko nie przyniosło rezultatu, nieraz myślała o tym, żeby poprosić o interwencję Roberta, bo teraz, kiedy był na eksponowanym stanowisku, wiele drzwi stało przed nim otworem. Długo się jednak wahała. Ponieważ nie pochwałała postawy brata, mimo całego swego strapienia odczuwała skrupuły przed poproszeniem go o załatwienie czegoś, o czym zbyt dobrze wiedziała, że może to zrobić tylko za pośrednictwem swych niemieckich przyjaciół. Poza tym zastanawiała się, czy starania tego marzyciela, nie umiejącego wykorzystać swoich znajomości, nie okażą się aby w najwyższym stopniu bezskuteczne.

A potem zdecydowała się; wahania i skrupuły ustąpiły na koniec przed jej silną wolą. Chciała dowiedzieć się czegoś o Josefie i dowie się, jeśli tylko brat zgodzi się jej pomóc, a jego starania przyniosą efekt... Pozostawało tylko znaleźć odpowiedni moment, aby wyłuszczyć mu całą sprawę podczas wizyty u niego, podyktowanej wszelako także ich

wzajemnym przywiązaniem: nie powinien pomyśleć, że przychodzi tylko po to...

- Czy jesteś szczęśliwa? -

zapytał nagle Robert.

Kilka chwil wcześniej przerwał

siostrze wyznania, żeby zabrać

ją na obiad do restauracji

Douceta na rogu ulic d.artois i

Fr~ed~eric_bastiat. Ma~itre

d.h~otel i kelnerzy powitali

Roberta z widocznym szacunkiem,

a na sali wiele głów odwróciło

się za nim i siostrą. Przy

prawie wszystkich stolikach

siedzieli oficerowie niemieccy -

w szatni przy wejściu wisiało

pełno płaszczy wojskowych i

czapek Wehrmachtu, Luftwaffe i

SS - albo kolaboranci, którzy,

znając pisarza, byli zaskoczeni

widząc go z kobietą i to w

dodatku tak piękną.

- Pan Botto nie przyszedł dziś

z panem? - zapytał ma~itre

d.h~otel.

- Nie, Jean! Dzisiaj

zaprosiłem moją siostrzyczkę!

Podano im pasztet z kaczki,

antrykoty wielkości talerza,

frytki smażone na oleju

arachidowym - w restauracjach

kartkowych smażono je na końskim

łoju - cały camembert na nich

dwoje, prawdziwe wino reńskie,

ciastka z kremem mokka z masła,

prawdziwą kawę z prawdziwym

cukrem, wódkę wyborową. Sara

poprosiła o papierosy i

przyniesiono jej paczkę

gauloisów i to pewnie za nie do

rachunku dopisano 150 franków.

Całość wyniosła 2150 franków,

prawie tyle, ile Sara zarabiała

miesięcznie. Robert zapłacił bez

zmrużenia oka wyciągając z

kieszeni garść pomiętych

banknotów tysiącfrankowych.

Sączył wódkę paląc papierosy

Juno. Sara jadła z apetytem: to

pantagrueliczne menu wносиło odmianę do posiłków jadanych u Brienne.ów, choć i oni przecież zaopatrywali się na czarnym rynku, a tym bardziej do niewesołych, byle jakich obiadków w barze "Petit Trou". W ten sposób mogła ocenić ogromny dystans dzielący ówczesnych bogaczy od wygłodzonej ludności, a nie był to tylko dystans finansowy i żywnościowy.

- Czy jesteś szczęśliwa, Saro?

- powtórzył Robert.

To pytanie dotknęło ją do żywego. Dobrze było zarabiać uczciwie na życie, być wolną, niezależną. Taki właśnie cel sobie wyznaczyła. Gdybyż jeszcze, na dodatek, mogła być szczęśliwa! Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się z przymusem, wreszcie wyszeptala tylko:

- Boję się, czy szczęście nie jest aby nie z tego świata.

I zaraz sprostowała:

- To znaczy, trwale szczęście... a tym bardziej wieczne. Wszystko dzieje się tak, jakbyśmy mieli prawo tylko do okruchów szczęścia... na tyle, żeby je posmakować i jeszcze bardziej rozpaczać, kiedy nam je odbierają. Widzisz, ja byłam do szaleństwa, niezwykle szczęśliwa z Josefem.

I to trwało zaledwie rok. Od tamtej pory... Kiedy byłam mała i mieszkaliśmy przy ulicy Vacheresse, bawiłam się w księżniczkę, pamiętasz? Stawałam w oknie i udawałam, że czekam na mojego księcia, który miał wrócić z wyprawy krzyżowej. Otóż teraz tak jest ze mną naprawdę. Moja zabawa była jakby proroczym snem. Ale nie mam siostry Anny, która by mi powiedziała, że trawa już się zieleni i kurz unosi się na drodze...

Robert rzucił jej ostre,
przelotne spojrzenie, jak gdyby
chciał powiedzieć: "Zrozumiałem.
Słucham!"

Nie wahała się dłużej.
- Czy nie mógłbyś spróbować...
przez swoje znajomości...
przyjaciół... spróbować...
choćby tylko spróbować
dowiedzieć się czegoś o Josefie?
Dowiedzieć się tylko, czy jest
we Francji, czy gdzieś w
Europie, czy żyje. Jeśli będę
miała nadzieję, nawet
najmniejszą, że go jeszcze
kiedyś zobaczę...

Wyciągnął do niej rękę nad
stołem. Uchwyciła ją, uścisnęła.
- Spodziewałem się, że
poprosisz mnie o coś w tym
rodzaju... Kochanie, może nie
masz przy sobie siostry Anny,
ale masz brata. Tak, zaraz jutro
podejmę odpowiednie kroki. Ale
uwaga! Niczego ci nie obiecuję.
Nie jestem pewien, czy mi się
uda. Niestety, nie mam
czarodziejskiej różdżki, żeby ci
sprowadzić twojego księcia z
bajki. Ale obiecuję ci, że
zrobię wszystko, co w mojej
mocy.

Trzymali się cały czas za
ręce.

- Dziękuję - wyszeptała
wzruszona Sara.

Znowu zaczął sączyć swoją
wódkę, a kiedy skończył, zamówił
drugi kieliszek. Palił papierosa
za papierosem. Policzki miał
lekko zaczerwienione, a oczy,
jak dawniej, kiedy się
rozmarzał, błędziły w próżni.
Sarę zaś obiad, wino, wódka, a
przede wszystkim obietnica
brata, wprawiły w przyjemną
euforię, nie zakłócającą w
niczym jednak jej przytomności
umysłu. Zaprzętały ją dwie
sprawy.

Pierwsza dotyczyła Roberta. Sara czytała "Śmierć ojca", a potem "Pod rozpostartymi sztandarami". Pierwsza z powieści poruszyła ją tym, że opisywała dramat przeżyty przez nią samą, w drugiej oburzyły ją zawarte tam poglądy, jej zdaniem błędne, ryzykowne, nie do przyjęcia. Czytała też artykuły brata, słuchała niektórych jego wypowiedzi w radiu Paryż, czytała sprawozdania z jego odczytów lub przemówień. Jak do tego doszło, że robił to wszystko? Było szaleństwem przyjmowanie równie skrajnej postawy, oskarżanie rządu Vichy o "kunktatorstwo" - i to po Montoire!* - posuwanie się jeszcze dalej niż ekstremiści kolaboracji, wbrew dającemu się już przewidzieć rozwojowi wypadków.

Montoire - 24 października 1940"r. odbyło się tu spotkanie P~etina z Hitlerem, na którym przyjęto zasady kolaboracji. P~etin nie podjął wówczas sprawy przymierza przeciwko Anglii i podpisania bez jej udziału traktatu pokojowego.

Sara nie знаła wprawdzie rzeczywistych motywów postępowania brata, ale była dostatecznie subtelna, żeby domyślić się, że został w to wszystko wciągnięty, że działa pod czyimś wpływem, a nawet presją, a ponieważ zawsze był i jest słaby, uległy, lekkomyślny, nie potrafił się spod tego wpływu uwolnić. Z tym większą troską chciała go więc wspierać, wspomagać, tym bardziej pragnęła go chronić, jeśli tylko było to jeszcze możliwe. Zbyt dobrze bowiem wiedziała, śledząc tok wydarzeń, do czego może dojść: biuletyny informacyjne radia

Londyn, nielegalne gazety i ulotki ruchu oporu - w tym również te, które redagował i drukował Bruno - pełne były strasznych pogrózek pod adresem "sługusów wroga".

Bruno był o wiele bardziej zawzięty na Roberta niż Sara. Ona nie miała tak zdecydowanych poglądów politycznych, by skłaniały ją do wstąpienia do jakiejś partii, a tym bardziej do jakiegoś konkretnego działania. Jej ocena wydarzeń, spraw i ludzi była oceną pocziwej, spokojnej i zrównoważonej Francuzeczki; była to zdrowa reakcja zdrowego rozsądku, a ten - podobnie jak kiedyś sądziła Sylvia - podpowiadał jej, że obecność Niemców na ojczystej ziemi jest nie do przyjęcia, że trzeba się jej za wszelką cenę przeciwstawiać, a przede wszystkim nie okazywać okupantom najmniejszej przychylności. Bruno natomiast był politycznie zaangażowany. Podobnie jak żona - członek podziemnej partii komunistycznej, piszący i drukujący ulotki i gazety, wyznawał poglądy diametralnie różne od poglądów młodszego brata. Postawa Roberta nie tylko budziła w nim odrazę, ale też krępowała go, bo w drukarni du Croissant, a nawet wśród jego komunistycznych towarzyszy, zarzucano mu czasem, choć nikt nie odważył się powiedzieć tego otwarcie, że ma w rodzinie zdrajcę i obawiał się, by nie posądzono go o współnictwo lub choćby o sprzyjanie bratu. Bruno jednakże starał się zachować dystans. Nigdy więcej nie ponowił propozycji rozmowy złożonej bratu po wydaniu "Śmierci ojca"; otrzymywane od

niego listy darł, nie przyjmował przekazów albo odsyłał je, nie chcąc mieć u siebie "pieniędzy wroga". Między braćmi nastąpiło więc całkowite zerwanie... choć w głębi duszy Bruno litował się nad Robertem, uważając go za nieodpowiedzialnego, myślał, że w dniu, kiedy to się okaże konieczne - nie wiadomo, który z nich pierwszy będzie tego potrzebował - będzie mógł okazać mu pomoc i wystąpi w jego obronie.

To, co myślał Roger Brienne, o wiele bardziej umiarkowany, bliższe było wyraźnie stanowiska zajmowanego przez Sarę. Ten niepoprawny Cygan nigdy nie miał jakichś wyraźnie określonych poglądów politycznych, a jego reakcje, podobne do tych, jakim kiedyś dawała wyraz Sylvia, podyktowane były zdrowym rozsądkiem.

- Wojna... ta cholerna, zasrana apokalipsa... drażni mnie! Drażnią mnie Niemcy. Drażni mnie programowy głód. Jestem przeciwko temu wszystkiemu. I przeciwko tym wszystkim, którzy pomagają albo próbują usprawiedliwiać całe to gówno. Moje poglądy polityczne to całkowita odmowa, kompletna alergia.

Ta "całkowita odmowa" nie prowadziła wszakże do tego, by fotograf angażował się w jakąkolwiek działalność. Ograniczał się do przetrwania, do pracy w miarę otrzymywanych zamówień, do słuchania radia Londyn, a nawet chętniej radia Sottens, którego komentarze były bardziej bezstronne. Utrzymywał też dobre stosunki z kumplami_kolaborantami. Nie przeszkadzało to, że książki Roberta osądzał surowo, ale była

to ocena czysto literacka.

- Wszystko, co przesadne,
staje się obojętne! Nie pisze
dobrze ten, kto zawsze używa
słów najbardziej dosadnych. Od
tego nadmiaru tępieje
wrażliwość, a przynajmniej
wrażliwość czytelnika, takiego
jak ja... Gdyby twojemu bratu
pozostawić wolną rękę, wkrótce
we Francji ostałaby się tylko
garstka pomyłonych sojuszników
dowodzących plebsem za pomocą
kija.

Restauracja z wolna
pustoszała.

- Chcesz, żebyśmy poszli do
mnie? - zapytał Robert. - Cieszę
się, że powiedziałas mi, jak
żyjesz, co porabiasz. Ale masz
jeszcze na pewno mnóstwo rzeczy
do opowiedzenia.

Wstali i skierowali się do
szatni żegnani z szacunkiem
przez Jeana i jego ekipę
kelnerów. Po wyjściu z
restauracji udali się ulicą
d'Artois i skręcili w lewo
ulicą Washingtona. Sara wzięła
brata pod rękę.

- Mnóstwo rzeczy? Nie
przestaję mówić od chwili, gdy
do ciebie przyszedłem. Ale jeśli
masz czas, odprowadzę cię mimo
to. Tak przyjemnie jest być z
tobą!

A więc był ktoś jeszcze oprócz
Joachima Botto, komu jego
towarzystwo sprawiało
przyjemność? Inni zwolennicy
kolaboracji okazywali mu co
prawda sympatię, ale zazdrościli
sławy. Znajomi Niemcy rozpływali
się w uśmiechach, ale czuł, że
dla nich jest tylko narzędziem,
które porzuca z zimną krwią,
kiedy przyjdzie czas, kiedy
przestanie im być potrzebny.
Wszyscy inni ostentacyjnie
odwracali się do niego plecami

albo co najwyżej okazywali mu zimną, czasem służalczą uprzejmość, z trudem skrywając głęboką wrogość. Któregoś dnia znajdzie się na pewno jakiś szaleniec i spróbuje go zabić, tak jak ów Paul Colette, który 27 sierpnia, w Wersalu, podczas parady wojskowej Francuskiej Legii Ochotniczej strzelał do Laval'a i D~eata raniąc ich obu...

Przycisnął czule ramię siostry, jak gdyby chciał się na niej wesprzeć, poprosić o radę lub ratunek. Wyczuwając jego ukrytą niedolę, odwróciła się do niego i uśmiechnęła z siostrzanym zrozumieniem. Nie potrzebowali słów; wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, lepiej niż słowa wyrażał ten uścisk ręki, ten uśmiech.

Sara miała jednakże i inny powód do zmartwienia. Od czasu rozmowy z księdzem Ricolais bez przerwy myślała o tym, co jej powiedział stary ksiądz, i to z tym większym niepokojem, że antysemicka furia nasilała się z dnia na dzień. Przewrażliwiona śledziła w gazetach wszystko, co dotyczyło tej sprawy, a od czasu przyjęcia do pracy w drukarni du Croissant czytała jeszcze więcej niż przedtem, słuchała wszystkiego na ten temat w radiu, zarówno paryskim jak londyńskim, a także w audycjach nadawanych z Vichy i Sottens.

Wiedziała więc, że po ogłoszeniu statusu Żydów 18 października 1940 roku rząd Vichy zaczął przyspieszać bieg sprawy i ustawą z 2 czerwca 1941 roku zobowiązał Żydów do stawienia się na spis w terminie jednego miesiąca, pod karą od jednego miesiąca do jednego roku więzienia i grzywny od stu do

tysiąca franków, nie mówiąc już o groźbie przymusowego internowania. Wiedziała też, że już z końcem 1939 roku Niemcy nakazali Żydom zamieszkałym na okupowanych ziemiach polskich noszenie dwóch niebieskich gwiazd, na piersiach i na plecach; że od września 1941 roku noszenie żółtej gwiazdy obowiązywało Żydów na całym terytorium nazistowskich Niemiec. Wreszcie, radio Londyn podało, że niedawno generał Otto von Stulpnagel, szef Naczelnego Dowództwa wojsk niemieckich we Francji, zaproponował rządowi Vichy, aby taka sama żółta gwiazda obowiązywała wszystkich Żydów, zarówno w strefie wolnej, jak i okupowanej.

Sara wiedziała też, że 29 marca 1941 roku rząd Vichy utworzył Generalny Komisariat do spraw Żydów, kierowany przez zajadłego antysemitę, Xaviera Vallata. Pod egidą tego Komisariatu i w ścisłej współpracy z władzami niemieckimi w maju, sierpniu i grudniu 1941 roku przeprowadzono już masowe łapanki; w sumie 8700 Żydów staraniem policji francuskiej zostało zatrzymanych w Paryżu i osadzonych w Beaune-la-rolande, Pithiviers, Drancy i Compiègne. Wreszcie, propaganda antyżydowska stawała się coraz bardziej gwałtowna - prasa, radio, filmy nie ustawały w podsycaniu nienawiści rasowej; specjalnie utworzony dziennik, "Le Pilon", celował w denuncjowanie ukrywających się Żydów.

Sara zdawała sobie sprawę, że to wszystko dotyczy bezpośrednio lub pośrednio jej samej. Poza tym, w miarę upływu czasu, coraz częściej zdarzało się, że

robiono uwagi na temat jej imienia lub przynajmniej domyślała się, że jej rozmówcy mają na to ochotę. Jules Grochon, dyrektor drukarni du Croissant, na przykład, trochę się skrzywił, kiedy pokazała mu swoją legitymację ubezpieczeniową.

- Pani ma na imię Sara?

Wyjaśniła, dlaczego, i dyrektor nieznacznie wzruszył ramionami na znak, że w gruncie rzeczy nie ma to dla niego większego znaczenia. Nie był w najmniejszym stopniu antysemitą; lewicowiec, uczeń Edouarda Herriota, w młodym wieku wstąpił do Wielkiej Łoży, gdzie awansował równie szybko jak w swoim zawodzie, bo w 1935 roku został podniesiony do godności mistrza loży Ernesta Renana, co ułatwiło nieco rozwój jego drukarni. Nie był więc antysemitą, ale zachowywał ostrożność. Wystarczyło już, że sam był masonem i że w skład kapitału zakładowego jego przedsiębiorstwa wchodziły fundusze kilku Żydów.

- Nie ma pani drugiego imienia? Osobiście jest mi obojętne czy pani nazywa się Sara... czy Ernestine, czy też P~etronille... byleby pani dobrze pracowała. Ale, wie pani od brata, że drukujemy gazety przychylne rządowi Vichy i Niemcom. Trzeba jakoś przetrwać, prawda? Maszyny nie mogą stać, a robotnicy muszą z czegoś żyć. No więc, w naszych halach kręci się pełno kolaborujących dziennikarzy, którzy obserwują łamanie swoich piśmideł. Nie chciałbym, żeby w ich obecności któryś z urzędników albo robotników firmy nazwał panią prawdziwym imieniem. Na

dziewięciu, którzy nie zwrócą na to uwagi albo machną ręką, może się znaleźć dziesiąty, jakiś gnojek, i będzie się mnie czepiał... A co gorsza, będzie się czepiał pani!

W drukarni Sara nazywała się więc Sylvia; przyjęła imię matki. Bruno zareagował na to tylko wzruszeniem ramion.

- Skoro tata Grochon i ty uważacie, że tak jest rozsądniej, niech tak będzie!

Wtedy Sara doznała nieprzyjemnego uczucia, że się ukrywa i, co było jeszcze bardziej nieprzyjemne, że postępuje wbrew sobie samej, że się maskuje. I, swoim zwyczajem, przyczała się tylko.

- Zobaczmy! - mówiła do siebie, powtarzając fatalistyczną formułkę Josefa... co dawało jej kojące wrażenie, że dochowuje wierności myślom zaginionego kochanka.

Wyniośle zignorowała prawo nakazujące Żydom stawić się na spis.

- Zobaczmy! Jeśli naprawdę jestem Żydówką, stosowne urzędy mogą robić, co do nich należy, i złapią mnie na rogu ulicy. A jeśli nią nie jestem, to nie będę się sama pchała w paszczę wilkom!

Zlekceważyła też uwagi na temat swego niefortunnego imienia, zastosowała się wprawdzie do sugestii dyrektora Grochon, ale tylko przez wzgląd na szacunek, jakim go darzyła. I z nikim nie rozmawiała o dręczącym ją problemie, ani z Brunem i Lucienne, ani z Brienne, a tym bardziej z Robertem.

Czy powinna powiedzieć mu teraz? Zastanawiała się nad tym, idąc z bratem pod rękę

chodnikiem ulicy Washingtona.
Niemcy zarekwiirowali gmach
Towarzystwa Shell. Na froncie
budynku łopotała flaga ze
swastyką. Nieco dalej wisiał
plakat zachęcający młodych
Francuzów do wstępowania do
Francuskiej Legii Ochotniczej do
walki z żydowskim
bolszewizmem... do tej Legii,
której Robert stał się jednym z
najbardziej aktywnych
propagatorów, podobnie jak
propagował antyżydowską wystawę
"Żyd a Francja" zorganizowaną w
pałacu Berlitz, a na którą
zapraszał paryżan inny afisz.
Jeśli Sara jest Żydówką, to
Robert również. Jak przyjąłby
słowa siostry? Jak niegodne
zainteresowania brednie, które
należy zbyć wzruszeniem ramion?
Jak niepokojącą hipotezę? Jak
tragiczne odkrycie, które
podważyłoby sens jego
działalności, jego książek,
artykułów, przemówień... nawet
życia? Jako zachętę do wycofania
się, do ucieczki przed podjętą
odpowiedzialnością? A jakie
byłyby następstwa tego
wszystkiego? Sara czuła -
zwłaszcza po wyjściu z
restauracji - jak bardzo brat
jest słaby, bezbronny.
- Zobaczmy! - powtórzyła raz
jeszcze. I zachowała milczenie.
Nie zastanawiała się nawet,
czy to "zobaczmy" nie jest aby
sprzeczne z powziętymi przez nią
postanowieniami. Postanowiła
zdobyć wolność i niezależność i
udało jej się to. Jej
determinacja wypisana była
wyraźnie w jej spojrzeniu, na
twarzy, wyrażała się w ruchach
ciała. Ale równocześnie nie
chciała się angażować,
kompromitować. w jakikolwiek
sposób, wtrącać w życie Roberta,

uczestniczyć w działalności
Bruna, tak samo jak nie chciała
rozstrzygać kwestii nurtującej
ją od czasu rozmowy z
proboszczem w Lagny.
A to dlatego, że według niej,
w okolicznościach, w jakich
znalazł się kraj, istniało coś
takiego jak fałszywa śmiałość,
fałszywa odwaga polegająca na
tym, że ludzie rzucali się w
ryzykowne i śmiertelnie
niebezpieczne może, a w każdym
razie nierozważne i ulotne
przygody, tak jak Robert i
Bruno, i kompromitowali się w
ten sposób, brudzili sobie ręce.
Uważała też, że wobec rozmyślnej
wrogości otoczenia, wobec
świata, którego jedynym celem
zdawało się być zniszczenie
istot takich jak ona, prawdziwa
wola, prawdziwa odwaga,
prawdziwa śmiałość powinny
polegać na tym, żeby dostrzegać
wszystkie niebezpieczeństwa i
czekać z nie słabnącą
przytomnością umysłu na moment,
kiedy będzie można podnieść
głowę. Ta mała Antygona o
czystym spojrzeniu, byстрым
wyrazie twarzy, nieskalanych
rękach, o niezłomnej woli, za
wszelką cenę starała się
uchronić przed jakimkolwiek
zaangażowaniem, przed
jakąkolwiek przygodą i
kompromitacją, podobnie jak w
życiu prywatnym, nie bacząc na
najgorętsze, tajemne pragnienia,
wystrzegając się wszelkiej
słabości; od chwili zniknięcia
Josefa nie dotknął jej żaden
mężczyzna i nie dotknie aż do
zakończenia tego dramatu, jaki
przeżywała. Zachowała swoją
niewzruszoną dumę. pełną jasność
umysłu, uczciwość, czystość,
wierność aż do końca. Aż do
powrotu spokoju i szczęścia, aż

do swojego osobistego
zwycięstwa, które będzie także
zwycięstwem Francji.
Po powrocie do domu Sara i
Robert rozmawiali o przeszłości,
o rodzicach, o ciasnej stróżówce
w Saint_mand~e, o mieszkaniu
przy ulicy Vacheresse, o willi
"Promienny Uśmiech". Wspomnienia
napływały falami. Aresztowanie
ojca nie odbiło się na nich tak
silnie, jak na starszym z braci,
ale pamiętali je oboje.
Pamiętali też prezenty od
Raymonda Meyera, swoje
dzienniczki szkolne, budowę
willi, a potem jej inaugurację.
Kiedy żegnali się późnym
wieczorem, pocałowali się z
nigdy dotąd nie odczuwaną w
takim stopniu tkliwością, ze
łzami w oczach. Robert obiecał,
że zadzwoni, jak tylko dowie się
czegoś o Josefie. Sara
przyrzekła, że będzie go
odwiedzała. W metrze poddała się
ogarniającej ją radości: za
tydzień, za dwa, za miesiąc
czegoś się dowie. Być może...
Wróciwszy w aleję Racheli,
zjadła, jak zwykle, kolację z
Brienne.ami. Bez większego
apetytu, bo za bardzo najadła
się na obiedzie w restauracji
Douceta. A mama P~etrac dostała
u Labri.ego kotlety wieprzowe.
Podała je garniowane
przecieranymi pomidorami,
plasterkami korniszonów,
ziemniakami gotowanymi na parze;
była to prawdziwa uczta, jak w
jakimś niezwykłym dniu!
Po kolacji słuchali radia
Londyn. Głos kogoś z Wolnej
Francji oznajmił, że wojska
niemieckie zaczęły się wycofywać
spod Moskwy: "Rosyjska zima,
rosyjska armia, rosyjski naród
biorą górę nad hitlerowską butą!
Nie przygotowanych na mróz,

niedostatecznie wyposażonych
żołnierzy Hitlera odpierają z
przedmieść Moskwy lepiej
zaprawieni do trudów wojennych i
bardziej odważni rosyjscy
żołnierze i partyzanci. Można
więc sądzić, że nastął kres
niemieckich zwycięstw. Szala
wojny przechyla się, wojna
wchodzi w drugą fazę. Jak
przepowiedział de Gaulle,
zwycięstwo przechodzi nareszcie
do drugiego obozu..."

Część trzecia

1942_#1944

I

Rok 1942 obfitował w pozytywne
oznaki zwrotu dokonującego się w
wojnie, świadczące nareszcie o
powstrzymaniu długiej serii
niemieckich zwycięstw,
ożywiającej nadzieję w sercach
ludzi i pozwalającej dostrzec
możliwość, a nawet
prawdopodobieństwo ostatecznej
klęski państw Osi.

Trzeciego marca, po raz
pierwszy od czasu przystąpienia
do wojny, Japończycy przegrali
bitwę morską na Morzu Koralowym.

Dwudziestego ósmego marca
alianci spróbowali dokonać akcji
w Saint_Nazaire i zostali
wprawdzie odepchnięci do morza,
ale dla opinii publicznej
operacja ta była dowodem
odzyskanej wreszcie śmiałości.

Siedemnastego kwietnia udało się
zbiec z Niemiec generałowi
Giraud, co dla jego strażników
było zniewagą, z której cieszyła
się cała Francja. Szóstego maja
Anglicy wylądowali na
Madagaskarze uniemożliwiając w
ten sposób wykorzystanie wyspy
przez Japończyków na bazę
wypadową. Jedenasty czerwca
zapisał się chwalebny
zwycięstwem w Bir Hakeim, gdzie
żołnierze francuscy pod wodzą

Koeniga pobili Afrika Korps.
Dziewiętnastego sierpnia alianci ponownie spróbowali przebić się na wybrzeże francuskie, tym razem w Dieppe: operacja "Jubilee" i tym razem zakończyła się fiaskiem, ale była też kolejnym dowodem waleczności odzyskanej przez wolne narody. W dniach 23 października - 3 listopada, w bitwie pod El Alamein, Montgomery zwyciężył wreszcie Rommla. Ósmego listopada alianci wylądowali w Afryce Północnej, a równocześnie w Casablance, Oranie i Algierze. Wreszcie 6 grudnia Rosjanie zaczęli otaczać armię niemiecką pod Stalingradem; była to kosztowna, krwawa i bohaterska operacja mająca się zakończyć 31 stycznia 1943 roku kapitulacją marszałka von Paulusa.

Ale w tym samym 1942 roku wojna nasiliła się, a zarazem "przegniła". Podczas gdy japońscy sojusznicy prowadzili ofensywę zajmując w styczniu Filipiny, a w lutym Birnę, Niemcy zostali zmuszeni do przyjęcia postawy coraz bardziej defensywnej. Zadawali jeszcze wprawdzie przeciwnikowi straszne ciosy i odnosili wiele sukcesów taktycznych, ale nie była to już dla nich ta "świeża i radosna" wojna lat 1940_#1941. Minał już czas niepowstrzymanego marszu naprzód oddziałów Wehrmachtu na wszystkich frontach, wspaniałych ofensyw dywizji pancernych, świetnych zwycięstw Luftwaffe, triumfalnych komunikatów obwieszczanych przez herolda - Goebbelsa. Przewaga techniczna nie była już taka oczywista, zawodziła łączność, oddziały topniały w coraz bardziej morderczych walkach, słabł entuzjazm. Toteż na inicjatywy

przeciwnika Niemcy odpowiadać mogli już tylko ograniczonymi, sprawdzonymi operacjami, noszącymi równocześnie znamię pierwotnego wynaturzenia nazizmu narastającego w miarę, jak przybywało doznawanych przez nich coraz poważniejszych niepowodzeń.

Kiedy wojska alianckie zyskały przewagę bojową, naziści wzmożli ataki na najsłabsze punkty po stronie nieprzyjaciela: na okupowane, bezbronne kraje, ludność cywilną, partyzantów, Żydów. Po desancie aliantów w Afryce Północnej zajęli nie okupowane dotąd południe Francji; po hekatombie swoich żołnierzy w Rosji zmobilizowali folksdojczów (we Francji byli to mieszkańcy Alzacji i Lotaryngii), jak to przewidział Josef Primula, i we wszystkich okupowanych krajach zmuszali ludzi do bezpłatnej pracy dla Rzeszy; w odpowiedzi na ruch oporu, który wszędzie już podnosił głowę, zastosowali krwawe represje, aresztowali, torturowali, rozstrzeliwali; wobec nasilających się, w związku z blokadą Europy, trudności aprowizacyjnych systematycznie głodzili ludność cywilną; wobec narastającej wrogości opinii publicznej uciekali się do coraz bardziej masowej... i coraz bardziej nieudolnej propagandy. Nie byli to już ci sami co w czerwcu 1940 roku okupanci, "bez zarzutu", poczciwi wojacy spieszący z pomocą uciekającej ludności i dzielący się z dziećmi własnymi racjami żywnościowymi ze słowami: "La guerre, gross malheur!" (wojna to wielkie nieszczęście!); nie byli to już ci sami, pewni

siebie żołnierze, maszerujący ze
śpiewem i z uśmiechem ku
zwycięstwu; szli wśród
zapuszczonych pól, spod hełmów
wyglądały teraz stężałe i
przywiedłe twarze, usta
zaciskały się, wyblakłe oczy
nieruchomiały jak w halucynacji,
nękane strachem przed klęską,
lękiem i nienawiścią wobec
niezliczonego wroga - tym
groźniejszego, że z pozoru był
bardziej bezbronny. W owym 1942
roku prawdziwymi nieprzyjaciółmi
Niemiec byli już nie tyle
żołnierze wszelkich narodowości,
stawiający opór atakom nazistów
lub sami atakujący okupowaną
Europę, lecz raczej cywile z
wyrazem potępienia we wzroku,
partyzanci, którzy porwali się
do działania nie mając już nic
do stracenia, dzieci o oczach
pełnych oskarżającej
niewinności, zastraszeni Żydzi i
tak już doświadczeni
wcześniejszymi prześladowaniami,
nad którymi, z braku czegoś
lepszego, tak łatwo było odnosić
hańbiące zwycięstwa.
Tak to, bardziej chora niż
brocząca krwią, Europa wkraczała
w drugą fazę wojny naznaczoną
piętnem podłości, która w trzy
lata później miała się objawić w
całej swojej potworności.
W poniedziałek 8 czerwca 1942
roku Myriam Rubinstein,
robotnica w drukarni du
Croissant, przyszła rano do
pracy z przyszytą z lewej strony
żakietu, na wysokości serca,
sześcioramienną gwiazdą z
żółtego materiału, wielkości
dłoni, ze słowem "Żyd" wypisanym
czarnymi literami, doskonale
czytelnymi, choć karykaturalnie
naśladującymi pismo hebrajskie.
Jak nakazywały komunikaty
Prefektury Policji wydane na

mocy rozporządzenia niemieckiego z 29 maja, a dotyczące blisko 100.000 Izraelitów objętych w Paryżu ubiegłorocznym spisem, przeprowadzonym na mocy ustawy rządu Vichy z 2 czerwca 1941 roku, Myriam Rubinstein stawiała się dwa dni wcześniej w głównym komisariacie swojej dzielnicy, przy placu des Petits_Peres. W dzielnicy tej zamieszkiwało wielu Żydów - byli to głównie kupcy tekstylni i konfekcyjni - i musiała czekać w kolejce wiele godzin w otoczeniu mężczyzn i kobiet przygnębionych i zrezygnowanych, milczących, posłusznych obojętnym lub rozbawionym policjantom. Kiedy wreszcie weszła do biura, pokazała swój dowód osobisty, książeczkę rodzinną, kartę żywnościową i zaświadczenie wydane podczas spisu. Z kartki tekstylnej policjant wyciął jej dwa odcinki - na które mogłaby kupić sześć chustek do nosa albo dwie pary dzieciennych skarpetek - potem wręczył jej trzy złote gwiazdy dla niej i trzy dla jej synka Davida, który skończył niedawno dziesięć lat. Nie dotyczyło to jej męża, bo jako więzień wojenny znalazł się w Niemczech. Wieczorem spędziła godzinę z okładem na przyszywaniu gwiazd do najczęściej noszonych ubrań swoich i synka, nie zapominając o jego czarnym szkolnym fartuszku.

Następnego dnia, w niedzielę, wyszła z dzieckiem kupić chleb. Najbliższe ulice pełne były ludzi z gwiazdami, mężczyzn, kobiet, dzieci, starców. Widziała nawet kombatantów, inwalidów wojennych z gwiazdą przyszytą obok odznaczeń przypiętych na tę okazję.

Spotykani przez nią ludzie bez gwiazdy w większości przypadków omijali wzrokiem Żydów. We wzroku tych nielicznych, którym udało jej się spojrzeć w oczy, wyczytała obojętność - być może udaną - czasem ciekawość albo litość, rzadko wrogość.

W ten poniedziałkowy rano, przed wyjściem do drukarni, Myriam pomogła synkowi ubrać się, potem wyprawiła go do szkoły przy ulicy Dussoubs.

- Staraj się, syneczku! Musisz być najlepszy w klasie, żeby zrobić przyjemność tatusiowi...

- Tak. I żeby dać w kość Hitlerowi.

Na ulicy R~eaumur chłopczyk usłyszał, że ktoś za nim biegnie.

- Hej... Rubinstein!

Był to Pierre Mangin, jego najlepszy kolega. Dogoniwszy Davida utkwiał wzrok w jego piersi i oczy mu się zaokrągliły. Spodziewając się jakiejś nieprzyjemnej uwagi, David przełknął ślinę.

- O Boże! - wybąkał Mangin. - Ale masz fart! Fajnie wygląda, jak jakiś medal!

Po krytym boisku szkolnym dziesiątki dzieci w czarnych fartuszkach biegały we wszystkie strony, klucząc pomiędzy słupkami podtrzymującymi dach.

- Chłopaki! Popatrzcie na Rubinsteina!

Utworzyło się kółko, a w jego środku stał David. Kraber, L~evy, Cohen, Finkelstein uśmiechnęli się:

- My też takie mamy! I chłopaki w innych klasach również!

W grupce dzieci zakotłowało się i pokazały się dwie wrogie twarze.

- Żydki! Żydki! - wyskandowali

dwaj chłopcy. - To przez nich
jest wojna!

Mangin odwrócił się raptownie.

- Banda kretynów! To przez
Davida jest wojna?

- Pewnie! Trzeba przepędzić
tych Żydziaków!

David zastanawiał się, co się
takiego stało. Był takim samym
dzieckiem jak inne, grał w
kulki, dostawał w skórę, uganiał
się po ulicach, miał zabawki,
słupki do odrobienia, lekcje do
nauczenia, kochaną mamusię,
tatusia w obozie. Nagle matce
kazano przyszyć mu na piersi
kilka centymetrów kwadratowych
żółtego materiału i stał się
kimś, kogo zauważano na ulicy,
odróżniano od innych, kimś, kto
wywoływał zdziwienie Mangina,
gniew wrogo nastawionych dzieci.

Do tej pory dobrze wiedział, że
nazywa się Rubinstein; w każdą
sobotę matka nakrywała stół
białym obrusem i ojciec odmawiał
modlitwę szabasową; w święto
Paschy spożywali gorzkie zioła
dla uczczenia przejścia Żydów
przez Morze Czerwone; w święto
Jom Kipur pościli, a potem szli
pomodlić się do synagogi przy
ulicy de la Victoire. Ale nikt
nigdy nie zrobił mu na ten temat
najmniejszej uwagi. Dlaczego
dzisiaj piętnuje się go jak
zwierzę, jak niewolnika?

Kiedy Myriam przyszła do
drukarni, minęła w wejściu
Sylvię, piękną sekretarkę szefa,
siostrę zecera, Bruna Rittera,
zawsze uprzejmą i miłą dla
wszystkich. Sylvia zatrzymała
się, uśmiechnęła się do Myriam,
powiedziała jej dzień dobry,
podała rękę. W jej spojrzeniu
był smutek, sympatia,
współczucie, ale też coś więcej
- jakby cień solidarności. Inni
robotnicy nic nie powiedzieli,

ale ich spojrzenia były bardziej przyjazne niż kiedykolwiek. Świat robotniczy nie porzuca swoich i serdeczność, jaką wokół siebie odczuwała, trochę podniosła ją na duchu. Tego samego dnia Raymond Meyer wyszedł ze swojej willi w Saint-Cloud nieco później niż zwykle, bo żona zatrzymała go, żeby przyszyć mu żółtą gwiazdę do garnituru z jasnoszarej gabardyny. Udał się pieszo z domu na końcową stację metra przy rogatkach Saint-Cloud. Po drodze spotkał kilka osób z gwiazdą, podobnie jak on ukrywających ją mniej lub bardziej zręcznie pod zgiętą lewą ręką. Wyszedszy z metra naprzeciw swojego domu towarowego zadrżał; na wszystkich wystawach domów Galeries de l'opéra, na wysokości oczu, przyklejone były żółte nalepki o wymiarach około trzydziestu na dwadzieścia centymetrów, z napisem wykonanym dużymi, czarnymi literami: "J~udisches Gesch~aft - Sklepik żydowski". Jeden z kierowników działu wyjaśnił mu: - Przyklejali te nalepki policjanci francuscy, od środka, w każdej witrynie, przyszli zaraz po otwarciu... Nieco później radio Londyn miało opowiedzieć historię tych wywieszek. Wynałazek ten zrodził się w płodnym umyśle hauptsturmf~uhrera SS, Theodora Danneckera, młodego szefa - miał zaledwie dwadzieścia osiem lat - Wydziału do spraw Żydów francuskiego Gestapo. Dannecker uznał bowiem, że obowiązkowa żółta gwiazda, która miała odizolować Żydów, a także przygotować ich deportację celem "ostatecznego rozwiązania"

postanowionego przez nazistów podczas konferencji w Wannsee, nie wystarcza. Taki indywidualny znak rozpoznawczy był czymś dobrym, ale należało jeszcze ujawniać działalność gospodarczą i zawodową Żydów oznaczając w jakiś widoczny sposób przedsiębiorstwa będące ich własnością lub te, w których stanowili oni większość udziałowców.

Podczas jednego z cotygodniowych wtorkowych zebrań organizowanych przy alei Focha z udziałem sekretarza generalnego Policji Vichy, René Bousqueta, jego stałego przedstawiciela w strefie okupowanej, Jeana Leguay oraz nowego komisarza generalnego do spraw Żydów, Louisa Darquier de Pellepoix - bardziej jeszcze zacieklego antysemitę niż jego poprzednik, Xavier Vallat - Dannecker przedstawił swój projekt mający wejść w życie równocześnie z obowiązkiem noszenia żółtej gwiazdy, bo obie te inicjatywy wzajemnie się uzupełniały. Ale zaprojektowana przez niego wywieszka, mająca znaleźć się u wejścia do wszystkich żydowskich przedsiębiorstw, zawierała jeszcze wtedy tylko niemiecką wersję: "Jüdisches Geschäft". Potrzebne było jej tłumaczenie na język francuski. Dosłownie "Geschäft" tłumaczy się jako "handel"; ostatecznie można by napisać "przedsiębiorstwo", "firma" albo "magazyn". Ale Louis Darquier de Pellepoix wziął sprawę w swoje ręce.

- Proponuję, "Sklepik żydowski". "Sklepik" i "sklepikarz" mają odcień pejoratywny. To by sugerowało, że Żydów nie stać na nic więcej niż sklepik, oczywiście z

kantorkiem na zapleczu, gdzie swoimi haczykowatymi palcami liczą pieniądze, z których okradają Francuzów.

Theodor Dannecker, René Bousquet i Jean Leguay mogli tylko gorąco przyklasnąć tej propozycji. Projekt Louisa Darquier de Pellepoix został więc zatwierdzony. Na oczach bliskiego płaczu Raymonda Meyera dom towarowy Galeries de l'opéra, jeden z największych i najbardziej renomowanych w Paryżu, został przemianowany na "Sklepik żydowski".

- Sklepik! A może by tak kram! Albo bazar! Albo buda! Właściwie bardziej go dotknął pejoratywny, obelżywy odcień słowa "sklepik" niż sama wywieszka i zasada, z której wynikała. A więc Niemcom i rządowi Vichy nie dość było wskazać kupców żydowskich, trzeba ich było jeszcze upokorzyć.

Żółta gwiazda i wywieszka miały zostać wprowadzone w całej strefie okupowanej z dniem 15 marca 1942 roku; była to data wyznaczona początkowo przez władze francuskie i niemieckie, ale wielokrotnie ją przekładano ze względu na trudności praktyczne związane zwłaszcza z drukiem nalepek. Ponieważ 7 czerwca, a był to termin ostateczny, wypadł w niedzielę, kiedy sklepy są zamknięte i ludzie przeważnie siedzą w domu, dopiero w poniedziałek 8 czerwca paryżanie przeżyli szok w wyniku tej operacji. 83.000 na 100.000 Żydów zarejestrowanych podczas ubiegłorocznego spisu nosiło gwiazdę: dzieci od szóstego roku życia, mężczyźni, kobiety, starcy, drobni kupcy i przedstawiciele wolnych zawodów

- lekarze, aptekarze, adwokaci, architekci, którym już wcześniej zabroniono praktyki zawodowej - urzędnicy, robotnicy. Dowódca paryskiej straży pożarnej dowiedział się, że dwudziestu ośmiu spośród jego ludzi musi nosić gwiazdę na mundurze. Zwolnienia od tego obowiązku były niezwykle rzadkie i objęły trzy osobiste przyjaciółki marszałka P~etaina oraz żonę Fernanda de Brinon, z domu Frank, i wdowę po filozofie Henri Bergsonie.

Tego samego poniedziałkowego ranka 8 czerwca na około 13.000 paryskich sklepów pojawiły się żółte wywieszki. Oprócz domów towarowych Galeries de l.op~era znalazły się między nimi magazyny meblowe Levitan, domy towarowe Galeries Barb~es, sklepy futrzarskie firmy Brunswick, tekstylne Buchara, targ Saint_Pierre, większość sklepów z futrami, tkaninami, meblami, wiele sklepów z biżuterią, salonów fryzjerskich, sklepów spożywczych. Całe dzielnice roły się od żółtych gwiazd i wywieszek: Marais, Sentier i ich okolice, X, XVIII i XX dzielnica.

Do tej pory paryżanie nie widzieli prześladowań organizowanych przeciwko Żydom. Teraz zobaczyli. Nie mogąc okazać potępienia i oburzenia, jakie w większości odczuwali, posuwali się do gestów nieśmiałej solidarności, większej niż zazwyczaj uprzejmości i, choć ograniczał je strach, zainteresowani nie pozostawali na nie obojętni; w metrze nie Żydzi ustępowali miejsca Żydom, w kolejkach, przed sklepami kobiety przepuszczały Żydówki, na

ulicach mężczyźni ostentacyjnie przeprowadzali przez jezdnię żydowskie dzieci. W Paryżu, Bordeaux, Nancy, Clermont_Ferrand nie_Żydzi zaczęli nosić gwiazdy albo żółte kwiaty, albo chusteczkę, albo kawałek papieru w kształcie gwiazdy z napisem "Goy" albo "Owerniak". Na Uniwersytecie Paryskim studenci obnosili znaczki z napisem "Juif" (po francusku Żyd) twierdząc, że jest to skrót od "Jeunesse universitaire et intellectuelle française" (Związek Francuskiej Młodzieży Studenckiej i Inteligenckiej). W samym Paryżu odbyło się nawet kilka manifestacji, podczas których aresztowano dwudziestu nie_Żydów; wywiezieni do obozu koncentracyjnego w Drancy, zostali zwolnieni dopiero we wrześniu.

Tego dnia Sara wyszła z domu o 7:15, żeby zdążyć do drukarni na ósmą. Na rogu alei Racheli i bulwaru Clichy spotkała starego dozorcę sąsiedniej kamienicy. Mężczyzna był, jak zwykle, ubrany w szarą bluzę i baskijski beret. W prawej ręce niósł swoją skąpą rację chleba i złożoną gazetę. Z lewej strony bluzy, pod kieszonką, z której wystawały okulary, grubym ścięciem, czarną nicią miał przyszytą żółtą gwiazdę. Sara zadrżała, poczuła, że trzęsą się jej nogi. Spuściła oczy, żeby nie napotkać wzroku starszego człowieka: cóż takiego mogłaby przekazać mu spojrzeniem, co pomogłoby mu w nieszczęściu? W metrze, między placem Clichy i Dworcem Saint_Lazare, gdzie przesiadała się na inną linię, a potem aż do stacji przy Giełdzie, spotykała innych Żydów

i za każdym razem doznawała tego samego dreszczu oburzenia.

Naznaczeni w ten sposób mężczyźni i kobiety starali się udawać obojętność, niektórzy próbowali ukryć gwiazdę pod zgiętą lewą ręką, pod skórzaną teczką albo torebką. Na ulicy Reaumur, którą chodziła do drukarni, natknęła się na grupkę dzieci w drodze do szkoły i one również były oznakowane; bawiły się i biegały jak co rano, pozornie niczego nieświadome - ale kto umiałby powiedzieć, co się działo w ich głowach? Widok tych dzieci skazanych na mściwe szaleństwo antysemitów był gorszy niż wszystko inne. Sara miała ochotę wykrzyczeć swój gniew, swój bunt. U wejścia do drukarni spotkała Myriam Rubinstein.

Jules Grochon był już w biurze dyrekcji, kiedy tam weszła. Wiedziała, że przed nim może dać upust swojemu oburzeniu, odrazie.

- Panie Grochon! Widział pan? Te gwiazdy... te wywieszki na wystawach sklepowych? A Myriam Rubinstein? Co za okropność! Jak można coś takiego tolerować? Czy nie można czegoś zrobić?

- Niestety, moje dziecko... cóż pani poradzi przeciwko ślepej sile głupoty i okrucieństwa? A to dopiero początek, proszę mi wierzyć, nie poprzestaną na tym.

Miał rację. W lipcu rząd Vichy i Niemcy wydali nowe przepisy dotyczące segregacji rasowej: Żydom zabroniono uczęszczania do restauracji, kawiarni, teatrów, kin, sal koncertowych, music_halli, na targi i jarmarki, do muzeów, bibliotek, na wystawy, imprezy sportowe, baseny, na skwery i do ogrodów

publicznych, zabroniono im
zwiedzania zabytków,
zatrzymywania się na campingach.
Zabroniono im także korzystania
z publicznych telefonów. W
metrze wolno im było wsiadać
tylko do ostatniego wagonu.
Zakupy ograniczono im do godzin
popołudniowych, podczas gdy
sklepy w tym okresie niedostatku
zaopatrywane były rano i
natychmiast pustoszały. Decyzje
te drukowane były w gazetach
jako komunikaty Prefektury
Policji i policjanci francuscy
mieli obowiązek przestrzegać ich
stosowania.

Zawsze, kiedy Sara trafiała na
taki tekst w prasie - w tym
także w gazetach wychodzących w
drukarni du Croissant -
przyprawiało ją to o mdłości.

- ...A my nic nie robimy! -
mówiła do swojego szefa. -
Wszyscy siedzą cicho, ogarnięci
apatią! To potworne!

Siedząc naprzeciw niej, dobry
Jules Grochon starał się
rozumnie łagodzić jej bunt, choć
był tego samego zdania co ona.
- Co można zrobić przeciwko
niemieckim karabinom maszynowym?

Moja biedna Sylvio, my nie
jesteśmy tacy, jak Duńczycy,
którzy jednomyślnie potępili
żółtą gwiazdę i w dniu, kiedy
zaczęła obowiązywać w ich kraju,
przypięli ją wszyscy, łącznie z
królem Chrystianem "X, przez
solidarność z Żydami... Mówiło o
tym wczoraj wieczorem radio
Londyn. A we Francji, ilu z nas
doznaje tego uczucia buntu? W
tym kraju istnieje tradycja
antysemityzmu... i to nie tylko
wśród ludzi z prawicy. Jest też
u nas wiele obojętności, nawet
wśród Francuzów zajmujących
postawę antyniemiecką! A więc,
nie pozostaje nam nic innego,

jak ukrywać narastające w nas uczucie gniewu. A w dniu, kiedy on wybuchnie...

Sara zagłębiła się znowu w lekturę gazet.

- Do czego się posuną? Do czego się posuną w swojej nikczemności, okrucieństwie?

Posunęli się jeszcze dalej.

Wiosną 1942 roku ustawa z 22 lipca 1941 roku, wprowadzana dotąd w życie przez Xaviera Valata dosyć łagodnie, została zastosowana z większą surowością przez Louisa Darquier de Pellepoix. Ustawa ta, odnosząca się "do przedsiębiorstw, majątków i walorów należących do Żydów", głosiła w artykule pierwszym: "Celem wyeliminowania wszelkich wpływów żydowskich na gospodarkę narodową, generalny komisarz do spraw Żydów może wyznaczyć tymczasowego zarządcę do każdego przedsiębiorstwa przemysłowego, handlowego, rzemieślniczego, handlu nieruchomościami, dla każdego budynku, wpływów z tytułu posiadania nieruchomości lub jakiegokolwiek wynajmu, dla wszelkich lokali umeblowanych, papierów wartościowych lub wpływów z tytułu posiadania jakichkolwiek ruchomości, jeśli ci, do których one należą, albo którzy nimi zarządzają, albo niektórzy z nich są Żydami".

Dwudziestego dziewiątego czerwca 1942 roku Raymond Meyer miał dwóch gości w swoim biurze na ostatnim piętrze domów towarowych Galeries de l'opéra, wychodzącym na taras, z którego widać było cały Paryż. Jednym z dwóch mężczyzn wprowadzonych przez woźnego w czarnej liberii był niejaki François Courchat. Został właśnie mianowany tymczasowym

zarządcą domów towarowych.

Drugi, o nazwisku Pierre Gallien, był szefem gabinetu u Darquiera de Pellepoix, jego osobistym przyjacielem i razem z nim dawnym współdyrektorem dziennika "La France encha~i~nee".

- Meyer - oświadczył Gallien - nic tu po was. Zastąpi was obecny tu pan Courchat, mianowany tymczasowym zarządcą.

- Ależ... to grabież! - próbował protestować Raymond Meyer. - Skupiam większą część akcji i jestem dyrektorem tego magazynu założonego przez mojego własnego ojca w 1889 roku.

- Meyer, jesteście Żydem. Nie macie tu już nic do roboty. Wyjść!

Raymond Meyer wyszedł z magazynu drzwiami dla dyrekcji. Na chodniku stał czarny samochód z przednim napędem. Kiedy Meyer pojawił się ze swoją żółtą gwiazdą, z samochodu wyskoczyło dwóch mężczyzn. Wzięli go pod rękę. Tego samego wieczoru spał w obozie w Drancy.

Dwunastego lipca 1942 roku pierwsze biuro B Sztabu Zarządu Policji Miejskiej przy Prefekturze Policji Paryskiej wypuściło okólnik zawierający instrukcje dla niektórych funkcjonariuszy policji, podpisany przez komendanta policji miejskiej Emile'a Hennequin:

"Posterunkowym i inspektorom, po wylegitymowaniu Żydów, których mają za zadanie aresztować, nie wolno wdawać się w dyskusję nad różnymi wygłaszanymi przez nich uwagami... Nie wolno też wdawać się w dyskusję nad stanem ich zdrowia. Wszyscy aresztowani Żydzi mają być odstawieni do

Centralnego Punktu
Przejściowego... Dzieci
zamieszkujące z zatrzymaną osobą
lub osobami powinny być zabrane
razem z nimi... Operację należy
przeprowadzać maksymalnie
szybko, bez zbędnych słów i
żadnych komentarzy..."
Szesnastego i siedemnastego
lipca zalecenia te weszły w
życie. Była to operacja
"Wiosenny wiatr". Do akcji
wkroczyło 9000 policjantów
francuskich należących do
żandarmerii, do jednostek
strzegących porządku
publicznego, do policji
śledczej, do służb
wywiadowczych, do policji
drogowej, a nawet rekrutujących
się z Państwowej Szkoły
Policyjnej. Wspomagało ich
300_#400 młodych ludzi Jacques.a
Doriota, w niebieskich koszulach
i z opaskami w barwach
Francuskiej Partii Ludowej.
Policja i jej pomocnicy
podzielili się na blisko 900
"ekip aresztowania",
składających się z trzech lub
czterech osób każda; ekipy te
rozjechały się po mieście
zarekwirowanymi autobusami,
wozami policyjnymi i samochodami
osobowymi. Autobusy miały za
zadanie dowozić Żydów na Zimowy
Welodrom albo do obozu w Drancy.
Myriam Rubinstein i jej syn
David zostali aresztowani 17
lipca w mieszkaniu przy ulicy
des Je~uneurs. Była szósta rano,
kiedy zapukano do drzwi. Dwóch
posterunkowych i młody mężczyzna
w mundurze Fpl nakazali im się
ubrać, zabrać dowód osnbisty,
kartkę żywnościową, koce i
trochę ubrań oraz żywność na dwa
dni. Kiedy byli gotowi,
policjanci wyłączyli liczniki
wody, gazu i prądu, zamknęli za

sobą drzwi, kazali im zejść po schodach, oddali klucze dozorczyńni. Potem kazali im wsiąść do autobusu z napisem "Służba specjalna", w którym pełno już było milczących Żydów. W głębi znajdowała się jeszcze jedna wolna ławka. Myriam i jej syn usiedli na niej tuląc się do siebie. W godzinę później byli już na Zimowym Welodromie. Po zakończeniu operacji "Wiosenny wiatr" władze francuskie i niemieckie sporządziły jej bilans. Aresztowano 12.884 Żydów na przewidzianych 28.000. Sześć tysięcy z nich przewieziono do Drancy, pozostałych na Zimowy Welodrom. Niektórzy policjanci okazali się niegodni zaufania; telefonicznie uprzedzali Żydów o swojej wizycie, albo - już podczas operacji - świadomie pozwalali im zbiec. Ludność Paryża dała wyraz sympatii względem ofiar, zwłaszcza dzieci. Hauptsturmführer SS, Theodor Dannecker był jednak zadowolony; policja francuska współpracowała wystarczająco dobrze, aby wypełnić pierwsze pociągi zesłanymi. Stacja docelowa - małe miasteczko w okupowanej Polsce, położone niedaleko Katowic, nazywało się Oświęcim, po niemiecku Auschwitz.

W środę 22 lipca Sara i Bruno mieli wolne. Poprosili o ten wolny dzień dyrektora Grochon, a on zgodził się nie robiąc żadnych trudności. Rano Bruno sam pojechał do Saint_Mandé, do notariusza Moreau, aby ostatecznie stwierdzić nabycie spadku po rodzicach. Po południu wrócił do domu i przekazał siostrze wynik trwającej dwie godziny rozmowy.

- Notariusz wezwie nas
wkrótce, wszystkich troje,
Roberta i nas, celem podpisania
dokumentów i podjęcia
przypadających nam części.
Pieniądze zostaną nam wypłacone
gotówką albo w bonach
skarbowych. Co się tyczy willi,
notariusz radził, aby nie
przeprowadzać podziału. Co
oznacza, że wszyscy, wspólnie
będziemy właścicielami.
Sara wyraziła zgodę.

- Tak, to najlepsze
rozwiązanie, w ten sposób willa
będzie zawsze jakby dodatkowym,
konkretnym łącznikiem między
naszą trójką.

- A bardzo możliwe, że
wcześniej czy później ten
łącznik będzie nam bardzo
potrzebny. ~a propos,
zastanawiam się, jaki będzie
przebieg naszego spotkania we
troje u notariusza. Biednego
Roberta i mnie nie łączy nawet
najmniejsza wspólna myśl.
Spotkanie może być więc
burzliwe! Tak czy inaczej, nie
powinien się spodziewać, że
rzucę się mu w objęcia. Ale na
miłość boską! Jak on mógł
przyjąć taką postawę!

- Wiesz, zdziwiłabym się,
gdyby przyjechał do notariusza
razem z tobą. Urządzi się tak,
żeby pojechać samemu, jeśli to
możliwe. Albo pośle adwokata.
W odpowiedzi Bruno wzruszył
jedynie ramionami. Lucienne nie
było w domu; nadal pracowała w
swoim salonie fryzjerskim przy
ulicy des March~es. Sara zajęła
się kuchnią chcąc przygotować
coś do jedzenia z tego, co
znajdzie w spiżarni. Nie
znalazła nic oprócz kilku
ziemniaków, a była to rzadkość,
zrobiła więc pur~ee. Jedli w
milczeniu pod portretem Sary

Meyer. Sara zauważyła, że ogród jest prawie całkiem zapuszczony, że dom wymagałby gdzieś gdzieś solidnego pociągnięcia pędzlem. Powiedziała o tym bratu, ale bez żadnej uszczypliwości, jak o czymś, czego się żałuje, nie mogąc temu zaradzić, w każdym razie nikogo nie oskarżając.

- Cóż chcesz? - tłumaczył

Bruno. - Sami z Lucienne musimy zajmować się wszystkim, odkąd Robert i ty żyjecie na własny rachunek w Paryżu. Nie dajemy wszystkiemu rady.

Po chwili milczenia ciągnął już innym tonem:

- Cokolwiek by powiedzieć, dziwna z nas rodzina! Robert jest kolaborantem, ja działałam w podziemiu. A ty jesteś neutralna... czekasz. Mogłoby się wydawać, że chcesz być ponad tym wszystkim. Myślisz, że długo wytrzymasz?

- Nie wiem, Bruno, nie wiem...

Kiedy zobaczyła na ulicy pierwsze żółte gwiazdy, u starego dozorca z alei Racheli, w szarej bluzie i baskijskim berecie, potem u Myriam Rubinstein u wejścia do drukarni, w pierwszym odruchu odczuła, jak większość Francuzów, potępienie, oburzenie, a także litość i solidarność z Żydami. Ale jednocześnie doznała czegoś w rodzaju tchórzliwej ulgi, bowiem obawy, jakie żywiła od czasu rozmowy z księdzem Ricolais, okazały się płonne. Jej to nie dotyczyło, nie kazano jej przypiąć gwiazdy, a więc nie była Żydówką. Potem ogarnęła ją wątpliwość; być może uniknęła noszenia gwiazdy tylko dlatego, że nie zgłosiła się na spis w czerwcu 1941 roku. Ale wcale nie było powiedziane, że właściwe

władze nie przychwycą jej wcześniej czy później. Wystarczy banalne wylegitymowanie na ulicy, w metrze, jakaś sprawa do załatwienia w urzędzie, której nie będzie mogła uniknąć. Gliny albo urzędnicy przeczytają w jej papierach: "Sara, córka Elie", i koniec z nią. Zostanie ukarana za to, że nie zgłosiła się na spis, przypną jej gwiazdę, może aresztują... Nic jeszcze nie było przesądzone.

Mogłaby, a być może powinna, wyznać te obawy bratu. W końcu jego to również dotyczyło. Ale postąpiła tak, jak z Robertem - przemilczała wszystko. Obaj bracia i tak mieli dosyć zmartwień, jeden i drugi byli i tak wystarczająco zagrożeni. Nie warto było dodawać im do aż nazbyt rzeczywistej i uzasadnionej obawy jeszcze jednego, być może - nieuzasadnionego strachu.

Roberta mógł zatłuc jak psa, za rogiem ulicy, jeden z tych "terrorystów", którzy mogli go wziąć na cel. W dalszej perspektywie ryzykował aresztowanie po zakończeniu wojny, sąd, może rozstrzelanie. Bruno zaś...

Sara niewiele wiedziała o podziemnej działalności starszego brata. Kiedy mieszkała jeszcze w willi, uczestniczyła wprawdzie w kilku spotkaniach z Chevance'em i Marcenakiem, w rozmowach dotyczących projektów ulotek. Od tamtej pory sprawy się skomplikowały i nabrzmiały zarazem. Gdyby Sara знаła prawdę, drżałaby o niego, jeszcze bardziej niż o Roberta.

W istocie, Bruno został jednym z przywódców podziemnej partii komunistycznej, odpowiedzialnym za wschodnie przedmieścia

Paryża. Nic już nie odbywało się w willi, skończyły się dawne dyskusje przy lampie naftowej, teksty wystukiwane dwoma palcami na maszynie Sary. Chevance i Marcenac pozostali przyjaciółmi Bruna, ale teraz byli jego pomocnikami, łącznikami. Widywali się tylko przelotnie, w pociągu między Lagny i Paryżem, na ulicy, w barze. Wszyscy trzej zajmowali się przede wszystkim redagowaniem, drukiem i kolportażem podziemnej gazety. Teksty były składane na linotypach drukarni du Croissant, pod nosem i pod bokiem dziennikarzy z "Je suis partout", "La Gerbe" i "Le Pileri"; Jules Grochon wiedział o tym, ale uparcie przymykał na to oczy. Tytuły były dziełem Chevance'a; w tym przypadku nie było mowy o współdziałaniu panów Ravaux, bo, jak należało się spodziewać, stali się zaciekłymi kolaborantami. Papier, podbierany w małych paczkach, pochodził z obu drukarni. Wszystko to, przewożone pod workami ziemniaków albo połciami mięsa przez kierowców z zaopatrzenia, otrzymujących regularnie niezbędne zezwolenia, było dostarczane do podziemnej drukarni w Bobigny - o dwa kroki od obozu koncentracyjnego w Drancy - gdzie gazeta była drukowana. Ci sami przewoźnicy dostarczali następnie gotowy nakład do różnych komórek, między innymi do Lagny, gdzie do Marcenaca i kilku jego kolegów należało wrzucanie egzemplarzy do skrzynek na listy. W swoim wyrafinowaniu Marcenac posunął się nawet do tego, że podziemną bibułę wkładał do kopert firmowych merostwa, ubezpieczeń społecznych albo drukarni

Ravaux.

Poprzedniego dnia wieczorem, spotkawszy się w sali w głębi baru, którego właściciel był członkiem partii, trzech przyjaciele rozmawiali o prześladowaniach, jakie spadły na Żydów.

- Nie mogę uwierzyć, że odpowiedzialność za te prześladowania ponosi Vichy! - powiedział Jean Chevance. - Laval, zgoda: to szmata. Ale P~etain! Nie sposób uwierzyć, że on kryje się za tym wszystkim! Chevance walczył pod Verdun pod wodzą marszałka i, podobnie jak wielu kombatantów wojny 1914_#1918 roku, zachował dla niego podziw i szacunek. Uważał go za reakcjonistę, a nie za zdrajcę. Bruno wzruszył z wściekłością ramionami:

- Nie zapominaj, że jednym z pierwszych posunięć P~etaina, w lipcu 1940 roku, było zniesienie dekretu Cr~emieux z 1870 roku, przyznającego obywatelstwo francuskie Żydom algierskim! I zrobił to nie pod naciskiem Niemców. Prawda jest taka, że P~etain to stary antysemita i że jak tylko dostał władzę w ręce, wprowadził swoje zgubne idee w życie.

- Nie chcesz chyba jednak powiedzieć, że Niemcy nie wywierają żadnej presji na Vichy! Że wszystkie antyżydowskie inicjatywy wychodzą od P~etaina! Bez przesady! - zaproponował Jean Chevance.

- Tego nie powiedziałem. Ale mogę rzec, że o niektórych inicjatywach podjętych przez Vichy przeciwko Żydom, Niemcom nawet się nie śniło! I mogę też powiedzieć, że Vichy posuwa się często dalej, niż by sobie tego

życzyli Niemcy, na przykład
polecając policji francuskiej
realizację zarządzeń
antyżydowskich. Gdzie był
przeprowadzany spis Żydów? W
komisariatach. Gdzie wydawano
żółte gwiazdy? W komisariatach.
Kto przeprowadził te wielkie
łapanki Żydów kilka dni temu?
Francuskie gliny. Kto zmontował
cały arsenał ustaw, dekretów i
rozporządzeń wymierzonych
przeciwko Żydom? Ministrowie
Vichy przy współudziale
francuskich prawników i
urzędników sądowych. Krótko
mówiąc, odpowiedzialność Vichy
jest oczywista. Rzuca się w
oczy. A kto jest w Vichy,
"wielkim manitu"? Przecież to
twój ukochany marszałek, prawda?
- Jest już stary, jest...
- Zgoda, jest dziecięciniały.
Ale wystarcza mu jasności
umysłu, żeby paradować, pozować
do zdjęć i wygłaszać
przemówienia przy każdej okazji.
Przecież nie wszystko dzieje się
za jego plecami, choćby taki
Laval czy Pucheu byli nie
wiadomo jak dwulicowi!
Chevance zwiesił głowę.
- A poza tym, masz! - ciągnął
Bruno. - Popatrz. To nota
hauptsturmführera SS,
Danneckera do jego berlińskiego
szefa obersturmbannführera SS,
Eichmanna. Nie pytaj, skąd mam
ten dokument. Mogę ci tylko
powiedzieć, że dostałem to od
kogoś z Partii... wysoko
postawionego... żeby to
przedrukować w naszych ulotkach
i gazetach. Słuchaj uważnie:
"Negocjacje z rządem francuskim
przyniosły następujące wyniki:
wszyscy żydowscy bezpaństwowcy
ze strefy okupowanej i nie
okupowanej będą utrzymani w
gotowości do naszej dyspozycji

celem ewakuacji..."

- Ewakuacja... wiesz, co to
znaczy, prawda? Czytam dalej:
"Prezydent Laval zaproponował,
aby podczas ewakuacji rodzin
żydowskich (tu przeskakuję kilka
słów), dzieci poniżej szesnastu
lat były też wywożone..." -

Zrozumiałeś? To Laval
osobiście... a więc Vichy...
zaproponował, żeby szkopy
deportowały też dzieci!
Chevance milczał.

- Deportować dzieci! - odezwał
się wreszcie po dłuższej chwili.

- Potwory!

Wtrącił się Marcenac:

- Nie to jest ważne, żeby się
dowiedzieć, kto za to odpowiada,
Vichy czy naziści, P~etain czy
Laval. Kiedy wybucha epidemia
dżumy albo cholery, nie jest
ważne, skąd się wzięła, czy
przywlokły ją muchy czy szczury,
pchły czy wszy! Ważne jest, żeby
ją zwalczyć!

- Poczekajcie - podjął Bruno.

- Mam jeszcze jeden dokument do
prze czytania. Ten nie jest
przeznaczony do druku. Jest to
nota obersturmf~uhrera SS,
R~othke do Andr~e Tularda,
dyrektora administracyjnego,
któremu podlega policja ogólna w
Prefekturze; nosi datę 20 lipca.
Jak widzicie, jest całkiem
świeża. "Dotyczy: Ewakuacji
Żydów. Najbliższy pociąg wyruszy
22"VII 1942"r. z Bourget_Drancy.
Proszę przygotować natychmiast
1000 Żydów i Żydówek z obozu w
Drancy do wyjazdu tym pociągiem,
tak, aby odjazd odbył się bez
problemów i punktualnie o
#/8#55, 22"VII 1942"r. z dworca
w Bourget_Drancy". Dwudziesty
drugi to jutro. Jak mówią
koledzy z kolei, pociąg będzie
złożony z taboru francuskiego:
jednej lokomotywy, dwóch wagonów

osobowych dla esesmanów i ich
psów, dziesięciu wagonów
towarowych dla zesłańców.
Prowadzić będą francuski
mechanik i palacz pod nadzorem
niemieckiego kolejarza z
Reichsbahnu i jednego esesmana.
Po południu przejedzie przez
dworzec w Lagny. Niestety, co
możemy zrobić?

Spuścił głowę, podjął po
chwili:

- Jesteśmy niedostatecznie
zorganizowani, nie mamy broni
ani materiałów wybuchowych... A
zamachy indywidualne za drogo
kosztują, nie można tego robić
systematycznie. Zamach Fabiena w
zeszłym roku, na stacji metra
Barb~es_Rochechouart na Alfonsa
Mosera, oficera szwabskiej
marynarki wojennej, przypłaciło
życiem dwudziestu zakładników! A
zamach w Nantes na
oberstleutnanta Holza zakończył
się rzezią w Ch~ateaubriant - 27
rozstrzelanych! Co nie
przeszkadza, że stanowisko
partii jest bardzo jasne...
Zresztą, widzieliście ulotkę,
jest jednoznaczna...

Owa ulotka, wydrukowana
staraniem Bruna i jego
przyjaciół, nosiła tytuł
"Zhańbiona Francja". Było tam
napisane:

"Mówimy "nie" ohydny,
nazistowskim prześladowaniom! W
Paryżu, w miastach, wsiach i
miasteczkach, we wszystkich
departamentach oburzona ludność
francuska była świadkiem
haniebnych i rozdzierających
scen obławy na nieszczęsnych
Izraelitów wydanych przez Vichy
hitlerowskim siepaczom. Starcy,
kobiety i dzieci, nieszczęsne
dzieci, zostali razem z
mężczyznami stłoczeni w
pociągach jadących do Rzeszy, na

śmierć. Ta podłość dzieje się w
naszej ojczyźnie. Wydaje się, że
Vichy zawzięło się, żeby
pohańbić Francję. I tym razem
odpowiedzią jest bunt i odraza
francuskich sumień. A wszystkie
siły wolności powstają przeciw
pomocnikom katów..."

Kiedy rozstawszy się z bratem
Sara przyszła na dworzec w
Lagny, żeby wrócić pociągiem do
Paryża, pełno tam było
francuskich żandarmów i
żołnierzy niemieckich nie
wpuszczających podróżnych na
perony. W tłumie dostrzegła
niedaleko siebie młodego
mężczyznę; był to Pierre
Marnier, jej sąsiad i dawna
sympatia z farmy. Przepisnęła
się do niego.

- Pierre! Co tu się dzieje?

- Nie wiem, Saro, ale
popatrz...

Przez zaryglowane oszklone
drzwi poczekalni, za barierą z
mundurów, Sara dostrzegła
esesmanów w hełmach, z psami,
przemierzających puste perony.
Potem usłyszała gwizd
lokomotywy. Gwizd żałobny, bo
przypomnił jej noc sprzed
dziesięciu lat, kiedy w Lagny
zdarzyła się katastrofa. Na
stację powoli wjechał pociąg.
Lokomotywa ciągnęła dwa wagony
osobowe pełne żołnierzy
niemieckich; dalej - dziesięć
zaplombowanych wagonów
towarowych. Służyły już przedtem
do przewozu żołnierzy
francuskich, podczas walk w 1940
roku; wojsko kazało na nich
umieścić napis "Ludzie: 40 -
Konie (wzdłuż): 8". Z tyłu
każdego wagonu, przez
zakratowany otwór szerokości 50
i wysokości 30 centymetrów,
widać było twarze, dłonie
uczepione krat. Sara usłyszała

krzyki, wołania, widziała, jak
na perony, na tory spadają
zapisane kawałeczki papieru.
Pociąg powoli odjechał na wschód
w kierunku Esbly. Kiedy opuścił
już dworzec, esesmani i żandarmi
francuscy starannie zebrali
nieszczęsne karteluszeki
zesłańców, zrobili z nich
żałosny, mały stos i podpalili.
Sara wymieniła spojrzenia z
Pierre'em Marnierem. Oboje mieli
oczy pełne łez.
W kilka dni później, kiedy
przepisywała na maszynie
korespondencję, powiadomiono ją,
że u wejścia do drukarni czeka
na nią jakaś młoda kobieta. Była
to Agathe.

- Saro! Musisz powiedzieć
bratu, żeby natychmiast uciekał;
mój ojciec, Lucienne i Jean
Chevance zostali właśnie
aresztowani w Lagny!

II

Minęły już ponad trzy
miesiące, odkąd w Lagny
aresztowano Lucienne, Chevance.a
i Marcenaca, a Bruno, ostrzeżony
przez siostrę dzięki Agathe,
odłożył wierszownik na kasztę,
zdjął w szatni roboczy fartuch,
włożył marynarkę i uciekł z
drukarni nikomu o niczym nie
mówiąc; wzięła to na siebie
Sara. Od czasu do czasu miała od
brata wiadomości, zawsze przez
telefon, albo w drukarni, albo u
Rogera Brienne.a, w porze
kolacji; wszystko w porządku,
ukrywa się, śpi u kolegów z
partii - rzadko dwie noce z
rzędu u tego samego - i działa.
Nie spotykał się z siostrą, by
nie wystawiać jej na
niebezpieczeństwo.
Od czasu do czasu Sarę
odwiedzała Agathe. Mała
rudowłosa była nadal tak samo
ładna jak dawniej, w jej szarych

oczach po dawnemu krył się cień
perwersji, ale wydorowała;
skończył się czas, kiedy
puszczała oko do żołnierzy
niemieckich, kiedy odczuwała
nieodpartą potrzebę podbijania
wokół siebie chłopców i
dziewcząt, jak gdyby chciała
udowodnić samej sobie, że
kalectwo nie ujmuje jej uroku.

Aresztowanie ojca
nieoczekiwanie ujawniło w niej
siłę charakteru. W miarę, jak
dowiadawała się czegoś nowego,
relacjonowała Sarze okoliczności
potrójnego aresztowania.

- Lucienne popełniła
nieostrożność i pokazała tajne
ulotki klientkom w salonie
fryzjerskim. Któraś z nich
musiała puścić farbę;
kolaborantów jest mało, ale są
zli jak psy. Któregoś dnia w
południe do salonu fryzjerskiego
wkroczyło dwóch gliniarzy i
zabrali Lucienne na komisariat;
w torebce miała ze dwadzieścia
ulotek, między innymi tę, w
której znajdowało się
oświadczenie partii
komunistycznej na temat
prześladowań rasowych. W kilka
godzin później przyszli po ojca
na farmę, a inne gliny w tym
samym czasie aresztowały Jeana
Chevance w drukarni Ravaux w
Gouvernes...

Wieczorem w dniu aresztowania
Lucienne, Marcenac i Chevance
zostali przewiezieni do aresztu
w Meaux. Jedno było pewne -
sposobami, o których Sara nie
mogła myśleć bez drżenia,
policja wydobyła z Lucienne
dosyć informacji, żeby zarzucić
sieć, z której Bruno wymknął się
tylko dzięki temu, że Agathe
wykazała refleks. Ponadto w
willi "Promienny Uśmiech"
przeprowadzono rewizję.

Przeczesało ją drobiazgowo blisko dziesięciu inspektorów. Najwyraźniej nie znaleźli nic, co mogłoby się przyczynić do postępu w śledztwie, bo Bruno był ostrożny. W każdym razie w Lagny nikt więcej nie został aresztowany. Policjanci nie zjawili się też w drukarni du Croissant, choć ich wizyta mogłaby się okazać owocna; szukając dobrze, na pewno znaleźliby klisze lub odbitki podziemnych gazet, dowody na podkradanie papieru i sprzętu, czego dopuszczał się Bruno za cichą zgodą dyrektora Grochon. Za jednym zamachem mogliby aresztować też Grochona - bo i tak był masonem - i kilku innych. Słowem, dzięki środkom ostrożności, jakie podjął Bruno, dzięki surowo przestrzeganej w jego siatce izolacji, szkody spowodowane brakiem rozwagi Lucienne zostały ograniczone. Tymczasem, po upływie trzech miesięcy od aresztowania, nikt nie miał żadnych wiadomości o Lucienne, Chevansie i Marcenacu, w każdym razie ani Sara, ani Agathe, ani pani Chevance, mimo rozlicznych starań na policji w Lagny i w prefekturze w Melun. Może Bruno coś wiedział, ale milczał, nie wymieniał żadnego nazwiska, kiedy telefonował do siostry.

Sara nadal wiodła ascetyczny tryb życia. Pracowała, jadła, spała. Sporządzała w myśli bez przerwy, od nowa, niemal do obłędu, listę istot, których tak bardzo jej brakowało: zmarli rodzice, zaginiony Josef, aresztowana Lucienne, ukrywający się Bruno. Został jej tylko Robert - którego widywała od czasu do czasu i który rzeczywiście zajął się

poszukiwaniem Josefa... ale zdawało się, że na próżno - Brienne z Fran~coise i jej matką, Agathe i Pierre Marnier. Od czasu spotkania z dawnym towarzyszem zabaw na dworcu w Lagny, podczas przejazdu pociągu z deportowanymi, wychodzili razem przynajmniej raz w tygodniu. Pierre czekał na Sarę, kiedy wychodziła z biura, zabierał ją do restauracji, do kina. Pewnego wieczora wstąpili przez przypadek do gospody koło Dworca Saint_Lazare, gdzie można było zjeść bez kartek, po przystępnych cenach. Obsługiwała ich osobiście sama właścicielka, rubaszna matrona, którą wszyscy nazywali po imieniu: Victoire.

- Tak, nazywam się Victoire! - oznajmiła im. - We właściwym momencie, co?

- Niedługo może naprawdę nadejdzie właściwy moment... - mruknął Pierre.

Młody człowiek od razu przypadł Victoire do serca, zaczęła mu mówić po imieniu i Sarze też, nakładała na ich talerze trochę bardziej obfite porcje niż innym gościom. Od tej pory, przy każdym spotkaniu szli na kolację do Victoire, a ona witała ich z wyraźną radością i sadzała przy najlepszym stole.

- Jesteście oboje tacy piękni! Można powiedzieć, że stworzeni dla siebie! Patrzę na was z przyjemnością!

Po kolacji szli do kina. Obejrzeliby wtedy "Wieczornych gości" - wśród statystów, w scenie na zamku, gdzie Jules Berry jest podejmowany przez Fernanda Ledoux, Sara rozpoznała Fran~coise Desgrappes - "S.o.s.", "Niebo jest dla nas" i "Raj utracony" Abla Gance'a, na którym Sara się spłakała.

Wszystko to były filmy francuskie. W ciemnej sali Pierre obejmował Sarę ramieniem, przyciągał ją do siebie. Pozwalała mu na to, trochę podekscytowana, odczuwając na nowo ten sam niepokój co kiedyś, podczas ich dziecinnych igraszek w dylizansie na farmie, kiedy przyłapała ich Agathe. Pierre był przystojnym, miłym chłopcem, dzielił odczucia Sary w wielu sprawach, między innymi co do wojny... i Sara, jak już kiedyś powiedziała matce, bardzo go lubiła, jak kolegę, jak brata - ale nie poza tym. Josef nadał jej życiu taki blask, że w porównaniu z tym wszystko inne wydawało się bezbarwne, życie z nim było tak ponętne, że bez niego wszystko, łącznie z Pierre'em, wydawało się nijakie. Kiedy ten próbował czegoś więcej niż kilka dyskretnych pocałunków czy niewinnych pieszczot, odsuwała go od siebie - i sama odsuwała się od niego. Czuł, jak Sara sztywnieje, jak drętwieje. Pewnego wieczora zapytał ją wprost:

- Dlaczego mnie nie kochasz? Znamy się od dawna. Ja ciebie kocham od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem...
Dlaczego?

- Chciałabym, żebyś zrozumiał, Pierre. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Gdybym więc mogła kogoś pokochać, to byłbyś nim ty. Ale ja nie mogę kochać, już nie mogę...

Opowiedziała mu historię Josefa.

- Należę do niego! Do niego jednego i na zawsze. To nie znaczy, że nie mam ochoty znaleźć się w ramionach innego chłopca... poczynając od ciebie. Ale widzisz, nie mogę. Możesz to

nazwać, jak zechcesz -
lojalnością, wiernością... albo
skrepowaniem, zahamowaniem. Ale
tak już jest...

Pierre spuścił głowę.

- Jeśli nigdy nie będziesz
moja, to trudno! Będę cierpiał,
może płakał. Ale pozostanę przy
tobie tak długo, jak zechcesz.
Będę cię kochał w milczeniu,
pomagał ci, chronił cię, na ile
będę mógł.

Sara wróciła do siebie, a
tymczasem Pierre pobiegł na
Dworzec Wschodni złapać ostatni
pociąg odchodzący do Lagny,
gdzie znalazł niewielkie zajęcie
w merostwie. Znalazłszy się sama
w łóżku, dziewczyna oddała się
smutnej medytacji nad własnym
losem.

- Zwariowałam! Powoli zmieniam
się w mniszkę, a mogłabym
prowadzić normalne życie... na
przykład z Pierre'em.

Także Brienne zarzucał jej
ascetyzm, ślepą wierność
Josefowi. Robił to na różne
sposoby, uciekając się też do
kpin:

- Odkąd przestałaś się
pieprzyć, przypominasz mi świętą
Teresę z Lisieux! Przepraszam,
że ci to mówię, ale zupełnie
zglupiałaś! Brakuje jeszcze
tylko, żebyś latała co rano na
mszę do Saint_Jean_de_Montmartre
i spowiadała się w każdą sobotę!
Spowiedź przynajmniej nie
zabrały ci dużo czasu, bo nie
miałybyś co mówić.

Recytował jej "Sonety do
Heleny" Ronsarda, to znów
piosenkę Tino Rossiego, którą
śpiewał falsetem:

Kiedyś, kiedy będziesz stara,
czy, czy, @ powiesz,
rozgoryczona, czy, czy, @ gdybym
wtedy wiedziała, ach...@
Sara wruszała ramionami,

uśmiechała się i wreszcie
odpowiadała ironicznie:

- Kiedy świat tonie w ogniu i
krwi, nie czas fikać nogami w
powietrzu.

- Mylisz się, kochanie. Nie ma
nic lepszego jak pofikać trochę
nogami w powietrzu dla
zapomnienia o beznadziei, jaka
cię otacza. Wierz mi, że jak
mówił chyba Jean Giraudoux,
minutę przyjemności zawsze warto
sobie zafundować...

Potem porzucił kpiarski ton i
ciągnął:

- Wiesz przynajmniej, czy
jutro jeszcze będziemy żywi?

Wiesz, czy tej nocy nie spadnie
na ten dom bomba? Zginęłabyś
wtedy nie przeżywszy niczego...
albo tak mało! A poza tym... czy
myślisz, że Josef, gdyby
wiedział, jaka jesteś rozsądna,
wierna, pochwaliłby to w pełni?
Za bardzo kochał życie i miłość,
żeby cię nie zrozumieć, gdybyś o
nim od czasu do czasu trochę
zapomniała! Choćby dlatego, żeby
dokonać pożytecznych porównań;
ostatecznie, z innym facetem
byłoby może tak samo dobrze jak
z nim... a może lepiej!

Mówiąc to z ironią, której
Sara nie mogła mu nie wybaczyć -
a potrafił mówić poważne rzeczy
ze śmiechem - Brienne chciał
przy tym upiec własną pieczeń,
bo mimo przysięg i obietnic,
także tych, które składał samemu
sobie, nigdy całkowicie nie
zrezygnował z Sary. A poza tym
był trochę załamany, bo interesy
nie szły mu dobrze, co
sprawiało, że łatwo stawał się
agresywny. Miał wprawdzie nadal
klientelę rekrutowaną przez
Fran~coise spośród młodych
aktorów i aktorek pragnących
pokazać swoje fotografie
ewentualnemu producentowi lub

reżyserowi. Ale okoliczności sprawiały, że kiepsko mu płacono za zdjęcia... o ile w ogóle płacono.

- Ludzie mają akurat tyle forsy, żeby od czasu do czasu zafundować sobie kolację na czarnym rynku, żeby nie zdechnąć z głodu! Co tu mówić o zdjęciach... to zbytek! Zamawiają, bo są im potrzebne, ale zapominają zapłacić fotografowi.

Brienne z rodziną musiał się utrzymać ze swych skąpych dochodów, z honorariów, jakie Fran~coise otrzymywała czasem za statystowanie w studiach w Boulogne i na Montmartrze i z wdowiej renty otrzymywanej przez mamę P~etrac. Przy czym żywność na czarnym rynku kosztowała coraz drożej: dostawcy Labriego i on sam byli coraz bardziej wymagający. Na szczęście mama P~etrac miała trochę uciulanego grosza i uszczuplała te swoje oszczędności nie bez żalu. Na szczęście była z nimi także Sara i uczestniczyła w kosztach wyżywienia, a wkrótce miała w nich mieć jeszcze większy udział.

- W gruncie rzeczy gwizdzę na forszę! - mawiał czasem Brienne.

- Ale dopiekła mi już ta kretyńska wojna. Powszechna nędza, zaprogramowany głód, szalone represje, żółte gwiazdy, deportacje, tortury... Dłużej nie wytrzymam! Ach, gdybym tylko mógł zwać na bezludną wyspę, powiedzieć, że sram na to wszystko, nie widzieć więcej na ulicach zielonych mundurów i żalonych pysków Francuzów! Ponieważ miał teraz mniej pracy, zdarzało się, że po południu spędzał kilka minut nad szklanką zakazanej anyżówki za

sto franków w głębi baru
Labriego albo cocktail_baru przy
bulwarze Clichy. W
cocktail_barze podawała ładna
dziewczyna o wyzywającym
biuście, którą spotkał pewnego
dnia jak szła z dwoma roslymi
jak dęby oficerami Luftwaffe i
trzymała ich miłośnie pod rękę.
Natychmiast przezwał ją Kanapka
i obmacywał obłudnie, kiedy go
obsługiwała. Pozwalało mu to na
kilka minut oderwać się od
posepnych myśli o wojnie, o
życiu, o śmierci; z natury
jowialny zaczął bowiem popadać w
najczarniejszy pesymizm, a Sara
czasem się tym pesymizmem
zarażała, zwłaszcza gdy naszły
ją myśli o Josefie.

- Będę na niego czekała. Będę
czekała, ile będzie trzeba. Rok,
dziesięć, nawet dwadzieścia lat.
Będę na niego czekała. Uchowam
się dla niego. Należę do niego i
do nikogo innego.

Podobnie jak chciała się
ustrzec od brudów polityki i
wojny - ale czy jeszcze długo
będzie tak mogła? - zamierzała
uchronić się od splamienia
rozkoszą, która by umniejszyła,
zniekształciła jej ideał
miłości. A jej postanowienie
było tym silniejsze, że od czasu
rozmowy z Robertem miała
nadzieję dowiedzieć się pewnego
dnia czegoś o Josefie.

Lekarstwem była dla niej
praca. W drukarni podjęła się
tak zwanych "rozliczeń
materiałowych", to znaczy
stałego spisywania zapasów
papieru, farby, ołowiu,
wszystkiego, co potrzebne jest
do druku gazet, a czego dostawy
były surowo reglamentowane.
Bruno znikł, ale materiały nadal
tajemniczo odpływały zasilając
podziemne drukarnie, gdzie

drukowano zakazane ulotki i gazety. Sara wolała przypuszczać, że Bruno ma coś wspólnego z tymi ubytkami za pośrednictwem osób trzecich. Z tym większym zapałem fałszowała rozliczenia, ku wielkiemu zadowoleniu Jules.a Grochon, ale takie postępowanie było nie tyle opowiedzeniem się za ruchem oporu, co pewnym wyrazem solidarności z bratem, sposobem niesienia mu pomocy.

Nieco później Sara znalazła inny "wentyl" w gospodarowaniu swoimi pieniędzmi. Trzydziestego pierwszego stycznia 1941 roku, w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin, udała się do notariusza Luciena Moreau z Saint_Mand~e. Tego samego dnia rano usłyszała w radiu wiadomość o kapitulacji pod Stalingradem 6 armii niemieckiej i już dzięki tylko tej wiadomości dzień wypełnił się słońcem. Notariusz oznajmił jej z miejsca, że dysponuje sumą 100.000 franków stanowiącą zapis Sary Meyer, którą to sumę miała otrzymać w dniu osiągnięcia pełnoletności.

- Chciałbym jednak, panno Ritter, doradzić pani, aby zdeponowała pani w moim biurze możliwie jak największą część spadku. Jeśli ja ją ulokuję, będzie przynosiła zyski. Już na początku, to znaczy w 1932 roku, ulokowałem cały pani zapis, toteż obecnie posiada pani nie 100.000 lecz 115 tysięcy franków. Niestety, pieniądze nie mają już tej samej wartości co jedenaście lat temu; za sumę zapisaną pani przez matkę chrzestną nie można już dzisiaj kupić tego co dawniej, zanim inflacja nie wetknęła swego paskudnego nosa do interesów pani i wszystkich innych ludzi.

Znajduje się pani w takiej samej sytuacji co ci rentierzy sądzący, że dożyją w spokoju reszty swoich dni z dochodem tysiąca franków miesięcznie. Niestety! Podwyżka wszystkich cen, nie mówiąc już o czarnym rynku, uczyniła z nich biedaków... i ich los będzie się stawał coraz bardziej krytyczny w miarę, jak pieniądz będzie tracił na wartości.

Sara była jednak mimo wszystko szczęśliwa dowiedziawszy się, że może dysponować tymi 115 tysiącami franków. Szybko policzyła, że stanowi to równowartość jej 46 miesięcznych pensji w drukarni du Croissant - trzy lata i dziesięć miesięcy pracy! Można było spać spokojnie, nawet gdyby przewidywania notariusza na temat przyszłości pieniądza miały się okazać słuszne.

Postanowiła podjąć tylko 10 tysięcy franków, a resztę pozostawić w rękach notariusza. - Jak pani sobie życzy! W każdym razie pieniądze są do pani dyspozycji. Ale chciałbym pomówić z panią o innej jeszcze sprawie. Około pół roku temu widziałem się z pani bratem... jak on ma na imię? Tak, Bruno... i oznajmiłem mu, że chciałbym, abyście przyjechali do mnie państwo razem z drugim bratem w celu ostatecznego załatwienia sprawy spadku po rodzicach. Jest to niezbędne do uregulowania formalności prawnych. Trzy miesiące temu wysłałem wezwania do trojga spadkobierców, w tym do pani. Niestety, od nikogo nie otrzymałem odpowiedzi. Nikt nie stawiał się w wyznaczonym terminie. Domyślam się, że w okolicznościach, jakie się wytworzyły, zaistniały... pewne

trudności?

- Niestety, panie notariuszu, ani bracia, ani ja nie mieszkamy już w Lagny. Ja przebywam w Paryżu, niedaleko od miejsca pracy. Co się zaś tyczy moich braci... Robert też mieszka w Paryżu. Jego postawa polityczna jest panu z pewnością znana...

- Tak, proszę pani! - odparł notariusz ze strapioną miną.

- ...Bruno zaś wyznaje całkiem odmienne poglądy, jego żona została aresztowana, a on sam się ukrywa! Wydaje mi się, że upłynie sporo czasu, zanim będziemy mogli stawić się u pana wszyscy troje...

Notariusz wypłacił dziewczynie 10 tysięcy franków, o które prosiła, dał jej do podpisania odpowiednio sporządzone pokwitowanie. Już przy wyjściu Sara zadała mu pytanie:

- Nigdy nie ośmieliłam się pójść do pana Raymonda Meyera, żeby mu podziękować za wszystko, co zrobił dla moich rodziców, dla mnie samej i dla moich braci. Czy sądzi pan, że mogę...

- Niestety, proszę pani!

Niestety! Pan Raymond Meyer, wywłaszczony najpierw z udziałów w domach towarowych Galeries de l'opéra, został aresztowany przed swoim sklepem 29 czerwca ubiegłego roku. Jego żonę i dzieci również aresztowano w kilka dni później w willi w Saint-Cloud. Od tamtej pory nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Niestety, są Żydami. Więc... Sara zachowała dość wyraźne wspomnienie o Raymondzie Meyerze i jego matce. Sarę Meyer pamiętała jako starszą, nieco otyłą, bardzo wyperfumowaną kobietę, wyciągniętą na sofie; swoją chrzestną córkę tuliła w ramionach, opychała cukierkami,

nazywała swoją "królową".
Raymond pozostał jej w pamięci,
jak bez zapowiedzi zjawia się w
stróżówce w Saint_Mand~e ze
swoją dużą, skórzaną teczką i
kładzie ją na stole, pamiętała
jego mrukliwy głos i sposób, w
jaki pewnego dnia wziął na
kolana małą, dziesięcioletnią
dziewczynkę, jaką wtedy była,
mówiąc jej, że jest ładna. W
każdym razie wspomnienia te
utrwały, odnawiały ciągłe
rozmowy rodziców o ich
dobroczyńcach. Nie znajdowali
słów na opisanie ich dobroci i
wspaniałomyślności, na wyrażenie
własnej wdzięczności. Sara nie
wiedziała, oczywiście, co kiedyś
M~elanie Minoux wyjawiała Sylvii
na temat bezwzględności Raymonda
Meyera w interesach.

Aresztowanie tego człowieka, a
także jego żony i dzieci, było
dla Sary jeszcze jednym ciosem
zadany przez los; chociaż tak
mało go znała, Raymond Meyer
dołączył do ojca, matki, Josefa,
Lucienne, powiększając grono
istot wydartych z jej życia,
których tak bardzo jej
brakowało. Ponieważ był Żydem -
a do tej pory nigdy nie
zastanawiała się nad jego
pochodzeniem - litowała się nad
nim tak samo jak nad Myriam
Rubinstein i nieszczęsnymi
zesłańcami z pociągu. Tak więc
ani dobroć, ani majątek nie
uchroniły Raymonda Meyera przed
losem zgotowanym Żydom przez
nazistów, tak samo jak bieda i
bezbronność nie uchroniły Myriam
i jej synka.

Sara wróciła do siebie
wstrząśnięta. Pokój był nie
ogrzany; miała tylko elektryczny
grzejnik, a prąd często
wyłączano. Trzęsąc się z zimna
zeszła do Brienne.a i wręczyła

trzy tysiące franków mamie
P~etrac, nieodmiennie
prowadzącej gospodarstwo.

- To na urozmaicenie
jadłospisu...

- Coś podobnego! - próbował
ironizować Brienne. - Poderwałaś
jakiegoś alfonsa milionera, czy
co?

Wtrąciła się z uśmiechem
Fran~coise. Kochała Sarę jak
siostrę i zawsze brała ją w
obronę, kiedy Roger się z nią
przekomarzał.

Nazajutrz, poprosiwszy
dyrektora Grochon o dzień wolny,
Sara udała się do Lagny, do
zakładu pogrzebowego przy ulicy
Saint_Denis. Zamówiła grobowiec,
w którym miały spocząć razem
szczątki Elie i Sylvii, i dała 5
tysięcy zadatku. Po powrocie w
aleję Racheli schowała pozostałe
2 tysiące na dnie torebki; kiedy
Bruno zadzwoni następnym razem,
zapyta go, w jaki sposób mu je
przekazać. Kiedy rozstawali się
w dniu, gdy Agathe przysłała ją
zawiadomić o potrójnym
aresztowaniu w Lagny, dała bratu
wszystko, co miała przy sobie.

Ale było tego bardzo mało,
zaledwie kilkaset franków.

Uważała za normalne, że
dysponując poważniejszą sumą
pomaga uciekinierowi.

Sara odziedziczyła po Sylvii
mrówczą oszczędność, już kiedy
była mała, odmawiała sobie
cukierków i pisemek
ilustrowanych, żeby na dłużej
starczyło jej kieszonkowego, a
teraz stała się przesadnie
oszczędna, z łatwością
rezygnowała z każdego wydatku,
nie uznanego przez siebie za
niezbędny. Z 10 tysięcy franków
wyłaconych przez notariusza
Moreau nic nie zostawiła dla
siebie. Naturalnie pragnęła, jak

to już zamierzała od dawna,
pochować rodziców we wspólnym
grobie, nawet gdyby miała prosić
w tym celu o udział braci, kiedy
nadarzy się okazja. Było też
rzeczą normalną, że
uczestniczyła w kosztach
utrzymania, skoro co wieczór
jadała u Brienne.ów, i że
odłożyła pewną sumę dla
ukrywającego się brata. Były to
wydatki konieczne, w każdym
razie za takie je uważała.
Ale nie przeznaczyła ani
grosza na uprzyjemnienie sobie
choć trochę życia, na kino czy
teatr, na kupno ubrania czy
butów na czarnym rynku, na
perfumy albo książki; nawet o
tym nie pomyślała. Już od blisko
dwóch lat chodziła w tym samym
czerwonym żakiecie, w tej samej
szkockiej spódnicy, w tych
samyh pantoflach na drewnianym
koturnie, a na zmianę miała
tylko ze dwie czy trzy sukienki
uszyte kiedyś przez matkę i parę
zniszczonych czółenek, do
fryzjera chodziła bardzo rzadko
("lokówek nie wymyślili przecież
dla psów" - mówiła); kiedy zaś
szła do kina albo do teatru,
płacił za nią Pierre Marnier
albo Roger Brienne; pomadka do
ust wystarczała jej na rok,
flakon wody toaletowej na pół
roku i przestała kupować sobie
książki.

- Czy ja aby nie jestem
cokolwiek skąpa?

Któregoś dnia Brienne wygarnął
jej coś w tym rodzaju w związku
z jakimś wydatkiem, przed którym
się wzbraniała. Krytyki tej nikt
nigdy nie powtórzył, ale był
jeszcze ksiądz Ricolais. I
nieoczekiwanie sprawy związane z
pieniędzmi spowodowały ponowny
przyływ niepewności co do jej
pochodzenia.

Jeśli istnieje jakiś stereotyp o niezwyklej trwałości, to z pewnością jest nim ten o skąpstwie Żydów, zakorzeniony przez wieki w powszechnej świadomości i tym trudniej dający się z niej usunąć, że wynikający z rozpaczliwej konieczności historycznej. Prześladowania - często ze strony Kościoła i w imię Chrystusa - których ofiarami padali Żydzi na przestrzeni dziejów, i to prawie we wszystkich krajach, nauczyły ich, że posiadanie pieniędzy jest najlepszą bronią przed zbrodniczym szaleństwem nieprzyjaciół, najlepszym sposobem na ucieczkę, na negocjowanie wolności, a nawet życia. Bronią uważaną przez nich za skuteczną, bo długo taką była, dopóki w zetknięciu z hitlerowską podłością nie okazała się równie śmieszna jak drewniany miecz, ten sam los spotykał bowiem zarówno żydowskich finansistów jak i szewców. Ale bez względu na całą swoją ohydę, ten szkodliwy stereotyp utrzymywał się i utrzymuje nadal. Sara również pozostawała pod jego wpływem. Podejrzewając się o skąpstwo, widziała w tym nową wskazówkę, potwierdzenie hipotezy proboszcza z Lagny i swoich własnych przypuszczeń.

- Dlaczego nie?

Nigdy nie miała znajomych wśród Żydów, chyba że przypadkowych, nigdy nie była w żydowskim domu ani w synagodze, nigdy nie uczestniczyła w żadnym żydowskim święcie. Jedyne Żydami, których rzeczywiście znała, i to słabo, był hojny Raymond Meyer i jego matka oraz Myriam Rubinstein. Widziała

tylko przelotnie nieszczęśników
z pociągu w Lagny. Było to za
mało, żeby wyrobić sobie
właściwą opinię o całej tej
społeczności. Ale dosyć, żeby
wzbudzić w niej głęboką
solidarność z Żydami. Widząc,
jak ich piętnowano,
poniewierano, okradano,
prześladowano, mordowano, czuła,
jak wrywa się ku nim zarazem
jej umysł i serce. Gdyby
któregoś dnia ona z kolei miała
być naznaczona, upokorzona,
przyłączyłaby się do nich,
czułaby się jedną z nich. Już
teraz czuła się jedną z nich.
Snuła te rozmyślenia w łóżku,
gdzie tyle razy kochała się z
Josefem, gdzie była taka
szczęśliwa. Teraz zaś...
Nagle wstała, przeszła się
kilka kroków po pokoju, potem
przejrzała się w lusterku
wiszącym nad umywalką.
- Nie jestem znowu taka
brzydka!
Uśmiechnęła się do lustra
zadowolona z siebie i nagle
wybuchnęła śmiechem.
- Gdyby Robert znał moje
myśli...

III

Sara nie mogła wiedzieć, że
jej brat pisze kolejną powieść,
jeszcze bez tytułu, ale pracował
nad nią co noc, uprzednio
starannie zamknawszy drzwi
dzielące jego mieszkanie od
mieszkania Joachima Botto, a
rękopis wkładał do szuflady
zamykanej na klucz.
Robert Ritter był nadal nie
kwestionowanym wieszczem
francusko_niemieckiej
kolaboracji, najsłynniejszym
heroldem walki toczonej przez
zjednoczoną Europę z
judeo_bolszewizmem. Zaciekle
atakował gaullistów, masonów,

Żydów i komunistów i od czasu do czasu pozwalał sobie zaczepić rząd Vichy, jego zdaniem nie dość zaangażowany, zachowując przy tym pełne szacunku milczenie w sprawie marszałka Pétaina, a równocześnie wynosząc pod niebiosa Adolfa Hitlera. Nadal wygłaszał odczyty dla członków grupy Collaboration albo Francuskiej Partii Ludowej Jacques'a Doriot, drukował co najmniej raz w tygodniu jakiś artykuł w "Le Cri du peuple", "Je suis partout" albo w "La Gerbe", a nawet w "Le Pilon". Można go było spotkać, jak obnosi swoją długą, bladą twarz, niczym jakiś Savonarola z gorejącymi oczami, albo podekscytowana wyrocznia, nieodmiennie ubrany w ten sam zniszczony, niebieski garnitur, zawsze z papierosem Juno w ustach, na zebraniach Francuskiej Legii Ochotniczej, Ligi Francuskiej albo Zgromadzenia Narodowo_Ludowego, w biurach ambasady niemieckiej albo w salonach kolaboranckich mieszkańców "pięknych dzielnic", najczęściej milczącego, nadęsanego, ponurego albo wypowiadającego z rzadka, tonem nie cierpiącym sprzeciwu, aforyzmy, w których udzielał wszystkim wokół lekcji fanatyzmu hitlerowskiego.

Od kilku miesięcy, ulegając naciskowi Joachima, współpracował też ściślej niż dawniej z radiem Paryż.

- Zaraz ci wytłumaczę! - powiedział pewnego dnia Botto. - Radiem Paryż kieruje pewien pułkownik Wehrmachtu, doktor Kurt Gofinger, oficjalny przedstawiciel Naczelnego Dowództwa niemieckiego. Ten się nie liczy - to gruby, opasły

Bawarczyk, dobrze się tutaj
zadekował, a znalazł się tu
tylko dlatego, że przed wojną
popęłił kilka operetek w stylu
wiedeńskim, po monachijsku
topornych, ubliżających Franzowi
Leharowi. Możesz sobie
wyobrazić, co to za typ: gruby
szwab ~a la cesarz Wilhelm,
żywcem ściągnięty z karykatury w
"Simplicissimusie", między
jednym a drugim kuflem piwa i
jednym a drugim cygarem
wyrażający swój odwieczny
sceptycyzm w słowach kierowanych
do przyjaciół: "Alles Quatsch,
meine Herren! Alles Quatsch!"
(Wszystko to głupstwo, panowie!)
Ów pułkownik Gofinger zajmował
się wyłącznie programami
artystycznymi... na szczęście,
zdaniem Joachima. Działem
politycznym, dalece ważniejszym,
kierował sonderf~uhrer o
nazwisku Gerhardt Haeft,
przedstawiciel
Propagandastaffel, mający na
swoje rozkazy dwóch gryzipiórków
w tym samym stopniu co on.
- Pierwszy, to Karl Werdek,
Austriak, mający coś wspólnego z
dyplomacją. Jest taki niemrawy,
że kiedy salutuje po hitlerowsku
- a robi to, jak może
najrzadziej - jego prawa dłoń
przybiera kształt płaczącej
wierzby, toteż francuscy
dziennikarze z rozgłośni
przezwalili go "duży, zły
mięczak". Drugi nazywa się Hans
Knopf i jest byłym
przedstawicielem we Francji
niemieckiej wytwórni maszyn do
pisania; jest żonaty z
Francuzką, mówi francuskim
żargonem, pali gauloisy, uganiana
się za dziewczynami!
Dyrekcja radia Paryż nie miała
więc szczęścia spodobać się
Joachimowi Botto.

- Temu brak nerwu! I siły!
Wyjąwszy Gerhardta Haefsta, który
jest prawdziwym narodowym
socjalistą, pozostali są tutaj
tylko po to, żeby uniknąć
wysłania gdzie indziej,
zwłaszcza na front wschodni, a
tego się panicznie boją.
Gofinger myśli tylko o
opracowaniu muzycznym, Werdek
stale się gapi, a Knopf tylko by
żał i pieprzył. Wojna,
polityka, przyszłość Niemiec,
gwizdzą koncertowo na to
wszystko. Ich hasło, to nie "Ein
Reich, ein Volk, ein F~uhrer!"
(Jedna Rzesza, jeden nawód,
jeden wódz!), tylko "Carpe
diem!", jak mawiał stary Horacy.
Botto wstał, przeszedł się po
swoim pokoju, potem usiadł
naprzeciwko Roberta.

- Z dziennikarzami jest
podobnie. Jest wśród nich dwóch
Niemców i ze trzydziestu
Francuzów. Ci dwaj Niemcy, to
niejaki Dambmann, znany jako
doktor Friedrich, oficjalny
przedstawiciel Ministerstwa
Propagandy, to znaczy doktora
Goebbelsa, i profesor Friedrich
Grimm. Pierwszy jest
dziennikarzem i stara się okazać
obiektywizm, żeby zdobyć
wiarygodność. Posunął się na
przykład do tego, że przyznał
przed mikrofonem, że Francuzi
wrogo zareagowali na politykę
antyżydowską. Słyszałem, jak
mówi: "Są tacy, którzy uważają
antysemityzm za swego rodzaju
barbarzyństwo i chcieliby, aby
Żydom okazać więcej względów
niż to się dzieje obecnie...
Nigdy nie słyszałem tak wiele o
"dobrych" i "złych" Żydach, jak
od czasu wprowadzenia żółtej
gwiazdy..." Najogólniej mówiąc,
to była niezręczność... Co
więcej, radio Londyn nie

omieszkało zacytować słów tego idioty z komentarzem w stylu "naziści przyznają...". Co się tyczy profesora Grimma, trochę mi przykro źle o nim mówić, bo to mój rodak z Wirtembergii, pochodzi z Tiengen_Oberrhein, położonego o pięćdziesiąt kilometrów od mojego rodzinnego miasta... Ale to stary akademik, pracowicie wyjaśniający politykę F~uhrera przy użyciu tego samego słownictwa, którym się już pewnie posługiwał uzasadniając zamiary Republiki Weimarskiej... Także dziennikarze francuscy z radia Paryż nie zasługiwali na uznanie w oczach Botta.

- Na kilku żarliwych, ale często niezręcznych wyznawców, jest dwudziestu pięciu niedołęgów, którzy znaleźli się tam wyłącznie dla chleba, żeby pod koniec miesiąca otrzymać wypłatę wynoszącą od 7 do 15 tysięcy franków! Jeśli chodzi o Jeana H~erold_Paquis, ich gwiazdę, to furiat, szaleniec, wykrzykujący prymitywne, często źle uargumentowane slogany, które słuchaczy bardziej szokują niż przekonują. Na dobitkę mówi falsetem. Nie dorównuje Philippe.owi Henriot z radia Vichy, ten ma same zalety: przekonuje, a zarazem przygważdża, mówi językiem rozumu i trafia do przekonania każdym użytym argumentem. I to wszystko silnym i męskim głosem...

Robert słuchał go bez słowa.
Nagle podniósł głowę.

- Do czego zmierzasz?

- No więc, posłuchaj, drogi Robercie. Wyobraź sobie, że bardzo się zaprzyjaźniłem z Gerhardtem Haeftem.

- Zaprzyjaźniłeś się?

- Tak, w ścisłym tego słowa

znaczeniu, jeśli chcesz
wiedzieć. Zresztą przyprowadzę
go tutaj kiedyś wieczorem i
zobaczysz, że to uroczy chłopak.
Przekonał mnie, żebym rzucił
moją obecną pracę u twojego
wydawcy - dobrze się składa, bo
już mi się sprzykrzyła - i
przyszedł do niego, do radia
Paryż, pomóc mu w kierowaniu
dziennikiem radiowym.

Uzgodniono, że przyjdę na
miejsce Hansa Knopfa, który ma
jechać na front wschodni
"zobaczyć, czy go tam nie ma".
Oczywiście, wielcy szefowie z
hotelu "Majestic" wyrazili
zgode.

Była to prawda; ostateczną
decyzję podjął nawet sam generał
Heinrich von St~ulpnagel, szef
Naczelnego Dowództwa
niemieckiego we Francji,
otrzymawszy zewsząd pochlebne
opinie, poczynając od ambasadora
Otto Abetza, a skończywszy na
generale SS, Carlu Albrechcie
Obergu.

- Wszystko zostało więc
załatwione i to załatwione
dobrze; zabieram się do roboty
już w przyszłym tygodniu, jak ci
to potwierdzi Gerhardt Haeft. A
robotą będzie polegała w
zasadzie na tym, żeby przetoczyć
trochę świeżej krwi do
usypiającej z wolna redakcji.

I... no więc, zaraz usłyszysz,
Robercie, co chciałem ci
powiedzieć... potrzebuję ciebie.
Chciałbym, żebyś został
redaktorem naczelnym i
komentatorem, żebyś co wieczór
robił przegląd wydarzeń w
dzienniku o dwudziestej, przy
czym H~erold_Paquis zachowa swój
o trzynastej. Przegląd, w którym
będziesz komentował ostatnie
wydarzenia wkładając w to całe
twoje przekonanie, pewność

zwycięstwa, używając mocnych i treściwych argumentów, jak potrafisz to robić w artykułach i przemówieniach, a to wszystko twoim pięknym, ciepłym głosem, z twoimi lirycznymi wzlotami i niezwykłą siłą przekonywania. Dodam jeszcze, że będą ci płacić 16 tysięcy miesięcznie, co jest nie do pogardzenia, plus zwrot kosztów prawie bez ograniczeń...

Robert wzruszył ramionami.

- Jeśli dobrze rozumiem, decyzja już zapadła, mnie pozostało tylko wyrazić zgodę!

- Bardzo dobrze zrozumiałeś.

W tydzień później ściany oblepione zostały afiszami, we wszystkich gazetach ukazały się wielkie zdjęcia Roberta mówiącego do mikrofonu. W podpisie widniało po prostu: "Radio Paryż... Codziennie o godz. #/20: komentarz Roberta Rittera..."

Od początku stycznia 1943 roku Robert chodził codziennie pod numer 116 bis przy

Champs_Elysées, gdzie, pod kinem "Normandie", w byłych pomieszczeniach radiostacji paryskiej - której słuchało się przed wojną u jego rodziców - zostały urządzone studia i biura radia Paryż. Jak rok długi, miał komentować wydarzenia, które - musiał to przyznać, choć nie mówił o tym do mikrofonu - stawały się coraz bardziej niekorzystne dla Rzeszy i jej sprzymierzeńców, lub wyjaśniać inicjatywy podejmowane przez Niemców czy rząd Vichy, coraz trudniej dające się wytłumaczyć Francuzom.

I tak, 27 stycznia, odbyła się konferencja w Casablance, z udziałem Roosevelta, Churchilla, Girauda i de Gaulle'a; 31 stycznia Vichy powołało Służbę

Pracy Obowiązkowej odpowiadając na zapotrzebowanie gauleitera Sauckela na siłę roboczą; tego samego dnia von Paulus skapitulował pod Stalingradem; 8 lutego Amerykanie odbili Japończykom wyspę Guadalcanal; 19 kwietnia wybuchło powstanie w getcie warszawskim; 13 maja w Tunezji skapitulowały Niemcy i Włochy; 31 maja do Algieru przybył generał de Gaulle; 1 lipca lotnictwo angielsko_ amerykańskie dokonało pierwszego zmasowanego bombardowania Ruhry; 10 lipca alianci przeprowadzili desant na Sycylii; 25 lipca Mussolini został odsunięty od władzy; 26 sierpnia alianci uznali Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego; 12 września dokonano desantu na Korsyce; 17 września utworzono Algierskie Zgromadzenie Konsultatywne; 13 października Włochy wypowiedziały wojnę Niemcom; 6 listopada Rosjanie odbili Kijów; 11 listopada partyzanci przedefilowali w Oyonnax ze sztandarami na czele pochodu; 28 listopada odbyła się konferencja w Teheranie z udziałem Roosevelta, Churchilla i Stalina.

- Za każdym razem - tłumaczył Robert Joachimowi - muszę udowodniać, że niemieckie niepowodzenia w rzeczywistości są zwycięstwami, że sukcesy aliantów to faktyczne klęski, i że niepopularne zarządzenia, jak na przykład Służba Pracy Obowiązkowej, to wspaniałe prezenty od Niemiec dla Francji...

Kiedy to mówił, w jego głosie pobrzmiwała gorycz i pewne rozczarowanie. Gorycz i rozczarowanie spowodowane nie

tylko nieubłaganą ewolucją wojny. Miały w tym swój udział także wizyty Sary, bo, umyślnie czy nie, siostra dostarczała mu podczas rozmów najświeższych informacji, które nie zawsze docierały do jego ciasnego kolaboranckiego kółka, a dotyczących ludzkiej nędzy, głodowej reglamentacji, narastającego buntu, a także coraz większej skuteczności ruchu oporu i rozmiarów coraz bardziej bezlitosnych represji. Dzięki siostrze Robert mógł ocenić rosnącą irytację Francuzów wobec okupacji, a zarazem izolację kolaborantów... a więc i swoją własną. Mniej lub bardziej tajne dokumenty, które zdarzało mu się czytać - a były to raporty prefektów i naczelników policji sporządzone dla ich ministra w rządzie Vichy - działały w tym samym kierunku, podobnie jak złowróżbne czerwone afisze zawiadamiające o egzekucjach zakładników, a nie mógł ich nie widzieć, bo wisiały wszędzie, także na murach Champs_Elysées i ulicy Washingtona. Kiedy pisał "Śmierć ojca", bezpośrednio zetknął się z powszechną opinią ludności wstrząśniętej, zszokowanej ucieczką i klęską, widzącej w Pétainie zbawcę. Teraz stracił kontakt z rzeczywistością i trzeba było dopiero opowiadań Sary i innych jaskrawych przykładów, które nawet przeczuwał, ale z uporem odrzucał, aby uświadomić sobie swą własną podłość i nikczemność. Mimo to nadal wykonywał swoją pracę, czasem natchniony pewnego rodzaju diabolicznym geniuszem, a zawsze z talentem. Naśladując

slogan radia Londyn, przyjął dewizę: "Francuz mówi do Francuzów". I faktem jest, że miał słuchaczy; niektórzy go podziwiali, zachwycali się nim nawet, inni słuchali go tylko po to, żeby przekonać się, do czego się posunie w swojej bezczelności i prowokacyjności, ale w większości nienawidzili go, a radio angielskie i podziemna prasa ruchu oporu obwołały go zdrajcą i bezlitośnie wskazywały jako kandydata do zlikwidowania. Nawet w redakcji radia Paryż, nawet wśród kolaborantów nie wszyscy byli jego przyjaciółmi. Dawne polityczne gwiazdy radiostacji miały mu za złe, że je przyćmił. A ci, którym było na rękę, że za jego sprawą mniej są na widoku i to w okresie, gdy trzeba było pilnie pomyśleć o zmianie frontu, nienawidzili go mimo wszystko za poglądy, które teraz uważali za nazbyt skrajne, choć sami wyznawali je jeszcze wczoraj. Kolaboracja to polityczny mikrokosmos, byli więc kolaboranci "lewicowi" i "prawicowi", ale jedni i drudzy zgodnie zarzucali Robertowi proniemiecki fanatyzm, choć wszyscy wcześniej przyczynili się do jego powstania. Na ulicy, a wychodził tylko w towarzystwie uzbrojonego po zęby goryla - sam zresztą nosił w kieszeni rewolwer - ludzie przyglądali mu się z nienawiścią. Kiedy przychodził na obiad do Fouqueta albo do jakiejś innej luksusowej restauracji, bo dochody mu na to pozwalały, niektórzy klienci na jego widok wstawali i opuszczali salę. Nawet niektórzy Niemcy krzywili się na niego, dopatrując się przesady, a nawet zboczenia w jego oddaniu sprawie

Hitlera, bo sami potajemnie żywili więcej szacunku dla ludzi z podziemia.

Wszystko to nie przeszkadzało mu w prowadzeniu dalej swojej działalności.

- Nie wolno rezygnować w pół drogi! - powiedział już kiedyś do Joachima. - Nawet jeśli w naszych szeregach zdarzają się odstępcy, nawet jeśli obecnie niektórzy wątpią w ostateczne zwycięstwo, ja w każdym razie wytrwam do końca!

Powtarzał teraz te słowa co najmniej trzy albo cztery razy dziennie, jakby chciał przekonać samego siebie, jakby sam poddawał się hasłom, które wbijał w głowę swoim słuchaczom.

Co nie odbierało mu jednak jasności umysłu. Nie mówił o tym nikomu ani słowa, zwłaszcza Joachimowi, ale dobrze czuł, że Niemcy wojnę przegrały, że potrwa ona jeszcze rok, najwyżej dwa lata, i zakończy się Wagnerowską apokalipsą, ruinami i śmiercią milionów ludzi.

Świetnie też wiedział, że jego własny los jest

przypieczętowany, że klęska Niemiec będzie jego własną klęską. W cieniu czyhali na niego mściciele z ruchu oporu.

"Hej, zabójcy... kulą i nożem... zabijajcie szybko!" - to słowa z "Pieśni Partyzantów" wylansowanej przez radio Londyn, którą nadało też radio Paryż, chcąc dowieść "krwiożerczego ducha terrorystów". Jeśli uda mu się uniknąć tej natychmiastowej zemsty, po zakończeniu wojny policja i wymiar sprawiedliwości zdołają go odnaleźć i nieuchronnie postawią go pod ścianę. Czasem wyobrażał sobie, jak to się odbędzie: pozorowany proces, słup ustawiony w fosie,

do którego go przywiążą,
odczytanie wyroku, ksiądz
dzierżący krucyfiks, równo
ustawiony pluton egzekucyjny,
opaska, którą będą mu chcieli
założyć na oczy, ale on odmówi,
bicie w bęben, rozkazy rzucane
chrapliwym głosem: "Cel!...
Pal!...", czerwony błysk i
będzie po wszystkim. Albo
wyobrażał sobie, że schwycił go
oddział pijanych zemstą obrońców
sprawiedliwości, że był
torturowany i wykrwawiony zwija
się na podłodze lochu
dogorywając z wolna. Nic jednak
nie mogło go skłonić do zmiany
linii postępowania.

- Nie chcę, nie mogę wyprzeć
się siebie!

A nawet gdyby chciał, czy
byłoby to możliwe? Został
zaangażowany w kolaborację
trochę wbrew sobie, ponieważ
napisał, bez żadnego
szczególnego zamiaru, książkę
służącą interesom gorliwców z
Vichy i kolaborantów i z której,
dzięki jej niepodważalnym
zaletom, uczyniono coś więcej
niż literacki sukces - prawdziwy
triumf. Odtąd Robert stał się
więźniem; więźniem własnego
powodzenia, więźniem ludzi,
którzy mu pochlebiali widząc w
nim mesjasza rewolucji narodowej
i ufali mu, a których nie chciał
rozczarować ani zawieść,
wreszcie był więźniem Joachima
Botto.

- Mein lieber Robert!

Przedstawiam ci mojego
przyjaciela... naszego
przyjaciela... sonderf~uhrera
Gerhardta Haefta!

Było to pewnego wieczora w
styczniu 1943 roku, niedługo po
rozmowie, podczas której Joachim
przekonał Roberta do bardziej
regularnej współpracy z radiem

Paryż. Haeft, podobnie jak Botto, był ubrany po cywilnemu, w dobrze skrojony, jasnoszary garnitur. Był to mężczyzna około trzydziestoletni, wysoki, atletyczny, jasny szatyn o bladych oczach. Między trzema mężczyznami wytworzyło się z miejsca perwersyjne porozumienie w trakcie sceny, która przypomniła Robertowi jego igraszki wiele lat temu, w stodole w Lagny, z Lucienem Minoux i Marcenakiem. Tym razem sprawiającą mu rozkosz rolę, przypadającą niegdyś Lucienowi, grał Joachim. Trzy nagie, splecione na łóżku ciała jęczały, wydawały okrzyki rozkoszy. Nieco później Joachim powiedział z uśmiechem, pół żartem, pół serio:

- Gdyby tak zobaczył nas F~uhrer...

Haeft wzruszył ramionami. Mówił świetnie po francusku, tyle że ze szczyptą germańskiego akcentu.

- Osobiście jestem przekonany, że w pewnym okresie życia musiał żywić... co najmniej przyjaźń... do niektórych swoich towarzyszy. Myślę o Ernście Roehmie, pierwszym szefie Sa.

- ...To było oczywiście przed "nocą długich noży"! - wtrącił z ironią Robert.

- W każdym razie, moi drodzy, muszę wam coś powiedzieć! - ciągnął Haeft. - Zawsze w okresie silnej hierarchizacji, militaryzacji społeczeństwa, kiedy mężczyźni zmuszeni są żyć we wspólnocie, objawia się i triumfuje homoseksualizm. Żyjemy w jednym z takich okresów. I w ten sposób stajemy się spadkobiercami starożytnej Grecji, najwspanialszej cywilizacji w dziejach świata...

Ciągle jeszcze nagi Joachim
usiadł Robertowi na kolanach,
objął go ramieniem za szyję.
- Czy wiesz, Gerhardzie, że
Robert jest wielką miłością
mojego życia? A przecież to
wstrętny świntuch. Wyobraź
sobie, że któregoś dnia
przyłapali go w szalecie,
niedaleko gimnazjum, jak
zabawiał się z kilkunastoletnim
chłopcem! Policjanci orzekli, że
zdeprawował chłopaczka... Ja
myślę raczej, że uświadomił mu,
kim jest, jeśli to się nie stało
już wcześniej.

Haeft słuchał z dwuznacznym
uśmiechem.

- Kiedy zdarzyła się ta
historia, interweniowałem na
najwyższym szczeblu i udało mi
się uwolnić Roberta ze szponów
francuskiej policji. Ale
pozostały ślady po tym
zdarzeniu. Wiesz, że policja,
czy to francuska czy niemiecka,
nigdy niczego nie zapomina.

Dodał jeszcze, tuląc się
pieszczentliwie do Roberta:

- Robert tak mnie kocha i taki
jest mi wdzięczny za wszystko,
co dla niego zrobiłem, że
niczego nie potrafi mi odmówić.
Będzie więc z nami pracował.
Prawda, Robercie? Zgadzasz się,
co? Będziemy się widywali
codziennie, będziemy zawsze
blisko siebie, wszyscy trzej. I
będziemy razem pracować dla
wspólnego zwycięstwa...

Robert został więc osaczony ze
wszystkich stron; był więźniem
samego siebie i swojego sukcesu,
Joachima, a teraz jeszcze
Gerhardta Haefta, własnych
namiętności i nieostrożności.
Ale oprócz tego było w nim teraz
pewnego rodzaju urzeczenie
klęską, apokalipsą i śmiercią, w
chorobliwy sposób fascynował go

ten straszny los, jaki
nieuchronnie czekał Niemcy i
jego samego. Tak, wytrwa aż do
końca. Zresztą, co mógłby zrobić
innego? Naprawdę nie mógł sobie
wyobrazić, że wszystko rzuca,
ucieka i puka do drzwi jakiegoś
przywódcy ruchu oporu... nie,
nawet do własnego brata...
mówiąc:

- Żałuję tego, co zrobiłem.
Chciałbym okupić swoje winy...
Jako głównego przedstawiciela
nazistowskiej propagandy
przyjęto by go strzałami z
rewolweru, to nie pozostawiało
żadnej wątpliwości. Te strzały
oddałby może sam Bruno... A więc
trwał na miejscu i nadal robił
swoje. Nadal pracował w radiu
Paryż, głosił swoją kłamliwą
pewność niemieckiego zwycięstwa,
mieszkał w swojej garsonierze,
kochał się z Joachimem, palił
papierosy Juno, odurzał się
atmosferą salonów ambasady
niemieckiej, szukał poklasku na
zebraniach...

A jednak, w miarę upływu czasu
czuł, jak z wolna kiełkuje w nim
i miesza się z odczuwaną przez
niego fascynacją czy rezygnacją
jakaś przemożna odraza, pogarda,
nienawiść wobec tych samych
Niemiec, których bronił, tego
radia, w którym pracował, i
Joachima, z którym żył. Do
mdłości niemal doprowadzała go
groteskowość sytuacji, w jakiej
się znalazł, jej perwersyjna,
chorobliwa strona. I czuł z
przerażeniem, że utkwiał w
systemie myślenia i działania
nieubłagalnie chylącym się ku
śmierci, ku rozkładowi myśli i
ludzi, ku wszechogarniającej
zgniliznie, w cuchnących
wyziewach końca świata, w
smrodzie, który sam wydzielał,
czuł, jak dobywa się z jego

umysłu i ciała. Jak od tego
uciec? Zdarzało mu się myśleć o
samobójstwie. Zdarzało mu się
też myśleć, że grozi mu
pomieszanie zmysłów, że zaraził
się przerażającym szaleństwem
Niemiec, obłądnym upadkiem
świata walącego się w gruzy w
łunie pożarów, w huku
bombardowań, pośród pełnego
przerażenia wycia torturowanych,
konających.

Kiedy zaczął pisać swoją
nową powieść, miał bardzo prosty
pomysł - zamierzał opisać Europę
ogarniętą wojną, wykorzystując
publikowane tu i ówdzie,
zwłaszcza przez wojennych
reporterów z
Propagandakompanien, reportaże,
nadając im tylko własny styl.
Chodziło mu o to, aby za pomocą
dobrze dobranych przykładów
pokazać walczących żołnierzy,
przede wszystkim Niemców, lecz
także z krajów sprzymierzonych z
Niemcami oraz z różnych legionów
ochotniczych. Zamierzał również
opisać ludność cywilną przy
pracy, w bombardowanych
miastach, w fabrykach
produkujących na potrzeby wojny.
Krótka mówiąc, miała to być
rozległa panorama z główną
postacią występującą w pierwszej
osobie - jakby ten ktoś sam we
wszystkim brał udział - którą
miał być autor. Książka miała
być napisana szorstkim,
reporterskim stylem, krótka,
pulsująca życiem, pełna krwi,
błota i łez, ale też radości ze
zwycięstw, triumfalnych pochodów
pod sztandarami ze swastyką.
- Zdecydowałem się już na
metodę! - powiedział do
Joachima, kiedy zaczął pracę,
na początku 1943 roku, mniej
więcej w tym samym czasie, gdy
ze swoją codzienną kroniką

wydarzeń wchodził na antenę
radia Paryż. - Wybrałem
potrzebne mi dokumenty. W pełni
panuję nad własnym stylem i
warsztatem. Jak mówił Racine:
"Moja tragedia jest gotowa,
pozostało mi tylko ją napisać".
I pisał. Poświęcał tej pracy
wszystkie przedpołudnia i część
nocy - kiedy Joachim był w pracy
albo spał. Po południu chodził
do redakcji, żeby opracować
komentarz i przeczytać go do
mikrofonu. Nauczył się
posługiwać depezbami z
powielacza Francuskiego Urzędu
Informacyjnego, długimi paskami
cienkiego papieru z
wydrukowanymi na nich
telegramami niemieckiej agencji
Dnb, sprawozdaniem z nasłuchu
radiostacji całego świata
podawanym co rano w streszczeniu
w broszurze liczącej około stu
stron, zatytułowanej
"Funkspiegel", co znaczy -
zwierciadło fał. Szybko
zrozumiał, że powinien tylko
robić notatki i że kronikę
koniecznie trzeba dyktować, żeby
nabrała swobodnego tonu rozmowy.
Wyjaśniono mu, że na jedną
minutę antenową potrzeba 17
wierszy maszynopisu. Zastosował
się do wszystkiego i zrół się z
ekipą dziennika, z
dziennikarzami, technikami,
sekretarkami, przyswoił sobie
ich ducha sceptycznego,
kąśliwego i kpiarskiego zarazem
- bo redakcja, nawet w tym
czasie i w tym miejscu, zawsze
była redakcją. Po ukończeniu
pracy pokazywał ją Joachimowi, a
ten składał pod nią swój podpis,
bez którego Robert nie mógłby
nadać swojego tekstu. Następnie
udawał się do studia. Technik
dawał mu znak, zapalała się
czerwona lampka. Pięć minut

później było już po wszystkim.
Jeśli nie był umówiony, ani nie
szedł do teatru, wracał do
siebie, zawsze z ochroną. Zjadał
pośpiesznie kolację i siadał do
biurka.

- Jestem z siebie zadowolony!

- mówił czasem do Joachima. -

Pierwsze rozdziały pisze mi się
dobrze.

- Będziesz Pindarem i Homerem
narodowosocjalistycznej Europy!

A potem, z upływem czasu, w
miarę jak działania wojenne
przybierały coraz bardziej
oczywisty obrót, jak nasilała
się w nim skrywana rozpacz,
sposzregł, że nie pisze tego,
co chciał. Pochwały, którymi
chciał pochlebiać armii
niemieckiej, systematyczna
gloryfikacja Trzeciej Rzeszy,
panegiryk na cześć Hitlera i
jego ludzi, uznanie dla
kolaboracji, wszystko to, co
wyzaczył sobie jako program,
okazało się chybione. Pochwalne
zdania początkowo same płynęły
mu spod pióra. Później,
stopniowo, jakby wbrew jego
woli, ustąpiły miejsca innym,
pełnym goryczy, urazy, żółci.
Próbował opierać się temu
popędowi, ale zdał sobie sprawę,
że to niemożliwe. Wtedy z
wściekłością podarł pierwsze
napisane rozdziały, te, o
których mówił Joachimowi, że
"dobrze się piszą". I zaczął
wyrażać to, co miał do
powiedzenia, co nagromadziło mu
się w głębi serca, a co teraz
wyrzucał na papier w jakimś
chorobliwym, nie dającym się
powstrzymać potoku słów,
odnajdując na nowo swoje dawne,
gorączkowe natchnienie z czasów,
kiedy w swoim pokoju w Lagny
pisał "Śmierć ojca", odzyskując
także swobodę myślenia, pewność

siebie, głęboko ukrytą
dotychczas prawdę.
Metoda pozostała ta sama -
nadal miały to być sceny
wojenne, rozgrywające się w
Europie, oparte na niemieckich
reportażach. Nie zmienił też
stylu, jaki sobie wcześniej
wyrobił. Zmienił natomiast
gruntownie głęboką wymowę
książki, jego wizja walk została
odwrócona. Niemców opisywał nie
takimi, jakimi widział ich przez
trzy lata, może nawet nie
takimi, jakimi byli naprawdę,
ale takimi, jakimi widział ich
teraz oczami nienawiści, z
chorobliwą, równie przesadną co
dawne pochwały, agresywnością.
A jednak, codziennie
wieczorem, o dwudziestej,
następowała przerwa w programie
muzycznym, będącym oczkiem w
głowie doktora Gofingera. W
małym studiu dziennika, na
trzecim piętrze gmachu, zapalała
się czerwona lampka i Robert
odczytywał swoją kronikę:
- Żydzi z warszawskiego getta
podnieśli bunt i żołnierze
Rzeszy, w imię higieny, położą
kres beznadziejnemu
awanturnictwu tego motłochu...
Młodzi Francuzi zmobilizowani do
Służby Pracy Obowiązkowej staną
się budowniczymi nowej Europy...
Obalenie Mussoliniego nie
osłabia zdecydowania, z jakim
naród włoski walczy u boku
Niemiec... Odbicie Kijowa było
ostatnią kartą w ręku
bolszewików... Partyzanci z
Oyonnax to biedni chłopcy
wykolejeni przez żydowską
propagandę... W Teheranie
Churchill, Roosevelt i Stalin
nie osiągnęli porozumienia w
żadnym punkcie...
Ale dyktowanie komentarzy
zabierało mu coraz więcej czasu

i coraz więcej wysiłku
potrzebował, żeby dobrnąć do
końca. Ren~ee, jego sekretarka,
zwana Poupie - ładna dziewczyna
z drobną twarzą lalki, do
szaleństwa w nim zakochana - nie
mogła tego nie zauważyć.
- Coś mi się zdaje, Robercie,
że nie jesteś ostatnio w formie!
Wszystko, co mówił, co był
zmuszony mówić, do czego jeszcze
sam się zmuszał, zbyt sprzeczne
było z tym, co myślał naprawdę,
toteż argumenty umykały mu spod
pióra albo więzły mu w gardle. Z
im większą swobodą, w ciszy
swojego pokoju, pisał powieść,
tym bardziej się pocił nad
kroniką wydarzeń, bo nie zawsze
łatwo jest być równocześnie
doktorem Jekylllem i panem Hydem.
Wreszcie Joachim i Gerhardt
Haeft również zwrócili uwagę na
toporny charakter jego tekstów,
na niezbyt szczery ton jego
głosu na antenie. Tłumaczył się
zmęczeniem, zbyt długotrwałym i
silnym napięciem nerwowym. Ale
od czasu do czasu, w rozmowie,
wtrącał zawiedzionym tonem
jakieś zdanko, dostatecznie
dwuznaczne, żeby przypisać je
dziennikarskiemu upodobaniu do
kpiny i cynizmu, zdradzające
jednak w rzeczywistości jego
rozczarowanie, a nawet wrogość
wobec otoczenia. Mówił, na
przykład, z żartobliwym
uśmiechem:
- Kroczymy od niepowodzenia do
niepowodzenia aż do ostatecznego
zwycięstwa!
Albo, mówiąc o partyzantce,
której szeregi zasilalo wielu
młodych Francuzów chcących uciec
przed Służbą Pracy Obowiązkowej,
stwierdzał:
- Skrót As nie oznacza wcale
Arm~ee Secr~ete, tylko Armia
Sauckela!

Posunął się nawet do tego, że
ułożył i dał do przepisania, a
potem puścił obiegiem po
redakcji fałszywą depezę
Francuskiego Urzędu
Informacyjnego, w której pisał z
zimną krwią:

"Na froncie wschodnim wojska
niemieckie cofają się tyłem,
żeby zmylić nieprzyjaciela i dać
mu do zrozumienia, że posuwają
się naprzód...". Pierwszy
zapoznał się z tym tekstem
sonderf~uhrer Werdek i wybuchnął
śmiechem; ten Austriak miał
poczucie humoru - może dlatego,
że nie był nazistą. Dziennikarze
francuscy ubawili się, nie mogli
przepuścić takiego dowcipu.
Haefta i Botta natomiast wcale
to nie bawiło.

Joachim zresztą pierwszy padł
ofiara nową postawy Roberta.
Przez długi czas mógł czytać w
oczach przyjaciela co najmniej
zrozumienie i zawsze pożądanie,
teraz zaś widział w nich
nadaśaną wrogość, a kiedy
pojawiało się pożądanie, to było
ono zaprawione chęcią
upokarzającą dla dominacji.
Robert brał Joachima tak, jakby
chciał mu zadać ból, jakby
chciał się zemścić za własne
podporządkowanie, za ten rodzaj
zręcznego szantażu, którego padł
ofiara. Gnębił go wtedy
poniżającymi słowami i gestami,
podkreślając z wściekłością
bierne przeżywanie rozkoszy
przez partnera i jego uległość.
Zdarzało się, że Joachim przez
to płakał. Ale też z coraz
większym trudem znosił te
zniewagi, wreszcie wzbudziły w
nim wstręt, a przede wszystkim
podejrzanie, że istnieje coś, co
wywiera ujemny wpływ nie tylko
na ich stosunki, lecz i na
związek z tą polityką, której

bronił od 1940 roku. Wszystko się ze sobą wiązało; słowa pełne rozczarowania, wiecznie zły humor, słaba argumentacja komentarzy, zawiedziony ton wypowiedzi w radiu, agresywność, jaka pojawiła się w ich związku, wrogość, jaką czytał w gorącym niegdyś spojrzeniu Roberta, wszystko to najoczywściej świadczyło o stopniowym odstępstwie od przyjętych przed ponad trzema laty poglądów, jasno dowodziło wyraźnej już teraz dezercji i należało jak najszybciej zbadać, jak daleko się ona posunęła, dokąd jeszcze mogła zajść.

Robert był co prawda potrzebny radiu Paryż, niemieckiej propagandzie i sprawie narodowego socjalizmu, bo dobrych dziennikarzy, utalentowanych i trafiających w sedno, nie było znowu tak wielu; H-erold_Paquis, Henriot i Ritter, koniec, kropka. Można więc było pozwalać mu na to i owo, do pewnych granic, tak długo, jak przynajmniej na antenie - Robert będzie utrzymywał fikcję, udając zaangażowanie. Ale, gdyby się zdarzyło, że zdradzi naprawdę, sprawa kolaboracji ładnie by wyglądała, a wraz z nią Joachim, bo to przecież on polecił przyjaciela w radiu Paryż. Było oczywiście nie do pomyślenia, żeby Ritter przeszedł z dobrodziejstwem inwentarza na stronę nieprzyjaciela; zresztą ruch oporu wyniośle odmówiłby pewnie przyjęcia takiego zdyskredytowanego zbiega. Ale Joachim wiedział z nierozważnych zwierzeń Roberta, że ma on brata w ruchu oporu; kto wie, czy za jego pośrednictwem nie zostały nawiązane kontakty, czy nie

zaciągnięto jakichś zobowiązań,
nie przekazano informacji
pochodzących z poufnych
dokumentów z napisem Geheim, do
których Robert miał dostęp z
racji swoich funkcji, a które
mogły posłużyć za monetę
przetargową?

Był jeszcze inny aspekt
sprawy; kiedyś Joachim był
prawdziwie namiętnie zakochany w
Robercie. Ale teraz kochał go
mniej, a może nawet wcale, z
powodu zmiany w zachowaniu się
przyjaciela, upokarzającej dla
niego samego i dla świętej
sprawy, której bronił. Zresztą w
jego życiu był teraz Gerhardt
Haeft, a ten miał dwie zalety -
był Niemcem i fanatycznym
nazistą, z jego więc strony
można się było nie obawiać
zdrady. Toteż żadna przeszkoda
nie mogła już powstrzymać
Joachima.

- To trzeba zbadać! -
powiedział do Haefta, któremu
zwierzył się ze swojego
zmartwienia. - Trzeba zbadać,
jak daleko Robert posunął się w
swoim wiarołomstwie!

- Tak, drogi Joachimie.
Zgadzam się z tobą. Ale, uwaga,
bez nerwów, bez pośpiechu! Kiedy
i jak, nad tym powinienes się
zastanowić.

Botto miał już gotową
odповідź na drugie z tych
pytań. Kiedy na początku roku
Robert przystąpił do pisania
nowej powieści, często mu o niej
mówił, dzieląc się z nim swoimi
zamiarami, prosząc go o pomoc w
zdobyciu dokumentów, czytając
mu, szczególnie, jego zdaniem,
udane rozdziały. A potem mówił
już mniej... coraz mniej... aż
wreszcie w ogóle przestał o niej
mówić. Okres ten ściśle zbiegł
się z coraz większym

ochłodzeniem ich wzajemnych stosunków, ze zgorzknieniem i agresywnością Roberta. Aż wreszcie Joachim upewnił się, że przyjaciel pisząc swoje dzieło zamyka się, że pracuje nad nim tylko nocą, albo kiedy jest sam, i że starannie zamyka w szufladzie opasły już teraz rękopis.

Ten rękopis był więc prawdopodobnie kluczem do wszystkiego; skoro Robert tak starannie go chowa, należało sądzić, że, w formie powieści lub nie, zawiera mu nowy bieg swoich myśli. Przypuszczalnie też w tej samej szufladzie znajdują się inne informacje. Należało więc jak najszybciej ją otworzyć, przetrząsnąć, zapoznać się z rękopisem i całą resztą.

Następnie przystąpić do działania. Sprawy zaszły na pewno za daleko, żeby mogła tu coś załatwić nawet długa i szczerą rozmowa, bo jej długość nie miała tu nic do rzeczy, a szczerść trzeba było raczej z góry wykluczyć. Nowy szantaż byłby bez wątpienia równie bezskuteczny, bo minął już zapewne czas, kiedy Robert drżał przed tego rodzaju groźbą. A zresztą, wyjawienie - tylko komu? - historii z ulicy

Trudaine zmusiłoby Joachima do przyznania się do jego własnej interwencji w celu zatuszowania sprawy, a więc także do współwiny. Należało więc posłużyć się innymi środkami... dobranymi z niezbędną przezornością i nie narobić przy tym zbyt wiele hałasu; Robert nie był przecież byle kim - a już na pewno nie kimś, kogo można by się było z łatwością pozbyć... gdyby przyjąć, że należy to zrobić.

Któregoś dnia, w grudniu 1943 roku Joachim oznajmił Robertowi, że wyjeżdża niezwłocznie na kilka dni przepustki do L~orrhach, miasta w Wirtembergii, gdzie się urodził i gdzie mieszkała cała jego rodzina, łącznie z ojcem, gauleiterem. Będzie z powrotem najpóźniej za tydzień.

- Wynudzisz się - domyślał się perfidnie Robert. -

Przypuszczam, że masz jednak w L~orrhach jakichś koleżków?

- Nie martw się o mnie. Tak jak i tutaj, mam tam wszystko, co trzeba. W razie potrzeby pójdę do mojego starego profesora matematyki... To on mnie uświadomił, kiedy miałem dwanaście lat...

Nazajutrz, przez specjalnego kuriera, motocyklistę z Wehrmachtu, Robert otrzymał bilecik z ambasady niemieckiej. Ambasador Rzeszy, Abetz wraz z małżonką zapraszał pisarza oraz innych autorów i dziennikarzy francuskich na kolację wydawaną - z blisko miesięcznym opóźnieniem spowodowanym podróżami dyplomaty do Berlina i Vichy - z okazji dwudziestej rocznicy puczu, jaki miał miejsce w Monachium 9 listopada 1923 roku. O wyznaczonej godzinie - dwudziestej - Robert udał się riksą do pałacu Beauharnais przy ulicy de Lille zamknąwszy na klucz rękopis, nad którym pracował całe popołudnie. Po drodze wstąpił do studia radiowego i nagrał na płytę swoją kronikę; tym razem nie będzie to bezpośrednie nadanie. Tonący w świetle weneckich żyrandoli hall ambasady o ścianach pokrytych portretami Hitlera, umeblowany był w ciężkim stylu Dritter Reich.

Między dwoma orłami ze swastyką
i rzeźbami Arno Brekera powitał
Roberta ambasador we własnej
osobie oraz stojąca u jego boku
małżonka, Suzanne, Francuzka,
którą poznał w Paryżu przed
wojną, kiedy był tu profesorem
rysunku, a ona - sekretarką
Jeana Luchaire.

Jean Luchaire zresztą był
również obecny, razem z żoną,
Françoise, i córką Corinne,
aktorką. Był tam także Alphonse
de Chateaubriant ze swoją
niemiecką żoną, Robert
Brasillach, Lucien i Véronique
Rebatet, Jacques de Lesdain,
Robert de Beauplan, aktor Robert
Le Vignon, Louis-Ferdinand
Céline z żoną, ale bez kota
Béberta, który zazwyczaj
wszędzie mu towarzyszył...

słowem, cała śmietanka
literackiej, artystycznej i
dziennikarskiej kolaboracji.
Kobiety były w wieczorowych
sukniach, mężczyźni we frakach
albo w smokingach - ci, którzy
nie nosili munduru. Tylko Robert
ubrany był w swój odwieczny,
spłowieły, niebieski garnitur,
ale wiele mu wybaczano ze
względu na jego młody wiek i
geniusz, przy czym nikt nie
wiedział, że ów geniusz unosi go
teraz ku innym zgoła horyzontom.
Podczas przyjęcia, wciśnięty
między Suzanne Abetz i Corinne
Luchaire, Robert wetknął nos w
talerz i nie odzywał się ani
słowem; nie lubił mówić i
wszyscy o tym wiedzieli od
dawna; poza tym nie lubił
kobiet, zwłaszcza tych dwóch
papug, a jeszcze mniej, i to
mniej niż kiedykolwiek, lubił to
zepsute środowisko. Jeśli cenił
sobie coś w okupacji
niemieckiej, to byli to młodzi
zwycięscy żołnierze z czerwca

1940 roku, a nie ci służalczy intelektualisci, ci politycy z drugiej strefy krążący wokół Abetza i niezmordowanie bijący mu pokłony niczym "dwór króla Otto", jak mawiał Celine.

Pograżył się w myślach, których głównym tematem była jego powieść. Wyobraził sobie scenę na wzór tej, którą właśnie przeżywał, ale rozgrywającą się gdzie indziej, na przykład w Krakowie, na Wawelu, w siedzibie Reichministra Franka, generalnego gubernatora Polski, albo w Pradze, na zamku Hradczany, skąd Reichsprotektor Czech i Moraw, dr Arthur Seyss-Inquart panował nad "złotym miastem"... albo, czemu nie?... w Urzędzie Kanclerza Rzeszy w Berlinie, w obecności samego Hitlera. W tej scenie uczestniczyliby mężczyźni we frakach albo w mundurach, kobiety w wieczorowych sukniach, w typowo hitlerowskiej scenerii.

Ale różnica polegałaby na tym, że główna postać powieści - mówiąca w pierwszej osobie - miałaby odwagę indagować gospodarzy, sprzeciwić się im, mówiąc, że klęska jest nieunikniona, że ostateczne zwycięstwo w tej wojnie odniosą ci mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, którzy teraz są upokarzani.

- Tak! - powiedziałby. -

Ostatni mały Żydek w czapce i z żółtą gwiazdą, ostatnie zgłodniałe dziecko z wychudzoną twarzą i brudnymi rękami będzie silniejsze od was, złamie na koniec waszą niemiecką butę i podepcze wasze mundury i sztandary...

Robert był tak zatopiony w swoich niestosownych myślach, że nie zauważył, jak ambasador,

jego żona i wszyscy biesiadnicy wstali od stołu. Patrzyli na niego. Wstał i on i udał się za Suzanne Abetz. W sukni koloru spłowiałej zieleni ta Francuzka wyglądała jak prawdziwa niemiecka burżujka. Szła powoli, z dobrotliwą godnością, czyniąc honory domu w odnowionej ambasadzie. Od wielu miesięcy dziesiątki malarzy i dekoratorów pracowały nad nadaniem dawnemu pałacowi Beauharnais wyglądu typowo germańskiej rezydencji. Zatrzymywała się na progu każdego pokoju jakby delektując się zimnym wyzywającym przepychem umeblowania i wystroju. Potem przekraczała próg, robiła kilka kroków w głąb, znowu się zatrzymywała i podnosząc ręce wskazywała meble, obrazy, dywany, lampy, posągi herosów dłuta Arno Brekera, popiersia F~uhrera, gobeliny ozdobione gotyckimi orłami i swastykami, mówiła przy tym z uśmiechem wzbogaconej midinetki:
- Sch~on, nicht wahr? Piękne, prawda?

Otto Abetz dorzuczał:

- Odnawiając ambasadę, wzięliśmy za wzór siedzibę kanclerza Rzeszy w Berlinie. Proszę zauważyć, jak ten nowy wystrój dobrze harmonizuje z architekturą pałacu Beauharnais. Istnieje wyraźne podobieństwo, pewien rodzaj pokrewieństwa między stylem francuskiego Cesarstwa i stylem Trzeciej Rzeszy niemieckiej. Jak gdyby z cesarskiej wizji powstawały zawsze zbliżone style. Nawet orły są i tu, i tam...

- Orły, tak! - mruknął Robert.

- Ale nie macie pszczół...

(Cesarz Napoleon" I miał w godle pszczoły.)

Nie odważył się jednak

udzielić lekcji historii sztuki
- i samej historii - byłemu
rysownikowi, a obecnemu
dyplomacie... ale bohater jego
powieści, w podobnych
okolicznościach, zrobiłby to
niechybnie.

- Pałac Beauharnais -
powiedziałby - nosił pierwotnie
nazwę Pałac Colberta. Wzniesiony
został w 1714 roku przez
architekta Beaufranc dla
bratanka ministra Ludwika XIV.
Co oznacza, że ta rezydencja
została zaprojektowana w tym
samym pompatycznym stylu co inne
pałace budowane w owym czasie,
zwłaszcza zaś Pałac Wersalski...
oczywiście na mniejszą skalę.
Dopiero w roku 1803 księżę
Eug~ene de Beauharnais,
mianowany przez Pierwszego
Konsula wicekrólem Włoch, kazał
go przebudować nadając starym
murom styl empire. Pański nowy
wystrój nie jest więc niczym
innym, jak kolejną warstwą
pozloty nałożoną na poprzednią.
Ale mniejsza o to! Jeszcze jeden
szczegół, jeśli pan pozwoli; w
czasach bratanka Colberta ogrody
rezydencji wychodziły na
nadbrzeże Sekwany zwane wówczas
bulwarem de la Grenouill~ere, od
nazwiska miejscowego właściciela
ziemskiego. Otóż są miejsca
naznaczone przez los! Wie pan
zapewne, co w żargonie nznacza
"grenouiller" - to taplać się w
bagnie, jak żaby. To dosyć
dobrze oddaje to, co tutaj
robimy!

Bohater jego powieści nie
omieszkałby też zauważyć, że w
pałacu Beauharnais, od piwnic aż
po strych, pełno było mebli,
dywanów, obrazów, posągów,
popiersi zrabowanych w całej
okupowanej Europie przez komisje
niemieckich ekspertów podążające

w ślad za wojskami niemieckimi.
Było to zadaniem einsatzstaba
Rosenberga, który otrzymał od
Führera rozkaz rabowania
zbiorów sztuki, szczególnie
należących do aresztowanych i
deportowanych Żydów, na potrzeby
meblujących i zdobiących swe
pałace nowych panów Europy.
Wśród unoszącego się w dusznym
powietrzu zapachu świeżej farby,
nowej skóry i świeżo
lakierowanego drewna,
pomieszanego z zapachem
prawdziwej kawy, alkoholi i
cygar podawanych teraz w salonie
ozdobionym ogromnym portretem
Hitlera, wizyta dobiegała końca.
Robert jadł niewiele, ale wypił
dużo wina mozelskiego do
przekąsek, chambertina do
pieczystego i sauternes.a do
deseru. W pewnym momencie
znalazł się tuż obok Ernsta
Achenbacha, jednego z doradców
politycznych Otto Abetza, w
galowym mundurze i z małżonką u
boku, Walkirią z blond
warkoczami i bladoniebieskimi
oczami, w cukierkowo różowej
sukni.

- Brakuje jej tylko szyszaka!

- pomyślał Robert.

Achenbach wziął pisarza
poufale pod rękę.

- Drogi panie Ritter! Chciałem
do pana zadzwonić z prośbą, żeby
przyszedeł pan do mnie do biura.
Ale skoro nadarza się okazja,
czy mogę z panem chwilę
porozmawiać?

To właśnie do Achenbacha, po
dwóch kolejnych wizytach Sary,
Robert zwrócił się próbując
dowiedzieć się czegoś o Josefe
Primuli, a potem o Lucienne,
żonie Bruna.

- Niestety, drogi panie
Ritter, nie mogę panu wiele
powiedzieć o tych dwóch osobach;

żadna z naszych służb, ani
wojsko, ani policja, nie wie nic
o ich losie. Bardzo mi przykro!
Robert wzruszył ramionami,
uśmiechnął się.

- Nic nie szkodzi, Tak czy
owak tych dwoje, jeśli jeszcze
żyją, należą do ludzi, którzy
będą tańczyć na naszych grobach!
Urażony Achenbach nie
odpowiedział. Jego żona,
wrozumiała dla Roberta,
pogroziła mu palcem, jakby
chciała zbesztać zuchwałego
chłopca.

- Herr Ritter! - powiedziała
wdzięcząc się. - Sie sind ein
enfant terrible... Sie sind ein
enfant g~at~e... (zepsute,
rozpieszczone dziecko)
W niespełną godzinę później
Robert wysiadł z rikszy
dokładnie na rogu ulicy
Washingtona i Lamennais. Był
sam, bo zaraz po przyjeździe do
ambasady zwolnił ochronę.
Podnosząc machinalnie głowę,
choć zasłony były zaciągnięte i
żaluzje zamknięte, dostrzegł
smugę światła prześwitującego
przez okna jego garsoniery i
przez okna garsoniery Joachima.
Pomyślał, że z niewiadomego
powodu Botto wrócił, albo wcale
nie wyjeżdżał. Jeśli to nie on,
mógł to być włamywacz albo
terrorysta... ale terrorysta nie
zostawiłby zapalonego światła.
Zastanowił się, czy nie powinien
pobiec do radia Paryż - o
dwieście metrów dalej - żeby
zaalarmować posterunek ochrony
złożony z francuskich i
niemieckich policjantów i
poprosić o pomoc. Nie zrobił
tego. Wszedł po cichu do
budynku; gruby, czerwony chodnik
tłumił odgłos jego kroków na
schodach. Na piętrze sączyła się
smuga światła spod drzwi

sąsiadujących ze sobą mieszkań.
Wyjął z kieszeni pistolet,
odbezpieczył...

Joachim bez najmniejszego
trudu włamał się do szuflady w
biurku Roberta; zamknięta była
na zwykły zamek, który z
łatwością ustąpił pod czubkiem
noża. Bez trudu znalazł rękopis
- gruba okładka z żółtego
kartonu zawierała około trzystu
kartek pokrytych zawiłym, ale
czytelnym pismem. Poza tym
żadnego innego dokumentu, nie
licząc jakichś osobistych
papierów bez znaczenia. Rozsiadł
się wygodnie w skórzanym,
poplamionym fotelu, w którym
siadała zawsze Sara, kiedy
przychodziła w odwiedziny do
brata. Nalał sobie kieliszek
sznapsa, potem drugi. Wiedział
doskonale, że Robert jest na
kolacji u Abetza, bo sam
postarał się o to zaproszenie
dla niego. Zresztą jego
pozorowany wyjazd miał na celu
tylko to, żeby nieufny od
pewnego czasu Robert nie
odrzucił zaproszenia. Wiedział
też, że wieczorne przyjęcia w
ambasadzie kończą się na ogół
bardzo późno, bo posiadających
niezbędne przepustki przyjaciół
Abetza nie obowiązywała godzina
policyjna. Miał więc do
dyspozycji dosyć czasu.
Kiedy zaczął kartkować
rękopis, co rusz napotykał jakąś
niespodziankę. Potem stopniowo,
w miarę jak pogrążał się w
lekturze, ogarniało go
oburzenie, niesmak, wstręt,
gniew, bunt. Jak to się stało,
że Robert tak się zmienił? Jak
mógł napisać te chaotyczne,
obłądne, szalone strony? Jak to
możliwe, że tak daleko zaszedł w
zdradzie, w szaleństwie... dalej
niżby Joachim obawiał się w

najgorszych przypuszczeniach?

- Zwariował! - szeptał od czasu do czasu. - On zwariował. To niebezpieczny wariat.

Rękopis rozpoczął się cytatem z "Ducha Praw"

Montesquieu: "I tak, w czasach bajecznych, po powodziach i potopach wyszli z ziemi zbrojni mężowie, którzy wyniszczyli się wzajemnie".

Po nim następowało coś w rodzaju deklaracji wstępnej:

"Jest to straszliwie okrutna i smutna powieść. Jej przejmujący smutek, to smutek Europy tych lat wojennych. Wojna nie jest jednak główną bohaterką tej książki. Jest w niej wprawdzie obecna, ale tylko na tyle, na ile w tragedii greckiej obecne jest przeznaczenie, albo tylko jako widz, w takim sensie, w jakim krajobraz jest widzem. Wojna to obiektywny krajobraz tej powieści.

Głównym bohaterem jest Catorydon, nielitościwy i smutny potwór. Jego imię zostało utworzone od imienia Catobl-epasa, śmiesznego smoka wymoślonego przez starożytnych, tak głupiego, że nie zauważywszy tego nawet pożerał własne stopy, oraz od imienia Korydona, pastuszka_homoseksualisty z "Arkadii" Gide.a.

Żadne inne imię nie mogłoby lepiej oddać tego, czym są obecni panowie Europy: smutnymi, okrutnymi i perwersyjnymi potworami niszczącymi wszystko, pożerającymi wszystko, brukającymi wszystko - łącznie z nimi samymi i ich ojczyzną - z pewnego rodzaju chorobliwym upodobaniem. Przez nich Europa Dantego, Goethego, Racine.a, Szekspira, Tolstoja zamieniła się w stertę krwawych i

cuchnących strzępów. I my sami, Europejczycy, jesteśmy już tylko krwawymi i cuchnącymi strzępami samych siebie."

- Oszalał! - powtórzył Joachim. - To niebezpieczny wariat i nikczemny zdrajca! Akcja pierwszego rozdziału powieści Roberta toczyła się w Rosji podczas gigantycznej ofensywy niemieckiej latem 1941 roku, kiedy zdawało się, że nic i nigdy nie powstrzyma pochodu wojsk Hitlera. Po długim opisie pól bitewnych nad Dniestrem, Dnieprem i Donem, nawiązywał się dialog z fikcyjnym rozmówcą, pisarzem tak jak on, w rodzaju Eckermanna przyjmującego zwierzenia Goethego, nadmiernie wrażliwego, popadającego w obłęd z powodu chorobliwej wizji, jaką wytworzył sobie o wojnie.

"- Czy to prawda, że Niemcy są tak straszliwie okrutni? - zapytał mnie przyjaciel, Pierre Morin.

- Ich okrucieństwo wynika ze strachu! - odpowiedziałem. - Są chorzy ze strachu. To chory naród, *kranken_Volk!*

- Tak, *kranken_Volk!* - powtórzył Pierre Morin. - Czy to prawda, że Niemcy są tacy żądni krwi i zniszczenia?

- Boją się - powtórzyłem. - Boją się wszystkiego i wszystkich. Zabijają i niszczą ze strachu. Nie, żeby obawiali się śmierci, bo żaden Niemiec, czy to mężczyzna, czy kobieta, dziecko, czy starzec, nie obawia się śmierci. Nie boją się też cierpienia. Można nawet powiedzieć, że lubią ból; to naród zniewieściałych masochistów, *Tanten_Volk*, *kranken_Volk*. Ale boją się wszystkiego, co żyje poza nimi, wszystkiego, co jest różne od

nich. Choroba, na którą cierpią,
jest tajemnicza. Boją się nade
wszystko istot słabych,
bezbronnych mężczyzn, chorych,
kobiet, starców. Boją się
dzieci! A więc, zabijają...
Zabijają bezbronnych ludzi,
Żydów wieszają na drzewach, na
wiejskich placach, palą ich
żywem w ich własnych domach,
jak szczury, strzelają do nie
uzbrojonych chłopów i
robotników, na dziedzińcach
kołchozów i fabryk. Strzelają do
dzieci uciekających albo
próbujących się ukryć. Może
czują się wreszcie pewni siebie,
nareszcie zaspokojeni, kiedy
odnoszą zwycięstwa nad słabymi i
bezbronnymi istotami! Mówię
panu, to nie jest Herren_Volk!
To Tanten_Volk, kranken_Volk...
To nie jest naród panów, to
naród ciot, to naród chorych!"
- Robert oszalał! - wyszeptał
znowu Joachim. - Jak on mógł
napisać te obrzydliwości? Trzeba
go kazać zamknąć albo zabić.
Trzeba go zatłuc jak wściekłego
psa!

Nieco dalej natknął się na
fragment dotyczący tego samego,
a zatytułowany "Siegfried
Catorydon".

"Piękny sonderf~uhrer szedł
chodnikiem po prawej,
nasłonecznionej stronie
Champs_Elys~ees w kierunku placu
de l.~etoile. Jego szarozielony
mundur był dobrze skrojony,
wcięty w talii, uszyty z
cienkiego sukna, wyszukanie
elegancki - na tyle, na ile
mundur może być elegancki. Jego
dobrze wyczyszczone, długie buty
z miękkiej skóry połyskiwały.
Pod zsuniętą lekko na prawo
czapką jego falujące blond włosy
były starannie uczesane. Szedł
wytwornym, niemal tanecznym

krokiem. Minałem go i odwróciłem się. Miał piękną, okrągłą, trochę puciołowatą twarz o dużych, niebieskich oczach, łakomych ustach. Uśmiechnął się do mnie. Zagadnąłem go pytając, jak się nazywa.

- Ich heisse Siegfried

Catorydon! - odpowiedział uśmiechając się szeroko.

Zaciągnął mnie do garsoniery przy ulicy Washingtona, gdzie oddał mi się bez zwłoki. Wziąłem go z wściekłością. Jęczał i wił się w moich ramionach, u szczytu swojej biernej rozkoszy. Czuję się silny i potężny, obdarzony megalityczną męskością. Kiedy go wziąłem, miałem wrażenie, że biorę w posiadanie całą niemiecką armię, całe Niemcy, że biorę Hitlera we własnej osobie... Dzięki mojej potencji mściłem się za miliony mężczyzn, kobiet, starców i dzieci pohańbionych, torturowanych, masakrowanych przez Niemców... Utożsamiałem się nawet z najsłabszymi, najbardziej bezbronnymi, najnędnieszymi spośród ich ofiar. Byłem małym Żydem o brudnych rękach, z moją żółtą gwiazdą u boku, w czapce za dużej na moją głowę zgłodniałego dziecka - i upokarzałem, poniżałem, obrażałem, upodlałem pięknego sonderf~uhrera Siegfrieda Catorydona, który wił się w moich ramionach omdlewając z rozkoszy! Kto w Europie nie ma w żyłach trochę żydowskiej krwi? W owej chwili czułem, że mam jej, być może, sporo... Wybuchnąłem śmiechem przypomniawszy sobie, kiedy brałem pięknego sonderf~uhrera, że moja siostra ma na imię Sara, że ojciec nazywał się Elie i że w swoim testamencie prosił, żeby go

"pochować nago, jak jego przodków"! Przez długi czas było to dla mnie niezrozumiałe, aż wreszcie doznałem olśnienia - jestem małym Żydem o brudnych rękach i oto upokarzam pięknego sonderf~uhrera, Siegfrieda Catorydona, brukam moim nasieniem niemiecki sztandar i za sprawą mojej potencji unicestwiam tysiącletnią Rzeszę..."

Joachim wstał, miotany bezsilną wściekłością. Trzeba coś zrobić, przynajmniej zawiadomić Gerhardta Haefta. Wyciągnął rękę do telefonu, ale było już za późno. Robert wsunął powoli klucz do zamka, przekręcił go, popchnął lekko drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było jego biurko w nieładzie, otwarta szuflada, kartki rękopisu rozrzucone na podłodze. Podniósł wzrok na Joachima. Napotkał jego spojrzenie. Każdy z nich mógł wyczytać na twarzy drugiego zawziętą, nie do odpokutowania, nienawiść. Robert podniósł broń. - Nie! Nie, Robercie! - ryknął Botto. - Błagam cię! Nie! Nie to! Ja...

Rozległo się sześć wystrzałów, jeden po drugim. Joachim zwałił się na podłogę, drgał jeszcze przez chwilę, po czym znieruchomiał. Robert odrzucił pistolet, rzucił się na okrwawione ciało, zdarł z niego ubranie i posiadł Botta z furią, po raz ostatni. Potem pośpiesznie pozbierał rozrzucone kartki rękopisu, wcisnął je pod marynarkę. W kilka minut później biegł ulicą Lamennais w kierunku alei de Fri~edland.

IV

Latające fortece jak potężne fale przepływały nad regionem

paryskim kierując się nad miasta
niemieckie, które miały
bombardować. Warkot ich silników
wypełniał niebo. Wypełniał także
biuro Gastona Fornet
przekrzykującego je z trudem w
chwili, gdy usiłował udzielić
lekcji policyjnej strategii
swoim podwładnym.

- Dla nas żadna sprawa nie
jest nigdy zakończona, żadne
akta zamknięte, dopóki winny
zbrodni nie zostanie zatrzymany
i wydany sprawiedliwości. Naszą
najważniejszą cechą powinna być
cierpliwość...

Gaston Fornet miał teraz
pięćdziesiąt siedem lat.
Mianowany niedawno naczelnikiem
policji w Melun, pośród wielu
innych spraw miał do załatwienia
akta "terrorystów" z Lagny. W
tej sprawie dwa lata temu
zostały aresztowane trzy osoby:
Lucienne Ritter, z domu Lemoine,
23 lata, fryzjerka, przy której,
dzięki donosowi, znaleziono
wywrotowe ulotki i podziemne
gazety; Jean Chevance, 57 lat,
drukarz, i Guillaume Marcenac,
42 lata, pracownik fizyczny.
Czwarty łajdak, Bruno Ritter, 23
lata, drukarz, wymknął się z
pułapki i nadal bujał na
wolności. A była to najgrubsza
zwierzyna; podejrzewano go o
udział w redagowaniu i druku
ulotek i gazet znalezionych przy
jego żonie i w domach jego
wspólników. Ponadto ciążyło na
nim podejrzenie o przynależność
do podziemnej partii
komunistycznej, a nawet o to, że
jest jednym z jej przywódców,
przynajmniej w rejonie Lagny.
Gaston Fornet nie był
fanatykiem polityki rządu Vichy
ani maniakiem represji.
- Moje obecne stanowisko
dostałem tylko z racji wieku...

bo dobrze mi z oczu patrzy! -
mawiał często.
W istocie bowiem ten nie
wyróżniający się, ale
skrupulatny i sumienny
policjant, prowadzący przed
wojną wiele spraw kryminalnych -
między innymi sprawę zabójstwa
Sary Meyer w willi w
Saint_Mand~e w 1931 roku oraz
zbrodni Violette Nozi~eres i
Charles.a Weidmanna, nie mówiąc
już o aferze Stavisky.ego -
najpierw komisarz w policji
dochodzeniowej, potem komendant,
wreszcie naczelnik wydziału,
musiał w swoim czasie otrzymać
wyższe stanowisko. Urząd
naczelnika policji w Melun był
dla niego ostatnią fazą
klasycznej kariery zawodowej,
wynagrodzeniem za wybitne
zasługi w służbie społeczeństwa,
a tytuł ten słusznie mu się
należał, stanowiąc przed
emeryturą coś w rodzaju buławy
marszałkowskiej.
Niestety, nowa funkcja
pociągała za sobą, w związku z
okolicznościami, nader krępujące
i często kompromitujące
obowiązki, które bynajmniej nie
uszcześliwiały tego wzorowego
gliny. Otrzymał bowiem tę
swoją buławę marszałkowską, sam
stał się z urzędu buławą
marszałka, karzącą ręką
sprawiedliwości rządu Vichy
panującą nad departamentem.
Tytuł i funkcja naczelnika
policji zostały bowiem utworzone
przez ten rząd tylko po to, aby
umocnić władzę prefektów, z
których każdy otrzymywał do
pomocy wysokiego funkcjonariusza
odpowiedzialnego za utrzymanie
porządku. Oznaczało to, że
zadaniem Forneta było tłumienie
w departamencie Seine_et_Marne
wszelkich wywrotowych działań

gaullistów i Żydów, komunistów i członków ruchu oporu, słowem wszystkich tych elementów społecznych, które sprzeciwiały się polityce Vichy lub usiłowały przeszkodzić w jej stosowaniu. Latające fortece oddaliły się. Syrena na dachu gmachu policji długo obwieszczała koniec alarmu. Do biura Forneta wszedł bez pukania sturmbannführer SS, Heinrich Volker.

- Czołem, panie naczelniku!
- Dzień dobry, komendancie!
- Co nowego dziś rano?
- Nic takiego.

Wskazał na paczkę listów zebranych do koszyczka na jego biurku:

- To, jak zwykle!

Był to jeden z nieprzyjemnych aspektów jego pracy. Z jednej strony, listy z donosami, przychodzące do niego co rano jako dodatek do przesyłek tego samego rodzaju, anonimowych oczywiście, napływających do siedziby milicji francuskiej albo bezpośrednio do Komendantury Gestapo. Z drugiej strony, stosunki, jakie zmuszony był utrzymywać z szefami milicji - a Joseph Darnand, sekretarz generalny Urzędu do spraw Utrzymania Porządku przy rządzie Vichy, w styczniu 1944 roku został także naczelnym szefem milicji - i z władzami niemieckimi... w tym ze sturmbannführerem SS, Heinrichem Volkerem. Nie zapominając o partiach kolaboranckich, spośród których najbardziej aktywna była Francuska Partia Ludowa Jacques'a Doriot. Fonet nie był idiotą. Słyszał bez przerwy, nad głową, latające fortece i pojmował, co to znaczy. Nie mógł nie wiedzieć,

że całkiem niedawno generał Juin
odniósł zwycięstwo pod
Garigliano otwierając aliantom
drogę na Rzym, ani że Rosjanie
posuwają się naprzód na
wschodzie i że na wybrzeżu
francuskim spodziewany jest
desant. Wszystko wskazywało więc
na to, że Niemcy są skończeni. A
z drugiej strony, nie mógł go
ochronić ciągle jeszcze
utrzymujący się autorytet
marszałka Pétaina, którego
niedawno triumfalnie powitali
paryżanie, nie mógł bowiem nie
wiedzieć, że ruch oporu ma coraz
większe znaczenie i cieszy się
coraz większą popularnością w
opinii społecznej.

Jego usposobienie i
najbardziej elementarna
ostrożność nakazywałyby mu więc
nie okazywać zbyt gorliwości
w tłumieniu "wywrotowych
działań". Ale bez przerwy
przynaglały go, poganiały
rozkazy otrzymywane od Darnanda,
nader przekonywające namowy
Volkera, a także naciski
wywierane przez milicjantów i
innych kolaborantów oraz
informacje dostarczane w
pisemnych donosach. Jako
praktykujący katolik Fornet znał
powiedzenie świętego Pawła: "Nie
czynię dobra, które chciałbym
czynić, a czynię zło, którego
chciałbym nie czynić". Nie mógł
więc w najmniejszym stopniu
sprzyjać ruchowi oporu i jego
członkom, nawet jeśli bardzo by
tego chciał, choćby po to, żeby
zapewnić sobie świadków i, jeśli
to możliwe, zabezpieczyć się
jakoś - a był zmuszony ścigać,
aresztować ludzi, których
pragnąłby oszczędzić.

- Jestem między młotem a
kowadłem! - mawiał często. - I
Bóg jeden wie, jak to się

skończy...

Kiedy obejmował stanowisko w Melun, poinformowano go między innymi o sprawie z Lagny i przejrzał jej akta. W ten sposób dowiedział się, że troje aresztowanych "terrorystów", wtrąconych najpierw do więzienia w Meaux, zostało przewiezionych do Paryża. W jakim celu? I co się z nimi stało? Oficjalne akta nie zawierały żadnego dokumentu mogącego pomóc w znalezieniu odpowiedzi na te pytania, ale należało liczyć się z najgorszym; Niemcy wybierali do woli spośród więźniów politycznych przetrzymywanych we francuskich więzieniach, kiedy chcieli rozstrzelać zakładników; Sekcja Specjalna paryskiej prokuratury poczyniała sobie w ten sam sposób aranżując pośpieszne procesy. Pozostawał los uciekiniera, niejakiego Bruno Rittera. To nazwisko przypominało coś Fonetowi, kazał więc sprowadzić z paryskiego rejestru skazanych akta sprawy Sary Meyer i znalazł w nich bez trudu dokumenty potwierdzające to, co podpowiadała mu pamięć: Elie Ritter, oskarżony - niesłusznie zresztą - o zbrodnię w Saint_Mand~e, miał rzeczywiście troje dzieci, Bruno był jednym z nich. Ponadto, zastępca Forneta, zajmujący się bezpośrednio kantonem Lagny, uzupełnił informacje zaczerpnięte z akt.

- Nie wie pan, szefie, że Elie Ritter został zabity w 1936 roku podczas rozrób między strajkującymi i łamistrajkami na dziedzińcu drukarni, gdzie pracował, w Gouvernes koło Lagny. Tak przynajmniej można streścić całą sprawę, którą wtedy wykorzystwała Partia

Komunistyczna i Cgt, a Elie Ritter został przedstawiony jak męczennik. Poza tym, żona Rittera, Sylvia, zginęła przypadkowo pod kołami niemieckiej ciężarówki w styczniu 1941 roku, kiedy stała w kolejce przed sklepem w Lagny...

- Ciekawa rodzina! - odparł naczelnik policji. - Spośród trojga dzieci Ritterów jedno - Bruno, jest poszukiwanym przez nasze służby działaczem komunistycznym. Drugie - Robert, to dziennikarz z radia Paryż, którego głos zniknął nagle z anteny pod koniec ubiegłego roku. Trzecie dziecko, córka, ma na imię Sara... Coraz dziwniejsze! Ojciec nazywa się Elie, córka ma na imię Sara... Czy ci ludzie nie są w dodatku Żydami?

- Nic nam o tym nie wiadomo, szefie! W chwili aresztowania Lucienne, żony Bruno Rittera, prowadziliśmy śledztwo w tym kierunku. Ale skończyło się na przypuszczeniach, dowodów nie było. Ojciec Elie Rittera miał na imię Pierre, a matka Julie, z domu Werner. Nie ma w tym nic specjalnie żydowskiego! Dochodzenie, na naszą prośbę, w Strasburgu, skąd rodzina pochodzi, również nic nie dało, bo w związku z przyłączeniem Alzacji do Rzeszy koledzy z Alzacji przestali odpowiadać na nasze prośby o informacje. Poza tym Ritterowie nie figurują w kartotece Żydów sporządzonej w Prefekturze Policji w Paryżu przez naszego kolegę Andr~e Tularda ani w dokumentach spisowych z 1941 roku będących w gestii Głównego Komisariatu do spraw Żydów... ale to nie daje żadnej pewności, bo wielu Żydów

wymknęło się przez oczka sieci.
Faktem jest, że imiona Elie i
Sara są typowo żydowskie, a
nazwisko Ritter może dawać do
myślenia...

Było też faktem, że komisarz z
Lagny, Robert M~esange, dostawał
bez przerwy anonimowe listy
oskarżające Ritterów o to, że są
Żydami, a Bruna o najgorsze
zbrodnie: jak pisano w tych
listach, wszystkie zamachy czy
akcje sabotażowe przeprowadzone
w okolicy były jego dziełem.
Oczywiście, M~esange i inni
policjanci wiedzieli, co myśleć
o tych anonimach: czytali je z
obowiązku, biorąc je do ręki z
pewnym obrzydzeniem, wiedzieli
jednak doskonale, że poza dwiema
czy trzema informacjami,
mającymi jakąś wartość i
nadającymi się do wykorzystania,
zawierały one plugawą masę
wynaturzonych zmyśleń albo były
próbą osobistej zemsty za
pośrednictwem policji.

- Czy wiadomo, co się dzieje z
Robertem i Sarą? - zapytał
Fornet.

- Zgodnie z niektórymi
pogłóskami Robert został jakoby
porwany przez terrorystów,
którzy równocześnie zamordowali
mieszkającego z nim niemieckiego
oficera. O Sarze wiadomo trochę
więcej; podobno pracuje jako
sekretarka w drukarni przy ulicy
du Croissant, w której był też
zatrudniony Bruno.

Fornet zastanawiał się przez
kilka chwil.

- Dobrze, Bruno Ritter to
gruba zwierzyna! Przywódca
komunistyczny, być może Żyd,
redaktor i drukarz ukazujących
się nadal ulotek i gazet,
możliwe też, że sprawca sabotaży
i zamachów, słowem, musimy go
dostać! Oto więc, co zrobimy.

Nazajutrz, w willi "Promienny Uśmiech" zastawiono pułapkę: czyhało tam stale dwóch policjantów gotowych powitać i aresztować każdego członka rodziny Ritterów, każdego współnika czy przyjaciela Bruna, który by się tam pojawił. Ponadto, na podstawie informacji dostarczonych w anonimach i przez kilku gorliwych konfidentów, urządzono znowu zasadzkę na ludzi związanych z ruchem oporu i aresztowano kilku kupców, jednego mechanika, dwóch czy trzech kolejarzy oraz samego księdza Ricolais winnego wygłaszaniu z ambony wywrotowych kazań i wydawaniu metryk chrztu Żydom. Postanowiono przeprowadzić operację w drukarni du Croissant mającą na celu, po pierwsze, zatrzymanie Sary Ritter i wydobyć z niej, stosownymi metodami, informacji mogących pomóc w schwytaniu jej starszego brata i, po drugie, zebranie danych na temat redaktorów i wytwórców tajnych ulotek i gazet, jeśli się okaże, że posługiwali się sprzętem należącym do firmy. Wreszcie Fernet próbował osobiście uzyskać od sturmbannführera SS, Volkera informację na temat Roberta Rittera. Tak więc, mimo obaw, jakie budził w nim przebieg wojny, Gaston Fernet nadal "czynił zło, którego chciałby nie czynić": od informacji do śledztwa, od podejrzania do dowodów, od dochodzenia do aresztowania, od rewizji do łapanki, od przesłuchań do mniej lub bardziej dobrowolnych zeznań, kierowała nim rutyna i bezlitosna machina policyjna oraz niezłomna gorliwość funkcjonariusza skrupulatnego w

wypełnianiu obowiązków mimo wszystko, z niezmienną - choć wynaturzoną - zawodową sumiennością.

Jako funkcjonariusz legalnego rządu był posłuszny rozkazom, wypełniał polecenia ku zadowoleniu przełożonych. We wszystkich celach więzienia w Melun, we wszystkich pomieszczeniach policyjnych w departamencie, tak samo jak w lochach Gestapo, za jego zgodą albo na jego rozkaz maltretowano, bito, torturowano mężczyzn i kobiety. Pan naczelnik policji wykonywał swój zawód i wykonywałby go równie dobrze na rozkazy innego rządu, byleby ten, podobnie jak rząd Vichy, uosabiał choćby tymczasową legalność. Miał spokojne sumienie, toteż w nocy spał snem sprawiedliwego... ale na wszelki wypadek trzymał na nocnym stoliku, w zasięgu ręki, naładowany i odbezpieczony rewolwer.

Tymczasem działania podjęte zgodnie z decyzją Gastona Fornet nie przyniosły oczekiwanego przezeń skutku. Bruno Ritter nadal był nieuchwytny. Nikt nie wpadł w pułapkę zastawioną w willi "Promienny Uśmiech" i zwinięto ją po upływie kilku tygodni, bo wyznaczeni inspektorzy byli potrzebni do innych zadań. Sidła zastawione ponownie w Lagny nie pozwoliły na wykrycie żadnego poważniejszego tropu. Volker nie reagował na prośby o informacje dotyczące Roberta. A wizyta policji w drukarni du Croissant doprowadziła jedynie do wykrycia w jakimś kącie hali kilku wierszy składu z tekstu o karze czekającej zdrajców, nie sposób było jednak ustalić, kto

to napisał, złożył ani do jakiej ulotki czy podziemnej gazety było to przeznaczone. Faktycznie było to, być może, przeznaczone dla zbirów Forneta i ich szefa, w stylu pogróżki z dziecinnych pamiętników: "kto ten sekret naruszy, ten dostanie w uszy". Tego dnia Sara została w domu. Jules Grochon nie robił trudności i udzielił jej jednodniowego urlopu. Po południu zamierzała pojechać do notariusza Luciena Moreau do Saint_Mand~e i podjąć pewną kwotę ze spadku po Sarze Meyer. Chociaż uważała, banknoty tysiącfrankowe przeciekały jej przez palce; tajemniczym kanałem pomagała starszemu bratu, choć nie była całkiem pewna, czy sumy przekazywane przez pośrednika rzeczywiście do niego docierają; pomagała też Brienne.owi i jego rodzinie, hojnie opłacając swoje wieczorne u nich posiłki, bo zakupy na czarnym rynku stawały się coraz droższe. Wydawała więc coraz więcej i za każdą bytnością w Saint_Mand~e podejmowała coraz większe sumy ze swojego konta, bez żalu zresztą, bo robiła to, co należało robić. Nic jednak, albo prawie nic, nie zostawiała dla siebie, na osobiste potrzeby wystarczały jej zarobki w drukarni wynoszące teraz 3000 franków miesięcznie. Czasem myślała z niepokojem o tym, co pozostanie z jej kapitału, kiedy warunki życia staną się znowu normalne. Ale równocześnie wydatki, jakie ponosiła dla Bruna, troska o niego i o Roberta dawały jej poczucie, że jest jakby ośrodkiem i łącznikiem rozproszonej teraz rodziny; znalazłszy się w tarapatkach - choć bynajmniej nie

z tego samego powodu - Bruno i Robert zwracali się ku niej, była tego pewna. W ich oczach musiała uosabiać dawne ciepło domowego ogniska, niezatarte wspomnienie o rodzicach i o ich młodych latach, a także nadzieję, że kiedyś odnajdą się wszyscy, może łącznie z Josefem Primulą, w willi "Promienny Uśmiech".

Przed wyjazdem do Saint_Mand~e pospała sobie dłużej.

Poprzedniego dnia wieczorem razem z Brienne.ami słuchała radia Londyn, potem radia Sottens. Kiedy przyszła do swojego pokoju, czytała jeszcze w łóżku. Zasnęła późno. Około pierwszej w nocy obudził ją ryk syren alarmowych. Głuchy warkot przelatujących nad jej głową amerykańskich samolotów, rozlegający się w jej pokoju, nappełnił jej serce przerażeniem i radością zarazem, bo te eskadry całymi setkami przepływające nad Paryżem mogły przynieść śmierć, ale przynosiły też nadzieję na odzyskanie wolności... i pokoju. Nie zeszła do schronu, nigdy tego nie robiła. Nieco później dotarł do niej odgłos zmasowanego bombardowania. Dobiegał ze wschodu, przypuszczalnie od strony stacji rozrządowych w Noisy_le_Sec lub w Vaires, na które coraz częściej spadały bomby. Zasnęła dopiero około trzeciej nad ranem, po zakończeniu alarmu.

Wyrwana ze snu pukaniem do drzwi podskoczyła na łóżku.

Spojrzała na budzik stojący na nocnym stoliku: była jedenasta.

Wstała pośpiesznie, włożyła szlafrok, bo nadal miała zwyczaj spać nago.

- Otwórz, Saro! - usłyszała

zza drzwi głos Rogera Brienne.a.
Otworzyła. Brienne podał jej
prostokąt papieru, wielkości
koperty.

- Znalazłem to w skrzynce na
listy! To do ciebie! Popatrz
no...

Była to karta do
korespondencji między strefą
wolną i okupowaną, ze znaczkiem
przedstawiającym marszałka
P~etaina. Była pognieciona,
poplamiona, jakby wiele czasu
spędziła w kolejnych workach
pocztowych, całymi miesiącami
wędrowała nie wiadomo gdzie. Z
jednej strony było niezgrabnie
napisane jej nazwisko i adres:
"Panna S."Riter, aleja
Racheli"18, Paryż". S., a nie
Sara, Ritter przez jedno "t". Na
odwrocie rzuciło się jej w oczy
nazwisko: Primula. Było wypisane
tym samym charakterem w miejsce
kropek, po którym następowała
drukowana formułka "jest
zdrowy". To było wszystko. To
jej wystarczyło. Dała upust
radości.

- Roger! Roger! To cudowne!
Josef żyje... jest zdrowy.
Chodź, niech cię ucałuję!

- Poczekaj, kochanie.
Przyjrzyj się tej karcie trochę
lepiej.

Sara usłuchała. Widać było
wyraźnie, że to nie wyszło spod
pióra Josefa; niezgrabne pismo
nie było jego. Poza tym, on nie
napisałby Ritter przez jedno
"t". Co zaś się tyczy skrótu
imienia, to mógł on być
podyktowany elementarną
ostrożnością. Ale czyją?

- Pewnie kogoś stamtąd,
człowieka, u którego Josef się
schronił i którego poprosił o
napisanie i wysłanie tej karty -
orzekł Brienne. - Ale jest
jeszcze coś, czego nie

zauważyłaś. Popatrz na stempel pocztowy.

Podeszła do okna, żeby lepiej widzieć, i przeczytała głośno:

- Saillagouse... Pireneje

Wschodnie... data jest nieczytelna. Co on może robić w tej dziurze?

- Nie rozumiesz? Wyobraź sobie, moja mała Saro, że Saillagouse leży zaledwie o kilka kilometrów od innej miejscowości, która nazywa się Bourg_Madame. A Bourg_Madame leży na samej granicy... Po drugiej stronie znajduje się hiszpańskie miasto Puigcerda! Inaczej mówiąc, twój kochaś przedostał się do Hiszpanii albo zamierza to zrobić. Szkoda, że nie można odczytać daty...

- Do Hiszpanii! Żyje! Jest zdrowy! Jeszcze go zobaczę... -
Twarz Sary promieniała, jej oczy skrzyły się, wybuchała śmiechem. Miała ochotę tańczyć, wykrzyknąć swoją radość.

- Zobaczę go!

- Zobaczysz go, kochanie. Ale będziesz musiała jeszcze trochę cierpliwie poczekać. Z tego, co wiem, ludzie, którzy przedostają się do Hiszpanii, nie od razu mają wszystkie kłopoty za sobą. Ich los zależy od glin generała Franco, a oni nie żartują. Ale ostatecznie, po tygodniach albo miesiącach oczekiwania, wielu z nich udaje się przedostać do Portugalii, a stamtąd do Anglii. Sara zrezygnowała z planowanego wyjazdu do Saint_Mand~e, to mogło poczekać. Większą część dnia spędziła dzieląc się głośno swoją radością z życzliwymi słuchaczami: Brienne.em, Fran~coise i mamą P~etrac. Wykrzyczałyby ją nawet na ulicy, gdyby nie zabrakło jej

śmiałości. Nawet tragiczny bilans nocnego bombardowania, jaki z nieszczerym oburzeniem na "terrorystyczne ataki lotnictwa anglo_ amerykańskiego" podało radio Paryż - 93 zabitych i setka rannych w Chelles, Vaires i Torcy... niedaleko od Lagny - nie mógł zniweczyć jej szczęścia.

W tym samym czasie policja przeprowadzała rewizję w drukarni du Croissant; na próżno, ponieważ Sary tam nie było. W związku z jej osobą, w aktach personalnych firmy znaleziono tylko adres Willi "Promienny Uśmiech", śledztwo prowadzone przez naczelnika policji Gastona Fonet powróciło więc do punktu wyjścia. Ale, uprzedzona telefonicznie przez Jules.a Grochon, Sara postanowiła nie pokazywać się więcej w pracy, bo należało się liczyć z tym, że policja jeszcze wróci. Spróbuje znaleźć inną pracę, nie wkładając jednak w te poszukiwania zbyt gorliwości, bo ostatecznie nie jest w potrzebie. Pomyślała ze wzruszeniem o Sarze Meyer, której opatrnościowy testament zabezpieczył ją materialnie. W owe gorące dni końca wiosny, zapowiadające rychłe nadejście lata, obnosiła więc po mieście swoje niepełne jeszcze szczęście, które miało takim pozostać aż do powrotu Josefa, ale już teraz na nowo w nim zasmakowała. Szła swoim lekkim krokiem, na wysokich drewnianych koturnach, uśmiechając się do przechodniów, do mężczyzn, którzy od jej uśmiechów tracili głowę. Chodziła do kina, sama, z Bienne.ami albo z Pierre.em Marnier cierpiącym w milczeniu z powodu radości odzyskanej przez

przyjaciółkę, na najnowsze filmy: "Skarb rodziny Goupi" Jacques'a Beckera i "Odwieczny powrót" Jeana Delannoy, z Madeleine Sologne, Jeanem Murat i Jeanem Marais. Towarzyszyła Françoise do studia w Boulogne, gdzie ta nadal statystowała, zwłaszcza w "Komediantach" Marcela Carné.

Latające fortece coraz częściej i coraz potężniejszymi falami przelatywały nad Paryżem drwiąc sobie z niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Na wschodzie Rosjanie nieubłaganie parli do przodu i spychali ku granicy wojska hitlerowskie. Radio Londyn coraz częściej nadawało prywatne komunikaty, które nie dla wszystkich były niezrozumiałe. W największej tajemnicy uzbrojony już teraz ruch oporu i partyzantka przygotowywały się do ofensywy. Bruno pierwszy usłyszał sapanie lokomotywy, głucho dudnienie pociągu toczącego się po szynach, dostrzegł między drzewami pióropusz białego dymu. Dotknął ręką ramienia Domura.

- Uwaga!
Rozległo się pohukiwanie sowy; był to umówiony sygnał nadany przez partyzanta zajmującego wysunięte stanowisko blisko torów; zasadzka znajdowała się nieco dalej. Nagle ukazał się sam pociąg...

Latem 1943 roku, po długich miesiącach tułaczki, kiedy rzadko zdarzało mu się przespać dwie noce z rzędu w tym samym łóżku, kiedy stałe uciekał tylko z jednej podziemnej drukarni do drugiej, redagując i drukując jak przedtem zakazane gazety i ulotki, Bruno został wysłany przez przywódców partii komunistycznej do oddziału

partyzantów w Owernii.

- Mamy podwójny cel - tłumaczył mu Pierre Maheux, jego łącznik i partyjny zwierzchnik.

- Po pierwsze: uwolnić cię ostatecznie od groźby schwytania przez policję francuską albo Gestapo, a szukają cię podobno coraz usilniej. Po drugie: zlecić ci, przynajmniej częściowo, zorganizowanie partyzantów w oddziały, które mogłyby być wykorzystane do celów wojskowych, w regionie, do którego pojedziesz. Zgadzasz się?

- Oczywiście.

Bardzo niegdyś ograniczona liczebność partyzantki wzrosła nagle, powiększając się stale o uchylających się od Służby Pracy Obowiązkowej ustanowionej 17 lutego przez rząd Vichy pod naciskiem gauleitera Fritza Sauckela. Ani Bruno, ani Maheux nie słyszeli powiedzonka, jakie Robert Ritter wylansował w towarzystwie, ale było jasne, że partyzantka jest rzeczywiście armią Sauckela.

- Nie powinniśmy mieć złudzeń, rozumiesz? - wyjaśniał Maheux. - Większość chłopców z roczników 1940, 1941 i 1942, podlegających Spo, przyszła do lasu uciekając przed obowiązkową pracą, to wszystko. Nie twierdzą, że oni nie są patriotami, tylko że dla nich las jest przede wszystkim dobrym miejscem, żeby się zadekować. W gruncie rzeczy udział w ruchu oporu przeciwko wrogowi, zorganizowany na sposób wojskowy, jest dla nich czymś ubocznym, jeśli nie niepożądanym. Tymczasem naszą troską, troską przywódców ruchu oporu i partii komunistycznej, jest zorganizowanie partyzantki,

uczynienie z niej siły wojskowej zdolnej do udziału w walkach armii alianckich przeciwko Niemcom.

Maheux zamilkł na chwilę, potem ciągnął dalej:

- To, czego najbardziej brakuje partyzantce, to skuteczność, rozumiesz! W regionie, w którym się znajdziesz - podobnie zresztą jak w innych - partyzantka to bezkształtna masa młodych ludzi, kryjących się, gdzie popadnie, na wpół skautów, na wpół kloszardów, którzy żyją, jak mogą, sami albo w małych grupach, z miłosierdzia okolicznej ludności... ale też z kradzieży i gwałtu. Najczęściej nie mają żadnej albo nikłą tylko świadomość polityczną. Trzeba więc w nich tę świadomość rozbudzić. Wy tłumaczyć im, że dekowac się, to bardzo ładnie, ale muszą jeszcze nauczyć się odpierać ewentualne ataki wroga.

A w razie potrzeby atakować sami. Trzeba też stworzyć obwody, zorganizować zbiórki i warty, ustanowić hierarchię, stworzyć system zaopatrzenia, zorganizować łączność między partyzantką i wyższymi szczeblami ruchu oporu...

Inaczej mówiąc - przeobrazić tę anarchistyczną, rozmamłaną i nieodpowiedzialną czeredę, sprawić, aby chociaż w minimalnym stopniu stała się skuteczna. Do tego potrzebne są, niestety, struktury wzorowane na wojsku, nie sposób tego uniknąć.

- A to stwarza problem kadry - skomentował Bruno.

Kadrę ruchu oporu rekrutował spośród działaczy partii z regionów, gdzie jej pozycja była już dobrze ugruntowana. Ludzie ci wywodzili się najczęściej z

pobitych w 1940 roku armii, byli uciekinierami z obozów jenieckich, a niektórzy należeli do brygad międzynarodowych podczas wojny w Hiszpanii. Rekrutowali się także spośród najstarszych partyzantów mających albo jakieś wojskowe doświadczenie, choćby elementarne, albo pewien instynkt wodzowski, albo minimum przekonania i kultury politycznej... albo, w miarę możliwości, wszystkie te trzy cechy równocześnie.

- Problem w tym - podsumował Pierre Maheux - że to wszystko nie wystarcza; w miarę, jak rośnie stan liczebny partyzantki, potrzeba nam coraz więcej odpowiedniej kadry. Postanowiliśmy więc sięgnąć w strefie okupowanej po najbardziej zagrożonych przez policję przywódców naszej partii, a tak jest w twoim przypadku...

Zgodziwszy się na wszystko, w niecały tydzień po rozmowie z Pierre'em Maheux, Bruno przeszedł więc - bez przeszkód - przez linię demarkacyjną w okolicy Moulins. Przydzielono mu do pomocy towarzysza o nazwisku Henri Ribot, zwanego Riri - wysokiego, dobrze zbudowanego i wesołego blondyna - który przeprowadził go w lasy iglaste na pograniczu departamentów Puy_de_Dôme i Haute_Loire, w górach Livradois, między Arlanc i La Chaise_Dieu.

- Znam te okolice jak własną kieszeń - powiedział mu Riri podczas podróży. - Urodziłem się tam! Rodzice prowadzą bar w Paryżu, ale wakacje spędzałem zawsze u babci w Saint_Algre i znam tam wszystkich... łącznie z tym, który będzie naszym szefem,

dowódcą miejscowej partyzantki,
pułkownikiem Arthurem Domurem.

Zaraz po przyjeździe do
Saint_Algre Bruno i Riri stawili
się u tego
czterdziestopięcioletniego
mężczyzny, który, jakby dla
zamaskowania swojej podziemnej
działalności wojskowej, był
brygadzystą w tartaku. Jako były
podoficer strzelców alpejskich -
nadal zresztą nosił beret tej
formacji - kombatant brygad
międzynarodowych walczących na
wojnie w Hiszpanii, działacz
komunistyczny od wczesnej
młodości, na rozkaz i zgodnie z
zaleceniami swojej partii, Domur
podjął się wielkiego i trudnego
zadania zorganizowania
partyzantów w zwarty oddział.

- Na co dzień to wcale nie
jest zabawne - wyznał
przybyszom. - Czasem mam
wrażenie, że walczę z cieniem:
wałę pięściami w coś mglistego,
co miękko spada na mnie z
powrotem! Bardzo się cieszę,
żeście przyjechali.

Bruno zadał wówczas kilka
pytań.

- Czy mamy broń?

Domur ze złością wzruszył
ramionami. Skąd mieli brać broń?
Tylko on sam i kilku jego
kolegów miało rewolwery ocalałe
z dawnych walk i kilka strzelb
podwędzonych ze stojaków w
koszarach armii francuskiej
przed jej rozwiązaniem w wyniku
rozejmu albo w koszarach
żandarmerii. Do tej pory zresztą
nie był to naglący problem, bo
ani Niemcy, ani milicja Darnanda
nie dawała o sobie znać. A
miejscowi żandarmi zachowywali
się biernie, można by ich było
nawet uznać za cichych
wspólników.

- Udają, że nic nie wiedzą o

tym, co robimy - wyjaśniał
Domur. - W barach popijają nawet
wino z chłopakami, choć wyraźnie
widać, że nie są miejscowi. W
innych czasach przyskrzyniliby
ich za włóczęgostwo. Ale
któregoś dnia znajdą się na
pewno jakieś gorliwe zbiry i
zawiadomią władze Vichy. Wtedy
potrzebna nam będzie broń. Nie
wygląda na to, żeby władze
zwierzchnie ruchu oporu
spieszyły się z dostawami, to
samo Anglicy - żadnych zrzutów.
A to dlatego, że nasza
partyzantka jest komunistyczna.
- Nie ma też mundurów, jak
sądzę? Patrząc na pana, mam
wrażenie, że pytanie jest
retoryczne...

Pułkownik Arthur Domur ubrany
był w sprany roboczy kombinezon.
Znowu wzruszył ramionami.
- Widzi pan, co ja mam na
sobie. Kiedy jadę na inspekcję
tych dwóch czy trzech oddziałów,
które udało mi się utworzyć,
przypinam do kombinezonu odznaki
stopnia wojskowego: pięć złotych
naszywek. A naszywki wyciąłem z
puszki po konserwach! Skąd
mieliśmy wziąć mundury? Zresztą,
w gruncie rzeczy, nie są nam
potrzebne. Po cywilnemu, w tych
samykh ubraniach od Sasa do
lasa, które nosili w mieście,
nasi chłopcy mniej się rzucają w
oczy. Tyle że pumpy, kraciaste
marynarki, a zwłaszcza
ekstrawaganckie fryzury
niektórych mogłyby być mniej
widoczne...

Pływały tygodnie, miesiące. Po
trudnej zimie nadeszła wiosna
1944 roku. W międzyczasie Bruno
i Riri, pod pozorem pracy w
tartaku (co pozwalało im na
codzienną bytność w lesie, gdzie
ukrywali się partyzanci)
skutecznie pomagali swojemu

szefowi. Powoli, pod ich wpływem, gromada leśnych ludzi przyłączona teraz do siatki Wolnych Strzelców i Partyzantów została zorganizowana, poddana dyscyplinie, wyćwiczona do tego stopnia, że stanowiła siłę gotową stawić czoło ewentualnym atakom wroga - milicji francuskiej albo Wehrmachtu - a nawet zdolną do ograniczonych działań ofensywnych. Ponadto do lasu nadeszły wreszcie zrzuty broni i materiałów wybuchowych, które przewieziono do bezpiecznych kryjówek wozami do drewna, ukrywając podejrzane paczki pod stertami gałęzi, na sposób dobrze znany leśnikom. W tym czasie niektóre inne oddziały partyzanckie dały już znać o swoim istnieniu i bojowości napadając na merostwa, koszary milicji albo żandarmerii, a nawet na niemieckie pociągi. Zeszłego roku, 11 listopada, kilka tysięcy partyzantów stacjonujących w departamencie Ain przedefilowało ulicami Oyonnax z karabinami przewieszonymi przez ramię, niosąc sztandary i złożyło kwiaty pod pomnikiem ofiar wojny.

- Dlaczego my nic nie robimy?

- pytał Bruno. - Dlaczego się nie pokazujemy?

- Cierpliwości! - odpowiedział Domur. - Trzeba czekać na rozkazy. Przyjdzie czas działania i dla nas, i dla innych.

I oto wiosną 1944 roku, wczesnym wieczorem pewnego czerwcowego dnia pułkownik Domur drzemał w swoim "biurze", jak sam je nazywał, mieszczącym się w skromnym baraku w głębi tartaku, w którym pod stertą

desek i narzędzi ukryta była broń i materiały wybuchowe oraz polowa radiostacja. Wstał o świcie i miał ciężki dzień.

Zrobił to, co należało do niego jako brygadzysty, bo ta funkcja nie była wyłącznie jego alibi. W towarzystwie Riri i Bruna, przy okazji obliczeń prowadzonych na obszarze wyrębu, przeprowadził też inspekcję kilku kryjówek, gdzie muskularni chłopcy wprawiali się pod świerkami w posługiwaniu się bronią i siekierą; pracowali równocześnie dla Francji i dla Pierre'a Morela, właściciela tartaku, kuzyna, przyjaciela i współnika Domura.

Pułkownik czekał na komunikat radiowy, a ten się opóźniał. Dzięki swoim kontaktom na wyższym szczeblu wiedział, że Niemcy przemieszczają swoje wojska na północny zachód Francji, przewidując z pewnością desant aliantów. Dokładnie o dwudziestej drugiej z podziemnej kryjówki dobiegł dyskretny trzask. Nadawał dowódca oddziału partyzanckiego stacjonującego bardziej na południe.

- Kolejarze z ruchu oporu z dworca w Puy zawiadomili mnie, że tej nocy niemiecki pociąg wyruszy z Puy do Vichy! Skontaktowałem się z władzami zwierzchnimi; masz rozkaz zaatakowania z twoimi ludźmi tego pociągu w umówionym miejscu i zniszczenia go.

- Przyjąłem. Zrobimy, co trzeba. W umówionym miejscu. Istotnie, bowiem kilka tygodni wcześniej Domur zaprowadził Bruna i Riri w pewne miejsce między Saint_Algre i małą gminą Saint_Tauveur wysuniętą o jakieś dziesięć kilometrów dalej na północ.

- Popatrzcie: tutaj dolina przewęza się do tego stopnia, że tworzy ciasny przesmyk, gdzie wystarcza akurat miejsca dla rzeki, drogi i kolei. Jak widzicie, od północy i od zachodu wznoszą się nad przesmykiem urwiste skały, wysokie na jakieś dwadzieścia metrów, a w górze, na uskoku skalnym rośnie gęsty świerkowy zagajnik. To idealne miejsce na zasadzkę. Jeśli któregoś dnia przyjdzie nam działać, to będzie tutaj.

Nieco później Domur powiadomił o tym miejscu swoich zwierzchników.

- Idealna pułapka na szkopów! Poprosił też o odpowiednią broń i otrzymał ją, zwłaszcza moździerze, granaty ręczne i materiały wybuchowe, które powiększyły zapasy pochodzące ze zrzutów.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił wówczas.

W kilka minut po otrzymaniu informacji od szefa Riri i Bruno przyjechali na rowerach do baraku Domura. We trzech zabrali się do przewiezienia na miejsce zasadzki, na przyczepach do rowerów, potrzebnych materiałów wybuchowych. Skończyli o jedenastej trzydzieści, wszystko było przygotowane. Pociąg niemiecki miał przejeżdżać około północy w ustalonym miejscu.

Kolejarze z ruchu oporu z dworca w La Chaise_Dieu dali znać telefonicznie o jego przejeździe około jedenastej czterdzieści.

Podali też skład pociągu: lokomotywa z platformą wiozącą działo przeciwlotnicze, jeden wagon pasażerski z oficerami, dwa wagony towarowe z żołnierzami, pięć platform z ciężarówkami, dwa wagony

naładowane bronią i amunicją.
Druga platforma, wyposażona
także w działo przeciwlotnicze,
zamykała skład; nieprzyjaciel
przewidział tylko
niebezpieczeństwo grożące z
powietrza. Kolejarze dodali dla
ściśłości:

- Uwaga! To jest oddział SS
należący do dywizji Das Reich.
Oni się nie patyczkują.
Powodzenia!

Za pięć dwunasta Domur, Ribot
i Ritter usłyszeli gwizd
lokomotywy; pociąg wjechał na
dworzec w Saint_Algre. Trzej
mężczyźni zajęli stanowisko na
uskoku skalnym w miejscu, gdzie
przed zakrętem do Saint_Tauveur,
tory kolejowe były doskonale
widoczne na długim odcinku
prostej, zwłaszcza że niebo było
bezczmurne. Materiały wybuchowe
zostały założone pod metalowym
mostem w taki sposób, że wałący
się most musiał spowodować
wykolejenie lokomotywy.

- Znam się na tym! -

powiedział Domur do przyjaciół.

- Nauczyłem się posługiwać
materiałami wybuchowymi w moim
leśnym fachu, przy karczowaniu
po całkowitej wycinie lasu. To
mi się też nieźle przydało
podczas wojny w Hiszpanii...

Położył detonator w zasięgu
ręki tak, żeby wystarczyło tylko
naciśnąć na dźwignię, kiedy
pociąg zwolni przed zakrętem.

Według uzgodnionego scenariusza
miało się to stać w chwili,
kiedy dwaj kolejarze francuscy
prowadzący lokomotywę wyskoczą w
biegu uciekając do lasu,
pozostawiwszy na miejscu
obezwładnionego kolejarza
niemieckiego z Reichsbahnu
przydzielonego do pilnowania
ich. Nieco dalej, za Domurem i
jego pomocnikami, rozstawionych

było w małych grupkach około stu partyzantów, którzy natychmiast po wybuchu mieli strzelać z moździerza, rzucać granaty, a potem uzbrojeni w steny zbiec na tory, zabić lub wziąć do niewoli esesmanów, zagarnąć ich broń i amunicję. Inne siły czekały po drugiej stronie przesmyku, gotowe do wypełnienia tego samego zadania, a jeszcze dalej Domur ustawił oddział rezerwowy, który miał wkroczyć do akcji w razie trudności i tylko na jego rozkaz.

Domur popatrzył zaniepokojony na zegarek, pociągu nie było widać. Pod usłanym gwiazdami niebem żaden hałas nie mącił kompletnej, przytłaczającej ciszy, nie przerywał nieznośnego oczekiwania. Właśnie w tym momencie Bruno Ritter położył dłoń na ramieniu szefa i szepnął:

- Uwaga!

Nagle wyłonił się pociąg, jak czarna masa ciężko tocząca się w noc. Z wygaszoną latarnią, ale w obłoku białego dymu unoszącego się pośród skał, lokomotywa osiągnęła umówiony punkt. Domur nacisnął dźwignię detonatora. Bez jednego krzyku kolejarze francuscy wyskoczyli na nasyp. Upłynęło jeszcze kilka ułamków sekundy dłużących się jak wieki całe. I nagle tak oczekiwany wybuch rozdarł powietrze. Jak przewidywali, stalowy most zawalił się, lokomotywa przechyliła się na zerwanych szynach, jadące za nią wagony wjechały na siebie i również się wywróciły. Z przewróconej lokomotywy wytrysnęła strumieniami para. Rozległy się gardłowe okrzyki, Niemcy ryczeli z bólu albo wyszczekiwali rozkazy. Nagle straszliwy grad

granatów i pocisków z moździerzy spadł na pociąg zabijając ludzi, rozrywając ciężarówki i samochody ustawione na platformach, wysadzając w powietrze amunicję w snopach płomieni i iskier. Chaos trwał zaledwie kilka minut. Potem partyzanci zbiegli stromą ścieżką na tory i z karabinów maszynowych strzelali do wszystkiego, co się jeszcze ruszało.

Domur, Ribot i Ritter byli na przedzie. Biegli wzdłuż rozbitego, stojącego w ogniu pociągu. Nagle z jednego z roztrzaskanych wagonów padły strzały z broni automatycznej. Domur i Ribot ledwie zdążyli rzucić się na ziemię. Domur wrzasnął:

- Padnij! Wszyscy na ziemię!

Kilku partyzantów upadło powalonych strzelaniną.

Odwróciwszy się Domur zobaczył, jak Bruno osuwa się na ziemię w pełnym biegu, z twarzą zalaną krwią.

Robert był przekonany o tym, że niczego z góry nie obmyślał, niczego nie przygotowywał ani nie organizował. A jednak wszystko odbyło się tak, jak gdyby wcześniej to przewidział i od dawna postanowił zabić któregoś dnia Joachima Botto, i jak gdyby ustalił, cierpliwie przemyślał, wykalkulował i minuta po minucie, jak w filmowym scenariuszu, obmyślił wszystko, co miało nastąpić po morderstwie.

Najpierw biegł; przemierzył w ten sposób całą ulicę Lamennais mijając restaurację, do której często chodził na obiad w towarzystwie Joachima, a ostatnim razem Haefta. Dobiegł do alei de Friedland. Tutaj,

ukryty wśród drzew przecznicy,
popatrzył badawczo najpierw w
kierunku placu de l.etoile,
potem w drugą stronę, w kierunku
bulwaru Hausmanna, oraz w głąb
ulicy Beaujon. Nie dostrzegłszy
żadnego patrolu przeszedł przez
jezdnie, usiadł dla złapania
oddechu w jakimś szczególnie
mrocznym kącie ogrodzenia
posiadłości, gdzie Honore de
Balzac spędził cztery ostatnie
miesiące życia. Potem, nie
zdając sobie z niczego sprawy,
działając jak automat, wyjął z
wewnętrznej kieszeni portfel, a
z niego wszystkie osobiste
dokumenty, łącznie z nocną
przepustką, legitymacją służbową
radia Paryż i legitymacją
dziennikarza wydaną przez
korporację prasy i noszącą
podpis "Jean Luchaire". Podarł
wszystko na możliwie
najdrobniejsze kawałki i
wyrzucił je do studzienki
ściekowej. Następnie wyrzucił
też pusty portfel wsłuchując się
przez kilka chwil w podziemny
plusk wody unoszącej strzępy.
Nie myślał, nie zastanawiał
się, działał jakby tylko
odruchowo. Kryjąc się za
drzewami podążał bulwarem
Hausmanna, małymi uliczkami,
bardziej jeszcze mrocznymi niż
zwykle z powodu zaciemnienia,
okrążył Operę. Od czasu do czasu
dostrzegał z daleka niemiecki
patrol złożony z trzech lub
czterech żołnierzy poruszających
się pieszo albo na rowerach.
Odpoczął wreszcie i zaczął się
zastanawiać wtedy dopiero, gdy
dotarł do wyznaczonego sobie
podświadomie celu - do Hal.
Czy owej chwili wiedział
jeszcze, kim jest? Wszystko
toczyło się tak, jak gdyby
dobrowolnie skazał się na

wewnętrzną pustkę, jak gdyby w chwili, gdy zabił Joachima, wyrzucił z pamięci własną przeszłość. Doznawał pewnej ulgi, pewnego zadowolenia.

- Ja nie jestem Jacques'em Renaud! - szeptał od czasu do czasu nie zdając sobie nawet sprawy, że powtarza jedno z kluczowych zdań z widzianego niedawno "Podróżnego bez bagażu" Anouilha - a chciał pewnie powiedzieć:

- Ja nie jestem Robertem Ritterem!

Ale nazwisko było bez znaczenia. Jakie to miało znaczenie, czy nazywał się... przedtem... Robert Ritter czy Jacques Renaud czy Jules Dupont. Najważniejsze było odrzucenie "tej krwiożerczej rzeczy, która nazywa się przeszłością"... jak mówił w tym zdaniu Anouilh. Najważniejsze było zapomnieć, kim jest, bez najmniejszego wysiłku, jakby w naturalny sposób, jakby to była choroba, jakiś wirus, który go zaatakował pożerając w mgnieniu oka jego pamięć.

Później jednak przez dłuższy czas, nieświadomie, jakby instynktownie, nie mógł się rozstać ze swoim rękopisem - podobnie jak tonący chwyta się deski ratunku. Kartki rękopisu podzielił na małe kupki, które złożył we czworo i poupychał po wszystkich kieszeniach; wyglądały więc dziwnie pękate. Ale powoli, w miarę jak upływały tygodnie, potem miesiące, kartki się podarły, postrzępiły, poplamiały. Od czasu do czasu, kiedy potrzebne mu było miejsce, żeby coś schować, wyrzucał je po trochu na wiatr albo do Sekwany, albo do ścieku. Zatrzymał natomiast znaczną sumę w

banknotach tysiącfrankowych
starannie przechowywanych w
kieszonce spodni. Faktycznie nie
były mu potrzebne, bo żył z
tego, co dostał od ludzi.
Wreszcie całkowicie zapomniał,
że nosi je przy sobie.
Hale w owym czasie
przedstawiły dziwny widok:
gdyby Zola powrócił chcąc
napisać nowy "Brzuch Paryża",
nie poznałby ich. Z powodu
godziny policyjnej czynne były
tylko od dwunastej do szóstej
wieczorem. Nie zajmowały nawet
połowy tej powierzchni, jaką
miały przed wojną, bo dostawy
były niewystarczające - znaczną
ich część przejmowali Niemcy - i
wielu fachowców z branży
znalazło się w obozach
jenieckich, zostało powołanych
do obowiązkowej pracy albo
ukrywało się. Pawilony
projektowane przez Baltarda
wystarczały dla ograniczonego
handlu; towary nie wylewały się
już na sąsiednie ulice, skrzynki
i produkty nie piętrzyły się już
pośrodku jezdni, z chodników
zniknęły stragany. Ożywiony
dawniej wygląd pawilonów
przygasł, sposepniał; światło
dienne paraliżowało i studziło
rozgorączkowanie, lepiej
adaptujące się do nocy. Mniej
było gapiów. Klienci zniechęcili
się do restauracji, czy to z
powodu kiepskiego menu
spowodowanego reglamentacją, czy
też ze względu na wygórowane
ceny czarnorynkowe. Nie było już
tylu prostytutek, bo w imię
czystości moralnej głoszonej
przez Vichy ścigała je policja.
Żył tam jednak nadal
różnorodny ludek kloszardów,
tyle że nie wywodził się już
wyłącznie z marginesu
społecznego, a tworzyli go także

różnego rodzaju uciekinierzy:
uchylający się od Służby Pracy
Obowiązkowej, poszukiwani przez
Gestapo członkowie ruchu oporu,
Żydzi zbuntowani przeciwko
żółtej gwiazdzie, niemieccy
dezercerzy, których zebracza
społeczność wchłaniała i
ochraniała. W łapanki urządzone
przez policję francuską i
niemiecką wpadało co najwyżej
kilku nie doinformowanych albo
nie przystosowanych głupków.
Innym udawało się wymknąć z
każdej obławy; w podziemiach
pawilonów, w piwnicach
pośredników i hurtowników było
dostatek kryjówek, istniały też
niezliczone podziemne korytarze
i ukryte schody, nie mówiąc już
o kanałach ściekowych, stacjach
metra, gdzie można było schronić
się po godzinie policyjnej, i o
bulwarach nad Sekwaną, między
Pont_Neuf i Pont_Marie.

- Chcesz się napić, chłopie?
Chodź ze mną!

Filozof zagadnął Roberta,
kiedy ten siedział na ławce na
placu du Chatelet. Robert nie
odpowiedział.

- Masz kłopoty? Chcesz się
schować? No, chodź ze mną,
kolego!

Filozof był patriarchą małej
grupki włóczęgów. Nazywali go
tak, bo od czasu do czasu sięgał
do własnej przeszłości i dzielił
się z innymi wydobytymi z niej
strzępami wspomnień z odległych
czasów, kiedy to wykładał w
prywatnym gimnazjum w
Clermont_Ferrand. Był to
mężczyzna około
czterdziestopięcioletni, nosił
długą, niechlujną brodę, szary
melonik właściciela stajni
wyścigowej i, przez okrągły rok,
coś w rodzaju peleryny, jakie
noszą dorożkarze, którą nazywał:

mój "carrick" albo mój "tułup",
zależnie od tego, czy był w
nastroju angloczyxx rusofilskim.
Wziął Roberta pod rękę i
zaprowadził do małych drzwi
ukrytych za ogrodzeniem z
trzmieliny, prowadzących do
jakiejs kamienicy.

- Tu jest moja kryjówka. No,
nie bój się! Chodź, chłopie.
Filozof bowiem, wraz z małą
grupką przyjaciół, zadomowił się
w podziemiach teatru im. Sary
Bernhardt, przemianowanego na
teatr "de la Cite". Tam spędzał
błogie noce, zimą w ciepłe,
latem w chłodzie, śniąc o
świecie szczęśliwości, w którym
dolce far niente i czerwone wino
zatriumfują nad pracą i skisłą
wodą, gdzie dziadowskie
braterstwo obejmie wszystkich
ludzi. W głębi piwnicy, w
jakiejs skąpo oświetlonej
komórce, leżały na ziemi
niewyraźne postacie.

- To moi kumple! - wyjaśnił
Filozofp po cichu. - Jest ich
pięcioro, w tym jedna kobieta,
nazywamy ją Sikawa. To nie jej
wina, że ma słaby pęcherz. Obok
niej, bliżej drzwi, to Głodomór,
opychałby się bez przerwy...
gdyby mógł. Je, kiedy tylko
może. Dalej, Galernik. Jest
wytatuowany od stóp do głów i
twierdzi, że uciekł z Cayenne.
Obok niego, Niepokorny, stary
bojownik_anarchista. W jednej
kieszeni nosi książkę
Kropotkina, a w drugiej
Stirnera. Tamten, to Germain,
dezertor z Legii
Cudzoziemskiej... albo z armii
niemieckiej, kto go tam wie...
Z jednej z kieszeni peleryny
Filozof wyjął butelkę czerwonego
wina, pociągnął zdrowo, potem
podał butelkę Robertowi.
- My tu używamy tylko

pseudonimów! Nie wiemy, jak się
kto nazywa... zresztą, to nas
nie obchodzi. Obowiązuje zasada,
żeby nigdy o nic nie pytać...
nikogo!

Od tej pory Robert pędził dni
tak, jak jego nowi przyjaciele,
zebrząc, pomagając trochę
tragarzom w Halach, wynajdując
mozolnie nędzne resztki,
organizując sobie - nie bez
trudu - niezbędnego sikacza, a
na noc wracał pod teatr.
- Chłopie! - opowiadał
Filozof. - Kiedy tu
przyjechałem, w 1929, wyglądałem
pewnie mniej więcej tak jak ty,
jak speszony dzieciak, i tyle.
Tylko że nie miałem chyba tego
nieprzytomnego wyrazu twarzy,
jaki ty czasem przybierasz.
Opuściła mnie właśnie Mathilde.
Twierdziła, że jestem niezdara
do kwadratu, utracjusz, pijak,
co trwoni pieniądze rodziny.
Tutaj znalazłem schronienie, jak
w prawdziwej rodzinie. Butelka
wina i paczka fajek dziennie,
jakieś resztki z okolicznych
restauracji, kąć do spania, nie
potrzebowałem niczego więcej,
rozumiesz! Do diabła z Mathilde,
do diabła z gimnazjum im.
Pascala razem z dyrektorem i
smarkaczami. Do diabła ze
wszystkimi. W sumie byłem
szczęśliwy, czułem się dobrze we
własnej skórze, miałem dobrych
kolegów i szacunek. Nawet gliny
się mnie nie czepiały. Ta
kurewska wojna wywróciła do góry
nogami moje przyzwyczajenia,
pozbawiła mnie wygód. Sikacz
jest na kartki, fajki też.
Ludzie przestali wyrzucać pety,
bo sami robią skręty tak jak ja.
Szkopy nie, ale ich tytoń jest
obrzydliwy. W restauracjach na
talerzach nic prawie nie
zostaje. Zrobił się burdel i

tyle!

Zrobił sobie skręta zawijając
skąpą porcyjkę tytoniu w bibułkę
z papieru "Zig_Zag" i ciągnął
dalej:

- Nie wiem, chłopcze, skąd się
tu wziąłeś! Zresztą, gwizdź na
to. O nic cię nie pytam.
Zaprosiłem cię, bo masz poczciwą
gębę. Masz, łyknij sobie...
Robert nie odpowiadał. Zawsze
był mało rozmowny, a teraz
praktycznie zaniemówił, zamknął
się w sobie, zasklepił w
skorupie swojej opustoszałej
pamięci. Nie interesowało go nic
poza tym, czy uda mu się
przeżyć, poza niezbędnym żarciem
i kiepskim winem, poza ciepłym
kątem do spania w piwnicy
teatru. Na wydarzenia, które
nastąpiły po jego przybyciu
tutaj, a o których dowiadywał
się z toczących się w jego
obecności rozmów, pozostawał
całkowicie obojętny. Nie
utrzymywał żadnych kontaktów
seksualnych, był nieczuły na
pokusy, na niemal wygasłe
wezwania własnego ciała.
Zapuścił brodę i wąsy; jego
granatowy garnitur był podarty i
cały w plamach, bo żywił się
głównie frytkami smażonymi na
końskim łoju albo lurowatą zupą
i sucharami z kazeiną, jakie
dostawało się od pomocy
społecznej. Buty mu przemakały.
Kiedy zdarzało mu się zdobyć
butelkę wina, wypijał ją
duszką a potem zwał się na
chodnik.
I tak to, pewnej nocy, pod
koniec wiosny 1944 roku, złapali
go granatowi. Z całą zbieraniną
innych włóczęgów został
przywieziony do przytułku w
Nanterre na prysznic i dokładne
odwszenie. Jakiś lekarz
zainteresował się jego

prypadkiem. Po godzinie uporczywego przepytывania, niczego się od niego nie dowiedziawszy, zdecydował się skierować go do szpitala psychiatrycznego w Ville_Evrard z rozpoznaniem amnezji. Spadochroniarz Josef Primula był gotowy. Należał do oddziału złożonego z pięćdziesięciu ochotników z Czechosłowacji, wcielonego do 82 dywizji powietrznodesantowej. Jak wszyscy w bazie, ubrany był w kombinezon i trzymał w prawej ręce spadochron. Twarz miał uczernioną węglem drzewnym. Włosy ogolono mu poprzedniego dnia na Irokeza, zostawiając tylko małą kępkę na czubku czaszki. Miał przy sobie cały sprzęt. Był całkowicie gotowy. Przedtem, przez wiele godzin grał w pokera i doszedł do wygranej tysiąca pięciuset dolarów, po czym wszystko przegrał. W lewej kieszeni kombinezonu został mu tylko jeden pognieciony banknot dwudziestodolarowy. Teraz mężczyźni czekali na ciężarówki mające ich podwieźć do samolotów. Spadochroniarz Edvard Po~cek, najlepszy przyjaciel Primuli, zostawił swoich partnerów grających w kącie w kości i podbiegł do niego.

- Josef, szybko! Pożycz mi dwadzieścia dolarów!

- Na co?

- Przecież wiesz! Masz, daję ci to w zastaw!

Odpiął bransoletę zegarka.

- Dobrze, zgoda! - powiedział Primula.

I dał mu swoje ostatnie dwadzieścia dolarów. Po~cek popędził znowu do kąta, gdzie grano w kości. Primula popatrzył

na zegarek. Był ze złota, a na kopercie widniało wygrawerowane nazwisko Po~cek i napis wskazujący na to, że jest to prezent od rodziców. Dokładnie w tej chwili ktoś zawołał:

- Gotowe! Jedziemy!

Primula pozbiierał swój sprzęt i razem z innymi spadochroniarzami wyszedł z hangaru. Wsiadając do ciężarówki podszedł do przyjaciela i oddał mu zegarek.

- Masz! Dwa nie są mi potrzebne!

Primuli został już tylko srebrny medalion, który wygrawerowała dla niego Ella i dała mu, kiedy wyjeżdżał z Pragi ponad pięć lat temu; miał to być surrealistyczny żart: medalion przedstawiał młodego człowieka o anielskiej twarzy, być może samego Josefa, z nogami brodzącymi w błocie, dzierżądze w jednej dłoni krucyfiks, a w drugiej nocnik.

Od 9 marca 1939 roku, kiedy rozstał się z Ellą, Josef prawie nigdy o niej nie myślał, chyba że jego wzrok padał na medalion.

Zadawał sobie natomiast bez ustanku to samo pytanie: kiedy znowu zobaczy Sarę?

Pamiętał wszystko: swój przyjazd do Paryża, pokój w hotelu, pracę tłumacza, oczarowanie przy spotkaniu z Sarą, godziny cudownego szczęścia w schronisku młodzieżowym w Villeneuve_la_Dondagre i w pokoiku przy alei Racheli. Potem nastąpiło aresztowanie w Biurze do spraw Cudzoziemców w Prefekturze Policji, internowanie w obozie w Beaune_la_Rolande, ucieczka, wspólnie z Edvardem i Rainerem Riesserem, niemieckim

antynazistą, przekroczenie linii demarkacyjnej, długa wędrówka we trzech aż do granicy hiszpańskiej. Po drodze, ilekroć było to możliwe, Josef wysyłał do Sary specjalną kartę do korespondencji między strefami, zupełnie jakby rzucał do morza butelkę z wiadomością, nie wiedział jednak, że na linii demarkacyjnej Niemcy niszczyli codziennie dziesiątki worków zawierających takie karty. Później dotarli do Saillagouse, gdzie ustnie przekazał wiadomość dla Sary jakiejś wieśniaczce, która przenocowała ich w stodole; przeszli przez granicę i wpadli w pułapkę zastawioną przez Guardia Civile. U boku Josefa padł, rażony śmiertelną kulą, Rainer Riesser. Dwóch ocalałych przyjaciół internowano w Mirandzie i tam spędzili długie miesiące. Potem znowu ucieczka, znowu wędrówka, znowu przejście przez granicę, tym razem z Portugalią. Wreszcie przybycie do Anglii, wcielenie do oddziału złożonego z czechosłowackich ochotników. Ciężarówka sunęła z wolna w kierunku samolotów. Josef czuł się silny, zdecydowany. Skończył się okres rezygnacji i fatalizmu, jaki przeżył w Paryżu. Teraz miał tylko jeden cel - odnaleźć Sarę, zobaczyć ją znowu, wziąć ją w ramiona, płonąć z nią razem dawnym, świętym ogniem. Nie zastanawiał się nawet, czy dziewczyna żyje, czy na niego czeka. Myśl o śmierci Sary, o jej niewierności wydawała mu się bluźnierstwem i nie nawiedziła go nigdy, nawet przelotnie. W całej Anglii do samolotów i szybowców wsiadały oddziały wojsk powietrznodesantowych. W

kwaterze głównej w Newbury
naczelny dowódca armii
alianckich, Dwight David
Eisenhower, w otoczeniu małej
grupki oficerów i korespondentów
wojennych, przypatrywał się, jak
startują pierwsze maszyny. Przez
ponad godzinę przemawiał do
żołnierzy i bardziej niepokoił
go desant niż pozostałe fazy
ofensywy, bo niektórzy z jego
oficerów sztabowych oceniali, że
straty wśród spadochroniarzy
mogą sięgać nawet
osiemdziesięciu procent.
Eisenhower patrzył, jak
maszyny toczą się ciężko po
pasie startowym i z wolna, jedna
po drugiej, wznoszą się w
przestworza. Zatoczyły koło nad
bazą, ustawiły się w szyku i
zniknęły w nocnej ciemności. Z
rękami w kieszeniach Eisenhower
utkwiał wzrok w czarnym niebie.
Zanim jeszcze potężna formacja
odleciała w kierunku Francji i
słyszeć było jeszcze ryk
silników, jeden z korespondentów
wojennych spojrział na naczelnego
wodza. Eisenhower miał oczy
pełne łez.
W kilka minut później
żołnierze z oddziałów
desantowych stłoczonych na
tysiącach statków i łodzi na
kanale La Manche usłyszeli
warkot samolotów. Hałas
narastał. Samoloty przelatywały
setkami fala za falą, potem ryk
silników ucichł. Skulony w
kabinie swojego samolotu Josef
Primula sprawdzał bez przerwy
swoją broń. Nie przyszło mu na
myśl, żeby się modlić, bo nie
bał się i nie umiał się modlić.
Wiedział, że leci do Francji, do
Paryża, do Sary. Przez okienko
dostrzegł w ciemności, jak mruga
światło sygnalizacyjne na statku
przewożącym wojsko: trzy

krótkie, jeden długi, V jak
victoria.

Za kilka godzin miał nad
światem zbudzić się świt 6
czerwca 1944 roku.

Część czwarta

1945_#1947

I

Domy i ogrody, podobnie jak
ludzie, mają dusze i są wrażliwe
na życiowe przypadki i tragedie,
na samotność, na nieubłagane
przemijanie czasu.

Pozbawiona swoich gospodarzy,
rodziny, która ją zbudowała,
wypełniła życiem i ciepłem,
willa "Promienny Uśmiech" powoli
marniała, niszczała. Pokoje z
zamkniętymi okiennicami i
zaciągniętymi zasłonami, nie
dogrzewane podczas pierwszych
wojennych zim, a potem w ogóle
nie ogrzewane, przemarzły i
zawilgotniały; na sufitach
wykwitły plamy wilgoci, ściany
spotniały, tapety odklejały się,
farby wyblakły, wypaczyły się
podłogi, stolarka i meble. Na
ścianie w jadalni z dnia na
dzień niszczał coraz bardziej
portret Sary Meyer; położona
natchnionymi dotknięciami pędzla
Keesa van Dongena farba odpadała
od płótna i zasypywała
nasiąknięty wilgocią parkiet.
Drzwi wejściowe, wyłamane przez
policjantów, kiedy przyszli
urządzić tu zasadzkę, w którą
nikt nie wpadł, pozostały
uchylone i wiatr hulał po
korytarzu. Jedna okiennica
zwisła na wyrwanych zawiasach.
Z dachu odpadały dachówki, a ich
kawałki mieszały się ze
szczątkami zawałonego komina.
Ogród znowu leżał odłogiem i
zarastały go chwasty. Ziemia pod
drzewami owocowymi usłana była
zgniłymi jabłkami, gruszkami i
wiśniami. Nie strzyżony żywopłot

wyrósł nadmiernie.

Przez zatłoczone rury odpływowe i studzienki ściekowe nie spływała woda deszczowa zamieniając grządki w bajory. Rdzewiejąca brama była zamknięta na kawałek skręconego drutu; na dębowej tablicy widniał jeszcze napis wymalowany po niemiecku przez Bruna w czerwcu 1940 roku - "Bewohntes Haus". Obok niej wiecznie pusta skrzynka na listy zwisała na przerdzewiałych zaczepach.

A czas mijał, z każdym dniem powiększając wyrządzone przez siebie szkody.

Czas mijał na świętowaniu zwycięstwa, lecz również na próbach policzenia zabitych, rannych i umęczonych, spisania zniszczeń, na ocenie strat, na zażegnaniu grozy bitew i bombardowań, trwogi przed aresztowaniami i torturami, okropności obozu śmierci, haniebnego zrzucenia bomby na Hiroszimę... na próbach przyjęcia na siebie ciężaru historii... aż nadeszła jesień 1945 roku. Podobnie jak maszyna, w której wyłączono, a potem na nowo włączono dopływ prądu, powoli budziła się też aktywność ludzi znaczonego zrywami, nieprzewidywanymi przyspieszeniami i nagłymi zahamowaniami. Mężczyźni i kobiety o oczach pełnych jeszcze oszołomienia wojną, o stwardniałych sercach, śmiertelnie wymęczeni i przerażeni brali w ręce nędzne narzędzia codziennego bytowania, podejmowali żalosne życie w odzyskanym, choć znaczonego krwią, niepewnym i znów zagrożonym pokoju. Wrócili już wszyscy, którzy mogli wrócić, pozostali przy życiu, ci, którzy

ocaleni, okaleczeni, wypędzeni,
wysiedleni. Ale willa "Promienny
Uśmiech" nadal stała pusta i
żałosna jak opuszczony duch
dawnego szczęścia.

W sąsiedztwie, powoli i jakby
lękliwie, ludzie wypytywali się
wzajemnie o wojenne przejęcia,
dowiadawali się stopniowo o
sprawach najczęściej
tragicznych, o niewyobrażalnych
potwornościach.

Wiedzieli już, że Jean
Chevance został rozstrzelany na
dziedzińcu więzienia w Melun.
Naziści odebrali mu protezę,
zerwali odznaczenia i
torturowali go przez wiele nocy,
ale nie udało im się zmusić go
do przyznania się do znajomości
z Bruno Ritterem, potem
potraktowali go jako zakładnika.
W ostatniej chwili poprosił o
rozmowę z oficerem dowodzącym
plutonem egzekucyjnym i napluł
mu w twarz.

- Nie chciałem zdychać, zanim
nie opluję szkopskiej mordy!
Szkopowi pozostało tylko jedno
do zrobienia - wytrzeć sobie
twarz i dać rozkaz: "Ognia!"
Ładniutka Lucienne Ritter i
Guillaume Marcenac zniknęli. Po
przeniesieniu z więzienia w
Meaux do Fresnes ślad po nich
zaginął.

Ksiądz Ricolais i większość
innych członków ruchu oporu z
Lagny, zatrzymanych i wydanych
Niemcom przez naczelnika policji
Gastona Fornet, zmarli z
wyczerpania, z głodu, z
przerażenia, w obozach zagłady,
a ich nieszczęsne szczątki
spłonęły w piecach
krematoryjnych. O śmierci
proboszcza z Lagny opowiedział
naoczny świadek, ocalały więzień
Mauthausen:

- W ostatnim czasie przestał

przyjmować pożywienie. Oddawał wszystkie swoje mizerne racje sąsiadom z baraku. Modlił się bez przerwy. Twarz mu jakby promieniała światłem. Wyglądało to tak, jakby przewidział, że tak skończy, jak gdyby czekał na tę śmierć. Ostatnim wypowiedzianym przez niego słowem było: "Przebac".

Całkiem inny los spotkał rodzinę Ravaux. Ojciec, Auguste, były właściciel drukarni, w której zginął Elie Ritter - zmarł na atak serca w dniu, kiedy alianci wylądowali w Normandii. Jego starszy syn, Pierre, zabójca Elie Rittera, wstąpił do Waffen_SS i wcielony do dywizji im. Karola Wielkiego zginął z rąk Rosjan podczas walk w ruinach Berlina, niedaleko bunkra, w którym właśnie popełnił samobójstwo Hitler.

Jego ostatni list do matki zawierał następujące słowa: "Zwycięzimy bolszewików i Żydów! Niech żyje F~uhrer!" Jego brat Jer~ome, podczas okupacji członek Francuskiej Partii Ludowej, stanął przed sądem w Melun. Był przekonany, że grozi mu wyłącznie kara infamii. W ostatniej chwili oskarżyciel publiczny powołał nieoczekiwanie na świadka sprzątaczkę z drukarni.

- Przez całą okupację Jer~ome Ravaux pisał donosy adresowane albo do komisarza policji z Lagny, Roberta Mesange, albo do Komendantury Gestapo! - zeznała kobieta. - Najpierw pisał na brudno, a brudnopisy wyrzucał do kosza na śmieci. Zebrałam je i zachowałam. Oto one!

Podążyła przewodniczącemu składu sędziowskiego plik pomiętych kartek. Listy dotyczyły zwłaszcza Bruno Rittera, księdza

Ricolais i innych członków ruchu oporu z Lagny. Po potwierdzeniu zeznań świadka przez komisarza Mesange. Jérôme Ravaux został skazany na pięć lat przymusowych robót.

Naczelnik policji Gaston Fernet, ogarnięty paniką, wyjechał do Niemiec ze sturmbannführerem Heinrichem Volkerem i schronił się w Sigmaringen, w cieniu zamku, w którym przebywali Pétain i Laval. Jako zastępca delegata do spraw Przestrzegania Porządku Publicznego, Josepha Darnanda, uczestniczył w żalonych poczynaniach marionetkowego rządu, na którego czele stał Fernand de Brinon. Zatrzymany w Feldkirch, na granicy austriacko_szwajcarskiej, przez żołnierzy I armii francuskiej, został przewieziony do Francji; najpierw do Stutthofu, byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego przekształconego na obóz przejściowy dla kolaborantów zatrzymanych w Niemczech, a potem do więzienia we Fresnes, gdzie czekał na proces, nie bardzo rozumiejąc, co można mu zarzucać.

- Jestem funkcjonariuszem. Wykonywałem tylko rozkazy moich przełożonych!

Był zawsze praktykującym katolikiem, a teraz popadł w dewocję i co rano służył do mszy. Jeden z kapelanów więziennych, ksiądz Popot, dawał go innym więźniom za przykład pobożności.

W Paryżu Roger Brienne bez większej przerwy, choć nie bez trudności, nadal pracował jako fotograf, ulubieniec ludzi teatru. Kiedy skończyła się wojna, wydał potężne

westchnienie ulgi.

- Nareszcie! - powiedział. -

Jednak skończyła się, psiakrew,
ta zasrana apokalipsa!

Popatrzył na Fran~coise i mamę
Petrac.

- Wyszliśmy z tego cało.

Żyjemy. Jak to dobrze, że się w
nic nie angażowałem, że
trzymałem się z dala od
wszystkiego! Żyliśmy, jak Sieyes
podczas Rewolucji! I
przeżyliśmy! Dosyć jest ludzi,
którzy wbrew własnej woli
zostali wplątani w taki czy inny
epizod wojenny. Wychylać się,
dobrowolnie pchać się w jakieś
tryby, to byłaby naprawdę
ostatnia głupota!

Fran~coise wypłynęła na
filmowym firmamencie; skończyła
już ze statystowaniem. Nie była
wprawdzie gwiazdą, ale należała
do dzielnej gromadki odtwórców
ról drugoplanowych i dorównywała
niemal takim aktorkom, jak
Jeanne Fusier_Gir, Jane Marken,
Pauline Carton i Gabrielle
Dorziat.

Mama Petrac, która nigdy nie
porzuciła swoich rondli, mogła
odtąd przyrządzać smakowite
dania nie obawiając się
skandalicznych cen na czarnym
rynku. Pewnego dnia, wracając z
zakupów, przyniosła nowiny o
Labrim, swoim niedawnym
dostawcy.

- Został aresztowany! Z tego,
co ludzie mówią, spekulował nie
tylko żywnością, ale też
metalami nieżelaznymi, wyrobami
włókienniczymi, obrabiarkami,
lekarstwami, a nawet
prezerwatywami, a wszystko to na
rachunek szkopów...

Pierre Labri pracował
rzeczywiście dla jednego z
rozlicznych kantorów kupna i
sprzedaży otwartych w Paryżu pod

rzędami doktora Elmara Michela,
szefa Wydziału Gospodarczego
Naczelnego Dowództwa
Niemieckiego we Francji. Został
osadzony w więzieniu we Fresnes
razem z wieloma innymi
"kolaborantami gospodarczymi" -
byli wśród nich zwłaszcza
budowniczości muru atlantyckiego
- ale tak samo jak oni korzystał
z łagodnego traktowania; cela
otwarta była cały dzień, paczki
i wizyty bez ograniczeń.
Pieniądze bowiem płynęły z
kieszeni tych ludzi szerokim
strumieniem i dozorca więzienni
- nie licząc kilku
nieprzekupnych głupków - nie
nadażali ich zbierać.
Wkrótce po wyzwoleniu
Brienne.owi udało się bez trudu
zebrać znów wokół siebie małą
gromadkę przyjaciół. Większość z
nich nigdy się zbyt od niego
nie oddaliła oprócz Marii Turmo,
która, stawszy się gwiazdą,
zdawała się zapominać o dawnych
towarzyszach z cyganerii; oprócz
Xaviera Laurenta, który za
wykonywanie podczas okupacji
zawodu dziennikarza w
"Paris_Soir" znalazł się w
więzieniu, gdzie nie korzystał z
żadnych przywilejów i groził mu
surowy wyrok, i oprócz Josefa
Primuli. Znowu zaczęły się
przyjacielskie festiwale i
znowu, aż do świtu, towarzystwo
upajało się słowami, pomysłami i
alkoholem. Ale fotograf nie
zapominał przy tym o baczonym
sprawdzeniu zawartości skrzynki
na listy na wypadek, gdyby
któregoś dnia między rachunkami
i prospektami zaplątała się
wiadomość dla Sary, jak to było
w ubiegłym roku z kartą
pocztową.
Myriam Rubinstein nigdy już
nie powróciła do drukarni du

Croissant; przepadła w nocy i mgle Oświęcimia. Jej synek, z którym ją rozłączono po przyjeździe do obozu, został najpierw przydzielony do bardziej lub mniej zakonspirowanego burdelu, którego pensjonariuszami byli kilkunastoletni chłopcy żydowscy - Niemcy nazywali ich Bubels - a gośćmi esesmani i niektórzy kapo. Potem poddano go doświadczeniom medycznym doktora Josefa Mengele. Przestał cierpieć, kiedy zaprowadzono go do komory gazowej razem z grupą około stu dzieci żydowskich. Jego ojciec, jeniec wojenny Stalagu VII A, wrócił do Paryża. Niepocieszony, otworzył jednak swój sklepik z materiałami przy ulicy des Jeuneurs. Klienci mówili o nim, kręcąc głowami: - To nie jest ten sam człowiek. Mówi do siebie, jakby bez przerwy zwracał się do żony i syna. Wygląda jak zjawa owładnięta przywidzeniami. Jules Grochon miał więcej szczęścia niż Myriam Rubinstein. Od czasu do czasu dzwonił do Sary i opowiadał jej, co się dzieje; z powodu żydowskich udziałów w kapitale drukarnię zajęto i przydzielono jej tymczasowego zarządcę wyznaczonego przez Darquiera de Pellepoix. - Sprawdzając rachunki wykrył dokonywane przez nas oboje fałszerstwa, a co za tym idzie braki w zapasach ołowiu, farby i papieru. Ale nie zadenuncjował mnie. Tyle że, ponieważ nie był mimo wszystko filantropem, za cenę milczenia zażądał odstąpienia udziałów i został właścicielem firmy. Nie pozostawało mi nic innego, jak odejść na emeryturę.

Akcjonariusze żydowscy zostali obrabowani, ale byli niegroźni, bo wszyscy znajdowali się w Oświęcimiu.

Raymond Meyer nigdy nie powrócił do domów towarowych Galeries de l'op~era ani jego żona i dzieci do willi w Saint_Cloud; dobroczyńca Ritterów i cała jego rodzina także zginęli w Oświęcimiu. W radiu Paryż, pewnego grudniowego ranka 1943 roku, sonderf~uhrera Gerhardta Haefta zaskoczyło, a następnie oburzyło to, że jego zastępca, Joachim Botto nie zjawia się w pracy. Zmęczony czekaniem i daremnymi telefonami wybrał się sam na ulicę Washingtona. Drzwi do garsoniery Joachima były zamknięte na klucz, natomiast w sąsiednim mieszkaniu, zajmowanym przez Roberta Rittera, drzwi były lekko uchylone. Wszedł i zdjęty grozą zobaczył na wpół rozebrane ciało swojego zastępcy leżące na podłodze, w kałuży zakrzepłej krwi. W pokoju unosił się mdły, duszący zapach. Rittera nie było ani tutaj, ani w garsonierze obok. Na podłodze wałało się kilka kartek pokrytych jego pismem. Haeft błyskawicznie przemyślał sytuację.

"Zabójcą może być tylko Ritter! Botto już się na niego skarżył, podejrzewał, że zdradza... i że jego zdradza. Ritter przyłapał najwyraźniej Joachima na czytaniu swojego rękopisu i zabił go z zemsty za świętokradczą niedyskrecję... a także dlatego, że znenawidził ostatecznie swoją ofiarę..."
Co należało zrobić? Należało zdecydować się na wersję, która nie wywoła skandalu, jak najmniej zaszkodzi prestiżowi

Wehrmachtu. Przyznać, że Botto żył w karygodnym związku z Ritterem i że Ritter - najwybitniejszy dziennikarz francuskiej kolaboracji - wyparł się swoich poprzednich przekonań i zabił sonderf~uhrera, byłoby równoznaczne z trudnym do zatuszowania skandalem. Po konsultacji ze swoimi szefami z hotelu "Majestic" Haeft przyjął uproszczoną wersję faktów:

- Botto został zabity przez nieznanych terrorystów. Ritter zniknął, porwany zapewne przez tych samych terrorystów...

Nawet to wyjaśnienie nie wyszło zresztą nigdy poza kręgi niemieckie i kolaborantów. Prasa nigdy o tym nie pisała, nie powiadomiono też policji francuskiej, która dzięki niedyskrecji pewnych osób знаła tylko oficjalną wersję sprawy. Ciało Joachima Botto przewieziono do rodzinnego L~orrhach. Jego ojciec, gauleiter Wilfrid Botto, urządził mu uroczysty pogrzeb, na którym przyjaciele zmarłego - a wśród nich jego stary nauczyciel matematyki - zaśpiewali wspólnie "Ich hatte eine Kamerad, ein besser findst du nicht..."

(Miałem kolegę, lepszego nie znajdziesz...)

- Później, po wyjeździe z Paryża 17 sierpnia 1944 roku na czele małej grupki dziennikarzy francuskich, Gerhardtowi Haeftowi powierzono radiostację "Ojczyzna" w Bad_Mergentheim, działającą pod patronatem Jacques.a Doriot, z którą współpracował zwłaszcza Jean Herold_Paquis i która nadawała aż do kwietnia 1945 roku. Jeśli chodzi o radio Paryż, to sonderf~uhrer Karl Werdek został aresztowany przez SS 21 lipca

1944 roku, nazajutrz po zamachu pułkownika Klausa von Stauffenberga na Hitlera, gdyż ociągał się z nadaniem tłumaczenia przemówienia Goebbelsa zawiadamiającego, że F~uhrer wyszedł z zamachu cało.
- Sie sind ein Verr~ater! (Pan jest zdrajcą!) - oznajmili mu sędziowie.

W przekonaniu, że należał do sprzysiężenia, skazano go na śmierć i podobnie jak kilkudziesięciu innych "zdrajców" powieszono na rzeźnickim haku.

Co się tyczy pułkownika Kurta Gofingera, to 16 sierpnia 1944 roku opuszczał on ze łzami w oczach swoje luksusowe mieszkanie na szóstym piętrze, nad studiami i biurami radia Paryż, gdzie był taki szczęśliwy.

- Selig wie Gott in Frankreich! Szczęśliwy, jak Bóg, we Francji! - mawiał często, cytując niemieckie przysłowie. Wrócił do zrujnowanego Monachium i zabrał się na nowo do mozolnego komponowania marnych operetek. Okres jego świetności, kiedy kierował dużą radiostacją, kiedy spraszał gości do Fouqueta, podejmował Herberta von Karajana i Wilhelma Furtw~anglera prowadzących koncerty Wielkiej Orkiestry Radia Paryż w teatrze "des Champs_Elysees", kiedy spędzał noce w towarzystwie najpiękniejszych francuskich adeptek piosenki - ten okres świetności załamał się nagle wraz z szaleńczymi snami o tysiącletniej Rzeszy... trwającej zaledwie dwanaście lat!

Spośród kolaboranckich osobistości z kręgu znajomych

Roberta Rittera, Pierre Drieu La Rochelle popełnił samobójstwo, Brasillach, Luchaire i Herold_Paquis zostali rozstrzelani, a Doriot zginął tajemniczą śmiercią w Niemczech. W pobliżu willi "Promienny Uśmiech" farma, gdzie dawniej mieszkał Marcenac z rodziną, opustoszała; w przekonaniu, że mąż nigdy nie wróci, Charlotte Marcenac zabrała dzieci i wyjechała do swojej rodziny na wyspę d.elle na bagnach Wandei. Inni mieszkańcy domu również się rozproszyli, albo na skutek wojny, albo dlatego, że znaleźli przyzwoitsze lokum. Tylko Agathe została w Lagny; zmęczony czekaniem na jakąś oznakę przychylności ze strony Sary Ritter, Pierre Marnier ożenił się w końcu z drugą towarzyszką dzieciennych zabaw, mimo jej kalectwa. Zamieszkali razem przy ulicy Gambetty. Ernest Marnier, ojciec Pierre.a, najbliższy sąsiad Ritterów, sprzedał swoje atelier fotograficzne przy ulicy des Marches, z braku klientów. Od pewnego czasu nie mówiono o nim inaczej jak z politowaniem. - Pozostał wierny staremu aparatowi z mieszkciem, wyzwalczowi z gruszką i czarnej zasłonie, pochodzącym zapewne jeszcze z epoki Daguerre.a... Jego portrety są sztywne, pozbawione wdzięku, twarze przyplaszczone od światła dziennego. Wystarczy je porównać z fotosami gwiazd w kinach; to zupełnie co innego! Mają w sobie życie, kontrast... Zysk ze sprzedaży atelier pozwolił jednak Marnierowi na wycofanie się z działalności zawodowej, choć nie osiągnął jeszcze wieku emerytalnego -

miał dopiero 56 lat. Tak więc,
między posiłkami
przygotowywanymi z niezwykłą
starannością przez żonę,
uprawiał teraz ogród. Często
spoglądał z wyrzutem na działkę
obok, należącą do Ritterów, bo
porastały ją chwasty, a nasiona,
przenoszone przez wiatr,
zachwaczały i jego ogród.

- Czy oni wrócą? Czy oni
kiedyś wrócą? - zastanawiał się
często myśląc o rodzeństwie
Ritterów.

Po napadzie partyzantów na
pociąg niemiecki koledzy zabrali
Bruna Rittera w opłakanym
stanie. Pułkownik Domur i Riri
Ribot zadrżeli na widok jego
rany głowy; choć rozległa,
okazała się jednak niezbyt
groźna. Wiele kul z pistoletu
maszynowego trafiło natomiast
biedaka w klatkę piersiową i
brzuch. Bez życia, nieprzytomny,
stracił dużo krwi. Pozostawiając
jeńców i nadającą się do użytku
amunicję pod strażą kilku
partyzantów, koledzy zanieśli
jęczącego głucho rannego, na
noszach z gałęzi, do
Saint_Algre, gdzie wyciągnęli z
łóżka doktora Genilhou. Wiejski
lekarz wznosił ręce do nieba.

- Przynosicie mi umarlaka!
Trzeba go natychmiast przewieźć
do szpitala w Ambert. Tam może
uda się go z tego wyciągnąć.
Może! Ja tutaj nic nie mogę
zrobić!

Opatrzył jednak i okrył
rannego, dostarczył dwóch czy
trzech starych prześcieradeł na
szarpie, żeby jakoś tamować
najgroźniejsze krwotoki, i podał
nazwisko lekarza ze szpitala w
Ambert, sprzyjającego ruchowi
oporu, który na pewno zgodzi się
zaopiekować Brunem.

Transport postrzelonego,

krwawiącego obficie, konającego
Rittera do Ambert, położonego o
jakieś dwadzieścia kilometrów w
prostej linii od Saint_Algre,
przedstawiał poważny problem,
gdyż wiadomość o zamachu na
pociąg nie mogła nie dotrzeć
szybko do władz niemieckich i do
Vichy. Żandarmi, choć dotąd
udawali głuchych i ślepych na
działania partyzantów, nie mogli
przecież zignorować odgłosów
wybuchów, strzałów z moździerzy
i z broni automatycznej, ani
pożaru wagonów, od którego
poczerwieniało niebo i który
musiał być widoczny ze znacznej
odległości. Mimo to Bruno został
przetransportowany bez
przeszkód. Ułożony na platformie
ciężarówki napędzanej
generatorem gazowym, dogładany
przez Domura i Riri, podrzucany,
trzęsący się na wybojach leśnych
dróg, którymi zdecydowali się
przejechać, nieszczęśnik zbliżał
się powoli pod osłoną nocy do
Ambert i do szpitala. Od czasu
do czasu pochyleni nad nim
przyjaciele ocierali krew
płynącą z ran, przecierali
wilgotnym płótnem jego czoło i
wargi.

- Przede wszystkim nie
dawajcie mu nic do picia! -
zalecił doktor Genilhou. - To by
go dobiło.

Próbowali też z nim rozmawiać.
Ale Bruno nie był w stanie im
odpowiadać. Cała jego
przytomność umysłu była jakby
dalekim, małym światełkiem,
maleńką i niewyraźną iskierką
połyskującą w bezkresnym tunelu
ciemności i cierpienia. Nie
czuł, że krwawi, odczuwał tylko
straszliwe pragnienie i resztką
sił chwycił się małego
światełka, które czasem zdawało
się nieco przybliżyć, a w innej

chwili nieuchronnie oddalać,
jakby miało zniknąć na zawsze.
Od czasu do czasu, kiedy wstrząs
ciężarówki był zbyt gwałtowny,
Bruno wydawał głuchy, prawie
niesłyszalny jęk albo leciutko
mrużył powieki. Domur i Riri
przyjmowali te oznaki jako
zwiastuny nadziei.

- Żyje! - szeptał wtedy jeden
albo drugi. - Jeszcze żyje.
- Żyje! - powiedział także
doktor Paul Bres po zbadaniu
ranego w szpitalu w Ambert,
kiedy wreszcie tam dotarli. -
Żyje, to wszystko, co można
powiedzieć. Ale... jak długo to
potrwa?

Paul Bres, praktykujący
niegdyś w szpitalach Paryża, był
naczelnym chirurgiem w zespole
szpitalnym w Ambert. Domur
poszedł do niego do domu,
naprzeciwko okrągłego budynku
merostwa, mimo
niebezpieczeństwa, jakie kryła w
sobie ta nocna wyprawa, bo
patrole niemieckie krążyły po
mrocznych ulicach. Dzięki
poręczeniu doktora Genilhou
konający został natychmiast
przyjęty na ostry dyżur i
przeniesiony na salę operacyjną.
To samo poręczenie sprawiło, że
doktor Bres - wysoki, szczupły
mężczyzna o gotyckiej twarzy -
przybiegł w pośpiechu.

- Wystarczy mi słowo Genilhou!
Nie chcę wiedzieć, kim
jesteście... ani kim jest
przyniesiony ranny.

Operacja trwała trzy godziny.
Wstawał dzień, kiedy doktor Bres
wyszedł do Domura.

- Wyjeliśmy cztery kule...
kule z pistoletu maszynowego...
z klatki piersiowej i brzucha.
Pański przyjaciel miał
szczęście, żaden z ważnych
organów nie został naruszony.

Ale stracił dużo krwi...

- Panie doktorze - zapytał
pułkownik - sądzi pan...

- Sądzę, że ma pięć szans na
dziesięć, że się z tego
wygrzebie, ani jednej więcej,
ani jednej mniej. Będziemy
zmuszeni zatrzymać go tutaj na
jakiś czas. Oznacza to, że muszę
podjąć środki ostrożności
względem władz, to zrozumiałe,
prawda? Cały personel tego
szpitala sprzyja ruchowi oporu,
podrobimy więc kartę przyjęcia -
napiszemy, że pański przyjaciel
przybył tutaj nie w środku nocy
tylko wczoraj, wczesnym
wieczorem - i protokół z
operacji. Proszę zapamiętać:
pański przyjaciel jest
robotnikiem leśnym i padł ofiarą
wypadku, które, niestety, często
się w tym zawodzie zdarzają.
Przewrócił się na włączoną piłę
tarczową. Jeśli zdarzy się
kontrola, mam nadzieję, że nie
każą jednak zdjąć bandaży. A
teraz niech się pan postara
zdobyć dla niego niezbyt
podejrzany dowód tożsamości i
dokumenty ubezpieczeniowe. Pana
w tym głowa.

Wolno, bardzo wolno, w miarę
upływu godzin, potem dni, Bruno
wynurzał się ze swojego tunelu.
Świadomość odzyskał najpierw
przez wzrok. Początkowo, a
trwało to nieskończenie długo,
widział jak powoli rozszerza się
mały świetlny punkcik na końcu
tunelu, jak staje się coraz
bardziej błyszczący. Potem
dostrzegł plamy na suficie i
gdyby miał więcej jasności
umysłu, przypomniałyby mu one
dzieciństwo, noc w gorączce
podczas grypy i anginy, kiedy
patrzył, jak fantasmagoryczne
zwierzęta ożywają nad jego
głową. Wreszcie tuż przy sobie

dostrzegł jakby nieziemskie pierroty o niewyraźnych gestach, poruszające się w poświacie bladego światła. Równocześnie dotarły do niego hałasy, głosy. Kiedy odzyskał przytomność umysłu, zrozumiał, że pierroty to szarytki w białych kornetach albo lekarze w fartuchach.

Zrozumiał, że znajduje się w szpitalu, i równocześnie poczuł bóle prawie w całym ciele.

Zawołał słabym głosem. Dostał pigułki i zastrzyki.

W kilkanaście dni później, kiedy nie było już powodu do większego niepokoju, doktor Bres uznał, że należy go gdzieś ukryć, przez ostrożność, bo zamach partyzantów na pociąg poruszył Niemców i milicję Darnanda i wszędzie poszukiwano "terrorystów" obmyślając odwet.

Bruno został przewieziony do babki Riri Ribota, mieszkającej w małym domku, w wiosce położonej o trzy kilometry od Saint_Algre.

- Jak się czujesz? - zapytał Domur nazajutrz po jego przyjeździe do starszej pani.

- Jak widzisz! Nabieram kolorów!

Stan rekonwalescenta poprawiał się z każdym dniem. Oprócz tego, że opiekował się nim doktor Genilhou, który przychodził do niego codziennie, i że dobrze go odżywiała babcia najlepszego przyjaciela, pielęgnowała go też troskliwie Lisette, siostra Riri. Była to ładna, wiecznie uśmiechnięta i rozśpiewana dziewczyna i sama jej obecność była dla Bruna zbawiennym lekiem. Potem Owernia została wyzwolona, partyzantkę rozwiązano; Domur poświęcił się całkowicie pracy brygadzysty w tartaku Morela; Riri został jego

zastępcą i ożenił się z Pierrette, córką właściciela. Zaczynało się powoli normalne życie.

Nadeszła jesień 1945 roku i Bruno zastanawiał się, co dalej robić. Wrócił na dobre do zdrowia i po odniesionych ranach zostały mu tylko rozległe blizny. Teoretycznie mógłby wrócić pod Paryż, zamieszkać znowu w willi "Promienny Uśmiech" i pracować nadal w drukarni du Croissant. Nie miał jednak odwagi. Po wyzwoleniu nawiązał kontakt z siostrą i w długich listach donosił jej o wszystkim, co się z nim działo od wyjazdu z Paryża. Sara z kolei opisała mu wszystko, co wydarzyło się w Paryżu i w Lagny: tragiczną śmierć Chevance'a, zniknięcie Roberta, Marcenaca, szczególnie zaś bezpowrotne z pewnością zniknięcie Lucienne.

Bruno doznał wówczas szoku, który omal nie zagroził jego odzyskanemu zdrowiu. Przez wiele dni nie wychodził ze swojego pokoju wspominając bez przerwy spotkanie z piękną dziewczyną na peronie dworca w Lagny, ich wspólne życie w willi "Promienny Uśmiech", ich godziny radości i głębokiego wzajemnego zrozumienia. Trzeba było całego autorytetu Domura, całej przyjaźni Riri i całej troskliwości jego babki, żeby powoli otrząsnął się z bezdennej rozpacz. Jakoś mu się to udało i podniósł się po tym strasznym przeżyciu. Równocześnie zauważył, że pociąga go Lisette; na wszystkich, lecz przede wszystkim na nim, wywierała wrażenie pokrępowanej równowagi, zdrowej zmysłowości, fizycznej tężyzny i prawości.

Jej uroda, urok, wdzięk w znacznej mierze przyczyniły się do jego ozdrowienia, najpierw z cierpień fizycznych, a potem po doznanym szoku. Dzięki niej odżywał, czuł się znowu pełen sił i nadziei. I dlatego nie wyobrażał sobie, że mógłby wrócić do willi "Promienny Uśmiech", gdzie każdy pokój, każdy mebel, każdy metr kwadratowy ogrodu przypominałby mu nieszczęsną Lucienne. Tak samo jak Riri pozostanie więc w Saint_Algre. Odtąd jego życie było tutaj...

Nikt nie wiedział, kim może być to upiorne, wysokie i niezwykle chude, rozczochrane, brodate i wąsate indywiduum, ubrane nieodmiennie na granatowo, przepasane ogrodniczym fartuchem, które grabiło i pielilo ścieżki szpitala psychiatrycznego w Ville_Evrard albo zamiatało i pastowało parkiety w pawilonach poruszając się mechanicznie, z wyraźną obojętnością, jakby z poczuciem wyższego rodzaju oderwania od świata. Niełatwo było napotkać jego wzrok, a jeśli komuś się to udało, widział oczy bez wyrazu, pozbawione wszelkiej ekspresji, wszelkiej ciekawości dla kogokolwiek i czegokolwiek.

Prawie się nie odzywał, ograniczając się do kilku pomruków i bełkotu. Jednakże dla wygody i chcąc ułatwić sobie jakoś nieliczne z nim kontakty, nazwano go Gastonem.

Wiadomo było na jego temat tylko tyle, że został przywieziony z przytułku w Nanterre po tym, jak złapano go razem z innymi kloszardami na bulwarze de Sebastopol. Podobnie jak lekarz z Nanterre, lecz

zbrojni we wszelkie środki
wiedzy psychiatrycznej i
dysponujący niezbędnym po temu
czasem, specjaliści z
Ville_Evrard usiłowali wprawdzie
zgłębić tajemnicę jego
tożsamości, dotrzeć do jego
przeszłości poddając go nie
kończącym się przesłuchaniom,
zadając mu najbardziej subtelne
i najbardziej brutalne pytania,
ale mężczyzna zachowywał prawie
kompletne milczenie, patrzył na
nich posepnie, na nic nie
reagował.

Zbadali też i przetrząsnęli
jego granatowy garnitur, ale
znaleźli tylko na wpół oberwaną
naszywkę z nazwą firmy Esdersa,
jakieś podejrzone plamy u dołu
marynarki i na nogawkach spodni,
a w kieszeniach jakieś podarte,
poplamione, zmięte skrawki
papieru pokryte prawie
nieczytelnym pismem. Nazwa firmy
Esders niczego nie wносиła, bo
ten duży sklep przy ulicy de
Rivoli sprzedawał tysiące
garniturów rocznie, nawet
podczas okupacji mimo
reglamentacji wyrobów
włókienniczych. Plamy również
prowadziły donikąd; badania
laboratoryjne wykazały tylko
pozostałości pijackich wymiocin.
Były wprawdzie drobne ślady
krwi, ale ponieważ grupa była ta
sama, jaką miał Gaston, uznano,
że pochodzą pewnie z krwotoku z
nosa. Co się tyczy skrawków
papieru, to badający je grafolog
ocenił, iż mogą to być resztki
rękopisu jakiegoś zajadle
antyniemieckiego pamfletu.
- To jakieś chaotyczne
elukubracje podyktowane zacieklą
nienawiścią. Charakter pisma
autora wskazuje na zachwianie
równowagi psychicznej; w chwili
gdy to pisał, cierpiał na

zaawansowaną paranoję -
podsumował ekspert.
Wszystkie te, trwające długie
tygodnie, wysiłki nie
doprowadziły więc do niczego.
Wówczas lekarze zwrócili się do
Służby Bezpieczeństwa chcąc
uzyskać informacje z opasłej w
owym czasie kartoteki osób
zaginionych, ale również bez
rezultatu, bo ich chory nie był
podobny do żadnego z mężczyzn w
jego wieku poszukiwanych bądź to
przez rodzinę, bądź też przez
policję. Wzięli również jego
odciski palców i przekazali je
policji kryminalnej; znowu bez
skutku. Odciski tego, którego
nazwano Gastonem, nie
przypominały żadnego ze
zgromadzonych w archiwach
Prefektury Policji, co
oznaczało, że zainteresowany
nigdy nie miał do czynienia z
wymiarem sprawiedliwości albo,
jeśli miał na sumieniu jakieś
grzeszki, nie były one aż tak
duże, by wymagało to badań
antropometrycznych.
Ostatecznie więc zrezygnowali
i pogodzili się z tym, że
prawdziwe nazwisko i przeszłość
Gastona poznają być może dzięki
jakemuś szokowi, odblokowaniu
pamięci, że kiedyś wydarzy się
może wreszcie coś, co przywróci
mu pamięć i świadomość. Toteż
już tylko od czasu do czasu
poddawali go rutynowym testom. A
ponieważ był absolutnie
niegroźny, pozwolili mu
przynajmniej, jak wielu innym w
podobnym stanie, wykonywać pewne
niewielkie prace wewnątrz
szpitala, żeby miał zajęcie
choć dla rąk, skoro stracił
rozum. Dlatego też można go było
spotkać w parku, w pawilonach,
jak sady sałatę albo pastuje
parkiety, obnosząc swoją długą,

niezgrabną postać z głową
zatopioną w nieprzeniknionych
chmurach.

A czas płynął. Przyszło
wyzwolenie, potem świętowano
zwycięstwo, ale Gaston pozostał
niewzruszenie obojętny na te
głośnie skądinąd wydarzenia. A
potem, latem 1945 roku,
nastąpiło to, co przewidywali
lekarze; drobne zdarzenie,
jakich dziesiątki przytrafiały
się codziennie w szpitalu,
odblokowało się coś w
odrętwiałym mózgu chorego.
Gaston pastował podłogę w
korytarzu pawilonu dla
pobudzonych. Za obitymi drzwiami
swoich pokoi mężczyźni i kobiety
w kaftanach krzyczeli w
obłąkaniu. Jeden z mężczyzn
krzyczał głośniej od innych:
- Mamo! Mamo! - wołał. - Nie!
Nie! Nie chcę! Brzytwa! Brzytwa!
Nie chcę! Krew płynie... To
twoja krew, mammo! Twoja własna
krew, mojej matki! Zabiłem
cie... Ja nie chciałem... Nie
chciałem! Mamo! Mamo!...
W tej chwili, między Gastonem
zajętym pracą, jakby niczego nie
słyszał, a pokojem biednego
szaleńca, przechodziło dwóch
pielęgniarzy. Jeden z nich był
już doświadczony i nic go nie
mogło zaskoczyć. Drugi był
młody, dopiero zdobywał szlify i
wszystko go jeszcze dziwiło albo
poruszało.
- Co mu jest, że się tak
wydziera? - zapytał młodszy.
- Ba! On tak codziennie albo
prawie każdego dnia! Zabił swoją
matkę, żeby zgarnąć jej forszę,
poderżnął jej gardło brzytwą. To
było w Saint_Mande, w 1931.
Nazywa się Marcel Meyer. Jest
tutaj od czternastu lat.
Gaston podniósł głowę,
rozejrzał się dookoła. Nagle

odwiązał paski mocujące do jego
prawej stopy szczotkę do
froterowania parkietu, rzucił
się biegiem do wyjścia,
przebiegł przez park do innego
pawilonu, w którym znajdował się
jego pokój.

Tutaj rzucił się na łóżko i
zaczął się zastanawiać z wielkim
wysiłkiem sprawiającym mu ból.
Dzięki krzykom szaleńca i słowom
pielęgniarsza coś się wyłoniło z
jego wygasłej pamięci. Nie było
to coś niedawnego ani zbyt
wyraźnego. Saint_Mande...

1931... Meyer... kobieta
zamordowana brzytwą przez
syna... to mu coś mówiło... ale
co? Co on miał z tym wspólnego?
Przeleżał na łóżku cały dzień
nie wstając nawet w południe na
obiad ani wieczorem na kolację.
Jakiś pielęgniarz zapytał go:
- Co ci jest, Gaston? Nie jesz
dzisiaj?

Nie odpowiedział, schował
głowę pod koc, żeby się jeszcze
bardziej odgradzić, żeby móc
lepiej skupić tę odrobinę
odzyskanej świadomości. Powracał
bez przerwy do najważniejszego,
do tych czterech punktów, dzięki
którym w jego skolatanym umyśle
zapaliło się blade światełko.

Saint_Mande... 1931... Meyer...
kobieta zamordowana brzytwą
przez syna... Pomału, bardzo
wolno, światło stawało się coraz
jaśniejsze. Najpierw zobaczył
zwirowaną alejkę i ciężką bramę
z kutego żelaza. W głębi alejki
stoi dom kryty łupkiem... Z
drugiej strony, przy bramie...
kwadratowy domek... Wewnątrz
pokój przedzielony na dwoje
niebieską kotarą w żółte pasy...
Jakaś kobieta płacze trzymając
na kolanach małą dziewczynkę...
Obok niej stoi chłopiec i też
płacze... To wszystko... Na tym

koniec...

W miarę jednak, jak się zastanawiał, jak rozwijał tę pierwotną wersję, udało mu się jeszcze dostrzec w alejce policjantów w mundurach i osobników trzymających czarne skrzynki, z których wydobywały się błyski. Potem nagle zobaczył mężczyznę wyprowadzanego przez dwóch funkcjonariuszy i cywila w meloniku. Usłyszał okrzyk: "Na śmierć"... Na tym się zatrzymał. - Nie chcę! Nie chcę! - wyszeptał.

Wspomnienia, które w nim odżyły, miały w sobie coś tragicznego, przerażającego. Zaczął je odrzucać, odpychać całą siłą woli, próbując usunąć je na powrót w ciemność, skąd nigdy nie powinny były wypłynąć. Nie formułował konkretnych myśli, bo nie doszedł jeszcze do tego stadium. Ale niejasno przeczuwał, że uchwycił właśnie koniec nitki z kłębka i że jeśli pociągnie za nią, z mroku wynurzą się inne obrazy, objawią się z całą wyrazistością w świetle odzyskanej świadomości. Po co? Bał się, miał przeczucie niebezpieczeństwa. Dokąd zaprowadzi go to poszukiwanie po omacku? Do jakich przerażających odkryć? Ogarnięty przemożną paniką próbował zapomnieć o wszystkim i wreszcie mu się to udało.

Myślał, że we śnie odnajdzie spokój. Ale kiedy spał, jego mózg nadal funkcjonował nie dzieląc wspomnień na sny i jawę. Każdy obraz, wylaniający się z podświadomości, pociągał za sobą inne, mnożył je. Kiedy się przebudził, pamiętał je wszystkie, żywe, ostre, nietknięte. Długo leżał bez ruchu starając się, bo teraz już

mógł, uporządkować to wszystko,
nadać temu jakiś sens. Niektóre
wspomnienia były mgliste,
niepewne. Inne narzucały się jak
oczywiste prawdy. Niezwykłe było
to, że przeszłość wróciła doń w
obrazach z dzieciństwa, z
okresu, kiedy miał dziesięć lat.
Kiedy wreszcie wstał, wiedział,
że nazywa się Robert Ritter.
To było dużo, a zarazem mało,
nawet jeśli do tego odkrycia
dodać inne wspomnienia z
Saint_Mande. Cała reszta
pozostała w mroku, przysłonięta
gęstą zasłoną amnezji. Musiał
teraz za wszelką cenę odzyskać
całą swoją przeszłość. Mimo że
poprzedniego wieczora wpadł w
panikę, teraz stało się to
nagłą potrzebą powodowaną
jakąś nieposkromioną fascynacją
i pewnego rodzaju instynktem
nakazującym mu odtworzyć całą
swoją przeszłość, a więc całą
swoją istotę, nawet gdyby pewne
odkrycia miały go rozczarować
albo były trudne do przyjęcia.
Ale uznał, że sam sobie z tym
nie poradzi. Potrzebna mu była
pomoc.

- Chciałbym się widzieć z
panem doktorem.

Pielęgniarz popatrzył na
Gastona z ciekawością; od czasu
przyjazdu do Ville_Evrard ten
nieszczęśnik chyba po raz
pierwszy wypowiedział jakieś
sensowne zdanie. Mężczyzna znał
swoją zawód i jego podstawową
zasadę: nigdy nie sprzeciwiać
się pacjentowi. Podniósł
słuchawkę telefonu.

Doktor Marc Ailhou - właściwie
Ailhou de Bayac, hrabia
Prezelanne - był niezwykłą
postacią. Miał około
pięćdziesięciu lat, był niski i
tłuściutki, miał krótkie nogi i
zaczerwienioną, zwieńczoną siwą

czupryną twarz z nosem
uzbrojonym w okulary ze szklami
grubymi jak w lupie. Był to
Gaskończyk z fantazją, tyle że
czasem "bez głowy", jak mówił
sam o sobie. W szpitalu w
Ville_Evrard należały do niego
konsultacje psychoanalityczne,
bowiem przed wojną, w Wiedniu,
był uczniem ucznia Sigmunda
Freuda. Ale był także lekarzem
klimatologiem i co roku, latem,
wyjeżdżał do swojego rodzinnego
miasta Amelie_les_Bains leczyć
reumatyków. To jeszcze nie
wszystko: pisał też wiersze i
piosenki, miał bibliotekę
liczącą dziesięć tysięcy
wolumenów, grał na skrzypcach i
na tubie, trudno mu przychodziło
pogodzić się z tym, że nie może
już grać w rugby. Chociaż był
żonaty z kobietą młodszą od
siebie o dwadzieścia lat i
piękną jak marzenie, uganiał się
za spódniczkami jak młody
obwieś. Jadł za czterech i pił
za dziesięciu. Miał wreszcie
niepospolite poczucie humoru,
układał kalambury i rubaszne gry
półśłówek, przy każdej okazji
wybuchał potężnym śmiechem.

- Nic nie jest mi obce! -
mawiał często.

Była to prawda; wszystko go
ciekawiło, pasjonowało,
przyciągało jego uwagę. A przede
wszystkim pacjenci, zarówno z
uzdrowiska Amelie_les_Bains jak
i z Ville_Evrard.

Właśnie on jako pierwszy zajął
się przypadkiem Gastona. Nie bez
trudności, bo psychoanaliza jest
możliwa wówczas, kiedy pacjent
mówi, a Gaston był prawie niemy.
Jednak doktor Ailhou nie
rezygnował, nawet wtedy, kiedy
inni koledzy machnęli ręką na
ten najwyraźniej beznadziejny
przypadek, kiedy zawiodły

wszystkie podjęte kroki, on się uparł; prowadził nadal swoje seanse pytań z wyjątkową cierpliwością, wbrew wszelkim oczekiwaniom, mając nadzieję, że pewnego dnia wydarzy się coś, co umożliwi mu dialog z chorym cierpiącym na zanik pamięci. Ten dzień właśnie nadszedł.

- Nazywam się Robert Ritter!

Doktor Ailhou utkwiał wzrok w swoim rozmówcy siedzącym na twardej drewnianej krześle po drugiej stronie biurka; wyglądał, jakby w biurko uderzył nagle piorun. Najpierw obudził się jego refleks lekarza; to prawda, że oczy Gastona ożywiały teraz błysk inteligencji, życia i nadziei, że twarz nie była już nieruchoma, usta zaciśnięte, że całe jego ciało zdawało się rozluźnione, wolne od wczorajszych jeszcze, mechanicznych gestów.

Lekarz zaczął intensywnie myśleć. Robert Ritter! To nazwisko nie było mu obce, tak nazywał się kolaborancki pisarz i dziennikarz, który przez całą prawie okupację zarzucał Francję swoimi pronazistowskimi wystąpieniami, a w grudniu 1943 roku, nie wiadomo dlaczego, zniknął w tajemniczy sposób z anteny radia Paryż. Otóż Ailhou wiedział dosyć o tej wstrętnej postaci, żeby się zorientować, że Gaston jest mniej więcej w tym samym wieku. Widział zdjęcia Rittera i jego samego na kronice filmowej i dostrzegł pewne podobieństwo: wzrost, chudość były te same, wystarczyło dla sprawdzenia zgolić Gastonowi brodę i wąsy, co nie nastęrczało żadnych trudności.

Wyływało stąd wiele pytań i lekarz łamał sobie nad nimi głowę, usiłując rozwikłać je w

pośpiechu. Jeśli Gaston to Ritter, co takiego mu się przytrafiło - poza obawą przed klęską Niemiec - że nagle wyniósł się z radia Paryż? Jakie mogły być koleje jego losu od tej chwili aż do momentu, gdy jako kłozarda z zanikiem pamięci znaleziono go na ulicy? Jak to się stało, że od grudnia 1943 roku nikt o nim nie mówił, w jakikolwiek sposób nie wspominał jego losu: ani Niemcy, którym, jak się zdaje - tak dobrze służył i których opuścił, ani władze francuskie, zarówno po wyzwoleniu jak i za czasów rządu Vichy, ani partyzanci, tak przecież żądni ukarania kolaborantów, ani policja, ani wymiar sprawiedliwości, ani prasa? Nic, kompletna cisza! Gdyby istniało jakieś zgłoszenie zaginięcia albo nakaz aresztowania na nazwisko Roberta Rittera, z wystarczająco dokładnym rysopisem, wówczas kroki podjęte w celu ustalenia tożsamości Gastona na pewno stopniowo naprowadziłyby na ten ślad. Ale nic takiego nie nastąpiło. To dziwne! Doktor Ailhou wstał, obszedł biurko dookoła, usiadł na drugim drewnianym krześle tuż obok Gastona i wziął go za rękę.

- Nazywasz się Robert Ritter? Jesteś tego pewien? Jak się o tym dowiedziałeś?

Wśród pacjentów Ville_Evrard nie brakowało mitomanów. Klasyczną postacią z dowcipów psychiatrycznych jest wariat uważający się za Napoleona. Gaston mógł równie dobrze usłyszeć nazwisko Roberta Rittera któregoś dnia przez przypadek, przed lub po przyjęciu do szpitala i, dzięki chwilowemu rozjaśnieniu pamięci,

przypomnieć je sobie i przywłaszczyć. Trzeba to było wyjaśnić. Ponieważ Gaston nie odpowiadał zacisnąwszy znowu wargi, jak gdyby miał trudności z mówieniem, lekarz powtórzył pytanie:

- Skąd wiesz, że nazywałeś się Robert Ritter? I czy jesteś tego pewien?

- Wiem! - odparł Gaston.

I przemówił. Opowiedział o krzykach szaleńca z pawilonu dla pobudzonych, o rozmowie pielęgniarzy i o tym, jak coś się w nim odblokowało, o wspomnieniach z Saint_Mande, które wynurzyły się z mroku. Na początku jego słowa były chaotyczne, bardziej wybełkotane niż wymówione. Zdarzało się, że zapominał, o czym mówi, wtedy rozpoczynał od innego zdania, że zaczynał się na pewnych słowach. Ale stopniowo mowa jego nabrała pewności i spójności. Oniemiały z zaskoczenia Ailha stwierdził, że jego rozmówca posługuje się dobrą francuszczyzną, starannie dobiera słowa. Głupi z pozoru włóczęga, otepiały od wina, niemal kompletnie niemy czyściciel parkietów zmienił się w człowieka wypowiadającego się ze swobodą, jaką daje częste posługiwanie się językiem i pewien zasób wyższej kultury. Także głos, dobrze postawiony, ciepły i dźwięczny, przypominał głos dziennikarza z radia Paryż. Lekarz nie miał już prawie wątpliwości. Było wysoce prawdopodobne, że Gaston to Robert Ritter. Ale najpierw trzeba było tego dowieść. A kiedy już zdobędzie się pewność, pomyśleć, co robić dalej.

- Mój drogi! Bardzo się cieszę, że pamięć trochę ci wróciła. Nazywałeś się więc

Robert Ritter i w dzieciństwie
mieszkałeś w Saint_Mande, w tym
samym czasie, gdy pewna biedna
kobieta została tam zamordowana
przez syna, niejakiego Marcela
Meyera, który, dziwnym zbiegiem
okoliczności, znajduje się
tutaj, w pawilonie dla
pobudzonych... Wszystko to
składa się na coś, co nazwałbym
śladem. Śladem, który pozwoli
nam z pewnością odtworzyć całą
twoją przeszłość. Ale do tego,
sam rozumiesz, trzeba trochę
cierpliwości. A więc na razie
poproszę cię, żebyś nikomu nic
nie mówił... nic, nawet
nazwiska, które sobie
pI-zypomniałeś.
Jednocześnie Ailhou pomyślał:
zwłaszcza nazwiska, które sobie
przypomniałeś.
- Proszę, żebyś się zachowywał
jak zwykle, żebyś spokojnie
wykonywał swoją pracę. A poza
tym, żebyś się jeszcze
zastanowił, wszystko dobrze
przemyślał i mówił mi o
wszystkich nowych
wspomnieniach... powtarzam: o
wszystkim, co ci się jeszi;ze
przypomni.
Od tej pory wszystko potoczyło
się tak, jakby między nimi dwoma
została zawarta milcząca ugoda.
Choć Gaston bardzo pragnął
odzyskać całą swoją przeszłość,
był równocześnie trochę
przestraszony tym, co jeszcze
może mu się przypomnieć, jak
gdyby miał przeczucie jakiegoś
niebezpiecznego odkrycia;
zastosował się więc bez trudu do
zaleceń doktora Ailhou. Lekarz
również odczuwał obawę, ale z
innych powodów; jeśli Gaston to
rzeczywiście Robert Ritter, co
do tego on sam nie miał już
prawie wątpliwości, to co się
teraz stanie? Co zrobią z tą

bombą, z tą wielką, kłopotliwą sensacją? Popadając w skrajność, widział już tytuły w gazetach wywodzących się z ruchu oporu: "Robert Ritter, kolaborant z radia Paryż, ukrywał się w Ville_Evrard". Albo, czemu nie: "Lekarz psychiatra osłaniał Roberta Rittera..."? To byłby całkowicie niezasłużony skandal, bo ten człowiek był autentycznie chory, kiedy przywieziono go do Ville_Evrard i lekarska deontologia nakazywała leczyć go - i milczeć. Ale dziennikarze są szybcy w swoim fachu, i to w każdym czasie. A dziennikarze z ruchu oporu, kiedy chodziło o kolaboranta wysokiej rangi, działali, jeśli to możliwe, jeszcze szybciej.

Marc Ailhaud de Bayac de Pr~ezelanne był liberalnym epikurejczykiem. Podczas wojny zajmował ostrożne stanowisko, na początek promarszałkowskie, jak 90 proc. Francuzów, a pod koniec progauilistowskie, również jak 90 proc. Francuzów. Wystrzegał się jak dżumy jakiegokolwiek politycznego zaangażowania. Tyle że, za namową kilku kolegów lekarzy, późno już wstąpił do siatki ruchu oporu z rzadka dającej o sobie znać jakimś głośnymi akcjami, a która została utworzona głównie z zamiarem ubiegania się w przyszłości o odznaczenia. Wszystko to oznaczało, że w żadnym wypadku nie będzie podzielał napastliwej nienawiści, jaka wybuchnie niechybnie, kiedy się okaże, że Gaston to Ritter; bezsilnej nienawiści dawnych kolaborantów, którzy uznają Rittera za zdrajcę, bo porzucił sprawę; nienawiści byłych członków ruchu oporu, którzy również mają go za

zdrajcę, ale Ojczyzny - i to z bardziej istotnych powodów. On, Ailhou, widział w swoim pacjencie biednego człowieka wplątanego w przygodę, która go przerosła i od której się uwolnił tak, jak umiał.

- O Boże! - szepnął lekarz.

Ta ostatnia refleksja nasunęła mu nową hipotezę: a jeśli Ritter jest szczególnie sprytnym symulantem, jeśli uciekając od kolaboracji schronił się wśród włóczęgów, a potem, złapany przez policję, udawał zanik pamięci? Dlaczego nie? Był to człowiek zdolny odegrać taką rolę. Poza tym było coś jeszcze, co sugerował lekarzowi fakt, że Ritter nigdy chyba nie był poszukiwany przez policję ani przez wymiar sprawiedliwości.

A jeśli gra toczy się z użyciem znaczonych kart? Jeśli za całą tą sprawą kryje się jakiś, niewiadomej natury podstęp, którego cel nie jest mu znany, ale którego ofiarą padnie, jeśli zgrzeszy nadmierną gorliwością? Ale nie... zbyt go poniosła wyobraźnia.

- Tak czy inaczej, trzeba działać spokojnie! - westchnął. Postanowił siedzieć cicho, nie kiwnąć palcem i czekać, aż Gaston Ritter zgłosi się znowu z jakimiś innymi wspomnieniami, które uda mu się wydobyć z mroków pamięci...

Zdecydował też, że niczego nie będzie sprawdzał, że niczego nie będzie się starał dowiedzieć o aferze z Saint_Mande, że nie każe ogolić Gastona, żeby zobaczyć, czy bez zarostu jest rzeczywiście podobny do Rittera, że nie będzie o tym wszystkim z nikim rozmawiał. W każdym razie działając zbyt szybko, ujawniając pewne rzeczy

przedwcześnie i nierozważnie,
mógłby się tylko narazić.
Lepiej się nie wychylać!
W tym samym czasie, próbując
zasnąć w swoim pokoju, Robert
snuł podobne refleksje, choć z
innego punktu widzenia. Wiele
się wydarzyło, odkąd późnym
przedpołudniem wyszedł z
gabinetu doktora Ailhou.
Poczynając od wypadków w
Saint_Mande, które rozjaśniły
nieco jego pamięć, biorąc za
punkt wyjścia swoje nazwisko,
poszerzał stopniowo zasięg
swoich odkryć. To było tak,
jakby wchodził po stopniach nie
kończących się schodów; za
każdym krokiem coś się odmykało,
objawiał się w nim jakiś obraz.
Albo też niczym w tej grze ze
stawem i rybami z kartonu,
którą, będąc dzieckiem, dostał w
prezencie od Raymonda Meyera:
zarzucało się wędkę z magnesem
zamiast haczyka i w małym
metalowym pierścieniu wyciągało
mniejszą lub większą rybkę albo
zgoła nic! Czerpiąc w stawie
swojej budzącej się z wolna
pamięci, łowił najpierw
drobnicę: wspomnienia ze szkoły,
twarze rodziców, imiona siostry
i brata, wille "Promienny
Uśmiech", pokój, w którym
pisał...
Pisał... Od tego słowa zaczęły
mu się przypominać rzeczy
ważniejsze. Widział siebie, jak
pokrywa bazgrołami całe strony,
najpierw w jakimś biurze, potem
w pomieszczeniu, które nie
przypominało jego chłopięcego
pokoju. Widział też mężczyzn w
mundurach, defilujących ulicami,
i siebie, jak opisuje ich w
jakimś rękopisie. Widział też
siebie przemawiającego do
oklaskującego go tłumu.
- Gaston! Nie idziesz jeść?

Obiad ci wystygnie!
Pielęgniarka brutalnie zapukała
do drzwi, potem je uchyliła.
Robert podskoczył, potem bez
odpowiedzi skulił się na łóżku,
przykrył głowę prześcieradłem.
Pielęgniarka nie nalegała. Ale
pukanie do drzwi zabrzmiało w
mózgu chorego jak odgłosy
strzałów. Ich echo długo
odbijało się w jego czaszce. I
nagle całkowicie odzyskał
pamięć, natarła na niego cała
jego przeszłość. Nie były to już
strzępy, okruchy, ulotne obrazy,
lecz została mu przywrócona cała
jego osobowość. Przybity,
ogłuszony, oszołomiony poczuł
się takim, jakim był kiedyś,
jakim był nadal, z potwornym
ciężarem własnych czynów,
zwrotów, zbrodni, wybiegów,
który spadł mu obuchem na głowę.
Zastanowił się przez chwilę, czy
nie śni, czy to wszystko nie
jest koszmarnym snem. Ale nie!
Wszystko było prawdą! Książki,
artykuły, przemówienia, kroniki
wydarzeń w radiu Paryż...
stosunki z Niemcami, z Abetzem,
z Achenbachem, z Joachimem
Botto... zdarzenie na ulicy
Trudaine... rękopis powstający w
garsonierze przy ulicy
Washingtona... i morderstwo...
sześć strzałów z rewolweru
oddanych do pięknego
sonderf~uhrera, o których
przypomniało mu pukanie
pielęgniarki do drzwi...
szaleńcza, ale jakby
podświadomie przygotowana
ucieczka... starannie podarte,
wyrzucone do ścieku dokumenty
tożsamości... schronienie wśród
włóczęgów, u Filozofa i jego
przyjaciół... przejazd do
Nanterre... przybycie do
Ville_Evrard...
Równocześnie odkrywał

historyczne tło swojej
przeszłości: wojnę i niemiecką
okupację. Ale wszystko widział
innymi oczami i - doskonale
wiedząc, że chodzi tu o niego
samego, ale sądząc siebie, jakby
był kimś innym - swoją wizję
faktów po manichejsku
upraszczał, sprowadzając ją do
wyraźnej sprzeczności między
dobrem i złem, tak jakby to
zrobiło dziecko. Także na koniec
zobaczył siebie jako zdrajcę,
którego nic nie mogło
usprawiedliwić, jako zabójcę bez
okoliczności łagodzących, jako
żałosnie karykaturalnego
homoseksualistę, jako istotę
bezwolną, podłą i tchórzliwą,
mogącą budzić tylko pogardę i
nienawiść.

Tego było za wiele!

Przypuszczał wprawdzie, że jego
przeszłość może być ciężka do
zniesienia, ale nie do tego
stopnia! Napawała go odrazą,
toteż poczuł wstręt do samego
siebie. Wszystkie aspekty jego
osobowości przerażały go,
budziły w nim niesmak, brzydził
się nimi. Chciałby odrzucić
wszystko bez reszty, umknąć
gdzieś daleko, byle gdzie, albo
uciec w śmierć. Wreszcie zasnął,
wykończony i zdjęty
przerażeniem.

- Lepiej milczeć, nikomu nic
nie mówić, nie ruszać się...

Rankiem, przebudzony przez
pielęgniarkę roznoszącą kawę,
po długim namyśle podjął decyzję
bardzo podobną do decyzji
doktora Ailhaou.

- Lepiej zachowywać się tak,
jakby nic więcej mi się nie
przypomniało!

Ostatecznie, trochę wspomnień
i nazwisko wydobyte z mgły
niepamięci nie musiały
koniecznie pociągać za sobą

dalszych faktów. Mógł poprzestać na tym, co wyjawiał już lekarzowi. Przeżył długie miesiące w kompletnym niemal milczeniu; pograży się w nim znowu. A równocześnie będzie się starał zapomnieć, usunąć swoją potworną przeszłość ponownie w mrok, z którego się wynurzyła. Nie widział się z doktorem Ailhou ani tego dnia, ani w ciągu następnych dni. Wrócił do swojej dawnej pracy w alejach parku, na korytarzach pawilonów, pielil grządki i pastował parkiety. Bez trudu zapadł znowu w milczenie, przybrał swój nieziemski wygląd i dalej wiódł egzystencję rośliny zamykając się w niej nawet z pewnego rodzaju ponurym upodobaniem. W ten sposób płynęły dni i tygodnie.

Od czasu do czasu jednak Robert zastanawiał się, czy taka sytuacja może trwać wiecznie, czy któregoś dnia, nieuchronnie, nie wydarzy się coś takiego, że albo sam znajdzie w sobie dosyć siły, żeby wziąć własny los w swoje ręce i na swoje barki i sam skruszy pancierz obojętności, w którym się zamknął, albo też jakaś interwencja z zewnątrz postawi wszystko pod znakiem zapytania.

Od czasu do czasu podobne refleksje czynił też doktor Ailhou, w ten sposób istniała pomiędzy nimi zgodność: "Jestem pewien, że mam rację: Gaston to rzeczywiście Robert Ritter. Ponieważ, jak się wydaje, znowu stracił pamięć, zostawmy tymczasem wszystko w spokoju. Jeśli któregoś dnia się przebudzi, zastanowię się. Na razie, jego ponowne milczenie to najlepsze, co mu się mogło przytrafić... i co mnie się

mogło przytrafić. Oby trwało jak najdłużej!"

I dodawał w głębi ducha:

"Któregoś dnia, niestety, prawda będzie musiała wyjść na jaw! Ritter nie zestarzeje się i nie umrze w skórze Gastona, otoczony powszechną obojętnością, obojętnością własną i moją. Albo odzyska pamięć całkowicie, a wtedy wyzwoli się z odrętwienia, wydobędzie się z izolacji, albo..."

W życiu Sary nastąpił okres największej pustki, największego załamania i największego niepokoju. Tęskniła już nie za jedną, lecz za trzema istotami: za braćmi i Josefem, nie mówiąc już o rodzicach spoczywających razem na cmentarzu w Lagny, w postawionym przez nią grobowcu.

Wyludnienie jej świata uczuciowego stało się trudne do wyobrażenia i do zniesienia.

Otaczała ją zewsząd lodowa pustynia i choć Roger, Fran~coise i mama Petrac starali się ją trochę ożywić, udzielić jej trochę ciepła, próby te okazywały się bezskuteczne, bo wybuchy śmiechu Brienne.a, jego wieczne żarty, optymistyczne słowa brzmiały w jej uszach fałszywie, drażniły ją, a czasem nawet irytowały.

- To, co mówisz, wcale nie jest kojące, tylko ogłupiające, mój drogi! - powiedziała mu któregoś dnia, kiedy była w szczególnie złym humorze.

Fotograf wzruszył ramionami.

- Nie chciałybyś chyba jednak, moja droga, żebym całymi dniami powtarzał, że wszystko źle się układa, że wszystko jest brzydkie, smutne, brudne i że będzie jeszcze gorzej, aż do końca świata! Zastanów się, do

cholery! Wojna się skończyła,
jest wspaniale, interesy
zaczynają się rozkręcać. Jesteś
młoda, piękna, wszyscy mężczyźni
leczą na ciebie, masz robotę,
masz forszę. Na co się skarżysz,
na miłość boską?
Z kolei Sara wzruszyła ze
złością ramionami.

- Dobrze, Roger! Masz rację!
Wszystko jest w porządku, w
coraz większym porządku! Tylko
że Bruna nie ma, Roberta nie ma,
Josefa nie ma... i że psuję
sobie krew z ich powodu... i że
nie zaznam szczęścia, dopóki oni
nie wrócą, dopóki nie będzie ich
przy mnie! Poza tym... "wszystko
w najlepszym porządku, pani
markizo", prawda?

- Posłuchaj, Saro, zastanów
się, dobrze? Po pierwsze, masz
wiadomości od Bruna: żyje i
odzyskał już zdrowie. Zamierza
się nawet ponownie ożenić.
Jedynie, co w jego sprawie może
niepokoić, to to, że nie wygląda
na to, żeby miał ochotę wracać
do Paryża. Ale przecież nie daje
ci powodu do zmartwień! Po
drugie, dostałaś kartę od
Josefa...

- Gadanie! Ponad rok temu! I
od tej pory nic...

- To nic nie znaczy. Nie masz
pojęcia, jaki jeszcze wszędzie
panuje burdel. Są w Europie
setki tysięcy ludzi zwanych
"przesiedleńcami". Może twój
Josef do nich należy. Chyba że z
jakiegoś powodu coś go
zatrzymał, nie wiem, może w
Hiszpanii, może w Portugalii,
może w Anglii. W każdym razie
nie ma nic, co by ci pozwalało
wnioskować, że zginął,
głuptasie! Po trzecie, Robert.
Ta sama sytuacja! Zniknął w
grudniu 1943 roku i powiedziano
ci, że mógł zostać porwany przez

ruch oporu. Wiem, że to było bardzo niepokojące, bo w tamtym okresie ruch oporu nie głaskał bynajmniej kolaborantów. Ale przecież, gdyby twój brat Został... jak by to powiedzieć?... zlikwidowany przez ruch oporu, dowiedziałabyś się o tym, wcześniej czy później dostałabyś oficjalne zawiadomienie o jego zgonie. A nic takiego nie przyszło. Ja tam nadal myślę, że on się gdzieś ukrywa...

Popatrzył Sarze w oczy.

- Chcesz, staruszko, to ci coś powiem. Trochę mi wstyd, że mówię takie banały, ale przysłowia zawierają prawdę. Powiem ci więc tak - póki życia, póty nadziei. A poza tym, Saro... rozumiem twój ból, twój smutek... ale jestem przecież ja... i Fran~coise, i jej matka... Jesteśmy z tobą, masz naszą obecność, naszą miłość... Sara wybuchnęła płaczem, rzuciła się w ramiona przyjaciela.

- Wiem, Roger... Wiem, że jesteście ze mną! Dzięki Bogu, jesteś ze mną! I Fran~coise, i jej mama. Bez was, bez waszej przyjaźni nie wiem, co by ze mną było. Dziękuję, dziękuję, że jesteście ze mną, tacy wierni, tacy kochający...

Otarła łzy, uśmiechnęła się niepewnie.

- W porządku! Spróbuję być bardziej dzielna.

Było jednak prawdą, że miała powody, żeby stracić ducha. Wiedziała wprawdzie, że Bruno czuje się coraz lepiej, choć otrzymał straszne rany. Ale dotknęła ją boleśnie śmierć Chevance'a oraz zniknięcie Lucienne i Marcenaca. Bardzo lubiła ładniutką fryzjerkę i

uważała nawet trochę za Zdradę idyllę, jaką Bruno przeżywał z Lisette Ribot. A poza tym istniały jej najważniejsze zmartwienia, dotyczące Roberta i Josefa.

Pewnego wieczora, w grudniu 1943 roku, stwierdziła, że na antenie radia Paryż, o dwudziestej, Roberta zastępuje Herold Paquis. To jej nie zaniepokoiło; brat mógł wziąć dzień wolny. Następnego dnia i jeszcze następnego, i przez kolejne dni sytuacja się powtórzyła. Zadzwoiła do garsoniery; nikt nie odpowiadał. Poszła na ulicę Washingtona, gdzie natknęła się na zakłopotaną dozorczynię, która jej powiedziała, jak gdyby recytowała dobrze wyuczoną lekcję, że niemiecki sąsiad pana Rittera został zabity przez członków ruchu oporu i że od tej pory pan Ritter nie pojawił się w swoim mieszkaniu.

- Zresztą, obie garsoniery są już znowu wynajęte!

Oszalała z niepokoju Sara udała się wtedy do radia Paryż, gdzie przyjął ją Gerhardt Haefl i sucho oznajmił oficjalną wersję; według wszelkiego prawdopodobieństwa Robert został uprowadzony przez terrorystów, którzy zabili jego sąsiada, sonderf~uhrera Botto.

- Nie mogę pani powiedzieć nic więcej!

Po tej rozmowie w pierwszym odruchu dziewczyna chciała się udać do najbliższego komisariatu policji i opowiedzieć całą historię, to znaczy zrobić w sprawie Roberta to samo, co kiedyś zrobiła w sprawie Josefa. Najpierw jednak poradziła się Brienne.a.

- Posłuchaj, Saro, jedno z

dwojga: albo twój brat został
naprawdę porwany przez ruch
oporu i wybij sobie z głowy, że
francuscy gliniarze, czując, jak
wiatr zmienia kierunek, ruszą w
tej sprawie choćby małym palcem,
albo Robert zrozumiał wreszcie,
że wybrał fałszywą drogę,
dyskretnie się wycofał i ukrywa
się gdzieś czekając na rozwój
wypadków. W tym przypadku,
najbardziej moim zdaniem
prawdopodobnym, naprawdę nie
warto, żeby go szukali!
Sara postanowiła więc nic nie
robić. Ale mijały tygodnie i
miesiące, a od Roberta nie było
żadnych wiadomości! Gdzie się
podziewał ten niegodny brat,
który rzucił się na oślep w
pułapkę kolaboracji? Czasem, we
śnie, Sara widziała, jak się
ukrywa w celi jakiegoś
klasztoru... albo, co gorsza,
jak pod jakimś murem
rozstrzeliwuje go grupa członków
ruchu oporu. Widziała w myślach
jego pociągłą twarz, włosy nie
poddające się grzebieniowi, jego
długie, szczupłe ręce, jego
wiecznie posępną minę. Czy
kiedyś go jeszcze zobaczy?
Nie było też nadal żadnych
wieści od Primuli. Karta
pocztowa, znaleziona przez
Brienne, a w skrzynce na listy
ponad rok temu, pozwalała się
domyślać, że Josef przedostał
się do Hiszpanii. Można było
logicznie przypuszczać, że potem
dostał się do Portugalii, a
następnie do Anglii, gdzie być
może zaciągnął się - albo został
zwerbowany - do jakiegoś
oddziału biorącego udział w
walkach. W takim razie powinien
się zjawić wraz z żołnierzami
armii wyzwolńczych... ale od
zakończenia wojny upłynęło już
przecież wiele miesięcy. W

każdym razie, czy został w Hiszpanii, w Portugalii, czy też w Wielkiej Brytanii, czy przebywał gdzieś w Europie, mógłby, powinien napisać; poczta funkcjonowała wszędzie w miarę normalnie. Sara i Brienne zaglądali więc codziennie = a nawet kilka razy dziennie - do skrzynki na listy. I nic! Same prospekty i rachunki... albo listy bez znaczenia.

Zaraz po wyzwoleniu Sara wszczęła jednak na nowo poszukiwania kochanka... chcąc przynajmniej czegoś się o nim dowiedzieć. Zanim wzięła do ręki kij pielgrzymi, zasięgnęła rady Brienne. a i razem sporządzili listę urzędów, do których powinna się zwrócić.

- Wszystko się zmieniło - stwierdziła Sara. - Teraz już nie będę rozmawiała ze szkopami i glinami z Vichy!

Nazajutrz, pełna odwagi i energii, zaczęła znowu, jak to już robiła w 1940 roku i później co jakiś czas, biegać po urzędach, wypytywać urzędników. Udała się do Prefektury Policji, do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, stwierdzając przy okazji, że nic albo prawie nic się tam nie zmieniło, co najwyżej miejsca kilku odwołanych urzędników zajęli inni, nieznani, za to portret P~etaina zastąpiono wszędzie portretem de Gaulle. a. Ponadto zwróciła się do Ministerstwa Wojny oraz do ambasad krajów, w których przypuszczalnie mógł się znaleźć Josef: Hiszpanii, Portugalii i Wielkiej Brytanii. Rozmawiała z dyplomatami czechosłowackimi na placówce w Paryżu. Wznowiała poszukiwania przez Czerwony

Krzyż, podjęła starania w organizacjach, które zajmowały się teraz przesiedleńcami. Wszystko to trwało tygodniami, a były to tygodnie wyczerpujące, czasem tylko rozświetlane iskierką nadziei, jakiejś obietnicy z pozoru bardziej poważnej od innych, nadejściem listu z urzędową pieczęcią, który otwierała z bijącym sercem. Ale list niczego nie wnosił, obietnic nie dotrzymano, a nadzieja okazywała się złudna.

Sara próbowała też napisać do Pragi, do ambasady francuskiej, do miejscowych władz, potem do rodziców Primuli mieszkających na wsi w Sudetach, jak pisała już przed czterema laty: nigdy nie dostała żadnej odpowiedzi. Nic. Pustka. Straszliwa, okrutna pustka po nieobecny, jak po zniknięciu Roberta, jak przez długi czas, kiedy Bruno nie dawał znaku życia, od chwili, gdy uciekł do lasu aż do wyzwolenia.

- Widzisz sama, Saro, że Bruno przepadł bez wieści na długie miesiące. A potem wreszcie nadeszły od niego wiadomości. Jestem pewien, że tak samo będzie z Robertem i z Josefem...

Mimo tych słów pocieszenia Sara płakała co wieczór w wąskim łóżku, gdzie kiedyś była taka szczęśliwa ze swoim ukochanym.

- Moja dziecinna zabawa stanowczo przypominała proroczy sen! - mówiła do siebie. - Udawałam, że czekam na księcia z bajki ociągającego się z powrotem z wyprawy krzyżowej. Teraz czekam na trzech księżąt z bajki... i wcale nie udaję. Po śmierci rodziców gorąco pragnęła stać się ośrodkiem

rodziny, punktem zbornym dla
rozproszonych braci. Teraz
chciałaby wrócić do Willi
"Promienny Uśmiech" i uczynić z
niej jedyne miejsce na świecie,
gdzie mogłyby się spotkać tak
różne drogi obu jej braci i
Josefa. Nie mogła tego zrobić i
wyrzucała to sobie. Jeśli "jej
mężczyźni", jak o nich mówiła,
nie wracają, to może dlatego, że
zaniedbała dom rodzinny. Dom,
którego jej zresztą straszliwie
brakowało. Przypomniała sobie
wypracowanie, jakie napisała na
rozpoczęcie roku szkolnego 1934:
"Jestem jak ślimak pozbawiony
swojej skorupy! Czuję się naga i
zimno mi!"
Ale nie to było najgorsze.
"Czuję się opuszczona. Czuję się
zapomniana przez wszystkich!"
Otaczający ją świat pełen był
zmarłych i zaginionych ludzi,
których kochała i którzy ją
kochali, a odeszli od niej
daleko, czasem na zawsze. Było w
nim też mnóstwo mężczyzn i
kobiet, którzy kiedyś przesunęli
się przez jej życie, lub których
wzrok napotkała choć raz... a
którzy oddalili się, żeby już
nigdy nie wrócić. Stary dozorca
w szarej bluzie z alei Racheli,
Myriam Rubinstein i jej synek,
Raymond Meyer z rodziną,
deportowani z pociągu
przejeżdżającego przez Lagny, i
tylu innych...
Wyrzucała sobie brak
działania, to że chciała
pozostać poza całym tym zamętem,
broniąc się przed wszelkim
zaangażowaniem. Może gdyby była
lepiej, bardziej otwarta, gdyby
się zdecydowała, kiedy był na to
jeszcze czas, mogłaby uchronić
niektórych ze skazańców...
przynajmniej niektórych... od
niehumanitarnego losu, jaki

zgotowała im wojna. Wyrzucała
sobie, że nie przemówiła do
starego dozorca, że nie ukryła
Myriam i jej dziecka, że nie
ochroniła Raymonda Meyera i jego
rodziny, że nie wyruszyła,
niepomna ryzyka, na poszukiwanie
braci i Josefa, gdziekolwiek by
oni byli, choćby na końcu
świata, że ich nie zabrała, nie
wzięła w ramiona, nie ukołysała
jak dzieci, którymi byli,
którymi zawsze pozostaną w jej
oczach.

Opuszczona, zapomniana,
osamotniona, sama pośród
wrogiego świata, który pomimo
odzyskanego pokoju nie mógł
dojść do ładu z samym sobą,
przygnębiona, czuła też chwilami
gwałtowny przyływ tajemniczych
pragnień nasilanych jeszcze
przez samotność.

Sara miała teraz dwadzieścia
trzy lata. Trochę schudła w
następstwie wojennych ograniczeń
i ciężkich przeżyć. Ale jej
uroda stała się przez to jeszcze
bardziej pociągająca: blask
spojrzenia i uśmiechu,
olśniewająca cera, wdzięczny
chód, posągowe kształty
wzbudzały nadal podziw mężczyzn,
może nawet bardziej niż dawniej.
Były w niej nadal, jako owoc
dobrego wychowania, owa rezerwa
i dystans, które przydawały jej
pewnej tajemniczości i czyniły
ją jeszcze bardziej pociągającą.
Ale oprócz tego pojawiła się od
pewnego czasu jakaś dziwna
skaza, wyraźna rysa w fortocy,
pozwalająca się domyślać, że nie
jest już nie do zdobycia: Sara
tak silnie odczuwała potrzebę
normalnego życia, okazywania
swojej zmysłowości, wykrzywienia
jej, że mimo woli dawała do
zrozumienia pożądanym ją
mężczyznom, że gotowa jest paść

im w ramiona i że jeśli się
jeszcze opiera, to za cenę
straszego wysiłku, całą siłą
woli czepiając się uparcie
niezniszczalnego wspomnienia o
Primuli.

Coraz częściej zdarzało się,
że budziła się i nieprzytomna
zrywała się na równe nogi śniąc
o Josefie. Bezwiednie wsuwała
ręce między uda i zaciskała je z
całej siły. Intensywność
zmysłowego doznania przywodziła
jej wówczas na myśl świadomą
rezygnację z rozkoszy, którą
poprzysięgła sobie przeżywać
wyłącznie ze swoim wspaniałym
kochankiem. Ulec, oznaczałoby
zdradzić i poniżyć się. Zdarzało
się też, kiedy w metrze stała
przyciśnięta do jakiegoś
mężczyzny, albo kiedy w kinie
ktoś siedzący obok próbował się
do niej dobierać, że mówiła
sobie, że trwanie w cnocie jest
szaleństwem, że Josef tak wiele
od niej nie wymaga, że sama
marnuje sobie życie i młodość
trwając w przesadnej
wstrzemięźliwości. Bywało, że
igrała z ogniem, pozwalała się
dotykać. pieścić. Ale za każdym
razem działo się z nią to samo:
nagle sztywniała, uciekała przed
zbliżającą się rozkoszą.

Roger Brienne śledził na
twarzy dziewczyny oznaki walki,
jaką ze sobą toczyła. Pozorując
najczystsze zamiary i przyjaźń
pozbawioną dwuznaczności, nigdy
do końca nie zrezygnował z
zamiaru zdobycia pewnego dnia
Sary. Nigdy nie tracił okazji,
żeby się do niej zbliżyć,
przytulić ją do siebie.

Wszystkie preteksty były dobre.
Zwabiał ją, na przykład, do
laboratorium, żeby jej pokazać
szczególnie udane zdjęcia. Tam,
w ciemności, w świetle czerwonej

lampki, obejmował ją w talii
ramieniem i jakby bezwiednie,
nie przerywając rozmowy, pieścił
jej piersi. Czując, że
dziewczyna słabnie, sądząc po
jej przyspieszonym oddechu,
oceniał możliwość zwycięstwa.
Ale nagle wymykała mu się,
odsuwała się i nie pozostawiało
mu nic innego, jak przełknąć
urazę obserwując wszakże wpływ
swoich pieszczot na wyraz twarzy
Sary, na jej zmysłowo nabrzmiałe
wargi, ale widział też w jej
rozjaśnionych oczach ślady
stoczonej walki wewnętrznej, z
której znowu wyszła zwycięsko.
Sara czuła, że taki stan
rzeczy nie będzie trwał
wiecznie, że nie zdoła opierać
się bez końca. Zachowanie
równowagi fizycznej i duchowej
wymagało coraz bardziej poddania
się przez nią któregoś dnia
własnemu pragnieniu i tego, by
uległa wreszcie jakiemuś
mężczyźnie czyhającemu na jej
chwilę słabości. Czuła też, że
jeśli skapituluje choć jeden
jedyny raz, to koniec z jej
wiernością wobec Josefa i że
przez to straci we własnych
oczach. Wiedziała w dodatku, że
szanse na odnalezienie Primuli
maleją z dnia na dzień. Wreszcie
wyzaczyła sobie termin, do
kiedy będzie toczyć swoją walkę.
- Dłużej już nie mogę! Jeśli
Josef nie wróci do końca roku...
umrę z żalu, ale trudno;
ponieważ moje życie i tak będzie
przebrane, poddam się, ulegnę...
Komu?
Brienne nie był piękny i miał
o dwanaście lat więcej od niej.
Był poza tym towarzyszem życia
Fran~coise, którą szanowała,
kochając jak siostrę i której nie
chciałaby sprawić przykrości.
Ale Brienne był obok, bliski i

gotowy, czuwając nad nią i nad jej skrywanymi głęboko pragnieniami. A więc, dlaczego by nie on? To by mu przynajmniej wynagrodziło wszystko, co dla niej zrobił.

Tymczasem Sara zaczęła odczuwać kłopoty finansowe i chociaż wobec innych jej zmartwień zdawały się one mniej ważne, to przyczyniały się do jej przygnębienia. Do wyzwolenia przekazywała pokaźne sumy tajemniczemu łącznikowi Bruna. Zrozumiała wreszcie, że to oszust, kiedy już w jakiś czas po wyzwoleniu dostała od brata list z opisem wszystkiego, co przeżył. Nie złożyła skargi, zresztą nie byłoby to łatwe, bo powołując się na tajemnicę obowiązującą w ruchu oporu, osobnik ów nigdy nie podał jej swojego nazwiska ani adresu, a jego rysopis był nader niedokładny. Ale dotkliwie brakowało jej roztrwonionych w ten sposób pieniędzy, bo spadek po Sarze Meyer został stopniowo uszczuplony, a przyczynił się do tego znacznie właśnie ów oszust, a także bieżące wydatki, reszty dokonała inflacja. Sto tysięcy franków stanowiło pokaźną sumę w 1931 roku, kiedy Sara Meyer podpisywała swój testament, ale w 1945 nie było to wiele, zważywszy, że ceny artykułów powszechnego użytku wzrosły pięciokrotnie, albo nawet dziesięciokrotnie, nie mówiąc już o czarnym rynku, gdzie mnożyć trzeba było przez sto, a nawet więcej.

Sara zmuszona była podjąć pracę i została sekretarką w redakcji gazety założonej w podziemiu i ukazującej się oficjalnie od czasu wyzwolenia. Nosila tytuł "Le Si~ecle",

redaktorem naczelnym był niejaki Gerard Heller, a biura mieściły się przy ulicy du Louvre. Zarabiała cztery tysiące franków miesięcznie, co nie wystarczało na pokrycie jej osobistych wydatków, na składkę w "kantynie" Brienne.a i na pomoc dla Bruna - teraz pieniądze posyłała mu przekazem. Jeździła przynajmniej raz w miesiącu do Saint_Mand~e, do notariusza Luciena Moreau i podejmowała część pozostałej sumy. Podczas jednej z takich wizyt notariusz powiedział jej: - Panno Ritter, chciałbym z panią pomówić o czymś, co właściwie do mnie nie należy. Proszę potraktować moje słowa jako wyraz troski o pani rodzinę i o panią samą. Niedawno byłem w Lagny. Wiadomo pani, że Raymond Meyer, mój nieszczęsny klient, miał tam swoje dobra: kamienicę przy ulicy Vacheresse, gdzie mieszkała pani z rodzicami i braćmi, oraz działkę wokół waszej willi. Mimo iż Raymond Meyer nie żyje, a jego żona i dwoje ich dzieci również, dobra te nie są pozbawione spadkobiercy, bo żyje nadal Marcel Meyer. Jest bardzo wątpliwe, żeby kiedykolwiek odzyskał zmysły... przebywa w szpitalu psychiatrycznym w Ville_Evrard, w pawilonie dla pobudzonych... ale działać trzeba tak jakby jego wyzdrowienie było możliwe. Ponadto mogą się kiedyś zgłosić inni, nie znani dotąd spadkobiercy. Jestem więc zmuszony zajmować się tymi posiadłościami, pomnażać kapitał, jaki przedstawiają, pobierać czynsze itd. Przejeżdżając drogą do Wysokich Fal przemianowaną na

ulicę Przy Autostradzie,
notariusz rzucił okiem na willę
"Promienny Uśmiech".

- Stwierdziłem, że znajduje
się w stanie pożałowania godnej
ruiny! Wie pani, dom całymi
latami nie zamieszkanym, nie
zadbany, nie wietrzony, nie
ogrzewany, szybko niszczeje.
Ponadto ogród leży odlego i
sąsiad państwa, pan Ernest
Marnier, uskarża się, że to
szkodzi jego ogrodowi. Jeśli
wolno mi pani doradzać, to
sugerowałbym, żeby pani tam
pojechała, stwierdziła na
miejscu, w jakim wszystko jest
stanie i w swoim własnym
interesie podjęła wszelkie
środki niezbędne do konserwacji
tego, co stanowi majątek pani i
pani braci...

Sara przyjęła słowa notariusza
jak kolejny cios losu; tak więc,
nie dość, że była sama, to
jeszcze willa "Promienny
Uśmiech", oparcie i ognisko dla
pozostałych przy życiu członków
rodziny, symbol oczekiwanego
odrodzenia tej rodziny, jej
ślimacza skorupa, ta willa
zbudowana przez jej ojca, gdzie
wszyscy przeżyli razem dwa lata
prawdziwego szczęścia - tylko
dwa lata - popadała w ruinę.
Zwierzyła się ze swego
zmartwienia Rogerowi
Brienne'owi. Zastanawiał się
tylko przez chwilę.

- Posłuchaj, Saro. Coś ci
zapropnuję.

- Coś uczciwego, mam nadzieję?

- Uczciwego. Jeśli chcesz, w
przyszłą niedzielę pojedziemy do
Lagny zobaczyć, co się dzieje.
Pojedziemy we czworo: ty, ja,
Fran~oise i jej matka.

Zabierzemy prowiant. Obejrzą dom
i ogród i wyrażę swoją opinię.
Jedno z dwojga: albo zniszczenia

są bardzo poważne i w takim razie będziesz musiała zwrócić się do fachowca, albo wystarczy trochę pomajsterkować i, jeśli się zgodzisz, wezmę to, być może, na siebie. Wiesz, że sam urządziłem sobie atelier. Nie mam dwóch lewych rąk... Zniszczenia, jakim uległa willa i ogród, nie wymagały wzywania fachowców, jak stwierdził Brienne. Fotograf postanowił wziąć dwa tygodnie urlopu.

- Cholera! Ostatecznie, nie miałem urlopu od lat...

Sara i Fran~coise również wzięły urlop. Zamieszkali wszyscy, łącznie z mamą P~etrac, odpowiedzialną jak zwykle za gospodarstwo, w lodowatych pokojach. Stary Marnier zaoferował swoją pomoc.

- Zajmę się ogrodem!

Przyszędł też Pierre Marnier z Agathe.

Po dwóch tygodniach ogród był odchwaszczony, wygracowany, zagrabiony; willa odremontowana od piwnicy po strych, odnowiona, wysprzątana. Z każdego pokoju usunięto zbyt zniszczone, nie nadające się już do użytku meble, zdarto ze ścian stare tapety, a Pierre Marnier, wywrotką wypożyczoną z magistratu, wywiózł wszystko na śmietnisko. Okna, drzwi i okiennice zostały odmalowane, a we wszystkich oknach zawisły nowe zasłony. Boazerie i parkiety zostały pociągnięte świeżym lakierem albo zapastowane. Naczynia, książki, bieliznę ułożono starannie w szafach i szafkach. Z dokładnością, o jaką Sara go nie podejrzewała, Brienne odrestaurował portret Sary Meyer, a zabrało mu to trzy dni.

Kiedy wszystko było ukończone,
Sara uparła się, żeby na dach
willi wciągnąć flagę i zawiesić
tam bukiet kwiatów, a w ogrodzie
urządzić piknik. Była
szczęśliwa. To święto
przypominało jej uroczystą
inaugurację domu przed
dziesięciu laty. Ale spośród
dawnych uczestników śniadania na
trawie została przy niej dzisiaj
tylko Agathe. Całując Brienne.a
w podzięcie za wszystko, co dla
niej zrobił, wybuchnęła nagle
płaczem.

- Nie wiem, co mi jest! Jestem
szczęśliwa... a równocześnie
nieszczęśliwa. Och, taka
nieszczęśliwa... - Nie przejmuj
się, ślicznotko! - odparł
fotograf. - Ten odnowiony dom
jest symbolem powracającego
życia. Jestem pewien, że
niedługo wróci także
szczęście...

II

Lisette nie mogła karmić
dziecka piersią. Doktor Genilhou
poradził więc, aby używać mleka
krowiego rozcieńczonego wodą.
Mleko dostarczała stara Marie
Abrial, gospodyni z sąsiedztwa
Ritterów, która zachwycała się
bez przerwy urodą niemowlęcia.

- Och! Jaki ten mały śliczny!
Wkładała niezbyt czysty palec
z żalobą pod paznokciem w
piąstkę dziecka, a ono ścisnęło
go ze wszystkich sił.

- A jaki już silny! Kiedyś
będzie z niego piękny żołnierz.
Kiedy niemowlę kwiliło:

- Posłuchajcie! To jego
szczebiotanie.

Te wyrazy zachwyty sprawiały,
oczywiście, przyjemność Lisette,
ale wołałaby, żeby były
wygłaszane raczej na odległość.
Marie Abrial stawiała się
natrętna, a ponieważ nie była

zbyt powściągliwa i nie
przestrzegała podstawowych zasad
higieny, mama małego Elie
Rittera obawiała się kontaktów z
nią.

Pewnego dnia zwierzyła się ze
swoich obaw mężowi. Bruno tylko
wzruszył ramionami.

- Ba! Teraz, kiedy już
zaczęłaś kupować od niej mleko,
trudno byłoby chodzić do kogoś
innego. Nie możesz też zamknąć
przed nią drzwi. Co chcesz, ona
uwielbia ciebie i dziecko... Co
do higieny, to wiem, e
pozostawia u niej wiele do
życzenia, ale pomyśl tylko, że
miliony dzieci urodziły się w
brudzie na wsi, tutaj i gdzie
indziej... a przecież wyrosli z
nich ludzie, i to prawdziwi!
Bruno mógł mówić, co chciał,
ale Lisette była niespokojna.

Dopóki nie miała dziecka,
znosiła bez zbytniego uskarżania
się muchy zwabione kupą gnoju u
sąsiadów, strumień gnojówki
płynący aż pod jej drzwi, zapach
obory unoszący się nad całą
okolicą, nie mówiąc już o tym,
że od Marie Abrial często czuć
było alkohol, a ona sama dość
podejrzanie pachniała. Lisette
mieszkała tu od urodzenia i,
choć sytuacja pogarszała się w
miarę, ak Abrialowie się
starzeli, była do tego
przyzwyczajona. Ale teraz była
mężatką, miała małe dziecko
i wszystko to stało się bardziej
niż przykre - nieznośne. Na
darmo zamykała drzwi i okna,
nawet w środku lata, zapach i
muchy z sąsiedniej zagrody
docierały i tak, i przenikały
wszędzie.

- Czy nie można by poprosić o
interwencję Arthura Domura, jest
przecież merem? - pytała męża. -
Może by stanowczo polecił

Abrialom, żeby utrzymywali w lepszym stanie swoją oborę i krowy? Widziałeś te biedne zwierzęta? Całe boki mają utyłane, leżą w gnoju i obora jest pełna brudu.

Bruno znowu wzruszył ramionami.

- Czego chcesz od Arthura? Nie może przecież zmusić ludzi do czystości, nawet z pomocą żandarmów. Co mi odpowie, jeśli mu o tym napomknę? Że Abrialowie są starzy, że nie mają już siły, żeby utrzymywać, jak należy, zagrodę i inwentarz. Tak samo zresztą, jak nie mają siły, żeby należycie uprawiać ziemię. Wtedy Lisette wpadła w złość.

- Powinna być chodzić po mleko gdzie indziej. Albo przeprowadzić się gdzieś dalej... Tutaj w powietrzu unoszą się całe tony mikrobów. Zobaczysz, co się stanie. Przez tę starą czarownicę mały się kiedyś rozchoruje.

Jej słowa się sprawdziły.

Kiedy któregoś wiosennego ranka 1947 roku zajrzała do kołyski, mały Elie był skurczony i miał szarą cerę. Poczula podejrzany zapach. Szybko rozwinęła go z pieluszek.

- O Boże! On ma biegunkę! Popatrz! To wygląda jak piana i jest zielone. Biegnij szybko po lekarza!

Bruno wskoczył na rower i szybko się oddalił. Doktor Genilhou potwierdził przeczuwaną przez Lisette diagnozę: była to ciężka biegunka, choroba, która powodując odwodnienie może zabić niemowlę w ciągu dwóch, trzech dni. Przepisał penicylinę, nowy lek, który dopiero co pojawił się we Francji, a przez smoczek kazał podawać arobon"*

Arbon: środek

przeciwbiegunkowy, na bazie chleba świętojańskiego, podawany zwłaszcza niemowlęta i dzieciom z wodą lub mlekiem.

- Na przyszłość odstawić oczywiście krowie mleko! Będzie pani karmić dziecko mlekiem w proszku...

Zapytał:

- ~a propos, gdzie kupowała pani mleko?

- Obok, u starej Abrial! Nie sposób było robić inaczej. Rozumie pan, to nasza sąsiadka i znam ją od dawna...

- Zrobiłaby pani lepiej, kupując mleko od kogoś innego! Lepiej by też było zamieszkać gdzie indziej. Jeśli mogę wam coś doradzić, to jak najszybciej powinniście znaleźć inne mieszkanie, zdrowsze od tego. Co się tyczy waszych niechlujnych sąsiadów, pomówię o nich z merem i w razie potrzeby zwrócę się do Komisji Higieny przy Prefekturze. Muszę coś zrobić, żeby ich zmusić do czystości. Jeśli zajdzie konieczność, poproszę mera, żeby wyznaczył ludzi, którzy raz na miesiąc, a nawet raz na tydzień będą czyścić te stajnie Augiasza.

Doktor Genilhou przyznał więc rację Lisette, a nie jej mężowi. Młoda kobieta posłała lekarzowi pełne wdzięczności spojrzenie. Bruno zaś spuścił głowę.

- Gdybym miała stracić dziecko przez twoje niedbalstwo, nigdy bym ci tego nie wybaczyła! - wybuchnęła Lisette, kiedy lekarz wyszedł. Zęby miała zaciśnięte, a twarz wykrzywioną z gniewu. Bruno zadrżał. Przygnębiła go myśl, że jego syn mógłby umrzeć, ale nie mniej przytłaczający był ton, jakim przemówiła Lisette. Dotąd zawsze czuła i uległa, pierwszy raz dała wyraz uczuciu,

w którym wyczuwał wrogość,
prawie nienawiść. Pobrali się
przed rokiem, wiosną 1946 roku,
w kilka tygodni po tym, jak
Bruno otrzymał oficjalne
zawiadomienie o zgonie Lucienne,
zmarłej w Niemczech; dokument
nie określał dokładnie miejsca,
ale wszystko wskazywało na to,
że stało się to w obozie
koncentracyjnym. Bruno bardzo
płakał. Przez wiele dni nie
wychudził nawet ze swojego
pokoju wspominając bez przerwy
uśmiechniętą twarz ładniutkiej
fryzjerki. W tym trudnym okresie
babka Riri, sam Riri, Arthur
Domur i oczywiście Lisette byli
bez przerwy przy nim.
Czas jednak mijał i życie
upomniało się o swoje prawa.
Ślub odbył się w merostwie w
Saint_Algre, a udzielił go Domur
w asyście przyjaciół przybyłych
z całej gminy, a miał ich Bruno
wielu. Była też cała rodzina
Ribot w komplecie, łącznie z
rodzicami Riri i Lisette,
prowadzącymi bar w Paryżu, a
przybyłymi odwiedzić przy okazji
rodzinne strony. Młoda para
zamieszkała w Saint_Algre, w
domu rodzinnym Lisette i Riri,
niedaleko tartaku, gdzie Bruno
znalazł pracę u Domura. Zajmował
się księgowością, wypłatami,
zbytem wyrąbanego drewna,
załatwiał dostawców i klientów,
a wszystko to pod bezpośrednim
zwierzchnictwem Arthura i,
najwyższym - Pierre.a Morela,
starzejącego się właściciela, z
którego córką ożenił się Riri.
Dziecko urodziło się pod koniec
grudnia 1946 roku i Bruno
pragnął, żeby je nazwać Elie, na
pamiętkę po jego ojcu.
Od czasu do czasu Bruno pisał
do siostry, albo dostawał od
niej długie listy, do których

załączała trochę pieniędzy;
pensja w tartaku była mizerna, a
Lisette nie pracowała. Bruno
żałował czasem, że kiedy
wyzdrowiał, po zakończeniu
wojny, nie wrócił do Paryża. Żal
mu było Sary i Roberta, willi
"Promienny Uśmiech", a nawet
pracy w drukarni du Croissant.
Zdawał sobie sprawę, że po
ślubie z Lisette osiadł w
Saint_Algre tylko dlatego, żeby
zatrzeć bolesne wspomnienie po
Lucienne. W głębi duszy czuł, że
jego życie straciło sens w dniu,
kiedy dowiedział się o jej
zniknięciu. To, co przeżywał
teraz, było tylko maskowaniem,
pozorem.

Dziecko wyzdrowiało i po
miesiącu odzyskało siły i wigor.
W międzyczasie Arthur Domur
zastosował się do sugestii
doktora Genilhou. Apelując do
solidarności mieszkańców,
zorganizował brygadę, która w
ciągu kilku dni oczyściła,
zdezynfekowała, odmalowała i
odnowiła starą zagrodę Abrialów.
Muchy, smród i brud ustąpiły
pola pod natarciem szczotek,
szmat, pędzli, które w rękach
krzepkich i żwawych mężczyzn
atakowały krezolem, proszkiem do
szorowania i farbą, przepędzając
mikroby i usuwając odrażające
zapachy. Stara Marie Abrial
najpierw protestowała, ale kiedy
zobaczyła swój dom czysty i
łśniący, uśmiechnęła się i
podziękowała. Razem ze swoim
starym mężem obiecali nawet, że
od czasu do czasu się wykapią,
zgodnie z przyjacielską acz
stanowczą radą Lisette gorąco
wspieranej w tym, wydawałoby
się, beznadziejnym
przedsięwzięciu, przez doktora
Genilhou.

Ten młody lekarz przyjechał do

Saint_Algre podczas wojny,
świeżo po studiach na wydziale
medycyny w Clermond_Ferrand.
Jako chłopski syn - urodził się
przed trzydziestu laty w
Saint_Amant_Roche_Savine,
ojczyźnie Gasparda des Montagnes
- umiał przemawiać do ludzi
językiem twardym, a zarazem
famiernym, takim, jaki lubili.
Cieszył się szacunkiem kolegów
po fachu - w tym doktora Paula
Breś, chirurga z Ambert - i był
prawdziwym wiejskim lekarzem,
pełnym bezgranicznego
poświęcenia. W dzień i w nocy
przemierzał strome drogi za
kierownicą swojego starego
samochodu, przez długi czas
działającego na generatorze
gazowym, spiesząc w środku zimy
na pomoc położnicy w jakiejś
odległej dolinie, nie wahał się
brnąć w śniegu, przedzierać się
przez zasy, walczyć z wiatrem i
mrozem. Toteż wybijał się i z
każdym dniem przybywało mu
klienteli.

- Pani Ritter - zwrócił się
któregoś dnia do Lisette. -
Mówiono mi, że pani uczyła się
pielęgniarstwa. Wiem skądinąd,
że czasem robi pani, na zasadzie
przysługi, zastrzyki i
opatrunki. Ponieważ mam teraz
coraz więcej pacjentów, a
jestem, niestety, samotny,
potrzebny mi jest ktoś, kto
mógłby mi pomóc. Mam dla pani
uczciwą propozycję: czy
chciałaby pani pracować ze mną?
Jeśli da mi pani pozytywną
odповідź, będziemy mogli, razem
z pani mężem, porozmawiać o
warunkach.

Lisette zgodziła się. Bruno
również, choć z pewnymi oporami.
Ale ich sytuacja nie była tak
wspaniała, by mogli sobie
pozwolić na odrzucenie tak

korzystnej, a w dodatku
pochlebiającej młodej kobiecie
oferty. Zawarli więc umowę i od
tej pory, co rano, Lisette
wychodziła do gabinetu doktora
Genilhou, znajdującego się przy
centralnym placu Saint_Algre.
Wprowadzała chorych, zapisywała
na wizyty, odbierała telefony,
robiła zastrzyki i opatrunki,
była w kontakcie z aptekarzem, z
lekarzami specjalistami, z
powstającym właśnie zakładem
ubezpieczeń społecznych. Czasem
towarzyszyła doktorowi w
wizytach domowych. Synka
oddawała pod opiekę Suzanne,
młodej sąsiadce, którą znała od
dzieciństwa i do której miała
zaufanie.

Lisette była szczęśliwa.
Zdawała sobie sprawę, że zawsze
potrzebowała jakiegoś zajęcia
bardziej pasjonującego niż
macierzyństwo, sprzątanie i
gotowanie. Już w dzieciństwie
chciała zostać pielęgniarką,
dlatego też, tuż przed wojną i
zaraz po jej rozpoczęciu,
chodziła na kursy do szpitala w
Ambert. Teraz odnajdywała się w
wymarzonym zawodzie i dzięki
niemu wkraczała w czynne życie
na miarę swoich umiejętności,
zapału, a może i ambicji. Kiedy
pod koniec pierwszego miesiąca
doktor Genilhou wręczył jej
kopertę, spostrzegła, że
znajduje się w niej suma nieco
wyższa od umówionej.

- Dzięki pani przybyło mi
pacjentów! - wyjaśnił lekarz. -
Słusznie więc należy się pani za
to wynagrodzenie.

W domu Lisette i Bruno
porównywali swoje miesięczne
pensje. Młoda kobieta zarobiła
więcej od męża. Bruno odczuł z
tego powodu cień niepokoju, nie
po raz pierwszy zresztą, bo

bywało tak już wtedy, gdy
Lisette robiła mu wyrzuty - i to
takim tonem - w sprawie higieny
w zagrodzie Abrialów, gdy
zdecydowała się podjąć pracę u
młodego lekarza - którego
zamiary były może nie całkiem
czyste - i wreszcie, gdy
postanowiła oddać dziecko pod
opiekę Suzanne.

W kilka miesięcy później, po
śmierci właściciela, zwolnił się
dom większy i wygodniejszy od
tego, w którym mieszkali. Bruno
zapropozował, żeby go wynająć.
Mówił, że z łatwością załatwi
sprawę ze spadkobiercami, bo dom
nie jest im potrzebny, a gdyby
to było konieczne, poprosi o
wsparcie Domura. Lisette
stanowczo odmówiła; dom
znajdował się w wiosce podobnej
do tej, gdzie żyła jej babka,
położonej o trzy kilometry od
Saint_Algre, na tak zwanym
ustroniu. A ona nie chciała
mieszkać z dala od miasteczka,
ani od opiekunki synka, ani od
miejsca pracy - i od doktora
Genilhou.

Pewnej nocy Bruna obudziły
krzyki pod oknami, na placu,
gdzie znajdowała się publiczna
studnia. Wstał w pośpiechu;
przez szczeliny w okiennicach
zobaczył rdzawy blask zalewający
niebo. Zawołał:

- O Boże, Lisette! To tartak!

Tartak się pali!

Najpierw wszystko toczyło się
bardzo wolno. Robert potrzebował
tygodni, żeby zdecydować się na
ponowną rozmowę w cztery oczy z
doktorem Ailhou. Ten zaś także
potrzebował tygodni i miesięcy,
zanim gotów był na przyjęcie
wyznań Roberta - i na
wyciągnięcie z nich
konsekwencji. Potem wszystko
potoczyło się bardzo szybko, jak

w kinie, kiedy jakaś
przyspieszona sekwencja
następuje po fragmencie
sfilmowanym w zwolnionym tempie.

- Teraz, kiedy mi o wszystkim
powiedziałeś, kiedy wiem o tobie
wszystko, zacznę działać -
mruknął Ailhou. - Postaram się
działać jak najlepiej i możliwie
najszybciej.

Nadal mówił mu "ty" i nazywał
Gastonem. Robert zaś nadal
zwracał się do lekarza per pan i
wyglądało na to, że w tym tonie
mieli rozmawiać ze sobą jeszcze
przez długie, następne lata.

To prawda, że Robert
powiedział wszystko; jego
wyznania trwały godzinami,
okryte tajemnicą gabinetu
lekarskiego. Ailhou uprzedził
sekretariat, że konsultacja
będzie długa i delikatna;
zamknął drzwi, wyłączył telefon.
Robert mógł spokojnie snuć swoje
wynurzenia.

Tygodniami, miesiącami
zastanawiał się. Na początku
obstawał przy decyzji, że będzie
milczał, że będzie się
zachowywał, jak gdyby nie
odzyskał pamięci, jak gdyby nie
przypomniało mu się nic ponad
to, co wyznał już doktorowi, a
były to bardzo fragmentaryczne
wspomnienia - obrazy z
Saint_Mande, nazwisko. Wykonywał
nadal swoją zwykłą, posępną
pracę ogrodnika_sprzątacza, a w
sumie wyrobnika. Zachował swój
lunatyczny wygląd, wypowiadał
się tylko za pomocą onomatopei,
wykonywał tylko mechaniczne
gesty. Ale nawet przez chwilę
nie przestał rozmyślać nad swoim
przypadkiem - i nad swoim losem.
I, powoli, budziły się w nim
nowe uczucia.

Najpierw szczególna ciekawość:

- Co by się stało, gdybym tak

poszedł do Ailhou i wyznał mu,
prosto z mostu, całą moją
przeszłość?

Odpowiedzi na to pytanie mogły
być najprzeróżniejsze. Albo
lekarz zareaguje gwałtownie,
chwyci za telefon i wezwie
policję, żeby bezzwłocznie wydać
sprawiedliwości tego podłego
kolaboranta, którego ma przed
sobą. Była to mało prawdopodobna
hipoteza; gdyby Ailhou był
zdolny do takiej reakcji,
uczyniłby to już wtedy, gdy
Robert wyjawiał mu swoje nazwisko
- nazwisko owiane niechlubną
sławą, które nikomu nie mogło
być obce. Albo Ailhou będzie
trwał w swojej poprzedniej
postawie i odeśle chorego do
jego grabi i mioteł, nie chcąc
nadawać sprawie rozgłosu,
pozostawiając wszystko czasowi.
Albo też lekarz pozwoli
pacjentowi mówić tak długo, jak
to będzie konieczne, pomoże mu
nawet wyjaśnić wszystko, co
będzie tego wymagało, spróbuje
dotrzeć razem z nim do sedna
sprawy, postara się go
zrozumieć. To była, ostatecznie,
najbardziej prawdopodobna
hipoteza; w sumie przyjmując
taką postawę, niezależnie od
wszelkich innych pobudek,
psychiatra postąpiłby w pełni
zgodnie z zasadami swojego
zawodu.

Jednakże ciekawość nie była
jedynym nowym uczuciem, jakie
obudziło się w Robercie.

- Nie będę przecież tkwił całe
życie, jak ostatni kretyn, w tym
szpitalu! - mówił do siebie
coraz częściej.

Grabienie alejek, pikowanie
sałaty, pastowanie parkietów,
niepewny chód, wygląd
upośledzonego umysłowo, bełkot,
jako jedyny sposób wypowiedzi, a

nawet broda i wąsy - nie mówiąc
już o widoku umysłowo chorych, o
krzykach szaleńców - wszystko to
zaczynało mu ciążyć. Miał co
innego do roboty - przede
wszystkim żyć... po prostu
żyć... i znowu zabrać się do
twórczości literackiej - niż
trwać w tym stanie larwalnym,
nawet jeśli uchroniło go to od
najstraszniejszych gromów
sprawiedliwości, jakie spadały
na wysokiej rangi kolaborantów.
Zresztą, w miarę upływu czasu,
surowość wymiaru sprawiedliwości
zaczynała łagodnieć.

Wciąż jeszcze zachowując
otępiałą minę, Robert zaczął
czytać gazety. Dowiedział się z
nich, że początkowo, jeszcze
przed wyzwoleniem, rozstrzelano
dziesiątki kolaborantów bez
sądu; potem, że po wyzwoleniu,
na mocy wyroku sądowego,
rozstrzelano kolejne dziesiątki
- zwłaszcza dziennikarzy, takich
jak Luchaire, Brasillach i
Herold_Paquis. Teraz, w trzy
lata po wyzwoleniu, stosowano
już tylko karę przymusowych
robót, więzienia i infamii, a
śmiercią karano odtąd już tylko
najbardziej "zasłużonych"
gestapowców, a i oni musieli
mieć ręce zbrukane krwią. Zemsta
już się przejadła, a karzący
miecz stępsiał. Robert uznał
więc, że teraz może już, nie
ryzykując tak wiele jak niegdyś,
przerwać milczenie i to w jasno
określonym celu: żeby rozpocząć
normalne życie, w pełnym
świecie.

A poza tym, po szoku, jakiego
doznał odkrywszy własną
przeszłość, własne bezeceństwa,
zbrodnie, po obrzydzeniu, jakie
poczuł do siebie, i po próbie
odrzucenia tego wszystkiego -
łącznie z pokusą ucieczki w

śmierć - zaczął powoli wszystko przetrawiać, przyswajając, brać na własne barki, nawet to, co najgorsze.

- Moja przeszłość jest odrażająca - powiedział sobie - ale to moja przeszłość. Choćbym miał zginąć, moim obowiązkiem jest ją udźwignąć.

Kiedy podjął tę decyzję, jego odzyskana pamięć zaczęła działać wybiórczo, zacierając to, co straszne lub odpychające, a wydobywając, a nawet upiększając to, co pozytywne. Obiektywnie, niepodważalnie pozytywne to, co mógł uznać bez względu na okoliczności i co nie budziło w nim odrazy, a wręcz pewnego rodzaju dumę - w pierwszym rzędzie znaczna część jego twórczości literackiej. A także to, czego mógł wstydzić się w głębi duszy, lecz co mogło mu ewentualnie posłużyć do obrony: nagłe odstępianie od kolaboracji, zabójstwo Joachima Botto, co w oczach członków ruchu oporu mogło uchodzić za szlachetne uczynki.

Rozważywszy to wszystko, podjął z miejsca decyzję - pójdzie do Ailhou i powie mu wszystko. Ale zrobi to ostrożnie, w tak przemyślanej kolejności, żeby wzbudzić uwagę Ailhou jako psychiatry. Opowie o swoim dzieciństwie, o niesłusznym aresztowaniu ojca, a potem o jego śmierci, o swoich zaburzeniach seksualnych, o tym, jak dostał się w zdradzieckie tryby i padł ofiarą sztyego grubymi nićmi szantażu, o tym jak narastał jego bunt, który znalazł swe ujście w zbrodni i obłądnie... mając nadzieję, że w ten sposób uniknie brutalnej reakcji ze strony doktora... albo jego obojętności.

Rozmowa w ciasnym, zadymionym gabinecie lekarskim - Ailhou palił fajkę, a pacjentowi podsunął paczkę gauloisów - trwała wiele godzin. Toczyła się tak, jak tego chciał Robert. Na koniec Ailhou powiedział prawie szeptem:

- Teraz, kiedy mi wszystko wyznałeś, kiedy wiem o tobie wszystko, przystąpię do czynu. Postaram się działać jak najlepiej i możliwie jak najszybciej.

Dodał jeszcze bardziej poufałym tonem:

- Sądzę, że będę mógł załatwić pewne sprawy.

Ailhou nie był szczególnie zaskoczony tym, że odgłos pukania do drzwi przywrócił Robertowi pamięć o całej jego przeszłości; zanik pamięci często ustępuje w ten właśnie sposób i pozornie drobny fakt wystarcza, żeby rozsypane elementy łamigłówki ułożyły się w całość. Nie zdziwiła go też zbyt potworność niektórych czynów, gestów czy myśli, o których mówił Robert, nawet zabójstwo Joachima - dla niego wszystko to było następstwem dosyć żalosego uwikłania, poddania się bezlitosnemu impulsowi, od którego jego pacjent mógł się uwolnić tylko przez zbrodnię, szaleństwo albo samobójstwo, zgodnie z klasycznym, znanym psychiatrom scenariuszem. Ailhou zresztą nie był skłonny do łatwego oburzania się: skrzywienie zawodowe sprawiało, że starał się znajdować jeśli już nie usprawiedliwienie, to przynajmniej wyjaśnienie dla najgorszych występów. Nawet kolaborancka nadgorliwość i homoseksualne ekscesy Roberta,

nawet popełniona przezeń
zbrodnia spotykały się z
wrozumiałością tego
tolerancyjnego lekarza.
Zastanowiło go natomiast to,
że jego pacjent odzyskał
całkowicie inteligencję i swoją
niezwykłą przenikliwość umysłu,
a także sprawność, z jaką
wydobywał ze swojej budzącej
obrzydzenie przeszłości te fakty
i czyny, które mógł wykorzystać
na swoją obronę. Była to w
gruncie rzeczy ta sama
przemysłna dialektyka, jaką
stosował w kronikach nadawanych
w radiu Paryż, z tym że dawniej
spaczona i służąca złej sprawie,
teraz była po prostu wyrazem
instynktu samozachowawczego, w
związku z czym zasługiwała tylko
na pobłażanie. Podejmując po
wysłuchaniu spowiedzi Roberta
nawiązane wcześniej kontakty,
Ailhou mógł więc ograniczyć się
do systemu obrony przyjętego
przez samego chorego, wspierając
go wszakże swoim autorytetem
lekarza, swoim osobistym
przekonaniem, wpływem, jaki mógł
wywierać na swoich rozmówców.
Ailhou wezwał Roberta 17 lipca
1947 roku. Kolejna rozmowa
chorego z lekarzem odbyła się,
podobnie jak poprzednie, w
gabinecie psychiatry, przy
drzwiach zamkniętych na klucz i
przy wyłączonym telefonie. Tym
razem również trwała wiele
godzin i nieduży pokój założony
książkami i kartotekami wypełnił
się wkrótce dymem z fajki
lekarza i papierosów wypalanych
jeden po drugim przez Rittera.
- Gaston - oznajmił
natychmiast lekarz - odzyskałeś
tożsamość i pamięć i stwierdzam,
że jesteś zdrowy na ciele i
umyśle. Zamierzam więc zwolnić
cię ze szpitala i przywrócić

normalnemu życiu. W związku z tym, zważywszy na twoją okupacyjną działalność, działalność karygodną, w mniemaniu większości Francuzów, a tym bardziej członków ruchu oporu, muszę, jak się domyślasz, podjąć w twoim interesie pewne środki ostrożności; nie mogę cię tak wypuścić z dnia na dzień, jakby nigdy nic.

Lekarz miał bowiem obowiązek sporządzić raport służbowy uwzględniający prawdziwe nazwisko chorego, wyjaśniający jego przypadek utraty pamięci, szczegółowo opisujący leczenie, które doprowadziło do jej odzyskania. Było nie do uniknięcia, że ów raport przeczyta dyrekcja z Ville_Evrard i ktoś z opieki społecznej... a nazwisko Ritter nie mogło nie przywołać w ich pamięci pewnych trudnych do zatarcia wspomnień.

- Z drugiej strony, kiedy już stąd wyjdiesz, nie będziesz przecież niewidzialny. Wcześniej czy później będziesz musiał wyrobić sobie dokumenty, poszukać pracy, znaleźć mieszkanie. Istnieje więc niebezpieczeństwo, że w dniu wyjścia z zakładu albo też później, znajdzie się jeden czy drugi złośliwiec, który cię rozpozna, przypomni sobie, co zrobiłeś, i da znać organizacjom ruchu oporu, policji, wymiarowi sprawiedliwości. Trzeba więc działać zręcznie, żeby twój powrót do normalnego życia odbył się bez kłopotów.

Ailhou wstał, przeszedł kilka kroków po gabinecie, nabił fajkę, zapalił. Robert siedział bez ruchu na krześle paląc papierosa za papierosem. Był napięty, zdenerwowany.

- Rozmawiałem o twoim przypadku z bardzo droгим mi przyjacielem. Chodzi o niejakiego G~erarda Hellera, którego nazwisko zauważyłeś być może w gazetach, przynajmniej w tej, którą kieruje, "Le Si~ecle". Założył swoją gazetę w podziemiu, podczas okupacji, jest też szefem siatki ruchu oporu, do której i ja należałem. Możesz być spokojny - to nie jest fanatyk czystki. Jest liberałem jak ja i wystarczy poczytać drukowane w jego gazecie sprawozdania z procesów kolaborantów, żeby się o tym przekonać; ujawniał w nich codziennie, dopóki to było konieczne, nadużycia, jakich dopuszczano się w ferworze czystki, popełniane przez sądy specjalne, jakimi są Trybunały Sprawiedliwości. We wszystkich artykułach wstępnych apeluje o pobłażliwość dla szczerych i czystych" kolaborantów, o porozumienie narodowe. Ailhou pominął na razie to, co miał wyjawić Robertowi później, fakt że przed wyzwoleniem Heller przyjął do swojej siatki wielu starających się pośpiesznie wybielić petainistów, że po wyzwoleniu rozdawał na prawo i lewo zaświadczenia o przynależności do ruchu oporu, z podobną hojnością, z jaką niegdyś w Lagny ksiądz Ricolais wydawał Żydom metryki chrztu. Ten był adwokat, uprawiający dziennikarstwo, był wszakże członkiem ruchu oporu z przekonania, uważał jednak, że Francuzi, którzy, oszukani zarówno przez P~etain'a jak i przez Niemców, przystąpili do kolaboracji, mają prawo do pobłażliwości, pod warunkiem, że chodziło tylko o ich

przekonania, że nie splamili rąk
krwią...

- Mówiłem więc o tobie, i to
bardzo długo, G~erardowi
Hellerowi. Natychmiast
przeprowadził dyskretne
dochodzenie, które dało mu w
efekcie nieoczekiwaną pewność:
nie jesteś i nigdy nie byłeś
przez nikogo poszukiwany.
Istotnie, Robert nigdy nie
figurował w kartotece osób
poszukiwanych. Nigdy nie wydano
nakazu doprowadzenia go czy
aresztowania. To dlatego próby
ustalenia jego tożsamości na
podstawie kartotek policyjnych
nigdy do niczego nie
doprowadziły, lekarze z
Ville_Evrard podawali bowiem
rysopis osobnika absolutnie nie
znanego policji. Wszystko, czego
G~erard Heller i jego
przyjaciele dowiedzieli się w
sprawie Roberta, to była plotka
krążąca w grudniu 1943 roku,
jakoby został uprowadzony przez
członków ruchu oporu.

- Dlatego też, ponieważ się
nie ujawniłeś, uznano cię za
zmarłego, zamordowanego lub
rozstrzelanego przez tych ludzi,
a oni w owym czasie nie cackali
się ze schwytanymi przez siebie
kolaborantami zwłaszcza jeśli ci
byli wysokiej rangi. Otóż ludzie
wzięli tę wersję za dobrą
monetę. Uwierzyli w nią. Nawet
tego nie sprawdzali. I w związku
z tym nikt cię nigdy nie
poszukiwał!

Ailhou nabił i zapalił
następną fajkę.

- Ale uważaj ! To nie oznacza,
że twój powrót do normalnego
życia nie pobudzi nagle
czujności ruchu oporu, policji i
wymiaru sprawiedliwości.
Czujności mogącej doprowadzić do
twojego aresztowania uwięzienia

i postawienia cię przed Trybunałem Sprawiedliwości, co oczywiście oznaczałoby, że cię zamkną. Dlatego też, chcąc zapobiec takiej ewentualności, opracowałem wspólnie z Gerardem Hellerem nieco skomplikowany scenariusz, który jednak powinien okazać się skuteczny. Wykorzystaliśmy do tego celu niektóre wskazówki, jakich mi udzieliłeś, opowiadając mi kilka tygodni temu całą swoją przygodę. Dodaliśmy do tego trochę własnych pomysłów. W tej wersji wydarzeń, która miała się stać wersją oficjalną, gdyby Robert na to przystał, wszystko odbyło się w sposób zgodny z prawdą, a zarazem odbiegający od niej, trochę tak, jak to się dzieje z retuszowanym zdjęciem, z naciaganą biografią, czy ze zbeletryzowanym przekazem historycznym. Wszystko prawdziwe, ale nie do końca.

- Pierwsza faza: trudne dzieciństwo spędzone w ubogiej rodzinie. Dzieciństwo naznaczone piętnem niesłusznego aresztowania, a potem tragicznej śmierci ojca. Stąd wzięły się zaburzenia osobowości: jesteś zamkniętym w sobie, nadąsanym introwertykiem, z zaburzeniami seksualnymi. Na szczęście masz dar. pisania. Po kilku bezowocnych trudach piszesz więc swoją pierwszą powieść, "Śmierć ojca". Niedawno przeczytałem ją po raz drugi szukając w niej argumentów na twoją korzyść. Dla mnie jest ona arcydziełem! Ale tak się składa, że książka wychodzi na początku okupacji i rzucają się na nią zwolennicy Vichy; z twoich przeżyć, z wiernego opisu klęski w 1940 roku, ich prasa robi akt oskarżenia przeciwko Trzeciej

Republice, broń przeciwko
demokracji, pewnego rodzaju
uzupełnienie procesu w Riom". I
oto wpadasz w sidła własnej
sławy; kiedy już raz się
spodobałeś, nie chcesz tego
stracić. Jesteś młody, podatny,
ulegasz wpływom; powoli,
pochlebstwami, wyciągają od
ciebie artykuły, odczyty,
przemówienia, deklaracje, które
zapewniają ci pierwszoplanową
rolę. W tym czasie ginie, także
tragiczną śmiercią, twoja matka.
Ten nowy szok potęguje jeszcze
zaburzenia charakteru i życia
seksualnego czyniąc z ciebie
posłusznego niewolnika Joachima
Botto. Przekształcasz się
wówczas w swego rodzaju
wyrocznie kolaboracji,
oficjalnego propagatora
ideologii nazistowskiej,
zachowując swój nadaśany,
nieprzystępny, ponury wygląd...
Proces w Riom rozpoczął się w
lutym 1942 roku i został
wytoczony przeciwko politykom,
takim jak Blum, Daladier, G. La
Chambre, i wojskowemu, Gamelinowi
i Jacometowi, oskarżonym o
spowodowanie klęski w 1940 r.;
wcześniej zostali oni skazani
przez P~etina. Przybierający
niekorzystny dla Vichy obrót
proces został zawieszony w
kwitniu 1942 roku, a okarzeni
przetrzymywani w więzieniu
zostali w większości wydani
Niemcom.

Do tego miejsca prawda nie
została zbyt zniekształcona.
Z rzeczywistych faktów Ailhou i
Heller wyprowadzili po prostu
spójną syntezę, tyle że
tendencyjną, bo nie było w niej
mowy o faktycznym opowiedzeniu
się zainteresowanego za
nazizmem. Lekarz przeszedł
następnie do drugiego

odtworzonego etapu w życiu Roberta.

- A teraz druga faza - dzięki
znalezieniu czegoś w rodzaju
testamentu, który przypisujesz
swemu ojcu, odkrywasz, że
jesteś, być może, pochodzenia
żydowskiego. Nazywasz się
zresztą Ritter, a to nazwisko ma
niejako żydowskie brzmienie,
ojciec miał na imię Elie, a
twojej siostrze dał imię Sara.
To wywołuje u ciebie nowy szok,
tym razem zbawienny. Początkowo
skłania cię to do refleksji nad
słusznością sprawy niemieckiej,
w chwili gdy wojska Rzeszy
doznają porażek zapowiadających
ostateczną klęskę; w tym samym
czasie nasilają się
prześladowania antysemitki.
Następuje w tobie przełom! A
wobec tego, po jakimś czasie, za
pośrednictwem siostry pracującej
w drukarni, gdzie potajemnie
drukują się "Le Si~ecle" - i
gdzie pracował też twój brat
Bruno - nawiązujesz kontakt z
siatką G~erarda Hellera.
Podejmując ogromne ryzyko
pracujesz odtąd dla tej siatki
dostarczając jej informacji,
które zdobywasz bez większego
trudu, bo ani Niemcy, ani
Vichyści o nic cię nie
podejrzewają. Zresztą dla
niepoznaki nadal udzielasz się
jako współpracujący z Niemcami
dziennikarz i pisarz; pracujesz
w radiu Paryż, piszesz nową
książkę "Pod rozpostartymi
sztandarami", przychylną sprawie
niemieckiej.
Nie było to już tylko
przesunięcie akcentów; prawda
została tu po prostu wywrócona
do góry nogami, zastąpiona
wymyśloną wersją.
- Teraz zaczyna się trzecia
faza twoich dziejów. Nagle, w

1943 roku, spostrzegasz, że
dłużej już nie możesz prowadzić
podwójnej gry. Coś jakby
zaskoczyło w tobie, coś w
rodzaju zapadki, poczułeś nagły
przesyt, nieprzepartą chęć, żeby
przestać kłamać, odzyskać
prawdziwą swoją osobowość, swoją
głębką autentyczność. Najpierw
szukasz schronienia w tym, co
jest twoją prywatną domeną - w
pisarstwie. Występując nadal,
rad nierad, w podwójnej roli,
piszesz nową powieść, w której
zawierasz swoje prawdziwe choć
wylbrzymione myśli, tak jak
gdybyś w przystępie odzyskanej
szczerości musiał systematycznie
ośmieszać, oczerniać tych,
którzy stali się twoimi wrogami.
A potem, nagle, dosłownie
wybuchasz. Odrzucasz wszystko,
bez reszty, wszystkie kłamstwa i
cały fałsz. Zabijasz jak psa
Joachima Botto, który w twoich
oczach stał się symbolem
niemieckiego ucisku, kogoś, kto
ponosi winę za wszystko, co cię
przygniata. Po czym uciekasz,
znikasz. Jesteś kimś zbyt
widocznym, znacznym, żeby w owej
chwili przyłączyć się do ruchu
oporu. Ukrywasz się więc wśród
żebraków i włóczęgów, szukając
też ucieczki w zaniku pamięci, z
którego uda mi się wyleczyć
ciebie po wielomiesięcznych
wysiłkach...

Ailhou umilkł. Robert nie
odezwał się przez cały czas ani
słowem, ale wpatrywał się w
lekarza uporczywie, z napięciem,
niewzruszony, najmniejszym
gestem nie zdradzając kłębiących
się w jego głowie myśli.

- Rozumie się, mój drogi, że
wszystko to zostanie
poświadczane poparte
niepodważalnymi dowodami. Ta
wersja musi być przyjęta bez

wahania, nie może podlegać
żadnej wątpliwości. I tak, jeśli
chodzi o twój udział w ruchu
oporu, o kontakty z siatką
Gerarda Hellera, on podpisał
już wszystkie niezbędne
zaświadczenia, potwierdzone
przez jego zastępców. Jeśli
chodzi o zabójstwo Joachima
Botto... a nie wątpisz chyba, że
jest to główny argument na twoją
korzyść; to zamordowanie
niemieckiego oficera może być
uznane tylko za niezbity dowód
twojej przynależności do ruchu
oporu... mamy też wszystko, co
trzeba... choć początkowo naszym
jedynym źródłem informacji byłeś
ty sam.

Istotnie, dotarli bowiem do
sonderführera Gerhardta Haefta
piastującego teraz funkcję
dyrektora radiostacji w Kolonii
i rzecznika burmistrza tego
miasta, Konrada Adenauera.
Pragnąc się zrehabilitować,
Haft bez trudu zgodził się
świadczyć.

- Według niego mordercą
sonderführera Joachima Botto
jesteś na pewno ty. Dodał też,
że na długo przed morderstwem
przeczuwał, że przestałeś
wierzyć w słuszność kolaboracji,
że zajmujesz odmienne
stanowisko. Powiem ci, że tego
Gerhardta Haefta udało nam się
odnaleźć tylko dzięki twojej
siostrze...

Wbrew oczekiwaniom Ailhou,
Robert nie zareagował. Zdawał
się być pochłonięty natłokiem
sprzecznych myśli i nadal
uważnie wpatrywał się w lekarza;
przestał nawet palić. Od czasu
do czasu wiercił się na krześle,
potem znowu znieruchomiał.

Ailhou ciągnął dalej:

- Teraz wyjdiesz ze szpitala,
wrócisz do normalnego życia!

Kiedy zgodzisz się na wszystko,
co ci tu wyłożyłem, "Le Si~ecle"
opublikuje podpisaną przez
G~erarda Hellera opowieść o
twojej przygodzie pod tytułem:
"Robert Ritter, superkolaborant
z radia Paryż, był bohaterem
ruchu oporu". Ponadto, Heller,
który oprócz kierowania gazetą
jest też dyrektorem firmy
wydawniczej, chce, żebyś podjął
pracę nad zaczęłą już powieścią,
z której pozostały tylko marne
szczątki. I wreszcie, później,
kiedy powieść już się ukaże,
kiedy dostanie nagrodę
przyznawaną przez jury złożone z
członków ruchu oporu... widzisz,
że pomyśleliśmy o wszystkim...
Heller chciałby, żebyś aktywnie
współpracował z jego gazetą. To
wszystko. Teraz powiedz mi
tylko, co o tym myślisz. Sądzę,
że zrobiłem dla ciebie wszystko,
co było w mojej ludzkiej mocy...
i G~erard Heller też. A więc?
Zgadzasz się?

Nagle, na oczach osłupiałego
lekarza, Robert wstał wywracając
krzesło. Wyprostował się, a jego
wysoki wzrost, chudość, czarna
broda i wąsy, potargane włosy,
nieruchome oczy, ciasny,
znoszony garnitur robiły
wstrząsające wrażenie; wymówił
tylko jedno słowo:

- Nie!

Przez cały czas, kiedy doktor
Ailhou wygłaszał swój długi
monolog, w Robertcie narastał
niesmak, który wkrótce ustąpił
miejsca bezgranicznemu
obrzydzeniu. Przede wszystkim
sam nie mógł się rozpoznać na
zmyślonym portrecie, jaki mu
spreparowano, i nie mógł się
zgodzić na jego wykorzystanie. A
poza tym, całym swoim jestestwem
odrzucał projekt opracowany
przez lekarza i jego

przyjaciela.

- Nie, panie doktorze! Jestem panu niewymownie wdzięczny za ten scenariusz, który pan obmyślił i dopracował razem z panem Hellerem, a który oczywiście wybieliłby mnie, pozwoliłby mi bez przeszkód wrócić do normalnego życia. Ale... nie, nie chcę! Nie mogę tego przyjąć. Błagam, niech mnie pan zrozumie. Ja nie byłem w ruchu oporu. Nigdy nie przekazałem żadnej informacji, żadnej wiadomości, żadnej konspiracyjnej siatce. Nie jestem Żydem, nawet jeśli przez chwilę taką myśl nasunęła mi kartka znaleziona w książeczce wojskowej ojca. Joachima Botto nie zabiłem umyślnie... to znaczy, nie zabiłem go w każdym razie w imieniu ruchu oporu i po to, żeby we Francji było o jednego niemieckiego oficera mniej. Kiedy odzyskałem pamięć i opowiedziałem panu wszystko, co mi się przydarzyło, niczego nie wymyśliłem. Nie chcę, żeby mi dorabiano sztuczną przeszłość. Nie chcę, żeby podpisywano fałszywe zaświadczenia, oświadczenia, żeby składano fałszywe zeznania. Nie chcę oszukiwać! Nie chcę popadać znowu w kłamstwo i zmyślenia. Chcę wziąć na własne barki całą moją przeszłość i odnaleźć prawdę, moją własną prawdę! Teraz z kolei Ailhou utkwiał wzrok w Robercie, ale ten nic nie mógł wyczytać w oczach znieruchomiałego, skamieniałego lekarza.

- A poza tym, panie doktorze, jest coś jeszcze. Nie dość, że stosownie spreparowaliście mi przeszłość, to jeszcze wymyśliście mi przyszłość. Przerobiony na bohatera ruchu

oporu - ja! - miałbym napisać od nowa powieść, którą stworzyłem pracując w radiu Paryż. Przypuszczam zresztą, że umowa wydawnicza jest już gotowa. Miałbym też zobowiązać się do współpracy z gazetą pańskiego przyjaciela G~erarda Hellera i tu też kontrakt został już pewnie sporządzony. A nawet jeśli nie ma kontraktu, uważa się bez wątpienia, że nie mógłbym się wymówić, zważywszy na dług wdzięczności zaciągnięty względem pana i pańskiego przyjaciela. Panie doktorze! Czy nie uważa pan, że jest to ta sama historia, tyle że na odwrót? Że chwyta się mnie za rękę i wkłada ją w nowe tryby... a w co mnie one wciągną tym razem? Kiedy już napiszę książkę obciążającą Niemców, kiedy zostanie mi przyznana nagroda literacka, kiedy kolejny już raz zrobią ze mnie słynną postać poczytnego autora, zrobią też ze mnie być może wyrocznień ruchu oporu, głównego wyznawcę jego doktryny!

Umilkł i po chwili ciągnął dalej, a lekarz siedział w milczeniu.

- Gdzie w tym wszystkim jest moja prawda? Gdzie autentyczność? Znowu gdzieś obie przepadną. Będę więźniem wymyślonej przez was postaci, więźniem opracowanego przez was układu. Znowu dam się złapać, znowu zostanę wtłoczony w dobrze naoliwiony mechanizm, który sprawi, że stanę się obcy dla samego siebie. Jak niegdyś Drieu La Rochelle, stanie się pan moim Pygmalionem, a pan Heller - przepraszam za przesadne porównanie - odegra rolę Joachima Botto. Oczywiście, panie doktorze, ja nie mieszam

gatunków: sprawa ruchu oporu
była szlachetna, a sprawa
kolaboracji nie. I jasno widzę,
co zyskałbym przyjmując pańską
ofertę, a co stracę odrzucając
ją, widzę też ryzyko, jakie
podejmuję. Ale...

Robert pochylił się w stronę
lekarza i podjął:

...ale chcę się odnaleźć sam,
być sobą, a nie odwróconą
karykaturą wczorajszego Roberta
Rittera. Chcę także... to
znaczy, chciałbym... podjąć na
nowo twórczość literacką.
Napisać nową powieść, daleką od
wszelkiej przesady, niepodobną
ani do "Pod rozpostartymi
sztandarami", ani do książki,
której fragmenty czytał pan na
tych podartych karteluszkach
znalezionych w moich
kieszeniach. Książkę, która
będzie dalszym ciągiem "Śmierci
ojca". Mam już tytuł: będzie się
to nazywało "Rana i nóż", według
H~eautontimoroum~enosa
Baudelaire.a. Któż nie jest
zarazem "raną i nożem",
uderzeniem i policzkiem,
torturowanym i kołem"? Któż nie
jest równocześnie "ofiara i
katem"... innych, a przynajmniej
samego siebie... zwłaszcza w
takiej epoce, jaką niedawno
przeżyliśmy?

Robert umilkł na kilka chwil,
jakby pogrążył się w otchłani
wspomnień. Potem ciągnął:

- Chcę też odnaleźć brata i
siostrę... zamieszkać znowu w
domu, w którym upłynęło moje
dzieciństwo... w tej willi,
którą mój ojciec wybudował
własnymi rękami. Tam się
odnajdę, wezmę swój los we
własne ręce. Jeśli będzie
trzeba, pojedę tam w nocy, żeby
nie widzieli mnie sąsiedzi.
Wejdę, obejmę w posiadanie mój

pokój, zagnieżdżę się tam jak
zwierzę wracające do swojej
nory. Zaraz nazajutrz zabiorę
się do pisania. Nie będę
wychodził, nie będę się
pokazywał. Będę czekał i
pracował. A jeśli któregoś dnia
przyjdzie po mnie policja, no
cóż, pójdę posłusznie. Stawię
czoło rzeczywistości, wezmę ją
za bary. Wezmę na siebie skutki
moich czynów... Jeśli zostaną
skazani - czyż mogłoby być
inaczej - bez względu na to, jak
długa i dotkliwa będzie kara,
będę znosił ją z rezygnacją,
bylebym tylko mógł w więzieniu
pisać. I ten okres będzie miał
swój koniec. Pewnego dnia znowu
wrócę do domu, do mojego pokoju
i znowu będę pisał...

Wyprostował się, po czym
ciągnął innym już tonem:

- Panie doktorze, chciałbym,
żeby pan spróbował mnie
zrozumieć, żeby pan tylko
spróbował...

Umilkł na kilka sekund, usiadł
i, jak gdyby mu ulżyło, że
zrzucił wszystko, co leżało mu
na sercu, powiedział niemal
szepem:

- Teraz, panie doktorze, jeśli
pan pozwoli, powinienem... jak
najszybciej skontaktować się z
Sarą...

Ailhou nie odpowiedział.

Wyciągnął rękę do telefonu,
podniósł słuchawkę, wykręcił
numer. Wiedział, że o tej porze
Sara jest w redakcji "Le
Si~ecl".

Liceum w Feldkirch - Gymnasium

- zostało zarekwirowane już
przed ponad dwoma laty.

Francuskie wojska okupacyjne
urządziły tam obóz przejściowy
ze szpitalem, gdzie przyjmowano
i selekcjonowano

"przesiedleńców", lecząc

najbardziej chorych i osłabionych. W każdej klasie zamienionej na sypialnię ustawiono dziesięć metalowych łóżek, tyleż nocnych stolików, jeden duży stół do posiłków, do czytania i do gry w karty, krzesła i fotele. Obozem zarządzał pułkownik z Sił Bezpieczeństwa Wojskowego, a pilnowali go liczni uzbrojeni szeregowcy rozstawieni przy drzwiach i we wszystkich korytarzach. Dwóch francuskich lekarzy wojskowych kierowało częścią szpitalną. Pozostały personel składał się zasadniczo z niemieckich pielęgniarek, byłych schwestern z Wehrmachtu, które zostały przymusowo włączone do pracy. One to mierzyły temperaturę, podawały posiłki, a przed każdym z nich roznosiły lekarstwa, przede wszystkim witaminy wyglądające jak okrągłe, czarne, gumowate cukierki o cierpkim smaku; na boku te dzielne dziewczyny sypiały po trochu ze wszystkimi, najchętniej z lekarzami, ale też z żołnierzami, a czasem nawet z obozowiczami.

Począwszy od kwietnia 1945 roku cała zachodnia część Austrii - Tyrol i Vorarlberg - służyła za zbiornik retencyjny dla Niemiec opanowanych od zachodu przez Amerykanów, Anglików i Francuzów a od wschodu przez Armię Czerwoną i których spustoszone terytorium pełne było żołnierzy w rozsypce i uchodźców. Z tego regionu ochrzczonego przez Goebbelsa Alpenfestung naziści zamierzali uczynić swój ostatni bastion, ostatnie schronienie dla swojej zburzonej potęgi, skąd wyruszyliby na podbój ojczyściej ziemi wspierani przez nowe,

straszliwe bronie opracowywane w
sekretnych laboratoriach i
warsztatach Penne-unde.

Napłynęło więc tam wszystko, co
pozostało z ich armii pociągając
za sobą, dobrowolnie lub siłą,
najprzeróżniejsze zbiorowiska
ludzkie złożone z uciekinierów
ze wschodu, z wysłużonych
najemników, z pomocników
wszelkich armii, z ochotników
Volkssturmu, bardzo starych albo
bardzo młodych, nie rozstających
się jeszcze z pancernymi, z
dezertorów, z wszelkiego rodzaju
kolaborantów, durnych idealistów
lub handlarzy wszystkim, z
robotników zbiegłych z fabryk, z
jeńców wojennych zbiegłych ze
stałagów, z deportowanych nie
dość wychudzonych, żeby nie
nadawali się na kapo, z
nędzarzy, ciężarnych kobiet,
chorych, rannych i obłąkanych
uciekających ze zbombardowanych
szpitali i przytułków.

W tym tłumie, który powinien
być barwny, malowniczy, lecz
który w żalosnym niemieckim
tygłu stracił kolory, którego
głosy przytłumiła alchemia
klęski, znajdowali się
przedstawiciele wszystkich
krajów okupowanych przez Niemcy
lub dostatecznie od nich
zależnych, by dostarczać im
żołnierzy i robotników -
najemników i niewolników:
Francuzi, Duńczycy, Norwegowie,
Holendrzy, Belgowie,
frankistowscy Hiszpanie z
dywizji Azul - ale też
republikanie zbiegli do Francji
w 1939 roku i stamtąd wywiezieni
do Niemiec - Bułgarzy, Rumuni,
biali Rosjanie z armii Własowa,
Finowie, Węgrzy, Grecy,
Bałtowie, Włosi,
Chorwaci_ustasze, wierni poddani
pogławnika Ante Pavelića,

Słowacy od księdza Tiso,
Arabowie rekrutowani przez
muftiego Jerozolimy, trochę
Anglików, przyjaciół sir Oswalda
Mosleya, jeden czy dwóch
faszystów amerykańskich, a nawet
kilku ocalałych z Legii
Indyjskiej, w podartych
niemieckich mundurach, ale za to
z bronią i w turbanach.
Mężczyźni i kobiety uciekający
z płonących miast po zmasowanych
bombardowaniach w pierwszych
miesiącach 1945 roku - między
innymi z Hamburga, Darmstadt, a
przede wszystkim z Drezna, gdzie
podczas jednej lutowej nocy 2750
angielskich i amerykańskich
samolotów unicestwiło miasto
zabijając blisko 300 000 ludzi -
lub też zdjęci panicznym
strachem przed postępującymi
nieubłaganie naprzód, pijanymi
zemstą, Rosjanami, którzy
wkraczając do jakiegoś miasta
burzyli, plądrowali wszystko.
Żeby dotrzeć do ocalałego z
wojny Tyrolu i Vorarlbergu długo
szli drogami, tłoczyli się w
pociągach ciągniętych przez
lokomotywy z wypisnym
nazistowskim hasłem "Die R~ader
m~ussen rollen f~ur den Sieg"(
Koła muszą toczyć się ku
zwycięstwu.), ale zatrzymujących
się nagle w szczerym polu;
wsiadali na ciężarówki
Wehrmachtu zaskakiwane ostrzałem
z samolotów amerykańskich;
przemierzali księżycowe miasta,
z których pozostały tylko
dymiące gruzowiska; spali pod
gołym niebem albo w dworcowych
poczekalniach; jedli
Stammgericht((niem.) - danie
podstawowe.) biedaków albo chudą
żołnierską zupę, czasem marchew
wrywaną na polu; szli, szli i
wciąż szli, porzucali
najbardziej niewygodne albo

najcięższe bagaże; posuwali się
naprzód padając ze zmęczenia, ze
zgrozy i ze strachu, jak zjawy.

A potem, w miarę zbliżania się
armii francuskich, najpierw
Leclerca, a następnie de
Lattre.a de Tassigny, alpejskie
ustronie przekształciło się w
sak, z którego jedyne wyjście -
granica ze Szwajcarią, najeżona
zasiekami i kazamatami - zostało
bezwzględnie zamknięte przez
samych Szwajcarów. Cofając się
coraz bardziej, resztki

Wermachtu i bezładna masa
podążających z nimi cywilów
zbiła się, stłoczyła wokół
Feldkirch; tutaj rzeczywiście
kończyła się hitlerowska
przygoda, a tymczasem w oknach
pojawiały się flagi austriackie.
Oficerowie Ss, zrozumiałwszy
wreszcie swoją klęskę,
popelniali samobójstwa albo
przebierali się po cywilnemu,
kolaboranci niszczyli swoje
dokumenty, niektórzy próbowali
dostać się pieszo, przez góry,
na terytorium włoskie, uważane
za mniej wrogie, ale zaraz
wracali przerażeni trudami
wędrowki.

Francuskie Siły Bezpieczeństwa
Wojskowego wyłowiły wkrótce z
tego wiwarium wszystkich
osławionych, poszukiwanych
osobników, niemieckich
zbrodniarzy wojennych i wysoko
postawionych kolaborantów, a
zwłaszcza Francuzów zbiegłych
najpierw z P~etainem do
Sigmaringen, a potem aż tutaj.

Pozostali cywile zostali
skoszarowani w Gymnasium; tam
miał być przeprowadzony odsiew,
tam też miano leczyć chorych i
rannych.

Na początku sypialnie
urządzone w klasach były
przepełnione. Potem, stopniowo,

z upływem tygodni i miesięcy,
pustoszały, po zmudnych i
cierpliwych przesłuchaniach
część ludzi została odesłana do
domów; część, w oczekiwaniu na
przewiezienie do kraju
pochodzenia, została osadzona w
pobliskim więzieniu z napisem
frontonie: "Spricht nur ein
Wort, und meine Seele wird
gesund".(Powiedz tylko jedno
słowo, a będziesz uzdrowiona dusz
moja.)

Tak więc, jesienią 1947 roku,
w Gymnasium pozostali już tylko
ciężko chorzy, ranni długo
powracający do zdrowia albo
osobnicy, którzy tak czy
inaczej, nawet jeśli cieszyli
się dobrym zdrowiem, stanowili
skomplikowany problem w stylu
Kafki: albo byli podejrzani o
kolaborację z nazistami, a nie
udało się dotąd zebrać na to
dowodów, ani zmusić ich do
przyznania się; albo pochodzili
z krajów opanowanych przez
Rosjan i nie mogli lub nie
chcieli tam wracać, tych
trzymano po prostu dlatego, że
nie bardzo było wiadomo, co z
nimi począć.

Josef Primula i jego
przyjaciół Eduard Po~cek
należeli do tej ostatniej
kategorii, ale pierwszego z nich
można było zaliczyć jednocześnie
do pierwszej, złożonej z rannych
skazanych na długą, nie kończącą
się rekonwalescencję.

- Pamiętaj, że jesteś mi
winien dwadzieścia dolarów! -
mawiał Josef do Eduarda dwa lub
trzy razy dziennie.
- Jestem ci winien, to prawda!
- przyznawał Po~cek ze śmiechem.
- Ale nie oddam ci ich nigdy.

Chyba, że je ode mnie wygrasz w
pokera...

Stało się już rytuałem, że

przypominali sobie w ten sposób
ostatnie chwile w Wielkiej
Brytanii, zanim wsiedli do
samolotu, z którego mieli
wyskoczyć nad Normandią, o
świecie 6 czerwca 1944 roku. Skok
się nie udał - a pech nie
opuszczał ich od czasu przykrych
przygód, jakie przeżyli w obozie
w Beaune_la_Rolande aż po
Londyn, via Hiszpania i
Portugalia. Spadochron Primuli
stał w płomieniach, a on sam
spadł na słomiany dach wiejskiej
zagrody, a stamtąd, dusząc się
od dymu, na ziemię. Zawył z bólu
i przerażenia, a potem zemdłał.
Kiedy odzyskał przytomność,
zobaczył pochyloną nad sobą
postać Po~cka. Ten wylądował
bezpiecznie i pośpieszył
przyjacielowi na ratunek - albo,
ewentualnie, żeby go dobić, w
myśl otrzymanych zaleceń. Ale za
nim widać było jeszcze inne
postacie: wielu niemieckich
żołnierzy. A jeszcze dalej
bunkier najeżony lufami
karabinów maszynowych. Obaj
dostali się do niewoli. Josef
został przewieziony do szpitala
wojskowego w Caen; miał złamane,
pogruchotane obie nogi i
miednicę. Stamtąd, razem z
innymi jeńcami, a był też między
nimi Po~cek, był przenoszony na
tyły, coraz dalej, i przerzucany
z jednego szpitala do drugiego,
z obozu do obozu, w miarę jak
Niemcy cofali się.
Przerwa w tej odysei nastąpiła
w Baden_Baden, gdzie niemiecki
szpital wojskowy przeznaczono
dla rannych jeńców z armii
alianckich. Tutaj Primulą zajęto
się wreszcie, jak należy,
założono mu gips od stóp po
pachy. Ale złamań było tak dużo
i były tak poważne, że jeden z
niemieckich lekarzy powiedział

mu:

- Wiele lat upłynie pewnie na zabiegach i rehabilitacji, zanim będzie pan mógł spróbować stanąć na nogach! W każdym razie niech się pan nie łudzi, bo nigdy już nie będzie pan chodził normalnie.

W Baden_Baden Josefa rozdzielono z Po~ckiem. Ale przyjaciele spotkali się znowu trochę później, kiedy alianci przekroczyli Ren. Niemcy przenieśli wówczas rannych ze szpitala i alianckich jeńców z okolicznych obozów na południe w stronę alpejskiego zacisza. Długa karawana ambulansów i ciężarówek z wolną posuwała się do przodu, pokonując nocą krótkie odcinki drogi, co miało ją ustrzec przed ostrzałem amerykańskich samolotów, a droga wiodła przez Schwarzwald, południową Wirtembergię, Allga~u i południową Bawarię, aż do Austrii, Innsbrucku i wreszcie Feldkirch. Do ostatniej chwili Niemcy nie ukrywali, że zamierzają posłużyć się jeńcami jako ewentualną monetą przetargową. A potem nadeszli żołnierze Leclerca i de Lattre.a, wcześniej niż się ich spodziewano. I dla Josefa zaczęły się problemy... a raczej pojawiły się na nowo. "Sie sind in Sudetenland geboren!", powiedział mu już w Baden_Baden oficer z niemieckiej feldgendarmerie. "Sie sind daher ein Volksdeutsch! Freiwillige in englische Armee, Sie sind auch ein Verr~ater!"(Urodził się pan w Sudetach... A więc jest pan folksdojczem! Ochotnik w armii angielskiej. Pan jest jednocześnie zdrajcą!) Stało się więc to, czego Josef spodziewał się od dawna. Kilka

lat temu wspomniał Sarze, że
ponieważ urodził się w Sudetach,
może zostać uznany za
folksdojczy, to znaczy za Niemca
z drugiej strefy, ale przecież
Niemca. I oto, zrzucony we
Francji w mundurze angielskim,
został uznany za zdrajcę.
Przesłuchujący go i oskarżający
oficer miał bezduszną twarz i
zimne rybie oczy. Oczyma
wyobraźni Primula widział już
siebie stojącego przed
niemieckim sądem wojskowym i
rozstrzeliwanego za zdradę. Na
szczęście, oficer ow zniknął
nagle ze szpitala; powszechny
zamęt wywołany klęską Niemiec
uniósł go gdzieś indziej, a
ranni, w tym i Josef, zostali
ewakuowani. Przez resztę czasu,
jaki spędził w rękach Niemców,
Primula był traktowany
poprawnie, jak każdy ranny
jeniec wojenny.

- Pan jest Czechem,
ochotnikiem z armii angielskiej
- powiedział w Gimnazjum oficer
francuskich Sił Bezpieczeństwa
Wojskowego, który, wyjąwszy
mundur, bliźniaczo podobny był
do swojego niemieckiego
odpowiednika. - Ale urodził się
pan w Sudetach. Jest więc pan
obywatelem niemieckim albo
uchodzi za takowego. Trzeba w
pańskiej sprawie przeprowadzić
dochodzenie. W każdym razie,
kiedy pan stąd wyjdzie, będzie
się pan mógł udać tylko do
Czechosłowacji albo do Wielkiej
Brytanii.

- Aleja nie chcę jechać ani do
Czechosłowacji, ani do Anglii!
Chcę jechać do Paryża, gdzie
czeka na mnie narzeczona.

- Dlaczego nie chce pan wrócić
do Czechosłowacji? Czy boi się
pan kłopotów we własnym kraju? A
wówczas kiedy pan tam jeszcze

się znajdował, przed wojną, czy działał pan na rzecz nazistów? I dlaczego nie chce pan jechać do Anglii? Czy popełnił tam pan jakieś przestępstwo? Wszystko to nie jest jasne.

- Chcę jechać do Francji! Chcę jechać do Paryża. Czeka na mnie narzeczona.

- Dobrze! Będziemy więc dalej prowadzili dochodzenie w pańskiej sprawie. Potem, ewentualnie, poprosimy o niezbędne zezwolenia, żeby mógł pan pojechać do Paryża. Ale uwaga! Będą za pana musieli poręczyć dwaj Francuzi. Na razie trzeba czekać...

Josef czekał. Na szczęście francuscy lekarze zajęli się nim skwapliwie, zdjęli mu gips, przeswietlili, zoperowali łamięc uprzednio źle zrośnięte kości, znowu założyli, po czym zdjęli gips i wreszcie nadszedł długi i bolesny okres rehabilitacji. Na szczęście Po~cek był przy nim, w tej samej sali - miał on pecha, że również urodził się w Sudetach i znajdował się w tej samej sytuacji prawnej co Josef. Na szczęście był też poker.

"Pensjonariuszy" obowiązywał zakaz wszelkiej korespondencji. Primula próbował jednak wielokrotnie wysyłać listy do Sary powierzając je schwester Pauli, niemieckiej pielęgniarki o sympatycznym wyglądzie. Ale nie wiedział, czy te listy - bardzo podobne do wysyłanych niegdyś kart pocztowych i jak one przypominające butelki z wiadomością wrzucane do morza - rzeczywiście były wysyłane... a tym bardziej, czy docierały do adresatki.

Mijały tygodnie i miesiące. Primula i Po~cek grali co wieczór w pokera, kolejno

wygrywając i przegrywając do siebie te dwadzieścia dolarów z czerwca 1944 roku.

- Jesteś mi winien dwadzieścia dolarów! - powtarzał Josef.

- Zgadza się! - odpowiadał Po~cek.

Pod koniec lata 1947 roku Primula został wezwany przez oficera z Bezpieczeństwa Wojskowego. Kiedy wsparty na kulach wszedł do biura, od razu zauważył, że jego rozmówca ma minę nieco mniej oschłą niż zwykle.

Dochodzenie, jakie przeprowadziliśmy w Czechosłowacji i w Wielkiej Brytanii, przyniosło ostatecznie korzystny dla pana wynik - powiedział niemal uprzejmym tonem. - Nigdzie nie mają panu nic do zarzucenia. Wystąpiłem oczywiście o zezwolenie na pański wyjazd do Francji. Musi pan tylko wskazać nam dwie osoby, które mogłyby ewentualnie poręczyć za pana. Kiedy uzyskamy ich zgodę, będzie pan mógł wyjechać do Paryża.

Josef podał Rogera Brienne.a... i, oczywiście, Sarę. Potem, wspierając się na kulach, wrócił do swojej sali, położył się. Całą noc śnił o chwili, kiedy wreszcie znowu zobaczy Sarę. Ale trzeba było czekać... jeszcze czekać... Wkrótce po tym, jak dzięki zręcznym zabiegom Brienne.a willa "Promienny Uśmiech" została odnowiona i nadawała się znowu do zamieszkania, sprowadziła się tam Sara. Pomysł przyszedł jej do głowy po nowej inauguracji, kiedy przemierzała pokoje porównując ich obecny wygląd z tym, jaki miały dawniej i który utkwiał jej w pamięci. Bezwiednie dokonała wyboru

takich samych albo prawie takich samych tapet, kolorów, zasłon, jakie przed trzynastu laty wybrała jej matka; meble nie zmieniły ani miejsca, ani wyglądu; w jadalni odrestaurowany portret Sary Meyer wisiał dokładnie tam, gdzie Elie niegdyś go zawiesił... nawet gwóźdź był ten sam, obsadzony przez niego w ścianie za pomocą kołka. Zniknięcie kilku zbytecznych staroci wywiezionych na wysypisko przez Pierre'a Marnier nie mogło w niczym zmienić ogólnego układu domu. A odnowiony dom stał się znowu sobą, gotów zatętnić swoim dawnym życiem - ale był pusty. Jak gdyby czując, że te kamienie, ściany, wiązania, dach stanowczo tego żądają, Sara nie miała odwagi porzucać ich kolejny raz, zostawiać ich na pastwę jeszcze jednej zimy, żeby znowu niszczały od zimna, wilgoci i opuszczenia. Uznała, że jej miejsce jest tutaj, podobnie jak miejsce ślimaka jest w skorupie, w tym świecie znanym i bliskim, gdzie błędzą jeszcze duchy rodziców, gdzie pokoje, łóżka, krzesła, fotele, a nawet portret Sary Meyer domagają się obecności jej i braci... bez wątpienia także obecności Josefa.

- Podjęłam decyzję! - powiedziała Brienne.owi. - Wrócę i zamieszkać tutaj...

Roger popatrzył na nią tylko z uśmiechem pełnym napięcia i po dłuższej chwili odezwał się półgłosem:

- Spodziewałem się tego! Kiedy zobaczyłem, jak zamyślona błędzisz po pokojach, w jaki sposób patrzysz na wszystko, na ściany, meble, zupełnie jakbyś

na nowo obejmowała je w posiadanie, pomyślałem, że będziesz chciała tu wrócić. Czy dobrze się zastanowiłaś?

- Posłuchaj, Roger, nie po to przecież odnowiliśmy ten dom, żeby stał pusty. A cała reszta...

Wykonała ręką ruch, jak gdyby chciała uwolnić się od argumentów, które ktoś mógłby przeciwstawić jej nagłemu postanowieniu.

Zmiana miejsca zamieszkania pociągnie wprawdzie za sobą pewne kłopoty, bowiem dojazd pociągiem i metrem do pracy i z powrotem, zabierze jej codziennie prawie trzy godziny plus dobrą godzinę marszu. Ale robiło tak wielu mieszkańców Lagny pracujących w Paryżu; ona - sama już przez to przeszła, kiedy uczyła się w liceum, a Bruno przez wiele lat dojeżdżał do pracy w drukarni du Croissant. To nie była przeszkoda... a jeśli już, to do pokonania. Zresztą, jeśli pod koniec dnia będzie się czuła trochę bardziej zmęczona, to nie będzie czasu na smętne rozmyślenia i tym szybciej zapadnie w sen, a w snach spotykać będzie Josefa, braci, odnajdzie swoje prawdziwe życie... Tak czy inaczej decyzja zapadła.

Nie bez żalu opuszczała pełen wspomnień pokój przy alei Racheli. Opróżniła go doszczętnie zabierając wszystko, co w nim się znajdowało oprócz mebli: swoje rzeczy osobiste, ale także rzeczy Josefa, jego ubrania, koszule, buty, książki, nie dokończone rękopisy tłumaczeń. Wszystko to miało jej towarzyszyć do Lagny. Rozmieści te rzeczy w dużym pokoju,

należącym niegdyś do rodziców,
który postanowiła zająć, jak
gdyby tylko on godny był przyjąć
ją i Josefa jako parę, jaką z
pewnością, wcześniej czy
później, będą znów tworzyć.
Nie bez żalu też wyjeżdżała od
Brienne.ów, którzy stale ją
wspierali, podtrzymywali na
duchu i których po bratersku
kochala, a którzy ją
kochali - trochę bardziej niż
po bratersku, jeśli chodzi o
Rogerę.

- To już cię więcej nie
zobaczymy? - spytał fotograf
głosem zdławionym ze wzruszenia,
kiedy żegnała się z nimi
trzymając w rękach
spakowane walizki.

- Ależ tak, Roger! Będę do was
często wpadała. A poza tym,
będziecie we trójkę przyjeżdżali
do Lagny, prawda? Obiecujesz?
Władze miejskie Lagny zgodziły
się wreszcie przeprowadzić na
działkach należących do Raymonda
Meyera roboty zbrojeniowe
odkładane od blisko piętnastu
lat. Woda, gaz, elektryczność,
kanalizacja zostały doprowadzone
do domów, co poprzedziły
wielomiesięczne wykopy wzdłuż
ulicy Przy Autostradzie.
Pozostało tylko wszystko
podłączyć, a w niektórych
przypadkach wykonać instalacje
wewnętrzne. W willi "Promienny
Uśmiech" Elie Ritter zrobił to
wszystko już dawno temu sam. Ale
trzeba to było sprawdzić,
podłączyć. I znowu Brienne
zapropozował swoją pomoc,
korzystając chętnie z tego
pretekstu, żeby zbliżyć się do
Sary.

- To żadna sztuka! - oznajmił.
Po przeprowadzce Sary
przyjeżdżał więc co tydzień w
piątek wieczorem w towarzystwie

Fran~coise i jej matki i
zostawał do poniedziałku rano. W
ciągu trzech czy czterech
weekendów wszystko zostało
zrobione; we wszystkich pokojach
był wreszcie prąd, woda płynęła
ze wszystkich kranów, działały
zlew, umywalka i klozet. Brienne
przezornie oczyścił, a potem
zatkał stare, zamulone i
cuchnące kanały ściekowe. Sara
wyniosła do szopy na narzędzia,
za domem, wiadro do wody z
długim, siedmiometrowym
łańcuchem oraz bezużyteczne
teraz lampy naftowe. Kupiła
abażury, lampki nocne, kinkiety,
założyła je we wszystkich
pokojach. Kiedy wszystko było
gotowe, Brienne włączył licznik;
światło zalało dom, a Sarze
przez chwilę, w tej oślepiającej
jasności, żal się zrobiło
żółtawego blasku lamp naftowych,
stref cienia, jakie zostawiały w
kątach, wydzielanego przez nie
słodkawego zapachu.

- Teraz masz nowoczesny dom! -
powiedział Roger.

A czas płynął, mijały
tygodnie, miesiące. Sara od
dawna już otrzymywała wiadomości
od starszego brata. W kolejnych
listach Bruno opisywał swoją
pracę w tartaku z Arturem
Domurem, nowe zajęcie Lisette,
jej zauroczenie doktorem
Genilhou. Ostatni, przysłany
niedawno list, napisany był w
patetycznym tonie.

"Pożar strawił tartak - pisał
Bruno - straciłem więc pracę.
Pierre Morel czuje się za stary,
żeby odbudowywać swój zakład,
zaczynać od zera. Zastanawiam
się, co mam robić. Zastanawiam
się, tym bardziej że Lisette
zajmuje się pracą z doktorem
Genilhou więcej niż naszym synem
i mną..."

Sara długo myślała nad tym, co powinna odpisać. Napisać: "Przyjeżdżaj tutaj, kiedy zechcesz, dom jest dla ciebie otwarty!", byłoby wprawdzie czymś oczywistym. Ale wyłożona czarno na białym, skonkretyzowana w linijkach pisma, ta oczywistość mogła jednak przyspieszyć zerwanie Bruna z Lisette, jego rozstanie z małym Elie. Byłoby to mieszanie się w życie brata, na które Sara nie mogła, nie chciała sobie pozwolić bez względu na to, jak wielkie było jej pragnienie, żeby Bruno zamieszkał razem z nią. W długim liście, jaki wreszcie napisała, ograniczyła się więc do wyrażenia współczucia doradzając bratu cierpliwość i proponując swoją pomoc w razie potrzeby. Potem opisała jednak jeszcze, jak wygląda odnowiony ostatnio przez Brienne.a dom. Po głowie chodził jej pewien pomysł, ale go nie wyraziła; mogła mianowicie zaproponować swojemu szefowi, Gerardowi Hellerowi usługi brata w drukarni gazety "Le Siecle". Ale tu rodził się nowy problem - drukarze pracowali na stojąco; czy po odniesionych ranach Bruno byłby zdolny do wykonywania takiej pracy? Postanowiła niczego nie przyspieszać, czekać. W końcu myśl o pracy w "Le Siecle" przyjdzie mu może sama do głowy. Zdaży się jeszcze nad tym zastanowić, kiedy brat sam o tym wspomni w liście. A więc czekać! Znów czekać! Sara już przywykła do tego. Od miesięcy, od lat nie robiła nic innego. Cierpliwość stała się jej drugą naturą. Jednak, na wszelki wypadek, ukryła zachowane zdjęcia Lucienne,

zdjęcia minionego szczęścia,
którego nic ani nikt nie mógł
zastąpić. W każdym razie, kiedy
Bruno wróci - jeśli wróci -
będzie człowiekiem rozbitym. Już
i tak pokryty bliznami,
osłabiony, z nadwreżonym
zdrowiem, dozna jeszcze nowych
przykrości: rozdźwięk z Lisette,
prawdopodobne zerwanie,
ewentualne rozstanie z synem,
nie mówiąc już o bezrobociu.
Sara od dawna już pogodziła
się z myślą, że kiedy odnajdzie
"swoich mężczyzn", jak o nich
mówiła, będą na pewno
postarzali, zmienieni, dojrzały,
co byłoby całkiem naturalne
zważywszy na upływ czasu, ale
też fizycznie i duchowo
okaleczeni, doświadczeni,
wycieńczeni, pełni goryczy po
zmiennych kolejach wojny i jej
następstwach. Nie warto było
nawet sobie wyobrażać, że
mogliby jak dawniej być
pięknymi, pełnymi życia i
młodości chłopcami,
przedsiębiorczymi i odważnymi.
Będzie musiała zaopiekować się
nimi, otoczyć czułością i
miłością, żeby odzyskali, jeśli
to możliwe, radość życia. Będzie
do tego potrzebowała dużo
dzielności, siły witalnej i
bezgranicznej miłości, będzie
musiała stosować wybiegi, żeby
zainteresować ich czymś innym
niż oni sami i ich własna
przeszłość.

W związku ze starszym bratem
przyszło jej na myśl, że mogłaby
zapropionować mu, by przywiózł z
sobą syna, kiedy pojawi się... a
było to teraz prawie
nieuniknione... by szukać
schronienia w Lagny: Odłożyła tę
myśl do małej szufladki w głowie
zamierzając sięgnąć po nią w
stosownym momencie -jeśli tylko

pozwolą na to warunki separacji
z Lisette i wyjazdu Bruna z
Saint-Algre.

A Josef? W jakim stanie do
niej wróci - jeśli w ogóle
kiedyś wróci?

Co do Roberta, już sobie nie
zadawała pytań; wiedziała. Od
poprzedniej nocy był w domu,
zamknięty w swoim pokoju, już
się zabrał do pisania.

Paryż, Bagneux, Antibes
czerwiec 1983, luty 1985

Od autora

Akcja powieści toczy się w
latach 1931_#1947, to znaczy w
okresie, na który przypadł
kryzys gospodarczy lat
trzydziestych, afera

Stavisky.ego, Front Ludowy,
wojna i okupacja, zwycięstwo
aliantów.

Danym mi było przeżyć ten
okres - najczęściej w znaczeniu,
jakie nadawał temu słowu ksiądz
Siey~es - i zachować dosyć
dobrych i złych wspomnień, żeby
wypełnić tę książkę... a nawet
kilka innych.

W trakcie redagowania musiałem
jednak sprawdzić, uściślić lub
odświeżyć pewne pojęcia,
okoliczności lub szczegóły. Tym
bardziej że - zgodnie z
tradycyjnymi prawidłami powieści
historycznej - wśród wymyślonych
zdarzeń i bohaterów opisałem tu
również autentyczne fakty i
postaci, a te ostatnie, pod
prawdziwym nazwiskiem, odgrywają
tu rolę, jaką wówczas
rzeczywiście odegrały.

Posługiwałem się więc pracami
historycznymi, zszywkami gazet,
których tytuły wymieniam
poniżej. Ale korzystałem też z
pomocy osobistości, przyjaciół,
kolegów dziennikarzy,
archiwistów i dokumentalistów
prasowych i radiowych, którym

pragnę podziękować za ich
skuteczną pomoc i mądre rady.
Dziękuję więc Jean_Fran~cois
Moreau z Krajowego Instytutu
Statystyki i Studiów
Gospodarczych (Insee),
Rogerowi Priouret i Jean_Yves
Holligerowi, dziennikarzom z
Rtl, dzięki którym mogłem
podać dokładne dane o płacach i
cenach przed, podczas i po
wojnie.

Dziękuję Lucienowi Espinasse
za dostarczenie mi potrzebnych
informacji.

Dziękuję archiwistom i
dokumentalistom z Agencji France
Presse, z "L.express",
"France_Soir", "Le Figaro", "Le
Monde" i z Svp, a szczególnie
mojemu przyjacielowi Jose
Sourillanowi, naczelnemu
dokumentaliście w Rtl.

Emmanuelu Berl, Pierre
Casteksie, Maurisie Cottaz,
Jean_Bernardzie Desrone, Jeanie
Giono, Robercie Lazurick, Henry
Poulaille, Eugenie Relgis,
Albercie Simonin, Robercie
Tourly, składam Wam
podziękowanie - mimo upływu lat,
a czasem pośmiertnie. Rozmowy,
czasem odległe, ale zapisywane
na bieżąco, jakie z Wami
prowadziłem, oraz korespondencja
dostarczały tworzywa dla
niektórych fragmentów tej
książki.

Na koniec niech mi wolno
będzie wyrazić tutaj
wdzięczność, jaką winien jestem
żonie, która z poświęceniem i
skutecznie nieustannie
wspomagała mnie podczas pisania
tej książki.